

BYŁEM, DOWÓDCĄ PANCERNYM



WSPOMNIENIA HANSA VON LUCKA



 BELLONA

BYŁEM



DOWÓDCĄ

PANCERNYM

WSPOMNIENIA HANSA VON LUCKA

Przełożył Jan Szkudlinski

BELLONA Warszawa

Tytuł oryginału *PANZER COMMANDER THEMEMOIRS OE COLONEL HANS VONL*
UCK

Projekt okładki Michał Bemaciak

Redaktor prowadzący Ryszard Radziejewski

Opracowanie redakcyjne Katarzyna Koczeń



Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2006 Copyright ©
1989 by Hans von Luck

Dom Wydawniczy Bellona prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek za zaliczeniem
pocztowym z rabatem do 20 procent od ceny detalicznej.

Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa Dział Wysyłki: tel.

022 45 70 306, 022 652 27 01, fax 022 620 42 71 e-mail: biuro@bellona.pl Internet:

<http://www.bellona.pl> www.ksiegarnia.bellona.pl

ISBN 83-11-10559-6

Wstęp

Chociaż nazwiska, miejsca i daty zostały dokładnie sprawdzone, książka ta nie rości sobie prawa do miana pracy historycznej. Moje wspomnienia raczej odtwarzają wydarzenia i doświadczenia, które były udziałem młodych Niemców w okresie, w którym zmieniła się Europa i prawie cały świat.

W centrum uwagi jest druga wojna światowa. Uwzględniając lata ją poprzedzające, pokazałem, jak nietolerancja, fałszywa ideologia oraz propaganda mogą mobilizować przeciwko sobie całe narody i być powodem tak wielu nieszczęść.

Książkę tę zadedykowałem moim trzem synom urodzonym między rokiem 1954 a 1970, ponieważ chcę zwrócić się do pokolenia urodzonego podczas wojny lub po jej zakończeniu. Mój syn Sasza, najmłodszy, zapytał mnie pewnego dnia: „Co to właściwie znaczy «nazista»? Dlaczego Hitler był «zły»? Dlaczego cały naród «poszedł» za nim?”. Jemu i jego pokoleniu należy odpowiedzieć na te pytania. Wielu nauczycieli, nawet urodzonych podczas wojny i bezpośrednio po niej, nie potrafił udzielić na nie odpowiedzi lub jest ona niewystarczająca. Starsi zaś z tego czy innego powodu pomijają ten okres.

W niezliczonych rozmowach z młodzieżą w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Francji oraz podczas wielu wykładów prowadzonych dla młodych studentów amerykańskich uniwersytetów odkryłem, że młodzi ludzie chcą mieć jasny obraz czasów, o których informacje są jednostronne, niewystarczające albo niedostępne.

Zdecydowanie zatem sprzeciwiam się na przykład klasyfikowaniu Rosjan jako „złych”, a nas na Zachodzie jako „dobrych”.

To zbyt proste uproszczenie!

mieszkańcy świata pochodzący z narodów dawnych przeciwników w czasie wojny rozumieją się bez trudu. Mam nadzieję, że *glasnost'* i *pierestrojka* dadzą młodzieży Związku Radzieckiego i innych krajów wschodnioeuropejskich szansę na podanie ręki młodzieży Zachodu.

Ci spośród moich czytelników, którzy mieli okazję odwiedzić ZSRR — sportowcy, naukowcy czy turyści — odkryli, że Rosjanie są czarujący, gościnni i gotowi, by żyć w pokoju z wszystkimi narodami świata.

Ci, którzy jeszcze nigdy nie byli w Rosji, powinni naprawić to niedopatrzenie.

Próbowałem wyciągnąć wnioski z wielu wydarzeń — przyjemnych i smutnych. Mogę więc przyczynić się do tego, by to, co wydarzyło się w Niemczech przed wojną i w czasie jej trwania, nigdy i nigdzie się nie powtórzyło. Przygnębiający jest fakt, że od zakończenia drugiej wojny światowej na świecie wybuchło lub trwa wciąż ponad 150 wojen toczonych z powodów politycznych, gospodarczych lub ideologicznych. Przygnębia mnie i to, że jedynie istnienie broni nuklearnej zdaje się zapobiegać zbrojnemu starciu między dwoma blokami.

Przykład, jaki młodzi ludzie dają nam, starym, powinien być naśladowany przez wszystkich, którzy mogą wywierać wpływ na wydarzenia — jest to przykład tolerancji, tej najlepszej z ludzkich cech. Wszyscy powinniśmy wiedzieć, że ze złych doświadczeń można wyciągnąć właściwą naukę.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi napisać tę książkę. Nie powstałaby ona nigdy, gdyby nie mój przyjaciel, profesor Stephen Ambrose z *University of New Orleans*. „Zmusił” mnie do przedstawienia moich przeżyć i wciąż zachęcał do kontynuowania pracy.

Dziękuję majorowi Johnowi Howardowi, mojemu brytyjskiemu przeciwnikowi w „Dniu D”, który przeszedł do historii jako „bohater mostu Pegaza” i jest dzisiaj moim przyjacielem. John mówi każdemu: „Jeśli chcesz

Moje podziękowania należą się także wszystkim kolegom
___ współwięźniom, którzy dzielili ze mną ciężki los pięcioletniej
niewoli rosyjskiej i którzy wciąż utrzymują ze sobą kontakt przez
Stowarzyszenie Obozu 518. Wielu odświeżyło moją pamięć, a opisując własne
przeżycia, pomogło czytelnikom wyobrazić sobie nasze życie w gułagu.

Ponadto mój adiutant Helmut Liebeskind czy też ordynans i przyjaciel Erich
Beck, jak również wielu tych, którzy walczyli wraz ze mną na wszystkich
frontach przez niemal pięć lat, pomogło mi i znalazło swoje miejsce w tej
książce.

Szczególne podziękowania winien jestem George'owi Unwinowi z Surrey w
Wielkiej Brytanii. Będąc niemal moim rówieśnikiem, przetłumaczył mój
rękopis na angielski z przyjaźnią, identyfikując się ze mną. Moi amerykańscy i
brytyjscy przyjaciele, którzy czytali ten tekst, bez wyjątku mówią: „Możemy
wrench słyszeć, jak Hans mówi, i rozumiemy, co ma nam do powiedzenia”.

Wreszcie dziękuję mojej żonie Reginie za jej cierpliwość i pomoc. Przez
niemal cztery lata pozwoliła mi pracować nad rękopisem, pomagała w
poszukiwaniach i w wolnym czasie przepisywała setki jego stron.

Jestem głęboko poruszony przedmową, jaką napisał do tej książki Stephen

Przedmowa

Po raz pierwszy spotkałem Hansa von Lucka w listopadzie 1983 r. w Hamburgu. Znalazłem się tam, by przeprowadzić z nim wywiad na temat jego roli w walkach w „Dniu D”. Zajmowałem się działaniami koło mostu Pegaza, nad kanałem Caen, którego bronił przed atakiem szybowców brytyjskich wojsk powietrznodesantowych. Przyszedł do mego pokoju hotelowego tak, jak się umówiliśmy, dokładnie z wybiciem czwartej po południu.

Na pierwszy rzut oka był szczupłym, żyłastym, silnym mężczyzną dużego wzrostu. Jednak po bliższym przyjrzeniu się jego surowej, doświadczonej, pociętej głębokimi zmarszczkami twarzy dostrzegłem człowieka w dość podeszłym wieku (miał wówczas 72 lata). Jego rysy były ostre, nos haczykowaty, oczy głęboko osadzone o przenikliwym spojrzeniu, podbródek wydatny, czoło szerokie, kości policzkowe wystające i duże, odstające uszy. Chociaż był ubrany w klasyczny garnitur, łatwo było wyobrazić go sobie w mundurze pustynnym ozdobionym wysokim, sztywnym kołnierzem zapiętym pod szyję, na której nosił Krzyż Rycerski, z niemiecką oficerską czapką przesuniętą na tył głowy, w goglach, całego pokrytego północnoafrykańskim pyłem.

Zamówiliśmy kawę do pokoju, on zaś rozłożył mapy Normandii. Mówił po angielsku z akcentem, ale zrozumiale. Jego manieri i sposób zachowania przywodziły na myśl arystokratę ze Starego Świata. Palił bez przerwy marlboro lights. Był entuzjastycznie nastawiony do mojego projektu, bardzo chciał opisać mi swoje przeżycia w Normandii.

Rozmawialiśmy niemal bez przerwy przez cztery godziny. Opowiedział mi szczegółowo przebieg działań w nocy z 5 na 6 czerwca 1944 r. oraz

La Manche w czerwcu 1940 r., który dotarł aż do przedmieść Moskwy w listopadzie 1941 r., dowodził skrajem prawej flanki Rommła w Afryce Północnej w latach 1942-1943 i który dowodził pułkiem pancernym walczącym z pierwszymi desantami w „Dniu D” w 1944 r. Jego opowieści o życiu w obozie jenieckim w Związku Radzieckim w latach 1945-1950 były porywające i pouczające. Często wyrażana przez niego wielka miłość do narodu rosyjskiego i współczucie z powodu jego losu były zupełnie szczere. I zaskakujące.

Chociaż byłem pod wrażeniem Hansa — żołnierza, jeszcze większe wrażenie i sympatię wzbudził we mnie Hans jako człowiek. Był miły i otwarty i — nie mogę nie użyć tego słowa — łagodny. W ciągu 25 lat przeprowadzania wywiadów z weteranami nigdy nie słyszałem przeżyć wojennych tak dobrze opowiedzianych, tak pełnych współczucia dla pokrzywdzonych, niezależnie od ich kołom skóry czy narodowości. Nie licząc Dwighta Eisenhowera, nigdy nie spotkałem weterana, którego bym tak lubił i tak podziwiał. Zachęcam tych amerykańskich czytelników, którzy wierzą, że wszyscy dobrzy Niemcy nie żyją lub dawno wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, by z dużą dozą obiektywizmu przeczytali dzieło Hansa. Zasługuje on na waszą uwagę i szacunek.

Chociaż są to wspomnienia zawodowego żołnierza, nie zostały napisane dla kadetów akademii wojskowej, ale dla szerokiego grona czytelników. Hans jest świetnym gawędziarzem, znakomicie dobierającym wydarzenia i anegdoty. Jak na wojownika, który walczył niemal bez przerwy od września 1939 r. do kwietnia 1945 r., zadziwiająco mało w jego opowieści krwawych szczegółów. Jak na człowieka, który zdobył w swym kraju najwyższe odznaczenia za odwagę, zadziwiająco mało w jego opowieści chwalenia się własnymi czynami. Jak na człowieka, który pracował niewolniczo w obozie jenieckim, zadziwiająco mało w jego opowieści goryczy. Zamiast tego jest w niej

władzy przez Hitlera i wpływ jego polityki na nowo powstałą niemiecką armię. Wraz z Hansem wkraczamy do Polski i wraz z nim przeżywamy ciąg zwycięstw we Francji i Rosji. Po raz pierwszy czuje on smak porażki w Afryce Północnej, wkrótce jednak znajduje się w apartamencie w Paryżu, ciesząc się życiem zdobywcy. Hans opisuje swój słodko-gorzki wojenny romans. Potem doświadcza ponownie porażki z rąk Brytyjczyków w Normandii, potem z rąk Amerykanów we wschodniej Francji, wreszcie z rąk Rosjan na południe od Berlina. Kończy swoje wspomnienia w obozie jenieckim na Kaukazie, gdzie pracuje przy wydobywaniu węgla.

Po drodze daje nam wspaniałe opisy ludzi, których spotkał: księdza ze smoleńskiego soboru, burdelmamy z Bordeaux, Beduinów na pustyni, francuskich przyjaciół w okupowanym Paryżu i wielu innych.

Przez stronicę tej książki przewijają się słynni niemieccy generałowie, w tym Jodl, Kesselring i Guderian. Dominującą osobowością, poza samym Hansem, jest feldmarszałek Erwin Rommel. Hans spotkał go po raz pierwszy jeszcze w czasach przed dojściem Hitlera do władzy — Rommel był jego nauczycielem taktyki. Od 1940 do 1944 r. Hans przez większość służby dowodził u Rommla batalionem rozpoznawczym. Był to generał, którego najbardziej podziwiał. Ten zaś nie tylko miał bardzo dobre zdanie o Hansie, ale był z nim tak blisko jak z własnym synem. Dzięki temu Hans mógł opisać Rommla w działaniu i Rommla w zamyśleniu. Jest to fascynujący portret generała, którego wielu historyków wojskowości (w tym i ja) uważa za najlepszego dowódcę drugiej wojny światowej.

Prawdziwym bohaterem tej książki jest jednak niemiecki żołnierz. Podwładni Hansa z 7. Dywizji we Francji i Rosji oraz z 21. Dywizji Pancерnej w Afryce Północnej, Normandii, we wschodniej Francji i w Niemczech nigdy go nie zawiedli. Zadziwiali wytrzymałością, zwartością, odwagą, koleżeństwem i lojalnością — tak jak pułkownik von Luck. Będąc jednym ze

Prolog

Był mroźny zimowy dzień pod koniec 1949 r. w specjalnym obozie dla jeńców wojennych w okolicach Kijowa. O godzinie drugiej nad ranem drzwi baraku otwarły się z hukiem.

___ Ganz von Luck! — wrzasnął rosyjski strażnik. — *Dawaj* do biura.

Ciągle mnie to śmieszy: Rosjanie nie potrafią wymówić głoski „h”. Jakże śmiałyśmy się kilka lat wcześniej, gdy na okrzyk: „Goggenloge” nikt się nie ruszył. Chodziło o księcia Hohenlohe.

My, niemieccy jeńcy wojenni, znajdowaliśmy się w Rosji od czerwca 1945 r. Na jesieni 1948 r. byli członkowie SS i policji oraz wszyscy ci, którzy walczyli z partyzantami, zostali zebrani w swego rodzaju obozie karnym. Znajdowali się tam także, czego nikt z nas nie potrafił zrozumieć, wszyscy oficerowie sztabowi.

Chwiejąc się z niewyspania, wstałem. Rosjanie lubili przesłuchiwać w nocy. Łatwiej było wydobyć coś od przemęczonego więźnia.

Kilka tygodni wcześniej obozowa tłumaczka, lekarka żydowskiego pochodzenia, z którą się zaprzyjaźniłem, powiedziała mi, co wiśi w powietrzu.

— Słyszałam, że pod naciskiem zachodnich aliantów Stalin zgodził się wypełnić zobowiązania konwencji genewskiej i zwolnić jeńców. Ze zwykłych obozów zostali zwolnieni już prawie wszyscy, ale zwolnienia będą nawet i tutaj. Piętnaście procent zostanie skazanych na dalszy pobyt w tym obozie. Nie chcemy odesłać do domu żadnych zbrodniarzy wojennych. Poza tym potrzebujemy siły roboczej.

Niedługo potem rzeczywiście przybyły z Moskwy komisje. W czasie

A teraz nadeszła moja kolej!

Byłem na skraju nerwowego załamania. Zmusiłem się do zachowania spokoju. Mówiłem dobrze po rosyjsku. Jako jeniec zdołałem pogłębić moją znajomość tego języka i często byłem wykorzystywany w roli tłumacza. W biurze czekała na mnie dobrze mi znana młoda tłumaczka.

— Nie rozumiem ani nie mówię słowa po rosyjsku — wyszeptalem do niej. — Zrozumieliście?

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Będzie mi pomagać w mojej gierce.

Wprowadzono mnie do dużego pomieszczenia. Ujrzałem przed sobą wielki stół w kształcie litery T, u szczytu którego zasiadła komisja. Pośrodku siedział rosyjski pułkownik, najwyraźniej przewodniczący komisji, sympatycznie wyglądający mężczyzna mniej więcej w moim wieku, obwieszony orderami, z niemal kwadratową głową. Wyglądał jak marszałek Georgij Żuków, „wyzwolicieł” Berlina.

Po obu jego stronach siedzieli cywile, zapewne prokurator i oficerowie KGB*. Wyglądali raczej mniej sympatycznie i patrzyli na mnie z obojętną miną. Zasiadłem z moją tłumaczką po drugiej stronie stołu, około sześciu metrów od nich.

Przesłuchanie się rozpoczęło.

— Jak macie na imię? Wasza jednostka? Gdzie walczyliście w Rosji?

Tłumaczka przetłumaczyła, odpowiedziałem po niemiecku:

— Powiedziałem już to przynajmniej dwadzieścia razy podczas przesłuchań.

— Chcemy usłyszeć to jeszcze raz — rzekł pułkownik.

Moje zeznania wydawały się zgodne z ich dokumentami. Kiwnęli głową z aprobatą.

Dotem się zaczęło

* Autor lub tłumacz rękopisu na język angielski popełnili tu błąd. KGB powstało dopiero w 1954 r. (drzvd. tłum.).

Po przetłumaczeniu odparłem:

___ Nie mam nic wspólnego z Ribbentropem czy Papenem. Byłem na wojnie przez więcej niż pięć lat, potem zaś pięć lat w niewoli. To więcej niż dziesięć lat mojego życia. Chciałbym teraz żyć w pokoju z moją rodziną, wykonywać jakiś zawód. Nie mam ani pieniędzy, ani posiadłości ziemskich, o co zatem chodzi z tym kapitalistą, hitlerowcem i tak dalej?

Tłumaczka przetłumaczyła to słowo w słowo.

Nie zdawali się mieć więcej zarzutów. Pułkownik zwrócił się zatem do jednego z kolegów i powiedział głośno po rosyjsku:

___ Co zrobimy zatem z *połkownikiem*? Nie jest członkiem SS ani policji. Podczas walk z partyzantami był już w Afryce. Ale nie chcę wypuścić jednego z tych „von”.

Jeden z oficerów KGB wtórował:

— Możemy oskarżyć go o kradzież jajek z rosyjskich wiosek i w ten sposób o sabotaż przeciwko rosyjskiemu narodowi.

To była ostatnia kropla. Wiedziałem, że nawet takie małe przewinienie to wyrok od dziesięciu do piętnastu lat w obozie karnym.

Wstałem i na początek powiedziałem jedno z najplugawszych rosyjskich przekleństw (niektórzy twierdzą, że najgorzej potrafią przeklinać Rosjanie i Węgrzy).

Spostrzegłem przerażenie na twarzy tłumaczki i zdziwienie na twarzach pułkownika i jego towarzyszy.

Tylko teraz i w ten sposób, myślałem, będę miał szansę na powrót do domu.

Po krótkiej przerwie, by zrobić wrażenie, powiedziałem zatem:

— *Pułkownik*, jesteś pułkownikiem tak jak ja (specjalnie użyłem przyjacielskiej formy zwracania się per ty). W czasie wojny wykonywałeś swój obowiązek tak jak ja. Obaj wierzyliśmy, że musimy bronić naszych ojczyzn. My, Niemcy, zapewne byliśmy zwiedzeni bardzo skuteczną,

swej niewinności, a nie sąd jego winy. Jak mam się bronić? Jeśli chcecie mnie tu zatrzymać, znajdziecie z łatwością powód. Zróbcie to więc szybko i pozwólcie mi pójść z powrotem spać.

Nastąpiła krótka szeptem prowadzona rozmowa między pułkownikiem i jego kolegami. Potem pułkownik powiedział:

— Mówicie po rosyjsku. Gdzie się nauczyliście tego języka?

Ton jego głosu był spokojny, niemal przyjazny.

— Interesowałem się rosyjskim językiem, rosyjską muzyką i rosyjskimi pisarzami jeszcze jako młody człowiek. Długo przed wybuchem tej parazywej wojny uczyłem się od rosyjskich emigrantów. W ciągu dziewięciu miesięcy służby w Rosji zdołałem podszkolić się w tym języku. Przyznaję się, że skorzystanie z pomocy tłumaczki było wybiegiem taktycznym.

Uśmiechnęli się na to, a moje położenie wydało mi się mniej beznadziejne.

Potem padło zaskakujące pytanie pułkownika:

— Co myślicie o Rosji i jej mieszkańcach?

— Widziałem wiele i nauczyłem się wiele w ciągu tych lat niewoli. Lubię wasz wielki kraj, lubię ludzi, ich gotowość do pomocy i ich miłość do ojczyzny. Myślę, że poznałem w części rosyjską mentalność i duszę. Nie jestem jednak komunistą i nigdy w moim życiu nim nie będę. Jestem rozczarowany tym, co pozostało z idei Marksa i rewolucji Lenina. Chciałbym, żeby nasze narody nauczyły się rozumieć wzajemnie mimo wielu różnic i dzielących nas ideologii. Oto moja odpowiedź na twoje pytanie, *pułkownik*.

Było to ryzykowne zagranie, ale czułem, że w mojej sytuacji najlepszą obroną był atak.

— Jeśli pozwolimy wam wrócić do domu — ciągnął pułkownik

— zostaniecie znowu żołnierzem i będziecie walczyć przeciwko nam.

Pokręciłem głową i odparłem:

— Chciałbym wreszcie powrócić do domu i pomóc w odbudowie

Wróciłem do mojego baraku. Koledzy jeńcy zebrali się natychmiast wokół mnie. Gdy opisałem im przebieg przesłuchania, wszyscy mówili:

___ Oszalałeś, pograżyłeś się. Będziesz musiał tu zostać.

Ja jednak inaczej myślałem o Rosjanach.

Następnego ranka przyszła tłumaczka:

_____ To było ryzykowne, *połkownik*, ale dobre. Myślę, że za imponowaliście pułkownikowi. Był on, jak i wy, oficerem frontowym, i lubi prostą mowę.

Dwa dni później wczesnym rankiem jeden ze strażników wywołał mnie z pryczy. Moi koledzy pożegnali mnie:

Wszystkiego dobrego, stary, gdziekolwiek się znajdziesz.

Na placu apelowym zbierali się więźniowie ze wszystkich baraków ze swoimi niewielkimi tobołkami zawierającymi osobiste rzeczy. Przy stole siedział rosyjski oficer z listą nazwisk, które kolejno wyczytywał. Wezwany podchodził do stołu. Tam słyszał albo „*Dawaj*”, które teraz oznaczało zwolnienie, albo straszliwe „*Niet*”.

Widzieliśmy pognęzione twarze tych, których odesłano z „*Niet*”, i nie śmieliśmy spojrzeć im w oczy. Byłem trzecim z wyczytanej grupy, która miała podejść do stołu. Gdy jeńiec przede mną usłyszał „*Niet*”, poklepałem go ze współczuciem po ramieniu.

Które słowo usłyszę? Było nim: „*Dawaj!*”.

Bardziej biegnąc niż idąc, pospieszyłem do bramy obozu. Wielki kamień spadł mi z serca. Nie śmieliśmy się odwrócić, bojąc się, że nas zapędzą z powrotem.

Czy to rzeczywiście znaczyło, że jesteśmy zwolnieni?

Przy bramie spotkałem tłumaczkę.

— *Domoj, połkownik*. Wszystkiego najlepszego.

Wciąż myślę o niej z wdzięcznością.

Potem pomaszerowaliśmy na stację, gdzie czekał na nas pociąg. Wciąż nie

Kilku cicho śpiewało, inni wyobrażali sobie pierwszą potrawę, jaką zjedzą, albo spotkanie po pięciu latach twarzą w twarz z żoną czy dziewczyną.

Wszyscy wiedzieliśmy, że gdy wrócimy do domu, będą to dla nas ponowne narodziny.

Moje myśli pobiegły do lat młodości, do bezpieczeństwa w domu rodziców i do tylu pięknych lat przed nadejściem Hitlera i wybuchem wojny. Z moich

Dorastanie 1911-1929

Pochodzę ze starej rodziny wojskowej, której korzenie sięgają XIII wieku. Zapisy klasztorne dowodzą, że moi przodkowie walczyli zwycięsko z Tatarami na Śląsku w 1213 r.* — i od tego czasu dodano im do herbu tatarską czapkę. Tradycja rodzinna nakazywała służbę w armii pruskiej. Nazwisko von Luck pojawiło się kilkakrotnie w listach Fryderyka Wielkiego. Oryginały dwóch z nich wiszą na ścianach mojego domu w Hamburgu. 29 maja 1759 r. podczas wojny siedmioletniej król napisał do „porucznika von Lucka”, każąc mu dowiedzieć się, co planował jego austriacki nieprzyjaciel:

„Mój drogi poruczniku von Luck. Jestem bardzo zadowolony z pańskiego raportu, ale musi pan teraz spróbować dowiedzieć się przy pomocy pańskich patroli, co austriaccy oficerowie, spostrzeżeni koło Hermsdorff, robili tam, czego szukali i o co wypytywali, dzięki czemu wkrótce dowiemy się, po co tam się znaleźli. To jedno jest pewne, że gdy wyruszyliśmy wczoraj, rozbili oni wiele namiotów nad Renhorn. Możliwe zatem, że z dominujących wzgórz koło Hermsdorff dostrzegli nasz obóz. Dowie się pan tego od mieszkańców Hermsdorff. Pozostaję z szacunkiem, pański król.

Reich Hennersdorff, 29 maja 1759 r.

(spisane przez sekretarza)

Własnoręczny dopisek Fryderyka II:

„Jego raport jest bardzo dobry, tylko (nieczytelne) dla szpiegów, gdy będzie ich miał (sobą), musi (ich) jutro przyprowadzić tutaj.

Podpisano F."

Dziesięć lat później, 13 października 1769 r., król poinformował swego „generała kawalerii von Zeitena”:

„Drogi generale kawalerii von Zeiten. Chociaż niechętnie udzielam oficerom moich huzarów zgody na ożenek, z powodu związanych z tym kłopotów, które w czasie wojny są niepożądane, mimo to skłonny jestem tym razem zgodzić się na ożenek kapitana kawalerii von Lucka z pańskiego regimentu, o którą to zgodę prosił pan w swym liście z 11 tego miesiąca. Pozostaję z szacunkiem, król.

Poczdám, 13 października 1769 r.”.

(List ten został podyktowany sekretarzowi i podpisany przez Fryderyka II).

W związku z taką tradycją rodzinną mój ojciec Otto von Łuck był wręcz dziwakiem, ponieważ był oficerem marynarki wojennej. Gdy urodziłem się we Flensburgu 15 lipca 1911 r., przebywał najednostce floty jako porucznik w chińskim porcie Cingtao — w świecie, który wówczas dostępny był jedynie marynarzom i kupcom.

Nasz dom we Flensburgu był pełen cennych pamiątek ze wschodniej Azji. Jedyne, które ocalały z tej kolekcji, są cenna chińska waza i japoński serwis do herbaty, który mój ojciec kazał zrobić po moim urodzeniu. Kilka lat temu japoński partner w interesach był pod wielkim wrażeniem herbaty podanej w filiżankach grubości skorupki jajka.

— Nic takiego już teraz nie robią — powiedział. — Kiedyś Japończycy wypływali łodzią na spokojne jezioro przed ich wypaleniem, by uniknąć kurzu w czasie ich malowania.

Mój ojciec po wybuchu pierwszej wojny światowej i po udziale w bitwie jutlandzkiej został przeniesiony do Akademii Marynarki we Flensburgu — Miirwik. Wśród wspomnień z dzieciństwa jednym z najszcześniejszych jest zabawa z młodszym bratem na okrętach wojennych stojących w porcie oraz

portowe. Gdy wracał do domu z uczelni, niekiedy wchodził w pełnym umundurowaniu na piętro na rękach, by się z nami przywitać.

Nasze pokolenie wrodziło się w pierwszą wojnę światową. Jako małe dzieci przeżywaliśmy ją do gorzkiego końca, do rewolucji i trudnych lat, jakie nastąpiły po niej. W odróżnieniu od drugiej wojny światowej podczas pierwszej walki toczyły się poza granicami Niemiec. O toczącej się wojnie świadczyły pogarszające się dostawy żywności, a rzeпа pod wszystkimi postaciami była podstawą naszych posiłków. Tęskniliśmy za racjami marynarzy na okrętach.

Na początku lipca 1918 r. blisko moich siódmych urodzin ojciec zmarł na gripę, którą przywiózł ze wschodniej Azji. Wraz z nim straciliśmy najcenniejszą rzecz w naszym życiu: wzór i partnera, którego wpływ na nas wciąż można zauważyć.

Wszystkich implikacji końca wojny i rewolucji 1918 r., która rozpoczęła się wśród marynarzy floty, oczywiście nie pojmowałem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego młodych podchorążych, których uczył mój ojciec, wlekli teraz po ulicach, krzycząc marynarze, którzy kiedyś byli naszymi przyjaciółmi. Dreszczyk emocji wywołał jeden czy dwóch kadetów, którzy uciekli i schronili się u nas na strychu.

Śmierć ojca odmieniła nasze życie. Matka musiała sprzedać dom. Zamieszkaliśmy w leżącym nieopodal gospodarstwie. Aby zapewnić nam utrzymanie w ciężkich czasach, matka ponownie wyszła za mąż. Nasz ojczym był kapelanem marynarki i nauczycielem w szkole kadetów.

Od tego czasu byliśmy wychowywani na modłę pruską. Nasze jasne włosy zostały krótko obcięte, łóżka zaś musiały być ścielone po wojskowemu. Spóźnienie oznaczało karę. Od ojczyma nauczyliśmy się, jak dbać o siebie i wykonywać wszystkie obowiązki domowe. Miało mi się to później bardzo przydać, zwłaszcza w niewoli.

stołu, wziąć do ręki słownik i przeczytać mu definicję użytego przeze mnie słowa.

W 1929 r. w wieku 17 lat zdałem *Abitur*, inaczej egzamin końcowy, który o mały włos by mnie ominął. Ojciec jednego z moich kolegów z klasy zawsze przysyłał po nas w weekendy swój samochód i szofera, jako że rodzina mieszkała poza Flensburgiem. Pewnego razu zdecydowaliśmy się na wycieczkę do niewielkiego kurortu nad zatoką, by spotkać się z naszymi sympatiami. Mieliliśmy na głowach uczniowskie czapki, paliliśmy papierosy i siedzieliśmy niedbale na tylnym siedzeniu, gdy wyprzedziliśmy dyrektora naszej szkoły, który odbywał swą sobotnią przejażdżkę. Nie tylko złamaliśmy ścisły zakaz palenia, ale do tego jeszcze nasz dyrektor musiał wdychać kurz z naszych opon. Rozpoznał nas i następnego dnia zostaliśmy wezwani do jego gabinetu.

— Wiecie dobrze, że palenie jest zabronione uczniom noszącym czapkę. Rada pedagogiczna zdecydowała, że nie zostaniecie dopuszczeni do *Abitur* z powodu niedojrzałości.

Mój kolega nie wyglądał na przejętego, ponieważ i tak przejąłby ojcowską fabrykę. Dla mnie jednak sprawa wyglądała inaczej — na szali leżała cała moja przyszłość.

Tradycja rodzinna oraz decyzja ojczyzna zobowiązywały mnie do zrobienia kariery oficerskiej. Zostałem wybrany jako jeden ze 140 spośród ponad tysiąca kandydatów do 100-tysięcznej armii. Odroczenie *Abitur* oznaczałoby zakończenie mojej kariery jeszcze przed jej rozpoczęciem.

Powiedziałem zatem ostrożnie:

— Panie dyrektorze, zostałem przyjęty do Reichswehry jako kadet, by służyć ojczyźnie zgodnie z tradycją rodzinną. Jeśli uniemożliwi mi pan przystąpienie do matury z powodu jednego papierosa, zniszczy pan moją karierę. Czy uważałby pan to za sprawiedliwe?

Reichswehra i mój nauczyciel Rommel

Zostałem przydzielony do pułku kawalerii na Śląsku, ale niespodziewanie przeniesiono mnie do Prus Wschodnich, do 1. Batalionu Zmotoryzowanego, co było gorzkim rozczarowaniem, ponieważ kawaleria stanowiła elitę armii, a ja uwielbiałem konie i jazdę konną. Wkrótce jednak zdaliśmy sobie sprawę, że siedem batalionów zmotoryzowanych Reichswehry miało stać się zaczątkiem późniejszych sił pancernych. Zgodnie z traktatem wersalskim Niemcy nie mogły mieć czołgów i opancerzonych samochodów rozpoznawczych. Dlatego też generał von Seeckt, dowódca Reichswehry, dość wcześnie zawarł tajną umowę z Rosją. Dzięki niej co roku młodzi oficerowie batalionów zmotoryzowanych byli wysyłani na trzy miesiące do rosyjskiego obozu szkoleniowego na Uralu, gdzie uczono ich taktyki jednostek zmotoryzowanych. Niestety, nie mogłem uczestniczyć w tym kursie, którego termin wyznaczono na 1933 r., ponieważ Rosjanie rozwiązali umowę po dojściu Hitlera do władzy.

Był to początek trudnego szkolenia.

Seeckt uczynił z Reichswehry „państwo w Państwie”. Była ona świadomie całkowicie odsunięta od polityki. Zaszczepiono jej zdrową świadomość narodową. „Dyktat” wersalski był uważany za narodową hańbę. „Polski Korytarz”, czyli dawne Prusy Zachodnie, który oddzielał Prusy Wschodnie od reszty Rzeszy, odbierano jako zabór niemieckiej ziemi.

Kryzys gospodarczy z lat 30., ciągle zwiększająca się liczba bezrobotnych (ponad 6 milionów w 1932 r.), złowrogi wzrost znaczenia partii komunistycznej i wreszcie coraz większa siła partii narodowosocjalistycznej

...wzmagała to niechęć do wojny. Zmianą tego w Reichswehry była

Nasi wschodniopruscy instruktorzy byli uznawani za szczególnie surowych. Słowo „dryl” było wprowadzane w życie w pełnym znaczeniu. Podoficerowie, którzy „leczyli” swoje kompleksy i „wyrównywali” niższy poziom intelektualny szczególnie zmyślnymi metodami, wybrali mnie i jeszcze jednego kadeta na obiekt swych praktyk. Za najmniejsze niedociągnięcie musieliśmy na przykład czyścić korytarze i toalety szczoteczką do zębów. Inną karą było cofnięcie weekendowej przepustki albo też pokonywanie toru przeszkód. Szczególnie makabryczny był „test odwagi”, który nasz instruktor wymyślił specjalnie dla nas. Pewnego wieczoru zostaliśmy wezwani do jego kwatery. Zdjął wówczas z szafki górną część czaszki, która jakoby należała do jego wuja i w której mieściła się zawartość pełnej butelki rumu. Musieliśmy wypić z niej do ostatniej kropli. Nie śmieliśmy zgłosić tego tyranizowania naszemu oficerowi szkoleniowemu.

Taki sposób szkolenia, mimo że nie wyrządzał nam żadnej krzywdy, był bezsensowny. Zdecydowałem wówczas, że będę traktował wszystkich powierzonych mi młodych żołnierzy inaczej, bardziej po ludzku.

Inne zajęcia szkoleniowe były jednak ciekawe i bardzo przydatne. Musieliśmy zdać egzaminy na wszystkie kategorie prawa jazdy, w tym na pojazdy gaśnicowe. Potem była intensywna praktyka w postaci jazd terenowych we dnie i w nocy oraz czterotygodniowy kurs w warsztacie samochodowym. Następnie musieliśmy zdać egzamin, by zdobyć certyfikat instruktorski.

Byłem szczególnie dumny, gdy pozwolono mi przez cztery tygodnie pełnić funkcję kierowcy naszego dowódcy kompanii. Miał on do swojej dyspozycji samochód, który dzisiaj jest poszukiwany przez kolekcjonerów, a mianowicie kabriolet mercedes z doładowaniem. Ponieważ byliśmy jedyną jednostką zmotoryzowaną w Prusach Wschodnich, miałem często okazję wozić dowódcę

* Obecnie Pionierskij w obwodzie kaliningradzkim (przyp. tłum.).

kurorcie nadbałtyckim, gdzie nasze konie umieszczono w pewnym gospodarstwie. Każdego ranka przed śniadaniem jeździliśmy wśród wydm, a potem w dół stromej skarpy, by pogalopować szeroką, pokrytą białym piaskiem plażą. Lata 1929-1932 spędzone w Prusach Wschodnich należą do najprzyjemniejszych w mojej karierze wojskowej.

W 1931 i 1932 r. podoficerowie udali się na dziewięć miesięcy szkolenia do szkoły piechoty w Dreźnie, by uzyskać promocję na młodszych oficerów.

Tam, w perle Saksonii, spotkałem po raz pierwszy Erwina Rommla. Był kapitanem, instruktorem piechoty i jednocześnie najpopularniejszym oficerem szkoleniowym. W pierwszej wojnie światowej odznaczył się w walkach przeciwko Włochom, za co otrzymał order *Pour le Mérite**. Gdy go poznałem, był wysokim, silnym, twardym czterdziestodwulatkim, w nienagannym mundurze z wysokim kołnierzem. Był obdarzony ciepłym i sympatycznym uśmiejchem. Opowiadał nam historie wojenne — słuchaliśmy każdego słowa — a jego książka *Taktyka piechoty* była dla nas biblią.

W Dreźnie po raz pierwszy spotkałem Kozaków Dońskich, emigrantów, którzy musieli uciekać z Rosji w 1917 r. Dlatego też wybrałem język rosyjski jako dodatkowy przedmiot w szkole piechoty. Mój nauczyciel, emigrant z krajów bałtyckich, wprowadził mnie w kolonię rosyjską. Emigranci wiedli żałosne życie, jednak wciąż zachowali swą narodową kulturę. Ich nestorem był książę Oboleński, czarujący dżentelmen ze starej dobrej szkoły.

Pamiętnym przeżyciem było rosyjskie przyjęcie wielkanocne u rodziny von Satin, z którą się zaprzyjaźniłem. Bratem pani von Satin był Rachmaninow, światowej sławy kompozytor i pianista. Często przyjeżdżał z Paryża czy Szwajcarii, by odwiedzić swą rodzinę. Na tym przyjęciu wielkanocnym był właśnie Rachmaninow. Jedliśmy i piliśmy herbatę z samowara, do której podano konserwowe wiśnie. Niespodziewanie Rachmaninow zasiadł do fortepianu i zawołał:

* *Ch. M. de la Motte, Les Mérites de la guerre, Paris, 1914, p. 100.*

brzmieniem języka rosyjskiego. Dwa lata spędzone z rosyjskimi przyjaciółmi oraz coraz lepsza znajomość języka pozwoliły mi zrozumieć po części rosyjską mentalność, co miało mi się bardzo przydać później w Rosji.

W 1932 r. zdałem egzamin na starszego podchorążego i po krótkiej przerwie w roli gościa w starej jednostce w Królewcu zostałem przeniesiony do 2. Batalionu Zmotoryzowanego w Kołobrzegu (Kolberg), pięknym mieście na Pomorzu położonym nad brzegiem Bałtyku.

Kołobrzeg, starodawny ośrodek handlowy, otrzymał prawa miejskie w 1207 r. Podczas wojny siedmioletniej był trzykrotnie oblegany przez Rosjan. Padł w 1761 r. W 1807 r. Gneisenau wraz z mieszkańcami miasta skutecznie bronił się przed Francuzami. Gdy Rosjanie nacierali przez Pomorze w 1945 r., Hitler i Goebbels wykorzystali historię Kołobrzegu, by zachęcić mieszkańców do jeszcze silniejszego oporu. Nakręcono film pod tytułem „Kolberg”, który był pokazywany we wszystkich kinach.

W 1932 r. to przyjemne miasteczko, z jego białymi plażami, domem zdrojowym i klubem, stanowiło oazę spokoju. Mieszkańcy byli niezwykle przyjaźnie nastawieni do wojska i — podobnie jak większość ludności Pomorza — bardzo konserwatywni, toteż narodowy socjalizm nie znalazł wielu zwolenników w tej głównie wiejskiej społeczności. Latem Kołobrzeg ożywał dzięki turystom, w zimie jednak był spokojny i senny. Nasz garnizon stanowił jedyny niespokojny element.

Jesienią zostałem awansowany na porucznika i wyznaczony do szkolenia rekrutów. Wspominając doświadczenia zebrane w Prusach Wschodnich, pouczałem moich podoficerów, by traktowali młodych ludzi po ludzku i, tak jak uczył mnie Rommel, przykładalem większe znaczenie do ćwiczeń w polu.

Nasza jednostka przygotowywała się do spodziewanego przeformowania w pancerny batalion rozpoznawczy. W 1933 r. po dojściu Hitlera do władzy niespodziewanie dostarczono nam nocą, w największej tajemnicy, pierwsze

kształciło się w siedem pancernych batalionów rozpoznawczych Wehrmachtu, który miał być rozbudowany. Generał Heinz Guderian został mianowany inspektorem wojsk pancernych armii. My, „zwiad”, przejęliśmy zadania i tradycje kawalerii.

Z radością obserwowaliśmy rozwój Wehrmachtu i nie dostrzegaliśmy chmur, jakie zaczęły zbierać się nad Niemcami. Podczas krótkich pobytów w Berlinie byliśmy oczywiście świadomi zmian, jakie zaszły od chwili przejęcia władzy przez Hitlera, ale Berlin wciąż był centrum kulturalnym i oferował całą gamę różnorodnych rozrywek skutecznie odwracających uwagę.

Na początku czerwca 1934 r. zaczęły krążyć plotki o knowaniach Róhma i innych wyższych przywódców SA. Doszło do próby sił między SA i SS oraz między SA a Wehrmachtem. W połowie czerwca zostaliśmy postawieni w stan gotowości i otrzymaliśmy poufne rozkazy marszu na Szczecin, stolicę prowincji, by zatrzymać lokalne kierownictwo SA — jeśli trzeba, używając siły.

30 czerwca 1934 r. rozpoczął się pucz Róhma. Ruszyliśmy na Szczecin. Błyskawicznie i na podstawie wątpliwych oskarżeń Rohm i wielu wyższych dowódców SA zostało aresztowanych i rozstrzelanych.

Nasza sytuacja zmieniła się po śmierci prezydenta Hindenburga i ostatecznym przejęciu najwyższej władzy przez Hitlera i jego partię, chociaż początkowo było to trudno zauważalne. SA (*Sturmabteilungen*, czyli oddziały szturmowe), na czele z byłym kapitanem Ernstem Rohmem, zdawały się próbować utworzyć drugą siłę obok Wehrmachtu. SS (*Schutzstaffeln*, czyli oddziały ochronne) zaczęły w tajemnicy zbroić się, by stać się wraz z gestapo instrumentem, który miał okazać się znacznie bardziej niebezpieczny niż SA i inne organizacje nazistowskie.

Rozbudowa Wehrmachtu 1934-1939

Działania Hitlera początkowo spotkały się z aprobatą społeczeństwa. Zdołał przecież rozwiązać problem sześciu milionów bezrobotnych. Budował autostrady i utworzył *Reichsarbeitsdienst* (Narodową Służbę Pracy). Okupowana przez aliantów Nadrenia została przejęta bez przelewu krwi. Uważaliśmy, że zamknięcie „wojujących” komunistów było słusznym posunięciem, przy czym nie używano wówczas określenia „obóz koncentracyjny”. Wypowiedzenie traktatu wersalskiego i wycofanie się Niemiec z Ligi Narodów wydawały się działaniem zgodnym z prawem i przywróciły narodowi niemieckiemu jego świadomość. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że autostrady wytyczano, mając na uwadze względy strategiczne, a Służba Pracy była zakamuflowaną organizacją paramilitarną.

Zaczęto dostrzegać zalety i wady odsunięcia Reichswehry od polityki. Nie rozumieliśmy po prostu związków między wydarzeniami. Gdyby na przykład dowództwo Wehrmachtu zrozumiało cele Hitlera, pucz Rohma byłby okazją do osadzenia go na miejscu i zażądania, by SA i SS zostały włączone do struktur partii narodowosocjalistycznej jako jednostki nieuzbrojone. Hitler jednak dostrzegł zagrożenie, jakie mógłby stanowić zbyt silny Wehrmacht, i w swoim czasie obsadził na stanowisku jego dowódcy oraz dowódców wszystkich rodzajów wojsk lojalnych oficerów. Naczelnym dowódcą został generał Werner von Blomberg, którego nazywaliśmy „gumowym lwem”, ponieważ zawsze ulegał kaprysom Hitlera, Góring zaś stanął na czele sił powietrznych.

Sprawa generała pułkownika Wernera von Fritscha jest doskonałym tego dowodem. Fritsch był silną osobowością. Mógłby zwrócić się

Niestety, dopiero potem okazało się, że oskarżenia były nieprawdziwe. Został więc, jak gdyby nigdy nic, pochowany ze wszystkimi honorami wojskowymi ja ko poległy w walce.

jego następcą generał pułkownik Walter von Brauchitsch był dla Hitlera także zbyt konserwatywny i antynazistowski. Został w następnych latach zastąpiony innym oficerem, podobnie jak von Głomberg. Czyszczenia w dowództwie Wehrmachtu rozpoczęły się już w 1934 r. po zabójstwie generała von Schleichera i oficerów SA podczas „nocy długich noży”. Przed 1933 r. Schleicher był krótko kanclerzem, wydawał się więc Hitlerowi bardzo podejrzany.

Zaczęła się „tysiącletnia Rzesza”.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że byliśmy instrumentem w polityce Hitlera i musieliśmy patrzeć, jak kościoły i Żydzi stali się celem ataków. Zafascynowani charyzmą i „osiągnięciami” Hitlera młodzi ludzie masowo napływali do Wehrmachtu. Większość pochodziła z Hitlerjugend albo ze Służby Pracy. Denuncjacje stały się codziennością. Oficerowie byli wydawani przez rekrutów, a rodzice przez dzieci, jeśli krytycznie wyrazili się o Hitlerze czy jego partii.

Jak członkowie narodu, z którego wywodzili się Goethe i Beethoven, stali się ślepymi niewolnikami takiego przywódcy i wpadali w histerię, gdy tylko przemawiał, na przykład na berlińskim stadionie. Uważam, że wszyscy ludzie gotowi są podążać za idolami i ideałami, jeśli będą pełni emocji. Chociaż każda epoka ma własnych idoli, ludzie, którzy ich oklaskują, pozostają wciąż tacy sami.

W 1936 r. zostałem przeniesiony z Kołobrzegu do Berlina, a dokładniej do Poczdamu — położonego pod Berlinem miasta z tradycjami.

3. Kompania 8. Pancernego Batalionu Rozpoznawczego, w której zostałem dowódcą plutonu, zajmowała koszary naprzeciwko dawnych koszar gwardii.

i elastycznych oddziałów. Początkowo nie cieszył się poparciem ze strony wielu konserwatywnych generałów, ale my, młodzi oficerowie, byliśmy nastawieni entuzjastycznie i uważaliśmy się za awangardę Wehrmachtu.

Guderian wizytował każdą kompanię, obserwował jej ćwiczenia, a potem omawiał swe pomysły z oficerami i podoficerami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że poza wyszkoleniem, wyposażeniem i nowoczesną techniką ważną rolę odgrywa także duch panujący w oddziale.

Na ćwiczenia przybywali pierwsi oficerowie rezerwy. W większości byli to uczestnicy pierwszej wojny światowej, ale także i młodzi rekruci, którzy kończyli służbę w stopniu porucznika rezerwy. Wśród nich był Franz von Pappen młodszy, syn byłego kanclerza i ambasadora w Turcji. Urodziłam się tego samego dnia w tym samym roku i wkrótce staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.

Von Pappenowie mieszkali we wspaniałej willi położonej w eleganckiej berlińskiej dzielnicy Tiergarten. Często byłem do nich zapraszany. Poznałem tam wielu interesujących ludzi, w tym ambasadora Francji Francois Ponceta. Poznałem tam także córkę ambasadora amerykańskiego, która była znana z tego, że okazywała wiele sympatii dla przedstawiciela Rosji.

Przeniesienie do Poczdamu było dla mnie bardzo korzystne, ponieważ miałem okazję do częstych wizyt w moim ukochanym Berlinie. Spędziłem tam trzy miesiące w 1932 r. i miałem wielu przyjaciół i krewnych. Berlin, „wygodna” stolica Europy, ze swym kontynentalnym klimatem i pełnymi polotu mieszkańcami — czego więcej potrzebuje młody człowiek?

Teatry, opery, słynni artyści, projektanci mody i wydawcy prasowi nadawali miastu ton. Niemieccy Żydzi, z których wielu było weteranami pierwszej wojny światowej i którzy często byli bardziej niemieccy niż Niemcy, odgrywali wiodącą rolę w życiu gospodarczym i kulturalnym Berlina. Gdy wielu z nich musiało uciekać lub znalazło się w obozach

byłych lotników. Bywał tu pilot doświadczalny Udet i późniejszy marszałek Erhard Milch, którzy często stawiali nam, biednym porucznikom, drinka. Czuję się najlepiej w niewielkim pubie przy Spittelmarkt, lokaluberlińskich taksówkarzy, którzy wpadali tam między kursami na szybkie piwo. Byli oni znani ze swego humoru i polotu. Za mieniłbym każde przedstawienie kabaretowe na ich opowieści o pasażerach.

Masze szkolenie było prowadzone bardzo intensywnie i koncentrowało się na dwóch aspektach. Z jednej strony poznawaliśmy technikę i uzbrojenie, z drugiej zaś ćwiczyliśmy starcia w polu.

Moja kompania motocyklistów, stanowiąca zmotoryzowaną piechotę osłaniającą dwie pancerne kompanie rozpoznawcze, była wyposażona w znakomite maszyny BMW 500. W większości miały one boczny wózek, później nawet mechanizm różnicowy. Powoli stawialiśmy się prawdziwymi artystami wjeździe na motocyklu. Jeździliśmy, także nocą, przez trudny, piaszczysty i zalesiony teren, zaś podczas dni otwartych mogliśmy demonstrować nasze umiejętności odwiedzającym, na przykład motocyklowe skoki na odległość, w czym jeden z moich podoficerów ustanowił rekord wynoszący 16 metrów. Robiliśmy także piramidę — na jednym motocyklu stawało 12 ludzi, oraz numer nazywany „zdalnie sterowany motocykl” — w wózku bocznym chował się żołnierz i kierował motocyklem za pomocą linek. Mogliśmy także brać udział w oficjalnych zawodach terenowych. W każdy weekend brałem udział w zawodach motocyklowych podobnych do dzisiejszych rajdów. Początkowo jeździłem sam, potem z kolegą, który siedział w wózku bocznym. Pewnego dnia uderzyliśmy w drzewo dokładnie w miejscu połączenia wózka i motocykla. Musiałem potem na kilka tygodni zrezygnować zjazdy, by wyleczyć zwichnięty obojczyk. Nauczyliśmy się mistrzowskiego panowania nad Pojazdami i potrafiliśmy strzelać podczas

i sanatorium leżącego w pobliżu słynącego z katedry miasta Wiirzburg w północnej Bawarii. Kissingen zapadło w zimowy sen po sezonie, toteż powitano nas radośnie jako ożywienie dla miasta.

Pierwsze przeżycia w mieście były dość ponure. W listopadową noc, nazwaną *Kristallnacht* (nocą kryształową), która okryła całe Niemcy hańbą, Heinrich Himmler oraz jego SS i SA uznały zamordowanie niemieckiego attache w Paryżu przez młodego Żyda za okazję do zniszczenia i podpalenia synagog i żydowskich sklepów w całym Niemczech.

Po raz kolejny dowództwo Wehrmachtu nie interweniowało. Hitler zdołał już umocnić swą władzę i otoczyć przychylnymi mu generałami, toteż wszystko, co mogliśmy zrobić, zajmując ostatnie szczeble w hierarchii, to zdystansować się od tych działań.

Nadal jednak pada pytanie zarówno w kraju, jak i za granicą, dlaczego Wehrmacht, a zwłaszcza jego kołpus oficerski i generałowie nie powstrzymali rozwoju sił narodowego socjalizmu i nie zahamowali, a przynajmniej nie ograniczyli niebezpiecznej „zabawy z ogniem” praktykowanej przez Hitlera.

Moim zdaniem przyczyny były następujące:

— stutysięczna armia, którą mogliśmy posiadać zgodnie z traktatem wersalskim, była świadomie szkolona jako apolityczna, w wyniku czego korpus oficerski nie miał żadnej motywacji do działania:

— początkowe sukcesy Hitlera (zlikwidowanie bezrobocia i zagrożenia komunistycznego oraz ponowne przyłączenie dawnych terytoriów niemieckich do Wielkiej Rzeszy) przywróciły pewność siebie narodowi niemieckiemu i rozwijającemu się Wehrmachtowi;

— młodzi ludzie, których powoływano do służby wojskowej, pochodzili głównie z Hitleijugend i innych organizacji narodo- socjalistycznych, mieli zatem odpowiednią motywację, jeśli nawet nie byli fanatykami;

— wierność złożonej przysiędze, którą kultywowano w korpusie

połączony z urzędem kanclerza w osobie Hitlera. W ten sposób naród niemiecki, a zwłaszcza Wehrmacht, stracił symboliczną postać, która powinna stać poza i ponad polityką. Dzięki swojemu autorytetowi Hindenburg lub jego ewentualny następca być może zdołałby zablokować kontrowersyjne decyzje polityczne.

Mimo wielu ostrzeżeń płynących z kraju i spoza niego oraz wbrew własnym przekonaniom niemiecki korpus oficerski dotrzymał złożonej przysięgi> chociaż musiał ją złożyć ponownie wobec Adolfa Hitlera.

Któż śmiałby samotnie w 1933 czy 1934 r. odmówić złożenia przysięgi na wierność Hitlerowi? Mogłoby dokonać tego tylko dowództwo wojskowe, gdyby tylko wykazało się większą przenikliwością polityczną i nie było omamione osobowością Hitlera.

Kolejna kwestia, która jest tematem dyskusji aż do dzisiaj, dotyczy zamachu na życie Hitlera zorganizowanego 20 lipca 1944 r. Dlaczego nie został dokonany wcześniej — przynajmniej na początku marszu na Rosję w 1941 r.? Z jednej strony Hitler był tak dobrze chroniony, że próba zamachu wcale nie musiała zakończyć się sukcesem. Z drugiej jednak grupa oficerów skupiona wokół grafa Stauffenberga, przywódcy spisku, czuła się związana przysięgą wierności i dopiero krytyczna sytuacja po lądowaniu aliantów w 1944 r. skłoniła ich do tego desperackiego czynu. Byli przy tym świadomi, że wokół Hitlera może narosnąć legenda i że kara, jakiej będą domagać się alianci, będzie się równać bezwarunkowej kapitulacji. Chcieli jednak zatrzymać Hitlera i oszczędzić narodowi niemieckiemu dalszych cierpień.

Nawet dzisiaj w Niemczech słychać głosy potępiające próbę zamachu iako

Europa w przededniu wojny: podróże i przeżycia

Chciałem podróżować w nieznanne mi strony. Chciałem posłuchać rady mojego starego nauczyciela matematyki, który rzekł mi kiedyś: „Podróżuj tak często, jak możesz i oglądaj swój kraj z zewnątrz. Poznawaj ludzi z innych krajów. Dopiero wówczas będziesz potrafił właściwie ocenić swą ojczyznę”.

W latach 1933-1935, gdy asygnowano jeszcze waluty obce, pojechałem do Pragi i Warszawy, czyli do miast leżących w krajach, w których nie znałem nikogo. Później, po 1937 r., gdy na każdą podróż otrzymywałem jedynie 15 marek, odwiedziłem kraje zachodniej i południowej Europy, w których miałem przyjaciół i mogłem żyć na zupełnie dobrym poziomie. Moje spotkania z innymi ludźmi, kontakt z innymi językami i kulturami potwierdziły słuszność rady mojego nauczyciela.

Praga, „Złote Miasto”, miejsce przenikania się kultury Wschodu i Zachodu, zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Podobnie jak słynne kurorty Karlsbad* i Marienbad** w całej swej krasie. W 1934 r. w Warszawie nie było jeszcze oznak napięcia. Otrzymałem wizę bez trudności, chociaż byłem młodym oficerem. Warszawa była bardzo frankofilskim miastem. Na obraz miasta wpływ wywarli francuscy architekci, wielu wykształconych ludzi mówiło po francusku. Ułatwiło mi to nawiązywanie kontaktów z mieszkańcami i mogłem zauważyć, że Polacy nie kochali ani nas, Niemców, ani też Rosjan.

Po podróżach do Skandynawii nastąpiły wyjazdy do Francji, która szybko stała mi się bliska. Moi dziadkowie mieli francuską guwernantkę, toteż w ich domu często słychać było język francuski. *Parier frangais* było wówczas oznaką szyku. Fascynował mnie wówczas nie tylko język francuski, ale przede wszystkim francuski sposób życia. Czer. Francuzów a zwłaszcza czer

rały mi dech w piersiach. Konsjerżowie, bistra, pieczywo, antykwiaryaty z książkami nad Sekwaną, malarze na Montmartre — tu tętniło życie. Można było usiąść z kimś przy winie i dyskutować

0 czykolwiek, a wszelkie zło wydawało się tak odległe.

Moje podróże do Anglii także bardzo mnie wzbogaciły. Brytyjczycy znaczą zapewne dla nas, północnych Niemców, więcej niż inne narody, a jako młody człowiek mogłem czerpać wiele z brytyjskiej tolerancji i brytyjskiego poczucia humoru. Gdy już przełamane zostały pierwsze lody, byłem pod wielkim wrażeniem ich serdeczności

1 gościnności. Co dawało im tę pewność siebie poza posiadany statusem światowego mocarstwa? Po pierwsze, były to ich odwieczne tradycje i jednoczący wpływ monarchii oraz rozwijana przez wieki demokracja.

Wryło mi się w pamięć jedno małe zdarzenie. Bankier w meloniku i z parasolem wpadł na ulicy na robotnika. Usłyszałem, jak bankier powiedział:

— Najmocniej przepraszam — przepraszając jako pierwszy. Nie do pomyślenia w Niemczech.

Pewnego dnia w południe byłem w Whitehall, by obejrzeć zmianę warty. Mężczyzna w znoszonym ubraniu poprosił mnie o ogień.

— Czy jest pan Francuzem? Mówi pan z akcentem.

— Nie, pochodzę z Niemiec.

Na to stwierdzenie zalał mnie potokiem słów:

— Byłem jeńcem w Niemczech od 1917 do 1918 roku. Umieszczono mnie wygodnie u rolnika. Proszę spojrzeć, to mój medal wojenny. Teraz jestem komunistą w tym przeklętym kraju, który nic dla mnie nie robi. Od miesięcy nie mam pracy. Ale u was? Hitler usunął z ulic bezrobotnych, wszystko jest dobrze zorganizowane, każdy ma co jeść.

Nie chciałem dać się wciągnąć w dyskusję. Uratowała mnie zmiana warty. Nadjechali kirasjerzy w swych lśniących pancerzach. Uwidocznili się cały

musiałem tyle czytać o podróżach Goethego do Włoch, że chciałem podążyć jego śladami. Toteż w 1934 r. zaplanowałem z przyjacielem trzytygodniową podróż po Włoszech. Przystosowaliśmy naszego *DKW* do spania, jako główną część bagażu załadowaliśmy dość kanistrów z benzyną, by móc przynajmniej dojechać do Rzymu i z powrotem, oraz tyle jedzenia, by uniezależnić się od zakupów.

We Florencji spotkaliśmy damę, która zaprosiła nas do swego domu na posiłek. Poprowadziła nas wąską uliczką i stanęliśmy przed frontem domu o odrapanych ścianach.

— *Ecco*, jesteście. Proszę wejść.

Czuliśmy się trochę nieswojo. Weszliśmy jednak na wewnętrzny dziedziniec. Dom, który z zewnątrz wyglądał tak smutno, okazał się jednym z *palazzo* pełnym dzieł sztuki i z bajecznym ogrodem. Był to dom *principesy*. W tym cudownym otoczeniu spędziliśmy wspaniały dzień.

Rzym — jego siedem wzgórz, Villa Borghese, Piazza Colonna, Bazylika św. Piotra — zadziwił nas, Prusaków, taką ilością piękna.

Podróżowałem także do Szwajcarii, ponieważ mieliśmy tam krewnych, rodzinę Zeppelinów. Szczególną atrakcją była jazda na nartach. W tamtych czasach wciąż używało się wiązań Kandahar, które nadawały się zarówno do biegania na nartach, jak i do zjeżdżania. Nie było jeszcze wyciągów. Trzeba więc było wspinać się godzinami, po czym w godzinę zjeżdżało się w dolinę po nietkniętym puszystym śniegu. Nasze przeżycia na nartach były jedyne w swoim rodzaju. Często wybieraliśmy się na całe dni wędrówki narciarskiej przerywane noclegami w górskich chatkach. W tym czasie można było jeszcze rozkoszować się spokojem i pięknem górskiego świata, ponieważ turystów było niewiele.

Na początku sierpnia 1939 r. ponownie, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, otrzymałem czternastodniowy urlop do Szwajcarii, chociaż krążyły już plotki o

została postawiona w stan gotowości. Wszyscy na urlopie musieli natychmiast powrócić do swoich garnizonów.

— Będzie zatem wojna — mówili przyjaciele.

Na nic zdały się moje próby ich uspokojenia. Pojechałem zatem z powrotem najkrótszą drogą do mego garnizonu w Kissingen, gdzie wszyscy byli w podniosłych nastrojach. Chociaż nie wierzyliśmy nropagandzie Josefa Goebbelsa, według której Polacy szykowali się do ataku na nas, chcieliśmy jednak powrotu korytarza i Gdańska do Niemiec. Nie sądziliśmy, że Polacy będą się bronić. Spodziewaliśmy się łatwych działań, takich jak rok wcześniej w Czechosłowacji. Nie byliśmy głodni wojny, ponieważ Wehrmacht nie był

Blitzkrieg: Polska 1939

Przygrzewało jesienne słońce, gdy nasza 2. Dywizja Lekka dowodzona przez generała Stummego wyruszyła z koszar. Jednym z jej elementów były dwa bataliony 7. Pancernego Pułku Rozpoznawczego. Z wierzchołka wzgórza spojrzeliśmy w tył, na Bao Kissingen i góry Rhön, w których zwykliśmy jeździć na nartach.

Oficjalnie mieliśmy wziąć udział w ćwiczeniach w warunkach bojowych. Chociaż na ciężarówki załadowano ostrą amunicję, nam wydano jedynie ślepe naboje.

Morale żołnierzy było dobre, a moje stosunki z kompanią znakomite. W marszu na wschód przeszliśmy przez Sudety i dalej przez Pragę w kierunku granicy Rzeszy w rejonie Gliwic. Po drodze mieszkańcy witali nas kwiatami i napojami.

— Jedziecie do Polski? — pytano nas.

— Oczywiście, że nie — odpowiadaliśmy. — Jedziemy na manewry.

26 sierpnia 1939 r. dotarliśmy skrycie nad granicę i zajęliśmy pozycję na plantacji. Niespodziewanie ślepe naboje wymieniono na ostrą amunicję. Nie było już żadnych wątpliwości — mieliśmy wkroczyć.

Musiałem teraz zrobić to, czego się nauczyłem, czyli pokonać nieprzyjaciela z możliwie najmniejszymi stratami własnymi. Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Wciąż mieliśmy poczucie, że jesteśmy na manewrach i pocieszaliśmy się myślą, że nie musimy obawiać się Polaków, ponieważ ich armia nie miała wielkiej wartości bojowej ani nie była tak dobrze wyposażona jak nasza.

31 sierpnia nadszedł rozkaz. Mieliśmy zaatakować rankiem 1 września o godzinie 4.50.

Nasze ciężkie karabiny maszynowe zostały umieszczone w ogrodzie należącym do Herr Augustina, który mieszkał w okolicy od jakiegoś czasu. Jego rodzice mieli fabrykę tekstylną w Łodzi, w centralnej Polsce.

___ Nie chciałby pan pojechać z nami? — zapytałem go. — Mówi an płynnie po polsku i przydałby się pan nam jako tłumacz przy przesłuchiwaniu jeńców, a także by ułatwić właściwe traktowanie ludności cywilnej.

Zgodził się. Bez wątpienia miał nadzieję ujrzeć ponownie swoich rodziców. Przebraliśmy go w mundur Wehrmachtu. Opaska na ramieniu informowała, że był ochotniczym tłumaczem.

O świcie nad granicą przeleciały nasze samoloty, by — jak nam powiedziano — zaskoczyć polskie lotnictwo na ziemi i zniszczyć możliwie dużą jego część. Było to dla nas wsparcie moralne. Słyszeliśmy też, że nasza flota ostrzeliwuje port w Gdańsku i że są tam wysadzane oddziały wojska.

Ruszyliśmy, zajmując miejsce w szyku pancernego batalionu rozpoznawczego. Granicy pilnował samotny celnik. Gdy zbliżył się do niego jeden z naszych żołnierzy, przerażony człowiek otworzył szlaban. Wkroczyliśmy do Polski bez oporu. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego polskiego żołnierza, chociaż mieli przecież się przygotowywać na inwazję Niemiec.

Rozrzuciłem moją kompanię. Nacieraliśmy pieszo na szerokim froncie. Dotarliśmy do pierwszej polskiej wioski. Wciąż żadnego polskiego żołnierza. Na rynku mieszkańcy powitali nas przyjaźnie, dali nawet pić.

Gdzie były polskie oddziały?

Wciąż czuliśmy się jak na manewrach, chociaż byliśmy 15 kilometrów w głąbi Polski. Patrole na motocyklach z wózkami bocznymi próbowały

wioska i las. Na szczycie wzgórza Polacy utworzyli linię obrony i otworzyli silny ogień z broni maszynowej i moździerzy. Odłamki pocisków gwizdały między drzewami. Na głowy zaczęły nam spadać gałęzie. Nasze żołądki skurczyły się. Często, oczywiście, ćwiczylismy w warunkach bojowych i mogliśmy w ten sposób przywyknąć do strzałów i eksplozji pocisków artyleryjskich, jak i do stukotu karabinów maszynowych. Zawsze jednak słyszeliśmy je w bezpiecznej odległości albo będąc w odpowiednim ukryciu.

Teraz byliśmy wystawieni na bezpośredni ogień nieprzyjaciela. Nie mogliśmy znaleźć żadnej osłony ani też okopać się, ponieważ mieliśmy atakować. Przyjęliśmy ugrupowanie do ataku. Samochody pancerne ruszyły naprzód tak daleko, jak to było możliwe, by osłaniać nas ogniem swych MG 34.

Niespodziewanie pocisk z karabinu maszynowego trafił stojącego niedaleko mnie szeregowego Uhla. Zginął na miejscu. Był pierwszym zabitym w mojej kompanii — widziało to wielu moich żołnierzy. Wszyscy się przestraszyli. Kto z nas miał być następnym? To już nie były manewry. To była wojna.

— Plutony 1. i 2., atakować! — krzyknąłem. — Pluton 3. w odwodzie, pluton wsparcia osłaniać ogniem!

Nikt się nie ruszył. Każdy bał się, że będzie następnym zabitym. Ja też. Każdy, kto mówi, że nie bał się w czasie swojego pierwszego starcia, jest kłamcą.

To do mnie, dowódcy kompanii, należało danie przykładu.

— Wszyscy za mną! — krzyknąłem i ruszyłem naprzód z pistoletem maszynowym.

Wyszkolenie wzięło górę, wszyscy podążyli za mną. Zyskaliśmy nieco terenu, ale potem zostaliśmy zmuszeni kryć się przed ogniem karabinów maszynowych i artylerii.

niej. Przed nami rozciągał się przerażający widok. Wokół opusz-
¹¹ czonych pozycji leżeli martwi żołnierze i konie. Porzucone domy Wciąż
płonęły- Widok ten dał nam przedsmak tego, co oznacza wojna. Pogodzenie
się z rzeczywistością wymagało pewnego wysiłku. Ruszyliśmy naprzód. W
zalesionym terenie nie było dróg — niemal uniemożliwiał działanie wozów
rozpoznawczych i czołgów. Przez dwa dni musieliśmy radzić sobie bez
kuchni polowych. Pojazdy nie były w stanie przedrzeć się fatalnymi drogami i
przez gęste lasy.

Naszemu marszowi przez wioski i miasteczka ponownie towarzyszył ten
sam straszny widok. Lotnictwo wykonało dużą pracę i w poważnym stopniu
zdemoralizowało Polaków. Mimo to polskie dywizje walczyły bohatersko.

Jak napisał potem mój ordynans Erich Beck: „Podziwialiśmy naszego
przeciwnika za jego dumę narodową i zaangażowanie. Zdobyli sobie nasz
szacunek. Słyszeliśmy, że pułk polskiej kawalerii wykonał szarżę na nasze
czołgi. Powiedziano im, że niemieckie czołgi były jedynie makietami z
tektury”.

Wszystkie mosty zostały wysadzone. Nasi saperzy dokonywali
nadludz^{ki}ch wysiłków przy budowie nowych. Polscy snajperzy ukrywali się
w stogach siana, w strzechach i trzeba było ich wykurzać pociskami
smugowymi. Wszędzie płonęły pożary.

W ciągu następnych kilku dni naszym celem były miasta: Kielce, Radom i
Łódź. Zagony pancerne doprowadziły do powstania pierwszych kotłów. Z
dowództwa dywizji dowiedzieliśmy się, że natarcie na szerokim froncie od
Górnego Śląska do Bałtyku czyniło szybkie postępy.

6 września natknęliśmy się na silny opór w pobliżu wioski na skraju
Łysogór. Po zaciętych walkach przy niewielkich stratach pokonaliśmy
nieprzyjaciela, którego siła wydawała się już ostatecznie złamana. Kraków
padł tego samego dnia. Na Warszawę zmierzały z zachodu ¹ Północnego

rynku. Zamówiliśmy kawę i ciastka, które bardzo nam smakowały po kilku trudnych dniach. Prusy Zachodnie i stare miasto Gdańsk nit były, jak się okazało, jedynym celem. Najwyraźniej cała Polska miała zostać zajęta i wymazana z mapy Europy. Co więcej, z udziałem Rosjan, z którymi Hitler podpisał niedawno pakt o nieagresji. Byliśmy zdziwieni, jak szybko propaganda Goebbelsa potrafiła zmienić ludzi o 180 stopni. Teraz Rosja była naszym sojusznikiem'

Otrzymał mi rozkaz oczyszczenia lasów, zabezpieczenia zajętego terenu i przygotowania się do ostatecznego uderzenia na Warszawę

Poszukując odpowiedniego miejsca na stanowisko dowodzenia kompanii, jeden z moich patroli odkrył duży wiejski dom położony w środku lasu. Udałem się tam i zostałem powitany przez czarującego starszego pana, który mówił płynnie po niemiecku i po angielsku. Był niegdyś ambasadorem polskim w Londynie*, na starość zaś wyprowadził się do swej posiadłości. Jego dom był pełen gości. W chwili wybuchu wojny schronili się tam znany pianista i inni artyści, mając nadzieję znaleźć tam bezpieczne miejsce. Lokaj zaprowadził mnie do pokoju gościnnego i — co miało smak groteski — zapytał o mój bagaż.

Gdy wydałem kompanii rozkazy i sporządziłem raport do dowództwa dywizji, pan domu zaprosił mnie na przechadzkę.

— Proszę posłuchać — powiedział. — Jakieś dwadzieścia kilometrów stąd mieszka mój dobry przyjaciel, który ma za żonę Niemkę^s ze Śląska. Martwię się o niego. Czy może pan dowiedzieć się, co się u nich dzieje?

W dalszej rozmowie zorientowałem się, że Niemka ta była moja daleką krewną. Uderzyło mnie, jak bezsensowna jest wojna, chociaż nie było od niej ucieczki. Obiecałem dowiedzieć się o jego przyjaciół.

* Autor musiał się pomylić, ponieważ postem, a następnie ambasadorem RP w Londynie w latach 1922-

Gospodarz zaprowadził mnie do swych psiarni, gdzie pokazał mi świeży miot irlandzkich seterów. Ich matkę przywiózł z Anglii. Podniósł jedno ze szczeniąt i powiedział:

—. Czy mogę dać go panu, by pocieszał pana w smutnych chwilach?

Wziąłem psiaka z radością i nazwałem Boy.

Tego wieczoru zasiedliśmy wszyscy wokół kominka w największym salonie, który sięgał aż do dachu domu. Gdy pianista grał Chopina, z oddali słyszeliśmy sporadyczną wymianę ognia. Tak oto siedziałem w przyjemnej atmosferze wśród przyjaznych ludzi, których kraj najechaliśmy.

Dowiedziałem się, że w sąsiednim miasteczku mieszkał najświetniejszy polski malarz animalista. Postanowiłem odwiedzić go następnego dnia. Jego prace bardzo mi się podobały, więc poprosiłem go o jedną z akwarel, która wyrażałaby ducha Polski. Następnego wieczoru przyniósł mi obraz. Przedstawiał pasterza na tle typowego polskiego krajobrazu prowadzącego na postronku starą szkapę *panje**. Obraz przetrwał wojnę i do dzisiaj wisi u mnie w domu, przypominając trudne, jak również i przyjemne chwile.

Tego samego wieczoru przybył patrol i zameldował, że przyjaciele mojego gospodarza są cali i zdrowi. Ten wyraźnie się uspokoił.

Wieczorem mój dowódca wydał rozkazy dotyczące dalszego nacierania na Warszawę. Następnego ranka opuściłem oazę spokoju z moją akwarelą i irlandzkim seterem.

Na odprawie przed kolejnym natarciem dowódca batalionu powiedział mi, że 3 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. Jak dotąd jednak, wbrew obawom, nie zaatakowały. Codzienny „Biuletyn Armijny” wspominał jedynie o kilku Pojedynkach artyleryjskich i zwiększonej intensywności prowadzenia

* *panje Pferd, Panjewagen* — niemieckie określenie koni i wozów chłopskich. Powstało w październiku

rozpoznania lotniczego. Ulżyło nam. Hitler najwyraźniej słusznie ocenił oba kraje. Brytyjczycy, o ile wiedzieliśmy, nie wysłali nawi na kontynent sił ekspedycyjnych.

Maszerowaliśmy teraz na Warszawę. We wschodniej części Polski nasza strona nie miała prowadzić żadnych działań. Najwyraźniej zostały zawarte odpowiednie umowy z Rosjanami. Oba pancerne bataliony rozpoznawcze zajęły pozycje na południe od Warszawy, w sadach owocowych.

9 września — po dziewięciu dniach wojny — większa część Polski leżącej w niemieckiej strefie wpływów znajdowała się w naszych rękach. Walki toczyły się jedynie w Warszawie. Pozostałe, jeszcze niezniszczone, elementy polskiej armii wycofały się do obrony stolicy, gdzie doświadczyły przez dwa tygodnie ciężkich bombardowań i ostrzału artylerii. 27 września miasto zostało wreszcie zajęte. Nie braliśmy już więcej udziału w walkach. Polska nie była zdolna do stawiania oporu. Używano nas jedynie do oczyszczania zajętego terenu.

Podczas jednego z rekonesansów, który prowadziłem w moim wozie terenowym z kierowcą Finkiem i ordynansem, w pobliżu wioski natknąłem się na młodą, ubraną w mundur Polkę. Skierowała w naszą stronę pistolet maszynowy, ale zanim zdążyła wystrzelić, obezwładniliśmy ją.

— Czy należy pani do batalionu kobiecego, czy jest pani partyzantem? — zapytałem po francusku.

Jej oczy były pełne nienawiści. Nic dziwnego, po wypowiedzeniu Polsce wojny. Zaprowadziła nas do domu, w którym leżał ranny polski oficer, jej mąż. Umieściłem oboje w moim samochodzie i przewiozłem do naszej drużyny medycznej, gdzie natychmiast zajęto się oficerem. Podziękowała nam potem.

— To wszystko takie smutne i beznadziejne. Dlaczego nie możecie zostawić nas w spokoju? Teraz przyjdą wasi sojusznicy, Rosjanie, których

czy był Boris von Karzov, którego później spotkałem w rosyjskiej niewoli. Dokonano nowego rozbioru Polski, co było kolejnym gorzkim aktem w historii tego kraju. 5 października odbyła się

w Warszawie w obecności Hitlera parada zwycięstwa. Nasza dywizja nie musiała brać w niej udziału. Wśród osób stojących obok Hitlera na trybunie był Rommel, wówczas dowódca oddziałów stanowiących osobistą ochronę Hitlera. Podczas walk odwiedzał on jednak ciągle front i był zafascynowany, jak potem powiedział, użyciem czołgów przez generała Guderiana. Wkrótce potem Rommel zdołał przekonać Hitlera, by ten dał mu dywizję pancerną.

Wojna polska zakończyła się dla nas. Kilku moich żołnierzy otrzymało Żelazne Krzyże II klasy, w tym dzielny dowódca plutonu karabinów maszynowych. Wkrótce potem awansowano go na sierżanta sztabowego.

Byłem szczególnie dumny z tego, że odznaczono krawca naszej kompanii. W Bad Kissingen zawsze przezywano go „nasz krawczyk”. W walce jednak ten drobny człowiek przechodził sam siebie. Zatrudniano go, podobnie jak kompanijnego szewca, jako łącznika między tyłami a pierwszą linią. Pod ciężkim ogniem, który zmuszał nas do krycia się, „nasz krawczyk”, ryzykując życie, prznosił rozkazy. Było to dla nas zupełnie nowe odkrycie, że ludziom silnym i wyglądającym na odważnych często w warunkach bojowych puszczały nerwy, podczas gdy uważani za słabych okazywali się silni i spokojni w niebezpiecznych sytuacjach.

Straty poniesione w ciągu dziewięciu dni działań były dość małe. Spośród moich dowódców plutonów porucznik von Furstenberg pozostał dłużej poza linią, lecząc ciężką ranę brzucha. Zabitych mogliśmy godnie pochować, niekiedy nawet z wojskowymi honorami.

Dni wypoczynku, które teraz nadeszły, bardzo się nam przydały. Miałem czas podziękować wszystkim żołnierzom mej kompanii.

— To dobrze, że nauczył nas pan szybko się okopywać — mówili miBez

Dostałem pozwolenie na wyjazd do Warszawy, którą miałem ponownie zobaczyć po wielu latach. Dzielnice zewnętrzne i przemysłowe bardzo ucierpiały od nalotów, centrum jednak w znacznym stopniu pozostało nietknięte. Polacy dobrze wiedzieli, jak radzić sobie z przeciwnościami losu, których tylu doświadczyli. Czuło się, że jako okupantów woleli nas, nie Rosjan. Niestety, wkrótce mieli zmienić zdanie.

Pod koniec września dywizję przerzucono z powrotem do garnizonów w Niemczech. Przeszliśmy ponownie przez Sudety do Bad Kissingen.

Okres przejściowy 1939-1940

Przyjęcie zgotowane nam w Bad Kissingen było oszołamiające. Mieszkańcy wylegli na ulice i zasypywali nas kwiatami. Naprzeciwko Domu Zdrojowego, już zamkniętego, stanął nasz dowódca, by odebrać defiladę batalionu. Było dużo śmiechu, gdy mój seter Boy siedzący w skrzyni ciężarówki głośno szczeakał na orkiestrę. Oczywiście, na przyjęciu znaleźli się cywilni dygnitarze. Ci nazistowscy funkcjonariusze szczylicli się naszym sukcesem, tak jakby był ich dziełem.

W następnych dniach wszyscy otrzymali przepustki. Wiele restauracji i barów zostało ponownie otwartych — dawano piwo za darmo. Sepp Huber, właściciel baru Hubera, wydobyl ze swoich piwnic butelkę bardzo starej szkockiej. Był to długi wieczór.

Podobnie jak większość z nas mieszkańcy myśleli, że wraz z rozstrzygnięciem polskiej kampanii wojna się skończyła. Francuzi i Brytyjczycy nie zaatakowali. Czy dojdzie do drugiego Monachium? Czy premierzy Daladier i Chamberlain ponownie spróbują porozumieć się z Hitlerem? Były to może marzenia, ale wydawało się, że bezkrwawy powrót do Rzeszy krajów zamieszkałych przez Niemców, okupacja Sudetów i Czechosłowacji oraz błyskawiczne wyzwolenie z małymi stratami Prus Zachodnich i Gdańska stanowi wyrównanie wszystkich krzywd traktatu wersalskiego. Miałem jednak wątpliwości. Zbyt głęboka była nienawiść, jaką Hitler żywił do Francuzów, przeciwko którym walczył w pierwszej wojnie światowej. Machina propagandy znowu pracowała pełną parą. Wspominano o Alzacji i Lotaryngii, które zostały zaanektowane po wojnach toczących się w latach 1870-1871 i 1914-1918. najpierw przez Niemcy, a potem Ponownie

pancerne. Naszą 2. Dywizję Lekką zreorganizowano i przeformowano w 7. Dywizję Pancerną. Rozkazem z 6 lutego 1940 r. dowódca dywizji został generał Erwin Rommel, mój instruktor piechoty z Drezna. Przejął dowodzenie dywizją w Bad Godesberg 10 lutego. Chociaż bardzo podziwialiśmy tego oficera, zastanawialiśmy się, czy piechur może dowodzić czołgami.

Wkrótce przekonaliśmy się o tym. Rommel zapoznał się dokładnie z taktyką oddziałów pancernych. Dywizji pozostawiono tylko jeden pancerny batalion rozpoznawczy — numer 37 pod dowództwem majora Erdmanna, który został naszym dowódcą. Podobnie jak wielu innych dowódców walczył on w pierwszej wojnie światowej. Szanowaliśmy jego doświadczenie bojowe i natychmiast poczuliśmy do niego zaufanie.

Dywizja otrzymała nowe, lepsze czołgi: *Pz III* z działem kalibru 50 mm oraz *Pz IV* z krótkim działem kalibru 75 mm były szybsze, lepiej uzbrojone i lepiej opancerzone. Otrzymaliśmy także lepszy pojazd rozpoznawczy — trzyosiowy samochód pancerny z działkiem kalibru 37 mm.

Przenieśliśmy się z Kissingen do małej wioski na północnym skraju gór Rhón. Zaczęło się intensywne szkolenie, które dodatkowo utrudniała wyjątkowo surowa zima. Rommel organizował ćwiczenia polowe w każdych warunkach pogodowych, także w nocy. Każdego dnia wizytował wszystkie jednostki i nalegał, by zawsze współpracowały w ramach jednej grupy bojowej *. W ten sposób czołgiści, artylerzyści i piechurzy poznawali się wzajemnie i uczyli się współdziałać. W ramach dywizji powstawały zgrane grupy bojowe, co później miało okazać się bardzo ważne.

Propaganda nasilała się. Hitler wyśmiewał się z Francuzów Coraz częściej wspominał o „wielkim Chruszki” a potem o „wielkim Baccaralaj” Czu-

* Siły dywizji pancernej dzielono zazwyczaj na grupy bojowe złożone z kilku batalionów wydzielonych z należących do dywizji pułków pancernych i zmotoryzowanych w ten sposób lepiej wykorzystując ich potencjał bojowy. Taktyka ta stosowana jest dziś dzisiaj (przyp. tłum.).

sobie i na naszej nowoczesnej broni, która wydawała się lepsza od

s

Zostały zorganizowane pierwsze dywizje pancerne SS. Ich załóżek

stanowiła *Leibstandarte Adolf Hitler* (przyboczna gwardia Hitlera) pod dowództwem Seppa Dietricha. Podejrzewaliśmy, nie bez racji, że Hitler zamierzał uczynić z Waffen SS przeciwwagę dla armii, zwłaszcza zaś dla konserwatywnego korpusu oficerskiego, i w żadnym przypadku nas to nie cieszyło. Himmler, najwyższy zwierzchnik SS chociaż odpowiadał za kadry i wyposażenie i dzięki swym wpływom pozyskał dla swych Waffen SS najlepszych ludzi, wszystkie oddziały SS pozostawały pod taktyczną kontrolą armii, dzięki czemu była to jeszcze współpraca, a nie rywalizacja. Z powodu braku doświadczonych dowódców do Waffen SS byli przenoszeni oficerowie z armii. Ku swemu zdziwieniu otrzymywali tam odpowiednie stopnie SS.

Surowa zima 1939-1940 przeminęła. Tymczasem Brytyjczycy zaczęli przerzucać do północnej Francji siły ekspedycyjne. Na froncie zachodnim wciąż panował jednak względny spokój.

W połowie lutego przerzucono nas do Demay nad rzeką Ahr, czyli prawie na front zachodni. Rommel wizytował wszystkie oddziały. Powiedział nam, że jest dumny, że pozwolono mu dowodzić dywizją pancerną. Przybył także Guderian, by przeprowadzić inspekcję i porozmawiać z nami.

— Jesteście kawalerią — powiedział. — Waszym zadaniem jest przełamać się i przeć naprzód.

Francja 1940

Na początku maja ruszyliśmy na zachód w stronę gór Eiffel. Rommel znajdował się z częścią dywizji na pobliskim poligonie w celu przeprowadzenia ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji. Wraz ze starszymi dowódcami i oficerami rezerwy, weteranami pierwszej wojny światowej, zastanawialiśmy się, co nas czeka.

— To nie będzie spacer, jak w Polsce — ostrzegali nas
— Francuzi i Brytyjczycy są zupełnie innymi przeciwnikami.

My, młodszy, odpowiadaliśmy, że nie może być i nie będzie wojny pozycyjnej, podobnej do tej z lat 1914-1918. Nasze siły pancerno były zbyt ruchliwe, a nasze nastawienie zbyt ofensywne. Wspominaliśmy Guderiana i błysk w jego oczach, gdy wyjaśniał nam swe zasady taktyczne. Rommel walczący w Alpach w pierwszej wojnie światowej dostosował się do działań manewrowych i był dla nas odpowiednim dowódcą.

Wieczorem 9 maja dowódcy kompanii zostali wezwani do dowódcy batalionu majora Erdmanna. — Jutro rano wkraczamy do Belgii. Opór na granicach musi zostać szybko złamany. Celem naszej 7. Dywizji Pancerniej jest Moza koło Dinant. Wraz z 5. Dywizją Pancerną stanowimy część Korpusu Pancernego generała Hotelara, który będzie nacierał w czołowiec przez Ardeny. Nasz batalion rozpoznawczy będzie miał zaszczyt prowadzić dywizję.

Ruszyliśmy 10 maja o godzinie 5.32. Belgijskie posterunki graniczne natychmiast wycofały się lub skapitulowały. Idąc wzdłuż północnej granicy

natychmiast jednak dostaliśmy się pod ogień broni ręcznej i ciężkiej artylerii-

Między nami pojawił się Rommel, takjak będzie to miało miejsce często w ciągu kolejnych tygodni, by osobiście zapoznać się z sytuacją. Przybył swym samochodem pancernym specjalnie wyposażonym w aparaturę radiową.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Zatrzymani przez ogień artylerii — odparliśmy.

— Pokażcie, skąd jest prowadzony ogień? — stojąc w swym samochodzie pancernym, studiował przez lornetkę przeciwległy brzeg. Był spokojny i opanowany; nie zdradzał żadnych oznak niepewności czy nerwowości. W ciągu paru minut podjął decyzję.

— Zostać na miejscu — rozkazał. — To robota dla piechoty.

Majowe słońce świeciło już mocno. U naszych stóp leżała spokojna dolina rzeki. Wkrótce dostrzeżliśmy pododdziały 7. Pułku Grenadierów Pancernych* schodzące w dół zbocza, którym towarzyszyli saperzy armii z gumowymi pontonami. Bardziej na południe, koło Dinant, ruszał 6. Pułk Grenadierów Pancernych.

Ledwie spuszczone na wodę pierwsze pontony, gdy rozpętało się piekło. Snajperzy i ciężka artyleria zbierały żniwo wśród bezbronnych żołnierzy w pontonach. Próbowaliśmy przydusić nieprzyjaciela ogniem czołgów i artylerii, ale jego pozycje były zbyt dobrze osłonięte. Piechota zaległa.

Rommel udał się do Dinant, by sprawdzić, czy drugi pułk odniósł większe sukcesy. Jednak i tam topiono ponton za pontonem.

— Dym — powiedział Rommel. Nie mieliśmy jednak pocisków dymnych. Rommel podjął wówczas kolejną ze swych błyskawicznych decyzji: podpalono pociskami kilka domów, które stały po nawietrznej. Pod osłoną dymu natarcie zostało wznowione.

Rommel wrócił do nas błyskawicznie i natychmiast zorganizował wsparcie

W ciągu nocy saperzy przeprawili na promach pierwsze czołgi Rankiem 14 maja wznowiliśmy uderzenie piechoty.

Rommel ponownie tam był. Nie potrafił wysiedzieć na swym stanowisku dowodzenia. Jego czołg dowodzenia został trafiony kierowca zjechał do rowu. Rommel został lekko ranny, jednak ruszy) pieszo naprzód w środku nieprzyjacielskiego ostrzału. — Czy Rommel jest niezniszczalny? — pytaliśmy się nawzajem. Jego postawa zrobiła wielkie wrażenie na wszystkich oficerach i żołnierzach. Jego przykład dał nam duże wsparcie.

Udało się wyłamać z przyczółka. Droga na zachód zdawała się otwarta. Nasz batalion rozpoznawczy przeprawił się przez rzekę i natychmiast ruszył z przyczółka na zachód.

— Przec naprzód, nie patrzeć w lewo czy w prawo, tylko naprzód W razie potrzeby osłonię wasze flanki. Nieprzyjaciel jest zdeorganizowany, musimy to wykorzystać — tak brzmiały nieortodoksyjne rozkazy Rommla.

Nadszedł pułk pancerny, a z nim specjalna jednostka saperów. Wspólnie udało się nam dokonać wyłomu we francuskiej linii, głębokiego na półtorej mili. Rommel ponownie był na linii frontu, pchając nas do przodu. Po zmroku zdobyliśmy już miasteczko Avesnes, a następnego dnia, 17 maja, osiągnęliśmy rzekę Sambrę, na której mosty były nietknięte.

Francuzi byli całkowicie zaskoczeni naszym żywiołowym natarciem i wycofali się do pewnego stopnia w stanie rozkładu.

— *La guerre est finie, je men fou* — słyszeliśmy okrzyki niektórych żołnierzy francuskich.

Co się stało ze sławną armią francuską, która w pierwszej wojnie światowej walczyła z nami tak dzielnie i jak równy z równym? Po pierwsze, sądziliśmy, że niezdojbyta Linia Maginota dawała im poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Po drugie, bez wątpienia nic docenili naszej mobilności i wartości bojowej. Nie wyciągnęli żadnych wniosków z blitzkrieg u w Polsce.

atakowali w czołówce samotnej dywizji. „Naprzód!” — brzmiały rozkazy. Około 18 maja nasz pułk pancerny wjeżdżał już do Cambrai, tego starego miasta, które zyskało w pierwszej wojnie światowej sławę jako miejsce, w którym Brytyjczycy po raz pierwszy użyli czołgów* — był to punkt zwrotny w wojnie.

Nasz batalion rozpoznawczy osłaniał natarcie czołgów z lewego skrzydła, więc raz za razem wpadaliśmy na fale wycofujących się francuskich żołnierzy, którzy w panice mieszały się z ludnością cywilną.

Reszta dywizji ciągnęła za nami. 20 maja został sforsowany ważny kanał St. Quentin. Tego wieczoru dowiedzieliśmy się, że Guderian z trzema dywizjami pancernymi, który parł naprzód na południe od nas, dotarł do Abbeville nad Sommą i znalazł się w ten sposób zaledwie 24 kilometry od wybrzeży kanału La Manche.

Gdzie znajdowali się Brytyjczycy, którym obecnie przypisywaliśmy większą wolę walki? Z jednej strony byli twardsi niż zdemoralizowani Francuzi, z drugiej zaś zostali przyparci do kanału, który oddzielał ich od baz na wyspach. Dla nich zwycięstwo było kwestią przetrwania.

20 maja dotarliśmy w rejon położony na południe od Arras. Po raz pierwszy jako wsparcie pojawiła się dywizja Waffen SS. Nacieraliśmy na kanał La Bassee. Rommel chciał za wszelką cenę obejść Arras od zachodu, by odciąć Brytyjczykom, którzy mieli znajdować się w okolicy, drogę do kanału. Po osiągnięciu i zablokowaniu przez nasze czołgi ważnej drogi prowadzącej z Arras na zachód rozpoczęła się dla naszej dywizji ciężka i krwawa bitwa.

* Autor się myli. Czołgów użyto po raz pierwszy rok wcześniej (15 września 1916 r.) nad Sommą, natomiast pod Cambrai 20 listopada 1917 r. po raz pierwszy użyto czołgów w sposób zmasowany (łącznie ponad 350 wozów jednocześnie) z wielkim powodzeniem (Przyp. tłum.).

w powietrzu, opuszki kilku palców zostały przestrelone i silnie krwawiły. Jak przypomina sobie mój ordynans Erich Beck: „Natych miast sprowadziłem samochód pancerny. Gdy próbowałem wciągnąć do niego szefa, osunął się mi z rąk. Mój Boże, pomyślałem, tym razem dostał porządnie. Następnego dnia jednak był z powrotem z nami, z ręką na temblaku”.

Grupy szturmowe przyprowadziły kilku jeńców, których przepytałem. Okazało się, że brytyjski batalion znajdujący się naprzeciwko nas należał do pułku *Grenadier Guards*. Jego dowódca był moim starym znajomym, z którym siedziałem przy stoliku w Marlborougli Club w Londynie krótko przed wojną. „Jakie to wszystko bezsensowne” — pomyślałem.

W ciągu nocy pokonaliśmy kanał na pontonach i przy słabym oporze zdołaliśmy utworzyć przyczółek na drugim brzegu. Saperzy musieli zbudować most, który wił się jak wąż po zatopionych barkach i lichtugach. Podczas krwawego forsowania kanału Rommel stał wyprostowany na nabrzeżu i kierował ogniem, podczas gdy koło niego żołnierze padali ranni lub nawet zabici. Dopiero gdy do akcji weszły stukasy (bombowce nurkujące *Ju-87*), forsowanie zakończyło się wreszcie sukcesem.

Tymczasem Brytyjczycy postanowili nie czekać na Francuzów, tylko wyprowadzić kontratak na wschód od Arras, na nasze prawe skrzydło. Uderzenie przyjął jeden z naszych pułków grenadierów pancernych. Nasze własne czołgi znajdowały się już wówczas na zachód od Arras, Sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna, toteż Rommel ponownie postanowił interweniować osobiście. Ku naszemu zaskoczeniu Brytyjczycy użyli nowego czołgu *Matilda*, który, choć wolny, był dobrze opancerzony, tak że nasze działka przeciwpancerne kalibru 37 mm były bezsilne. Rommel zrozumiał to natychmiast i sprowadził baterię dział kalibru 88 mm. Osobiście kierował ogniem tych dział tak, że zostało zniszczonych ponad 30 brytyjskich czołgów, a nieprzyjaciel się wycofał. Rommel nawet nie zauważył, że jeden z jego

wydać rozkaz przerwania działań. Rommel powiedział nam jednak: Muszę i wykorzystam sprzyjającą sytuację. Nieprzyjaciel

zaczyna

się wycofywać i nie można mu pozwolić na uporządkowanie się.

Wierzyliśmy mu, ufaliśmy i byliśmy tego samego zdania.

Ruszyliśmy ponownie naprzód z dwóch przyczółków i 27 maja dotarliśmy^w rejon na południe od Lille. Pułk pancerny poszedł w ciągu nocy nawet dalej i wczesnym rankiem mógł zablokować w Lomme ważną drogę z Lille do Dunkierki. Doskwierał nam kurz, który pokrywał pojazdy, a my mieliśmy takie uczucie, jakbyśmy cały czas przeżuwali czerstwy chleb.

28 maja Rommel znajdował się wraz ze swym czołgiem dowodzenia na stanowisku dowodzenia pułku pancernego, gdy niespodziewanie znalazł się pod silnym ostrzałem artylerii, którego kierunek wskazywał, że ogień mógł pochodzić jedynie z naszych własnych dział. Najwyraźniej posuwaliśmy się zbyt szybko. Łączność nie zawsze potrafiła nadążyć. Rommlowi towarzyszył, oczekując na nowe rozkazy, mój dowódca major Erdmann.

Erich Beck tak wspomina: „Mieliśmy właśnie jeść śniadanie, gdy przybył łącznik, wzywając mego szefa von Lucka na stanowisko dowodzenia Rommla. Potrzebowałem chwili, by wszystko zapakować.

— Beck, gdzie jesteście? — zapytał szef. — Muszę iść do generała. Gdy tylko dotarliśmy na przedmieścia miasteczka, w którym mieliśmy spotkać Rommla, znalazło się ono pod silnym ostrzałem artylerii. Przed jednym z domów leżał martwy mężczyzna. Był to nasz dowódca Erdmann. Rommel stał nieopodal i strzepywał pył ze swojego munduru. Wydawał się bardzo przejęty jego śmiercią. Stracił jednego ze swych starych i sprawdzonych podwładnych. Pomyślałem sobie: «Czy to nasz anioł stróż sprawił, że wyszliśmy kilka minut później?»».

Rommel zwrócił się do mnie.

" - Von Luck, przejmie pan natychmiast dowództwo 37. Pancernego

— Pan dowodzi, kropka. Jeśli dowódcy kompanii będą sabotować pańskie rozkazy, wymienię ich. — Było to kolejne z nieortodoksyj. I nych zagrań Rommla. Dla niego osiągnięcia znaczyły więcej ni? stopień czy starszeństwo.

Ubezpieczając swe prawe skrzydło, cała dywizja posunęła się na zachód od Lille. Brytyjczycy po nieudanej próbie kontrataku rozpo. częli operację „Dynamo”, czyli ewakuację przez Dunkierkę.

31 maja w samym Lille i w okolicach kapitulowała francuska dywizja. Brytyjczykom udało się przewieźć przez kanał La Manche do Anglii więcej niż 330 000 żołnierzy. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego pozwoliliśmy ujść tak wielu.

Jak donosił nasz wywiad, Francuzi po utracie rejonu na północ od Sommy oraz dywizji tam operujących utworzyli, najwyraźniej pospiesznie, nową linię obrony, którą nazwano od ich naczelnego dowódcy Linią Weyganda. Tymczasem na północny brzeg Sommy dotarły nasze dywizje piechoty, zabezpieczając naszą południową flankę. 7. Dywizja Pancerna, „widmowa dywizja”, jak z szacunkiem ochrzcili ją Francuzi, dostała kilka dni na odpoczynek w celu uzupełnienia strat w ludziach i sprzęcie.

2 czerwca Rommel został odznaczony osobiście przez Hitlera Krzyżem Rycerskim Żelaznego Krzyża. Był pierwszym dowódcą dywizji, który otrzymał to odznaczenie. Wręczając je, Hitler powiedział:

— Byliśmy bardzo zaniepokojeni, ale swym sukcesem udowodni) pan, że miał pan rację.

Dni odpoczynku bardzo się nam przydały. Mogliśmy pochować zabitych, w tym naszego dowódcę Erdmanna, z godnością i honorami wojskowymi. Do naszych rodzin wysłaliśmy pierwsze listy. Wizytowałem kompanie i dziękowałem im za ich trudy Więcej czasu spędziłem w mojej starej kompanii, którą obecnie dowodził sierżant sztabowy Werner Almus. Rommel zgodził się

wdzięczyli się za to. Ani razu nie usłyszeliśmy słów „*sale Boche*” parszywi Niemcy).

W ciągu tych dni otrzymaliśmy z całą pompą odznaczenia. Otrzymałem Żelazny Krzyż I klasy. Po odznaczeniu Krzyżem Rycerskim Rommel przybył z wysuniętej kwatery Hitlera w Char-leville i zwołał dowódców w celu wydania nowych rozkazów. Brzmiały one następująco:

___ Natarcia zakończyły się całkowitym sukcesem. Chodzi teraz o okrążenie Brytyjczyków i uniemożliwienie ich głównym siłom ucieczki na wyspy.

Nieprzyjaciel jest wystawiony na zniszczenie — kontynuował swym szwabskim dialektem. — Uderzymy naprzód przez Sommę na Sekwanę i nie będziemy przejmować się siłami przeciwnika, które wyprzedzimy i zostawimy po lewej i prawej. Naszym celem jest Sekwana, którą musimy osiągnąć pod Rouen jako prawe skrzydło korpusu. Postaramy się przy tym opanować mosty na Sekwanie nietknięte. Działajcie takjak dotychczas. Mam do was zupełne zaufanie.

5 i 6 czerwca ruszyliśmy w luźnym szyku przez płaski teren, unikając głównych dróg, którymi na południe przesuwały się kolumny cywilów i wycofującej się francuskiej 10. Armii. Dotarliśmy do Sommy i zajęliśmy mosty ku naszemu zaskoczeniu nietknięte. Batalion rozpoznawczy był zawsze na czele. Po nas posuwały się czołgi, potem pułki grenadierów, na końcu artyleria. Nie przejmowaliśmy się już nieprzyjacielem i nie traciliśmy czasu na branie jeńców. Na drugim brzegu Sommy niespodziewanie natknęliśmy się na opór, czyli na Linie Weyganda.

Kazałem motocyklistom zaatakować ze wsparciem ogniowym, znajdowałem się przy nich i musiałem kryć się, gdy znaleźliśmy się pod ciężkim ogniem artylerii. Usłyszałem wówczas za sobą: Kapitanie, pańskie śniadanie.

— Wiem, ale głodny dowódca robi się nerwowy. Czuję się za pana odpowiedzialny — powiedział i ruszył z powrotem przez nieprzyjacielski ogień.

Żołnierze wokół mnie, którzy kryli się, jak mogli, tylko pokręcili głowami i uznali za zupełnie sprawiedliwe, że przypiętem później temu człowiekowi Żelazny Krzyż II klasy.

Linia Weyganda została przełamana ze wsparciem czołgów i artylerii. W ciągu zaledwie dwóch dni przebyliśmy około 100 kilometrów otwartego terenu i 7 czerwca dotarliśmy do Sekwany koło Rouen. Luftwaffe wykonała tam niezłą robotę. Już z daleka mogliśmy dostrzec wiszące w powietrzu chmury czarnego dymu. Ze wzgórz na południowym skraju Rouen mogliśmy dostrzec płonące zbiorniki ropy w porcie, ale także mosty na Sekwanie, z których jeden został wysadzony. Zgłosiłem to Rommlowi, który nakazał utrzymać wzgórze do otrzymania nowych instrukcji.

— To będzie trudna przeprawa — pomyśleliśmy wszyscy.

Następnego dnia przyszedł nowy rozkaz: „Dywizja porzuci Sekwanę i skieruje się na zachód, by dotrzeć do wybrzeża kanału na północ od Hawru. W portach między Hawrem a Dieppe mają znajdować się jeszcze oddziały brytyjskie oczekujące na ewakuację”.

8 i 9 czerwca parliśmy na zachód w kierunku wybrzeża kanału. Francuzi i Brytyjczycy osłaniali planowaną ewakuację naprędce utworzonymi liniami obronnymi.

Otrzymałem wówczas od Rommlajedno zjego nieortodoksyjnych. szalonych zadań. Gdy mój batalion osiągnął wieczorem 8 czerwca swój pierwszy cel, po drodze przedzierając się prosto przez francuskie kolumny, nie przejmując się — zgodnie z rozkazem Rommla — jeńcami ani oporem na skrzydłach, przybył on na moje stanowisko dowodzenia, usiadł za stołem i pochylił się nad mapą.

Mój zwiad donosił tymczasem, że alianci utworzyli 5 kilometrów na zachód silną pozycję z działami przeciwpancernymi. Było dal mnie oczywiste, że nie zdołam dotrzeć do celu moim lekko uzbrojonym batalionem rozpoznawczym. Znałem jednak Rommla i wiedziałem, że wyznaczał on cele tak dalekie, jak to możliwe, i że nie tolerował sprzeciwu, ale oczekiwał od swych podwładnych wypełniania rozkazów tak dobrze, jak po- trafili (Wiele razy potem byłem świadkiem — zwłaszcza w Afryce północnej — jak podwładni sprzeciwiali się jego rozkazom, które często wydawały się niemożliwe do wykonania, i byli natychmiast zastępowani kimś innym). Nie zgłaszając więc obiekcji powiedziałem:

1- Generale, zrozumiałem zadanie. Jak widzę na mapie, wzgórze, które mam zająć, znajduje się tylko 10 kilometrów od miasta. Może więc ruszę od razu dalej do kanału? Moglibyśmy się wtedy przynajmniej wykapać.

Rommel roześmiał się. Lubił taką postawę swoich podwładnych. Zebraliśmy się zatem następnego ranka i, jak można się było spodziewać, natknęliśmy na silną obronę przeciwpancerną, której nie mieliśmy czym zaatakować.

Zdołaliśmy przesunąć się zaledwie 0 5 kilometrów. Doniosłem o tym Rommlowi. Wkrótce potem przybył do nas i osobiście zapoznał się z sytuacją.

- Natychmiast zorganizuję ostrzał artylerii i każę przebić się czołgom. Potem niech pan idzie dalej, zgodnie z rozkazami.

Oczy stojących wokół żołnierzy lśniły. Wierzyli w Rommla i wiedzieli, że nie wydałby on rozkazu, który niepotrzebnie narażałby ich życie.

Taktyka Rommla podziałała — przedarliśmy się i wznowiliśmy marsz. 9 czerwca osiągnęliśmy wybrzeże. Rommel wysłał do kwatery głównej swój słynny sygnał: „Jestem nad morzem”. Dalej na południe leżał mały port St. Valery sur Mer, w którym według rozpoznania lotniczego, wciąż znajdowały

Gdy Rommel wraz z resztą dywizji nacierał na St. Valery, gdzie natknął się na duży opór, dla mojego batalionu rozpoznawczego zaczął się jeden z najdziwniejszych, niemal zabawnych wręcz epizodów kampanii francuskiej. Z wysuniętymi wozami rozpoznawczymi, w celu uniknięcia niespodzianek, posuwaliśmy się drogą wzdłuż krawędzi klifu około 30 kilometrów na południe. Nie napotkaliśmy oporu. Nawet nie było ruchu cywilnego.

Do wieczora 9 czerwca znaleźliśmy się na wzgórzach na północ od Fecamp. Posuwaliśmy się cicho, ponieważ nikt nie miał dowiedzieć się o naszej obecności. Musieliśmy wykorzystać element zaskoczenia.

Mogliśmy dostrzec mały port, w którym stały dwa brytyjskie niszczyciele. Oczekiwały na ewakuację. Mogliśmy dostrzec promenadę z pięknymi willami i, jak sądziliśmy, kasynem. W porcie i na ulicach mogliśmy zauważyć sporą aktywność nieprzyjaciela. Francuzi

i Brytyjczycy zdawali się szykować do wejścia na okręty. Ku naszemu zaskoczeniu ani port, ani miasteczko nie były osłonięte posterunkami na wzgórzach. Najwyraźniej nikt nas się nie spodziewał. Wieczne słońce skąpało ten piękny kurort w łagodnym świetle.

Pamiętając o stosunku sił i obecności dwóch niszczycieli, obmyśliłem na następny poranek plan, który omówiłem wieczorem z dowódcą kompanii oraz mojej baterii 88 mm.

— Wzgórza nad Fecamp zostaną zajęte przez motocyklistów, samochody pancerne będą się trzymać z tyłu, by mogły interweniować w razie potrzeby. Kompania wsparcia wesprze motocyklistów. Osiemdziesiątki ósemki staną na klifie tak, by mogły ostrzeliwać niszczyciele zarówno w porcie, jak i na morzu, gdyby z niego wyszły. Żadnych głośnych rozkazów, żadnych niepotrzebnych ruchów pojazdów.

Posłałem po Kardorffa, mojego adiutanta. Kardorff mówił płynnie po francusku, ponieważ uczył się do francuskiej szkoły w Berlinie

Kardorff wyruszył wczesnym rankiem. Widzieliśmy go, jak zniknął między zabudowaniami. Czy mój blef się powiedzie? Po krótkim czasie Kardorff powrócił.

Mer i francuski komendant wydają się zgadzać, ale Brytyjczycy odmówili'

Co teraz? Nie mogłem stracić twarzy, toteż musiałem grać dalej.

Przed 10.00 wezwałem ponownie Kardorffa.

Proszę pójść jeszcze raz do miasta i powiedzieć merowi, że chciałbym oszczędzić jego piękny kurort. Może zechciałby dla swych mieszkańców użyć swego wpływu na alianckich dowódców. Nie ma innego wyjścia poza niepotrzebnymi stratami. Jeśli garnizon odmówi kapitulacji, otworzę w południe ogień na miasto ze wszystkich dział i wezwę Luftwaffe, by je zbombardowała.

Kardorff ponownie udał się do miasta i ponownie powrócił z odmową. Posłałem po dowódców kompanii i baterii 88 mm.

— Będziemy musieli dotrzymać słowa i otworzyć ogień na miasto dokładnie w południe — powiedziałem.

Oprócz osiemdziesiątek ósemek miałem jedynie działka przeciwpancerne kalibru 37 mm, 20-milimetrowe działka samochodów pancernych oraz karabiny maszynowe motocyklistów. Dlatego też moje rozkazy brzmiały: „Punktualnie o 12.00 otwarty zostanie ogień ze wszystkich luf, w tym pistoletów sygnałowych, by udawać, że jesteśmy silniejsi niż w rzeczywistości. Osiemdziesiątki ósemki spróbują zapalić niszczyciele. Celować w wieże działowe i pomosty”.

Rozpoczęły się przygotowania. Byliśmy w dziwnych nastrojach. Nikt nie chciał niszczyć słynnego kurortu. O 11.30 na wzgórzu przybył cywil. W rękę trzymał białą szmatę. Przyrowadzono go do mnie.

— Co się dzieje w mieście, *monsieur*? Dlaczego wasz mer nie podda

Dodałem dwa do dwóch i zapytałem, czy to w tym klasztorze robi się słynny likier benedyktyński?

— Tak, to właśnie to miejsce — odparł.

Posłałem zatem ponownie po dowódców i postawiłem dalsze rozkazy: „Klasztor, ratusz i kasyno mają być nietknięte. Skoncentrujcie ogień na porcie i radiostacji. Osiemdziesiątki ósemki zniszczą najpierw radiostację, a potem skoncentrują ogień na niszczycielach”,

Szczęście było po naszej stronie. Kilka minut po dwunastej nad miasteczkiem przeleciał dywizjon Luftwaffe, najwyraźniej w drodze do Anglii. Jedna z maszyn w dodatku zrzuciła trzy bomby, czy omyłkowo, czy też na niszczyciele — nie wiedzieliśmy. W tej samej chwili dałem rozkaz: „Ognia!”. Dość nieskuteczny, lecz mimo to intensywny ostrzał spadł na port, przypominając fajerwerki. Nie mogliśmy się nie śmiać, widząc tło z zielonych, czerwonych i żółtych pocisków trasujących.

Niespodziewanie nad ratuszem została podniesiona biała flaga Kapitulacja! Niszczyciele wyszły pełną parą z portu i zaczęły ostrzeliwać nasze pozycje. Trafionych zostało kilku żołnierzy, zanim osiemdziesiątki ósemki zdołały trafić w jeden z niszczycieli, który osłonił się zasłoną dymną.

Natychmiast rozkazałem przerwać ogień i wezwałem Kardorffa.

— Pójdziemy teraz obaj do miasta i uzgodnimy warunki jego poddania się.

W tym momencie pojawiły się lecące ku nam dwa bombowce *Wellington*. Osiemdziesiątki ósemki natychmiast otworzyły ogień. Jedna z maszyn spadła w płomieniach. Załoga wyskoczyła na spadochronach i wylądowała prosto na naszych pozycjach.

— Macie szczęście — przywitałem ich. — Zostaniecie na razie tutaj ze mną.

Następnie ruszyliśmy samochodem pancernym do miasta, gdzk' mer

W ciągu tych wszystkich tygodni rzadko widziałem tak wdzięcznego i zaskoczonego francuskiego mera. Pozostałem z nim, Kardorffazaś wysłałem na wzgórze, by przyprowadził dowódców kompanii. Rozkazałem obsadzić wzgórze na południu, wyłączyć radiostację i wysłać na południe patrole rozpoznawcze. Miasteczko miało zostać hermetycznie zamknięte ze wszystkich stron. Połowa żołnierzy każdego oddziału miała dostać kilka godzin wolnego, by wykąpać się w morzu i zrobić zakupy następnie druga połowa. Zgłosiłem Rommlowi przez radio, że Fecamp zostało zajęte z małymi stratami wynoszącymi tylko sześciu ludzi i że wzięliśmy do niewoli wielu Francuzów i Brytyjczyków, niemal 200 żołnierzy i że zabezpieczyliśmy się od południa.

Rommel odpowiedział przez radio:

— Brawo, von Luck. Jest pan odpowiedzialny za miasto. Moje ultimatum skierowane do St. Valery zostało odrzucone. Przygotowuję bombardowanie miasta i atak czołgów.

Następnego dnia Rommel przekazał również przez radio:

— St. Valery skapitulowało. Wzięto kilku generałów, w tym dowódcę 51. Dywizji Highland i tysiące jeńców. Dywizja ma dzień lub dwa odpoczynku.

Nie posiadaliśmy się z radości. Impuls nakazał mi zapytać Rommla przez radio:

— Czy może mi pan przysłać orkiestrę dywizyjną? Mieszkańcy są wdzięczni i przyjaźni. Dodatkowo zamknąłem miasto ze wszystkich stron, także dla niemieckich gości, poza panem, oczywiście. Czy mam pańską zgodę?

Rommel zrozumiał tę szczyptę humoru. Był w dobrym humorze po sukcesie i zgodził się zarówno na przysłanie orkiestry, jak i na zamknięcie miasteczka.

Wraz z merem i adiutantem zwiedziłem kurort. Najpierw obejrzelśmy

wstydem muszę przyznać, że jednym z głównych powodów dla którego oszczędziłem klasztor, był benedyktyński likier. Gdy zeszedliśmy do piwnic, zobaczyłem tysiące butelek i znaczną liczbę starych beczek.

— Czy słynny benedyktyński likier pochodzi z tych piwnic?

— zapytałem niewinnie.

— Tak, właśnie tak i aby okazać moją wdzięczność, chciałbym każdemu z pańskich ludzi ofiarować butelkę.

Opat zbladł, gdy mu powiedziałem, że mój batalion liczy 1100 żołnierzy. Dotrzymał jednak słowa. Od tego czasu zawsze piję likier benedyktyński ze szczególnym szacunkiem.

Po południu 12 czerwca, zapewne jedyny raz w czasie całej kampanii, niemiecka orkiestra dała koncert na wolnym powietrzu i przed kasynem. Francuscy i niemieccy żołnierze przechadzali się promenadą i byli szczęśliwi, że bitwa o Fecamp przebiegła tak bezkrwawo.

Poinstruowałem mojego hotelarza łącznika, który dostarczył mił śniadanie, by zrobił zakupy i przygotował na wieczór posiłek w kasynie. Był w swym żywiole. Potem pojawił się mer z oficerem, którego U-Boot został zatopiony w kanale. Tylko on został wzięty do niewoli przez Francuzów.

— W podnieceniu wczorajszego dnia zapomnieliśmy, że ten pan był w naszym więzieniu — usprawiedliwił się mer.

Tego wieczoru przy zastawionym stole usiedli oficerowie mojego batalionu, dowódca baterii 88 mm, niemiecki oficer U-Booty oraz załoga brytyjskiego bombowca *Wellington* i mer Fecamp.

15-16 czerwca ponownie ruszyliśmy w drogę. Hawr pozostawiono w spokoju, gdyż miał zostać zajęty przez inne jednostki. Rommel powiedział, że mamy teraz przekroczyć Sekwanę. Utworzono silne przyczółki, mosty zostały odbudowane. Naszym celem była tera/ baza marynarki w Cherbourgu, która została zamieniona w twierdza Miała stać się ważną bazą dla naszej floty.

Przekroczyliśmy Sekwanę 17 czerwca i runęliśmy przez Normandię w

Rankiem 18 czerwca znaleźliśmy się pod zewnętrznymi fortami Cherburga. Rommel natychmiast wezwał stukasy, które bombardowały fort po forcie. 19 czerwca, podczas formalnej ceremonii, francuski komendant poddał twierdzę. Rommel był bardzo uprzejmy i potraktował garnizon z honorami. Wierzę, że ten uczciwy stosunek, jaki miał zawsze do pokonanego nieprzyjaciela, zaskarbił mu szacunek

że za granicą.

Rommel był już wówczas nieco próżny, lecz nie chcieliśmy tego zauważać. Zawsze miał pod ręką aparat fotograficzny, by uwiecznić wszystkie ważne sytuacje. Otrzymał później reprimendę, ponieważ w jaskrawy sposób „poprawił” swoje osiągnięcia. Krytyka jego ohy wynikała jednak przede wszystkim z jego niekonwencjonalnego sposobu zwodzenia oraz z zazdrości niektórych wyższych oficerów. Zgodnie z relacją Rommla dywizja w ciągu sześciu tygodni wzięła 97 548 jeńców kosztem 1600 zabitych i rannych. Z pewnością mogliśmy być z tego dumni.

Nie zatrzymaliśmy się w Cherbourgu, ale natychmiast ruszyliśmy na południe przez Bretanię w kierunku Rennes i Nantes nad Loarą. Wzięty do niewoli kapitan francuski powiedział Rommlowi, co przetłumaczyłem, że marszałek Petain zaproponował zawieszenie broni. Mimo to parliśmy dalej na południe, by, jeśli to możliwe, opanować całe wybrzeże atlantyckie. St. Nazaire i La Rochelle wpadły w nasze ręce. Praktycznie nie stawiano nam już żadnego oporu. Strumienie uchodźców z wolna znikły. Wyglądało na to, że pół Paryża uciekło na południe, ku wybrzeżom Morza Śródziemnego i Bordeaux. 21 czerwca podpisano w Compiègne zawieszenie broni. Początkowo nie dowiedzieliśmy się niczego Jego warunkach.

Szliśmy dalej na południe.

- Naszym celem jest Bordeaux — stwierdził Rommel.

— Zabezpieczy pan teren obok rzeki ze swym batalionem — rozka zał Rommel. — Proszę dać swym ludziom czas odpocząć. W momencie zawieszenia broni kampania francuska jest już zakończona i wygrana

Rozmieściłem na północnych podejściach do mostu patrol wozów pancernych i kilku motocyklistów. Moi ludzie wypoczywali, zachowywali się przy tym wzorowo wobec okolicznych mieszkańców

Przeżyłem tam ostatni, tym razem zabawny, epizod w kampani, francuskiej. Drugiego dnia naszego „pilnowania mostu” pojawił się łącznik, mówiąc:

— Kapitanie, przybył francuski pułkownik z białą flagą i chce rozmawiać z lokalnym dowódcą.

Ruszyłem z nim. Powitałem uprzejmie pułkownika i zapytałem, czego sobie życzy.

— *Mon capitaine* — powiedział. — Generał Weygand, szef francuskiego Sztabu Generalnego prosi, by do Bordeaux przysłano upoważnionego oficera, by poczynić przygotowania do wycofania rządu tymczasowego marszałka Petaina i poddania miasta Wehrmachtowi. Wasz oficer będzie współpracował z generałem Weygandem i merem. Otrzyma biuro w gmachu okręgu wojskowego i mieszkanie w Grand Hotelu. Czy zechciałby pan niezwłocznie uzgodnić tę sprawę z pańskim dowódcą dywizji lub korpusu? Mair instrukcję, by poczekać tu na waszą odpowiedź.

Mrugnąłem do Kardorffa — to robota dla nas, Kardorff.

Powiadomiłem Rommla przez radio i zasugerowałem.

— Generale, mówię dobrze po francusku i mam Kardorffa jako tłumacza. Myślę, że powinienem udać się do Bordeaux.

— Zgoda — odpowiedział. — Biorę na siebie odpowiedzialność. Powiadomię dowództwo korpusu. Zadanie batalionu pozostaje bez zmian. Proszę przekazać dowództwo najstarszemu dowódcy kompani

Nasz mały konwój pojawił się przed mostem, gdzie czekał francuski pułkownik.

__ *Cesi moi-meme, mon Colonel.* Jadę do Bordeaux z panem.

_ *Tres hien.* W drogę.

bardziej zbliżyliśmy się do Bordeaux, tym większy był ruch na drogach- Miasto zdawało się przepełnione. Wielu tych, którzy wciąż mieli jeszcze dość pieniędzy, uciekło tu z Paryża. Pułkownik umieścił mnie w Grand Hotelu. W pokoju obok mieszkał Kardorff. Przygotowano także pokoje dla załóg samochodów pancernych. Byłem nieco zażenowany tym, że inni goście zapewne zostali zmuszeni do opuszczenia swych pokoi, by zrobić miejsce dla nas.

__ Czy możemy pójść teraz do generała Weyganda? — spytał pułkownik, gdy powróciłem do holu.

Zgodziłem się i przekazałem moim ludziom szybko instrukcje: „Dwa wozy pancerne mają stać przed hotelem. Radiostacja musi być obsadzona we dnie i w nocy. Przy każdym wozie ma stać wartownik z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Reszcie nie wolno opuszczać hotelu. Żadnych rozmów z mieszkańcami czy żołnierzami. Mają zachowywać się z jak najpoprawniej”.

Podążyłem za pułkownikiem do miejscowego dowództwa wojskowego, gdzie przydzielono mi biuro. Przyjął mnie następnie Weygand. Najpierw wyraził wdzięczność, że byliśmy gotowi bez zbędnych formalności pozwolić na przeniesienie rządu tymczasowego Petaina. Byłem, oczywiście, bardzo przejęty spotkaniem twarzą w twarz z jednym z najbardziej znanych francuskich generałów, który jeszcze kilka dni wcześniej był naszym przeciwnikiem i którego nazistowska propaganda określała mianem „arcywroga”. Zachowując się bardzo uprzejmie, chciałem okazać mu nasz

W drodze powrotnej do hotelu pułkownik powiedział mi:

— W mieście nie ma Brytyjczyków, ale dziesiątki tysięcy fran cuskich żołnierzy, których wezwano do złożenia broni. Czy wszyscy wykonali rozkaz, nie wiem. Przechesujemy całe miasto.

Poczułem dziwny skurcz w żołądku. Nie byłem pewien, czy nas? niewielki oddziałek łącznikowy nie znalazł się zbyt daleko od sił głównych. Czułem, jakbym znajdował się w gnieździe os. Uzgodniłem z pułkownikiem, że pójde z nim do mojego biura następnego ranka

Przybywszy do hotelu, zlustrowałem warty. Wielu Francuzów w tym rozbrojeni żołnierze, stało wokół naszych samochodów pancernych, przyglądając im się z ciekawością lub gniewem.

Na wieczorny posiłek zarezerwowano dla nas stoliki na tarasie hotelu. Także i tam spotkały nas wrogie spojrzenia wielu gości. Poczułem się cokolwiek nieswojo. Tak, siedzenie na tarasie było przyjemne. Był to piękny, ciepły wieczór. W porcie stał neutralny statek pasażerski. Z powodu jego bandery nie mogłem nic zrobić, wiedziałem jednak, że jest na nim wielu Francuzów,

Powiadomiłem Rommla przez radio, że wszystko jest w porządku, i złożyłem raport o wydarzeniach. Powiedział mi, że dowództwo armii wyraziło zgodę na naszą misję. Poczułem ulgę.

Następnego ranka pułkownik, tak jak było ustalone, zaprowadził mnie do biura, gdzie czekali dziennikarze oraz urzędnik administracji miejskiej. Ten ostatni zwrócił się do mnie:

— *Mon capitaine*, zarządziliśmy już, że nikt nie może wyjechać z miasta na północ. Rozbrojenie trwa i powinno zostać dziś zakończone.

Następnie pytania zaczęły zadawać dziennikarze.

— Na którą wyznacza pan godzinę policyjną? Proponujemy 22.00. Za miastem jest skład paliwa zawierający jakieś 60 000 litrów. Jest pod stałą

Odpowiedziałem krótko, podając do wiadomości następujące informacje:

___ Zgoda na godzinę policyjną o 22.00 (był przecież środek lata idługo było jasno). Na jutro potrzebna mi pieczęć, którą uwierzytelnimy przepustki i upoważnienia do pobrania paliwa. Do tego czasu bede w stanie powiedzieć, z których dróg można będzie korzystać, nie zakłócając ruchów naszych wojsk. Potrzebna jest mi lista lekarzy i firm dostawczych, które uważacie za niezbędne. Będę tutaj od ósmej jutro rano i liczę na dalszą współpracę z waszej strony.

Ruch samochodów i motocykli zmalął niemal do zera, ale niektórzy żołnierze otwarcie prowadzili kwitnący czarnorynkowy handel wojskową benzyną. Na razie jednak nie martwiłem się tym.

Gdy zjadłem kolejną kolację na tarasie, przybył do mnie kapitan neutralnego statku z pytaniem, czy może wyjść w morze. Po raz kolejny stanąłem przed problemem, który mógł być rozwiązany jedynie przy pomocy dyplomatów lub przez dowództwo armii. Wysłałem zatem do dowództwa pytanie i otrzymałem odpowiedź: „Statek ma pozostać w porcie, dopóki Bordeaux nie zostanie przekazane. Czekać na następne dyrektywy”. Kapitan, bardzo miły człowiek, musiał teraz pozostać w porcie. Zaprosił mnie następnego dnia na pokład na starą whisky, a także bym posiedział z nim w mesie oficerskiej, tak jak w czasach pokoju. Oczekiwała mnie zatem przyjemna odmiana.

Następnego ranka pojechałem do mojego biura, tym razem bez pułkownika Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Po przepustki ustawiły się setki cywilów. W samym biurze czekała stateczna dama, którą przedstawiono mi jako *madame* Lautey. Była wdową po słynnym marszałku Lautey, który odegrał wielką rolę w podporządkowaniu Maroka i był uważany za bohatera.

nie potrafiłem znaleźć nienawiści, ale raczej zrozumienie dla biegu wydarzeń, na które nie mogła wpłynąć ani ona, ani ja.

Mapę z oznaczonymi drogami powielono, by wydać wszystkim szczęśliwcom, którzy otrzymali dokumenty. Na moją prośbę przy. slano do składu paliwa niemieckiego administratora, który miał nadzorować jego wydawanie. Dzień wypełniony był wydawaniem dokumentów i udzielaniem odpowiedzi na pytania. Pomagał mi w tym Kardorff. Obaj poczuliśmy ulgę, gdy późnym popołudniem, mogliśmy powrócić do hotelu, a następnie zregenerować siły dzięki whisky na pokładzie statku.

Przeniesienie siedziby Petaina do Vichy zostało wyznaczone na następny dzień. Przygotowywano także oddanie miasta, zatem w ciągu dwóch dni miałem zostać zwolniony z obowiązków, do których mimo wszystko nie przywykłem.

Tego wieczoru w naszej bazie w hotelu serwowano jedynie kawę.

— Co pan myśli — spytałem Kardorffa. — Może byśmy poszli gdzieś do miasta na jednego?

Uznał to za dobry pomysł, toteż wsiedliśmy do *Kubelwagenu* i pojechaliśmy do ratusza, w pobliżu którego mieliśmy nadzieję znaleźć jakiś bar.

Miasto było całkowicie martwe. Zdaliśmy sobie nagle sprawę, że jest godzina policyjna, którą sam wprowadziłem. Rozpocząła się o dziesiątej wieczorem, a było już piętnaście po. Co zatem robić?

Nagle zobaczyliśmy dorożkę, wówczas najpowszechniejszy środek transportu, stojącą spokojnie, z dorożkarzem śpiącym na koźle.

— *Monsieur* — obudziliśmy go, potrząsając nim.

Zobaczył nasze mundury i wymamrotał w przerażeniu:

— *Mon general*, mam rodzinę. Na Boga, usnąłem.

Uspokoił go:

mając nadzieję na wypicie drinka. Ulice stawały się coraz węższe, dzielnice coraz bardziej podejrzane. Co chwila mieliśmy wrażenie, że ktoś na nas patrzy zza zasłon. Nasza sytuacja stawała się coraz mniej Przyjemna.

_ Dokąd nas pan wiezie, *monsieur!*

__ *Voild*, jesteśmy na miejscu.

Zszedł z kozła i zapukał do drzwi. Zjawiła się w nich starsza pani.

___ Proszę wejść, panie generale — zapewne awansowała mnie wyłącznie z ostrożności, choć nigdy nic nie wiadomo.

Dorożkarzowi dałem do zrozumienia, że ma na nas czekać, jeśli mu życie miłe.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg, zdaliśmy sobie sprawę, co znaczy *maison serieuse*. Był to burdel w stylu francuskim. Wystrój wnętrza był luksusowy, *madame* bardzo miła, a dziewczyny robiły dobre wrażenie.

— *Madame* — próbowałem wyjaśnić cel naszego przybycia — aż do poddania miasta jesteśmy niemieckimi oficerami odpowiedzialnymi za Bordeaux. Chcemy się tylko napić, ale jest godzina policyjna, którą sami wprowadziliśmy.

— Bardzo prosimy. Wypijmy kieliszek szampana, by uczcić koniec wojny. My, kobiety, zawsze na wojnach płaczemy.

Po półgodzinnej żywej konwersacji na temat sensu i bezsensu wojny pożegnaliśmy się, zapewniając jednak starszą panią, że polecimy jej lokal niemieckiemu dowództwu. Była bardzo zadowolona, wręczyła nam swój bilet wizytowy.

Nasz dorożkarz znowu zasnął, jednak na całe szczęście wciąż czekał.

Pojechaliśmy wolno z powrotem do ratusza, gdzie stał zaparkowany nasz samochód. Dorożkarz odmówił przyjęcia pieniędzy. Gdy jednak i tak zapłaciłem mu hojnie, wykrzyknął: — Niemcy nie są ani w połowie tak źli,

Zameldowałem się z powrotem u Rommla i me mogłem odpowiedzieć mu o *maison seigneuriale*, co go bardzo rozbawiło.

Nasza 7 Dywizja Pancerna została przeniesiona na tereny położone na zachód od Bordeaux. Mieliśmy czekać na dalsze rozkazy. Zdołałem, uzyskać u Rommla zgodę na przejście z batalionem rozpoznawczym do Arcachon, uroczego kurortu na wybrzeżu Atlantyku osłoniętego przylądkiem Feret. Jedną z ładnych willi letnich między wydmami wybrałem na moją kwaterę. Przez kilka dni rozkoszowaliśmy się kąpielami w morzu, świeżymi ostrygami, zbieranymi z ławic każdego dnia, i wybornym białym wytrawnym winem.

Interim 1940-1941

Na każdej wojnie ze względu na zmieniające się teatry działań następują dłuższe lub krótsze okresy między kampaniami. Przerwy te są bardzo cenne zarówno dla poszczególnych żołnierzy, jak i dla całych społeczności.

Wszyscy próbują wówczas mobilizować swe siły mentalne i są gotowi stłumić negatywne doświadczenia, jedno- cześnie chwytając się choćby najmniejszych doświadczeń pozytywnych. Ludzie podtrzymują się wzajemnie na duchu i umacniają się, mając nadzieję, że kiedyś zdołają na zawsze umknąć przed tym stałym zagrożeniem moralnym.

Zapewne każdy żołnierz odkrywa w czasie wojny tę prawdę, że może pogodzić się z koniecznością zabijania oraz z możliwością, że sam zostanie zabity tylko wtedy, jeśli przyjmie maksymę stoików, czyli wyrobi w sobie umiejętność patrzenia na wszystkie wydarzenia ze spokojem. Może to uczynić tylko w sytuacji, jeśli wytworzy w sobie pancierz chroniący go przed uczuciem strachu i współczucia i zapewne także do pewnego stopnia przeciwko etyce, moralności i sumieniu. Nie może pozwolić sobie na zastanawianie się nad przyczyną i celowością wydarzeń toczących się wokół niego oraz tych, w których sam bierze udział. Musi działać i w pełni skoncentrować się na działaniu. Dzięki długiemu procesowi przyzwyczajania się uczy się wymazywać z pamięci przerażające obrazy, dystansować się od swych towarzyszy tak, by pozostać zdolnym do racjonalnego działania. Jeśli zdoła to uczynić, jego szanse na przetrwanie są coraz większe.

takie właśnie myśli i uczucia były w każdym z nas po zakończeniu kampanii francuskiej. Wiedzieliśmy, że nasze rodziny w domu *martwią* się o nas. Czuliśmy szczery żal z powodu poległych towarzyszy oraz ciężko rannych

Flota i Luftwaffe prowadziły nadal działania wojenne. Pierwsze naloty alianckie na nasze centra przemysłowe uczyniły także i nasz kraj terenem działań wojennych.

Rommel poleciał do Wiednia, swojego ostatniego przedwojennego garnizonu, na kilkutygodniowy urlop, by wypocząć ze swą żoną Lucie i młodym synem Manfredem.

Od bliskiego przyjaciela ze Sztabu Generalnego dowiedziałem się, że Hitler próbował zawrzeć pokój z Wielką Brytanią. Dla niego Brytyjczycy, których skrycie podziwiał, należeli do rasy germańskiej, oprócz oczywiście Skandynawów i Niemców. Zdawał się jednak zupełnie źle oceniać Churchilla, który — o czym dowiedzie liśmy się z brytyjskich wiadomości radiowych — był zdeterminowany, by zniszczyć Hitlera i jego narodowy socjalizm.

W lipcu nasza dywizja została przeniesiona na zachód od Paryża. Rommel powrócił i oznajmił nam, że jest przygotowywana operacja „Lew morski”, czyli inwazja na Wielką Brytanię. 7. Dywizja Pancerna należała do jednostek przeznaczonych do udziału w tej operacji. Był to początek wyczerpujących tygodni i miesięcy przygotowań. Ćwiczyliśmy bezustannie załadunek i wyładunek w warunkach bojowych na przerobione barki i kilka okrętów desantowych. Czuliśmy jednak, że przygotowania do „Lwa morskiego” przebiegały bez entuzjazmu, gdyż Luftwaffe przegrywała bitwę o Anglię.

Przeniosłem się z mym batalionem rozpoznawczym na paryskie przedmieście Le Vesinet, które leżało w pętli Sekwany na zachód od Paryża. W willi naprzeciwko mieszkała Josephine Baker. Naszym sąsiadem był właściciel Lido, które otwarto ponownie z nowym programem natychmiast po zawarciu zawieszenia broni. Nasza willa należała do obywatela Szwajcarii, który chciał powrócić do kraju, ponieważ nie mógł na razie robić żadnych interesów w Paryżu. Uznał nas za gwarancję, że powróci kiedyś do swej willi i zastanie ja nietkniętą.

— Nie wiem jak długo tu pozostaniemy, ale proszę się nie martwić

Podziękowałem za tę szczodłą propozycję. Wreszcie zgodziliśmy się na symboliczną cenę jednego franka za butelkę jego świetnych, starych win_ Szczególnie smakował mi Chambertin rocznik 1929. Moich żołnierzy zakwaterowano w sanatorium. Rzeczniką mieszkańców Le Vesinet była baronowa. Chwaliła nasze zachowanie. Nawiązały się przyjaźnie, nie miały one jednak nic wspólnego z tak zwaną kolaboracją, za którą później Francuzi mieli tak bezlitośnie karać.

Lieec 1940 ^r - Paryż był tuż za progiem. Przybyło dowództwo wojskowe, wstęp do miasta możliwy był jedynie za specjalną przepustką. Zdobyłem jedną z takich przepustek i spędzałem cały wolny czas na odświeżaniu wspomnień z tego wyjątkowego miasta, odwiedzając poszczególne miejsca. Pewnego wieczoru udałem się do Le Cavalier, baru w pobliżu Champs Elysees. Jego właścicielem był Clement Duhour, olimpijczyk z 1932 r. i znany śpiewak, później zaś producent filmowy. Polubiliśmy się i wkrótce zacząłem regularnie odwiedzać Le Cavalier. Nie spotykało się tam Niemców z coraz liczniejszej administracji, którzy często zachowywali się wyniośle jako zwycięzcy. Byli to ci, którzy nigdy nie słyszeli wystrzału, nie mówią: o wzięciu udziału w walkach. Było to żenujące, gdy pijani urzędnicy administracji wojskowej wyśpiewywali nazistowskie pieśni w lokalach, podczas gdy francuscy goście woleliby posłuchać *chansons*. Kiedyś straciłem cierpliwość i prawie doszło do bijatyki. Wezwałem żandarmerię wojskową i kazałem usunąć z lokalu hałaśliwych Niemców.

U Clementa Duhoura poznałem wielu francuskich artystów. Aby uniknąć prowokacji, chodziłem po cywilnemu. Poznałem także J. B. Morela, który jest nadal jednym z moich najlepszych przyjaciół. Był on dekoratorem wnętrz i znał wszystkich i wszystko w Paryżu. Był w moim wieku i walczył przeciwko mnie w stopniu porucznika. Mieszkał we wspólnym mieszkaniu przy Rue du Dobropol, blisko starych Ogrodów Tivoli koło Lasku

tam wejść, pukając w odpowiedni sposób. „In the Moon” Glenna Millera i „Down Mexico Way” stały się moimi ulubionymi melodiami. Później, w niewoli, graliśmy je sami.

Z moją specjalną przepustką i wiernym mercedesem kabrioletem nie miałem żadnych trudności w korzystaniu z uroków Paryża wraz z moimi nowymi francuskimi przyjaciółmi. Byli oni często moimi gośćmi w Le Vesinet, gdzie nierzadko jedną z motorówek zacumowanych w marinie udawaliśmy się na wycieczkę po Sekwanie lub na drugi brzeg do Le Pecq, by posilić się w słynnej restauracji Le Coq Hardi.

Moi żołnierze przeznaczali swój wojenny żołd na kupowanie swym rodzinom towarów, których od dłuższego czasu nie było w kraju, takich jak jedwabne pończochy, perfumy, kosztowne tkaniny i alkohole. Hitler ustanowił bardzo korzystny dla nas kurs wymiany.

Pod koniec sierpnia dostałem 14-dniowy urlop. Był to dla mnie kolejny znak, że nikt w naszym dowództwie nie planuje już lądowania w Anglii. Zdecydowałem się spędzić te dwa tygodnie w Bad Kissingen, moim ostatnim garnizonie, by odwiedzić przyjaciół i załatwić kilka spraw. Wziąłem ze sobą mego ordynansa i zaufanego przyjaciela Ericha Becka, który chciał wrócić do domu.

— Beck, przygotujcie mercedesa. Zabiorę ze sobą także Boya oddam go pod opiekę do domu.

— Panie kapitanie — odparł Beck z ekscytacją w głosie — w garażu znalazłem nowiutkiego buicka. Nie moglibyśmy pojechać nim! W kraju nikt nie widział jeszcze amerykańskiego samochodu.

Dałem się przekonać i nawet uzyskałem z dowództwa dokumenty oraz wojskowe tablice rejestracyjne.

W Kissingen trwał w najlepsze sezon wypoczynkowy, chociaż nieco skromniejszy. Jeździłem więc dumnie po kurorcie z pięknymi dziewczynami w moim podziwianym buicku. Setera Bova umieścił u leśnika w górach

panowania W powietrzu. Flota nie miała dość ciężkich okrętów, by skutecznie osłonić forsowanie kanału La Manche.

Co zatem dalej, skoro lądowanie w Anglii było niemożliwe?

Opanowaliśmy prawie całą Europę, to prawda, ale sprawy na Morzu Śródziemnym wciąż były niepewne i nie nadchodziły stamtąd żadne dobre wieści. Dzięki paktowi o nieagresji zawartym ze Stalinem zabezpieczyliśmy sobie tyły. Jak mieliśmy jednak postąpić z Brytyjczykami?

7 stali zmuszeni do pozostawienia na kontynencie niemal całego etu i środków wojennych. Główne siły brytyjskiej armii wciąż były Hnak nietknięte. Sprzęt i materiały zaś ciągle były uzupełniane przez Amerykanów mimo ciężkich strat zadawanych Brytyjczykom przez IJ-Booty. Brytyjskie siły powietrzne z wolna zyskiwały przewagę. Churchill nie pozostawił żadnych wątpliwości, że ma zamiar zniszczyć Hitlera i jego narodowy socjalizm.

Po porzuceniu operacji „Lew morski” nasza dywizja otrzymała rozkaz udania się w okolice Bordeaux. Wreszcie trochę ruchu! Pożegnałem się ze znajomymi w Le Vesinet i przyjaciółmi — J. B. Morelem i elementem Duhourem.

— Hans — powiedzieli mi obaj — nie możecie już wygrać tej wojny, wiemy to. — Clement zasugerował nawet, że w razie konieczności mam schronić się u jego matki w kraju Basków.

— Będiesz tam bezpieczny. My, Baskowie, nigdy nie zdradzimy przyjaciela

Cheiał dla mnie dobrze, ale było to dla mnie oczywiście wykluczone. Dał mi następnie srebrny pierścień z baskijskim mottem, którego francuskie tłumaczenie wygrawerowano wewnątrz: *Mieux vaut penser que dire* („Lepiej myśleć, niż mówić”). Nie mogłem pozbyć się uczucia, że obaj przyjaciele należeli do Resistance, która stawała się coraz silniejsza. Przecucie to potem

promu Siebela, który miał ocalić wielu żołnierzy w Afryce Północne, przed wzięciem do niewoli. Siebel montował stare silniki lotnicze na zwykłych promach i wykorzystywał śmigła do ich napędzania co umożliwiało pokonanie niewielkiej odległości między Tunezją i Sycylią w ciągu jednej nocy.

Po przybyciu do Bordeaux nie mogłem powstrzymać się przed złożeniem wizyty *maison serieuse*. Zostałem wylewnie powitany.

— *Mon general*, zostałem oficjalnie uznane przez dowództwo wojskowe. Jestem panu bardzo wdzięczna. Zawsze znajdzie tu pan towarzystwo i szampana na nasz koszt.

Mam nadzieję, że ta czarująca kobieta nie ucierpiała potem jako *collaborateu.se*.

Z kraju przybyły kolejne uzupełnienia, w tym nowy dowódca batalionu major Riederer von Paar, który brał udział w pierwszej, wolnej światowej i wkrótce zyskał nasze zaufanie. Ponownie przejąłem moją 3. Kompanię, którą tak dobrze dowodził sierżant Almus. Do kompanii przybył porucznik von Poschinger jako nowy dowódca plutonu.

Znalazłem czas, by powiększyć moją kolekcję francuskich win i koniaków. W winnicach na północ od Bordeaux, w tym niekiedy bardzo małych, zakupiłem rzadkie wina, których próżno by szukać na rynku. Moja kolekcja starych burgundów, koniaków i armaniaków, niektórych w ręcznie dmuchanych butelkach i z ręcznie wypełnianymi etykietami, zwiększyła się do niemal 1000 butelek, które bardzo chciałem przy pierwszej okazji wysłać do Niemiec.

W styczniu 1941 r. dywizja została przeniesiona do Niemiec w rejon na zachód od Bonn. Francuski rozdział został zatem ostatecznie zamknięty. We Francji pozostały oddziały rezerwowe rozbudowywana administracja wojskowa i gestapo (tajna policja państwowa) z jego rządami terroru.

Moja kompania została rozlokowana we wiosce Heimersheim, zaś miałem kwatery w otoczonym fosą dworze z piętnastego wieku należącym do barona

skolejne tarcie z Wielką Brytanią doprowadzi do katastrofy. Gdy rozmawialiśmy, stara baronowa siadała obok nas i układała pasjansa. Zachęcała mnie, bym też spróbował, gdyż było to — jej zdaniem bardzo uspokajające zajęcie. Aby ją zadowolić, pozwoliłem pokazać sobie dwie odmiany tej gry. Odkryłem, że pasjans nie był wcale nudny i odpowiedni jedynie dla starszych pań, jak sądziłem dotychczas. Gdy opuszczałem ich dom, podarowała mi talię kart. Miały one potem pomóc mi odzyskać wewnętrzny spokój w krytycznych sytuacjach. Moi młodzi oficerowie zwykli mówić w takich przypadkach: „Szef układa pasjansa i nie chce, by mu przeszkadzać. Zatem nie może być tak źle”. Nawet dzisiaj lubię układać mojego uspokajającego pasjansa.

Próbowałem w owym czasie podsumować przebieg wojny i zastanowić się, jak mogła i powinna być prowadzona.

W dwóch błyskawicznych kampaniach zostały pokonane Polska i Francja. Zajęte zostały także Dania, Norwegia i Belgia. Aż do nadejścia alarmujących wieści z północnoafrykańskiego teatru działań sytuacja na Morzu Śródziemnym była pod kontrolą. Wehrmacht jednak musiał wydzielić znaczne siły do zabezpieczenia wszystkich terytoriów, zwłaszcza zaś przed możliwą inwazją Brytyjczyków, której miejsca nie można było przewidzieć.

Wciąż mieliśmy bezpieczne tyły dzięki paktowi o nieagresji ze Stalinem, który uzyskaliśmy za ustępstwa terytorialne w Polsce i krajach bałtyckich. Jak jednak można było pokonać Wielką Brytanię, która była w coraz większym stopniu wspierana przez Amerykę, która rozpoczęła naloty na Rzeszę i która utrzymywała Przewagę na morzu?

Wdługich rozmowach z baronem von Bóselagerem nie udało nam się znaleźć żadnego sposobu, dzięki któremu można byłoby zakończyć wojnę. Obawialiśmy się, że ta wojna, którą rozpoczęliśmy z takimi nadziejami, potrwa prawdopodobnie jeszcze bardzo długo.

14 zaś dotarł do Trypolisu, gdzie osobiście nadzorował wyładunek pierwszej niemieckiej jednostki, elitarnego 3. Pancernego Batalionu Rozpoznawczego, który dobrze znałem z czasów pobytu w Pocz damie.

Było nam żal, że straciliśmy Rommla. Powitaliśmy z mieszanymi uczuciami nowego dowódcę naszej dywizji generała hrabiego von Funka. Był on przeciwieństwem Rommla: oficerem Sztabu Generalnego ze starej szkoły, nie zaś frontowcem jak Rommel. Dowodził z tyłu, ze swego stanowiska dowodzenia, i nie szukał, jak Rommel, kontaktu ze swymi żołnierzami. My, dowódcy pododdziałów, dostosowaliśmy się do niego tym łatwiej, że nie próbował ograniczać naszej swobody.

Upływały tygodnie i miesiące. Rozpoczęły się zwykłe rutynowe zajęcia: ćwiczenia polowe z wprowadzaniem trudnych sytuacji, szkolenie oraz wcielanie uzupełnień. Działania wojenne toczyły się daleko.

Z biuletynów armijnych dowiedzieliśmy o sukcesach Rommla w Afryce Północnej, o jego niekonwencjonalnym, a dla Brytyjczyków niespodziewanym uderzeniu na wschód i odzyskaniu Cyrenajki. Dowiedzieliśmy się o także o nalotach na Niemcy. Te przygnębiały nas najbardziej. Tym razem, w odróżnieniu od pierwszej wojny światowej, do wojny wciągnięto także ludność cywilną. Martwiliśmy się o nasze rodziny.

Hitler wygłaszał gniewne przemówienia. Goebbels, jego minister propagandy, wzywał do ostatecznego zwycięstwa. Żydzi zaś byli przedstawiani jako potwory. O ich losie nie wiedzieliśmy nic.

W kwietniu 1941 r. dostałem krótki urlop, którego połowę spędziłem z rodzicami. Nie czułem się już jednak szczęśliwy w domu. Brał udział ze swym statkiem wielorybicznym* na wodach norweskich Siostra wkuwała przed *Abitur*. Mój ojczym cierpiał z powodu nieuleczalnego rakajelit, zajmowała się nim z oddaniem moja matka Ojczym nie potrafił pogodzić się z nowymi sposobami prowadzeni wojny i zawsze dokonywał porównań z pierwszą wojną światową. Przez przeżycia kłóciłem się z sobą

Dragą połowę urlopu spędziłem w moim ukochanym Paryżu.

Morel i Clement Duhour ponownie przewidywali, że Brytyjczycy wygrają — sami czy też z pomocą Amerykanów. Ich zdaniem Niemcy nie miały nic, by zrównoważyć niewyczerpaną przewagę materialną Brytyjczyków i Amerykanów, zwłaszcza że niemieckie okręgi przemysłowe i linie komunikacyjne były narażone na coraz częstsze ataki z powietrza. Nie zgadzałem się z nimi, ale nie wiedziałem, jak moglibyśmy wygrać tę wojnę.

POwróciłem do mojej kompanii. Znowu ta sama monotonia, która na dłuższą metę była irytująca. Mieszkańcy pytali często, co dalej.

Tylko jedno było pewne — początkowa euforia zamieniła się w trzeźwe rozmowanie.

Chciałem umieścić moją kolekcję win w bezpiecznym miejscu. Doprosiłem więc barona von Bóselagera, czy nie zechciałby ich przechować.

Ależ oczywiście. Zatopię je w fosie z moją własną kolekcją. Nikt nie będzie jej tam szukał.

Później, w Rosji, otrzymałem list od von Bóselagera. Pożyczył dwie butelki szampana z mojego zapasu na ślub córki. Powinien wziąć wszystkie. Pod koniec wojny kryjówka została odkryta przez francuskie wojska okupacyjne. „*Sales Boches* ukradli nasze wino i koniak. Wszystko naprawdę należy do nas” — stwierdzili Francuzi,

o czym opowiedział mi potem Bóselager. To był koniec mojego marzenia o kolekcji francuskich win. *Cesi la guerre*.

Na początku czerwca nagle i bez uprzedzenia naszą dywizję załadowano w Bonn do pociągów i po dwu- lub trzydniowej podróży wyładowano w Insterburg u* w Praszach Wschodnich.

batalion został rozlokowany w okolicznych wioskach. Skorzystałem z okazji, by odwiedzić znajomych w pobliskim majątku, gdzie kilka lat wcześniej z radością i lekkim sercem gościłem na weselu jednego z moich

teraz, gdy grożą nam długie i trudne zmagania z Rosją. Czy rozumiesz to wszystko? Czego jeszcze Hitler chce? *Lebensraum*, o którym tyle mówił on i Rosenberg?

Zwiedziliśmy stajnie, w których panował idealny porządek. Było to, jakby pożegnanie ze starymi Niemcami. Po posiłku moja gospodyni poprosiła mnie:

— Proszę, zagraj coś na pianinie. Coś żywego, proszę, musi to być coś, co zapamiętam.

Usiadłem zatem przy pianinie i w blasku świec grałem, co tylko przyszło mi do głowy. Oczy starszej pani wypełniły się łzami. Gdy żegnałem się, jej ostatnie słowa brzmiały:

— Do widzenia, i niech Bóg cię chroni!

Dzisiaj jej majątek leży w Polsce. Niestety, nie wiem, jaki był jej los.

W Prusach Wschodnich panowała ciepła, późna wiosna. Wspominałem moje rekruckie lata w Królewcu, stary zamek krzyżacki w Malborku i jeziora mazurskie. Polubiłem ten mały skrawek ziemi, z jego suchymi latami oraz mroźnymi i śnieżnymi zimami. Podziwiałem ludzi, którzy przybyli tu z rycerzami zakonu na początku trzynastego wieku i którzy przez stulecia zmagania z Polską, Szwecją i Rosją oraz nie mniej zaciętym klimatem stali się twardym ludem. Gościnność mieszkańców Prus Wschodnich była słynna, podobnie jak ich poczucie humoru. Rozległe przestrzenie Prus Wschodnich były przedsmakiem tego, jak miał wyglądać teren w Rosji.

Co zamierzał Hitler? Wkroczenie do Rosji zdawało się pewne. Główne siły Wehrmachtu zostały skoncentrowane na wschodniej granicy. Dowodziło to, że nie miała być to ograniczona operacja mająca na celu przywrócenie do Rzeszy jej prowincji nadbałtyckich, które niegdyś należały do zakonu krzyżackiego. Czy Hitler zamierzał uznać pakt o nieagresji z Rosją za nieważny i niebyły? Machina propagandowa Goebbelsa pracowała pełną parą. Po raz kolejny mówiło się o podludziach, o *Lebensraum*, która miała zostać zdobyć dla

zasłoną. Wielkie odległości nie dawały się objąć umysłem. Góry Ural znajdowały się w odległości niemal 2000 mil, były zaledwie końcem jego europejskiej części. Za nimi rozciągały się niezmierzone przestrzenie Syberii.

Myśleliśmy o losie Napoleona, którego zwycięska armia rozplynęła się w bezmiarze i mrozach Rosji. Nie baliśmy się, ale nie byliśmy pewni co powinniśmy odczuwać wobec nieprzyjaciela, którego siła i potencjał były nam nieznane, a którego mentalność była nam zupełnie obca.

Euforia sprzed paru miesięcy ustąpiła trzeźwemu raczej spojrzeniu. Nawet najmłodszy, którzy po 1933 r. przeszli przez szkołę narodowego socjalizmu i którzy złożyli w Hitlerjugend przysięgę na wierność swemu Fuhrerowi, teraz ucichli. Wątpili, czy Rosję można pokonać samym idealizmem.

Czy mogliśmy poradzić sobie z powstaniem drugiego frontu, skutkiem czego pierwszy na zachodzie miał być utrzymywany głównie przez dywizje rezerwowe? Czy Wielka Brytania będzie w stanie wkorzystać nasz słaby

Kampania rosyjska czerwiec 1941 r.-styczeń 1942 r.

O 4 nad ranem 22 czerwca 1941 r. niemiecki Wehrmacht przekroczył granicę Rosji. Luftwaffe wykonała zmasowane ataki, na lotniska i węzły kolejowe. Tego ranka pociągi przewożące rosyjskie towary wciąż przetaczały się przez granicę, dostarczając ładunki zgodnie z warunkami paktu o nieagresji. Kilka dni wcześniej zostałem wezwany do dowódcy dywizji generała von Funcka.

— Luck, zostaje pan ze skutkiem natychmiastowym przeniesiony do dowództwa 7. Dywizji i będzie pan moim adiutantem.

Nie okazałem entuzjazmu:

„

— Panie generale, nie chciałbym porzucać mojej kompanii w tak ważnej chwili. Czy nie mógłby pan znaleźć kogoś innego?

— Nie — odparł. — Adiutant, o którego prosiłem, jeszcze nie przybył. Poza tym straciliśmy już zbyt wielu dowódców kompanii a zapewne stracimy jeszcze więcej. Uważam pana zatem w pewien sposób za rezerwowego dowódcę.

Zaciskając zęby, pożegnałem się z dowódcą mojego batalionu i moimi żołnierzami. Zameldowałem się w dowództwie dywizji z Erichem Beckiem i wiernym mercedesem. Niemieckie wojska, z pancerniakami na czele, nacierały na całym froncie, odrzucając słabe rosyjskie strażnice graniczne. Rosjanie wydawali się kompletnie zaskoczeni naszym wkroczeniem, mimo że koncentracje naszych wojsk nie mogły umknąć ich uwagi. Nasza przewaga w powietrzu zarówno ilościowa, jak i jakościowa była bardzo wyraźna.

Wkrótce stało się jasne, że rosyjskie siły powietrzne nie tylko nie odpowiadały

wielką ulgę i jeśli nawet pojawiały się rosyjskie samoloty, nawet nie próbowaliśmy się kryć. Często chciało nam się śmiać, gdy z powodu braku bomb z ich komór bombowych spadały na nas tysiące gwoździ

Wkćte zdaliśmy sobie sprawę, że ani wojna morska, ani wojna w powietrzu nie odpowiadały rosyjskiej mentalności. W swojej historii Rosja toczyła wojny głównie na lądzie, tworzyła więc swą armie powołując miliony mieszkańców wsi. Rosja nigdy nie była wielką potęgą morską, a jej rozdęta biurokracja wojskowa najwyraźniej nigdy nie poświęciła większej uwagi rozbudowie nowoczesnych sił powietrznych. W związku z tym musieliśmy wkrótce przyzwyczaiać się do niemal niewyczerpanych mas wojsk lądowych, czołgów i artylerii.

Nasz korpus pancerny uderzył najpierw na północny wschód. Jego celem było Wilno na terytorium dawnej Litwy. Napotkany opór był dość słaby, ale pojawiały się już pierwsze czołgi *I-34*, które potem stały się sławne, stanowiąc kręgosłup rosyjskich wojsk pancernych. *T-34* był nieskomplikowaną konstrukcją. Jego płyty pancerne były zespawane topornie, skrzynia biegów prosta, a mechanizmy pozbawione zbędnych detali i finezji. Łatwo było naprawiać uszkodzenia. Dodatkowo Rosjanie byli mistrzami improwizacji. W fabrykach leżących poza zasięgiem naszej Luftwaffe wyprodukowano wiele tysięcy *T-34*.

Wilno zostało oskrzydłone od północy i południa, a następnie zdobyte. Natychmiast skierowano nas na wschód, w kierunku Mińska. Jako adiutant dowódcy dywizji musiałem wykonywać wiele mało odpowiadających mi zadań. To prawda, że każdego wieczoru siadałem ¹wozie sztabowym i poznawałem nasze plany i działania, które generał von Funk wyjaśniał, używając rozłożonych na stole map. ²nie mniej skuteczny, jego sposób dowodzenia był zupełnie inny ^{Ko}mmla. Dowódca dywizji często wysyłał mnie do różnych

które ciężarówki mogły pokonać dopiero wtedy, gdy grenadier/y wysiedli, a saperzy przykryli bioto pniami powalonych drzew. Nasze natarcie powstrzymywał nie tyle nieprzyjaciel, ile katastrofalny stan dróg.

W tym nieprzebytym terenie pewnego dnia straciliśmy łączność z naszym batalionem motocyklistów. Dowódca dywizji obawiał się że mógł on zostać odcięty.

— Łuck, zawsze prosi pan o coś, co oderwie pana od pracy za biurkiem. Nasz batalion motocyklowy nie zgłasza się. Musi być gdzieś tutaj — pokazał miejsce na mapie. — Niech pan spróbuje go znaleźć i przywieźć mi raport o sytuacji. Niech pan jednaj będzie ostrożny. W tym wielkim lesie Rosjanie mogą być jescz/e wszędzie.

Dysponowałem jedynie moim mercedesem. Wyruszyłem z Erichem Beckiem. Bez kontaktu z nieprzyjacielem, lecz z wielkimi trudnościami z powodu ledwie przejezdnych dróg dotarłem do wskazanego obszaru i rzeczywiście znalazłem tam batalion.

— Tutaj wszystko jest w porządku — powiedziano mi. — Ale zdaje się, że wbiliśmy się między kilka rosyjskich oddziałów jak cierń, z czego nie zdali sobie oni w pełni sprawy. Dobrze by by to, gdyby dywizja mogła nas uwolnić. Gdy Rosjanie zdadzą sobie sprawę z naszej obecności, będzie nam dość ciężko.

Obiecałem nakreślić sytuację dowódcy i poprosić o natychmiastową pomoc.

Pojechałem z powrotem tą samą drogą. Obok siedział Erich Beck z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Po kilku kilometrach jazdy przez gęsty las wyjechaliśmy na polanę. Po obu stronach drogi było pełno Rosjan. Rozpoznali nas natychmiast. Zobaczyłem, że podnoszą broń, by zacząć strzelać. Do miejsca, w którym dróg' skrecała w las, było jeszcze jakieś 30 metrów.

— Beck, schył się i strzelaj w prawo i za mnie! — krzyknąłeś schyliłem

podskakiwał i szarpał na nierównym podłożu. Jedna z kul trafiła w samochód, ale nie spowodowała większych uszkodzeń.

- Dziękuję Beck, i dzięki mercedesowi! Mieliśmy dużo szczęścia. Zameldowałem się u dowódcy dywizji, który uśmiechnął się do mnie znad okularów i powiedział:

— Cóż, chciał pan popробować przygody. Dostał pan to, czego szukał. Dziękuję za raport, natychmiast rozkażę wesprzeć batalion motocyklowy.

Stopniowo poznawaliśmy rosyjską taktykę. Przepuszczali nasze oddziały, by potem, w małych grupach, atakować nasze linie zaopatrzeniowe i kolejne rzuty. Od jeńców dowiedzieliśmy się, że niesławny rozkaz Hitlera, by natychmiast rozstrzeliwać wszystkich komisarzy, przyniósł odwrotne skutki. Komisarze, oficerowie polityczni przydzieleni do każdej jednostki, by pilnować morale żołnierzy i ich dowódców, znali rozkaz Hitlera. Trzymali zatem swych żołnierzy w ryzach, mówiąc im: „Jeśli dostaniecie się do niemieckiej niewoli, zostaniecie natychmiast zabici. Jeśli wycofacie się, zabijemy was my”. Wyjaśnia to, dlaczego tak wielu Rosjan, zwykle mających tylko trochę suchego chleba, pozwalało odciąć się od zaplecza, nie poddawało się jednak i tworzyło podstawy coraz silniejszej partyzantki. Istotnym czynnikiem był fakt, że Stalin, wiedząc, jak Rosjanie kochają swą ojczyznę, ogłosił, że jest to wielka wojna ojczyźniana. Nie była to wojna nazizmu z komunizmem. My, Niemcy, byliśmy napastnikami chcącymi zniszczyć Rosję. Bronili oni zatem „Mateczki Rosji”.

Nasze rozpoznanie lotnicze donosiło o dużych skupiskach oddziałów na zachód od Mińska i wokół tego miasta, pierwszego dużego rosyjskiego miasta na zachód od dawnej granicy Polski. Nasza dywizja miała uderzyć, ominąć Mińsk od północy i odciąć Rosjanom drogi odwrotu na wschód. Inny

na wschód. Ponownie musieliśmy przedzierać się przez lasy po fatalnych drogach.

Dla naszej dywizji celem był Witebsk, miasto leżące na północ od magistrali Mińsk-Smołeńsk-Moskwa. Cały czas napotykałszy opór choć niezorganizowany. Nasze natarcie było prowadzone zbyt szybko by Rosjanom wystarczyło czasu na zorganizowanie skutecznych linii obrony. Wyglądało to jak kolejny blitzkrieg.

Po raz pierwszy natknęliśmy się na miejscową ludność. Przejeżdżaliśmy przez typowe rosyjskie wsie, każdą z cerkwią i domami po obu stronach polnej drogi. Cerkwie bez wyjątku zostały przerobione na magazyny, z których większość została obrabowana. Słabo wyposażone domy miały w środku duży gliniany piec, na którym w zimie sypiała cała rodzina. Poniżej znajdowała się ławka i drewniany stół. W rogu izby płonęła świeca, nad którą wisiała jedna lub więcej ikon, czyli świętych obrazów. W środku wioski znajdowała się bania niezbędna dla Rosjan, jako że chałupy były niemal pozbawione sprzętów służących do mycia. Z chałupą była połączona szopa dla kilku krów, które wolno było posiadać chłopom na własny użytek, oprócz skrawka ziemi do uprawy dla siebie ziemniaków i kukurydzy. Przez większość czasu mieszkańcy pracowali w państwowym kołchozie lub sowchozie, rodzaju wiejskiej lub państwowej wspólnoty. Praca polegała na wykonaniu planu, którego wielkość zależała wyłącznie od państwa.

Stan wiejskich dróg był jeszcze gorszy od tych, którymi poruszaliśmy się dotychczas, ponieważ były one dodatkowo niszczone przez małe konie *panje* ciągnące wozy. Nie było tu niczego, co moglibyśmy zarekwirować w celu poprawy diety żołnierzy- Wręcz przeciwnie, dawaliśmy kobietom i dzieciom czekoladę oraz papierosy z naszych racji.

Jako adiutant dowódcy dywizji znalazłem czas i okazję na nawiązanie kontaktu z miejscową ludnością przy czym przydała się moja znajomość

Wielez nich wręczało nam jajko i kromkę suchego chleba na powitanie. Stopniowo zaczęliśmy czuć, że rzeczywiście jesteśmy uważani za wyzwolicieli.

W Rosji rozpoczynało się gorące lato. Upały często były przerywane ulewami, które zmuszały nas do chronienia się na noc w chałupach. Gdy było to tylko możliwe, woleliśmy spać w naszych

pojazdach albo w przydrożnych rowach, gdyż obawialiśmy się robactwa.

Witebsk, podobnie jak Mińsk, także został szeroko oskrzydłony od północy i południa. Powstał nowy, niewielki kocioł, którego likwidację ponownie pozostawiliśmy piechocie, która jak dotychczas jedynie maszerowała i nie toczyła prawdziwych walk. Nadeszła wówczas wiadomość, że poległ major Riederer von Paar, dowódca pancernego batalionu rozpoznawczego. Generał von Funk wezwał mnie do siebie:

— Luck, nasza współpraca okazała się krótsza, niż się spodziewałem. Przejmie pan natychmiast batalion rozpoznawczy. Załatwię panu oficjalne mianowanie na jego dowódcę. Dziękuję za wszystko. Powodzenia!

Wezwałem mojego adiutanta.

— Beck, ponownie ruszamy na front. Przygotujcie mercedesa i spakujcie nasze rzeczy. Jedziemy natychmiast do batalionu.

Tego samego wieczoru otrzymaliśmy rozkaz nacierania na wschód w kierunku Smoleńska. Nasz korpus pancerny, dowodzony przez generała Hotha, zbliżający się od północnego zachodu oraz inny korpus pancerny nacierający od południowego zachodu miały zaatakować i spróbować zniszczyć duże siły rosyjskie, których obecność sygnalizowano na zachód i wokół Smoleńska. Mój batalion miał stanowić szpicę i prowadzić rozpoznanie na wschód i północny wschód.

Wyruszyliśmy następnego ranka. Natknęliśmy się na rosyjskich maruderów, którzy poddawali się nadszpiegowaniu szwtko. Naiwvraźniei

Moskwy do Mińska jako przyszłą autostradę. Jak przekonaliśmy się później, na zachód od Moskwy położono już na nim asfalt. Orien. towaliśmy się według tego szlaku przez resztę natarcia.

Niedługo natknęliśmy się na dość silny opór, toteż skręciliśmy na północny wschód. Otoczenie Smoleńska nie stanowiło żadnej trudności. W ciągu kilku dni z pomocą naszego lotnictwa oskrzydiliśmy Smoleńsk od północy i południa i utworzyliśmy wielki kocioł, w którym zagrożonych odcięciem było ponad 100 000 Rosjan. Wraz z mym wzmocnionym batalionem blokowałem szlak Smoleńsk-Moskwa. Znajdowaliśmy się jedynie 400 kilometrów od Moskwy.

Dano nam kilka dni odpoczynku. Jeden wykorzystałem, by udać się do tymczasowego punktu zbornego dla jeńców utworzonego w pobliżu Smoleńska. Zamkniętych w nim były tysiące rosyjskich jeńców na ciasnej przestrzeni, bez żadnej osłony przed palącym słońcem czy ulewnymi deszczami. Wydawali się apatyczni, z twarzami bez wyrazu. Ich mundury proste, lecz praktyczne, miały odcień, który potęgował wrażenie szarej masy. Dla przeciwdziałania wszawicy ich głowy były ogolone. Wydawali się pogodzeni z losem, ponieważ od niepamiętnych czasów znali jedynie ucisk. Czy uciskającym był car, Stalin czy Hitler, ucisk pozostawał uciskiem. W chlebakach mieli żelazną porcję — suchy chleb. Z czasem także i my nauczyliśmy się go cenić.

Wielu z nich prosiło mnie o wodę. Wydawało się, że bardzo cierpią z powodu pragnienia. Nasze służby tyłowe nie były przygotowane na tak wielką liczbę jeńców. Mimo najlepszych intencji nie były w stanie zająć się nimi i szybko ich ewakuować. Nie lepiej było z rosyjskimi oficerami. Także i oni leżeli apatyczni. Co jakiś czas ktoś zaczynał nucić jedną z tych rosyjskich piosenek, które odsłaniają fragment rosyjskiej duszy. Było mi ich żal, byli ludźmi takimi samymi jak my.

pies Machał ogonem i łasił się. Gdy chcieliśmy go pogłaskać, wczołgał się pod samochód pancerny. Nagle usłyszeliśmy huk eksplozji. Samochód został uszkodzony, ale szczęśliwie nie zapalił się. Podbiegliśmy i odkryliśmy, że pies miał w futrze na grzbiecie ukryty ładunek wybuchowy z wytykowym zapalnikiem. Gdy pies się wczołgał, wytyk zagiął się, powodując eksplozję. Pies został wytresowany by szukać jedzenia pod pojazdami. Niestety, musieliśmy potem strzelać do każdego psa, który chciał do nas podejść. Podczas gdy większość rosyjskich jeńców zdawała się akceptować swój los jako zrządzenie boskie, nasz strach przed dostaniem się do rosyjskiej niewoli był ogromny. Często słyszeliśmy, jak ranni mówili: Zabierzcie mnie ze sobą albo zastrzelcie. Nie zniosę rosyjskiej niewoli"-

Pewnego dnia otrzymałem pozwolenie na wycieczkę do Smoleńska, by obejrzeć stare miasto. Wziąłem ze sobą mojego adiutanta i dwóch żołnierzy jako obstawę. Jak na razie w mieście prawie nie było niemieckich oddziałów, ponieważ kocioł powstał na zachód od miasta i był właśnie oczyszczany przez piechotę.

Smoleńsk wyglądał, jakby został porzucony. Zniszczenia w dzielnicy przemysłowej oraz mostów na Dnieprze były ogromne. Wieża smoleńskiego soboru* sterczała w niebo wśród ruin. Wydawała się nieuszkodzona. Poszedłem za kobietami i starcami do świątyni, byłem poruszony jej pięknem. Stała nietknięta. Ołtarz pięknie zdobiony. Światło świec odbite od zdobionych złotem ikon nadawało wnętrzu swoisty nastrój. Gdy poszedłem z moimi towarzyszami do ołtarza, skromnie ubrany, długobrody starzec zwrócił się do mnie łamaną niemieczyzną.

- *Gospodin oficier*, jestem księdzem, który służył tu przed czasami Lenina i Stalina. Ukrywałem się przez wiele lat, żyjąc jako szewc. Teraz wyzwoliliście nasze miasto. Mogę odprawić pierwszą mszę w soborze?

Jego odpowiedź zaskoczyła mnie.

— Zaraz po rewolucji Rosjanie, którzy wyemigrowali do Ameryki za cara, kupili świątynię ze wszystkimi skarbami od Rosjan którzy wówczas bardzo potrzebowali amerykańskich dolarów. Sobór jest własnością amerykańską i dlatego wszystko jest prawie nienaruszone.

Nigdy nie mogłem potwierdzić jego słów, nie było to też dla mnie takie ważne. Nie konsultując się z dowództwem, po prostu, zwołałem księdza odprawić następnego dnia mszę, na którą pragną) sprowadzić drugiego księdza.

Nazajutrz pojechałem ponownie do Smoleńska, powiadomiwszy dowódcę dywizji, że biorę ze sobą dla bezpieczeństwa zmotoryzowany patrol.

Widok, jaki ukazał się naszym oczom, zapierał dech w piersiach. Plac przed soborem był pełen ludzi zmierzających powoli do wejścia. Z adiutantem przecisnęliśmy się do przodu. W środku nie było wolnego miejsca, gdzie ktoś by nie stał, siedział czy klęczał. Staaliśmy z boku, nie chcąc swą obecnością zakłócać nabożeństwa.

Liturgia Cerkwi prawosławnej nie była mi znana, lecz ceremonia, jaką oglądałem, coraz bardziej oddziaływała na mnie. Niewidoczny za ołtarzem jeden z dwóch księży rozpoczął monotonną inkantację, na którą odpowiadał ośmioosobowy chór stojący przed ołtarzem. Śpiewy księdza i chóru wypełniały wielką przestrzeń cerkwi. Akustyka powodowała wrażenie, że śpiew dochodzi z góry, z nieba. Ludzie padli na kolana i modlili się. Wszyscy mieli łzy w oczach. Dla nich była to pierwsza msza od ponad dwudziestu lat. Mój towarzysz i ja byliśmy bardzo poruszeni. Jak głęboka musiała być wiara tych biednych prześladowanych ludzi. Żadna ideologia, żaden przymus ani terror nie zdołał jej wykorzezić. Było to coś, czego nigdy nie zapomnę.

Naszym następnym celem było miasto Wiaźma leżące na drodze ze Smoleńska do Moskwy, nieco ponad 200 kilometrów od niej. Mój batalion rozpoznawczy miał za zadanie wysłać czujki na wschód i północny wschód

Po pokonaniu około 50 kilometrów natknęliśmy się na silny opór. Odkryliśmy, że Rosjanie utworzyli linię obronną na wzgórzach położonych na wschód od szerokiej doliny jednego z dopływów Dniepru, kilka kilometrów na północ od miasteczka Jarcewo, wzmocnioną czołgami *T-34* i ciężką artylerią. Zameldowałem o sytuacji i dywizja zaczęła przygotowywać atak na dużą skalę. Rozpoczęły się zacięte pojedynki pancerne i artyleryjskie, które trwały kilka dni.

15 lipca, dzień moich urodzin, pragnąłem w ten czy inny sposób uczcić, jako że mogły to być moje ostatnie urodziny. Ponieważ utknęliśmy i byliśmy unieruchomieni, zaprosiłem kolegów — dowódców na posiłek. Mój hotelarz Fritsche ze starej kompanii otrzymał zadanie wyczarowania jakiegoś poczęstunku. Na zachodnim wzgórzu, w zasięgu wzroku Rosjan znajdujących się jakiś kilometr dalej, ustawiono stół, na którym znalazło się wiele smakołyków. W zwykłej sytuacji nikt nie zwróciłby na nie uwagi, ale tu, w Rosji, były rzadkością. Mieliśmy butelkę „zorganizowanej” wódki i kilka butelek mozelskiego wina. Wypiliśmy za niepewną przyszłość.

Starcia koło Jarcewa trwały dłużej, niż byśmy chcieli. Blitzkrieg dobiegł końca. Przełamaliśmy się w końcu, ponosząc spore straty. Niestety, wśród poległych znalazł się dowódca batalionu motocyklistów. Musiałem przejąć dowodzenie także tym pododdziałem. Teraz byłem prawdziwymi oczami i uszami dywizji, mając pod dowództwem cztery kompanie weteranów wojsk zmotoryzowanych.

Opór Rosjan był coraz silniejszy. Wprowadzili do walki czołg *T-50*, który był mocno uzbrojony i opancerzony. Aby zniszczyć go od czoła, musieliśmy użyć dział kalibru 88 mm. Naszym celem pozostała Wiaźma. Przedtem jednak musieliśmy podbić teren na północ od Dniepru

Dywizje pancerne wbiły się głęboko w teren nieprzyjaciela i miały odsłonięte skrzydła. Posuwaliśmy się przez niezmierny las po zbawiony dróg i bardzo rzadko zamieszkały. Istniały w nim jedynie ścieżki dla wozów konnych.

Pewnego razu, gdy na piechotę poszukiwałem możliwości obejścia zniszczonego mostu, natknąłem się na rosyjskiego żołnierza. Stał obok drzewa i wyraźnie chciał, byśmy go wyminęli. Jak na zwolnionym filmie ujrzałem, jak podnosi broń, celując we mnie. „Albo on, albo ja”

— pomyślałem, poderwałem mój pistolet maszynowy i strzeliłem pierwszy. Rosjanin wypuścił broń i padł na ziemię. Gdy dotarłem do niego, wciąż jeszcze żył, choć nie trwało to długo. Nigdy nie zapomnę jego oczu. Zdawały się pytać: „Dlaczego”? Stało się dla mnie wówczas jasne, że taka sytuacja ma tylko dwa rozwiązania. Nie było miejsca na uczucia. Tylko przez chwilę pomyślałem, że ten młody Rosjanin miał matkę i rodzinę. Musiałem go pozostawić, podobnie jak tylu innych po obu stronach, którymi nie miał się kto zająć.

Po około 50 kilometrach wyszliśmy z zalesionego terenu. Nie napotkaliśmy oporu. Przed nami leżała niewielka wioska, do której zbliżaliśmy się wolno. Mieszkańcy wyszli ze swych chałup. Wydawali się uznawać nas za Rosjan. Gdy wyjaśniłem, kim byliśmy, podeszła do mnie drobna staruszka.

— Jest wojna? — zapytała. — Jak ma się nasz ojczulek car?

Okazało się, że ludzie ci nie wiedzieli o rosyjskiej rewolucji.

o Stalinie ani o naszej wojnie z Rosją. Tutaj czas stał w miejscu. Nie było tu partyjnego funkcjonariusza. Pozostaliśmy w wiosce przez kilka godzin i próbowaliśmy wytłumaczyć jej mieszkańcom, co się wydarzyło na świecie od czasu, gdy Rosja straciła swego cara. Gdy opuszczaliśmy wioskę, dostałem od starszego wioski w prezencie ikonę ze słowami:

— Dziękujemy za wasze zrozumienie. Pozwólcie nam żyć dalej tak, jak żyliśmy dotychczas. Niech was Bóg chroni.

kilometrów Rzeszy. Mój oficer zaopatrzeniowy, który ze swoją kolumną zaopatrzeniową dostarczał amunicję, żywność i części zamiennne powiedział mi, że tworzone są składy oraz naprawiane

poł. kol. Czas jednak uciekał. Wciąż byliśmy ponad 200 kilometrów od Moskwy, naszego najważniejszego celu, nie mówiąc już o ostatecznym celu, czyli górach Ural, które leżały 2000 kilometrów dalej na wschód. W dowództwie dywizji dowiedziałem się co nieco o sytuacji ogólnej.

Nasze wkroczenie do Rosji zostało opóźnione niemal o dwa miesiące, ponieważ Hitler musiał pomóc Włochom w Grecji jednocześnie zając się rozwijającą się partyzantką na Bałkanach. Na południe od nas Guderian atakował w kierunku Kaługi, ledwie 200 kilometrów na południe od Moskwy, z zadaniem przecięcia w Tulę drogi łączącej Moskwę z Krymem. Zbliżała się rosyjska zima, a Wehrmacht nie był na nią przygotowany. Hitler i naczelne dowództwo brali zupełnie pod uwagę możliwości opóźnienia ataku aż do zimy. Moskwa, jak mówił dowódca dywizji, musiała zostać oskrzydłona tak szybko, jak to możliwe, a jej linie komunikacyjne na wschód przecięte. Ta wojna potrwa dłużej, niż byśmy chcieli — powiedział dowódca, podsumowując trzeźwą ocenę sytuacji. — Czasy blitzkriegu się skończyły.

Po obu stronach moskiewskiego szlaku jednostki pancerne przygotowywały się do ataku na Wiaźmę. Mimo zaciętego oporu miasto zostało oskrzydłone od północy i południa. Także i tu został zamknięty kocioł na wschodnich obrzeżach miasta. Straty były duże po obu stronach. Mój wierny Beck został ranny. Dzięki Bogu lekko, ale wystarczyło, by otrzymał odznakę za zranienie w walce.

Jeszcze raz kocioł musiał zostać oczyszczony przez piechotę, która posuwała się powoli wyczerpana długimi przemarszami. Jednostki pancerne zapewniały osłonę od wschodu. W każdym punkcie Potykaliśmy silniejszy niż dotychczas opór. A Moskwa leżała w zasięgu ręki

— według naszych ustaleń — trafił do niewoli. Skąd pochodziły tysiące rosyjskich dział i czołgów? Od pojmanego rosyjskiego oficera dowiedzieliśmy się, że Stalin błyskawicznie ewakuował zakłady przemysłowe z okolic Moskwy i te położone bardziej na południe nad Wołgą aż za Ural. Niezwykłe osiągnięcie lo gistyczne.

Niezmiennie trzymaliśmy się planu zdobycia Moskwy. Upadek Moskwy, serca ogromnego imperium, powinien wyrzucić duży efekt psychologiczny na armię i rosyjskich cywilów.

Podczas gdy na północy Leningrad został okrążony, na południu zaś był prowadzony atak na szerokim froncie w kierunku Charkowa i Krymu, nasz korpus pancerny miał za zadanie uderzyć na północny wschód, na obszar między Moskwą a Kalininem, miastem leżącym w północnym biegu Wołgi. Celem było sforsowanie kanału Moskwa-Wołga i uderzenie od północy na zaplecze Moskwy.

Nadeszła już jesień, gdy wywalczyliśmy sobie drogę przez mocno bronione bezdroża do Wołkołamska, miasta leżącego około 100 kilometrów od Moskwy. Tam teren zapewniał naturalną linię obrony dobrze obsadzoną przez Rosjan. Ponownie robiliśmy długie przerwy, oczekując na dostarczenie paliwa i amunicji. Moje dwa bataliony otrzymały uzupełnienia w miejsce poniesionych strat. Młodzi żołnierze musieli najpierw przywyknąć do trudnych warunków. W domu słyszeli jedynie o „wspaniałym parciu naprzód” i że „Rosja zostanie niedługo pokonana”.

Tymczasem nadszedł październik i ruszyliśmy ponownie do ataku, przelamując rosyjskie linie koło Wołkołamska. Natarliśmy na Klin, miasto na ważnej autostradzie Moskwa-Kalinin-Leningrad. Po ciężkich walkach Klin został zdobyty. Oznaczało to odcięcie Moskwy od Leningradu. Inna dywizja pancerna osiągnęła i opanowała Kalinin. Piechota podciągnęła tymczasem i przejęła zadanie osłony tej ważnej drogi.

powiedzie, utworzy pan na wschodnim brzegu przyczółek i będzie czekał na resztę dywizji. Musi pan spodziewać się silnych kontrataków. Nadchodzi zima. Musimy przedtem osiągnąć nasze cele.

Adiutant dowódcy wziął mnie na stronę.

Luck, niech to zostanie między nami. Rommel poprosił, by przejął pan 3. Pancerny Batalion Rozpoznawczy w Afryce Północnej. Nadszedł taki właśnie rozkaz z personalnego. Generał nie chce pana puścić w takiej chwili. Oprotestuje rozkaz i nie wspomni o nim panu. Chciałem jednak, by pan o nim wiedział.

Byłem zaskoczony. Jakim cudem Rommel poprosił o mnie osobiście? W kraju musiało być dość dowódców w tak zwanej rezerwie oficerów. Zmiana Moskwy na Trypolis zapierała dech w piersiach. Na razie jednak nic nie było wiadomo oficjalnie. Przed nami było tylko jedno: kolejny trudny atak.

Następnego ranka ruszyliśmy jeszcze przed świtem. Było już wyraźnie zimno. Z zasłoniętymi przednimi reflektorami, które dawały jedynie promień światła, dzięki czemu ci z przodu i z tyłu mogli się rozpoznać, parliśmy naprzód bocznymi drogami. Tuż po świcie dotarliśmy do kanału. Na wschodnim brzegu leżało miasteczko Jachroma. Nie było widać ani słyhać nieprzyjaciela. Wysunięte patrole odkryły, że most jest nietknięty, i natychmiast przejechały na wschodni brzeg. Niespodziewanie usłyszeliśmy z miasta odgłosy chaotycznego ognia, a potem oddalający się dźwięk silników. Natychmiast rzuciłem naprzód oba bataliony i zająłem miasteczko w pośpiechu opuszczone przez Rosjan.

Wydałem rozkazy:

— Miasteczko ma być natychmiast przeszukane. Batalion motocyklowy wsparty samochodami pancernymi ubezpieczy podejścia do miasteczka. Przyczółek musi być utrzymany za wszelką cenę.

— Jakie miłe przyjęcie! — wykrzyknąłem. Pojawił się wówczas właściciel małego zajazdu i wyjaśnił, że przygotował śniadanie dla rosyjskiego dowódcy. Musiał jednak pozostawić posiłek, gdy tak niespodziewanie pojawiliśmy się w miasteczku. Głodni i za dowoleni zasiedliśmy do śniadania. Miało ono dla mnie później zaskakujące skutki.

Nasz mały przyczółek nie został zaatakowany, co było dość dziwne. Nadeszła dywizja i powiększyła go. Do akcji weszły czołgi i artyleria. Droga na południe i południowy wschód do Moskwy stała otworem.

Z tyłu podeszła piechota i przejęła obronę drogi łączącej Moskwę z Leningradem. Kilka lat potem w niewoli rosyjskiej spotkałem „Kóbesa” Witthausa, a gdy spotkałem go ponownie w 1984 r., powiedział mi: „Ja też byłem blisko Moskwy tej zimy. Nasza 35. Dywizja piechoty została rzucona do walki o tę drogę z Kalinina do Moskwy. Wraz z patrolem przedarłem się aż do przedmieść Moskwy. Tam zostaliśmy odcięci, lecz udało nam się ukrywać przez dwa dni, aż rosyjski kontratak zmusił nas do odwrotu”.

Tak blisko zatem udało się niemieckiemu Wehrmachtowi podejść do głównego celu. Pomogły w tym nasze jednostki pancerne, które żywiołowo parły naprzód.

Pod koniec października nadeszła zima. Każdego dnia temperatura spadała poniżej zera. Zaczął padać w niewyobrażalnych ilościach śnieg. Bardzo utrudnił nam życie. Jedyną zaletą było to, że błotniste i pełne kurzu drogi zmieniły się teraz w twarde trakty. Śnieg wyrównał koleiny i dziury.

Jak wspominałem, Wehrmacht był zupełnie nieprzygotowany na działanie w warunkach zimy. Wzdłuż całego frontu północnego i środkowego wszelki ruch oddziałów został zatrzymany przez śnieg. Najgorzej miała się piechota i motocykliści, ponieważ nie mieli żadnej osłony. Ku naszej konsternacji

Przebieg wojny. Główny Front Wschodni. Wiosna 1942 r.

Przeczuwaliśmy katastrofę i wspominaliśmy los Napoleona. W kraju doniesienia z Rosji były tak alarmujące, że natychmiast podjęto działania w celu dostarczenia na front zimowego wyposażenia. Goebbels wezwał społeczeństwo, by pomogło dzielnym żołnierzom na froncie podarunkami:

„Niemcy, podarujcie swoje narty, zimowe ubrania, futra i ciepłą bieliznę
waszym synom i
mężom na front

Jak dowiedzieliśmy się z kraju, akcja rozpoczęła się natychmiast. Z punktów zbiorów dary przekazywano dalej. Jak można było się jednak spodziewać, urzędy zaopatrzeniowe i składy były tak zbiurokratyzowane, że w większości nie potrafiły przekazać darów pod właściwy adres. Tak więc do niektórych czołgów dostarczono sanki i narty, podczas gdy cenne futra były często przejmowane przez służby tyłowe, które i tak siedziały w ciepłych rosyjskich chatach. Radziliśmy sobie sami, jak umieliśmy, rekwirując ciepłe skóry owcze, by wydać je naszym motocyklistom i grenadierom. Nieprzygotowanie do prowadzenia działań w warunkach skrajnych mrozów miało katastrofalne skutki dla naszych czołgów i pojazdów kołowych. Letni olej był zbyt rzadki, a woda w chłodnicach zamarzała natychmiast. Wkrótce musieliśmy roztopiać lód codziennie rano lampami lutowniczymi oraz zdobywać wrzątek, gdy tylko zbliżyliśmy się do jakiegś wioski. W przeciwnym razie musieliśmy pozostawiać silniki pracujące przez całą noc. Żaden mieszkaniec zachodniej czy południowej Europy ani Ameryki nie potrafi wyobrazić sobie, co to znaczy walczyć w temperaturze rzędu 40 stopni poniżej zera oraz podczas zamieci śnieżnych.

Ponieważ spodziewałem się, że prędzej czy później
zostanę
przeniesiony do Afryki Północnej, poprosiłem Becka, by zadbał
o mercedesa, którym zamierzaliśmy odbyć niemal 2000-kilometrową
Podróż do kraju Minek dwa dni zanim Beck wrócił z kompanii

Na północ od Jachromy oddziały rosyjskich narciarzy przeniknęły między Klinem i Kalininem i zagrażały nam odcięciem.

— Przychówek trzeba opuścić — powiedział dowódca dywizji;

— Nie damy rady utrzymać takiego frontu. Tej nocy oderwie się pan od nieprzyjaciela i zabezpieczy odwrót dywizji na wschód od Klina na główną drogę Moskwa-Leningrad. Nasza piechota wycofuje się na nową pozycję obronną na północ i południe od Wołkołamska. Nasza dywizja przeprowadzi działania opóźniające, po czym także wycofa się na te pozycje.

Generał spojrział na mnie znad okularów.

— Łuck, można się było tego spodziewać. Hitler sięgnął za daleko. Teraz wszyscy będziemy musieli za to zapłacić, zwłaszcza biedna piechota i grenadierzy. Niech pan wspiera swych ludzi tak, jak pan potrafi. Wielu z nich spanikuje i będzie się starało ratować za wszelką cenę. Oderwanie się, niech pan nie wspomina o odwrocie, musi się udać i uda się, jeśli wszyscy zachowamy rozsądek. Stracimy wiele sprzętu, ale najważniejsze, by uratować ludzi. Wszystko w ręku Boga, Łuck.

Chociaż katastrofa widniała na horyzoncie, nie mogłem tego pojąć. Po raz pierwszy od zakończonych sukcesem wojen błyskawicznych wycofywaliśmy się w trudnych warunkach. Pokonały nas śnieg, mróz, lodowaty wiatr i nieprzyjaciel, który znał klimat i nie rezygnował. Nie sposób było uniknąć porównań z Napoleonem. Przypominałem sobie ilustracje z podręczników do historii, jak to żalosne resztki dumnej niegdyś armii przeprowały się przez Berezynę.

Żołnierze, podobnie jak większość oficerów, nie zdawali sobie w pełni sprawy ze skali tego, co się stało. Dla nich znaczenie miały inne problemy: jak wycofać pojazd w jednym kawałku, jak zabezpieczyć się przed bezlitosnym chłodem?

Hitler i Goebbels nadal utrzymywali, że Wehrmacht jest zwycięski. Mój

gotowania. Stopniowo pojedyncze oddziały naszej dywizji odrywały się i opuszczały okolice Klina i Jachromy. Pozostałem z moimi dwoma batalionami wokół miasteczka. Rosjanie nie byli w tym miejscu zbyt aktywni. Woleli omijać nas od północy i południa Wreszcie także i my porzuciliśmy wschodni brzeg kanału Moskwa-Wołga, podczas gdy rozrzucone wachlarzem wozy pancerne cały czas pilnowały kierunku wschodniego, na ile pozwalał na to śnieg i stan dróg.

W wielkim pośpiechu odśnieżono dwie drogi odwrotu. W rezultacie bu ich stronach powstały ogromne zasy uniemożliwiające Łkolwiek objazdy.

Poza intensywnymi działaniami rozpoznawczymi nieprzyjaciel nie prowadził bezpośredniego pościgu. Bardzo zacięcie próbowano natomiast atakować wycofujące się oddziały starymi dwupłatowcami i lekкими bombowcami. Naszych własnych sił powietrznych prawie nie było widać. Najwyraźniej samoloty zostały wycofane z wysuniętych lotnisk bardziej na zachód lub też mróz i śnieżyce uniemożliwiły ich wykorzystanie.

Niszczące skutki nieprzyjacielskich nalotów były duże. Ponieważ nie można było uciec z dróg, a Rosjanie zawsze nadlatywali ze wschodu, czyli z tyłu cofających się, pierwsza ucierpiała piechota. Następni ofiarami były tabory i artyleria o trakcji konnej.

W krótkim czasie wąskie drogi były zablokowane trupami koni i wrakami pojazdów. Żołnierze przedzielali się dalej na zachód pieszo, często atakowani z boku przez patrole rosyjskich narciarzy.

Ponieważ stanowiliśmy straż tylną i cofaliśmy się po dłuższej przerwie, mogliśmy przy tym używać naszych działek przeciwlotniczych, nie byliśmy więc aż tak niepokojeni. Jednego razu zostaliśmy jednak zaatakowani z powietrza. Niezauważony, lecący bardzo nisko przestarzały myśliwiec, podkradł się od tyłu. Dwa pociski przeleciały między Beckiem a mną i przebiły przednią szybę. Mieliliśmy szczęście.

Na zachód od autostrady Moskwa-Leningrad także i my musieliśmy

Był to koszmarny widok. Wzdłuż drogi leżały martwe konie oraz zabici i ranni żołnierze. Ranni błagali: „Zabierzcie nas albo zastrzelcie”. Wzięliśmy tyłu, ilu mogliśmy na nasze ciężarówki zaopat rzeniowe, dostarczając do naprędce zorganizowanych punktów opatrunkowych. Biedacy. Chroniący stopy przed mrozem jakimis szrna tam i byli już tylko cieniem tych, którzy maszerowali przez Polskę i Francję.

Zaopatrzenie docierało do nas z trudnościami, a niekiedy w ogóle. Kierowcy ciężarówek musieli przedzierać się przez rzekę wycofujących się jednostek. Jeśli nie dotarli, zaczynało nam brakować paliwa. Jedyne, co mogliśmy wówczas zrobić, to zatankować nasze wozy bojowe, które były najcenniejsze. Inne trzeba było zniszczyć lub pozostawić. Sprawdziło się powiedzenie: *Man, horse and truck by the lord were struck**.

Żołnierze myśleli tylko o jednym — o schronieniu się na przygotowanych pozycjach. Za żadną cenę nie chcieli pozostać z tyłu i wpaść w ręce Rosjan.

Martin Tarnów, kapelan naszej dywizji, w swych zapiskach zatytułowanych „Ostatnie godziny” opisał cierpienia i śmierć wielu żołnierzy.

„Wody, Wody! Niektórzy ranni leżeli w czymś w rodzaju stodoły, wśród nich było kilku Rosjan. W obliczu śmierci nikt nie był już wrogiem. Co chwila słychać było przeszywający krzyk Rosjanina: «Wody! Wody!». Dałem mu moją manierkę. Opróżnił ją z wdzięcznością jednym haustem. Gdy podniosłem jego koc, ujrzałem przesiąknięty krwią opatrunek. Ranny w brzuch. Żadnych szans. Nie rozumieliśmy się wzajemnie, niespodziewanie jednak chwycił mój srebrny krzyż. Może i w domu jego rodziców wisiał na ścianie krzyż? Pomyślałem o ukrzyżowanym Chrystusie, który powiedział: «Dziś będziesz ze mną w raju». Nie trwało długo puścił mój krzyż. Zmarł bardzo szybko. Wierzę, że znalazł pocieszenie”.

Po kilku tygodniach, które wydawały się nam wiecznością, pełnych nieszczęść i doświadczeń, dotarliśmy nareszcie na przygotowane pozycje pod

Moskwy- Przeszliśmy przez pozycje obsadzone przez piechotę, by zreorganizować się kilka mil za nimi. Prymitywne chaty chłopskie wydawały się nam luksusowymi apartamentami. Wdzięczni losowi, że udało nam się wyrwać z piekła, położyliśmy się na piecu koło kilku pozostałych w wiosce staruszków, pragnąc tylko jednego: spać.

Pojawiły się pierwsze uzupełnienia: żołnierze lepiej wyposażeni sna urową rosyjską zimę, pojazdy, paliwo, żywność, której od dawna brakowało, i poczta z kraju. Przypomniało nam to, że właśnie minęło Boże Narodzenie i zaczął się nowy rok. Co miał nam przynieść rok 1942?

W połowie stycznia zostałem wezwany do dowódcy dywizji. Generał von Funk przywitał mnie szczególnie wylewnie.

— Łuck, mam dla pana dwie ważne wiadomości. Przedstawiłem pana do Krzyża Rycerskiego. Kilka tygodni temu Hitler ustanowił nowe odznaczenie — Krzyż Niemiecki w złocie, który zajmuje miejsce między Krzyżem Żelaznym I klasy a Krzyżem Rycerskim. Wnioski o przyznanie Krzyża Rycerskiego zostały zatem zamienione. W imieniu Fuhrera mam zaszczyt odznaczyć pana tym nowym orderem za męstwo w obliczu nieprzyjaciela.

Byłem zszokowany: była to wielka i niezgrabna gwiazda z przerośniętą swastyką w środku, którą miałem nosić z prawej strony na piersi. Generał uśmiechnął się.

— Ładna i efektowna, nieprawdaż? I tak chcę panu pogratulować.
— jego słowa pełne były ironii.

Natychmiast wymyśliliśmy nową nazwę dla tego potworka: smażone jajo Hitlera. Oprócz wizyt w dowództwie nigdy nie nosiłem tego orderu.

— Teraz druga wiadomość, Łuck. Został pan przeniesiony ze skutkiem natychmiastowym do Afrika Korps, gdzie przejmie pan 3. Pancerny Batalion Rozpoznawczy. Muszę się panu przyznać, że rozkaz ten leży u mnie na biurku

adiutant, a jako dowódca sprawdził się znakomicie. Może pan pojechać pańskim ukochanym mercedesem. Proszę się najpierw zameldować w kadrach w Berlinie. Tuż przed wyjazdem niech pan jeszcze do mnie wpadnie. Odpowiedni rozkaz wyjazdu wyda panu mój adiutant. Dziękuję jeszcze raz za wszystko i życzę panu wszystkiego dobrego na przyszłość.

Wieść o moim przeniesieniu spadła na moich oficerów i żołnierzy jak grom z jasnego nieba. Przecież walczyliśmy razem od początku wojny, dzieliliśmy radości i smutki, zżyliśmy się ze sobą.

Morale żołnierzy znowu było lepsze. Chociaż warunki nie poprawiły się, te dni odpoczynku miały pewien korzystny wpływ.

Planowałem wyjechać 25 stycznia 1942 r. Beck oddał mercedesa do przeglądu i załatwił żywność na kilka dni oraz kilka kanistrów benzyny. Jak zwykle między mężczyznami, nikt nie okazywał uczuć przy pożegnaniu. Wymieniliśmy kilka żartów, po czym udałem się ponownie do dowództwa dywizji, gdzie pożegnałem się i odebrałem rozkaz wyjazdu: „Cel: Berlin. Kapitan von Łuck ma otrzymać wszelką pomoc od wszystkich posterunków służbowych”. Z sekcji zaopatrzeniowej odebraliśmy pocztę z domu, od lekarza zaś dostałem trochę pervitinu. środka pobudzającego. Ostatnią osobą, z jaką się pożegnałem, był starszy sierżant sztabowy Kuschel z mojej starej kompanii.

Powiedziałem Beckowi:

— Będziemy jechać, nie zatrzymując się, aż opuścimy Rosję. Będziemy zmieniać się co 100 kilometrów, brać pervitin i zatrzymywać się tylko po paliwo.

Po blisko 200 kilometrach zatrzymaliśmy się po raz pierwszy, by zatankować w jednostce zaopatrzeniowej.

— Nie mamy zezwolenia na wydawanie paliwa pojedynczym pojazdom — powiedział „srebrniak”, jak nazywaliśmy żołnierzy służb tyłowych ze

Byliśmy obrzydzeni życiem za naszymi liniami. Po oddziałach zaopatrzeniowych armii nadeszli pierwsi funkcjonariusze partyjni, i przejęli cywilną kontrolę i traktowali mieszkańców, którzy początkowo witali nas jak wyzwolicieli, w sposób nakazany przez partię i ministra propagandy Goebbelsa, jako podludzi z niższej rasy.

Nikt nie zwrócił na nas uwagi, gdy pojawiliśmy się, zmęczeni i nieogoleni, naszym pomalowanym na biało samochodem. Każda wioska i każdy most były pilnowane przez starych poborowych. TYLko raz, gdy po raz kolejny okazałem rozkaz wyjazdu, stary rezerwista zapytał mnie:

— panie kapitanie, przyjechaliście „stamtąd”? Jak wygląda sytuacja? Nam nie mówią nic pewnego. Mam syna w piechocie. Od tygodni moja żona nie miała o nim wieści. Proszę, niech mi pan powie prawdę, bardzo się martwimy.

Próbowałem trochę pocieszyć starego rezerwistę.

Z rejonu Wołkołamska jechaliśmy na zachód bocznymi, ledwie odśnieżonymi drogami, by możliwie szybko dotrzeć do autostrady Moskwa-Mińsk.

Z obu stron słyszeliśmy odgłosy artylerii, które słabły wraz z każdym kilometrem. Potem nastąpiła zupełna cisza. Żadnych odgłosów walki, tylko nieliczne pojazdy zaopatrzeniowe zmierzające na wschód. Nasza podróż była nawet przyjemna. Jechaliśmy przez szerokie, pokryte śniegiem równiny, przez pokryte głębokim śniegiem lasy i przez opuszczone wioski. Burza śnieżna, która deptała nam po piętach, natychmiast pokrywała ślady opon. Jechaliśmy z opuszczonym dachem, by łatwiej wypatrywać rosyjskich samolotów. Beck trzymał w gotowości na kolanach pistolet maszynowy. Wszystko wydawało nam się nierealne. Jechaliśmy przez dziewiczy kraj, którego nikt nie mógł objąć ani pojąć.

Beck i ja byliśmy zatopieni w myślach i rozkoszowaliśmy się spokojem.

Na szlaku ruch był większy, co przywróciło nas do rzeczywistości Szlak omijał od północy Wiaźmę i Smoleńsk. Oparłem się pokusie ponownych odwiedzin w smoleńskim soborze. Także i tam musie]; już się zadomowić nazistowski funkcjonariusze.

Zdecydowałem, że będziemy wracać drogą, którą nacierałimy Z jednej strony już ją znałem, z drugiej zaś byłem ciekaw jak wygląda teraz. Nie zbaczaliśmy przez to zbyt wiele z drogi do Berlina.

Jechaliśmy dzień i noc, zmieniając się za kierownicą. Na północ od Mińska skręciliśmy ze szlaku na Wilno, stolicę dawnego państwa bałtyckiego Litwy, która została zajęta w 1940 r. jako radziecka republika — prezent dla Stalina za pakt o nieagresji.

Licznik wskazywał, że jak dotychczas pokonałimy około 1000 kilometrów. Nie wiedzieliśmy już wówczas, ile dni i nocy jechaliśmy. Stopniowo przestał pomagać nawet pervitin. Byliśmy nieludzko zmęczeni, próbowaliśmy więc pokonać senność, śpiewając lub opowiadając sobie różne historie.

— Beck, Wilno to nie Rosja. Litwa jest bardziej częścią Europy niż wschodu. Przejedziemy jeszcze te 200 kilometrów i zanocujemy tam.

Pokryte śniegiem drogi zostały ubite na skutek intensywnego ruchu pojazdów. Mercedes jechał gładko i bezgłośnie. Wreszcie, późnym popołudniem, dojechaliśmy do celu. Jak zwykle było tam miejscowe dowództwo niemieckie. Natknęliśmy się na wyrozumiałego oficera rezerwy, który przydzielił nam pokój w hotelu Regina. Rzuciliśmy się na łóżka. Po raz pierwszy od ośmiu miesięcy miałem spać w łóżku i wziąć prawdziwą kąpiel. Dopiero wówczas zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy już na froncie rosyjskim. Napięcie ostatnich tygodni zaczęło z wolna ustępować.

— Beck, wykąpiemy się, zgolimy brody i pójdziemy do restauracji na kolację. Potem się dobrze wyśpimy.

daliśmy kartki otrzymane w dowództwie i położyliśmy się spać.

Obudziłem się późno następnego ranka.

Wstawajcie, Beck. Jedziemy dalej, do Berlina, jak szybko się da. Nic nas tu nie trzyma

Przed nami było kolejnych 600 kilometrów. Wreszcie, po dwóch dniach jazdy przez Grodno, Warszawę i Poznań, dotarliśmy do Berlina.

Okres przejściowy 1942 r.

Naszym pierwszym celem była Sekcja Uzupelnień 3 w Stahnsdorf koło Berlina, która miała być naszą bazą do czasu wyruszenia do Afryki. Sekcje uzupełnień były odpowiedzialne za szkolenie nowych żołnierzy dla jednostek frontowych. Były też ośrodki dla rannych i dla urlopowanych, którzy oczekiwali na nowe przydziały. Oficerowie i podoficerowie, którzy z powodu ran nie byli już zdolni do służby liniowej, jak to określano, służyli jako instruktorzy, aby przekazać swoje doświadczenie.

Zameldowałem się do dowódcy sekcji uzupełnień, który przywitał mnie z radością.

— Wreszcie pan tu jest. Rommel i batalion czekają na pana od listopada. Ma pan natychmiast zameldować się do biura kadr. Otrzyma pan tam rozkazy wyjazdu i wszystkie niezbędne informacje.

Po pierwsze, przydzielili nam nocleg. Chciałem udać się do biura kadr następnego ranka. Najpierw jednak pojechałem z Beckiem do warsztatu samochodowego.

— Mercedes przetrwał kampanię rosyjską. Proszę zrobić mu przegląd i usunąć zimowy kamuflaż. Odbiorę go, jeśli wrócę z Afryki.

Beck miał do naszego wyjazdu nocować w koszarach, dbać o samochód i pilnować go.

Wczesnym rankiem następnego dnia pojechałem do Berlina przydzielonym mi przez sekcję uzupełnień samochodem z szoferem. Jakże zmieniło się to miasto od mojego ostatniego pobytu! Ludzie byli przygnębieni i zastraszeni. Wieści dochodzące z frontu wschodniego, coraz częstsze naloty,

rodzaju. W nocy domy i ulice musiały być zaciemnione. Berlin wydawał się wymarłym miastem.

Przyjaciele opwiadali mi, jak co noc sypiali na walizkach z najważniejszymi dokumentami i rzeczami, z apteczką przy boku, gotowi na pierwsze wezwanie pobiec do schronów. Benzyna była racjonowana, prywatne samochody niemal znikły. Kurfurstendamm, niegdyś pulsująca życiem i Unter den Linden teraz służyły jedynie pojazdom notabli, Wermachtu i organizacji partyjnych.

W biurze kadr, po dłuższych poszukiwaniach, znalazłem departament odpowiedzialny za Afrykę Północną.

Witamy w kraju! Po pierwsze, proszę dobrze wypocząć i się zaaklimatyzować. Oto pański przydział do małego hotelu przy Kurfurstendamm i rozkaz do wydziału umundurowania dla pana i pańskiego ordynansa na pobranie umundurowania tropikalnego. Gdzie chciałby pan spędzić przepustkę? Przygotuję dla pana odpowiednie rozkazy wyjazdu.

Zaprotestowałem:

Wiem, że Rommel prosi o mnie od listopada. Mój dowódca dywizji nie powiadomił mnie ani nie zwolnił. Chciałbym dostać się do Afryki tak szybko, jak to możliwe.

-Wiem, wiem — odpowiedział. — Sztab Rommla już został poinformowany, że dopiero co przybył pan z Rosji i potrzebuje odpoczynku. Proszę się u mnie zameldować pod koniec marca. 1 kwietnia będzie mógł pan pojechać. Gdzie zatem chce pan spędzić następne cztery tygodnie?

Najwyraźniej nic nie mogłem na to poradzić, toteż poprosiłem o przepustkę na dwa tygodnie do mojej matki i na dwa tygodnie do Paryża. Oficer uśmiechnął się.

Paryż nie jest zły — powiedział. — Ale sprawy nie są takie Proste. Muszę jakoś uzasadnić tę podróż.

Skoro więc nie mogłem od razu wyruszyć do Afryki, starałem się skorzystać z sytuacji. Gdy powróciłem do Stahnsdorf, natychmiast złożyłem prośbę o czterotygodniowy urlop także dla Becka.

Zanim pojechałem do matki we Flensburgu, który leży na granie duńskiej, chciałem odwiedzić kilku przyjaciół, o których nie słyszała od początku wojny. Udałem się do Giseli von Schkopp. Wciąż mieszkała w Poczdamie, gdzie niegdyś służyłem. To jej ślub z „pięknym Bernhardem”, jak na niego mówiliśmy, świętowaliśmy tak radośnie w majątku w Prusach Wschodnich. Powiedziała mi, że nie ma wieści od męża od kilku tygodni. Takie i on był na froncie wschodnim. Zjedliśmy posiłek i zrobiliśmy kawę z ziaren uzyskanych ze składu po drodze z Rosji. Nie mogliśmy jednak się nią nacieszyć gdyż nagle usłyszeliśmy jazgot dział przeciwlotniczych i wycie syren alarmowych. Po raz pierwszy miałem doświadczyć alianckiego nalotu na nasz kraj.

— Tak teraz jest prawie każdej nocy. Chodźmy do piwnicy
— powiedziała Gisela.

— Nie, nie zejdę do piwnicy za żadne skarby. Czuję się lepiej tu powietrzu, gdzie widzę, co się dzieje. Mogę się schować w razie potrzeby, jeśli bomby w ogóle spadną na Poczdam.

Wyszedłem na dwór. Była to poruszająca scena. Długie białe palce reflektorów badały niebo. Z oddali słychać było warkot bombowców i jazgot dział przeciwlotniczych. Atakowany był Berlin, nie Poczdam, który nie miał dla przeciwnika żadnego znaczenia strategicznego. Poszedłem do piwnicy po Giselę.

— Chodź i zobacz! Co za spektakl! Ile domów jednak obróci się w gruzy, iluż niewinnych ludzi zostanie pogrzebanych w piwnicach?

Zdałem sobie nagle sprawę, że o wiele trudniej było w rze czywistości ludności cywilnej w porównaniu z żołnierzami na froncie. Cywile byli przecież bezradni wobec nalotów. Zrozumiałem także, dlaczego nasi ranni,

zarerwowane dla wojska Cywile musieli pić erzac-kawę z jęczmienia lub inych zbórz.

Ponieważ byłem jednym z pierwszych, nie licząc rannych, którzy mogli opowiedzieć coś o froncie wschodnim, zadawano mi wiele pytań. Aby jeszcze bardziej nie przygnębiać moich przyjaciół, upiększałem rzeczywistość.

Los tych kobiet bardzo mnie poruszył. Wiele z nich wzięło ślub i zaszło w ciążę, a wkrótce straciło mężów na wojnie. Stały się wdowami, niemal nie zaznawszy prawdziwego życia ma łeńskiego. Z tego powodu zdecydowałem się w chwili wybuchu wojny że nie ożenię się aż do jej końca. Chociaż istniały wiązki i uczucia, które skłaniały mnie ku myśli o małżeństwie, trzymałem się swojej decyzji.

Życie nocne Berlina niemal zanikło. Werner Fink, wielki artysta kabaretowy, wciąż prowadził swój *Katakomben*. Jego kąśliwe poczucie humoru nie było w smak jednak Goebbelsowi. Uniknął aresztowania tylko dlatego, że Hermann Göring miał do niego słabość i sprawił, że powołano go do Luftwaffe.

Mimo radości z ponownego ujżenia przyjaciół nic mnie nie trzymało dłużej w Berlinie, toteż udałem się do domu matki we Flensburgu.

Chociaż Flensburg był bazą morską, nie był bombardowany.

9 lipca 1941 r. mój ojczym, którym opiekowała się od lat wiernie moja matka, zmarł na raka jelit. Uplynęły tygodnie, zanim wieść o tym dotarła do mnie do Rosji. Mój młodszy brat, zapalony wielorybnik, został powołany do marynarki i pływał na trałowcu, przerobionym ze statku wielorybniczego, gdzieś wzdłuż wybrzeży Norwegii. Tylko moja siostra Annelise była w domu i pomagała matce. Pod koniec 1942 r. została „powołana” i wysłana do Holandii do sztabu komendanta tamtejszego okręgu wojskowego. Nasze siedmiopokojowe mieszkanie zostało uznane za zbyt duże i kilka Pokoi zostało zarekwirowanych dla uchodźców.

Moja

Przyjemny krótki urlop spędzony w towarzystwie matki wkrótce dobiegł końca. Udałem się więc do Berlina odebrać mercedesa. Z rozkazami wyjazdu, pełnym bakiem paliwa i resztą zapasu kawy ruszyłem w drogę.

Podobnie jak wcześniej Berlinem także i Paryżem był rozczarowany. Zaopatrzenie bardzo pogorszyło się. W mieście aż kłębiło się od personelu administracji. Także i gestapo rozciągnęło swoją sieć nad Francją.

W sztabie natychmiast przydzielono mi pokój w jednym z zarekwirowanych luksusowych hoteli przy Polach Elizejskich. J. B. Morel i Clement Duhour bardzo cieszyli się z ponownego spotkania. Od Brytyjczyków i podziemia znali naszą sytuację na froncie wschodnim lepiej ode mnie i nie dawali nam większych szans na wygranie wojny. Wiele przyjemnych chwil spędziłem mimo wszystko w barze Clementa Le Chevalier. Chodziłem tam tylko po cywilnemu. Nie spotykało się tam Niemców. Odwiedziłem także Le Vesinet, gdzie stacjonowałem po kampanii francuskiej w 1940 r.

Opuściłem Paryż nieco wcześniej, niż planowałem. Nie czułem się już tam u siebie tak jak kiedyś. Cóż wojna zrobiła z miastem? *C'est la guerre*. Francuzi pogodzili się z nią i cieszyli już myślą, że wojnę przegramy.

W sekcji uzupełnień dowiedziałem się, że Beck także już powrócił. Jego również nic nie trzymało w domu dłużej. Była już połowa marca 1942 r. Surowa zima dobiegła końca. Uważaliśmy, że jesteśmy już wystarczająco zaaklimatyzowani, by udać się do Afryki.

Beck i ja poszliśmy do magazynu mundurowego armii po odbiór tropikalnego umundurowania. To, w co nas wyposażono, było nie do opisania. Można było się zorientować, że Niemcy po 1918 r. nic mieli już żadnych kolonii, dlatego też nie wiedzieli, co nadaje się do tropików. Wystarczyłoby po prostu zapytać naszych sojuszników Włochów. Ale nie, komisariat musiał zaprojektować ubiór tropikalny ściśle na pruską modłę: obcisły mundur z

koszulami dalej, podpisaliśmy odbiór wyposażenia i wróciliśmy do ktoszar na pokaz mody.

Ranni walczący w Afryce Północnej, czekający na nowy przydział opowiedzieli nam, jak prowadzili z Włochami handel, starając się zamienić część swego ubioru na bardziej odpowiednie mundury włoskie.

Opowiedzieli nam także o pierwszych walkach na pustyni,

o szybkim uderzeniu Rommla, którym zaskoczył Brytyjczyków

i o warunkach wojny pustynnej — o upale, burzach piaskowych

i zimnych nocach.

Wreszcie nadszedł czas wyjazdu. Otrzymaliśmy rozkazy wyjazdu

i 1 kwietnia 1942 r. wsiedliśmy do ekspresu Berlin — Rzym, w którym mieliśmy do swej dyspozycji cały przedział sypialny. Słuchając stukotu kół, wspominaliśmy nasz powrót z Rosji w śniegu

i lodzie. Jak szybko wszystko się zmieniło!

Spędziliśmy noc w Rzymie, który wydawał się zupełnie nieświadom wojny.

Od niemieckiego oficera łącznikowego dowiedzieliśmy się, że mieliśmy udać się pociągiem do Brindisi, stamtąd zaś przelecieć samolotem

Afryka Północna 1942 r. Rommel — „Lis Pustyni”

Z Brindisi poleciliśmy na Kretę, wyspę, na której wylądowali rok wcześniej nasi spadochroniarze, wśród nich Max Schmeling, idol niemieckiego boksu. Rozkoszowaliśmy się ciepłem wiosny.

Następnie rankiem 8 kwietnia 1942 r. wystartowaliśmy do Afryki Północnej *Junkersem 52* nazywanym pieszczotliwie „cioteczką *Ju*’*. Pozwolono mi siedzieć w kokpicie.

— Nad morzem musimy lecieć nisko — powiedział pilot. — Mimo naszej przewagi w powietrzu nad Morzem Śródziemnym krąży zawsze parę *Hurricaneow* i *Spitfire ow*. Nadlatują z Malty, która z jakiegoś zupełnie dla mnie niezrozumiałego powodu nie została jeszcze zaatakowana i opanowana.

W owej chwili nie myślałem o wojnie i o tym, co mnie czeka. Byłem zbyt pochłonięty czekającym mnie nowym kontynentem.

Niespodziewanie maszyna poszła w górę.

— Mieliśmy szczęście — śmiał się pilot. — Wkrótce będziemy lądować w Darnie.

Przed nami pojawiły się kontury Afryki: wąski pas nadmorski uprawiany przez Włochów z palmami daktylowymi, sadami oliwnymi, bielonymi domami kolonistów oraz długa, asfaltowa wstęga *via Balbia*. Dalej majaczyła pustynia.

— To pustynia kamienista — poinformował mnie pilot. — Sięga na 200 do 300 kilometrów w głąb, potem zaczyna się właściwa Sahara, z jej białymi wydhami. Te równiny poprzecinane skałami

i Libii żyjąc według własnych praw, bez żadnego państwa. Już wówczas wydawało mi się, że odczuwam coś w rodzaju tęsknoty, jaką odczuwa każdy, kto choć raz postawi stopę na pustyni. Miałem

nadzieję że znajdę czas na poznanie tego nowego środowiska

i żyjących w nim ludzi.

Wznosząc wielką chmurę pyłu, „cioteczka./«" wylądowała delikatnie na piaszczystym pasie startowym. Nawet o tej porze roku odrzucił nas południowy skwar. Cóż za kontrast wobec lodowatych rosyjskich zamieci.

___ . jestem kapral Manthey — przedstawił się mężczyzna w wypłowiałym mundurze. — Major von Łuck, jak sądzę? — jego czysty, berliński akcent był muzyką dla mych uszu i przywołał wspomnienia moich poczdamskich lat. — Przyjechałem pana odebrać. Już na pana czekają.

Beck i ja czuliśmy się jak żółtodzioby w naszych nowych mundurach. Przepakowaliśmy bagaże.

— Dziękujemy za odebranie nas, Manthey, ale po co nam w tym upale grube płaszcze?

— Przydadzą wam się bardzo. W nocy jest cholernie zimno. Zdobędę dla was coś z włoskiego umundurowania. Oni wiedzą, czego tu używać.

Szyba *Kubelwagena* była złożona na płask i przykryta, by uniknąć refleksów słońca.

— Mam pana zabrać najpierw do Rommla, zanim pojedziemy do dywizji i do batalionu.

Wszyscy mówili tylko „Rommel”, nie generał. Tak był popularny wśród swoich żołnierzy. Był jednym z nich.

Po drodze Manthey opowiadał nam o bitwach z poprzedniego roku, jak je zapamiętał. Mówił o „ojcu” batalionu rozpoznawczego, Podpułkowniku hrabim von Wechmarze, jego popularności, sukcesach

i o tym, jak był dumny jako pierwszy, który wylądował na lądzie

— Jeden z nas musi uważać na samoloty. Zwykle nadlatują od tyłu
Zajął się tym Beck.

Nagle zjechaliśmy z drogi. Nie widać było żadnej ścieżki ani szlaku. Ślady opon były usuwane natychmiast dla zamaskowania pozycji sztabu. Zatrzymaliśmy się także niespodziewanie. Sztab Rommla. Wszystkie pojazdy były rozproszone i dobrze zamaskowane. W środku stała ogromna ciężarówka.

- Oto „mamut”. Zdobyliśmy go na Brytyjczykach i przerobiliśmy na wóz dowodzenia Rommla.

Dostrzegłem kilka ośmiokołowych samochodów pancernych. To były nowe, szybkie wozy rozpoznawcze, których nie mieliśmy jeszcze w Rosji.

Byłem dość zdenerwowany. W końcu nie widziałem Rommla od czasu kampanii francuskiej w 1940 r. Zabrał mnie do niego jeden z adiutantów. Jego ostra twarz była mocno opalona, sprawiając, że wyglądał jak okaz zdrowia. Był u szczytu swej kariery i wyraźnie cieszył się ze swej światowej już sławy. Był w doskonałym humorze

i wyraźnie cieszył się z mojego przybycia.

— Panie generale, melduję się w Afrika Korps — powiedziałem.

— Cieszę się, że pan tu jest — odparł. — Już dość długo czekałem. Niestety, musiałem odesłać Wechmara do Niemiec, zachorował. Przejmuje pan mój ulubiony batalion, będzie pan z niego dumny.

Następnie, w typowy dla siebie sposób, przeszedł od razu do sedna.

— Przybył pan dokładnie we właściwym momencie. Przygotowuję nową ofensywę, by wyprzedzić Brytyjczyków. Pański batalion odegra w niej ważną rolę. Gause, mój szef sztabu, wprowadzi pana w sytuację. Potem proszę zameldować się w pańskiej dywizji. Jak się ma moja stara 7. Dywizja Pancerna? Było źle w Rosji?

Zdałem mu krótką relację i odmeldowałem się. Był to początek nowej fazy.

Generał Gause, szef sztabu Rommla, z którym miałem mieć wiele do

decydujący. Dodatkowo drażni go niemrawe prowadzenie przez Włochów wojny morskiej. W marcu na przykład zamiast żądanych 60 000 ton zaopatrzenia dotarło tylko 18 000.

niem Rommla szansa na zwycięstwo w Afryce została już zmarnowana. Mimo ciężkich strat zadawanych przez nasze U-Booty mimo że zaopatrzenie biegnie liczącą 12 000 mil drogą morską Brytyjczycy dostarczają na front wystarczającą ilość.

Nie brzmiało to zbyt pocieszająco. Jednak Rommel wydawał się zdecydowany ponownie zmienić sytuację na swoją korzyść. Miał nadzieję zająć Tobruk niespodziewanym uderzeniem i wedrzeć się głęboko do Egiptu, o ile uda mu się uprzedzić Brytyjczyków.

Odmeldowałem się.

Manthey, musimy teraz jechać do dywizji (była to 21. Dywizja pancerna), a potem do batalionu.

Dobrze, panie majorze. Musi pan być w dobrych stosunkach z Rommlem, skoro powitał pana osobiście — odparł Manthey.

Powiedziałem mu kilka rzeczy o Rommel.

— Cóż — powiedział — to niezwykle, by sprowadzać kogoś tutaj z Rosji. Nasz dowódca von Wechmar to wspaniały facet. Jego syn Riidiger, młody porucznik, także jest z nami od kilku tygodni. To tradycja. Poradzi pan sobie, panie majorze.

Dowództwo dywizji było dobrze zamaskowane wśród palm i drzewek oliwnych. Generał von Bismarck powitał mnie przyjaźnie. Był moim dowódcą w Prusach Wschodnich w 1930 r. na początku mojej kariery wojskowej. Podobnie jak wielu tych, którzy służyli na pustyni, wyglądał na wychudzonego. Bezlitosny upał w ciągu dnia, lodowaty chłód nocą, burze piaskowe, miliony much i zacięte walki pozostawiły swój ślad.

— Witam pana serdecznie, Luck, nie widzieliśmy się dwanaście lat.

daleko na południe, zapobieżenie jakimkolwiek próbom oskrzydlenia, lub zgłoszenie takowych oraz prowadzenie ataku.

— Brytyjczycy tymczasem mocno ufortyfikowali swą pozycję koło Gazali — kontynuował. — Założyli wielkie pole minowe, około 500 000 min, od wybrzeża do Bir Hachiem, oazy na południe od Tobruku, rozbudowanej przez Włochów. Bir Hachiem jest bronione przez oddziały francuskie generała Koeniga. Za tą barierą obronną Brytyjczycy przygotowują się do przejścia do ofensywy, gdy tylko zgromadzą wystarczająco dużo sprzętu i zaopatrzenia. To właśnie jest to ich działanie, które Rommel ma zamiar uprzędzić. Musimy zatem być niezwykle czujni, by upewnić się, czy Brytyjczycy nie oskrzydlą naszej flanki głęboko na południe od Bir Hachiem. Uważać na to i zapobiec temu to pańskie zadanie, Łuck, nie licząc innych.

Opuściliśmy zieleni Cyrenajki, udając się na południe. Manthey znał drogę. Zazwyczaj podróżowało się po pustyni, kierując się tylko kompasem, który był najważniejszym instrumentem — każdy nosił go przy sobie.

Wznosiliśmy za sobą ogromną chmurę pyłu, która otaczała nas, gdy tylko musieliśmy hamować.

Pustynia lśniła. W oddali często trudno było określić, czy widoczne „coś” było pojazdem, czy jedynie krzewem akacji.

Niespodziewanie pojawił się, widoczny zaledwie w odległości paru metrów, *wadi* — jedno z wielu koryt wyschniętych rzek, w których, rozproszony, rozlokował się mój batalion.

Kapitan Everth, który dowodził batalionem, oraz kilku innych oficerów czekali, by mnie przywitać: prawidłowo, lecz z pewną rezerwą, jak mi się wydawało. Trudno było zastąpić „starego” von Wechmara.

Udaliśmy się do wozu dowodzenia, przerobionej ciężarówce Opel „Blitz”. Jak wyjaśnił mi Everth, wszystkie pojazdy zostały wyposażone w specjalne olejowe filtry przeciwpylowe. Wiele ciężarówek miało opony bez bieżników,

Poprosiłem wszystkich oficerów, abym mógł się z nimi zapoznać.

Ponownie czułem się nie na miejscu w moim nowym mundurze tropikalnym, ponieważ wszyscy pozostali oficerowie nosili wypłowiałe mundury, z których byli bardzo dumni, albo luźne włoskie spodnie lub koszule. (Dobry stary Manthey zorganizował dla mnie coś podobnego w ciągu następnych kilku dni).

znam wasz batalion z czasów przedwojennych, gdy służyłem w Poczdamie — rozpocząłem. — Między naszymi batalionami trwała zdrowa rywalizacja, który był lepszy lub bardziej znany. Wzięliśmy także razem udział w wielu rajdach. Jest dla mnie zaszczytem zastąpić waszego ukochanego i doświadczonego dowódcę von Wechmara. Ja mam doświadczenie jedynie z kampanii francuskiej i z Rosji. Muszę się tutaj wiele nauczyć i będę wdzięczny za każdą pomoc, jakiej możecie mi udzielić. Chciałbym możliwie szybko pojechać z jednym z patroli na rozpoznanie, by zapoznać się z warunkami.

Powitałem każdego z nich osobno uściśnięciem dłoni. Lody zostały przełamane.

Dowiedziałem się, że po stronie brytyjskiej najczęściej mieliśmy do czynienia z Królewskimi Dragonami, 11. Pułkiem Huzarów oraz słynną Long Rangę Desert Group dowodzoną przez legendarnego podpułkownika Davida Stirlinga. Brytyjczycy używali lepiej opancerzonych, lecz wolniejszych samochodów pancernych *Humber*, my szybszych i zwrotniejszych ośmiokołowców. Jednocześnie rozumieliśmy się wzajemnie. Panowała atmosfera szacunku i fair play.

Przywykłem do fatamorgany, mirażu, który wyglądał jak jezioro, lecz gdy zbliżyć się do niego, rozplywał się w nicość. Przywykłem także do gwałtownych burz piaskowych, które Włosi nazywali „Ghibli”. Zwykle trwały dzień, niekiedy jednak aż trzy. Można było dostrzec oznaki ich nadejścia. Niebo ciemniało, ziarenka piasku wciskały się w każdą szczelinę i czyniły jakikolwiek ruch, nie mówiąc o działaniach wojennych, niemożliwy.

Nauczyłem się orientować za pomocą kompasu i znajdować drogę z powrotem do batalionu na podstawie sygnałów świetlnych. Patrole rozpoznawcze na pustyni fascynowały mnie.

W ciągu kolejnych tygodni panował względny spokój. Pojedyncze Patrole brytyjskie zapuszczały się na południe, gdzie były prze-

chwytywane przez nasze własne dalekie patrole. Bardzo przydawały się w tych działaniach szybkie ośmiokołowce.

Na początku maja 1942 r. czułem się już „zintegrowany”- Wizytowałem i poznałem wszystkie kompanie oraz uczestniczyłem w licznych patrolach. Przywykłem do codziennego trybu życia. Zwykliśmy wypijać rankiem pół litra płynów, przez cały dzień nic, po czym drugie pół litra wieczorem. Zaopatrzenie docierało co kilka dni, zwykle w konwoju, by uniknąć przechwycenia przez Brytyjczyków.

Można było nawet przywyknąć do zimnych nocy. Nie zdejmowaliśmy naszych tropikalnych płaszczy i grubych, nieregulaminowych szalików aż do późnego ranka, gdy zaczynaliśmy odczuwać przez nie upał. Była to zasada termosu, którą podpatrzyliśmy u Beduinów. Prawdziwą torturą były jednak miliony much. Dopiero głęboko na pustyni było ich znacznie mniej.

W ciągu dnia upał stopniowo stawał się nie do zniesienia. Każdy szukał najmniejszego skrawka cienia. Niektórzy żołnierze naprawdę smażyli jajka na rozgrzanych płytach pancernych czołgów. To nie zmyślona opowieść — sam to robiłem.

Szczyt pory deszczowej już minął, gdy jednak padało, małe *wadi* w ciągu paru minut zamieniały się w rwące potoki metrowej głębokości, które zmiatały wszystko na swej drodze. Pewnego razu widziałem, jak ciężarówka przewożąca naszą kuchnię połową, której nie udało się na czas wydostać, została uniesiona przez nurt na kilkaset metrów.

Podczas patroli rozpoznawczych niekiedy napotykaliliśmy rodziny Beduinów. Tylko oni wiedzieli, gdzie należy kopać, by dotrzeć do podziemnych źródeł słodkiej wody. W tym czy innym *wadi* wykopywali dół, kierowali wodę pospiesznie wykopanymi kanałami, sadzili proso i przebywali tam tak długo, aż mogli zebrać plony. Następnie ładowali ziarno na wielbłądy, zasypywali dół i po dwóch dniach nie było po nich śladu. Włochom udało się odkryć kilka takich podziemnych źródeł, zbudować studnie i poprawić w ten sposób zaopatrzenie w wodę. Jednym ze źródeł było Bir Hacheim.

Raz udało mi się porozmawiać z rodziną Beduinów. Wydawało się, że zbierają się, by opuścić to miejsce. Kobiety skryły się

pospiesznie w namiotach, gdy tylko się zbliżyliśmy. Nie wolno bowiem *ich* oglądać nikomu obcemu. Szejk rodziny wyszedł nam na spotkanie. Oznajmiliśmy mu, że jesteśmy Niemcami.

Nie chcieliśmy wam przeszkadzać ani też was przepędzać.

Żałujemy, że sprawiamy wam kłopoty w kraju waszych przodków.

Nie boicie się wojny, min i tego wszystkiego? — próbowałem mówić używając dziwacznej mieszanki niemieckiego, włoskiego i kilku arabskich słów.

Zawsze wiemy, gdzie jesteście i oddaliśmy się, gdy tylko robi się niebezpiecznie — odpowiedział szejk. — Znamy wiele miejsc, gdzie możemy znaleźć wodę i uprawiać proso. Was, Niemców, witamy z radością. Nie lubimy Włochów, którzy okupują nasz kraj, ani też Brytyjczyków, którzy prześladują naszych braci w Egipcie i innych krajach arabskich. Pewnego dnia wy wszyscy znikniecie i pustynia ponownie będzie nasza. Niech Allah będzie z wami. Lubimy was!

Co dziwne, Beduini nie tylko szanowali cesarza Wilhelma II i Bismarcka (o którym wielu z nich sądziło, że wciąż żyje), ale — ze względu na własną niechęć — popierało kampanię Hitlera przeciwko Żydom. Unikaliśmy rozmów z nimi o kwestii żydowskiej.

24 maja 1942 r. po siedmiu tygodniach mojego pobytu w Afryce zostałem niespodziewanie wezwany do dowództwa dywizji. Generał von Bismarck przeprowadził odprawę ze swoimi podwładnymi.

— Rommel zdecydował się na atak. Brytyjczycy każdego dnia otrzymują nowe dostawy. Można przewidzieć, kiedy rozpoczną własną ofensywę. Nasze zaopatrzenie dociera zbyt wolno i do tego przez porty w Trypolisie i Benghazi zamiast przez Demę. Oznacza to, że wszystko musi być dowożone drogą nadbrzeżną na odległość sięgającą 2000 kilometrów.

— Brytyjczycy mogą wiedzieć o naszej ofensywie i terminie jej rozpoczęcia. Wygląda na to, że nasze radiodeszpe są przechwytywane. Nie wiedzą jednak, gdzie nastąpi główne uderzenie.

Von Bismarck wydał nam rozkazy i zdradził, że Rommel zamierza wielkim marszem nocnym przesunąć cały Afrika Korps na południe od Bir Hachiem i zwrócić go na północ, by odciąć Tobruk, po czym uderzyć na wschód, w kierunku granicy egipskiej. Brytyjczyków

miał zmylić pozorowany atak na północne skrzydło pozycji pod Gazalą.

Mój pancerny batalion rozpoznawczy, działając samodzielnie na prawym skrzydle, miał nacierać wokół Bir Hachiem, omijając je w dużej odległości, i zablokować drogę nadbrzeżną na wschód od Tobruku oraz ubezpieczać patrolami prawą flankę Afrika Korps.

Staliśmy w gotowości nocą z 26 na 27 maja 1942 r. Panowały całkowite ciemności. Można było dostrzec jedynie gwiazdy na południowym bezchmurnym nieboskłonie. Każdy pojazd otrzymał dokładny azymut, którego miał się ściśle trzymać, by tysiące jadących w ciemnościach pojazdów się nie pomieszały.

Była to upiorna scena. Widać było jedynie pojazd poprzedzający nas lub sąsiedni w szyku. Jechaliśmy ze zmniejszoną prędkością, by nie podnosić zbyt wiele pyłu, który spowodowałby utratę kontaktu wzrokowego z sąsiadami. Parliśmy z wolna naprzód przez noc. Po pewnym czasie wiedzieliśmy, że jesteśmy już na południe od Bir Hachiem, choć nic nie widzieliśmy.

Daleko na północy dostrzegliśmy rozbłyски ognia włoskiej artylerii. Jak się później okazało, pod Gazalą Rommel symulował atak pancerny z użyciem zdobycznych brytyjskich czołgów i ciężarówek wyposażonych w stare silniki lotnicze. Atak na pozycję Gazalą był prowadzony przez dywizję włoskie dowodzone przez niemieckiego generała.

Wyglądało na to, że Brytyjczycy nas nie spostrzegli. Wczesnym rankiem 27 maja mój batalion znajdujący się na prawym skrzydle 15. Dywizji Pancerniej skręci! na północ w kierunku Knightsbridge na Trigh Capuzzo, szlaku biegnącego równoległe do via Balbia. Wkrótce dotarliśmy do szlaku. Byliśmy w znakomitych nastrojach. Zaskoczenie chyba się powiodło. Znajdowaliśmy się tylko kilka kilometrów od via Balbia — naszego celu. Wyglądało na to, że Brytyjczycy na pozycji Gazalą i w Tobruku zostaną odcięci.

Przed południem 27 maja niespodziewanie spostrzegłem zbliżającą się od wschodu kolumnę brytyjskich czołgów. Były to nowe wozy, których nigdy dotychczas nie widzieliśmy. (Dopiero potem dowiedzieliśmy, że były to amerykańskie czołgi *Grant* przewyższające nasze *Panzer IV*).

Nagle część grantów skręciła na południe i otworzyła na moje wysunięte oddziały ogień z odległości zbyt dużej dla naszych dział przeciwpancernych kalibru 50 mm.

Natychmiast zatrzymałem batalion i nakazałem utworzenie obrony frontem na północ. By skoordynować użycie broni przeciwpancernej, porzuciłem mój wóz dowodzenia i pobiegłem do dział przeciwpancernych. Wszędzie dookoła wybuchały pociski. Nagle poczułem silne uderzenie w prawą nogę i natychmiast upadłem. Jeden z pocisków trafił U samochód pancerny, a jego odłamek przeciął mi górną część prawego uda. Po nogawce spodni obficie popłynęła krew. Na kilka sekund straciłem przytomność. Podjechał do mnie samochód pancerny, dniesiono moją odwieziono kilkaset metrów do tyłu, do naszego lekarza. Rana była poważna. Byłem zrozpaczony i wściekły. Czyżby mój czas w Afryce Północnej już się skończył?

— Ma pan szczęście w nieszczęściu, panie majorze — powiedział lekarz po skończeniu badania. — Ma pan w pachwinie dziurę jak pięść. Kilka centymetrów i straciłby pan męskość. Odłamek nie uszkodził jednak żadnej żyły, nerwu czy kości. To dobrze, nie mógłbym w tym miejscu nałożyć opaski uciskowej. Musi pan jednak bezwzględnie trafić do najbliższego szpitala polowego.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, ponieważ Afrika Korps oskrzydlił tymczasem Brytyjczyków na pozycji Gazalą, nie zdobył jednak Tobruku. Wręcz przeciwnie, teraz i my byliśmy odcięci. Trudno było myśleć o wydostaniu się z oskrzydlenia od wschodu. Za pomocą morfiny łagodzącej do pewnego stopnia ból udało mi się dowodzić z mojego *Kiibelwagena*.

— Kapitanie Everth, gdybym nie był w stanie dowodzić, przejmie pan batalion. Próbuję nawiązać łączność radiową z Rommlem i dowiedzieć się, jaka jest sytuacja i jakie są rozkazy.

Dzięki Bogu, połączenie z Rommlem udało się. Sytuacja była skrajnie niebezpieczna. Pod Knightsbridge, na południowy zachód od Tobruku, atak Afrika Korps załamał się pod ogniem brytyjskiej artylerii i falowych nalotów Royal Air Force, podobnie jak atak frontalny Włochów na północy.

Zdołałem utworzyć linię obrony frontem na wschód. Na szczęście atak brytyjski ze wschodu kierował się głównie na obie dywizje

pancerne Afrika Korps. Brytyjczycy uznali, że Rommel spróbuje przedrzeć się na wschód. Opierali na tym przypuszczeniu swoje działania w kolejnych dniach. Rommel podjął wówczas jedną ze swych szybkich decyzji: rozkazał Afrika Korps wyostać się z okrążenia nie na wschód, ale na zachód przez pola minowe pozycji Gazala. Otrzymałem rozkaz zapobieżenia przelamaniu się Brytyjczyków od wschodu i uniemożliwienia manewru oskrzydającego od południa.

Przez pięć dni siedziałem w samochodzie terenowym — wciąż przyjmując morfinę — aż rankiem 1 lipca saperom udało się wykonać przejścia w polach minowych, uwalniając cały Afrika Korps z okrążenia, chociaż trzeba było porzucić z powodu braku paliwa wiele pojazdów. Jako ostatni oderwaliśmy się od nieprzyjaciela i przesunęliśmy za linie włoskie.

Moja rana nie wyglądała dobrze.

— Nie mogę brać tego dłużej na moją odpowiedzialność — oznajmił nasz lekarz. — Musi pan możliwie szybko udać się do Demy, do głównego szpitala.

Zrozumiałem, że w takim stanie nie mogę dalej dowodzić. Miałem jednak nadzieję, że w Demie szybko przywrócą mnie do zdrowia. Z ciężkim sercem przekazałem dowodzenie Everthowi i bliski łez gniewu i rozczarowania pozwoliłem dobremu staremu Mantheyowi zawieźć się do Demy wraz z wiernym Beckiem. Badania niemieckich lekarzy odkryły ku memu zaniepokojeniu, że rana była nie tylko poważna, ale także na skutek pięciu dni spędzonych w samochodzie oraz pyłu z burzy piaskowej została zakażona.

— Musi pan natychmiast wrócić do Niemiec. W porcie stoi włoski statek szpitalny. Jutro zabierze pana do Europy — taki był lapidarny werdykt lekarzy. Głęboko zawięzionego zaniesiono mnie nazajutrz na statek. Zegnaj, Afryko, lecz nie na długo.

Statek był dużym liniowcem pomalowanym na białą z wielkim czerwonym krzyżem wskazującym, że jest to statek szpitalny. Dowiedziałem się, że został on później zatopiony w drodze powrotnej do Afryki podobno dlatego, że przewoził materiały wojenne. Umieszczono mnie w niewielkiej kajucie, gdzie wściekałem się na swój los. Następnego ranka wyruszyliśmy na Sycylię.

ponieważ moja rana była ciężka, byłem jednym z pierwszych zanieśionych do sali operacyjnej, w której pracował włoski chirurg ze swym zespołem, który — jak poinformowała mnie szeptem pielęgniarka — pracował w jednej z najlepszych włoskich klinik. Bandaże zostały zdjęte, ból stał się silniejszy, zwłaszcza że nie dawano mi od wczorajszego dnia morfiny.

— Nie możemy dopuścić, by się pan uzależnił — powiedział chirurg. — Na szczęście rana nie jest poważna. Najpierw ją trochę oczyścimy, a potem będziemy działać dalej.

Zadecydowano wówczas o przeprowadzeniu niewielkiej operacji i poinformowano mnie, że znieczulenie częściowe jest ograniczone do bardzo poważnych przypadków.

— Proszę zacisnąć zęby — poinstruowano mnie krótko i zwięźle. Podczas gdy dwie siostry trzymały mnie mocno, chirurg, który wydawał mi się rzeźnikiem, zaczął rozcinać ranę. Wyłem jak zwierzę i myślałem, że zemdleję z bólu. Usłyszałem wówczas nowy głos.

— Proszę na chwilę przestać — obok mnie stał generał von Vaerst, dowódca 15. Dywizji Pancerniej. — Co z panem, Luck, dlaczego pan tak krzyczy?

Wyjaśniłem mu sytuację i poprosiłem, by wyjednał dla mnie znieczulenie. Po jego interwencji lekarze zgodzili się, dzięki czemu reszta zabiegu była do wytrzymania.

Generał von Vaerst opowiedział mi, że także został ranny, i to niedaleko miejsca, gdzie trafił mnie odłamek. Generał Gause i pułkownik Wesphal ze sztabu Rommla także byli ranni. Zdążył jeszcze dowiedzieć się od Rommla, że Afrika Korps po udanym przedarciu się na zachód zbiera siły do wznowienia ofensywy.

Gdy moja rana została opatrzona, usiadłem obok von Vaersta podczas krótkiej przeprawy na kontynent. Omawialiśmy szanse Rommla na przełamanie się do Egiptu mimo braków zaopatrzeniowych. W Neapolu zbadano mnie znowu i uznano, że jestem zdolny do transportu.

Następnego ranka włoski pociąg sanitarny zabrał mnie na północ. Chociaż nie mogłem stać, cieszyłem się podróżą przez północno- włoskie niziny i przez Alpy. Słońce świeciło, okolica wyglądała na spokojną i nic nie wskazywało na to, że Włochy także biorą udział

w wojnie. Traktowanie nas przez towarzyszącego lekarza i pielęgniarki było wzorowe. Po trudach i walkach na pustyni ogarnęło mnie przyjemne uczucie spokoju.

Na granicy austriackiej przeniesiono nas do niemieckiego wagonu szpitalnego, który doczepiono do zwykłego pociągu. W końcu dotarliśmy do Esslingen, małego miasta przemysłowego koło Stuttgartu. Było nas już tylko trzech, w tym młody oficer rezerwy z mojego batalionu. Szpital miejski, romantycznie położony na wzgórzach na skraju miasta, został zamieniony na szpital wojskowy. Do naszego przybycia przebywali w nim wyłącznie ranni w czasie walk na froncie wschodnim.

Jak dotychczas, Esslingen oszczędziła wojna, a jedynym jej znakiem był fakt, że mieszkańcy mogli przeżyć, wyłącznie nabywając kartki na żywność. Dodatkowo niczego nie można było już kupić. Szczęśliwie zaopatrzyłem się w Afryce w wystarczającą ilość kawy i papierosów, które były poszukiwane bardziej niż złoto.

Wszelkimi siłami starałem się jak najszybciej stanąć na nogi. Po kilku tygodniach mogłem już chodzić o kulach, a potem, ostrożnie, o lasce. Moja matka i siostra przybyły z Flensburga, by mnie odwiedzić. Podróż przez Niemcy była bardzo trudna, ponieważ naloty bez przerwy uszkadzały węzły kolejowe, powodując wielkie opóźnienia. Przybył także ze Stuttgartu mój wuj. Cieszyliśmy się razem na tarasie przygrzewającym słońcem, prawdziwą kawą i ciastkami z erzacu.

Afryka Północna wydawała się wówczas tak odległa. Mimo to każdego dnia wsłuchiwałem się w wiadomości radiowe, pragnąc usłyszeć doniesienia z pola walki. Byliśmy w szpitalu dopiero dwa tygodnie, gdy nadano specjalną wiadomość, że Rommel 21 czerwca 1942 r. zajął Tobruk i że południowoafrykański generał Klopper poddał twierdzę. Wzięto niemal 30 000 jeńców, a w ręce niemieckie wpadło także wiele sprzętu wojennego, w tym znaczne zapasy paliwa, które było tak bardzo potrzebne. Potem nadeszła wiadomość, że Rommel natychmiast ruszył na wschód i 23 czerwca przekroczył granicę Egiptu. W wieku pięćdziesięciu lat został feldmarszałkiem. Swjej żonie powiedział, że wolałby, by zamiast awansu Hitler dał mu jeszcze jedną dywizję.

My trzej „afrykańczycy” czuliśmy się oczywiście dumni jak pawie, W czasie gdy sytuacja na froncie wschodnim wyglądała źle i zanosilo się na okrążenie pod Stalingradem*, sukcesy Rommla w Afryce północnej wreszcie dawały ludziom promyk nadziei. Przeczuwali jednak, że wojna potrwa jeszcze długo i spowoduje wielkie straty. Dlatego Hitler i jego minister propagandy Goebbels nie omieszkali nadać sukcesom Rommla nadmiernego znaczenia, mimo że uważali pustynny teatr działań jedynie za drugorzędny.

Po około trzech tygodniach wy dobrzałem na tyle, by zupełnie dobrze chodzić wsparty na lasce. Bad Kissingen, mój ostatni przedwojenny garnizon, nie był aż tak odległy. Zdołałem przekonać naczelnego lekarza, by przeniósł mnie tam do czasu zakończenia rehabilitacji. Chciałem powracać do zdrowia wśród starych przyjaciół i w atmosferze kurortu. Pewnego niedzielnego ranka karetka zawiozła mnie do kliniki zarekwirowanej na potrzeby powracających do zdrowia frontowych żołnierzy.

Ponieważ była to niedziela, dyżur miała tylko jedna pielęgniarka. Umieściła mnie w ładnym pokoju z widokiem na park.

— Zaraz przyniosę panu jakąś kolację. Mam nadzieję, że będzie panu u nas wygodnie. Rano obejrzy pana ordynator — po tych słowach zostawiła mnie swemu losowi.

W pokoju nie było telefonu. Jak miałem skontaktować się z przyjaciółmi? Nie chciałem zostać w klinice. Znalazłem kij od miotły i skrycie pokuśtykałem do baru Hubera odległego tylko o kilkaset metrów.

Gdy wszedłem do baru w moim spłowiiałym mundurze tropikalnym

— było jeszcze wcześniej, w środku siedziało dopiero kilku klientów

— Huber był zupełnie zaskoczony.

— Nie, to nie może być! Nasz stary przyjaciel Łuck jest tutaj! Mój Boże, skąd się pan tu wziął! Był pan ranny. Zrobić miejsce dla pana majora! Proszę do stołu honorowego.

Sepp Huber i jego żona z trudem panowali nad sobą, byli tak rozradowani.

* Autor myli się — czerwiec 1942 r. był także okresem znacznych sukcesów na froncie wschodnim. W tym czasie wojska niemieckie jeszcze nie zbliżyły się do Stalingradu (przyp. tłum.).

- To moja ostatnia butelka whisky, którą od lat trzymam na specjalną okazję. Otworzymy ją teraz!

Bar z wolna wypełniał się i wkrótce otaczał mnie krąg Ludzi którym musiałem zdać relację. Siedziałem tam, podobnie jak w ostatnim roku przed wojną, jak gdyby nic się nie stało.

Przed północą Huber zamknął bar. Wyszli ostatni klienci. Zdałem sobie wówczas z przerażeniem sprawę, że nie mam klucza do kliniki Co miałem robić? „Oddalenie się zjednostki”, „utrudnianie leczenia” i tym podobne komentarze przechodziły mi przez głowę.

— Może pan zostać u nas, panie majorze — powiedział Huber.

— Jako weteran z Afryki nie będzie pan miał tu w Kissingen żadnych problemów.

Wówczas rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę mnie wpuścić! — rozległ się władczy głos. Był to jeden z lekarzy z sanatorium, którego niegdyś dobrze znałem i z którym spędziłem wiele wieczorów u Hubera.

— Słyszałem, że jest pan w Kissingen. Tu wieści szybko się rozchodzą. Przybyłem zaraz i bardzo się cieszę, że czuje się pan mniej więcej dobrze. Jak długo pan tu jest? W którym szpitalu?

— Też się cieszę, że pana widzę. Wypijmy za to — podałem mu nazwę kliniki i wskazawszy na kij od miotły, opowiedziałem mu, jak dostałem się do Hubera. — Niestety, nie mam klucza. Ten problem bardzo mnie martwi.

Mój przyjaciel lekarz uderzył się w udo i wybuchnął śmiechem.

— Drogi przyjacielu, ja jestem szefem tej kliniki.

Musiałem zblednąć, ponieważ powiedział: — Wszystko w porządku, mam ze sobą klucz. Zabiorę pana, a jutro zobaczą, czy uda mi się zdobyć klucz dla pana.

Sprawy nie mogły wyglądać lepiej.

Minął lipiec. Byłem na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Uważano, że zostanę uznany za całkowicie zdolnego do służby pod koniec sierpnia lub na początku września.

W ciągu tych kilku tygodni, wyposażony w porządną laskę zamiast kija od miotły, odwiedziłem wszystkich starych przyjaciół. Ku memu zdziwieniu orkiestra kurortu nadal grała codziennie w parku. Byłaby to oaza spokoju, gdyby nie codzienne biuletyny

z frontu wschodniego i doniesienia o nalotach na nasze miasta.

podjąłem wówczas decyzję, by w pełni korzystać z wymuszonej beczynności i zapomnieć o nieprzyjemnych sprawach, jak to czynią wszyscy żołnierze frontowi, gdy tylko mają okazję.

Tymczasem przez radio nadeszły wieści, że Rommel wdarł się głęboko do Egiptu i zatrzymał obok El Alamein, około 100 kilometrów na zachód od Aleksandrii. Z rozmów telefonicznych z sekcją uzupełnień w Berlinie oraz z tego, co mówili żołnierze powracający z Afryki, dowiedziałem się, że główną przyczyną zatrzymania Rommla był niedostatek zaopatrzenia z powodu załamania się systemu logistycznego. Mogłem sobie wyobrazić, jak wściekły był Rommel na brak zrozumienia ze strony sztabu Fiihrera oraz niewielką pomoc udzielaną przez Włochów.

Podczas mojego pobytu w Kissingen często chodziłem do dawnych koszar, gdzie spotkałem wielu rannych żołnierzy z mojego starego 37. Batalionu Rozpoznawczego, który walczył na froncie wschodnim. Wielu moich żołnierzy poległo, pozostawiając w Kissingen rodziny i przyjaciół. Walki w zimie 1941-1942 oraz działania opóźniające pozostawiły ludzi wypranych ze złudzeń. Nikt już nie wierzył w szybki koniec. Naturalnie, zazdroszczono mi przydziału do Afryki Północnej. Wielu zwykłych żołnierzy prosiło mnie, bym przekazał Rommlowi pozdrowienia.

Nawet burmistrz i większość urzędników, którzy należeli do partii Hitlera, postrzegało teraz sytuację nieco trzeźwiej i zastanawiało się, czy wkroczenie do Rosji nie było błędem. Propagandowe tyrady, jakie regularnie wygłaszał przez radio Goebbels, były nie do zniesienia. Zawsze była w nich mowa o podludziach, *Lebensraum* („przestrzeni życiowej”), która była niezbędna Niemcom oraz o „wierze w naszego ukochanego Fuhrera”. Nikt nie śmiał wyrażać swych wątpliwości otwarcie. Sieć donosicieli była zbyt duża i zbyt niebezpieczna.

Na początku września 1942 r. zostałem uznany za „zdolnego do ograniczonej służby liniowej”. Udałem się na tydzień do matki, a potem do sekcji uzupełnień w pobliżu Berlina. Tam spotkałem wielu oficerów i podoficerów, którzy zostali ciężko ranni, a teraz byli instruktorami przygotowującymi uzupełnienia. Znalazłem nawet

stojącego w garażu mojego wiernego mercedesa wyremontowane[^] i wypucowanego. Kilka razy pojechałem nim odwiedzić przyjaciół w Berlinie.

Berlin najbardziej cierpiał od nalotów i kłopotów z dostawami żywności. Twarze berlińczyków, którzy niegdyś byli tak radośni i bystrzy, teraz poszarzały. Ich poczucie rzeczywistości nie pozwalało im żywić żadnych złudzeń.

Nic więcej nie trzymało mnie w Niemczech. Chciałem powrócić do mojej jednostki. W biurze kadr otrzymałem w połowie września rozkazy wyjazdu. Miałem zameldować się w niemieckim biurze łącznikowym w Rzymie, a potem polecieć przez Sycylię do Tobruku.

Udałem się zatem przez Alpy do Rzymu, a potem prosto na Sycylię. Tym razem leciałem wielką „łodzią” latającą *Blohm und Voss*, której używano do przewozu zaopatrzenia. Ponownie lecieliśmy nisko nad wodą. Brytyjskie lotniska na Malcie były niedaleko. Ogromne rozbryzgi wody wywołane startem i lądowaniem na wodzie były fascynujące. Z powietrza ujrzałem miasto i port Tobruk uszkodzony na skutek wcześniejszych walk. Osiedliśmy na wodzie i stanęliśmy przy zatopionym brytyjskim frachtowcu.

Kilka chwil później stałem na nabrzeżu, wdychając gorące powietrze pustyni, tak dobrze mi znane. Teraz, we wrześniu, w ciągu dnia było jeszcze goręcej niż przed moim zranieniem. Następnie samochód zabrał mnie i mój aluminiowy kuferek do sztabu Rommla, który znajdował się gdzieś na pustyni koło Mersa Matruh.

— Stoczyliśmy dużo ciężkich, lecz zwycięskich walk, panie majorze — powiedział mi kierowca. — Teraz na froncie El Alamein panuje spokój. Kto pierwszy wznowi działania?

Nie miałem pojęcia, gdzie znajdował się mój batalion. Bez wątplenia był głęboko na pustyni.

I oto byłem znowu z Rommlem. Zameldowałem swój powrót po zranieniu i pogratulowałem mu przede wszystkim awansu na feldmarszałka oraz odniesionych sukcesów.

— Cieszę się, że jest pan tu znowu — powiedział mi Rommel.

— Kapitan Everth zastępował pana bardzo dobrze i wyróżnił się wraz z batalionem. Mogłem za to wynagrodzić go Krzyżem Rycerskim. Niestety, także i on złapał jedną z tych przeklętych chorób

tropikalnych. Czekają jedynie na pański powrót, by wyjechać do kraju. SiP także muszą koniecznie się wyleczyć. Przybył pan na czas, by się ze mną pożegnać. Wrócę tak szybko, jak będę mógł. Życzę szczęścia i proszę dowiedzieć się o sytuacji u Gausego (szefa sztabu).

Odmeldowałem się i poszedłem do generała Gausego.

— Dobrze, że pan tu jest, Luck. Zaczynaliśmy się obawiać, że nie będzie pan mógł powrócić.

Gause także był wychudzony i zmęczony. Szczególnie trudno było jemu podejmować właściwe decyzje, gdy Rommel dowodził z linii frontu poza zasięgiem łączności, często przez wiele dni. Krótko opisał mi poprzednie działania, zwłaszcza uderzenie na Egipt, które z powodu braku paliwa i zaopatrzenia zatrzymało się pod El Alamein, zaledwie 100 kilometrów od Aleksandrii. Opowiedział mi

o głębokim rozczarowaniu Rommela złym prowadzeniem wojny przez Naczelne Dowództwo Wehrmachtu, czyli Hitlera, oraz podejmowanymi bez przekonania przez Włochów wysiłkami w celu dostarczenia wystarczającej ilości zaopatrzenia.

— Feldmarszałek wyglądał na bardzo rozczarowanego i przygnębionego — wtrąciłem. — Czy ma to związek z jego zdrowiem, czy też z ostatnim nieudanym atakiem na Kair pod koniec sierpnia? Nie mogłem o tym wiele dowiedzieć się w Niemczech.

— Iz tym, i z tym — odpowiedział Gause. — Stan jego zdrowia naprawdę budzi obawy. Rommel potrzebuje spokoju i odpoczynku. Wie pan jednak, jaki on jest. Nie porzuci swego teatru działań, zwłaszcza w obliczu zbliżającej się decydującej fazy. Do tego wszystkiego doszło wielkie rozczarowanie uderzeniem pod koniec sierpnia.

(Nasi żołnierze w wiesielczym humorze ochrzcieli to uderzenie „wyścigiem sześciodniowym” na cześć popularnego, sześciodniowego wyścigu kolarskiego na berlińskim stadionie).

— Wiemy, że Monty (generał Bernard Montgomery) przygotowuje decydującą ofensywę — kontynuował Gause. — Nie rozpocznie jej jednak, dopóki nie dostanie zaopatrzenia zapewniającego pełny sukces. Rommel miał nadzieję uprzedzić go własnym uderzeniem, pragnąc ponownie odwrócić losy kampanii. Ostatnia okazja nadarzyła się pod koniec sierpnia przy pełni księżyca. Marszałek Cavallero obiecał mu, że Przedtem przybędzie kilka tankowców, a Kesselring dostawy 500 ton

paliwa dziennie drogą powietrzną. 31 sierpnia paliwa jeszcze nie było. Rommel musiał jednak zaczynać. Silne burze piaskowe uniemożliwiły bowiem użycie przeważających sił RAF-u (nasze własne myśliwce Messerschmitt stały na lotniskach bezużyteczne z braku paliwa). 2 września dotarło zaledwie 900 ton paliw- z zapowiadanych 5000 ton, 2600 ton zostało zatopionych, a 1500 wciąż było we Włoszech. Następnego ranka burze ustały. RAF rozpoczął falowe naloty niemal w defiladowym szyku na Afhka Korps, który uderzał na północ za pozycją El Alamein. Brytyjska dywizja, której nie wykryto, zajęła pozycje frontem na południe na paśmie wzgórz. To wszystko zatrzymało nasz atak. Z powodu braku zaopatrzenia i niemal 100-procentowego panowania w powietrzu nieprzyjaciela atak nie przyniósł żadnych efektów. Grupa rozpoznawcza, w skład której wchodził pański batalion, została zaraz na początku wysłana na wschód, by ruszyć na Kair, około 100 kilometrów dalej na wschód, gdy tylko Afrika Korps dotrze do wybrzeża za brytyjskimi pozycjami. Grupa została zaatakowana szczególnie silnie z powietrza i poniosła duże straty.

— Nocą z 2 na 3 września Rommel z ciężkim sercem zdecydował się przerwać atak i wycofać zza brytyjskich pozycji. W czasie odwrotu do niewoli został wzięty brygadier Clifton z dywizji nowozelandzkiej. Przeprowadzono go do Rommla. Jego los jest zadziwiający.

— Gdy jest to tylko możliwe — kontynuował Gause — Rommel lubi rozmawiać z ważnymi przeciwnikami. Tak było i z Cliftonem, dla którego wyraził podziw ze względu na postawę jego dywizji. Poskarżył się jednak na traktowanie niemieckich jeńców. „To Maorysi, odparł Clifton, rdzenni mieszkańcy Nowej Zelandii, którzy walczą tak zajadle jak Sikhowie z Indii. Bardzo tego żałuję”. Clifton walczył przeciwko nam w 1940 r. we Francji i powiedział, że teraz są już pewni zwycięstwa. Rommel także był już o tym przekonany. Wkrótce potem Clifton uciekł przez toaletę i został schwytyany na pustyni tylko z butelką wody w rękę. Rommel nie mógł spełnić jego prośby, by odesłano go do niewoli niemieckiej, a nie włoskiej. Rommel żałował, że wszyscy jeńcy wzięci w Afryce Północnej, zgodnie z życzeniem Mussoliniego, musieli być przekazywani Włochom.

Potem dowiedzieliśmy się, że Clifton po ośmiu nieudanych próbach ucieczki w dziewiątej
zdołał dotrzeć do Szwajcarii, mimo że
został ranny)

Podczas rozmowy z Cliftonem Rommel wspomniał o tym, że także alianci będą musieli przyzwyczać się do tego, że w przyszłości i T wo będzie pochodzić ze wschodu, z Rosji. Tak więc, Luck teraz pan już wie, dlaczego Rommel jest rozczarowany.

(Kilka tygodni po nieudanej ofensywie Rommla wciąż krążyły plotki że włoski generał zdradził plan Rommla Brytyjczykom. Plotki te nigdy nie zostały potwierdzone, ale w 1985 r. Steve Ambrose przedstawił mnie pani Jean Howard na lunchu z generałem sir Nigelem Poettem z 6. Dywizji Powietrznodesantowej w Klubie Armii i Marynarki w Londynie. Jean powitała mnie entuzjastycznie.

— Hans von Luck, cóż za przyjemność poznać pana osobiście.
Wiem wszystko o panu i o pańskich działaniach w Afryce Północnej. Byłam członkiem personelu Bletchley Park [wówczas pod nazwiskiem Jean Allington, Hut 3 BPI, który zdołał złamać niemiecki szyfr w ramach tak zwanej operacji Ultra. Przechwytywaliśmy wszystkie niemieckie depesze radiowe, tak że nasze dowództwo w Londynie i w Afryce miało dość pełne informacje o niemieckich planach. Znam pana z 1942 r., gdy przybył pan po raz pierwszy do Afryki. Miło mi poznać ówczesnego pana majora osobiście.

Dopiero wówczas zrozumiałem, dlaczego Brytyjczycy byli zawsze tak dobrze poinformowani o naszych działaniach, a nasze konwoje z zaopatrzeniem czy też działania Luftwaffe mogły być tak skutecznie zakłócane. Ultra była dla Brytyjczyków darem z nieba, a dla nas katastrofą).

— Rommel zamierza zobaczyć się w Niemczech z Hitlerem
— mówił dalej Gause - i wyjaśnić mu, tak wprost, że bez odpowiedniego zaopatrzenia wojny w Afryce Północnej nie da się wygrać. W dodatku wiemy z naszych źródeł, że Churchill był w Kairze na początku sierpnia i że 12 sierpnia dowodzenie 8. Armią Przejął Montgomery. Wśród naszych przeciwników wieją nowe wiatry. Bez wątpienia będą przygotowywać ofensywę, która tym razem może być decydująca. Tymczasem jednak Brytyjczycy silnie ufortyfikowali się na pozycji El Alamein, zabezpieczając się ponad

800 000 min. Ich dywizje są uzupełnione, za nimi zaś stoją silne dywizje pancerne. Teraz o panu. Pański batalion ponownie wygrał główną nagrodę. Leży ona w oazie Siwa, około 300 kilometrów na południe od Mersa Matruh w depresji Qattara. Byłem tam wczoraj z Rommlem i generałem Fritzem Bayerleinem. To prawdziwy raj który leży daleko od naszych pozycji, musimy jednak go utrzymywać. Niebezpieczeństwo oskrzydlenia pozycji pod El Alamein od południa jest bowiem zbyt duże. Nie załuję, że otrzymał pan to przyjemne zadanie po ciężkich walkach i dużych stratach odniesionych w czasie ostatnich miesięcy. Będzie pan musiał polecieć tam *Ju-87* (bombowcem nurkującym). Pas startowy jest zbyt krótki dla innych maszyn, a odległość zbyt duża dla *Fieselera Storcha*, (Załogi stukasów zazdrościły sobie nawzajem takich zadań). Będzie pan podlegał bezpośrednio mnie, dlatego na razie jest pan od detaszowany z 21. Dywizji Pancernej. Kapitan Everth zapozna pana ze szczegółami, zanim będzie musiał udać się do kraju, niestety, także z przyczyn zdrowotnych. Życzę panu wszystkiego najlepszego. Proszę cieszyć się pobylem w oazie Siwa, zanim znowu zaczną się działania.

Odmeldowałem się i natychmiast zabrano mnie na lotnisko *Ju-87*. Najciekawszy okres mojego pobytu w Afryce miał się właśnie rozpocząć.

Zaprowadzono mnie do kapitana Hamestera, dowódcy dywizjonu.

— Mam szczęście dostarczyć pana do Siwy. Wykorzystujemy te loty do trenowania lotów nad pustynią oraz do zrzucania bomb, jeśli natkniemy się na brytyjskie jednostki. Musimy strzec się brytyjskich myśliwców, dlatego lecimy kluczem składającym się z trzech maszyn Z pewnością słyszał pan o naszych nurkowaniach i demoralizujących syrenach. Jako „lądownemu” z pewnością będzie się to panu podobać.

— Słyszałem od moich kolegów — odpowiedziałem — którzy ledwie wczoraj lecieli z Rommlem do Siwy, jak piękna jest ta oaza i że najwspanialsza jest kąpiel w Łażni Kleopatry.

— Polecimy jutro rano — kontynuował Hamester. — Będzie pan musiał lecieć jako tylny strzelec. Nasze maszyny są tylko dwumiej- scowe. Zna pan działka kalibru 20 mm z waszych samochodów pancernych.

23 września 1942 r. Rommel polecił do Niemiec, by przejść leczenie i spotkać się z Hitlerem. Tego samego dnia wsiadłem do JU 87 kapitana Hamestera. Wcisnąłem się w tylny fotel, zaś mój kufer tropikalny ułożono pionowo między pilotem a mną. Założyłem słuchawki i mikrofon.

Lot trwał około godziny. Lecieliśmy na wysokości 3000 stóp. Pod nami leżała spokojna, kamienista pustynia z niewielkimi grupami skał i kępami akacji. Obejrzawszy się, mogłem ujrzeć w oddali nustynię piaszczystą z jej wysokimi wydmami przypominającą wielkie morze. Można było rozróżnić nawet ślady wielbłądów i opon naszych pojazdów rozpoznawczych. A może były to ślady pojazdów dragonów królewskich lub Long Rangę Desert Group?

Z przodu widniał wielki uskok depresji Qattara. Z przodu, z lewej mogłem dostrzec oazę, do której prowadził tylko jeden kręty ślad. „Łatwo będzie go zablokować” — przemknęło mi przez głowę.

Wylądowaliśmy, po czym wskazano nam drogę do kępy palm, pod którą skryły się nasze trzy maszyny.

— Witamy w raj! — powitał mnie kapitan Everth świeżo odznaczony Krzyżem Rycerskim. — Cieszymy się, że widzimy pana znowu zdrowego. Jedna z tych przeklętych, tropikalnych chorób dopadła mnie znowu, toteż prędzej czy później muszę wrócić do Niemiec.

Mój batalion kwaterował w namiotach rozstawionych między palmami.

— Celowo trzymamy się trochę z dala od Arabów, aby nie zakłócać życia tych dumnych synów pustyni — powiedział mi Everth. — Czy mogę zaproponować, byśmy najpierw zwiedzili oazę? W tym czasie opowiem panu co nieco o tym uroczym zakątku i o naszym zadaniu.

Zgodziłem się bez wahania.

Czułem się, jakbym znalazł się w jednej z „Baśni tysiąca i jednej nocy”. Błękitne niebo nad głową, gorące słońce i niezmierzone szeregi palm pełnych dojrzewających daktyli. Przez oazę płynęły niewielkie strumyki wody. Na południu, między ostatnimi palmami, wielkie białe wydmy piętrzyły się niczym morskie fale. Od północy uskoki wysokości 150 stóp opadał pionowo. Na wschodzie leżała

depresja Qattara, wyschnięte słone jezioro rozciągające się 300 kilometrów na wschód do punktu leżącego około 100 kilometrów na południowy wschód od El Alamein.

— Depresja Qattara jest nie do przebycia — wyjaśnił Everth.

— Jedyne w porze suchej jest niewielka ścieżka, z której mogą korzystać lekkie pojazdy. Musimy uważać, by Brytyjczycy nie zaskoczyli nas z tej strony swą Long Rangę Desert Group. Znajdujemy się około 300 kilometrów na południe od Mersa Matruh. Tylko około 50 do 70 kilometrów linii El Alamein jest obsadzone. Między nimi leży ziemia niczyja, czyli teren działań dla obu stron.

Słyszałem już w szkole o Siwie, o pałacu i Łażni Kleopatry (51-30 r. p.n.e.). W dawnych czasach w Siwie miała znajdować się wyrocznia, którą odwiedziło wiele znanych postaci, w tym Aleksander Wielki. Siwa, początkowo nazywana Ammonion, w 1820 r. przeszła pod administrację egipską. Reprezentowało ją trzech urzędników: lekarz, komisarz i urzędnik pocztowy.

Mieszkańcy, około 5000 osób, byli niegdyś Beduinami, którzy osiedlili się tutaj i od tego czasu nie utrzymywali kontaktów z innymi plemionami. Mimo braku dopływu świeżej krwi byli zdrowi. Członkom plemienia Senussi, którzy uciekali z Libii przed Włochami, pozwolono zatrzymać się w Siwie, ale tylko na krótko, po czym musieli iść dalej na wschód. Każdej z rozgałęzionych rodzin przewodził szejek, zaś szejek największej rodziny był *primus inter pares*.

Egipski lekarz miał co robić, natomiast komisarz był mniej popularny, ponieważ odpowiadał za pobór podatków. Pocztowiec był zupełnie zbędny, jako że żaden z mieszkańców nie umiał czytać ani pisać. Znalazł sobie zatem lukratywne dodatkowe zajęcia: handel. Przeżył chwilę chwały, gdy Rommel odwiedził Siwę kilka dni wcześniej i szejkowie podarowali mu kopertę zawierającą komplet znaczków pocztowych Siwy będących rzadkością.

Przybyliśmy do Łażni Kleopatry, w której bawiły się załogi stukasów. Stałem przed studnią o średnicy około 30 stóp. Woda była tak czysta, że można było ujrzyć dno znajdujące się na głębokości około 20 stóp. Bulgotało tam kilka źródeł. Woda miała stałą temperaturę 18 stopni Celsjusza i wyglądała na wspaniale

orzeźwiająca. Everth zaprosił mnie, bym poszedł z nim tego wieczoru. Musieliśmy sporządzić grafik, by wszyscy żołnierze mogli się nacieszyć łaźnią.

Nieopodal stał dawny pałac Kleopatry, gdzie prawdopodobnie co wypoczywała. Wciąż widoczne były pozostałości wielkich miennych bloków. Nikt nie wie, jak je tu dostarczono. Woda ze dni Kleopatry oraz z kilku pobliskich mniejszych źródeł była doprowadzana przemyślnym systemem kanałów do ogrodów szejków, które w ten sposób przez cały rok były nawodnione.

___ Chodźmy teraz do, jak to nazywamy, miasta. Muszę pana najpierw, zgodnie z arabskim zwyczajem, przedstawić głównemu szejkowi, który powita pana jako gościa — wyjaśnił Everth.

Po przybyciu do miasta przeszliśmy przez bramę w wysokim murze otaczającym ogród głównego szejka. Widok zaparł mi dech w piersi. Zieleń i kwiaty powodowały, że zapominało się o otaczającej nas pustyni. Przez luksusowy ogród płynęły niezliczone strumyki wody. Po murach z cegieł mułowych pięły się winorośl i bougainvillea. Między egzotycznymi roślinami znajdowały się małe tarasy

0 boku długości metra, na których zasadzono zboże i warzywa. Dawały dziesięciokrotne plony. Wokół rosły drzewa cytrynowe, granatowe i oliwne. Nad wszystkimi górowały palmy daktylowe.

Na końcu ogrodu stał niski, pobielony dom głównego szejka, który przywitał nas głębokim ukłonem. Odpowiedzieliśmy najego „salaam”

1 poprosiliśmy o przyjęcie nas. Zaprowadził nas na wewnętrzny dziedziniec, który był wyłożony kosztownymi dywanami. Zgodnie z arabskim zwyczajem nie było widać żadnych kobiet. Usiedliśmy po turecku na dywanach, na skutek czego wkrótce ścierpły mi uda, gdyż nie przywykłem do takiego sposobu siadania. Synowie szejka przynieśli nam schłodzone soki owocowe, ponieważ alkohol był surowo zakazany. Zresztą wciąż trwał ramadan, miesiąc postów, podczas którego nic się nie jadło w ciągu dnia.

— Witamy was, Niemcy — powiedział szejek. — Kilka dni temu zaszczycił mnie wizytą wasz słynny marszałek Rommel. Teraz witam pana, majorze, jako nowego komendanta naszej oazy. Wie Pan, że podziwiamy was, Niemców, i życzymy wam sukcesów w tej wojnie. Poprosiłem Rommla o przekazanie wyrazów szacunku

wielkiemu szejkowi Bismarckowi (na szczęście nie wymienił Hitlera) Niestety, wojna odcina nas od Kairu i Aleksandrii. Nie możemy, sprzedawać naszych plonów ani kupować towarów, w związku z czym zapas herbaty, naszego głównego napoju, stopniowo się wyczerpał.

Główny szejek był wspaniałym mężczyzną, wysokim, o ciemnej karnacji i delikatnych rysach twarzy. Biała broda dodawała mu powagi. Jego burnus był wykonany z najlepszego białego materiału.

— Gdy za kilka tygodni będziemy obchodzić koniec ramadanu — powiedział, żegnając nas — musicie być naszymi gośćmi.

Pojechalśmy na lotnisko pożegnać się z załogami stukasów, które znikły na północy, kiwając skrzydłami, by powrócić do ciężkiej służby na froncie El Alamein.

Everth i ja dotarliśmy na stanowisko dowodzenia, do dobrze wyposażonego Opla „Blitza”, którego można porównać do współczesnego domu na kółkach. Everth dokładnie opisał mi zadania i wyposażenie batalionu.

— Zaopatrzenie dla batalionu rzadko dociera łądem, ponieważ trzeba do tego celu formować konwoje, by chronić się przed brytyjskimi patrolami czy grupami dywersyjnymi. Towary, takie jak żywność, paliwo czy amunicja są zrucane zwykle przez stukasy lub heinkle, które jednocześnie prowadzą podczas tych lotów rozpoznanie. Ponieważ możemy w oazie kupować ziarno, Rommel przydzielił nam pluton piekarzy, który piecze nam chleb, a w niedzielę czasami bułki. Kilka dni temu przysłano nam włoski samolot Ghibli, podobny do naszego *Fieslera Storcha*, z miłym pilotem i zapasem części zamiennych. Samolot ten zaoszczędza nam wyczerpujących patroli na południe, poza depresję Qattara lub w kierunku oazy Giarabub w Libii, do których prowadzą jedyne szlaki wychodzące z tej oazy.

Miałem teraz pewien obraz tego, co należało czynić, i postanowiłem maksymalnie wykorzystać prawdopodobnie krótki pobyt w Siwie. Następnego ranka rozkoszowałem się wspaniałą kąpielą w Łażni Kleopatry. Podczas wycieczki po oazie Everth opowiedział mi o innych jej szczególnych cechach.

— Kilkadziesiąt lat temu król Faïd zdecydował się udostępnić uroki oazy turystom i zorganizować odpowiednie safari. W tym

czasie w Siwie były miliony niebezpiecznej odmiany komarów, na skutek czego każdy odwiedzający oazę natychmiast zapadał na malarię. Na rozkaz króla Faida naukowcy wynaleźli środek owadobójczy który wpuszczono do kanałów nawadniających, uniemożliwiając komarom rozmnażanie się. W ciągu kilku lat komary zostały wyteplone.

Tymczasem kończył się dzień i mogliśmy oglądać naturalny spektakl. Zachodzące słońce malowało stromą krawędź depresji Oattara na krwistoczerwono, całą oazę wypełniało zaś zielono-niebieską poświatą. Widok był wspaniały.

Następnego dnia odbyłem pierwszy lot na pokładzie Ghibli. Zdałem sobie wówczas sprawę z rozległości oazy. Obejrzałem ogromne, nietknięte ludzką stopą wydmy, urwisko na północy, na wschodzie zaś ścieżkę biegnącą przez wyschnięte słone jezioro, którą nie podążały już karawany wielbłądów.

W ciągu następnych dwóch tygodni, kiedy to nie mieliśmy żadnego kontaktu z nieprzyjacielem, opuściło nas kilku doświadczonych oficerów: chory kapitan Everth odleciał do Niemiec, skąd nie miał już wrócić. Von Fallois, adiutant mojego poprzednika, został natomiast przeniesiony. Kapitan Kiehl zaś już od pewnego czasu z powodzeniem dowodził grupą bojową Rommla.

Oprócz kilku doświadczonych oficerów, którzy pozostali do końca, przybyli nowi dowódcy kompanii i plutonów oraz oficerowie ordynansowi. Wśród nich był porucznik RUDIGER von Wechmar, syn mojego poprzednika, obecnie ambasador Niemiec w Londynie. Kapitan Meyer został nowym dowódcą kompanii. Do 1983 r. był ambasadorem Niemiec w Luksemburgu. Nowy był również porucznik von Mutius. Później miała udać mu się pełna przygód ucieczka z Tunezji. Dziś mieszka w Brazylii. Przydzielono do nas także oficera rezerwy porucznika WENZELA Ltidecke, który był wesoły i zawsze chętny do zabawy. Dotychczas był asystentem reżysera w wytwórni filmowej UFA, dzisiaj zaś jest właścicielem firmy berlińskiej zajmującej się synchronizacją dźwięku. W przyszłości miałem mu wiele zawdzięczać.

Ze starej obsady pozostali kapitan BANGEMANN oraz mój, zawsze spokojny i pewny adiutant podporucznik BERNHARDT. Przeżyliśmy tak

drastyczną wymianę korpusu oficerskiego bez kłopotów dzięki wspaniałemu duchowi koleżeństwa i tolerancji charakteryzujących żołnierzy tego niezwykłego batalionu.

Po upływie około tygodnia generał Stumme powiadomił nas, że będzie nas wizytował. Chciał także naocznie przekonać się o naszym położeniu, bez wątpienia jednak ujrzyć raj Siwy. Wraz z oficerami powitałem Stummego na pasie startowym. Podczas gdy załogi samolotów zaprowadzono do Łaźni Kleopatry, my uczestniczyliśmy w zwyczajnym programie dla gości — w wycieczce po oazie, do Łaźni Królowej i do ruin pałacu, po czym nastąpiła wizyta u głównego szejka i urzędnika pocztowego.

Zaczęliśmy czuć się jak przewodnicy turystyczni — i to gdy zbliżało się ostateczne rozstrzygnięcie na północnoafrykańskim teatrze działań. Takie są jednak prawa wojny. Między ciężkimi przemarszami i morderczymi walkami jest także czas na odpoczynek i regenerację sił. Wszystko ze świadomością, że każdy przeżyty dzień może być ostatni.

Podczas rozmowy o sytuacji Stumme nie pozostawił cienia wątpliwości, że decydująca bitwa była tuż-tuż.

— Zgodnie z naszymi informacjami Brytyjczycy otrzymują ogromne dostawy wojennego zaopatrzenia, które są wyładowywane w Suezie i natychmiast dostarczane na front. Montgomery zachowuje się tak, jak wszyscy brytyjscy dowódcy: jeśli można oszczędzić ludzi kosztem środków, tak właśnie postępuje. My, niestety, nie znajdujemy się w tak korzystnym położeniu. Docierające do nas zaopatrzenie nie pokrywa na dłuższą metę naszych potrzeb. Moim największym zmartwieniem jest niemal całkowite panowanie w powietrzu Brytyjczyków, co na pustyni stanowi śmiertelne zagrożenie. Mamy zbyt mało myśliwców, zaś nieliczne, jakimi dysponujemy, są w większości uziemione z powodu braku paliwa. Ponownie poprosiłem niedawno Rommla, by użył wszystkich swoich wpływów u Hitlera i Goringa, by dostarczono nam tak szybko jak to możliwe paliwo, czołgi, działa kalibru 88 mm i samoloty myśliwskie.

— Waszym zadaniem podczas nadchodzącej brytyjskiej ofensywy

— zakończył Stumme — jest ochrona naszego otwartego południowego skrzydła oraz uniemożliwienie wszelkich prób jego obejścia.

Odwrót spod El Alamein

Był już październik 1942 r. Na froncie wciąż panował spokój, tym większy w naszej oazie. Codzienne loty patrolowe naszego Ghibli nie odkrywały w naszym sektorze niczego niezwykłego.

Nasze dni w przepięknej oazie Siwa były już bez wątpienia oliczone. Coraz więcej doniesień świadczyło o brytyjskich przygotowaniach do ofensywy. Opracowałem dla rzutu tyłowego, w tym plutonu piekarzy, plan marszu w kierunku wybrzeża z dala od zagrożenia brytyjskim uderzeniem.

Dodatkowo omówiłem z dowódcami kompanii dwie możliwości naszego wejścia do działań — krętą drogą na północ lub na zachód przez oazę Giarabub, z której skręcilibyśmy ku północy. Była ona dobrze zaopatrzona w paliwo i amunicję. Wszystkie kanistry na wodę zostały napełnione. Musieliśmy liczyć się z tym, że w pierwszych dniach po rozpoczęciu ofensywy zamęt będzie tak wielki, że nie będziemy mogli spodziewać się regularnych dostaw zaopatrzenia na pustyni.

W połowie października, według naszych informacji, Brytyjczycy dysponowali 1000 czołgów, w tym 400 nowymi, lepszymi od naszych, amerykańskimi *Shermanami*. Przeciwko nim mieliśmy jedynie 200 wozów. Do walki z 195 000 żołnierzy w pełni zmotoryzowanych wojsk brytyjskich i sojusznicznych mogliśmy użyć jedynie 24 000*. W połowie października otrzymaliśmy jedynie 44 procent minimalnego zaopatrzenia potrzebnego na kolejnych jedenaście dni. Nasze czołgi miały paliwa na zaledwie 300 kilometrów. Do tego jeszcze nieprzyjaciel całkowicie panował w powietrzu. Nasze nieliczne myśliwce, które także odczuwały brak paliwa, nie mogły nawiązać równorzędnej walki.

23 października rozpetęło się piekło — ostrzał 1000 dział i nieprzerwane ataki RAF-u. Montgomery skoncentrował ogień na naszych

* Autor w ogóle pominął w rachunku oddziały włoskie, zniekształcając znacząco stosunek sił. Niemiecko-włoska Armia Pancerna liczyła około 100 000 żołnierzy i dysponowała około 500 czołgami (orzvd. tłum.).

pozycjach i wykonał za jego pomocą wyrwę w naszych polach minowych.

Mój batalion został postawiony w stan gotowości.

— Kontratak 15. Dywizji Pancernej planowany jest na jutro
— poinformował nas Gause. — Będziecie w gotowości do kontrataku lub do osłony naszej południowej flanki.

Rozkazy nadeszły przez radio. (Zostały przechwycone przez Ultrę w Bletchley Park. Powiedziała mi o tym Jean Howard w 1985 r.). To, że wszystkie nasze zamiary znane były Brytyjczykom, stanowiło dla nas prawdziwą katastrofę.

Następnego dnia otrzymaliśmy dalsze niepokojące wieści. Generał Stumme podczas wizyty na froncie znalazł się pod skoncentrowanym ostrzałem i zmarł przypuszczalnie na atak serca. Rommel natychmiast przerwał leczenie i powrócił do Demy — wciąż niezdrów — 25 października. Wlało to nieco otuchy w nasze serca.

Nasz kontratak był nieskuteczny. Pod gradem bomb i rakiet użytych po raz pierwszy przez brytyjskie myśliwce oraz wobec okopanych czołgów załamał się. Afrika Korps oraz włoskie dywizje stawily jednak zacięty opór brytyjskiej ofensywie. Aż do 29 października Monty nie był w stanie dokonać przełamania, mimo że nasze pozycje bez przerwy były wystawione na ataki RAF-u i ostrzał artylerii. Bombowce i myśliwce nadlatywały jak na ćwiczeniach w czasie pokoju, także i w nocy, gdyż pole bitwy było oświetlane flarami.

Monty przegrupował się. Nocą z 1 na 2 listopada 1942 r. rozpoczęło się drugie uderzenie. Uderzając 400 czołgami przy silnym wsparciu lotniczym i artyleryjskim, poprowadził atak w wąskim pasie na północy bronionym przez słabą dywizję włoską i dokonał przełamania. Dywizja została zniszczona, a większość jej żołnierzy zabita lub ranna,

Rommel wycofał 21. Dywizję Pancerną, która znajdowała się na południu, i rzucił ją w rejon przełamania. W tym samym czasie otrzymałem rozkazy wypełnienia luki i wsparcia włoskiego XX Korpusu, który pozostał bez pomocy.

Tego samego dnia, 2 listopada, zgodnie z wcześniejszym planem rozkazałem rzutowi tyłowemu oraz plutonowi piekarzy udać się do naszej bazy zaopatrzeniowej w Cyrenajce. Aby mogli utrzymać

kontakt ze służbami logistycznymi, przydzieliłem im samochód pancerny z radiostacją.

przed świtem 3 listopada opuściliśmy oazę Siwa. Dotarliśmy do rejonu zajmowanego przez włoski XX Korpus, który jak dotychczas nie był atakowany, nie licząc nalotów RAF-u.

Na szczęście pozostawałem w ciągłym kontakcie ze sztabem Rommla. Poinformowano mnie, że Rommel wyda niedługo rozkaz odwrotu, ponieważ naszego przelamanego w wielu miejscach frontu nie da się już dłużej utrzymać przy przewadze liczebnej i powietrznej nieprzyjaciela. Oddając Cyrenajkę, Rommel zamierzał dotrzeć do Trypolitanii i tam utworzyć linię obronną. Zamierzał uratować dzięki temu odwrotowi na niemal 2000 kilometrów możliwie wiele jednostek, zwłaszcza niezmotoryzowane dywizje włoskie.

W trakcie planowania odwrotu nadszedł w południe rozkaz Fuhrera w krótkich słowach oznajmiający Rommlowi, że żołnierz ma zwyciężyć lub zginąć. Oznaczało to, że jakkolwiek odwrót został zakazany przez najwyższe dowództwo.

Rommel, o czym powiedział mi kilka tygodni później, wahał się między dotrzymaniem złożonej przysięgi absolutnego posłuszeństwa a kierowaniem się rzeczywistą sytuacją na froncie, która groziła zagładą całego Afrika Korps. Wieczorem tego samego dnia, 3 listopada, zdecydował się przekazać swym podwładnym rozkaz Fuhrera nakazujący trzymać się twardo. Bez informowania

o tym jednak żołnierzy. Rommel był bardzo sfrustrowany, lecz na razie rozkaz wykonał.

Rankiem 4 listopada po silnym przygotowaniu artyleryjskim Brytyjczycy zaatakowali Afrika Korps. Ich 200 czołgów, w tym wiele potężnych shermanów, mimo zaciętego oporu naszych pozostałych 20 czołgów, dokonało głębokich wylomów. Afrika Korps wciąż jednak się trzymał i zadał nieprzyjacielowi znaczne straty, głównie swymi działami kalibru 88 mm. Jednak podczas gdy nieprzyjaciel mógł uzupełnić swe straty natychmiast, nam brakowało jakichkolwiek uzupełnień: czołgów, broni ciężkiej czy amunicji.

Wówczas Brytyjczycy, po ponownym potężnym przygotowaniu artyleryjskim i falowych nalotach RAF-u, uderzyli na front broniony przez włoski XX Korpus, który w niewielkim stopniu wyposażony

w nowoczesną broń nie miał szans na zatrzymanie ataku. Próbowałem udzielić Włochom możliwie największej pomocy, lecz moje samochody pancerne z lekkimi działkami przeciwpancernymi po zwały mi udzielić wsparcia liczącego się bardziej w kategoriach moralnych.

Serce bolało, gdy widzieliśmy Dywizję Arietę (nasi najwierniejsi sojusznicy) oraz resztki Dywizji Trieste i Littorio walczące, okazując pogardę dla śmierci, oraz ich czołgi (tak często przezywane przez nas „puszkami na sardynki”), w które trafiały pociski i które płonęły na polu walki. Chociaż sam uczestniczyłem w walce, utrzymywałem łączność z włoskim XX Korpusem, aż ten został niemal całkowicie otoczony.

Około 15.30 dowódca Dywizji Arietę wysłał do Rommla ostatnią depezę przez radio: „Jesteśmy otoczeni. Czołgi Arietę ciągle walczą”. Do wieczora XX Korpus został zniszczony. Straciliśmy dobrych, dzielnych przyjaciół, od których wymagaliśmy więcej, niż byli w stanie zdziałać.

Brytyjczycy wlewali się teraz przez wyłom szerokości 20 kilometrów, co groziło oskrzydleniem walczącego desperacko Afrika Korps od południa. Rommel zdecydował się wówczas zignorować rozkaz Hitlera i rozpocząć natychmiastowy odwrót. Z blisko 750 czołgów*, którymi dysponował Afrika Korps przed brytyjską ofensywą, mieliśmy jeszcze zaledwie 12.

Otrzymałem rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i przejścia w rejon między oazami Siwa i Giarabub, już na terytorium libijskim. Moim zadaniem było prowadzenie rozpoznania we wszystkich kierunkach i uniemożliwienie jakiegokolwiek manewru oskrzydającego nasz ruch odwrotowy.

Rankiem 5 listopada dotarłem w rejon położony na północ od oaz Siwa i Giarabub, nie nawiązując kontaktu z nieprzyjacielem. Nasze patrole zostały rozrzucone szeroko na wschód, południowy wschód i południe. Rozpoczęły się burze piaskowe i ulewne deszcze, na skutek czego poruszanie się drogami stało się niemal niemożliwe dla wycofujących się elementów Afrika Korps.

* Autor zawyżył stan czołgów niemieckich i włoskich, prawdopodobnie doliczył do lic/by czołgów także i samochody pancerne (przyp. tłum.).

Następnego dnia napotkaliśmy po raz pierwszy nieprzyjaciela brytyjskie patrole wysłane, jak się zdawało, w celu rozpoznania możliwości oskrzydlenia nas od południa. Zostały one łatwo odparte.

7 listopada, w głębi pustyni, patrol wysłany daleko na wschód napotkał generała Ramckego, dowódcę dywizji spadochronowej *, która walczyła na prawym skrzydle na południe od El Alamein. Generała przywieziono do nas samochodem pancernym. Wyglądał na odwodnionego. Prosił, by natychmiast zabrać go do Rommla. Jego spadochroniarze — jednostka elitarna — mieli za sobą ciężkie przeżycia. Natychmiast wysłałem do Rommla wiadomość przez radio: "Znaleziono generała Ramckego z 700 żołnierzami i całą bronią. Znajduje się on na moim stanowisku dowodzenia". Rommel odpowiedział, że obawiał się o losy spadochroniarzy i prawie stracił już nadzieję. Miałem natychmiast dostarczyć generała do niego i użyć spadochroniarzom wszystkich dostępnych pojazdów.

Nigdy nie zapomnę widoku zbliżających się do nas od strony pustyni wyczerpanych żołnierzy Ramckego. Porzucili wszystko poza bronią i zapasami wody, lecz ich morale było zadziwiające.

Ranżem 8 listopada na moim stanowisku dowodzenia, na wschód od granicy libijsko-egipskiej, pojawił się Rommel i nakreślił mi obraz sytuacji. Afrika Korps znajdował się w odwrocie ku granicy od 4 listopada. Resztkami sił powstrzymywaliśmy żywiołowy brytyjski pościg. Wylądowane w Benghazi paliwo dotarło zbyt późno lub w ogóle do niemieckich dywizji pancernych. W efekcie musiano wysadzić w powietrze część pozostałych nam jeszcze czołgów. Gotowe do walki były wówczas zaledwie cztery czołgi. Dlatego też zadanie obrony spoczywało głównie na działach kalibru 88 mm.

Rommel mówił o dantejskich scenach, jakie rozgrywały się na nadbrzeżnej drodze. Ścigane przez brytyjskie czołgi i bez przerwy bombardowane pojazdy stawały w ogniu, podczas gdy żołnierze próbowali ratować się na piechotę. Z powodu zatorów ciężarówki z zaopatrzeniem nie mogły się przebić.

Zamiarem Rommla było utrzymanie się na przełęczach prowadzących do Libii i
przerzucenie przez nie większości sił Afrika Korps.

* W rzeczywistości brygady spadochronowej (przyp. tłum.).

Na twarzy Rommła mogłem dostrzec wielkie rozczarowanie.

— Z powodu szalonego rozkazu Hitlera straciliśmy ważny dzień który kosztował nas niemożliwe do uzupełnienia straty. Nie mogę utrzymać Cyrenajki, toteż z resztkami Afrika Korps, pod dowództwem generała Bayerleina, przetrnę południową Cyrenajkę mimo deszczów i burz piaskowych, by utworzyć linię obrony pod Mersa el Brega (tuż pod granicą Trypolitanii).

— Mam informacje — kontynuował Rommel — że Brytyjczycy z użyciem oddziałów rozpoznawczych oraz samochodów pancernych próbują oskrzydlić od południa cały Afrika Korps. To śmiertelne zagrożenie. Zamierzam zatem wysłać panu Grupę Rozpoznawczą Vossa (580. Pancerny Batalion Rozpoznawczy majora Vossa i 33. Pancerny Batalion Rozpoznawczy majora Linau). Będzie pan miał wystarczające siły, by uniemożliwić jakiegokolwiek oskrzydlenie.

Rommel wydawał się niezłomny. Nie można było jednak nie zauważyć, jak rozczarowany był potraktowaniem go przez Naczelne Dowództwo. Cóż stało się z dumną Armią Afryka Rommła? Jak przygnębiająca musiała być dla niego konieczność porzucenia w ciągu kilku dni terenów, które zostały wcześniej zdobyte dzięki błyskotliwym operacjom.

Wszyscy czuliśmy, że musimy stać przy „naszym Rommlu”.

Pojawili się ze swymi batalionami majorowie Voss i Linau. Pod moim dowództwem powstała Pancerna Grupa Rozpoznawcza Afrika Korps. Od Vossa usłyszałem więcej o wydarzeniach nad wybrzeżem.

— Straszny był widok Włochów i naszych żołnierzy czepiających się nielicznych całych jeszcze wozów — mówił Voss. — Niektóre z pozostałych czołgów były na holu, gdyż nie miały już paliwa. Wozy zaopatrzeniowe ledwo mogły posuwać się pod prąd fali odwrotu. Najgorsza była nasza bezradność w obliczu RAF-u, który zasypywał jedyną asfaltową drogę bombami i ogniem karabinów maszynowych nie tylko w dzień, ale także i w nocy.

Podzieliłem nasz sektor operacyjny tak, by pokryty był w całości przez nasze trzy bataliony.

Następnego dnia Gause przysłał nam dodatkowo samolot *Fieseler Storch* — sprawdzony, lekki samolot rozpoznawczy i łącznikowy, który bardzo nam się przydał, gdyż musieliśmy oddać włoskiego Ghibli. Mój

utant lub ja raz lub dwa razy dziennie odbywaliśmy loty w celu rozpoznania terenu i ewentualnych mchów nieprzyjaciela. Pozwalało to zaoszczędzić paliwo dla pojazdów rozpoznawczych.

5 listopada resztki niegdyś wspaniałego Afrika Korps przekroczyły granicę Libii. Po dziesięciu dniach 13 listopada nasze wyczerpane, zdziśiatkowane oddziały dotarły do Mersa el Brega. Kosztem dużych strat pokonano 1000 kilometrów. 21. Dywizji Pancерnej pozostały cztery czołgi.

8 listopada dowództwo poinformowało mnie, że Amerykanie wylądowali w Maroku i Algierii, co groziło zamknięciem Afrika Korps z obu stron. Dlatego jednostki Luftwaffe wylądowały 9 listopada w Tunisie i wokół niego, 11 zaś jednostki spadochronowe. Dołączyły do nich niemiecka 10. Dywizja Pancerna oraz dywizja włoska. Sformowano 5. Armię Pancerną.

Więści o lądowaniu amerykańskich sił zaniepokoiły nas, chociaż Tunezja była jeszcze daleko. Chodziły słuchy, że Francuzi wysłali z Czadu grupę bojową, która miała marszem wykonywanym od południa przez pustynię odciąć nas od Tunezji.

Kilka dni później sztab Rommla powiadomił mnie, że przydzielono mi włoski batalion rozpoznawczy Nizza. Początkowo nie byłem zbyt zadowolony, ponieważ nie miałem dobrej opinii o włoskim uzbrojeniu i morale żołnierzy. Przybyli oni jednak dobrze przygotowani i najwyraźniej wciąż w pełni sił. Ich dowódca, wysoki major z bujną czupryną, zameldował się u mnie. Jak powiedział mi później, otrzymał ten przydział z powodów dyscyplinarnych, gdyż miał romans z kimś z rodziny królewskiej. Oficerowie i żołnierze pochodzili głównie z północy. Byli dumnymi Piemontczykami i weneccjanami. Chcieli pokazać, że potrafią walczyć.

— Czy nasze patrole mogą prowadzić rozpoznanie wspólnie z waszymi? — pytali dowódca i oficerowie batalionu. — To byłby najlepszy sposób zdobycia doświadczenia.

Obejrzałem ich samochody pancerne i broń. „Następne puszkki na sardynki” — mówili nasi żołnierze, którzy, zaciekawieni, zgromadzili się wokół. Faktycznie, ich sprzętu nie można było nawet porównywać z tym, jakim dysponowaliśmy na początku kampanii polskiej. Nie mógł się mierzyć także z brytyjskimi *Humberami* ani działami

przeciwpancernymi. Mimo to jednak Włosi chcieli, by wysłać - ich do walki.

W ciągu kolejnych, trudnych tygodni nie wiedziałem, czy po dziwiąc, czy też żałować tych dzielnych ludzi, którzy mimo dużych strat nie zrezygnowali i pozostali z nami aż do końca.

Bez wątpienia często niesprawiedliwie traktowaliśmy Włochów. Często przezywani przez naszych żołnierzy „makaroniarzami” byli traktowani ze względu na ich osiągnięcia bojowe raczej jako obciążenie niż wsparcie. Nie braliśmy pod uwagę, że ich broń i samochody pancerne były dużo gorsze od używanych przez nas i naszych przeciwników w Afryce Północnej.

Włosi byli weseli i przyjaźni. Ich mentalność różni się od mentalności Niemców. Często mówi się o nich, że „pracują, by żyć”, podczas gdy my mamy „żyć, by pracować”. Bez wątpienia jednak Włosi są świetnymi inżynierami, projektantami i budowniczymi dróg. Dali światu najpiękniejsze opery i są najlepszymi wykonawcami muzyki klasycznej. Dawna kultura Rzymian wciąż wywiera wpływ na ten naród. Wpłynęła także na wszystkie nowożytne kultury. Wdzięk i wesołość mieszkańców oraz śródziemnomorski klimat powodują, że krajem tym zawsze fascynują się wszyscy goście.

Wszystkie te cechy determinują zatem charakter włoskiego żołnierza. Nie traktuje on wojny ze śmiertelną powagą i poddaje się, gdy uznaje sytuację za beznadziejną. Patetyczna i cyniczna zarazem maksyma Hitlera: „niemiecki żołnierz walczy lub ginie” jest dla Włocha zupełnie obca.

Postawę oraz działania naszych sojuszników należy postrzegać zatem w kontekście ich kultury. Dlatego bardziej ceniliśmy pomoc batalionu Nizza, którego oficerowie i żołnierze walczyli u naszego boku aż do gorzkiego końca.

Brak dostaw nowej broni, amunicji i paliwa oraz innego zaopatrzenia miał katastrofalny wpływ na przebieg odwrotu. Nie tylko wiele czołgów i wozów bojowych trzeba było odholować lub wysadzić w powietrze; niekiedy elementy Afrika Korps pozbawione paliwa musiały odpierać ataki brytyjskich czołgów i samolotów.

Nasz batalion rozpoznawczy wiele zawdzięczał swemu oficerowi zaopatrzeniowemu. Wielokrotnie udawało mu się zorganizować dla nas

niezbędne paliwo i dostarczyć je nam w niewielkich konwojach¹¹ przez pustynię. Jeden z nich został jednak otoczony przez Brytyjczyków i zniszczony, o czym powiadomiono nas z towarzyszącego konwojowi samochodu z radiostacją.

Braki dostaw oznaczały dla nas racjonowanie wody: pół litra dziennie przez całych dziesięć dni. Pół litra do picia — nie można było nawet myśleć o myciu się czy goleniu.

Było to konieczne, gdyż pozbawieni wody na środku pustyni byłibyśmy bezradni. Mimo ogromnych trudności wytrzymałiliśmy te dziesięć dni.

Od 6 listopada moja grupa rozpoznawcza znajdująca się wówczas głęboko na pustyni operowała początkowo z oazy Giarabub, która leżała w odległości około 250 kilometrów od wybrzeża.

Kamienista pustynia nie była tu tak płaska jak dalej na północ, gdzie pozwalała na prowadzenie operacji na wielką skalę. Im dalej na południe, tym teren stawał się bardziej górzysty. W niektórych miejscach widać było urwiste grzbiety smagane wichrem tworzące niemal niemożliwe do przebycia przeszkody. Dalej na południe rozciągała się pustynia piaszczysta z wysokimi, również niemożliwymi do pokonania wydrami. Długie *wadi* dawały osłonę i jednocześnie zabezpieczały przed zaskakującymi atakami.

W ciągu dnia było bardzo gorąco, w nocy zaś tak zimno, że każdy cieszył się, że ma pod ręką płaszcz i szalik. Regularnie uderzały w nas burze piaskowe i ulewne deszcze.

Nawiązaliśmy ponownie kontakt z nieprzyjacielem. Natknęliśmy się na starych znajomych, dragonów królewskich i huzarów, z którymi mieliśmy już do czynienia podczas natarcia pod El Alamein. Choć wiedzieliśmy, że zabezpieczamy odwrót Afriki Korps na zachód, nie mieliśmy poczucia, że toczymy działania bojowe. Działaliśmy we wszystkich kierunkach w celu utrzymywania kontaktu z nieprzyjacielem i zdobywania jasnego obrazu sytuacji i jego zamierzeń. By dowiedzieć się czegoś o planach nieprzyjaciela, trzeba było brać jeńców.

Nasze patrole pancerne wypracowały taktykę „sieci”. W płaskim terenie, w którym widoczność sięgała 15 kilometrów, nasze ośmiokoło- Wce tworzyły wielkie koło, do którego zwabiały brytyjskie *humbery* i samochody rozpoznawcze, by następnie zamknąć się z obu

stron. Taktyka ta zwykle sprawdzała się, chociaż niekiedy po_ szczególne samochody pancerne były niszczone ogniem dział *humberów* większego kalibru.

Przyprowadzono do mnie pierwszych jeńców. Niektórzy witali mnie słowami: „Miło was widzieć, zwiadowcy”. Brytyjczycy w każdych okolicznościach zachowywali poczucie humoru. Po krótkiej pogawędce dowiedzieliśmy się, że głównym zadaniem dwóch brytyjskich batalionów jest uniemożliwienie nam zaatakowania prze/ pustynię dróg zaopatrzeniowych Montgomery'ego.

Znacznie bardziej interesujące było to, co powiedział nam pewien młody oficer, czego resztą zaraz żałował. Long Rangę Desert Group pod dowództwem majora Stirlinga otrzymała zadanie znalezienia w górzystym terenie na południu drogi dla brytyjskiej dywizji pancerniej. Od tego czasu rozpoczęło się, jak to nazwaliśmy, „polowanie na Stirlinga”. Niekiedy znajdowaliśmy ślady opon, które mogły zostawić tylko jego wozy terenowe. Za każdym razem jednak ta sprytna jednostka potrafiła umknąć z naszych sideł.

Kilka tygodni później jeden z patroli zdołał schwycić jeden z wozów dowodzenia Long Rangę Desert Group, który zablądził. W wozie znaleźliśmy mapę, na której była zaznaczona dokładna droga wiodąca przez górski grzbiet, którą cała dywizja pancerna mogła spróbować obejścia naszych pozycji obronnych na północy. Dzięki tej mapie Rommel mógł ocalić część Afrika Korps przed okrążeniem.

Po pewnym czasie poznaliśmy nazwiska dowódców obu brytyjskich batalionów rozpoznawczych. Także i jeńcy często mówili do mnie: „Pan jest major von Luck. Bardzo chcieliśmy pana złapać”.

Podczas gdy Afrika Korps z wysiłkiem wycofywał się wzdłuż wybrzeża i w poprzek Cyrenajki, nasze cztery bataliony mogły przez trzy tygodnie działać swobodnie, nieatakowane przez czołgi czy samoloty.

Wkrótce wypracowaliśmy pewien sposób postępowania. Przed piątą po południu patrole rozpoznawcze przerywały działanie, by powrócić w odpowiednim czasie do bazy. Na pozbawionej drzew pustyni nie sposób było znaleźć drogę powrotną w ciemnościach. Aby uniknąć zdemaskowania pozycji, sygnałów świetlnych używano

jedynie w ostateczności. Dwa brytyjskie bataliony postępowały podobnie, dzięki czemu od 17.00 ustawały wszelkie działania rozpoznawcze i bojowe. Wznawiano je dopiero następnego ranka, tuż po świcie.

— Moglibyśmy nawet uzgodnić z Brytyjczykami zawieszenie broni od 17.00 do świtu — powiedziałem, raczej żartując, do obecnych.

— Dlaczego nie? — poparł mnie porucznik Wenzel Liidecke, oficer rezerwy, który wcześniej pracował w studiach filmowych UFA jako asystent reżysera. — W końcu — kontynuował — Brytyjczycy mają poczucie humoru. Powinniśmy im to zasugerować.

Pomógł nam przypadek. Pewnego wieczoru, po powrocie wszystkich patroli, odwiedził mnie oficer rozpoznania.

— Dragoni królewscy są na naszej fali — powiedział. — Chcieliby rozmawiać z panem.

— Halo, tu dragoni królewscy. Wiem, że to niezwykle, że nawiązujemy kontakt radiowy, ale porucznik Smith i jego grupa zwiadowcza nie zgłosili się od rana. Czy jest u was, a jeśli tak, to jak się miewa on i jego ludzie?

Jeden z naszych patroli faktycznie zdołał wziąć kilku jeńców. Okazało się, że byli to porucznik Smith i jego grupa.

— Tak, jest u nas. Wszyscy są zdrowi i przesyłają pozdrowienia dla swych rodzin i przyjaciół.

Potem przyszło mi na myśl: — Czy możemy skontaktować się z wami, jeśli nie wróci ktoś od nas?

— Oczywiście, zawsze chętnie was usłyszymy.

Nie minęło wiele dni, gdy zawarliśmy dżentelmeńską umowę:

„O 17.00 punkt ustana wszelkie wrogie działania”.

Nazwaliśmy ją „tea time”.

„O 17.05 nawiążemy z Brytyjczykami kontakt, by wymienić informacje o jeńcach itp.”.

W odległości około 15 kilometrów mogliśmy często obserwować Brytyjczyków ustawiających swe palniki Primusa i gotujących herbatę. Obie strony przestrzegały umowy, aż wydarzenia zmusiły nas w Tunezji do jej zerwania. Brani przez nas jeńcy musieli często pozostawać z nami przez wiele dni, aż do przybycia kolejnego konwoju

z zaopatrzeniem, który mógł ich zabrać. Dzielił się z nimi naszymi racjami żywności i wody.

Pewnego wieczoru, gdy nasze radia były nastawione na belgradzki przekaźnik i słuchaliśmy „Liii Marlenę”, dołączyło do nas kilku jeńców.

— U nas słuchamy „Liii Marlenę” każdego wieczoru — mówili.

— Jest już nawet wersja angielska. Monty surowo jej zakazał, ale lubimy melodię i sentymentalne słowa.

Francuzi i Amerykanie, o czym dowiedzieliśmy się później, także jej słuchali. W pewien sposób czyniło to sytuację łatwiejszą.

Nasze zawieszenie broni przyniosło ciekawe skutki. Pewnego wieczoru jeden z patroli powrócił z dwoma jeńcami i ich jeepem, zagarniętymi na pustyni. Wysoki, młody, jasnowłosy porucznik i jego kierowca zostali przyprowadzeni do mnie. Porucznik był snobistycznym, aroganckim typem Anglika. Zgodnie z zasadami podał mi jedynie swój numer służbowy i nic więcej.

Próbowałem nawiązać z nim rozmowę, więc opowiedziałem mu o moich wizytach w Londynie, o znajomych, w tym o kapitanie grenadierów gwardii. Stopniowo pękały lody. Okazało się, że był siostrzeńcem jednego z właścicieli firmy tytoniowej Player. Moi oficerowie nieśmiało złożyli propozycję, z której nie mogłem się nie śmiać.

— Panie poruczniku, co by pan powiedział, gdybyśmy wymienili pana i kierowcę na papierosy? W tej chwili nam ich brakuje.

— Dobry pomysł — odpowiedział.

— Jak pan sądzi, ile papierosów jesteście wari? Ile powinniśmy zaproponować waszemu dowódcy?

Odpowiedział bez najmniejszego wahania:

— Milion papierosów, czyli 100 000 paczek.

Mój oficer radiowy skontaktował się z dragonami królewskimi i przekazał propozycję.

— Proszę czekać, odpowiemy natychmiast — padła odpowiedź. Po kilku minutach:

— Przepraszamy, też nam brakuje. Możemy zaproponować 600 000 papierosów. Odbiór.

Ku mojemu wielkiemu zadziwieniu młody porucznik twardo odmówił.

Ani papierosa mniej niż milion, to moje ostatnie słowo! odpowiedział. Młody człowiek musiał zatem zapłacić cenę, jaką z n a c z y ł za swą osobę.

Tydzień później, krótko przed zmierzchem, nasz lekarz udał się za pagórek w celu niemożliwej do uniknięcia wycieczki z saperką.

" _____ Doktoru — zawolałem — niech pan daleko nie odchodzi, niedługo będzie ciemno.

Gdy nie wrócił po półtorej godzinie, zaczęliśmy się martwić. Lekarz był nie tylko bardzo popularny. Z jego doświadczeniem tropikalnym był nam niezbędny. Wysłaliśmy na poszukiwania kilku ludzi i zapaliliśmy ustalone sygnały świetlne. Doktor jednak nie wrócił. Czy zgubił się, czy też schwytali go Brytyjczycy?

— Tak, mamy waszego lekarza. W drodze powrotnej wpadł prosto na nasz patrol. Tym razem to my mamy propozycję. Japończycy odcięli nam łączność z Dalekim Wschodem. Nie możemy zdobyć już chininy i bardzo cierpimy na malarię. Czy możemy wymienić waszego lekarza na wasz syntetyczny atebryn? Odbiór.

— Proszę czekać.

Była to kwestia moralna. Co było ważniejsze: osłabić gotowość bojową Brytyjczyków malarią, czy odzyskać naszego lekarza? Zdecydowałem się szybko.

— OK, dogadajmy się. Ile opakowań chcecie za lekarza?

Łatwo uzgodniliśmy możliwą liczbę i sposób dokonania wymiany następnego ranka. Z obu stron wyjechały wozy terenowe z białymi flagami, by dokonać ceremonialnej wymiany.

— Kosztowna wycieczka z saperką, doktorze. Dobrze, że jest pan z powrotem. Rommel, któremu opowiedziałem o tym zdarzeniu podczas jednej z jego wizytacji, był wyrozumiały.

— Sądziłem, że Brytyjczycy są właśnie tacy. Cieszę się, że tu, na pustyni, może pan działać fair. Na wybrzeżu chodzi

o przetrwanie.

Tylko raz nasza umowa została nieświadomie złamana. Pewnego wieczoru patrol powrócił do bazy z brytyjską ciężarówką zaopatrzeniową. Dowódcą patrolu był młody porucznik, który przybył niedawno z Niemiec.

— Panie majorze — zameldował dumnie — ciężarówka pełna jest *corned beefu* i innych konserw, piwa i papierosów.

— Gdzie i kiedy pan ją zdobył? — zapytałem na wstępie.

Okazało się, że około 17.30, czyli po uzgodnionym czasie.

— Czy pan zwariował? Zna pan umowę. To nie jest koniec tej sprawy.

Porucznik był zaskoczony.

— Ależ te rzeczy naprawdę nam się przydadzą, Brytyjczycy zaś ich nie dostaną. Wojna to wojna.

Spodziewałem się, co się stanie i natychmiast wysłałem do Rommla wiadomość drogą radiową: „Mam wrażenie, że brytyjskie patrole zamierzają oskrzydlić nas od południa. Chciałbym przesunąć się na południe”.

Rommel zgodził się i poinformował, że inny pododdział przejmie moje pozycje następnego dnia. Poinformowałem jego dowódcę o sytuacji w moim rejonie i ostrzegłem przede wszystkim przed brytyjskimi patrolami, które pojawią się z zaskoczenia i będą próbować wziąć jeńców. Przed wieczorem przesunęliśmy się na południe.

Wydarzyło się to, czego się spodziewałem. Wieczorem przed 17.30 Brytyjczycy zaatakowali pododdział, zdobyli dwie ciężarówki i zniknęli w ciemnościach. Umowa dżentelmeńska była w końcu umową dżentelmeńską.

Koniec naszej umowy nastąpił później, gdzieś w głębi tunezyjskiej pustyni. Przez kilka dni nie mieliśmy kontaktu z dwoma brytyjskimi batalionami. Pewnego wieczoru przybył do mnie ordynans.

— Jest tu Beduin, który chce rozmawiać z panem majorem.

Głęboko kłaniając się, wszedł Beduin.

— Salaam, przywiozłem list. Poczekam na odpowiedź.

Beduin z listem tu, głęboko na pustyni, gdzie nikt nie mógł nas odnaleźć? Beduini zawsze jednak wiedzieli, gdzie jesteśmy. Otworzyłem list.

„Od Dcy Dragonów Królewskich.

Drogi majorze von Luck!

Otrzymaliśmy inne zadania i nie będziemy już mogli utrzymywać z wami kontaktu. Wojna w Afryce została rozstrzygnięta. Z radością stwierdzam, że na naszą korzyść.

Chciałbym zatem podziękować panu i pańskim żołnierzom, w imieniu moich oficerów i żołnierzy, za postawę fair play, z jaką walczyliśmy ze sobą.

Ja i mój batalion mamy nadzieję, że przeżyjecie bezpiecznie wojnę i że będziemy mogli spotkać się jeszcze kiedyś w bardziej sprzyjających warunkach.

Pozostaję z szacunkiem".

Natychmiast napisałem podobny list.

— Dajcie ten list człowiekowi, który przekazał panu list dla mnie
___powiedziałem Beduinowi. — Powiedzcie mu „dziękuję”, ale nie zdradźcie, gdzie nas znaleźliście.

Rozpoczęły się ulewne deszcze, które dały nam czas na umocnienie pozycji Mersa el Brega. Padające deszcze stanowiły przeszkodę zarówno dla nas, jak i dla brytyjskich batalionów. Nie mogliśmy korzystać z osłony *wadi*, gdyż potoki wody metrowej głębokości zmiatały wszystko na swej drodze. Znajdowaliśmy się wówczas na południe od Agedabii, niedaleko granicy Cyrenajki i Trypolitonii.

20 listopada otrzymałem rozkaz udania się *Fieselerem* do Rommla, który na krótki czas umieścił swoje stanowisko dowodzenia w pobliżu lotniska.

Rommel wyglądał na wyczerpanego. Jego mundur był sfatygowany i zakurzony. Ciężkie walki odwrotowe, głębokie rozczarowanie i niewyleczone choroby pozostawiły na nim swój ślad. Powitał mnie krótko. Zamiast wydać mi nowe rozkazy, po które przyleciałem, Rommel ujął mnie za rękę.

— Chodźmy na krótki spacer.

Generał Gause skinął mi głowajakby z radością, że Rommel oderwie się na chwilę od wszystkiego. Chodziliśmy skrajem pasa startowego.

— Nie wiem, jak poradzić sobie z problemem zaopatrzenia — rozpoczął Rommel. — Kilka dni temu włoski niszczyciel z 500 tonami paliwa skręcił na zachód i wylądował je w Trypolisie zamiast w Benghazi. Kesselring właśnie obiecał mi dostarczenie paliwa drogą powietrzną. Pierwszych pięćdziesiąt *Ju-52* jest już w drodze.

W oddali słyszeliśmy warkot silników, jednak także i jazgot dział przeciwlotniczych. Z pięćdziesięciu maszyn wylądowało

jedynie pięć. Reszta została zestrzelona nad morzem. Skąd Brytyj. czycy o nich wiedzieli? Dzisiaj wiemy, że była to robota Jean Howard i jej kolegów w Bletchley Park. Krańcowo sfrustrowany Rommel tupnął nogą.

— Łuck, to koniec. Nie możemy utrzymać nawet Trypolitanii. Musimy wycofać się do Tunezji. Tam zaś natkniemy się na Amerykanów i zapewne na Francuzów, którzy mają maszerować z Czadu przez pustynie południowej Tunezji. Stanie się to, czego obawiałem się wiele tygodni temu: nasz dumny Afrika Korps i dywizje, które wylądowały w północnej Tunezji, będą zgubione. Najpierw strata Stalingradu i 200 000 doświadczonych żołnierzy. Teraz tracimy także Afrykę i elitarne dywizje.

Byłem bardzo poruszony.

— Panie feldmarszałku, wciąż jeszcze mamy szanse. Żołnierze są z panem, ich morale jest znakomite. Jeśli dostaniemy dość zaopatrzenia, musi nam się udać.

Rommel uśmiechnął się.

— Wiem i jestem dumny z żołnierzy. Zaopatrzenie jednak nie przybędzie. Kwatera Hitlera już spisała ten teatr działań na straty. Teraz wymaga tylko, „by niemiecki żołnierz walczył lub zginął”. Musimy stworzyć niemiecką Dunkierkę, czyli ewakuować drogą powietrzną na Sycylię możliwie wielu oficerów, żołnierzy i specjalistów, pozostawiając sprzęt. Potrzebujemy żołnierzy na decydujące starcie w Europie.

— Jak chce pan przekonać do tego Hitlera? — zapytałem.

— Skonsultuję się z Kesselringiem i Włochami, a potem polecę do Rastemburga*, do Hitlera i przedstawię jasno i bez ogródek moje zdanie. Moje słowo ciągle coś znaczy. Wciąż jestem szanowany w kraju oraz przez moich żołnierzy. Nie wierzę już, że dostaniemy dywizje, samoloty i zaopatrzenie potrzebne, by jeszcze raz zmienić losy wojny.

Jego twarz była pobladła, a ramiona opuszczone. Wyglądał na zrezygnowanego.

— Łuck, wojna jest przegrana! — powiedział.

Byłem przerażony. Czy wszystkie nasze wysiłki poszły na marne?

— Wciąż jesteśmy głęboko w Rosji — zaprotestowałem. — Okupujemy połowę Europy. Chociaż utrata Afryki Północnej będzie

* Obecnie Kętrzyn (przyp. tłum.).

gorzka, możemy kontynuować walkę w Europie i wywalczyć zmianę położenia. Luck, musimy uzyskać zawieszenie broni właśnie dlatego, że wciąż mamy jeszcze wiele atutów. Jeśli to możliwe, zawieszenie broni z zachodnimi aliantami. Wciąż mamy coś do zaoferowania. Oznacza to, oczywiście, że Hitler musi zostać zmuszony do ustąpię¹¹¹, że musimy natychmiast zaprzestać prześladowania Żydów i przyznać ustępstwa Kościołowi. Może to brzmi utopijnie, ale to jedyny sposób na uniknięcie dalszego rozlewu krwi i zniszczeń naszych miast.

Co spowodowało u Rommla taką zmianę zdania na temat Hitlera i wojny? Bez wątplenia było to wielkie rozczarowanie z powodu braku wsparcia oraz obojętności wobec jego pomysłów i znaczenia teatru działań. Powoli wracaliśmy do jego sztabu. Ponownie Rommel chwycił mnie za ramię.

— Luck, pewnego dnia wspomni pan moje słowa. Zagrożenie dla Europy i naszego cywilizowanego świata nadejdzie ze Wschodu. Jeśli narody Europy nie połączą sił przeciwko temu zagrożeniu, zachodnia Europa będzie stracona. W tej chwili widzę tylko jednego „wojownika” gotowego, by przeć ku zjednoczonej Europie: Churchilla!

Byłem pod wielkim wrażeniem słów Rommla.

Jak powiedział mi generał Gause na początku grudnia, Rommel odbył decydującą konferencję z marszałkami Kesselringiem i Cavallero

24 listopada. 28 listopada poleciał do Rastemburga w Prusach Wschodnich, by zobaczyć się z Hitlerem. To spotkanie przyniosło efekt odwrotny od spodziewanego przez Rommla: Hitler uznał go za chorego i wyczerpanego, zaś jego raport o sytuacji jako znacznie przesadzony. Ze złością odmówił nawet rozważenia ewakuacji Afrika Korps.

Göring zabrał głos i obiecał Hitlerowi, że doprowadzi przy pomocy swej Luftwaffe do decydującego zwrotu w Afryce Północnej. Göring był obrażony na Rommla od czasu, gdy ten wspomniał, że dywizje Göringa i Waffen SS były tylko „gwardią pretoriańską” i powinny zostać wcielone do armii.

Rommel wrócił do swych żołnierzy, chociaż sugerowano, by poddał się leczeniu z powodu tropikalnej choroby. Tym, co uzyskał, były puste obietnice przysłania wsparcia.

13 listopada, po zniszczeniu wszystkich składów i urzędzeń, bez walki został oddany Tobruk. W ciągu poprzedzających osiemnastu miesięcy wiele krwi zostało tam przelanej przez obie strony.

Odwrót prowadzony przez południową Cyrenajkę był mistrzowskim posunięciem Rommle. Oprócz ogromnych ilości sprzętu nie ponieśliśmy prawie żadnych strat.

Braki paliwa stały się coraz bardziej dojmujące. Z obiecanych 250 ton, które miały być przerzucone drogą powietrzną, przybyło zaledwie 60. Pozwalało nam to na przebycie zaledwie 150 kilometrów, jeśli unikalibyśmy walk. Na szczęście ulewne deszcze przeszkodziły Brytyjczykom w pościgu za nami. Włoskie niszczyciele przewożące paliwo płynęły dalej na zachód. Afrika Korps ponownie był pozbawiony paliwa. Na ostatnich rezerwach zdołaliśmy przeprowadzić jednostki zmotoryzowane i pancerne za linię Mersa el Brega.

Rommel spodziewał się silnego uderzenia oskrzydłającego wokół słonego jeziora na południe od Mersa el Brega. Miałem intensywnie rozpoznawać ten rejon. Jednocześnie moja grupa rozpoznawcza została rozwiązana. Bataliony Vossa i Linaua zostały wysłane na północ. Pozostał z nami jedynie batalion Nizza.

Gause wezwał nas ponownie.

— Z powodu braku paliwa nie możemy stoczyć bitwy z Brytyjczykami na południe od linii Mersa el Brega. Wszystko wskazuje na przygotowywany silny brytyjski atak.

Od 6 grudnia niezmotoryzowane oddziały niemieckie i włoskie rozpoczęły marsz do Tunezji, co nie było łatwe z powodu braku benzyny. Problem zaopatrzenia stawał się coraz bardziej palący.

Całe pułki i dywizje nie mogły się przemieszczać. Jedyne dzięki wielkiemu doświadczeniu bojowemu i wspianiałemu morale udawało się je ratować, gdy tylko zdołano zorganizować nieco paliwa.

Musiałem ponownie oddać *Fieselera Storcha*. Był potrzebny dowództwu. Z tego powodu sieć patroli została zagęszczona. Na szczęście rozpoznanie powietrzne na południu zostało zintensyfikowane. Zaatakowały nas nawet nasze własne myśliwce, które nie spodziewały się znaleźć nas tak daleko na południe. Podczas nalotów każdy musiał wyskakiwać z pojazdu i padać na ziemię jakieś 20-30

metrów od niego. Radiooperator często samorzutnie pozostawał na stanowisku, by wysyłać raporty.

Nasze rozpoznanie powietrzne doniosło, że silna kolumna, zapewne cała brytyjska dywizja, przygotowywała się na południu do oskrzydlenia pozycji Nofilia. 17 grudnia przesunąłem mój batalion na północ, gdzie wraz z innymi elementami Afrika Korps wykonaliśmy uderzenie na skrzydło tej dywizji. Razem zdołaliśmy zniszczyć 20 brytyjskich czołgów naszymi działami kalibru 88 mm i chwilowo zażegnać zagrożenie.

Podczas gdy resztki Afrika Korps walczyły o życie na wybrzeżu i odczuwały nieustannie brak paliwa, my udaliśmy się z powrotem na pustynię. Niebezpieczeństwo nowej próby oskrzydlenia nas było bowiem zbyt duże.

Na południe od linii Buerat natknęliśmy się ponownie na naszych brytyjskich „przyjaciół” i zwyczaj zawieszenia broni o piątej po południu powrócił. Znajdowaliśmy jednak także ślady opan Long Range Desert Group prowadzące na zachód. Generał Gause wysłał wiadomość, że Brytyjczycy najwyraźniej zostali zmuszeni do zatrzymania się, gdyż musieli zreorganizować dostawy zaopatrzenia. Spodziewano się jednak kolejnego ataku na skrzydło przez legendarnego podpułkownika Stirlinga. Nasze zadanie: prowadzić intensywnie rozpoznanie na południe aż do wysokości Homs i Trypolisu ze szczególnym zwróceniem uwagi na niemal nieprzebyte pasmo górskie biegnące z północy na południe między tymi punktami.

Koniec w Afryce Północnej 1943 r.

Pewnego popołudnia, krótko przed Bożym Narodzeniem, przed 16.00 zdecydowałem się pojechać na wzniesienie leżące około 12 kilometrów na południe, by się rozejrzeć. Bezmyślnie wziąłem lekki samochód pancerny bez radiostacji. Zamierzałem przecież powrócić przed piątą. Rozkazałem kierowcy ruszać.

Nie wypatrzyłem ze wzniesienia niczego niezwykłego i wyruszałem w drogę powrotną, gdy spostrzegłem, dokładnie między mną a batalionem, dość duży brytyjski patrol, który — zdawało się — przygotowywał się do zatrzymania w tym miejscu na noc. Na szczęście nie zauważono nas. Natychmiast kazałem wycofać się nieco na południe, a potem na zachód. Teren był trudny, oddalenie się od Brytyjczyków wymagało czasu. Tymczasem zaczynało się ściemniać i nie było szansy na dotarcie do batalionu. Tak więc pozostałem bez radia na pustyni. Miałem przynajmniej ze sobą kompas.

W ostatnim świetle dnia dostrzegłem *wadi*, w którym zdecydowałem się przeczekać noc. Gdy podjechaliśmy do krawędzi, spostrzeżliśmy rodzinę Beduinów z wielbłędami i kilkoma namiotami. Z białą chustką w ręku podjechałem do nich, a ci zbiegli się wokoło. Dałem do zrozumienia, że jestem Niemcem. Mieszając włoski i arabski, nakreśliłem moją sytuację i poprosiłem o udzielenie gościny na noc.

— Chodźcie, Niemcy, bądźcie naszymi gośćmi. Nic wam się nie stanie, ajutro doprowadzimy was do waszych ludzi całych i zdrowych. My także jutro wyruszamy, na południe, aż wy i Brytyjczycy sobie pójdziecie.

Jak zwykle kobiety pozostały w namiotach i zaryzykowały jedynie ukradkowe spojrzenia na obcych. Starszy rodziny zaprowadził nas do ogniska, usiedliśmy wokół niego na ziemi. Niewielki ogień był podtrzymywany gałęziami akacji. Nad nim, na żelaznych jagach, wisiały trzy kociołki. Rozpoczęła się arabska ceremonia parzenia herbaty.

W jednym kociołku gotowała się słodzona woda, w drugim zalano wrzątkiem liście herbaty, w trzecim zaś zmieszano herbatę z posłodzonym wrzątkiem. Procedurę powtarzano bez przerwy, po czym mocną, niemal lepłą herbatę przelano do imbryka. Rozdano niewielkie porcelanowe czarki w metalowych koszyczkach, po czym nastąpiła najdziwniejsza część ceremonii. Starszy rodziny brał po kolei czarki, przechylał nisko nad nimi dzióbek imbryka, a w miarę nalewania podnosił go coraz wyżej, aż strumień herbaty spadał do czarki z wysokości ponad metra. Nie uronił ani kropli. Powiedziano mi później, że w ten sposób herbata miesza się z powietrzem, dzięki czemu wydobywa się jej pełny aromat. Mówiono nam, że chlubą Beduina jest umiejętność nalewania herbaty do małych filiżanek z grzbietu wielbłąda.

Tak więc siedzieliśmy razem — rodzina Beduinów, mój kierowca i ja. Tymczasem zapadła noc i całe niebo pokryło się gwiazdami. Wśród nich można było rozpoznać Krzyż Południa. Ogarnął nas niezwykły, wspaniały spokój. Nie mówiąc wiele, mężczyźni w bur-nusach siedzieli wokół żarzącego się ognia, którego blask nadawał ich twarzom rudobrązowy kolor. Poczułem nagle, że mogliśmy tak siedzieć tysiąc lat wcześniej albo tysiąc lat później — tak ponadczasowy wydał nam się ten wieczór

Przez kilka godzin siedzieliśmy owinięci płaszczami. Noc była zimna. Krótko przed świtem Beduini zwinęli namioty. Starszy rodziny przyszedł się pożegnać.

— Niemcy, wyruszamy do następnego źródła. Musicie podążać tym wielbłądzim szlakiem przez trzy godziny (wielbłądzie godziny), po czym napotkacie inny szlak odbijający w prawo. Podążycie nim przez pięć godzin, aż dotrzecie do wzgórza. Stamtąd dostrzeżecie swoich przyjaciół. Brytyjczycy was nie zobaczą. Niech Allah wam błogosławi, byście mogli powrócić cali i zdrowi do swojego kraju. Uścisnął nam dłoń i ruszył ze swymi wielbłądami przez pustynię. Nigdy nie rozumiałem, skąd ten człowiek tak dokładnie znał położenie nasze i Brytyjczyków.

Przeliczyłem wielbłądzie godziny na czas potrzebny samochodowi pancernemu i ustaliłem azymut. Jechałem ostrożnie wzdłuż wskazanych mi śladów, aż wyjechałem prosto na pozycje mojego batalionu!

Tam panowało wielkie poruszenie. Krótko przed zapadnięciem ciemności wysłano patrole, które znalazły drogę powrotną tylko dzięki sygnałom świetlnym, mnie jednak nie odnalazły. Wreszcie zapytano 11. Pułk Huzarów oraz Dragonów Królewskich, czy nie wzięli mnie do niewoli.

— Niestety, nie. Bardzo chcielibyśmy powitać u nas waszego świętego dowódcę!

Nadeszło Boże Narodzenie 1942 r. Nie mieliśmy jednak czasu na świętowanie. Jak mielibyśmy świętować? Głęboko na pustyni, bez drzewa czy krzewu, w upale dnia nasze myśli biegly do domów, gdzie rodziny musiały znosić naloty i racjonowanie żywności.

31 grudnia, w wieczór sylwestrowy, Rommel niespodziewanie przybył *Fieselerem Storchem* na spotkanie ze mną. Zapoznał mnie z sytuacją i swoimi planami.

— Luck, prędzej czy później, Tommies wyprowadzą kolejny atak i oskrzydlą pozycję Buerat od południa. Resztki dywizji pancernych są mi potrzebne na północy. Grupa rozpoznawcza zostanie odtworzona. W ciągu kilku dni dołączą do pana Linau i Voss, i dostanie pan z powrotem *Fieselera*, by ułatwić panu rozpoznanie.

— Obawiam się — kontynuował Rommel — że Amerykanie dysponujący silnym uzbrojeniem mogą uderzyć z gór Atlas i odciąć nas koło Gabes od 10. Armii w północnej Tunezji. Marszałek Bastico podziela mój pogląd, że nie możemy pozwolić, by Afrika Korps został zniszczony pod Buerat. Zasugerowałem przesunięcie resztek 21. Dywizji Pancernej do południowej Tunezji, by tam wypoczęła i odparła możliwy amerykański atak.

Następnie Rommel powtórzył mi to, co nakreślił kilka tygodni wcześniej.

— Wciąż uważam, że z powodu katastrofalnej sytuacji zaopatrzeniowej oraz stanu naszych żołnierzy, którzy są z pewnością doświadczeni, ale i przemęczeni, nie możemy już odwrócić losów tej kampanii, nie mówiąc o jej wygraniu. Chciałbym zatem przeprowadzić do Tunezji możliwie wielu żołnierzy oraz przerzucić sporo sprzętu. Tam warunki do obrony są lepsze, a przy tym — co jest moją największą troską — można najkrótszą drogą przerzucić wielu żołnierzy na Sycylię.

Jeśli chodzi o pana — kontynuował Rommel — wraz z grupą rozpoznawczą zabezpieczy pan cały obszar na południe od Homs i Trypolisu. Brytyjczycy pod zadnym pozorem nie mogą zaatakować nas od tyłu.

Do połowy stycznia 1943 r. na froncie panował spokój. 13 stycznia 21. Dywizja Pancerna została przesunięta na pozycję Mareth w południowej Tunezji, gdzie miała czas na wypoczynek. Jak na razie Amerykanie nie zdradzali zamiaru uderzenia na wschód z poszarpanych grzbietów Atlasu.

Przybyli Voss i Linau ze swymi batalionami, również *Fieseler*. Obserwowaliśmy teren na południu, wysyłając często patrole. Wznowiono kontakt z „przyjaciółmi” po drugiej stronie frontu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu batalion został na kilka dni przesunięty na południowy zachód od Trypolisu, by odzyskać wartość bojową. Major Voss przejął dowodzenie resztą grupy rozpoznawczej.

Trochę spokoju w cieniu palmowego gaju dobrze nam zrobiło. Nadeszły uzupełnienia amunicji, paliwa i ludzi. Skorzystałem z okazji i wpadłem z krótką wizytą do Trypolisu. W barze w hotelu Ouadan włoski barman zaserwował mi koktajl.

— Następnego pewnie będę serwował Montgomery'emu — powiedział. Włosi podchodzili do sytuacji z mniejszą powagą.

13 stycznia byłem z powrotem z grupą rozpoznawczą. 14 stycznia Brytyjczycy zaatakowali pozycję Buerat przy ogromnym wsparciu artyleryjskim oraz z powietrza. Następnie wykonali silne uderzenie na południe od pozycji Buerat w kierunku Tarhunah-Homs, czyli niemal na sam Trypolis.

Moja grupa rozpoznawcza, wraz z elementami 164. Dywizji i spadochroniarzami, została natychmiast wysłana, by zatrzymać ten manewr. Mimo znacznych strat w czołgach Brytyjczycy szli dalej w kierunku Garian i Azizia. Dzięki temu znaleźli się już na południowy zachód od Trypolisu. Z pomocą Long Range Desert Group cała dywizja pancerna znalazła drogę przez górski płaskowyż. Pozycja Homs-Tarhunah była poważnie zagrożona. Aby uniknąć klęski, Rommel kazał ją opuścić.

20 stycznia usłyszeliśmy, mimo że byliśmy daleko na południu, grzmot eksplozji w Trypolisie. Jak dowiedziałem się później, dzięki

nadludzkim wysiłkom służb zaopatrzeniowych około 95 procent zawartości magazynów zostało wywiezionych bezpiecznie z miasta w kierunku Tunezji. Wszystkie urządzenia portowe i magazyny zostały wysadzone w powietrze, składy żywności zaś przekazane włoskiemu burmistrzowi.

23 stycznia Brytyjczycy bez walki zajęli Trypolis.

Kilka dni później, gdy w rejonie na południowy zachód od Trypolisu osłanialiśmy oderwanie się naszych oddziałów od przeciwnika, jeden z patroli doniósł: „Wykryto grupę wyższych oficerów około sześć do ośmiu kilometrów na północny wschód; sądzimy, że jest tam Monty. Silna osłona, z czołgami i samochodami pancernymi”.

Udałem się tam i zlustrowałem sytuację przez lornetkę. Faktycznie, mógł to być Montgomery, a co więcej, towarzyszył mu chyba Churchill w tropikalnym hełmie na głowie. Było o wiele za daleko, by ich ostrzelać z naszej broni, a nie mieliśmy dział kalibru 88 mm ani połowych. Natychmiast wysłałem wiadomość do Gausego: „Prawdopodobnie Churchill i Monty zlokalizowani w dużej odległości. Atak niemożliwy”. Myślałem o tym, co mówił Rommel o Churchill i wstrzymałem się z otwarciem ognia.

Później dowiedziałem się, że mógł to rzeczywiście być Churchill, który w drodze do Casablanki wizytował oddziały Monty'ego. Jakkolwiek było, nigdy nie widzieliśmy w Afryce Hitlera ani nawet wyższych oficerów z Oberkommando der Wehrmacht.

W styczniu został wreszcie wzięty do niewoli podpułkownik Stirling z Long Range Desert Group.

- Miło mi pana poznać — brzmiały jego pierwsze słowa.
- Z przyjemnością spędzę z panem kilka dni, a może nawet dane mi będzie spotkać się ze słynnym marszałkiem Rommlem.

Zabrano go pod silną straż do sztabu. Dzień czy dwa później oczywiście uciekł. Jednak popełnił błąd, dobijając targu z Beduinami, został nam przekazany.

Brytyjczycy zatrzymali się, by zorganizować na nowo dowóz zaopatrzenia. Dzięki ogromnym wysiłkom, mimo że byliśmy ciągle nękani przez RAF, zdołaliśmy przeprowadzić wszystkie nasze oddziały poza granicę libijsko-tunezyjską na pozycję Mareth.

Po osiągnięciu Tunezji grupa rozpoznawcza została ponownie rozwiązana. Musiałem także ponownie pożegnać się z *Fieselerem*.

Otrzymałem rozkaz powstrzymania lub przynajmniej ostrzeżenia przed próbą podejścia jakichkolwiek oddziałów brytyjskich od południa do linii Mareth. Miałem też zwrócić szczególną uwagę na szlak, który prowadził na północ z pustynnego fortu Fom Tataouine. Spodziewano się nadejścia stamtąd francuskiej kolumny, która w bezprecedensowym marszu miała uderzyć z Czadu przez Saharę na nasze skrzydło. Nie zdołała ona jednak dotrzeć do Tunezji na czas.

Wysłałem do sztabu Rommla oficera łącznikowego, by dowiedzieć się czegoś o sytuacji oraz o planach dotyczących walki w Tunezji. Po jego powrocie zorientowałem się, że Rommel najprawdopodobniej planował poprowadzenie ataku przez przełęcze w górach Atlas bronione przez Amerykanów, aby odnieść sukces w walce z niedoświadczonymi Amerykanami, po czym uderzyć na północ, na ich tyły. 3. Batalion Rozpoznawczy miał być w gotowości do udziału w tej operacji.

Wkrótce potem przybył od Rommla oficer z plutonem działek przeciwlotniczych i plutonem artylerii lekkiej.

— Panie majorze — powiedział. — Pańskie zadanie jest następujące: ponieważ Rommel uważa, że Brytyjczycy mogą spróbować szerokiego manewru oskrzydającego od południa lub że pojawi się francuska grupa bojowa, pański wzmocniony batalion ma się udać do fortu Fom Tataouine, zając francuski garnizon i stamtąd prowadzić rozpoznanie na południe i południowy wschód. Jeśli nie wykryje pan nieprzyjaciela, pańska grupa bojowa natychmiast powróci na pozycję Mareth. Wyruszy pan na południe jutro rano. Łączność radiowa musi być utrzymywana bez przerwy.

W rozproszonym szyku początkowo poruszaliśmy się szybko, dopóki nie nadleciał brytyjski samolot rozpoznawczy, który zatoczył koło i zniknął za horyzontem. Był to zły omen. Wysłałem do Gausego wiadomość przez radio: „Spodziewany atak lotniczy na grupę bojową. Czy możecie wezwać myśliwce? Poza tym szybkie postępy w kierunku Fom Tataouine”.

Potem nadszedł atak. Nisko od strony słońca zaatakowały *Hur-riccmej* osłaniane przez *Spitfirey*, które krążyły wysoko nad nimi.

Nie trzeba było specjalnych rozkazów. Wszelki ruch ustał, każdy żołnierz wyskoczył ze swego pojazdu i padł na piasek 30 metrów od niego. Moi motocykliści otworzyli ogień z karabinów maszynowych, lecz bez sukcesów. Nie wiedzieliśmy, że *Hurricane*y były opancerzone od spodu. Ich celem był pluton flak (działek przeciwlotniczych), który został zniszczony, zanim zdążył dać strzał.

W drugim podejściu celem był pluton artylerii, którego pojazdy zostały poważnie uszkodzone. Myśliwce odleciały tak szybko, jak przyleciały. Wszystko trwało jedynie kilka minut.

Piloci *Hurricane*ow musieli widzieć moje samochody pancerne. Przypuszczałem, że czeka nas kolejny atak. Ponownie wysłałem wiadomość przez radio.

„Atak *Hurricane*ow. Pluton flak i artylerii w większości niezdolne do walki. Spodziewany kolejny atak, przysyłajcie *Messerschmitt*y’.

Brytyjskie lotniska musiały znajdować się tuż za frontem. Po niecałej godzinie byli z powrotem. Tym razem przyszła kolej na samochody pancerne. Wściekły, widziałem z kilkunastu metrów, jak *Hurricane*y wystrzeliwały rakiety, które bez trudu przebijały pancerze. Było to coś nowego.

Jedyny który pozostał w swym pojeździe, był mój radiooperator — nadawał wiadomości. Obok pojazdu stał mój oficer rozpoznania, który przekazywał operatorowi to, co krzyczałem do niego.

Nagle jeden z samolotów — rozpoznałem na nim oznaczenia kanadyjskie — zaatakował z lotu koszącego pancerny wóz z radiostacją. Z 20 metrów mogłem wyraźnie dostrzec twarz pilota pod haubą. Zamiast strzelać, ruchem ręki pokazał radiooperatorowi, by uciekał, po czym poderwał maszynę w ostrym zawrocie.

— Niech radiooperator ucieka z wozu — krzyknąłem — i obaj kryć się!

Maszyna zawróciła i podeszła drugi raz od strony słońca. Tym razem odpalił swe rakiety, trafiając w wóz radiowy, na szczęście jednak nie wyrządziły one wielkich szkód.

Postawa pilota kanadyjskiego czy też brytyjskiego była dla mnie pięknym przykładem uczciwego podejścia w tej bezlitosnej wojnie. Nigdy nie zapomnę twarzy pilota ani wykonanego przez niego gestu.

Poza dwoma pojazdami, które musieliśmy porzucić, wszystkie pozostałe były zdolne do jazdy, chociaż kilka z nich musiały wziąć na hol nasze półgąsienicowe motocykle. Brytyjskie myśliwce wciąż jednak krążyły nad naszymi głowami. Spodziewaliśmy się trzeciego ataku. Nagle wysoko pojawił się dywizjon *Messerschmittów* i natychmiast związał Brytyjczyków walką. Odleciały one na północ. Dostrzeżliśmy jednak, jak jedna z brytyjskich maszyn trafiona runęła na ziemię. Trzeci atak został więc przynajmniej zażegnany, a poza tym mogliśmy cieszyć się z jednego trafienia.

Natychmiast ruszyliśmy w kierunku Fom Tataouine. Byliśmy teraz na środku pustyni, która w tym rejonie była płaska, dzięki czemu jechało się gładko. Przez radio powiadomiłem generała Gausego. Dostrzeżliśmy leżący przed nami maleńki pustynny fort — przyrząd kamieni ustawionych jeden na drugim, ani jednego drzewa czy krzewu. Jakże wyczerpująca nerwowo musiała być wielomiesięczna służba w tym forcie.

Powitano nas ogniem karabinów maszynowych, który szybko uciszyliśmy naszymi własnymi *MG 34*. Oslaniany przez motocyklistów i dwa wciąż nietknięte działa wjechałem do fortu. Wyszedł do nas francuski kapitan. Jego żołnierze złożyli broń i unieśli ręce.

— Dlaczego ciągle jesteście tutaj — zapytałem go — skoro front przesunął się w głąb Tunezji?

— Stacjonujemy tu od ponad roku — odpowiedział. — Naszym zadaniem jest utrzymywanie fortu. Nie mam innych rozkazów.

Udałem się z nim do jego skromnego biura, gdzie spostrzegłem radiostację. Na mój znak oficer rozpoznania uczynił ją niezdolną do użytku.

— Proszę uważać siebie i swoich żołnierzy za jeńców — powiedziałem mu. — Proszę spakować wszystko, co potrzebne. Będziemy musieli was zabrać ze sobą.

Tymczasem wszystkie elementy mojej małej grupy bojowej dotarły już do fortu i przeszukały go w poszukiwaniu broni. Wysłałem natychmiast patrole na południe i południowy wschód, które nie nawiązały kontaktu z nieprzyjacielem. Skontaktowałem się z Gausem.

„Fom Tataouine zajęty, garnizon wzięty do niewoli, radio zniszczone, rozpoznanie prowadzone daleko na południe, brak

kontakty z nieprzyjacielem. Wracam do Mareth z wieloma pojazdami na holu".

Byliśmy wciąż jeszcze ponad 50 kilometrów od Mareth. gdy zapadła ciemność. Zdecydowałem się zatrzymać na noc na środku pustyni. Niebezpieczeństwo było niewielkie — Brytyjczycy także zawieszali w nocy wszelkie działania. Następnego dnia dotarliśmy bez przeszkód do linii koło Mareth i zostaliśmy wycofani na tyły jako odwód.

Skorzystałem z okazji, by porozmawiać z generałem Gausem.

— Zamiarem Rommla — powiedział Gause — jest użycie wyposażonej w nowy sprzęt 21. Dywizji Pancernej z nowo przybyłą 10. Dywizją Pancerną generała pułkownika von Amima, wraz ze wszystkimi dostępnymi oddziałami Afrika Korps, by rozbić zgrupowania wojsk amerykańskich, uniemożliwić im natarcie w stronę wybrzeża oraz wdrzeć się tak głęboko na ich tyły, jak to możliwe.

— Z powodu zupełnego braku doświadczenia Amerykanów — powiedział Gause — Rommel uważa, że operacja ta rokuje wielkie nadzieje. Włosi mają umocnić pozycję Mareth i utrzymać ją za wszelką cenę, chociaż pozycja obronna obok i na zachód od Gabes byłaby dużo korzystniejsza z powodu słonych jezior. Mussolini oraz włoskie Commando Supremo naciska jednak na pozycję Mareth. Niestety, współpraca z von Arnim em nie układa się dobrze. Lubi on być samodzielny — zakończył Gause. — Dzięki Bogu wciąż trwają ulewne deszcze, które niemal uniemożliwiają działanie RAF-u. Pański batalion będzie prowadził rozpoznanie na zachód od Gabes, aby uchronić oddziały naszej 5. Armii Pancernej na północy od odcięcia. Stan zdrowia Rommla nie jest dobry, on jednak chce pozostać ze swoimi ludźmi i sądzi, że wciąż ma szansę, jeśli jego plan zostanie zaaprobowany.

Znowu nabraliśmy nadziei i zapoznaliśmy się z terenem, który zupełnie różnił się od pustyni. W górach Atlas były to przełęcz i strome szczyty górskie, na równinie — słone jeziora, bardziej na północ zaś — tereny uprawne.

— Rommel właśnie otrzymał wiadomość przez radio z Commando Supremo — mówił dalej Gause — że z powodu złego stanu zdrowia po osiągnięciu pozycji Mareth ma zdać dowództwo włoskiemu

generałowi Messemu, który dotychczas dowodził włoskim korpusem ekspedycyjnym w Rosji. Rommel może określić datę zdania dowództwa. Plan Rommla oparty jest na dwóch założeniach — pierwsze: albo otrzymamy z Sycylii niezbędne zaopatrzenie oraz czołgi (w tym znakomite *Tygrysy*), broń przeciwpancerną, amunicję oraz silne wsparcie powietrzne, albo, drugie: spróbujemy uderzyć głęboko na tyły Amerykanów, zajmiemy główne przełęcze i powstrzymamy Brytyjczyków na linii Mareth, by w ten sposób ewakuować z Tunezji większość doświadczonych żołnierzy niezbędnych w Europie. Drugie założenie, niestety, wydaje się jednak najbardziej prawdopodobne. Niech pan będzie gotowy do uderzenia na Amerykanów.

Podczas gdy Włosi obsadzili linie obronne pozycji Mareth, uzupełniona 21. Dywizja Pancerna ruszyła 1 lutego 1943 r. na przełęcz Faid, by zdobyć pozycje wyjściowe do uderzenia na północ, na tyły pozycji amerykańskich. Zaskoczeni, bez doświadczenia Amerykanie utracili przełęcz wraz z 1000 jeńców.

Następnie, w połowie lutego, moja dawna dywizja wyruszyła z przyczółka na przełęczy Faid na północ i natknęła się na pododdziały amerykańskiej 2. Dywizji Pancerniej. W trudnych walkach czołgów większość tej amerykańskiej dywizji została zniszczona, duża liczba czołgów *Grant*, *Lee* i *Sherman* płonęła na polu bitwy. W pościgu 21. Dywizja Pancerna przesunęła się daleko do przodu. Strata 150 czołgów i 1600 jeńców zmusiła Amerykanów do oddania także ważnej miejscowości Gafsa, z której mogliśmy uderzać dalej na północ.

Grupy bojowe Afrika Korps oraz 5. Armii Pancerniej uderzyły jednocześnie na południowy zachód, zachód i północ. Zdobyto ogromne zapasy paliwa, Amerykanie podpalili 30 samolotów na wysuniętym lotnisku polowym.

Mój pancerny batalion rozpoznawczy wszedł na pierwszą linię, by uderzyć z Gafsy na północ i nie dać Amerykanom czasu na otrząśnięcie się.

Od Gausego dowiedziałem się, że Rommel chciał uderzyć na Tebessę, czyli głęboko na tyły nieprzyjaciela. Dla Commando Supremo i dla von Amima wydawało się to zbyt ryzykowne. Nie chcieli i nie potrafili wykonywać planów Rommla. Dlatego wydano

rozkazy do uderzenia tylko na El Kef, zbyt płytko za anglo- amerykańskim frontem.

W nocy z 18 na 19 lutego otrzymałem zadanie zajęcia przełęczy Kasserine niespodziewanym atakiem i utrzymania jej dla podążających za mną oddziałów. Z motocyklistami na czele wyruszyłem przed świtem z nadzieją zaskoczenia Amerykanów. Byli jednak gotowi i ostrzelali nas silnym ogniem artylerii, który był kierowany przez obserwatorów umieszczonych na wzgórzach po obu stronach drogi prowadzącej przez przełęcz. Nie mogłem się przebić. Nie udało się też wysłanemu do ataku pułkowi piechoty.

Wzięliśmy jednak kilku jeńców — żołnierzy amerykańskiej 34. Dywizji. Byliśmy zaskoczeni znakomitym wyposażeniem żołnierzy, a jeszcze bardziej racją dzienną, jaką miał każdy z żołnierzy. Oprócz tabliczki czekolady, gumy do żucia, masła i papierosów, które były dla nas nieczęsto widzianymi luksusami, w każdej był jeszcze skrawek papieru, który nas zafascynował. Wydrukowano na nim: „Jesteś najlepiej opłacanym i najlepiej wyposażonym żołnierzem na świecie. Daliśmy ci najlepszą na świecie broń. Czy jesteś także najlepszym żołnierzem na świecie, musisz teraz to udowodnić”.

Jak wkrótce odkryliśmy, że Amerykanie mieli świetne czołgi i działa przeciwpancerne. Umieszczone za frontem wielkie składy zaopatrzenia pozwalały szybko uzupełnić jakiegokolwiek braki. Nie można potępiać ich za to, że nie mieli doświadczenia bojowego, a musieli walczyć z naszymi „lisami pustyni”.

W jednej kwestii mieli przewagę nad swymi brytyjskimi sojusznikami: byli niezwykle elastyczni. Przystosowywali się natychmiast do zmienionej sytuacji i walczyli z wielkim uporem. Nigdy nie zapomnę widoku naszych czołgów *Tygrys* uzbrojonych w niezrównaną armatę kalibru 88 mm niszczących jeden po drugim *Shennany*, które próbowały nacierać przez przełęcz na wschód i nie mogły zrozumieć, że nie mogą się równać z *Tygrysami*. Podziwialiśmy odwagę i plan, z jakim Amerykanie przeprowadzali ataki, choć niekiedy było nam ich żal, gdyż płacili dużymi stratami za brak doświadczenia bojowego. Odkryliśmy później we Włoszech, ja zaś podczas walk we Francji w 1944 r., jak szybko Amerykanie potrafili

wykorzystać zdobyte doświadczenie oraz jak dzięki elastycznemu i niekonwencjonalnemu prowadzeniu walki odnosić sukcesy.

Nasze uderzenie na północ rozpoczęte z takim powodzeniem zatrzymało się z jednej strony z powodu niewłaściwego wybrania za jego ^{ce} El Kef, z drugiej zaś — braku zaopatrzenia. Co więcej, no intensywnych opadach przemieszczanie się sprawiało dużą trudność. W dolinach górskich nakrywał nas co rusz ogień nieprzyjacielskiej artylerii. Musieliśmy wycofać się na przełęcz Kas- serine, na północy zaś 5. Armia Pancerna rozpoczęła uderzenie odciążające, które jednak nie przełamało angloamerykańskiego oporu.

Pod koniec lutego Rommel został dowódcą Grupy Armii Afryka złożonej z armii generała Messego na południu i generała pułkownika von Arnima na północy. Front był niezwykle długi i mógł być obsadzony tylko w niewielu miejscach.

Przewaga materiałowa nieprzyjaciela, zwłaszcza Amerykanów, była przygniatająca. Rommel chciał wówczas oddać południową Tunezję i z resztką Grupy Armii utworzyć silny przyczółek wokół Tunisu obejmujący przylądek Bon, by rozpocząć ewakuację przynajmniej doświadczonej części Afrika Korps. Plan ten został jednak odrzucony.

Na początku marca dowiedziałem się od Gausego, że Rommel planował polecieć do kwatery Fiihrera, by ocalić to, co można było jeszcze ocalić. Ponieważ byłem w odwodzie — mojemu batalionowi pozostało niewiele samochodów pancernych i amunicji — udałem się na stanowisko dowodzenia Rommla, które było nieopodal.

— Czy mogę porozmawiać z Rommlem i pożegnać się z n i m?
— zapytałem Gausego.

— Oczywiście, z radością zobaczy się z dowódcą swego ulubionego batalionu.

Rommel siedział w swoim „mamucie” jak zwykle nad mapami. Nie widziałem go przez kilka tygodni, zaszokował mnie jego wygląd. Był wyraźnie słaby, cierpiał na chorobę tropikalną i był zupełnie wyczerpany. Jego oczy zachowały jednak ten specyficzny błysk.

— Panie feldmarszałku, słyszałem, że chce pan polecieć do dowództwa. Ze względu na sytuację tutaj nie sądzę, by miał pan

powrócić. Jako dowódca batalionu, który niegdyś pierwszy wylądował w Afryce Północnej i któremu dane było walczyć w każdej pańskiej bitwie, chciałbym, w imieniu każdego oficera i żołnierza mojego batalionu, pożegnać się z panem, aż do ponownego spotkania w jakimś miejscu i czasie. Będziemy się tu bronić tak długo, jak będziemy potrafili, zgodnie z przykładem danym nam przez pana.

Rommel wstał. Miał łzy w oczach.

Cóż musiało dziać się w umyśle tego człowieka, który nigdy siebie nie oszczędzał i który zawsze identyfikował się ze swymi żołnierzami i teatrem działań? Nigdy nie wspominałem o tych łzach nikomu, aż wiele lat po wojnie po powrocie z niewoli spotkałem jego żonę Lucie i opowiedziałem jej o przepowiedni jej męża oraz o jego łzach. Łzy Rommla, łzy wielkiego człowieka, teraz przegranego, były dla mnie jednym z najbardziej poruszających doświadczeń wojny.

Rommel podszedł do regału przy ścianie i powrócił z dużą fotografią, która przedstawiała go zdrowego i opromienionego sukcesami. Napisał na niej dedykację.

— Proszę, Luck, niech pan weźmie to jako wyraz wdzięczności i pochwały dla pańskiego batalionu. Proszę na siebie uważać. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze w kraju. Niech Bóg będzie z panem.

Odwrócił się, a ja wyszedłem głęboko poruszony.

9 marca Rommel odleciał do Niemiec. Sytuacja zaczęła się szybko zmieniać.

Generał pułkownik von Arnim przejął dowodzenie Afriki Korps. Pomagał mu generał Gause, najbardziej doświadczony oficer Sztabu Generalnego w Afryce Północnej. Oczekując każdego dnia na silne uderzenie Montgomery'ego na linię Mareth, zmagaliśmy się z Amerykanami, którzy próbowali przedrzeć się z gór Atlas w stronę wybrzeża. Poniaśliśmy poważne straty.

23 marca ruszył się Monty. Korpus pancerny obszedł Mareth i zmiotł słabe pozycje Włochów. Linię Mareth trzeba było opuścić, nie udało się wycofać większości artylerii. Resztki pancernego Afriki Korps próbowały utworzyć obronę pod Gabes. Mój batalion osłaniał prawe, zachodnie skrzydło. Nasze sekcje tyłowe zostały już odesłane na przylądek Bon.

Wówczas, pod koniec marca, dotarł do mnie rozkaz nakazujący natychmiastowe stawienie się przed von Arnimem. Nie miałem pojęcia, czego ode mnie chciał.

powitał mnie generał Gause.

— Rommel nic nie wskórał u Hitlera. Nie otrzymamy ani dostatecznego zaopatrzenia, ani też nie będzie niemieckiej Dunkierki. Rommla wysłano na leczenie i zakazano mu powrotu do Afryki. Proszę, dowódca oczekuje pana.

Czego chciał ode mnie von Arnim? Nie znałem go, nic też o nim nigdy nie słyszałem. Czekał na mnie wysoki, szczupły mężczyzna

o ostrych rysach.

— Melduję się na rozkaz, panie generale — powiedziałem tytułem powitania.

— Cieszę się, że pana widzę, Luck. Mam zaszczyt odznaczyć pana w imieniu Duce *Medaglia d'Argento* odznaczeniem, które mniej więcej odpowiada naszemu Krzyżowi Rycerskiemu — przypiął order do mojej piersi i wręczył legitymację.

Byłem oczywiście zadowolony. Odznaczenie to zawdzięczałem z pewnością kolegom z batalionu Nizza. Kawalerowi tego odznaczenia przysługiwała nawet niewielka miesięczna pensja oraz dożywotnie darmowe bilety pierwszej klasy włoskich kolei dla niego i osoby towarzyszącej.

Von Arnim nie wezwał mnie z pewnością tylko z powodu odznaczenia. Tak było rzeczywiście.

— Luck, zdecydowałem, w porozumieniu z Rommlem i Gausem, że poleci pan natychmiast do kwatery Fiihrera, by przedłożyć mu szczegółowy plan ewakuacji możliwie wielu elementów Afrika Korps. Poleci pan najpierw do Rzymu, gdzie zdobędzie pan podpis marszałka Kesselringa. Następnie uda się pan do Berlina i zamelduje u generała pułkownika Guderiana (szefa Sztabu Generalnego Armii)

1 generała Schmundta (szefa kadr armii), także by uzyskać ich podpisy. Następnie poleci pan do Berchtesgaden, kwatery Fiihrera,

i zamelduje się u Keitla lub Jodla, by uzyskać audiencję u Hitlera. Gdziekolwiek pan będzie, pozostanie pan z nami w kontakcie dzięki 1000-watowej radiostacji oraz specjalnemu szyfrowi. Generał Seidemann (dowódca lotnictwa w Afryce, jego oraz jego żonę

„Seidefrau”^{*} dobrze znałem z czasów berlińskich) przydzieli panu swojego *Heinkla 111*. Odlot tak szybko, jak to możliwe.

— Czuję się zaszczycony zadaniem, panie generale — odpowiedziałem. — Jak jednak ja, nie nieznaczący frontowiec, mam cokolwiek uzyskać u Hitlera? Poza tym wolałbym być w tej ostatniej fazie z moimi żołnierzami.

— Myśleliśmy o tym — powiedział von Arnim. — Hitler jest niezwykle podejrzliwy wobec generałów. Nawet Rommel najwyraźniej jest na czarnej liście. Nawet po utracie Stalingradu Hitler upiera się przy swej zasadzie: „zwyciężyć lub zginąć, żadnych odwrotów”. Oznacza to, że utracimy teraz 130 000 żołnierzy w Afryce Północnej, i to żołnierzy z wielkim doświadczeniem bojowym i morale. Hitler chętniej wysłucha, jeśli w ogóle wysłucha, „nic nieznaczące- go” majora prosto z linii frontu, jeśli zdoła pan przedstawić mu wyraźny obraz sytuacji i nastroje żołnierzy. Polecą pan i pójdzie na audyencję w pańskim zakurzonym i wypłowiałym mundurze. To musi przynieść skutek. Plan, który pan bierze, został opracowany jakiś czas temu i zakłada proporcjonalną ewakuację najważniejszych oficerów oraz żołnierzy frontowych i tyłowych. Generał Gause omówi z panem szczegóły. Życzę panu, i nam, pełnego sukcesu. Proszę codziennie meldować się przez radio. — Uścisnął mi dłoń i pozwolił odejść.

Gause omówił dokładnie moje zadanie.

— Nie wróci pan do swego batalionu, ale uda się do bazy zaopatrzeniowej na przylądku Bon. Wyślę tam panu *Fieselera Storcha*, który zabierze pana pojutrze na lotnisko dość wcześnie, by mógł pan wylecieć przed świtem.

— Kesselring, Guderian i Schmundt zostali poinformowani o pańskim przybyciu. Nie wiem, czy pozwolą panu powrócić do Afryki, ale proszę spróbować. Szybkość ma istotne znaczenie. Każdy stracony dzień czyni ewakuację trudniejszą. Wszystkiego dobrego, Luck — Gause wręczył mi plan w wielkiej kopercie i pozwolił odejść.

Musiałem stanąć na chwilę i odetchnąć głęboko. Misja ta była zbyt niespodziewana i ważna. Po tylu latach służby liniowej oto stało

* Niemiecka gra słów: „Mann” — mężczyzna, mąż, „Frau” — kobieta, żona (przyp. tłum.).

przede mną zadanie, które sięgało znacznie ponad zwykłe obowiązki dowódcy batalionu.

Do naszej bazy zaopatrzeniowej nie było daleko, toteż przybyłem tam krótko przed zmrokiem. Zaskoczenie było duże, gdy powiedziałem żołnierzom, że udam się do Niemiec w misji specjalnej. Natychmiast powiadomiłem przez radio kapitana Bemhardta: „Sądzę, że wrócę za tydzień. Niech pan podtrzymuje morale i doprowadzi tylu żołnierzy, ile możliwe, na przylądek Bon. Proszę wszystkich pozdrowić”.

Następnego dnia spakowałem niezbędne rzeczy. Większość bagażu, w tym zdjęcie Rommla, pozostawiłem w wozie dowodzenia.

Po południu w naszej bazie wylądował *Fieseler*. Jego młody pilot powiedział mi, że muszę być na lotnisku około 5.30 rano, aby *Heinkel* mógł pokonać Morze Śródziemne, zanim *Spitfrey* uczynią trasę niebezpieczną. Następnie pojawiło się kilku oficerów z batalionu Nizza, który został niemal całkowicie rozbity i składał się obecnie jedynie z niewielkiego patrolu. Przywieźli ze sobą kilka butelek Chianti i wręczyli mi listy oraz paczki dla rodzin we Włoszech. Wieczorem usiedliśmy wszyscy na ziemi pod palmami. Nie było słyhać żadnych odgłosów walk. Wszystko wydawało się takie spokojne i nierzeczywiste.

Było później, niż bym chciał. Pilot *Fieselera* musiał mnie obudzić

— mieliśmy opóźnienie. Ostatnie pożegnania i wystartowaliśmy w brzasku dnia. *Heinkel* stał gotowy z zapuszczonymi silnikami. *Fieseler* podkołował do wjazdu wejściowego. Pilot, z wyglądu bardzo doświadczony sierżant, zawołał do mnie z kokpitu: „Szybciej, panie majorze, *Spitfrey* niedługo tu będą!”.

Musiałem położyć się na brzuchu w nosie bombowca i zająć stanowisko przedniego Strzelca działka kalibru 20 mm. W inny sposób nie można było przewieźć.

— Czy zna pan takie działko, panie majorze? — zapytał pilot przez interkom.

— Sierżancie, mieliśmy takie działko w naszych wozach pancernych, jak wy jeszcze robiliście w gacie! — odpowiedziałem.

— Dobrze, proszę je przestrzelać, jak tylko znajdziemy się nad morzem. Będziemy lecieć bardzo nisko — usłyszałem głos pilota.

Dzień wstawał na wschodzie, gdy wystartowaliśmy z rykiem silników. Po kilku minutach znaleźliśmy się nad morzem na wysokości, jak zgadywałem, około 10-15 metrów nad gładką powierzchnią wody. Załadowałem zatem magazynek, przeładowałem i nacisnąłem spust — i nic! Przeładowałem ponownie i znowu nic.

— Cóż to za dziwne działko!? — wrzasnąłem do pilota.

Próbowałem bez przerwy, po czym prawie rozebrałem zamek na

części. Złożyłem, przeładowałem i nic. Pilot zaczął się denerwować.

— Potrzebujemy tego działka, gdyby brytyjskie myśliwce zaatakowały od przodu. Proszę próbować cały czas, już jest jasno!

Byłem całkowicie pochłonięty cholernym działkiem i nie zwracałem uwagi na to, dokąd i jak wysoko lecieliśmy, nie wypatrywałem też brytyjskich myśliwców. Niespodziewanie pilot wzniosł maszynę wyżej.

— Zbliżamy się do Sycylii — usłyszałem jego głos. — Wkrótce będziemy bezpieczni.

Ledwie go słyszałem. Byłem zbyt zaaferowany działkiem. Nagle wystrzeliło. Długa seria rozdarła powietrze.

— Hurra! — krzyknąłem. — Działa!

— Stop, stop! — krzyknął pilot. Pierwsze pociski dział przeciwlotniczych śmignęły obok nas. Włoska obrona przeciwlotnicza wzięła nas za *Heinkla* zdobytego przez Brytyjczyków. Na szczęście, nie celowali zbyt dobrze. Pilot wystrzelił flary rozpoznawcze. Włosi przestali strzelać i wkrótce wyładowaliśmy.

— Dziękuję za lot — krzyknąłem do sierżanta. — Następnym razem wezmę ze sobą własne działko!

Tego samego dnia poleciałem do Rzymu regularnym lotem. Niemiecki oficer łącznikowy przydzielił mi pokój w słynnym hotelu Excelsior przy via Veneto i wyznaczył spotkanie z Kesselringiem następnego dnia rano.

Rzym wydawał się niemal nietknięty wojną. Nie było zaciemnienia, jak w Niemczech, nie było prawie widać pojazdów wojskowych, a słynna via Veneto tętniła życiem jak w czasie pokoju. Czułem się nie na miejscu w tym wypłowiałym mundurze tropikalnym.

W hotelu oddałem listy moich włoskich przyjaciół portierowi, który natychmiast pogratulował mi z szacunkiem *Medaglia d'Argento*.

Po kąpeli, pierwszej od tak dawna, zdecydowałem się na posiłek w Chez Alfredo. Alfredo słynał ze swego spaghetti. Od włoskiej rodziny królewskiej otrzymał zestaw złotych sztućców, którymi osobiście nakładał porcje szczególnie ważnym gościom. Ściany jego niewielkiej restauracji przy Piazza Colonna były pokryte fotografiami i dedykacjami słynnych polityków, aktorów i pisarzy. Jego „Złota księga gości” zawierała przekrój sław z całego świata.

Gdy Alfredo zobaczył mnie, spieszenie do mnie podszedł.

— *Comandante*, cóż za zaszczyt i przyjemność, gratuluję *Medaglia d'Argento*. Osobiście przyniosę panu najlepsze spaghetti. Wciąż można je u mnie zjeść mimo wojny.

Goście przy wszystkich stolikach patrzyli na mnie, gdy Alfredo wydobyl z kieszeni swój złoty widelec, by nałożyć spaghetti.

Potem nadszedł gwóźdź programu. Światła zgasły, a główny kelner postawił na moim stoliku płonący *omlette surprise*, Alfredo zaś krzyknął zadowolony: „*Ecco maestoso*”. Ze wszystkich stron rozległy się oklaski. Musiałem wziąć się w garść. Tego ranka byłem jeszcze na polu walki w Afryce Północnej, teraz zaś na ceremonii, która nie miała nic wspólnego z wojną i śmiercią.

Podziękowałem Alfredo:

— Wspaniale, najlepsze, w Afryce mogliśmy tylko marzyć o takim jedzeniu. Teraz zakończymy tę ucztę filiżanką mokki.

Alfredo niemal płakał:

— *Comandante*, trwa wojna, od dawna już nie mieliśmy kawy. Jakże mi przykro. Przekłeta wojna!

Włożyłem rękę do kieszeni i wydobylem niewielką paczuszkę prawdziwej kawy.

— Proszę, don Alfredo, oto nasza mokka. Dla pana, dla szefa kuchni i

po Yeneto, by potem skorzystać po tak długiej przerwie z prawdziwego łóżka.

Następnego ranka samochód przysłany przez oficera łącznikowego zabrał mnie do Frascati, rejonu winnic w pobliżu Rzymu, gdzie Kesselring miał swój sztab. Czas tam stał w miejscu, nie było żadnych oznak wojny. Panowała tam już wiosna. Romantyczne miasteczko rozłożyło się na stoku wzgórza otoczone winnicami.

Natychmiast zaprowadzono mnie do Kesselringa. Był najwyraźniej dokładnie poinformowany. Był czarującym mężczyzną średniego wzrostu o ciepłym i sympatycznym spojrzeniu. Szanowaliśmy go, ponieważ był jedynym wyższym dowódcą, który przybył do Afryki.

— Jak minął lot? — zapytał. — Czy *Heinkel* Seindemanna przewiózł pana bezpiecznie nad wodą?

Śmiał się serdecznie, gdy opowiedziałem mu o działku kalibru 20 mm.

— Nie mam wielkiej nadziei na przeforsowanie naszego planu u Hitlera, ale musimy spróbować, gdy podpiszą go jeszcze Schmunt i Guderian. Może pan polecieć do Berlina jeszcze dzisiaj samolotem kurierskim. Liczy się każdy dzień. Życzę szczęścia! — potrząsnął moją dłoń.

Po wysłaniu von Amimowi z Frascati raportu wylądowałem w Berlinie, wciąż w mym sfatygowanym tropikalnym mundurze.

Cóż za kontrast w porównaniu z Rzymem! Miasto przedstawiało obraz zniszczenia. Wiele domów to jedynie ruiny, twarze zaś niegdyś tak żywych berlińczyków były szare. Można było zauważyć, że nie wierzyli już w ostateczne zwycięstwo Hitlera i Goebbelsa, chociaż nikt nie śmiał się do tego przyznać; niebezpieczeństwo donosu było zbyt duże.

Tego samego wieczoru przyjął mnie generał Schmunt. On także był wprowadzony w sprawę. Jako odpowiedzialny za personalną stronę ewakuacji podpisał plan, nawet go nie czytając.

Luck, cieszę się, że widzę kogoś ze starych pancerniaków całego • zdrowego. Jak wielu z tych dawnych dni już nie ma! Dopiero co straciliśmy Stalingrad. Wie pan zapewne, jak wielu doświadczonych oficerów i żołnierzy tam zginęło lub dostało się do niewoli. Teraz to samo grozi nam w Afryce. Nawet sobie nie wyobrażam utraty doświadczonych żołnierzy trzech dywizji starego Afrika Korps ani też nowych dywizji wysłanych do Tunezji. Dlatego zgodziłem się natychmiast na plan ewakuacji, który został oczywiście nakreślony przez Rommla, chociaż nie mamy wielkich nadziei, że Hitler się na niego zgodzi. Pańskie zdanie, zdanie żołnierza z pierwszej linii frontu, będzie miało dla Hitlera większe znaczenie niż nasze, które uważa za „defetystyczne”. Może pan jechać jeszcze dzisiaj nocnym pociągiem. Dotrze pan do Berchtesgaden jutro rano.

— Panie generale, jedno pytanie, zanim wyruszę. Dlaczego powrócił pan, po tym jak Hitler pana usunął? Często zadajemy sobie to pytanie.

— Proszę posłuchać — odpowiedział Guderian — gdybym odmówił, a wolałbym odmówić, na moim miejscu byłby teraz ktoś inny, kto mógłby nie wiedzieć nic o taktyce wojsk pancernych albo jedynie przytakiwać wszystkim pomysłom Hitlera. Ja mogę ratować, co się da uratować, i próbować unikać najgorszego. Zagrożenie aliancką inwazją we Włoszech lub w południowej Francji czy też w obu tych krajach jest teraz większe niż kiedykolwiek. Dlatego potrzebuję nietkniętych i doświadczonych odwodów pancernych. Zrobię dla was, co tylko będę mógł.

Potem Guderian przedstawił mi zadziwiającą prośbę.

— Luck, jest pan w bardzo dobrych stosunkach z Rommlem, nieprawdaż? Ponieważ nie widziałem się z nim przez kilka lat, bardzo chciałbym z nim porozmawiać. Jeśli spotka go pan w kwaterze Fiihrera czy gdziekolwiek indziej, proszę zapytać, czy zgodziłby się na spotkanie, najlepiej w Monachium. Nikt nie może o tym wiedzieć. Hitler natychmiast weszłyby

Uśmiechając się, pozwolił mi odejść.

Ponownie wysłałem von Arnim owi wiadomość przez radio i po wiadomościem, że następnego dnia odwiedzam Kwaterę Główną.

Długo jechałem nocą wagonem sypialnym nienękany nalotami

Pierwszą osobą, jaką spotkałem w Berchtesgaden, był podpułkownik von Bonin, którego ostatni raz widziałem w sylwestra 1942 r gdy towarzyszył Rommlowi podczas wizyty na moim stanowisku dowodzenia na pustyni.

— Co pan tutaj robi? — zapytał mnie. — Myślałem, że toczy pan ostatnią walkę w Tunezji. — W zaufaniu nakreśliłem mu zarys mojej misji i zapytałem, przez kogo mogę najłatwiej uzyskać możliwość przedłożenia mojej prośby Hitlerowi.

— Mój przyjacielu — odpowiedział — nie jesteśmy na polu bitwy. Tu nawet Rommel nie ma nic do powiedzenia. Tu rządzi biurokracja. Oznacza to, że najpierw musi pan udać się do oficera ds. Afryki, niejakiego pułkownika X, który następnie skieruje pana do generała pułkownika Jodła. On dowie się od feldmarszałka Keitla, czy i kiedy zostanie pan dopuszczony przed oblicze Fuhrera. Chodźmy, na początek zaprowadzę pana do pierwszego szczebla w drabinie dowodzenia. Między 12.30 a 14.00 trwa tu przerwa obiadowa i nie można zobaczyć się w ogóle z nikim. Tak tutaj jest. W Afryce ponad sto tysięcy ludzi toczy krwawą walkę o życie, tutaj jednak przerwa obiadowa to świętość, na czas której wojna zatrzymuje swój bieg.

Pułkownik X przyjął mnie bardzo przyjaźnie. Zrelacjonowałem moją sprawę i poprosiłem o natychmiastowe skierowanie do Jodła.

— Przyjacielu, może pan zapomnieć o planie ewakuacji. Północnoafrykański teatr działań został już praktycznie skreślony. Wciąż próbujemy przesłać możliwie dużo zaopatrzenia, ale nie mamy wielkich nadziei. Niech się pan cieszy, że wydobył się pan z kłopotów. Pańska matka ucieszy się, widząc pana całego i zdrowego.

Spotkanie wyznaczono na piętnastą. Podczas posiłku w zwykłej kantine Bonin dał mi adres i numer telefonu Rommla. Cokolwiek miało się wydarzyć, chciałem powiadomić marszałka o wyniku.

Potem z wielką kopertą stanąłem przed Jodlem. Wiedzieliśmy, że był on doświadczonym oficerem sztabu. My, oficerowie frontowi, lubiliśmy go jednak za jego lizusostwo wobec Hitlera. Wytłumaczyłem mu cel mojej misji oraz dlaczego von Amim wybrał mnie na posłańca.

— Sytuacja wygląda bardzo źle, panie generale — zacząłem. — Nie potrafimy już oprzeć się naciskowi Brytyjczyków i Amerykanów, zwłaszcza zaś RAF-owi, który utrudnia nam przemieszczanie się, chyba że pada. Nie możemy pokryć długiego frontu od Gabes do Tunisu. Aby zapobiec katastrofie, należy natychmiast ewakuować możliwie wielu żołnierzy, aby mogli oni zostać użyci tam, gdzie zachodni alianci z pewnością wylądują. Dlatego mam ze sobą plan ewakuacji, który został szczegółowo opracowany przez Rommla i von Amima, podpisany przez Kesselringa, Guderiana i Schmudta.

Wręczyłem mu kopertę.

— Wysłano tu mnie — kontynuowałem — mało ważnego oficera liniowego z nadzieją, że wywrę jakieś wrażenie na Führerze. — Jodl spoglądał na mnie długo, nie otwierając koperty.

— Niech pan posłucha, Luck — powiedział wreszcie. — Rozważanie ewakuacji Afrika Korps czy, jak to pan nazywa, planowanie „niemieckiej Dunkierki” jest absolutnie wykluczone. Führer nie jest skłonny myśleć o odwoicie. Nie pozwolimy panu nawet się z nim zobaczyć. Wpadłby w furię i wyrzucił pana. Poza tym cieszymy się, że Führer na kilka dni skupił się na polityce, ponieważ właśnie odwiedza go Antonescu z Rumunii.

Nie przerywając, Jodl wziął mnie za ramię i podprowadził do wielkiej mapy zajmującej całą ścianę.

dla nas prowokacyjne, ponieważ czeka nas podobny los, chyba że spróbujemy uratować to, co jeszcze można.

Jodl milczał. Po chwili poda! mi rękę.

— Rozumiem to wszystko, ale pańska misja nie przyniesie spodziewanego skutku. Proszę poinformować o tym von Amima.

Gdy wychodziłem od Jodła, w jego oczach dostrzegłem bezradne współczucie dla Afrika Korps.

Głęboko rozczarowany poszedłem do biura łączności radiowej i wysłałem wiadomość do von Arnima: „Niedopuszczony do Fihrera, plan odrzucony przez Jodła, lecę do Rzymu i stamtąd do Tunezji”.

Zameldowałem mój odjazd pułkownikowi X i jeszcze raz spotkałem się z Boninem.

— Niech pan powie Rommlowi o niepowodzeniu mojej misji. Spróbuję dostać się z powrotem do Afryki. Jeśli okaże się to niemożliwe, skontaktuję się z Rommlem — powiedziałem mu.

Nic więcej nie trzymało mnie w Niemczech. Chciałem być z moimi żołnierzami. W Rzymie niemiecki oficer łącznikowy poinformował mnie, że wydano ściśle rozkazy zabraniające przerzucania do Afryki personelu. Do Tunisu można było wysłać drogą powietrzną jedynie zaopatrzenie. Nie porzucałem jednak nadziei na dostanie się tam. Pozostałem w Rzymie i każdego dnia zaglądałem do biura łącznikowego.

Wieści dochodzące codziennie z frontu były alarmujące. Pozycja Mareth została stracona, ale resztki Afrika Korps wciąż broniły Gabes, zaś 5. Armia Pancerna pozycji na zachód i południowy zachód od Tunisu. Amerykanie nie zdołali przebić się przez wielką lukę między obiema armiami, by je oddzielić od siebie. W pierwszej połowie kwietnia wciąż jeszcze możliwy był przerzut znacznej części oddziałów na Sycylię przez przylądek Bon oraz tereny na północ od Tunisu. Do tego celu były przygotowane wszystkie *Junkersy* 52

Commando Supremo (przypuszczam, że von Amim chciał uratować tego doświadczonego sztabowca dla Rommla) — oraz generała Bayerleina, który był poważnie chory.

Do końca kwietnia front na południu był na skraju załamania. Do Tunezji docierało niewiele amunicji, paliwa i sprzętu. Niespodziewanie do Rzymu nadszedł rozkaz z kwatery Fiihrera: „Natychmiast rozpocząć ewakuację wojsk niemieckich i włoskich z Tunezji. Użyć wszystkich dostępnych środków transportu”.

Ewakuację prowadzono dokładnie według planu, który dostarczyłem Jodłowi kilka tygodni wcześniej. Do akcji weszły *Junkersy*, kutry torpedowe i promy Siebela. Mój batalion był wciąż na południu z Afrika Korps. Nie miał szansy przedrzeć się na północ, na przylądek Bon. Otrzymałem od kapitana Bemhardta ostatnią wiadomość radiową: „Nie mamy już paliwa ani amunicji. Unieruchomieni, czekamy na następny atak. Pozdrawiamy naszego dowódcę i nasze rodziny. 3. Pancerny Batalion Rozpoznawczy”.

Gdy na lotniskach pojawili się pierwsi oficerowie i żołnierze, były tam już amerykańskie czołgi. „Chłopaki, to już koniec, ręce do góry!” — przywitali naszych ludzi.

W dowództwie wahali się przez dwa tygodnie, czy w ogóle rozpocząć „niemiecką Dunkierkę”. Można było uratować tysiące, gdyby Jodl od razu zaakceptował plan.

6 maja, po potężnej ofensywie aliantów, resztki dumnej, niemiecko- -włoskiej armii w Afryce poddały się. Do niewoli dostało się ponad 130 000 niemieckich żołnierzy.

Wzięcie do niewoli od niepamiętnych czasów było uważane za narodową lub osobistą hańbę. Chociaż można się było spodziewać od Brytyjczyków i Amerykanów humanitarnego traktowania, wielu żołnierzy próbowało uniknąć schwytania. Kilku udało się uratować w najróżniejszy sposób. Niektórzy

w zatoczce prom Siebela, nieuszkodzony i dobrze zamaskowany. Mechanicy powiedzieli, że był gotowy do rejsu. Zapytałem żołnierzy, którzy błakali się bez celu w okolicy, kto chce płynąć ze mną na Sycylię. Wystąpiło niemal stu, z którymi wyruszyłem przed świtem. Płynęliśmy według wskazań kompasu i bez kłopotów dotarliśmy do sycylijskiego portu. Nie pozwolono nam zawiązać, ponieważ nie mieliśmy żadnych dokumentów okrętowych. „W porządku — krzyknąłem do Włochów. — Wracamy na morze”. Wylądowaliśmy w niestrzeżonej zatoczce. Oto jesteśmy, gotowi wracać do naszych oddziałów.

Porucznik von Wechmar z mojego batalionu, który po wojnie był korespondentem Agencji UP w Niemczech, a dzisiaj jest naszym ambasadorem w Londynie, wiele lat później opowiedział o swych losach.

„W ostatnich dniach walczyłem na północy. Po kapitulacji wymknąłem się z innym oficerem. Znaleźliśmy amerykańskiego jeepa, którym próbowaliśmy się przedrzeć do Maroka. Dotarliśmy tylko do Algierii, gdzie odkryli nas Amis i wzięli do niewoli, gdy próbowaliśmy zorganizować trochę paliwa. Jak prawie wszystkich niemieckich jeńców przewieziono nas statkami do USA, gdzie skończyliśmy w obozie jenieckim w Trynidad w stanie Kolorado. Traktowano nas dobrze. Chociaż bardzo żałowałem, że dostałem się do niewoli, patrząc z dystansu, zapewne ocaliło mi to życie”.

Winfried von St. Paul, bratanek mojego bliskiego przyjaciela, został przeniesiony do mojego batalionu pod koniec 1942 r. na moją prośbę i brał udział w zakończonym sukcesem patrolu „Molinari”. Spotkałem go ponownie długo po wojnie w Hamburgu. Opowiedział mi o ostatnich dniach mojego batalionu.

„Pewnego razu, gdy wciąż działaliśmy w południowej Tunezji, nasz patrol ledwie zdołał uciec Brytyjczykom. Udało im się zdobyć nasz warsztat samochodowy. Następnego dnia samochód pojawił się ponownie. Załoga

Gdy poleciał pan do Niemiec — opowiedział mi St. Paul kapitan Bernhardt przejął dowodzenie. Na początku maja 1943 r. wciąż walczyliśmy w południowym sektorze. Batalion liczył jeszcze 90 żołnierzy, nie miał już jednak samochodów pancernych, a paliwa było bardzo niewiele. 9 maja musieliśmy się poddać. Brytyjski oficer, który przyjął kapitulację, podszedł do Bernhardta i powiedział: «To dla nas zaszczyt wziąć do niewoli pana i 3. Batalion Rozpoznawczy. Proszę zatrzymać swój pistolet. Czy możemy coś dla was zrobić?».

«Proszę, nie każcie nam iść do Tunisu — odpowiedział Bernhardt. — Jesteśmy zmęczeni». Natychmiast sprowadzono brytyjskie ciężarówki, które zabrały nas do obozu jenieckiego, mijając po drodze maszerujących pieszo jeńców, w tym generała.

Z Constantine — kontynuował St. Paul — zabrano nas koleją do Casablanki. Konwojowali nas Amerykanie z drewnianymi pałkami. «Nie jesteśmy psami — krzyczeliśmy do nich. — Odłóżcie pałki!». Odtąd byliśmy dobrze traktowani i rozmawialiśmy ze strażnikami. Jadąc na zachód, mijaliśmy wielkie składy paliwa i amunicji, niektóre o powierzchni boisk piłkarskich. Byliśmy jednomyślni: wobec takiej przewagi materiałowej nie mieliśmy żadnej szansy na wygranie wojny. W obozie jenieckim w Opelika w stanie Alabama traktowano nas naprawdę dobrze aż do zwolnienia na początku kwietnia 1946 r. Niestety, wysłano nas do Anglii, gdzie musieliśmy czekać jeszcze rok na powrót do domu".

Wszystkie relacje, jakie słyszałem, niektóre jeszcze w Rzymie, inne długo po wojnie, opisywały smutny koniec bezlitosnej, lecz zawsze rycersko prowadzonej wojny w Afryce Północnej

Berlin i Paryż 1943-1944

Kolejny raz jechałem pociągiem na północ przez Apeniny, dolinę Padu i Alpy. Kraj wydawał się tak spokojny, że trudno było uwierzyć, że Włosi mogą odczuwać u siebie koszmar wojny. Było ciepło i słonecznie. Po drodze mogłem dostrzec pracujących ludzi. Przez oficera łącznikowego w Rzymie otrzymałem rozkaz wyjazdu do Berlina przez Monachium.

W Monachium chciałem nie tylko odwiedzić kilku znajomych, ale także zająć się spotkaniem z Rommlem, o które prosił Guderian.

Przydzielono mi pokój w słynnym hotelu Cztery Pory Roku, który należał do braci Walterspiel. Skontaktowałem się telefonicznie z Rommlem przebywającym w Simmering, gdzie przechodził leczenie.

Opowiedziałem mu o nieudanej misji i opóźnionej decyzji o ewakuacji. Rommel nie skomentował jej. Jego telefon mógł być na podsłuchu.

W cokolwiek zakamuflowanej formie przekazałem prośbę Guderiana, na którą Rommel natychmiast się zgodził. Po skonsultowaniu się z Guderianem został ustalony dzień spotkania w Czterech Porach Roku. Poprosiłem Walterspiela o zarezerwowanie pokoju i utrzymanie spotkania słynnych generałów w całkowitej tajemnicy.

W wyznaczonym dniu powitałem Rommla, który wypytał mnie dokładnie o wydarzenia z ostatnich dni przed wysłaniem mnie do Europy. Powiedział, że w tym czasie wypadł z łask Hitlera i że cieszy się możliwością wymiany poglądów z Guderianem po tak długiej przerwie. Wkrótce przybył Guderian. Przywitał mnie krótko, po czym obaj panowie zasiedli do rozmowy. Nigdy nie dowiedziałem się o jej treści.

Gdy paliłem¹ papierosa w oczekiwaniu na Rommla i Guderiana, do mojego stolika¹ podeszła elegancka starsza pani.

— Nie ma pan nic przeciwko? — powiedziała i wyciągnęła torebki srebrne pudełko. Po czym wyjęła mój niedopałek z popielniczki i włożyła do pudełka, które, jak mogłem dostrzec, zawierało już wiele innych.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała z pewnym zażenowaniem ale przydział tytoniu jest tak mały, że skręcam własne z pozostałości papierosów. Teraz, gdy kawa jest niedostępna od tak dawna, mogę przeżyć ciężkie czasy tylko dzięki papierosom. Najmocniej pana przepraszam.

Byłem zaszokowany. Jak trudno musiało być ludziom w kraju znosić reglamentację, naloty i troskę o mężczyzn walczących na froncie. Gdy dałem starszej pani resztę paczki papierosów, uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Rommel i Guderian wyszli do holu osobno. Szybki uścisk dłoni: „Wszystkiego dobrego, Łuck”, i już ich nie było.

Po kilku dniach spędzonych w Monachium ruszyłem dalej, do Berlina, zniszczonej nalotami „stolicy Europy”.

Wenzel Liidecke, mój adiutant w Afryce, dawny asystent reżysera w UFA, zaproponował mi swój apartament na Kurfurstendamm jako lokum na czas pobytu w Berlinie, na co przystałem z radością. Zameldowałem się oficjalnie w sekcji uzupełnień i odebrałem mojego wiernego mercedesa kabrioleta.

By poznać mój kolejny przydział, musiałem odwiedzić biuro kadr. Podałem moje nazwisko bezpośrednio do generała Schmundta, któremu zdałem relację z nieudanej misji.

Co mnie czekało teraz? Front wschodni?

Schmundt rozwiął moje wątpliwości.

— Łuck, jest pan przydzielony w trybie natychmiastowym do rezerwy dowódców na rok. Straciliśmy już tylu dowódców, że musimy stworzyć rezerwę na nowy front, który może powstać we Włoszech lub we Francji.

Nagle tknęła mnie myśl.

— Panie generale, nie może mi pan tego zrobić. Czy mogę coś zasugerować? Zamiast roku, tylko sześć miesięcy, i to w Paryżu, gdzie armia ma swój ośrodek szkoleniowy dla dowódców pancernych jednostek rozpoznawczych. Tam będę mógł przekazać moje doświadczenie przyszłym dowódcom. Co pan o tym sądzi?

Schmundt nie mógł powstrzymać śmiechu.

— To typowe dla was, zwiadowców. Zawsze elastyczni i pełni nowatorskich rozwiązań. Zgoda.

Kilka dni później zostałem oficjalnie wyznaczony do szkoły w Paryżu na okres od sierpnia 1943 do marca 1944 r. Miałem tam zgłosić się do pułkownika von Wechmara, kuzyna mojego poprzednika.

Tymczasem był już koniec maja 1943 r. Ciepła wiosna uczyniła ciężko doświadczony Berlin nieco łatwiejszy do zniesienia.

Wprowadziłem się do apartamentu. Każdego wieczoru trzeba było go zaciemniać. Mała walizka zawsze czekała spakowana, w gotowości. Umieściłem w niej najważniejsze dokumenty, jak również zapasik kawy i papierosów, które zorganizowałem w składzie zaopatrzenia w Tunisie. Jak tylko zaczynały wyc syreny

— a działo się to niemal każdego dnia — spieszyłem z walizką do schronu przeciwlotniczego. W morzu domów, jakim był Berlin, nie można było podczas nalotu zostać na zewnątrz. Niebezpieczeństwo trafienia przez szczątki murów czy odłamki bomb było zbyt duże. Poza tym każdy musiał słuchać poleceń strażników przeciwlotniczych.

Alianci zrzucali teraz więcej bomb zapalających, które powodowały natychmiast wybuch pożarów na dużych obszarach, a jeśli wiało, to złowrogie burze ogniowe. Oczywiście, mój apartament był szczególnie narażony, jednak akceptowałem to ryzyko.

i literaci, przepadli na zawsze. Ci, którzy nie zdołali uciec za granicę, zostali zapewne wysłani do obozów koncentracyjnych.

My, żołnierze frontowi, a także znajomi, z którymi rozmawiałem, wiedzieliśmy o istnieniu obozów koncentracyjnych (w Berlinie najbardziej znany był Sachsenhausen). W odniesieniu do nich funkcjonowało określenie „ochronne ograniczenie wolności”. Nie wiedzieliśmy jednak, co działo się z koleczastymi drutami.

Na początku czerwca zostałem zaproszony na przyjęcie wydawane przez pruską księżniczkę, którą poznałem przed wojną przez mojego przyjaciela von Papena. Zapewne z powodu mojej egzotycznej aury oficera, który powrócił z Afryki, byłem szczególnym gościem. Poznałem tam Dagmar, córkę właściciela największej w Europie uprawy drzew. Obchodziła właśnie swe dwudzieste pierwsze urodziny.

Od razu między nami zaiskrzyło. Zaprosiłem ją następnego dnia na kolację. Zaraz na początku powiedziała mi („aby pan wiedział, kim jestem”), że sklasyfikowano ją jako „Żydówkę w jednej ósmej” i że ma prawa aryjskie. Jej matka, jedna z najelegantszych kobiet w Berlinie, była „Żydówką w jednej czwartej”. To makabryczne, w jak biurokratyczny sposób traktowano w Niemczech kwestię żydowską. Poznałem rodziców Dagmar, kosmopolityczną parę, która — jak i Dagmar — mówiła płynnie po angielsku i francusku.

Widywaliśmy się tak często, jak mogliśmy. Dagmar z wolna pozbyła się swej awersji do wszystkiego, co było związane z wojskiem, które traktowała, podobnie jak funkcjonariuszy partii, jako kwintesencję władzy Trzeciej Rzeszy.

Myślałem o zaręczynach, a także o moim postanowieniu niewięzania się w interesie obojga przed końcem wojny. Obiecałem jednak zabrać ją do Paryża na czas mojej pracy instruktorskiej. Chciałem, by znalazła się z dala od

najgorszego nalotu w ciągu całej wojny. Całe kwartały miasta obracały się w gruzy. Straty wśród mieszkańców były ogromne. Z ogrodu Boosa widzieliśmy płonący Hamburg. Wczesnym rankiem na przedmieścia dotarły pieszo tysiące uchodźców, wielu poparzonych fosforem. Wciąż mam przed oczami tych nieszczęsnych ludzi. Niektórzy zdołali uratować tylko życie. Dano im schronienie w pospiesznie zorganizowanych obozach przejściowych. Teraz zrozumiałem, dlaczego ranni chcą wracać tak szybko na front. Mogą tam odgrywać aktywną rolę w wydarzeniach, podczas gdy cywile są skazani na pasywność.

Flensburg, choć był bazą marynarki, jak dotychczas został oszczędzony. Nasze duże mieszkanie zostało zarekwirowane dla uchodźców, nie licząc dwóch pokoi. Siostra została powołana i wysłana do komendantury w Holandii. Matka natomiast prowadziła intensywny handel wymienny ze znanymi nam od dawna rolnikami. Za cenne dzieła sztuki, które mój ojciec przywiózł z Dalekiego Wschodu, otrzymywała masło i mięso. Dzięki temu mogła uzupełnić skromny przydział kartkowy. Jako starsza kobieta nie mogła uczestniczyć w „wysiłku wojennym” i dlatego nie otrzymywała kart uprzywilejowania. Chociaż bolało mnie to, zachęcałem ją do dokonywania wymiany, jednocześnie obiecując wysłać jej z Francji wszystko, co mogłoby się jej przydać.

Podziwiałem matkę, która zносиła dzielnie nie tylko śmierć mojego ojczyma, ale także służbę wojskową trojga dzieci. Spędziliśmy razem nieco szczęśliwych chwil, w których próbowałem ją pocieszać. Kawa, którą przywiozłem, pomagała jej przez kilka następnych tygodni.

Gdy powróciłem do Berlina, dni i tygodnie mijały i nic ciekawego się nie wydarzyło. W sekcji uzupełnień uczestniczyłem w pogadankach z młodymi żołnierzami dopiero co powołanymi do służby, dzieląc się moimi doświadczeniami zdobytymi na różnych teatrach działań. Matka Dagmar,

butelek szampana i koniaku z mojej „zatopionej piwniczki”. Czy miały to być moje ostateczne urodziny? Mimo wszystko wreszcie spędziłem je w kraju.

Sierpień 1943 r. Czas ruszać, a przyszłość była coraz bardziej niepewna. Rozstanie z Dagmar było trudniejsze, niż się spodziewałem.

— Sprowadzę cię do Paryża w ten czy inny sposób, możesz na mnie liczyć.

Wyjechałem z Berlina, mając w kieszeni rozkazy wyjazdu dla mnie i mercedesa. Moje rzeczy osobiste z apartamentu JLu- deckiego przekazałem Dagmar, która złożyła je w internacie poza Berlinem. Dwa tygodnie później apartament został zniszczony bombą zapalającą.

Zatrzymałem się u Bóselagerów koło Bonn, a stamtąd dotarłem do Paryża i zameldowałem się u „Bubiego” von Wechmara, komendanta ośrodka szkoleniowego dla zwiadowców, a następnie w komendanturze u komendanta miasta generała von Boineburga, który w Rosji dowodził brygadą grenadierów w naszej 7. Dywizji Pancerniej.

— Cieszę się, że widzę pana całego i zdrowego, mój drogi Luck. Spodziewam się, że pragnąłby pan otrzymać mieszkanie obok szkoły w Pałacu Inwalidów?

— Tak, panie generale. Rad byłbym otrzymać także pozwolenie na jazdę moim mercedesem, który tak dobrze służył mi w Rosji.

Przydzielono mi wspaniały apartament na Rue Bixio z widokiem na cały Paryż. Należał do szwajcarskiego biznesmena, który powrócił do kraju, a mieszkanie oddał do dyspozycji wojska — razem z pokojówką, która w nim mieszkała. Miał to być dla niej pamiętny czas, ponieważ mogłem zaopatrywać ją w produkty żywnościowe, których w Paryżu nie można było już kupić.

Rozpoczął się pierwszy czterotygodniowy kurs. Między kursami był tydzień przerwy, podczas którego dokonywano oceny właśnie zakończonego.

Odwiedziłem J. B. Morela i Clementa Duhoura, którzy bardzo ucieszyli się na mój widok. Nie mieli wątpliwości, że zachodni alianci wylądują gdzieś we Francji.

— Hans, nie utrzymacie się. Nie możecie wygrać tej wojny na dwóch frontach przy takiej przewadze materiałowej. Gdy przyjdzie koniec, zostaną tutaj. Zadbamy, by cię nie znaleźli.

— Wiecie, że nie mogę tego zrobić — odpowiedziałem. — Inaczej nas wychowano, poza tym przysięgałem. Muszę, jeśli trzeba, wytrwać do samego końca.

Po kilku tygodniach pobytu w Paryżu odwiedził mnie Gemem bardzo zdenerwowany.

— Hans, gestapo aresztowało J. B. Nie wiemy, gdzie jest. Zakładam, że należy do Resistance albo że źle się wyrażał o Niemcach. Wiesz, oczywiście, że J. B. jest wielkim patriotą i że był oficerem Armii Francuskiej.

Obiecałem elementowi, że zrobię wszystko, co możliwe.

Zbiegiem okoliczności w tej samej kamienicy przy Rue Bixio mieszkał bardzo wysoko postawiony funkcjonariusz gestapo. Spotkaliśmy się kilka razy w windzie lub na ulicy i zamieniliśmy kilka słów. Zdawał się widzieć we mnie dobrego, frontowego żołnierza i w pewien sposób mnie podziwiać.

Zdecydowałem się — choć pełen wątpliwości — poprosić go o pomoc, odwiedziłem go w jego mieszkaniu. Wymieniłem nazwisko J. B. i powiedziałem:

— Proszę posłuchać, pan Morel walczył przeciwko mnie w 1940 r. Był dzielnym przeciwnikiem i jest wielkim patriotą. Nie wierzę, by wyrażał się obraźliwie o Niemcach. Zbyt mnie szanuje. Mógł mówić, że po Stalingradzie i Afryce Północnej wojna weszła w decydującą fazę. Jeśli tak, to tę opinię mogę tylko podzielić. Byłbym wdzięczny, gdyby udało się panu załatwić zwolnienie pana Morela.

Moje podziękowania dla gestapowca przekazałem w postaci butelki koniaku.

Tymczasem próbowałem ściągnąć do Paryża Dagmar. W dowództwie powiedziano mi, że będzie to łatwe, jeśli wykaże, że pracuje we francuskim przedsiębiorstwie działającym na rzecz niemieckich okupantów. Niedaleko Pól Elizejskich znalazłem firmę, która modernizowała ciężarówki — przerabiała je na zasilanie... drewnem (paliwa od dawna było już niewiele). Z radością przyjęliby Dagmar jako tłumaczkę.

Przez dowództwo wojskowe zdobyłem zezwolenie na pobyt i pracę dla Dagmar. Napisałem jej o tym przepelniony radością. Mój list minął się ze złymi wieściami: gestapo aresztowało jej ojca. Miał on czynić obraźliwe uwagi o Hitlerze. Byłem przerażony. Ten dumny konserwatysta nigdy tego nie zniesie. Po moim sukcesie w gestapo w sprawie J. B. musiałem spróbować go uwolnić. Od Wechmara, któremu przedstawiłem sytuację, otrzymałem pozwolenie na czterodniową przepustkę do Berlina w okresie między kursami.

Okazja nadarzyła się tydzień później. Z niezbędnym rozkazem wyjazdu oraz kierowcą ze szkoły przejechałem bez zatrzymywania się ponad 1000 kilometrów z Paryża do Berlina. Od komendanta miasta otrzymałem dokument, dzięki któremu wszystkie posterunki SS i gestapo miały mi udzielić, frontowemu żołnierzowi, wszelkiej pomocy.

Spotkanie z Dagmar przesłoniły wydarzenia. Bardzo kochała ojca, a jako „Żydówka w jednej ósmej” nie była zwolenniczką Trzeciej Rzeszy. Swój los znosiła jednak dzielnie. Chociaż nie wiązała z moją misją wielkich nadziei, była jednak wdzięczna, że chociaż coś zostanie zrobione.

Następnego ranka pojechaliśmy moim mercedesem do Sachsenhausen. Mój mundur (wciąż miałem na sobie uniform tropikalny), odznaczenia i notatka od von Boineburga zrobiły wrażenie. Komendant obozu osobiście przybył na strażnicę. Dagmar nie pozwolono wejść do obozu. Wziąłem więc dużą paczkę

— My w kraju także wykonujemy wielką pracę dla zwycięstwa
— brzmiało to jak drwina. Powstrzymałem się od komentarzy. Przecież próbowałem wyciągnąć stamtąd ojca Dagmar.

Gdy go przyprowadzono, był cieniem dawnego siebie. Oczy miał pełne łęku. Cóż tych kilka tygodni uczyniło ze zdrowego, dumnego człowieka?

— Jak się pan ma? — zbyteczne pytanie z mojej strony. — Dagmar jest na strażnicy. Nie pozwolono jej wejść, ale przesyła panu uściski.

O czym mogłem rozmawiać z ojcem Dagmar? W rogu siedział esesman, który mógł słyszeć każde słowo i zapewne po to go tam posadzono.

— Przywiozłem panu jedzenie, kawę i papierosy, które zapakowała pańska córka. Jutro mam umówione spotkanie z Kaltenbrunnerem. (Kaltenbrunner był szefem gestapo i praktycznie najpotężniejszym człowiekiem po Himmlerze, szefie oddziałów SS).

— Mam rekomendację i będę naciskał na pańskie uwolnienie.

Z jego reakcji widziałem, że nie ma wielkich nadziei.

— Dziękuję, że pan specjalnie przyjechał z Paryża. Proszę zapewnić moją córkę, że ją kocham. Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego. Obyście byli bardzo szczęśliwi.

Wstał, gdyż strażnik oznajmił, że nasz czas dobiegł końca. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Głowa do góry! Wydostanę pana stąd.

Pomachał mi ręką i zmęczonym krokiem dzielny Niemiec wyszedł z pokoju.

Następnego ranka poszedłem do dowództwa SS, gdzie natychmiast dopuszczono mnie do Kaltenbrunnera. Jego stopień musiał być równy generałowi.

— Cieszę się, że mogę powitać odznaczonego na froncie oficera. Tak jak wy w służbie liniowej, tak i my w kraju czynimy nadludzkie wysiłki, by osiągnąć ostateczne zwycięstwo.

—



Pulownik Hans von Luck dokonuje inspekcji swej kompanii 7. Pancernego Pulku Rozpoznawczego przed wyruszeniem na Polskę, 1939 r.

Żolnierze Wehrmachtu w zniszczonej wiosce, Polska, 1939 r.





Feldmarszałek Rommel na stanowisku dowodzenia von Lucka wydaje rozkazy natarcia do kanału La Manche na północny wschód od Rouen, Francja, 1940 r.



Rommel spożywa szybkie śniadanie na polu bitwy, Francja, 1940 r. Natarcie w głąb Rosji, 1941/1942 r.





Zima podczas operacji „Barbarossa”, Rosja, 1941/1942. Hetman
kozacki w armii niemieckiej, Rosja, 1941/42.



*T^r

L



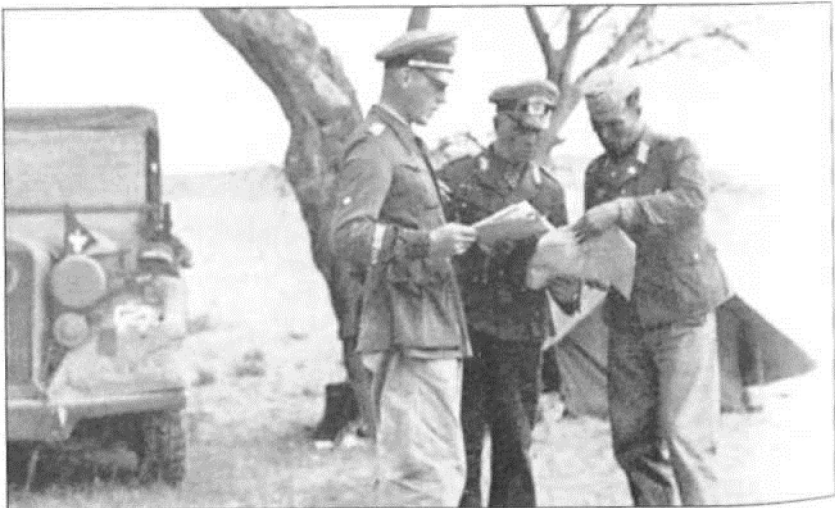
0111.

wnik von Luck (na siedzeniu kierowcy) wyjeżdża z frontu wschodniego do ^{tr}yki
Najbardziej Mediana 1942 -



Rommel ze sztabem polowym podczas ofensywy Afrika Korps, Afryka Północna 1942/43.

Rommel wizytuje Pancerną Grupę Rozpoznawczą von Lucka na północno-afrykańskiej pustyni, sylwester 1942. (Od lewej do prawej: oficer sztabu von Bonin, Rommel, von Luck).



hausen. Jest tam niesłusznie. Nawet nie wie, dlaczego został aresztowany. Proszę mi wierzyć, panie Obergruppenführer (czy jaki tam był jego stopień w SS), mój teść jest dobrym Niemcem i znaną osobistością w Berlinie. Uważam za wykluczone, by był winien czemukolwiek. Musiała zająć pomyłka.

Kaltenbrunner okazał mi współczucie i wezwał swego adiutanta.

— Proszę przynieść mi teczkę Herr.

Po krótkiej chwili adiutant wrócił.

— Wszystkie teczki osadzonych w Sachsenhausen zostały przewiezione do Czechosłowacji. Będę musiał prosić o jej przysłanie.

— Przykro mi, ale będę musiał czekać na teczkę. To może trochę potrwać. Proszę jednak na mnie liczyć, dopilnuję, by pański teść został zwolniony. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla frontowego bohatera.

Podąłem mu mój numer służbowy i jednostkę i pożegnałem się uściskiem dłoni. Czy mi się powiodło? Nie wiedziałem. Czy można było ufać Kaltenbrunnerowi i całemu aparatowi gestapo? Czy przewiezienie teczek było jedynie trikiem, by się mnie pozbyć?

Dagmar była nastawiona bardzo sceptycznie.

— Nie ufam tym ludziom. Są nieludzy i bezwstydni. Dziękuję, że przyjechałeś. Cieszę się, że mogę przyjechać do ciebie do Paryża. To złagodzi cios. Tu i tak nie mogę nic zrobić dla ojca.

Musiałem wracać do Paryża. Dagmar miała ruszyć za mną tak szybko, jak uda jej się załatwić sprawy w domu.

Dagmar w Paryżu. W normalnych czasach — spełnienie marzeń. Na horyzoncie jednak widniały ciemne chmury. Kupiłem jej rower, by była niezależna od komunikacji miejskiej, która często nie funkcjonowała. Cieszyliśmy się każdym dniem w naszym apartamencie na Rue Bixio. Często odwiedzali nas J. B. i Clement, często też odwiedzaliśmy Cavalier, lokal Clementa. Pewnego wieczoru bawiliśmy się tam z Maxem Schmelingiem i

• i /



Rommel podczas inspekcji 200. Batalionu Dział Szturmowych majora Beckera, tuż przed „Dniem D”, Francja 1944 r.

Normandia przed operacją „Goodwood”, 1944 r. Grupa Bojowa von Lucka przygotowuje się do kolejnego kontrataku.



u znanego jubilera na placu Vendôme i obchodziliśmy zaręczyny z J. B. Morelem i elementem Duhourem. Szczęście przyćmiewał jednak los rodziców Dagmar. Nie było żadnych wieści o jej ojcu. Wszystkie wysyłane do Sachsenhausen pytania pozostawały bez odpowiedzi. Nie miała już nadziei zobaczyć go żywego. Straciła też kontakt z matką. Ta poinformowała jedynie córkę, że opuszcza Szwajcarię i udaje się do Ameryki.

Ja także nie otrzymałem żadnych wieści od Kaltenbrunera.

Gdy później dowiadywałem się przez przyjaciela w Kwaterze Głównej Fuhrera, czy mam szansę dostać pozwolenie na poślubienie dziewczyny, która w jednej ósmej była Żydówką, czekało mnie gorzkie rozczarowanie. Dowiedziałem się, że gdyby major von Łuck był oficerem rezerwy, nie byłoby przeszkód, by poślubił Żydówkę w jednej ósmej z prawami aryjskimi. Jako oficer czynnej służby nie mogłem jednak otrzymać pozwolenia.

Dowodziło to szczególnej logiki i interpretacji praw rasowych. Czy z rasowego punktu widzenia oficer rezerwy wart był mniej niż oficer czynnej służby?

Na początku marca wysłano mnie do Niemiec na krótki kurs dla dowódców pułków. Tam powiedziano mi, że zostałem mianowany dowódcą pułku w Panzer Lehr Division, którą dowodził generał Bayerlein, dowódca z dużym doświadczeniem z Afryki.

Powróciłem do Paryża na początku kwietnia, by zlikwidować moje mieszkanie. Dagmar miała zostać w Paryżu tak długo, jak tylko możliwe. Powiadomiłem o jej obecności komendanta miasta. J. B. i Clement mieli się nią opiekować.

— Jeśli sytuacja stanie się krytyczna, zorganizuję dla ciebie transport. Jeśli nie będę mógł, zwróć się do komendanta miasta, powrócisz do Niemiec pojazdem zaopatrzeniowym.

Było to nasze pożegnanie. Żadne z nas nie wiedziało, kiedy i w jakich

Przyjął mnie generał Gause, jego szef sztabu i wiemy sztabowiec z Afryki.

Dobrze pana widzieć znowu całego i zdrowego. Właśnie wprowadzam w sytuację mojego następcę generała Speidla. Gratuluję przydziału do Francji. Musimy się tu prędzej czy później spodziewać inwazji.

Gdy zapytałem, czy mogę zobaczyć się z feldmarszałkiem, odparł natychmiast.

— Oczywiście. Rommel jest raczej przygnębiony, bo jego argumenty, jak należy powitać aliancką inwazję, nie docierają do Hitlera. Ucieszy się na pana widok. Wybierzcie się na przechadzkę, odwróci to jego uwagę od kłopotów.

Rommel przyjął mnie znajomym uśmiechem. Wyglądał dużo lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania.

— Cieszę się, mogąc powitać pana na froncie zachodnim. W najbliższych tygodniach coś się wydarzy. Proszę zadbać, by żołnierze pułku, który pan przejmie, mieli odpowiednią motywację i byli świadomi powagi sytuacji.

Przechadzaliśmy się po pięknym parku zamkowym. Rommel powtarzał mi przepowiednię, którą wygłosił w Afryce Północnej.

— Jestem przeciwny rozwiązaniom siłowym. Muszę przekonać Hitlera, że nie możemy wygrać wojny, lecz tylko opóźnić jej koniec. Jak tylko nadarzy się okazja, spróbuję przedstawić mu jasno i osobiście lub, jeśli to konieczne, na piśmie, że wojnę przegramy, gdy tylko aliantom uda się utworzyć drugi front tu, na zachodzie. Każdy żołnierz nieprzyjaciela, który postawi stopę na francuskiej ziemi, musi zostać odepchnięty do morza w ciągu kilku pierwszych godzin. Da się to zrobić tylko wtedy, jeśli nasze dywizje pancerne będą tuż nad wybrzeżem i jeśli będziemy mieli w powietrzu dość myśliwców przeciwko potężnym alianckim siłom powietrznym. Goring jednak zawiódł nas już raz w Afryce, także i pod Stalingradem nie dotrzymał słowa. Nie wierzę w „tysiąc myśliwców”, które zamierza tu przysłać. Wszystkiego najlepszego, Łuck. Będę dość często wizytował pańską dywizję w

W Panzer Lehr Division natychmiast przyjął mnie generał Bayerlein, który miał dla mnie trochę złych wiadomości.

— Mój drogi Luck, zapisałem sobie pana na dowódcę pułku pancernego, ale kazano mi kilka dni temu wysłać pana natychmiast do odtworzonej 21. Dywizji Pancerniej. Zdaje się, że pański dowódca generał major Feuchtinger ma lepsze wejścia w kwaterze FLihrrera. Żałuję, że nie będę miał starego afrykańskiego oficera w mojej dywizji.

Nie cieszyła mnie bynajmniej ta decyzja, ale taka była sytuacja.

Nikt nie wiedział, gdzie stacjonuje 21. Dywizja Pancerna, toteż wróciłem do La Roche Guyon, gdzie ponownie odwiedziłem Gausego.

— 21. właśnie wróciła z wyprawy na Węgry. Wysłano ją tam z powodu spodziewanego powstania na rzecz Rosjan. Jest w okolicach Rennes, w Bretanii, ale właśnie otrzymała rozkazy przegrupowania się do rejonu wokół Caen, stolicy Normandii. Proszę zameldować się tam do Feuchtingera.

Był początek maja 1944 r., gdy znalazłem dywizję i zameldowałem się na stanowisku.

— Serdecznie pana witam — przyjął mnie Feuchtinger. — Pułkownik Maempel, dowódca 125. Pułku Grenadierów Pancernych, musiał wrócić do kraju z przyczyn zdrowotnych. Daję panu tymczasowe dowództwo tego pułku, aż do nadejścia oficjalnego mianowania.

Dywizja, sformowana w Bretanii w 1943 r. głównie z doświadczonych oddziałów z frontu rosyjskiego i uzupełnień z Niemiec, była pod wieloma względami nieortodoksyjną dywizją pancerną.

Generał Edgar Feuchtinger, artylerzysta, nie miał doświadczenia bojowego oraz żadnego w dowodzeniu jednostkami pancernymi. Był znany w Niemczech jako organizator wojskowej części tak zwanych *Reichsparteitage*, ogólnokrajowych zjazdów partii, toteż znał dobrze Hitlera i jego aparat partyjny. Najwyraźniej wykorzystał te układy, by ściągnąć mnie do swojej

dywizji- Do tego celu utworzono *Baukommando Becker*, które było odpowiedzialne za sprawy organizacyjne i inne. Główną rolę odgrywał major Becker, oficer rezerwy i właściciel małej fabryczki w zachodnich Niemczech. Był on uzdolnionym inżynierem, ze świetnymi kontaktami w przemyśle zbrojeniowym, osobistym przyjacielem Feuchtingera, dzięki czemu miał wolną rękę w działaniu. Wykorzystując francuski sprzęt, zdołał wprowadzić kilka własnych konstrukcji.

W podparyskich zakładach Hotchkissa Becker znalazł znaczną liczbę podwozi czołgowych, do których zorganizował działa i gotowe płyty pancerne z Niemiec w celu utworzenia batalionu dział szturmowych. Dodatkowo kazał zbudować wyrzutnie raket swojego projektu, które zademonstrowano nad wybrzeżem Normandii w maju 1944 r. Rommlowi i kilku dowódcom armii. Spotkały się one nawet z entuzjastyczną opinią Hitlera, któremu o nich opowiedziano. Z powodu swych powiązań Becker załatwił dla swego batalionu także najnowszy sprzęt radiowy.

Początkowo śmiałyśmy się z wyglądających monstrualnie dział pancernych, wkrótce jednak musieliśmy zmienić zdanie. Kompanie dział szturmowych przygotowywano do ścisłego współdziałania z grenadierami, co miało wpłynąć na zwiększenie siły naszej obrony. Feuchtinger był oczywiście dumny z osiągnięcia Beckera i często odwiedzał jego *Baukommando*, gdzie mógł nadzorować jego pracę. Feuchtinger był w dodatku człowiekiem wyznającym filozofię „żyj i daj żyć innym”. Bardzo lubił korzystać z przyjemności życia, których pełen był Paryż. Wiedząc, że nie ma żadnego doświadczenia bojowego ani też wiedzy o działaniach wojsk pancernych, musiał zdawać się na innych, czyli pozostawić wykonywanie rozkazu nam, doświadczonym dowódcom.

Taka była dywizja, z którą musiałem się zapoznać i której musiałem stać się częścią. Powierzony memu dowództwu 125. Pułk Grenadierów

— Nasza dywizja jest jedyną dywizją pancerną w pobliżu wybrzeża za Walem Atlantyckim, który tu w Normandii nie został jeszcze ukończony, i obsadza go niedoświadczona dywizja piechoty. Oczekiwane lądowanie aliantów nie nastąpi w Normandii, ale w Pas de Calais, czyli tam, gdzie odległość między Anglią a kontynentem jest najmniejsza. Caen, jako ważne miasto przemysłowe, jest kluczowym punktem. Dlatego zdecydowano, by umieścić w nim jako wzmocnienie Wału Atlantyckiego dywizję pancerną. Możemy oczekiwać desantów spadochronowych lub działań sił specjalnych na dużą skalę, które mogą służyć odwróceniu uwagi od właściwego lądowania. Z tego powodu Rommel uważa za bardzo ważne, by dywizja zajęła pozycje bojowe, nawet będąc w głębi lądu.

— Pański pułk, zgodnie z rozkazami Grupy Armii B (Rommla), której bezpośrednio dywizja podlega, stacjonuje na północny wschód od Caen, czyli na wschód od rzeki Orne. Drugi pułk grenadierów

— 192. — na północ od Caen, na zachód od Orne. Na południe od Caen jest pułk pancerny, artyleria i inne jednostki dywizji. Jako wsparcie ma pan dwie kompanie batalionu dział pancernych Beckera. Nasza dywizja ma ściśle rozkazy nieinterweniowania w razie nieprzyjacielskich lądowań bez rozkazu z Grupy Armii B. Rommel chce, by wszystkie jednostki zapoznały się z terenem — także w nocy — i by były prowadzone regularne ćwiczenia. Mam nadzieję, mój drogi Luck, że będzie pan u nas czuł się dobrze, życzę panu dużo szczęścia.

W maju Rommel pojawiał się wielokrotnie w dywizji, by osobiście zapoznać się ze stanem wyszkolenia i morale żołnierzy. Podczas jednej z wizyt wyraził się niemal proroczo:

— Znam Brytyjczyków z Francji w 1940 r. i z Afryki Północnej. Wylądują dokładnie tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy. To może być tutaj.

chłopi mogli wykonywać swoje prace. Nie rozważano ich ewakuacji, po co miano by to robić? Nie wiedzieliśmy przecież, gdzie dojdzie do lądowania. Dzięki temu jednak Resistance, który był aktywny w Normandii, miał możliwość powiadomienia Brytyjczyków o naszych pozycjach, o miejscach postoju naszych czołgów i dział, 0 położeniu pól minowych. Znaleźliśmy później przy jeńcach mapy, na których nasze pozycje były dokładnie zaznaczone.

Mijały tygodnie. Dla dywizji pancerniej, która w dotychczasowych kampaniach przywykła do wojny manewrowej, brak działań był męczący i niebezpieczny. Łatwo było o osłabienie czujności, zwłaszcza po spożyciu Calvados lub cydru, które były powszechnie używanym w tym regionie napojem. Do tego dochodziła niepewność, czy w naszym sektorze w ogóle dojdzie do lądowania.

Każdego dnia byłem w ruchu, by odwiedzić każdy z pododdziałów pułku, poznać oficerów i podoficerów i pokazać się żołnierzom, by zdobyć ich zaufanie.

Na spotkaniach w sztabie dywizji spotykałem dowódców pozostałych pułków. Wszyscy mieli doświadczenie bojowe i wiele odznaczeń.

W maju 1944 r. raz jeszcze udałem się do Paryża. Feuchtinger chciał, bym odwiedził *Baukommando* oraz zapoznał się z działami pancernymi i wyrzutniami rakiet, które tam opracowano, a ponadto porozmawiał z Beckerem o ścisłej współpracy z naszymi grenadierami.

Powiadomiłem Dagmar o swym przybyciu. Miała dla mnie cudowną niespodziankę. Herbert von Karajan dyrygował orkiestrą Filharmonii Francuskiej grającą Piątą Symfonię Beethovena. Ponieważ Dagmar była bliską przyjaciółką żony von Karajana, zdołała zdobyć bilety. Przez kilka godzin muzyka pozwoliła mi zapomnieć o wojnie i niepewnej przyszłości.

czujności, a zakończył spotkanie słowami: „Nie powinniście liczyć, że nieprzyjaciel przybędzie za dnia i przy pięknej pogodzie”.

Jeszcze precyzyjniej wyraził się generał Marcks, dowódca 84. Korpusu Armijnego, któremu nas podporządkowano: „Z mojej wiedzy

0 Brytyjczykach wnoszę, że pójdą w niedzielę 4 czerwca do kościoła
1 przybędą w poniedziałek”.

Meteorolodzy nasi oraz marynarki obliczyli, że najdogodniejszą datą do lądowania będzie 5 czerwca, następną zaś dopiero 28 czerwca 1944 r.

W pierwszych dniach czerwca zwiększyła się w istotnym stopniu intensywność brytyjskiego rozpoznania lotniczego prowadzonego nad Normandią. Sztab Rommla powiadomił dywizję, że we Francji znajdowało się około 130 myśliwców *Messerschmitt*. Nie było żadnych oznak wskazujących na przerzucenie do Francji „tysiąca myśliwców” obiecanych przez Göringa. Były one, jak zwykle, potrzebne do obrony terytorium Rzeszy.

Nie wiedzieliśmy wówczas, że Rommel, na jego prośbę, został zaproszony do udziału w konferencji z Hitlerem i 4 czerwca wyruszył do Niemiec. Nie wiedzieliśmy także, że generał Feuchtinger i jego szef sztabu pojechali do Paryża do *Baukommando*. W nocy z 5 na

6 czerwca, zapewne decydującej, żadnego z nich nie było na stanowisku dowodzenia.

Znaliśmy jedynie fatalny rozkaz zabraniający nam angażowania się w jakiegokolwiek walki bez zgody dowódcy Grupy Armii B (Rommla) lub Naczelnego Dowódcy Zachód (von Rundstedta).

5 czerwca 1944 r. oba pułki grenadierów pancernych stały na pozycjach

Początek inwazji 6 czerwca 1944 r.

Wieczór 5 czerwca 1944 r. był nieprzyjemny. Normandia pokazywała swe gorsze oblicze. Przez cały dzień padał deszcz i wiały silne wiatry.

Siedziałem w skromnie wyposażonym domu na skraju wioski Bellengreville, kilka kilometrów na zachód od Vimont, małego miasteczka leżącego na wschód od Caen, centrum przemysłowego i portu na wybrzeżu Normandii. Przede mną leżały dokumenty i mapy związane z ćwiczeniami, jakie przygotowywałem dla mojego pułku. Mój adiutant, porucznik Helmut Liebeskind, znajdował się na stanowisku dowodzenia w wiosce. Byłem trzydziestodwuletnim majorem. Miałem zostać awansowany na podpułkownika pod koniec lipca, a po kolejnych dwóch miesiącach na pułkownika — szybko, jak mi się wydawało.

Ogólna prognoza warunków pogodowych, przygotowywana każdego dnia przez meteorologów marynarki i przysyłana nam ze sztabu dywizji, określała 5 i 6 czerwca jako „bezpieczne”. Nie spodziewaliśmy się żadnych desantów, jako że sztormy, burze i niski pułap chmur uniemożliwiłyby naszym przeciwnikom przeprowadzenie większych operacji na morzu oraz w powietrzu.

Tego wieczoru czułem, że nasze położenie było bardzo niekorzystne. Podobnie jak większość naszych żołnierzy byłem przyzwyczajony do działań manewrowych, jakie prowadziliśmy na innych teatrach działań. To oczekiwanie na inwazję, która musiała bez wątpienia nadejść, było denerwujące.

Jednak mimo beczynności morale wśród oddziałów pozostało wysokie,

podczas gdy I Batalion, wyposażony w transportery opancerzone i pojazdy półgąsienicowe, zajął pozycje wyczekujące z tyłu. Wydałem rozkaz, by w razie spodziewanego desantu grup alianckich komandosów bataliony i kompanie będące w pobliżu atakowały natychmiast i niezależnie od siebie oraz by czyniły to, nie zważając na zakaz wiązania się walką bez zezwolenia Naczelnego Dowództwa Zachód. Mając jednak na uwadze dostarczoną mi prognozę pogody, nie myślałem w ogóle, że tej nocy dojdzie do walk.

Okolo północy usłyszałem coraz głośniejszy warkot samolotów, które przelatywały nad nami. Zastanawiałem się, czy atak jest po raz kolejny skierowany na linie komunikacyjne w głębi lądu, czy też na terytorium Niemiec. Wydawało się, że maszyny lecą bardzo nisko — czyżby z powodu pogody? Wyjrzałem przez okno i natychmiast opuściła mnie senność. W powietrzu wisały flary. W tej samej chwili zadzwonił mój adiutant.

— Panie majorze, lądują spadochroniarze. W naszym sektorze lądują też szybowce. Próbuję nawiązać łączność z II Batalionem. Zaraz przybędę do pana.

Bezzwłocznie wydałem rozkazy:

— Gotowość bojowa dla wszystkich pododdziałów. Powiadomcie dywizję. II Batalion ma wejść do walki, gdzie to konieczne. Jeśli możliwe, brać jeńców i sprowadzić do mnie.

Następnie udałem się na stanowisko dowodzenia. 5. Kompania II Batalionu, która wyszła na ćwiczenia ze ślepych nabojami, jeszcze nie wróciła. Sytuacja była groźna. Pierwsze meldunki wskazywały, że brytyjscy spadochroniarze zostali zrzućeni nad Troarn. Dowódca II Batalionu rozpoczął już kontratak i dotarł do Troarn, do którego wycofała się już z własnej inicjatywy część 5. Kompanii.

Zadzwoniliśmy do dowódcy kompanii, który był w piwnicy.

dyżurnemu porucznikowi Messmerowi krótką ocenę sytuacji i poprosiliśmy o uzyskanie dla nas zgody na koncentryczny atak nocny, gdy tylko powróci dowódca dywizji.

Na razie udało nam się uzyskać lepszy obraz sytuacji. Jeńcy, którzy zniesieni wiatrem wylądowali na naszych pozycjach i których wzięliśmy do niewoli podczas krótkiego kontrataku, zostali przyprowadzeni do mnie. Zanim odesłałem ich pod eskortą, zgodnie z rozkazami, do sztabu dywizji, z rozmów z nimi dowiedziałem się, że 6. Dywizja Powietrznodesantowa miała skakać w nocy w celu opanowania nietkniętego mostu na Orne w Ranville i utworzenia przyczółka na wschodnim brzegu rzeki, który miał osłaniać desant morski planowany na rano 6 czerwca.

Stopniowo zaczynał ogarniać nas gniew. Zgoda na atak nocny, dzięki któremu mogliśmy skorzystać z początkowego zamętu w szeregach naszych przeciwników, wciąż nie nadchodziła, mimo że nasze meldunki przekazane przez dywizję do sztabu korpusu i do Grupy Armii B (Rommla) zostały wysłane już dawno. Dokładnie rozważaliśmy szanse dotarcia do wybrzeża i uniemożliwienia, a przynajmniej utrudnienia nieprzyjacielowi utworzenia przyczółka.

Pamiętam brytyjskiego lekarza, którego sprowadzono do mnie jako pierwszego jeńca. W mundurze spadochroniarza nie różnił się od szeregowych. Zachowywał się z godnością jak prawdziwy Brytyjczyk, ale wydawał się głęboko zawiedziony i zdenerwowany faktem, że został wzięty do niewoli natychmiast po rozpoczęciu swego pierwszego zadania. Ponieważ podawał tylko nazwisko i numer, zacząłem z nim rozmawiać, jak to zwykle czyniłem z brytyjskimi jeńcami. Opowiedziałem o mojej ostatniej wizycie w Londynie w marcu 1939 r., o Picadilly Circus i o moich angielskich znajomych. Wkrótce język mu się rozwiązał, więc dowiedziałem się nieco więcej o zamiarach Brytyjczyków i o zadaniu 6. Dywizji

odpowiedzialny za jeńców. Także i on nie mógł zmienić wydanych rozkazów. Grupa Armii B poinformowała nas jedynie, że był to manewr dywersyjny — Brytyjczycy zrzucali ze spadochronami słomiane manekiny. O świcie wysłałem adiutanta do dowództwa dywizji w celu uzyskania dla nas zgody na natychmiastowy kontratak. Po przybyciu Liebeskind był świadkiem ostrej rozmowy telefonicznej, którą Feuchtinger prowadził z dowództwem armii: „Panie generale, właśnie wróciłem z Paryża i widziałem gigantyczną armadę koło zachodniego wybrzeża Cabourg — okręty wojenne, statki zaopatrzeniowe i okręty desantowe. Chcę zaatakować natychmiast całością sił dywizji na wschód od Orne, by dotrzeć do wybrzeża”. Nie udzielono mu jednak zezwolenia na atak.

Hitler, który zwykle pracował do późna w nocy, tego ranka wciąż jeszcze spał.

Chodziłem po moim stanowisku dowodzenia, zaciskając pięści z powodu niezdecydowania Naczelnego Dowództwa w obliczu oczywistych faktów. Gdyby Rommel był z nami, a nie w Niemczech, z pewnością zignorowałby wszystkie rozkazy i przejął inicjatywę — tego byliśmy pewni.

Czuliśmy się wystarczająco silni, by poradzić sobie w tej sytuacji. Skrywałem gniew i zachowałem spokój oraz rozwagę. Moje doświadczenie z poprzednich kampanii nauczyło mnie, że im sytuacja jest bardziej krytyczna, im bardziej alarmujące meldunki, tym spokojniejszy powinien być każdy doświadczony dowódca.

Najlepszym sposobem na uspokojenie zdenerwowanego oficera dyżurnego lub łącznika, który przybył prosto z pola bitwy, jest polecenie mu, by usiadł, danie mu papierosa i spokojne zadanie pytania: „To co tam się właściwie dzieje?”

Tak więc rozgrywała się tragedia. Zaledwie po kilku godzinach dzielne

wschód od Caen dostrzeżliśmy ogromną aliancką armadę, pola pokryte szybowcami transportowymi i liczne balony obserwacyjne nad flotą desantową, dzięki którym ciężkie działa okrętowe mogły nas precyzyjnie ostrzeliwać.

Sytuacja zmusiła nas do przegrupowania. Na wschodnim i zachodnim brzegu Orne utworzono silne grupy bojowe. Nadal oczekiwaliśmy na zezwolenie na kontratak. Jednak wobec nieprzyjacielskiej przewagi po tym, jak dostrzeżliśmy flotę desantową, nie mieliśmy nadziei na zepchnięcie aliantów do morza. Ściągnięcie odwodów było już teraz niezwykle trudne. Powstał drugi front. Na wschodzie naciskał na nas przeważający nieprzyjaciel. Nasze najważniejsze centra przemysłowe i linie kolejowe były nieprzerwanie bombardowane. Nawet najdzielniejsze i najlepiej wyszkolone wojsko nie mogło już wygrać tej wojny. Udana inwazja — myślałem — była początkiem końca.

W tym czasie nie wiedzieliśmy o zdarzeniu, o którym dowiedziałem się dopiero w maju 1987 r. Werner Kortenhaus, dawny pancerniak z naszej dywizji i autor *Geschichte der 21. Panzer-Division* („Historia 21. Dywizji Pancerniej”), udostępnił mi dwa listy przysłane mu pod koniec 1979 r. przez generała Speidla, byłego szefa Sztabu Grupy Armii B.

Wyjątek z listu z 26 października 1979 r.:

„Dzwoniłem do Feuchtingera pomiędzy 1.00 a 2.00 6.6.44, ale nie mogłem się z nim połączyć. Dopiero rankiem 6 czerwca połączenie uzyskał mój szef sztabu Feuchtinger i otrzymał ogólną dyrektywę atakowania natychmiast w razie desantu z powietrza”.

Fragment listu z 15 listopada 1979 r.

„21. Dywizja Pancerna miała rozkazy natychmiastowego wejścia do akcji, jeśli nieprzyjaciel wykona desant z powietrza, i miała wejść do akcji całością sił”.

nawet najmniejszych działań bez zgody Grupy Armii B. Sztab dywizji musiał wiedzieć o drugim rozkazie, co wynika z listów generała Speidla.

Nasuwa się zatem pytanie, czy gdybym wiedział o rozkazie podjęcia działań w przypadku desantu spadochronowego, czy rozpocząłbym na własną odpowiedzialność atak całym pułkiem, wsparty przez batalion dział pancernych Beckera, na oddziały powietrznodesantowe zrzucone na wschód od Orne. Moim zdaniem, i zdaniem mojego ówczesnego adiutanta, wykorzystanie początkowego zamętu panującego w szeregach nieprzyjaciela zaraz po desantowaniu pozwoliłoby nam przebić się do wybrzeża i zapewne odzyskać kontrolę nad dwoma mostami nad Orne w Benouville. Równocześnie atakowałyby także 192. Pułk i Pułk Pancerny.

Nie zatrzymałoby to, co prawda, całej inwazji, ale zapewne doprowadziłoby do opóźnienia desantu z morza i zadania Brytyjczykom dużych strat.

Oto przykład, jak niedokładne przekazywanie rozkazów może wyrzucić niepożądany wpływ na całą operację.

Kolejne, bardzo ciekawe informacje trafiły do mnie na początku czerwca 1987 r. od byłego kapitana Sztabu Generalnego, późniejszego generała Bundeswehry Wagemanna, który przekazał je na początku maja 1987 r. badaczowi zajmującemu się tematem inwazji, podpułkownikowi Bundeswehry H. D. Bechtoldowi.

Od maja do lipca 1944 r. Wagemann odbywał staż szkoleniowy w sztabie dywizji, nocą zaś z 5 na 6 czerwca zastępował szefa sztabu, który był z Feuchtingerem w Paryżu. Wagemann wspominał, że późnym wieczorem 5 czerwca 1944 r. kompania łączności dywizji przechwyciła nadany otwartym tekstem brytyjski meldunek, który mówił o lądowaniu szybowców transportowych. Meldunek przekazano dalej. Po pierwszych doniesieniach o desantach powietrznych natychmiast ostrzegł wszystkie oddziały dywizji i

„zaatakowania nieprzyjacielskich oddziałów powietrznodesantowych natychmiast z użyciem wszystkich sił dostępnych na wschód od Orne”.

Fakt, że w ciągu tych kilku krytycznych godzin podejmowanie decyzji pozostawiono niedokładnie poinformowanym dowódcom dywizji, wydaje mi się z perspektywy czasu niewybaczalny.

Nocą z 5 na 6 czerwca 1944 r. kapral Hammel pełnił służbę wartowniczą. Służył we wchodzącym w skład naszej dywizji 21. Pancernym Batalionie Rozpoznawczym znajdującym się w odwodzie na pozycjach obok wioski na południe od Caen.

Jak później wspominał, „bezczyność bardzo nas irytowała. Zawsze działaliśmy jako zwiadowcy, w szpicy dywizji. Teraz stacjonowaliśmy tam całe tygodnie, oczekując na coś, co w ogóle nie musiało nas dotyczyć — lądowanie. Zgodnie z rozkazami Rommla musieliśmy niemal codziennie prowadzić nocne ćwiczenia, by w razie desantu spadochronowego znać teren aż do wybrzeża. Naszym zajęciem było też rozstawianie «szparagów Rommla» jako obrony przed szybowcami oraz budowanie umocnień na terenie za Wałem Atlantyckim.

Niespodziewanie o północy z 5 na 6 czerwca rozpętało się piekło. Z mojego posterunku mogłem widzieć flary w powietrzu, po których nastąpił silny nalot na Caen. «Teraz zacznie się zabawa» — przyszło mi na myśl”.

Ówczesny porucznik Rupprecht Grzimek z batalionu rozpoznawczego pamięta to dokładnie. „Tej samej nocy z 5 na 6 czerwca otrzymaliśmy wiadomość o lądowaniu spadochroniarzy i szybowców w sektorze 125. Pułku Grenadierów Pancernych, którym dowodził major von Luck. Wobec bombardowania Caen sądziliśmy, że chodzi o coś więcej niż tylko operację komandosów. Mielśmy rozkazy «atakować tylko na rozkaz z naczelnego dowództwa». Mimo to w krótkim czasie batalion był gotowy do walki. Nasz dowódca, major Waldow, był na przepustce. Miał

Do operacji desantowej włączyły się ciężkie działa okrętowe. Słabe oddziały broniące wybrzeża były już najwyraźniej zaangażowane w ciężkie walki. Wkrótce potem nadszedł rozkaz: «Batalion zostaje włączony do grupy bojowej von Lucka i natychmiast ruszy w kierunku Troam, około 12 kilometrów na wschód od Caen». Kryjąc się, dotarliśmy na obszar tuż na zachód od Troarn wczesnym popołudniem, nie napotykając większego oporu".

Szeregowy Hammel: „przed południem 6 czerwca, gdy jechaliśmy na północny wschód, ujrzeliśmy dwa myśliwce *Messerschmitt* lecące na północ, nisko nad Orne. Były to jedyne niemieckie samoloty, jakie widzieliśmy tego dnia.

Na wschód od Caen leżeli pierwsi zabici brytyjscy spadochroniarze. Z jedwabiu wyciętego z ich spadochronów zrobiliśmy sobie szale do ochrony przed pyłem. Zastępca dowódcy dał nam rozkaz ataku. Przeszliśmy do uderzenia niemal z marszu. Z zachodu dobiegały do nas odgłosy walki. Jak nam powiedziano, miała tam atakować nasza grupa pancerna. Nieprzyjaciel koncentrował przeciwko temu niebezpiecznemu dla niego uderzeniu ogień okrętów. Działało tam także jego lotnictwo. Udało nam się dotrzeć aż do skraju Escoville, skąd było tylko kilka kilometrów do Ranville i dwóch mostów na Orne".

Wczesnym rankiem 6 czerwca sytuacja dowódcy wydającego rozkazy w obliczu desantów powietrznych, armady okrętów wojennych, statków zaopatrzeniowych i okrętów desantowych oraz rozpoczynającego się desantu z morza była więcej niż trudna.

— Mimo wspomnianej „ogólnej dyrektywy" nie otrzymaliśmy zgody na nocny atak.

— Feuchtinger jeszcze wczesnym rankiem nie otrzymał zgody na kontratakowanie swą dywizją.

— Naczelną dowódcą zachód (von Rundstedt) podobnie jak Naczelną

Tak więc minęła noc i pierwsze godziny ranka 6 czerwca. Za późno, o wiele za późno! Myśleliśmy. Byliśmy zawiedzeni i źli, że Naczelne Dowództwo nam nie uwierzyło.

Wreszcie generał Mareks, nie czekając na pozwolenie, nakazał naszej dywizji natychmiast atakować wszystkimi siłami na wschód od Orne i zniszczyć oddziały 6. Dywizji Powietrznodesantowej, która wylądowała w tym rejonie i przecięła nasze linie komunikacyjne wiodące na zachód. W czasie gdy były wydawane niezbędne rozkazy, a dywizja przegrupowywała się do ataku, jasna stała się skala desantu morskiego. Podczas przegrupowania, gdy byliśmy bez przerwy nękani przez brytyjskie samoloty, nadszedł nowy rozkaz, tym razem z dowództwa 7. Armii.

„Główne siły 21. Dywizji Pancernej zaatakują siły nieprzyjaciela, które wylądowały na zachód od Ronę. Jedyne oddziały grupy bojowej von Lucka zaatakują przyczółek na wschodnim brzegu Orne". Oznaczało to dalsze opóźnienie i straty na skutek nalotów.

Przegrupowanie dywizji trwało kilka godzin. Większość oddziałów z obszaru na wschód od Caen i Orne musiało przecisnąć się przez ciasninę, jaką stanowiło Caen i znajdujące się w mieście jedyne w tym rejonie mosty. Caen było pod niemal ciągłym ostrzałem artylerii okrętowej, atakowane także przez samoloty myśliwsko-bombowe RAF.

Feuchtinger powiadomił mnie, że grupa pancerna, w tym i mój I Batalion z SPW (*Schützenpanzerwagen*, transporter opancerzony), miała przedrzeć się do wybrzeża na zachód od Orne. Moje rozkazy: „Zaatakuj pan na wschód od Orne swym II Batalionem, wzmocnionym przez 21. Pancerny Batalion Rozpoznawczy, 200. Batalion Dział Szturmowych (majora Beckera) i pluton dział przeciwpancernych 88 mm. Pańskim zadaniem jest zniszczenie przyczółka 6. Dywizji Powietrznodesantowej, odzyskanie obu mostów na Orne w Benouville oraz nawiązanie kontaktu z oddziałami broniącymi

4. Kompania Pułku Pancernego nadeszła przed 17.00 6 czerwca. Baterie dział pancernych majora Beckera dopiero późnym wieczorem 7 czerwca. Musiałem więc zaczynać bez nich.

Mój II Batalion był zaangażowany w ciężkie walki obronne przeciwko spadochroniarzom, którzy najwyraźniej próbowali rozszerzyć swój jeszcze niewielki przyczółek. Do ataku mogłem więc użyć tylko niewielkiej części batalionu.

Rozpoczęliśmy późnym popołudniem, niemal w tym samym czasie co grupa pancerna* na zachód od Ome. Nasz cel: uderzyć przez Escoville-Herouvillette na Ranvolle i oba mosty na Ome. Batalion rozpoznawczy wszedł do ataku prosto z marszu i wspierany przez kompanię pancerną dotarł do Escoville, spychając zaskoczonego przeciwnika.

Wówczas rozpętało się piekło. Najcięższe działa okrętowe, aż do kalibru 38 cm, artyleria i myśliwce bombardujące atakowały nas bez przerwy. Łączność radiowa została zerwana, zaczęli napływać ranni, a żołnierze batalionu rozpoznawczego zalegli.

Towarzyszyłem atakującym i widziałem, co się działo. Pobiegłem naprzód i zdołałem dotrzeć do dowódcy batalionu, by dać mu nowe rozkazy:

— Przerwać natychmiast atak, by uniknąć dalszych strat, i zająć pozycje obronne na południowym skraju Escoville. Zająć pozycje i uniemożliwić nieprzyjacielowi jakiegokolwiek postępy. Wspierać was będzie 4. Kompania Pułku Pancernego oraz działa pancerne majora Beckera, gdy już dotrą. Dopilnować, by żołnierze i załogi samochodów pancernych się okopały.

Pobiegłem do radiostacji mojego pułku. Mój adiutant Liebeskind musiał zameldować o przerwaniu natarcia sztabowi dywizji. W tym samym czasie Feuchtinger przysłał wiadomość, że grupa pancerna dotarła do wybrzeża luką między już wysadzonymi oddziałami brzojowej 3. Dywizji Piechoty i 2

* Chodzi o grupę bojową zorganizowaną wokół Pułku Pancernego 21. Dywizji Pancernej (przyp. tłum.).

Stało się teraz dokładnie to, czego obawiał się Rommel: nieprzyjaciel nie został zaatakowany przez całość dywizji i nie został zepchnięty do morza w ciągu pierwszych kilku godzin po lądowaniu.

Dwie pozostałe dywizje pancerne znajdowały się daleko na tyłach. Z „tysiąca myśliwców” obiecanych przez Göringa nie było widać ani jednego.

Wieczorem 6 czerwca musiało stać się jasne chyba nawet i dla Hitlera, że jest to inwazja na wielką skalę. Jak jednak powiedział nam Feuchtinger, Hitler i jego Naczelne Dowództwo wciąż spodziewali się kolejnego lądowania w Pas de Calais. Stacjonujące tam dywizje pancerne i odwody na rozkaz Hitlera miały pozostać.

Jednocześnie było dla wszystkich oczywiste, że inwazja się powiodła i że teraz trzeba tylko dni lub tygodni, by alianci wysadzili siły wystarczające do rozpoczęcia ataku na Paryż, a potem na Rzeszę Niemiecką. Gdyby nie to ich przekłete panowanie w powietrzu!

Nawet w nocy w powietrzu wisiały „choinki” zalewające cały teren jasnym światłem. Naloty nie ustawały nigdy. Flota potężnie ostrzeliwała nasze pozycje i miasto Caen, które było kluczowym punktem naszych linii rokadowych.

Za dnia było jeszcze gorzej: na każdy ruch na polu walki, nawet poszczególnych pojazdów, nieprzyjaciel reagował skoncentrowanym ogniem okrętów lub atakiem samolotów myśliwsko-bombowych. Albo przechwytywane były nasze wiadomości radiowe, albo też nieprzyjaciel podzielił cały teren na kwadraty i podawał jedynie numer kwadratu, który miał zostać ostrzelany.

Przeciwko temu ostrzałowi oraz na noc wszyscy okopaliśmy się obok naszych pojazdów, co dawało nieco osłony. Całe nasze zaopatrzenie pochodziło z okolic Paryża i mogło być dostarczane jedynie nocą.

Późnym wieczorem 7 czerwca otrzymałem rozkaz kontynuowania ataku na

Pododdziały pancernego batalionu rozpoznawczego wciąż były okopane na południowym skraju Escoville. Patrol, ponosząc duże straty, przedarł się do wioski i zdołał przyprowadzić trzynastu jeńców. Jeden z nich powiedział: „Mamy rozkaz zaatakować na południe przez Escoville, by powiększyć przyczółek i osiągnąć nasz podstawowy cel. Czekamy tylko na uzupełnienia”.

Na stanowisku dowodzenia zacząłem rozmawiać z podoficerem 6. Dywizji Powietrznodesantowej. Był lekko ranny, właśnie opatrywany przez naszego lekarza. Podziękował nam za dobre traktowanie, był jednak nieco rozczarowany.

— Należę do kompanii B majora Johna Howarda. Mielśmy rozkaz lądować o północy sześcioma szybowcami obok dwóch mostów na Orne koło Benouville i zdobyć je nietknięte. Ćwiczyliśmy to zadanie od ponad roku. Wylądowaliśmy tuż przy mostach. Nieprzyjaciel został całkowicie zaskoczony. Nie miał nawet czasu odpalić przygotowanych ładunków wybuchowych. Myślę, że lądowaliśmy we Francji jako pierwsi. Jesteśmy bardzo dumni, zwłaszcza że straciliśmy tylko kilku ludzi. Major Howard powiedział nam, że po udanej operacji zostaniemy wycofani do Anglii, gdzie będziemy w gotowości do następnych zadań.

— Potem, wczoraj wieczorem, nasz major otrzymał rozkaz zaatakowania dziś rano wsi Escoville. Nasz mały przyczółek miał zostać powiększony. Zadanie, do którego — moim zdaniem — nie byliśmy przygotowani. Wdarliśmy się do wioski, ale dostaliśmy się pod silny ogień ze wszystkich stron, zwłaszcza zaś waszych cholernych osiemdziesiątek ósemek. Myślę, że ponad połowa naszej kompanii została zabita, ranna bądź wzięta do niewoli. Po słabym oporze na mostach tu trafiliśmy na silnego i doświadczonego przeciwnika. Nasz major był bardzo dumny z wczorajszego *coup de main*. A teraz taka katastrofa. Wiedzieliśmy jednak, że lądowanie na plażach powiodło się. Nie możecie już uniemożliwić nam długiego marszu na Paryż. Już nie możecie wygrać tej wojny.

zwłaszcza na prawym skrzydle na północ od Troarn. Za wszelką cenę trzeba było uniemożliwić nieprzyjacielowi przedarcie się tam na naszą odsłoniętą prawą flankę. 7 czerwca dowódca batalionu, kapitan Kurzon, został zabity. Pośmiertnie awansowano go na stopień majora

i odznaczono Krzyżem Rycerskim. Porucznik Brandenburg, którego

5. Kompania jako pierwsza nawiązała kontakt bojowy z nieprzyjacielem nocą 6 czerwca, także poległ. Obu pochowano na tyłach, później zaś ich szczątki przeniesiono na cmentarz.

Były to dla nas dotkliwe straty. Tego samego dnia dywizja przysłała z rezerwy majora Kurza jako nowego dowódcę batalionu. Był on piechurzem i walczył w Rosji, dlatego też nadawał się do wykonywania postawionych przed nim zadań. W krótkim czasie wdrożył się do obowiązków i stał się jednym z najlepszych i najbardziej godnych zaufania dowódców.

8 czerwca nie atakowaliśmy ani my, ani Brytyjczycy. Po obu stronach trzeba było zadbać o rannych i wcielić uzupełnienia. Ku naszemu zaskoczeniu niespodziewanie pojawiło się kilka *Messer-schmittów*. Natychmiast zostały zaangażowane w walkę powietrzną.

Nad brytyjskimi liniami został zestrzelony myśliwiec RAF-u. Wszyscy wymachiwaliśmy rękami z radością. Czyżby obiecane „tysiąc myśliwców” miało się w końcu pojawić?

Zestrzelony został jednak jeden z *Messerschmittów*. Pilot zdołał uratować się, wyskakując ze spadochronem. Wylądował w pobliżu pozycji batalionu rozpoznawczego. Przyprawdzono go do mnie. Klął i machał w gniewie rękoma.

— Co może zdziałać kilka myśliwców wobec takiej przewagi? Gdzie do diabła jest „tysiąc myśliwców”? — My też tego nie wiedzieliśmy.

Po południu z przepustki powrócił major Waldow. Żołnierze batalionu rozpoznawczego ucieszyli się. Był wśród nich bardzo popularny, zwłaszcza że zawsze ustawał się ze nimi i starał się uniknąć niepotrzebnych strat

wykonają: 21. Pancerny Batalion Rozpoznawczy, 4. Kompania 22. Pułku Pancernego, trzy baterie 200. Batalionu Dział Szturmowych majora Beckera, I Kompania 220. Batalionu Przeciwpancernego z działami 88 mm. Artyleria dywizyjna będzie wspierać natarcie w miarę posiadanej amunicji".

Późnym wieczorem na moim stanowisku dowodzenia zebrali się wszyscy dowódcy pododdziałów i obserwator artyleryjski.

— Gotowość bojowa przed świtem, zanim będzie mogło interweniować nieprzyjacielskie lotnictwo i artyleria okrętowa. Natarcie poprowadzą motocykliści z batalionu rozpoznawczego i niezwiązani przez nieprzyjaciela grenadierzy II Batalionu, za nimi I Batalion. Wsparcie zapewnią czołgi 4. Kompanii i działa szturmowe Beckera. Działa kalibru 88 mm zajmą pozycje na wzgórzu na południe od Escoville, by zatrzymać kontrataki brytyjskich czołgów.

Aby zniwelować wpływ dział okrętowych i lotnictwa, potrzebna była silna i doświadczona grupa bojowa.

Stanęliśmy na pozycjach wyjściowych godzinę przed świtem. Jechałem z niewielką grupą dowodzenia za batalionem rozpoznawczym, by natychmiast podejmować decyzje.

W ciągu nocy byliśmy pod ciężkim ostrzałem artylerii okrętowej i bombardowani z powietrza. Nasze przygotowania zostały z pewnością dostrzeżone.

Kapral Hammel, który brał udział w ataku jako jeden z motocyklistów, wspomina: „Wspierani przez czołgi i działa szturmowe wkrótce zajęliśmy Escoville. Pozostali jeszcze w wiosce cywile zebrali się koło kościoła. Znaleźliśmy kilkoro zabłąkanych dzieci szukających rodziców. Zabraliśmy je do kościoła.

Brytyjczycy z 6. Dywizji Powietrznodesantowej stawili zacieklej opór. Gdy dzień już wstał, centrum i południowy skraj wioski znalazły się pod silnym

tyłach. Później Brytyjczycy przenieśli go na swój cmentarz wojskowy w Ranville, gdzie znalazł ostatni spoczynek wśród dawnych wrogów".

Śmierć Waldowa bardzo mnie dotknęła. Podczas kursu w Paryżu często z nim rozmawiałem. Z rozmów z nim wywnioskowałem, że pogardzał on Hitlerem. Jak się później dowiedziałem, należał do kręgu oficerów 20 lipca 1944 r.

Powiedziałem Waldowowi o przepowiedni Rommła. Także i on pokładał nadzieję w feldmarszałku. Waldow był oficerem ze starej pruskiej szkoły, odznaczonym w Rosji, skromnym i zawsze dbającym o swoich żołnierzy. Jego siostra opowiedziała mi później, że pewnego razu został otoczony w rosyjskiej wiosce przez partyzantów. Mieszkańcy od kilku dni nie mieli nic do jedzenia. Waldow rozdzielił wówczas racje żywnościowe swoich żołnierzy między kobiety i dzieci. Nocą pojawiła się delegacja partyzantów: „Niemcy, daliście naszym kobietom i dzieciom jedzenie. *Spasibo* (dziękujemy). Ponieważ to zrobiliście, możecie dziś w nocy opuścić wioskę. Nie zaatakujemy".

Oznaka ludzkich uczuć po obu stronach.

Kapitan Brandt z dywizyjnej rezerwy oficerów przejął po Waldowie batalion rozpoznawczy.

Dla Wernera Kortenhause, który był wówczas dowódcą czołgu w 4. Kompanii, 9 czerwca także był koszmarem. „Tego dnia stoczyliśmy jedno z naszych najcięższych starć tej wojny. Przed atakiem pod drzewami alei na południe od Escoville zebraliśmy dziesięć czołgów. Jechaliśmy z zamkniętymi włazami, czołg za czołgiem, kierując się w prawo koło zameczku na dużą łąkę, którą otaczały żywopłoty. Zamierzaliśmy tam sformować się do ataku w szeroki klin, obok nas i za nami mieli atakować grenadierzy.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. W ciągu kilku minut straciliśmy cztery czołgi rozbite pociskami dział okrętowych. W moim czołgu (*Pz Kpfiv. TV* z krótką lufą) została zablokowana wieża, na skutek czego mogłem

Wieczorem 9 czerwca zdaliśmy sobie sprawę, że nie możemy już zepchnąć Brytyjczyków do morza.

W 1960 r. wciąż jeszcze stały ruiny zameczku, gdy odwiedziłem po raz kolejny miejsce walki.

Nasz atak nie mógł się powieść, gdyż za żywopłotem był lity mur, który moglibyśmy rozbić czołgami, tylko ryzykując rozkalibrowanie dział. Przed murem był rów, bardzo wygodny dla broniących się tam oddziałów. W murze były zaś dziury od pocisków artyleryjskich, przez który obrońcy mogli łatwo się wycofać.

Był to więc teren niekorzystny do atakowania czołgami".

Na podstawie meldunków patroli wywnioskowaliśmy, że 8 czerwca na przyczółek została przesunięta 51. Dywizja Highland w celu wsparcia silnie naciskanej 6. Dywizji Powietrznodesantowej. Zmniejszyło to prawdopodobieństwo zniszczenia przyczółka. Znałem 51. Dywizję Highland z Afryki Północnej. Już wtedy uważano ją za doświadczony, elitarny związek taktyczny.

Pewnego dnia powrócił patrol, w którym zaskoczył mnie widok motocykla DKW. Był on pomalowany na kolor khaki, a na błotniku miał oznaczenia mojego 3. Batalionu Rozpoznawczego. Maszyna ta przebyła długą drogę. Została zdobyta przez Brytyjczyków w Afryce Północnej, przewieziona do Anglii, stamtąd wysłana do Normandii, gdzie odzyskali ją moi żołnierze i dostarczyli mi nietkniętą.

Tymczasem w nocy z 7 na 8 czerwca do kontrataków i uderzenia na

Operacja „Goodwood” 18-19 lipca 1944 r.

Hitler zdawał się już rozumieć, że inwazja nie jest działaniem pozorowanym. Nadal jednak nie wykluczał możliwości kolejnego lądowania w Pas de Calais.

Jak powiedział mi Rommel podczas jednej z wizytacji frontu, błagał Hitlera słownie i na piśmie, by przybył na front i wyrobił sobie właściwy obraz sytuacji i nastrojów żołnierzy. To jednak było coś, czego nie można się było spodziewać po Führerze. Wolał on wydawać rozkazy z Obersaltzbergu. Musieliśmy przyznać, że Churchill dzięki przybyciu na przyczółek i pokazaniu się żołnierzom poprawił ich morale.

Zgodnie z rozkazem Hitlera wysłanie na front każdej dywizji wymagało jego oddzielnego rozkazu.

Nie tylko Rommel, ale także my wszyscy byliśmy przygnębieni faktem, że Hitler postrzegał sytuację zbyt optymistycznie i zonglował dywizjami i korpusami, z których pozostały już tylko zdziesiątkowane resztki.

Morale żołnierzy było wciąż zaskakująco dobre, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, że sukces aliantów na zachodzie oznaczał koniec. Użycie *V1*, a następnie raket *V2* oraz zapowiedź nowych cudownych broni dawały żołnierzom trochę nadziei na lepszą przyszłość.

Dywizja wydała rozkaz do kolejnego ataku 12 czerwca. Wioska St. Honorine, leżąca na wzgórzu dominującym nad okolicą, miała zostać odzyskana, by umożliwić nam wgląd w pozycje nieprzyjaciela i jednocześnie uniemożliwić Brytyjczykom obserwowanie naszych pozycji. Moja grupa bojowa miała zostać dodatkowo wzmocniona. Brygada wielolufowych wyrzutni raket, „ryczących krów”*, miała łącznie ponad

300 luf kalibru 210 i 300 mm. Wyrzutnie te wywierały szczególny wpływ na psychikę — rakiety leciały, wydając charakterystyczne, głośnie, szarpające nerwy wycie, i zmuszały zaskoczonego nieprzyjaciela do natychmiastowego krycia.

Ruszyliśmy do natarcia na St. Honorine tuż przed świtem z dwiema kompaniami motocyklistów z batalionu rozpoznawczego oraz z garścią grenadierów z I Batalionu, wsparci kilkoma jeszcze sprawnymi czołgami 4. Kompanii i działami szturmowymi Beckera. Poprzedził nas silny i skoncentrowany ostrzał wyrzutni rakiet.

Zaskoczyliśmy nieprzyjaciela — pododdziały dywizji kanadyjskiej — i natychmiast zajęliśmy wioskę.

Posuwałem się tuż za motocyklistami i po raz pierwszy ujrzałem nieprzyjacielskie pozycje. Na polach stały setki szybowców. Natychmiast okopaliśmy się na północnym skraju wioski, by utrzymać wzgórze.

Potem rozpoczął się, jak dotychczas najsilniejszy, ostrzał z okrętów. Mogliśmy obserwować strzelające pancerniki, krążowniki i niszczyciele. Pociski kalibru do 381 mm przelatywały nad nami z gwizdem jak ciężkie kufry, by wybuchać wśród naszych pozycji, tworząc wielkie leje. Nieniekajone nurkowały na nas brytyjskie myśliwce. Nad nami rozpętało się istne piekło.

Potem, wykorzystując mgłę i pył wzniesiony wybuchami, powrócili Kanadyjczycy i po walce wręcz, przy dużych stratach po obu stronach, zmusili nas do opuszczenia wioski.

Cóż mogliśmy wskórać wobec takiego ostrzału z morza i powietrza?

Porzuciliśmy już nadzieję na poważne zaszkożenie brytyjskiemu przyczółkowi, nie mówiąc już o jego zniszczeniu. Zdaliśmy sobie sprawę, jak ważny był ten przyczółek wiszący nad naszym nieosłoniętym prawym skrzydłem.

Nasze powtarzane ataki i patrole przyniosły przynajmniej jeden skutek: Brytyjczycy zaczęli zaminowywać przedpola swych pozycji obronnych. Był to pewny znak, że chwilowo nie zamierzają wyprowadzać dalszych ataków.

Przez kilka tygodni w moim sektorze panował względny spokój. Działania prowadziły jedynie wysyłane co jakiś czas patrole.

Jeszcze tylko raz, 15 czerwca, przy silnym wsparciu artylerii próbowaliśmy zaatakować Escoville, ponieważ była to pozycja kluczowa umożliwiająca odzyskanie mostów na Orne. Także i ten atak okazał się bezskuteczny i przyniósł obu stronom poważne straty. Sytuacja nie zmieniała się — wciąż byliśmy w zasięgu dział okrętowych, a nieprzyjaciel miał absolutne panowanie w powietrzu.

Dzielny i wykrwawiony 21. Pancerny Batalion Rozpoznawczy został wycofany z linii 16 czerwca, ale aż do 29 czerwca znajdował się na wschodnich przedmieściach Caen, powstrzymując nieprzyjacielskie próby opanowania miasta i znajdujących się w nim mostów na Orne. 30 czerwca batalion został wycofany na południe od Caen, by uzupełnić straty.

Podczas odwiedzin na moim stanowisku dowodzenia generał Feuchtinger powiedział mi, że Brytyjczycy i Amerykanie utworzyli solidny, choć płytki przyczółek wzdłuż całego frontu inwazji.

— Nie ma wątpliwości, że alianci spróbują prędzej czy później wyłamać się z przyczółka, gdyż w przeciwnym przypadku inwazja byłaby bezcelowa. Nasz słaby punkt jest na prawym skrzydle, czyli w pańskim sektorze, mój drogi Łuck. Na wschód i na południe od pana nie ma żadnych odwodów. Jedynym atutem, jaki pan posiada, jest teren między Orne i wezbraną Dives, który jest tak wąski, że może na nim atakować najwyżej jedna dywizja. Musimy być na to przygotowani, toteż otrzyma pan dalsze uzupełnienia i rozbuduje pan obronę w głąb. Teren jest z pewnością dogodny do działań czołgów, ale liczne wioski, żywopłoty i lasy czynią z niego jeszcze lepszy

Minął czerwiec. Lipiec nie był zbyt upalny. Wszyscy cierpieliśmy od komarów. Niektórzy żołnierze musieli poddać się leczeniu z powodu opuchniętych oczu. Zboża dojrzały, ale rolnicy nie śmieli już wychodzić na pola, bojąc się, że zostaną wzięci za nieprzyjaciela i zastrzeleni.

Niemal codziennie II Batalion musiał odpierać ataki silnych grup szturmowych i ponosił duże straty.

Pewnego upalnego ranka, gdy lustrowałem front z majorem Kurzem, kula snajpera przeszła przez moją czapkę. Miałem szczęście.

Na początku lipca nieprzyjaciel nagle zaatakował. Rozpoczęła się operacja „Epsom” (Brytyjczycy lubili nazywać swoje operacje nazwami torów wyścigów konnych). Nieprzyjaciel starał się przełamać tuż na zachód od Orne, na odcinku 192. Pułku. Atak prowadziła 11. Dywizja Pancerna generała majora „Pipa” Roberta, zapewne najmłodszego, lecz bardzo doświadczonego dowódcy wojsk pancernych. Znałem „Pipa” Roberta z Afryki Północnej, gdzie dowodził brygadą pancerną w słynnej 7. Dywizji Pancernej. Jego 11. Dywizja Pancerna była jednak świeżo sformowana i niedoświadczona.

Brytyjczycy jak zwykle prowadzili atak czołgami bez wsparcia piechoty. W efekcie nie byli w stanie niszczyć niewielkich stanowisk przeciwpancernych zamaskowanych w laskach lub za żywołotami. Główne uderzenie załamało się pod naszym ogniem, chociaż na skrzydle brytyjska i kanadyjska piechota zdołały wdrzeć się do zachodniej części Caen. Front jednak nie został przełamany.

Jak obiecał Feuchtinger, moja grupa bojowa została na początku lipca poważnie wzmocniona: na mój odcinek przerzucono 503. Batalion *Tygrysów*. Z powodu słynnej osiemdziesiątki ósemki i grubego pancerza *Tygrisy* były uważane za niezniszczalne i przeważające nad wszystkimi czołgami przeciwnika. Przydzielono do mnie majora Beckera z wszystkimi pięcioma

Jak powiedział mi Feuchtinger, na wzgórzach i za nimi koło Bourgebuss pozycje zajmowały trzy sekcje przeciwpancerne z działami kalibru 88 mm. Do nich dołączono artylerię dywizyjną.

Moje dwa bataliony — 1/125 i 11/125 — stały po lewej i prawej za jednostkami połowymi Luftwaffe, tworząc tak zwane pozycje blokujące, z których mogły albo wyprowadzić kontratak, albo też utworzyć pozycję obronną. Przy nich znajdowały się kompanie majora Beckera.

Utworzyliśmy w ten sposób linię obronną głęboką na blisko 15 kilometrów, która prędzej czy później musiała powstrzymać nieprzyjacielski atak.

Mimo intensywnego rozpoznania lotniczego Brytyjczycy nie zdołali wykryć naszych pozycji obronnych. Jak odkryliśmy później, oceniali ich głębokość na siedem kilometrów. Ze zdobytych map dowiedzieliśmy się, że Brytyjczycy oceniali oddziały broniące atakowanego odcinka na przynajmniej dwie, jeśli nie trzy dywizje pancerne. Ta zawyżona ocena mogła być przyczyną ich późniejszego ostrożnego natarcia.

Z powodu głośnych protestów dowódcy korpusu, oficera piechoty, oba bataliony pancerne zostały rozmieszczone blisko za pierwszą linią. Lepszym rozwiązaniem byłoby umieszczenie ich z tyłu, w gotowości do kontrataku. Decyzja ta przyniosła katastrofalne skutki.

Późnym popołudniem 14 lipca wezwano mnie do sztabu Obergruppenfiihrera Sepp Dietricha, od niedawna dowódcy naszego korpusu. Sepp Dietrich znał mnie od czasu, gdy prosiłem go o radę w kwestii moich problemów z poślubieniem Dagmar. Odpowiedź, jaką otrzymałem z kwatery Fiihrera, odebrał z dużym zdziwieniem i obiecał przedstawić moją sprawę osobiście. Niestety, z powodu ciężkich walk na froncie skończyło się jedynie na obietnicy.

Na stanowisku dowodzenia korpusu, gdzie przywitał mnie Sepp Dietrich, był także Feuchtinger.

zdecydowałem się wysłać pana zamiast jednego z oficerów mojego sztabu ze specjalnym zadaniem do Paryża. Wyrusza pan dziś wieczorem i powróci rankiem 18. Życzę panu miłego odpoczynku.

— Panie Obergruppenführer — zawołałem — choć to kusząca propozycja, nie mogę jej przyjąć. Nie mogę zostawić moich ludzi w tej krytycznej sytuacji. Sądzę, że Brytyjczycy spróbują po raz kolejny przełamać się na moim odcinku. Dziękuję za propozycję, ale proszę pozwolić mi tu zostać.

— Luck — odparł Sepp Dietrich — zgodnie z naszymi informacjami prawdopodobieństwo nowego ataku w ciągu następnych dziesięciu do czternastu dni jest znikome. Po kosztownej ofensywie „Epsom” Brytyjczycy najpierw muszą się przegrupować i zgromadzić zaopatrzenie, toteż może pan jechać.

Dałem się w końcu przekonać, gdy zaczął nalegać także Feuchtinger. Perspektywa ponownego ujrzenia Dagmar była zbyt nęcąca.

Gdy powróciłem na stanowisko dowodzenia, udałem się do 1 Batalionu i przekazałem jego dowódcy kierowanie grupą bojową na czas mojej nieobecności.

Sprowadzono mojego mercedesa i wylądowano go skarbami Normandii. Przez wojskową sieć telefoniczną połączyłem się z siecią cywilną w Paryżu i powiadomiłem Dagmar oraz moją pokojówkę o przybyciu.

Opuściłem stanowisko dowodzenia z mieszanymi uczuciami. Dla bezpieczeństwa oraz by móc obserwować niebo, zabrałem ze sobą kierowcę. Czekają mnie trzy dni w Paryżu!

Po wykonaniu mojej misji i odwiedzinach specjalnego dowództwa Paryż mogłem spotkać się z Dagmar i przyjaciółmi. Byliśmy zakochani bardziej niż kiedykolwiek, mimo że głupie przepisy i prawa rasowe uniemożliwiały nam

Mimo radości ze spotkania z Dagmar byłem niespokojny. Codziennie telefonowałem do dywizji. „U nas panuje spokój, sytuacja normalna, żadnych zmian” — mówiono mi za każdym razem. Jeszcze raz omówiłem z Dagmar i przyjaciółmi, co robić, gdyby Paryż został zagrożony. Dagmar chciała zostać do ostatniej chwili, by być blisko mnie.

Wieczorem 17 lipca zasiedliśmy razem przy butelce szampana. 18 lipca wyruszyłem, gdy jeszcze było ciemno, by dotrzeć na moje stanowisko dowodzenia przed świtem, zanim pojawią się *Spitfirey* i *Hurricane'y*. Podróż trwała dłużej, niż się spodziewałem, z powodu nocnego ruchu pojazdów zaopatrzeniowych. Dopiero tuż przed dziewiątą znalazłem się na wzgórzach położonych na wschód od mojego odcinka. Od stanowiska dowodzenia dzieliło mnie jeszcze tylko kilka kilometrów. Zatrzymaliśmy się i rozejrzeliśmy w poszukiwaniu myśliwców. Wszystko było w porządku.

Pojawiłem się na miejscu krótko po dziewiątej i wyglądałem normandzkiego śniadania, po którym zamierzałem przebrać się z munduru wyjściowego w połowy.

Dowódca I Batalionu powitał mnie krótko. Wyczułem, że coś jest nie tak, gdyż wszyscy na stanowisku dowodzenia byli zdenerwowani.

Złożono mi meldunek, który odebrał mi oddech.

— Od piątej rano Brytyjczycy bombardowali nasz odcinek, przede wszystkim pozycje I Batalionu, z użyciem tysięcy bombowców. Po nalotach przeszli do prowadzenia pełzającego ognia artylerii. Ostrzał zakończył się zaledwie godzinę temu.

— Jaka sytuacja w I Batalionie, ma pan jakieś wiadomości?
— padło moje pierwsze pytanie.

— Nie, nie mamy łączności radiowej — padła odpowiedź.

— A *Tygrysy* i nasz batalion pancerny?

— Brak łączności radiowej. Nie wiem, co tam się dzieje.

całkiem bezradny. Rozkazałem, by pozostał do mojej dyspozycji, po kilku dniach rozkazałem mojemu adiutantowi udać się osobiście do działu personalnego i zażądać zastąpienia dowódcy batalionu kimś innym. Zgodę dano natychmiast.

Zyskałem cenne doświadczenie. Po raz kolejny widziałem, jak oficerowie i podoficerowie, którzy w czasach pokojowych byli znakomitymi instruktorami, lubianymi przez przełożonych i żołnierzy, zawadzili w krytycznych sytuacjach, nie będąc w stanie poradzić sobie z rzeczywistością. Generał „Pip” Roberts, jak mi później powiedział, miał takie same doświadczenia. Z tych samych powodów, dla których usunąłem dowódcę batalionu, musiał on pozbyć się dowódcy jednej z brygad oraz jednego z pułków. Doświadczenie uczy także, że oficera należy zwolnić ze stanowiska od razu, by nie dopuścić do zdemoralizowania oddziału.

Tak więc byłem na moim stanowisku dowodzenia. Nikt nie wiedział, co się dzieje, chociaż było jasne, że przeciwnik wyprowadza decydujące uderzenie.

Pozegnałem się z myślą o dobrym śniadaniu i przebraniu w mundur połowy. Pobiegnę do wyposażonego w radio *Panzer IV*, którego otrzymałem do dyspozycji z pułku pancernego. Dałem kierowcy papierosa i powiedziałem:

— Jedziemy! Główną drogą do Caen.

Do adiutanta krzyknąłem:

— Połączę się z wami w drodze. Niech pan natychmiast nawiąże łączność z dywizją, nawet jeśli miałby pan tam jechać osobiście. Niech pan im powie, co się stało, i poprosi o odwody, byśmy mogli zatrzymać Brytyjczyków. Proszę wysłać oficera do czołgów.

Powoli i bez przeszkód zbliżałem się do wioski Cagny, która leżała dokładnie w połowie mojego odcinka i nie była przez nas obsadzona. Wschodnia część aż po kościół nie była uszkodzona, część zachodnia natomiast była zrównana z ziemią. Gdy wjechaliśmy do zachodniej części,

czołgami, które powoli toczyły się na południe, nie napotykały oporu.

„Mój Boże — pomyślałem — bomby i ostrzał zniszczyły batalion!”.

Wszystko było jasne: Brytyjczycy dzięki bombardowaniu o bezprecedensowej skali próbowali przełamać się przez nasze pozycje na bardzo wąskim odcinku. Jak mógłbym zamknąć tę wyrwę? Może kontratakami znakomitych *Tygrysów Pz. VII*

Z powrotem zatem na stanowisko dowodzenia, by zorganizować przeciwdziałanie.

Gdy przejeżdżaliśmy koło kościoła w Cagny, który leżał w nietkniętej części wioski, dostrzegłem ku memu zdziwieniu baterię Luftwaffe z czterema działami kalibru 88 mm, które celowały w niebo.

„Co oni tu robią? — przeszło mi przez myśl. — Nie widziałem ich po drodze”.

Kazałem kierowcy zatrzymać się pod drzewem, wyskoczyłem z czołgu i pobiegłem do baterii.

Wyszedł do mnie młody kapitan.

— Panie majorze — zapytał — czy mógłby mi pan powiedzieć, co się tu dzieje?

— Mój Boże, co wy tu robicie? Czy macie pojęcie, co dzieje się na lewo od was?

Odpowiedział spokojnie:

— Stanowimy część pierścienia przeciwlotniczego broniącego fabryk i miasta Caen przed nalotami. Chwilowo oczekujemy na następny nalot.

— Człowieku — odpowiedziałem tak spokojnie, jak umiałem.

— Już wymińmy was nieprzyjacielskie czołgi. Na północ stąd aż kłębi się od czołgów. Natychmiast przejdzie pan na pozycje na północnym skraju Cagny i zaatakujecie nacierające czołgi. Będziecie strzelać z flanki. Zatrzymacie w ten sposób natarcie.

— Albo pan zginie, albo zasłuży na medal.

Młody kapitan zdał sobie sprawę, że nie żartuję.

— Ustępuję przed przemocą. Co mam robić?

Wziąłem go za ramię i pod osłoną żywopłotów oraz drzew pobiegliśmy na północny skraj wioski.

— Tu niech pan umieści swoje cztery działa, w tym sadzie jabłoni. Zboże jest wystarczająco wysokie, żeby was zamaskować, jednocześnie zapewniając dobre pole ostrzału. Strzelajcie do każdego czołgu, jaki zaobserwujecie. Zobaczę, czy zdołam przysłać do was pluton grenadierów z zdaniem osłony. Gdyby sytuacja stała się krytyczna, niech pan zniszczy działa i wycofa się na południe. Mam nadzieję, że batalion *Tygrysów* wkrótce będzie w stanie wyprowadzić kontratak z prawego skrzydła. Z nimi i z wami będziemy mogli odeprzeć nieprzyjacielski atak, zwłaszcza że, jak widzę, nie towarzyszy mu piechota. Wróć za pół godziny. Wszystko jasne?

Wciąż był niezdecydowany, ale w końcu kiwnął głową.

— Dobrze, panie majorze.

Wróciwszy na stanowisko dowodzenia, zdałem sobie sprawę ze skutków nalotu dywanowego.

Mój oficer operacyjny zameldował, że batalion *Tygrysów* został zbombardowany przez najcięższe amerykańskie bombowce. Widział na własne oczy poprzewracane 62-tonowe kolosy. Leje o średnicy 10 metrów uczyniły cały teren niemal nieprzebyty. Użycie *Tygrysów* w ciągu następnych kilku godzin było wykluczone. Los batalionu *Pz■ IV* był podobny.

Major Becker, który był już na moim stanowisku dowodzenia, nawiązał łączność ze swymi bateriami.

— Jedna bateria* została zupełnie zniszczona bombami — zameldował.

— Dwie z lewego skrzydła są nietknięte i będą wspaniałymi grenadierów I

* Niemieckie jednostki dział samobieżnych były zaliczane do artylerii, nie do wojsk pancernych, dlatego dzieliły się na baterie, nie na plutony (przyp. tłum.).

Ze sztabu dywizji wrócił mój adiutant kapitan Liebeskind. Feuchtinger kazał mu przekazać, że nie ma żadnych odwodów, by zamknąć wyrwę na moim lewym skrzydle. Miał jednak zostać do mnie wysłany batalion rozpoznawczy, by ubezpieczyć moje słabe prawe skrzydło. Kapitan Brandt będzie mi podlegał. Moje rozkazy brzmiały: zapobiec próbom przełamania się przeciwnika i ubezpieczyć nasze otwarte prawe skrzydło.

Kapitan Brandt zameldował się tego samego ranka:

— Panie majorze, znowu jestem pod pańskim dowództwem. Batalion rozpoznawczy znajduje się około siedmiu kilometrów na wschód od Troarn. Od 6 lipca staliśmy w odwodzie na południe od Caen i w pewnym stopniu uzupełniliśmy straty w ludziach i sprzęcie. Widzieliśmy dzisiaj rano straszliwe naloty. Czy pańskie oddziały mocno ucierpiały?

Wyjaśniłem Brandtowi pokrótce sytuację:

— Na moim lewym skrzydle jest wyłom aż do Caen i 192. Pułku, którego nie mam czym zapełnić. Na miejscu, na wzgórzach Bourgebus, są jednak trzy sekcje przeciwpancerne z działami kalibru 88 mm. Powinny być w stanie zatrzymać jakiegokolwiek działania czołgów, póki Brytyjczycy nie użyją piechoty. Istnieje jednak także bardzo niebezpieczna przerwa między moim stanowiskiem dowodzenia tutaj a II Batalionem majora Kurza. Jeśli Brytyjczycy wedrą się w nią, droga na południowy wschód będzie dla nich otwarta. To w tej przerwie umieszczam pana. Proszę utrzymywać łączność po prawej z Kurzem, a po lewej ze mną. Dostanie pan jedną z baterii majora Beckera z dłu- golufowymi działami przeciwpancernymi kalibru 75 mm do walki z czołgami. Niech pan przyśle do mnie oficera łącznikowego. Życzę szczęścia, Brandt. Musimy przetrzymać ten dzień!

Z oficjalnych raportów i meldunków od moich pododdziałów oraz z zeznań jeńców wyłaniał się ponury obraz. Relacje, z którymi zapoznałem się po wojnie, potwierdzają moją ówczesną ocenę sytuacji.

planowi działania skoncentrował do tego celu: korpus czołgów złożony z 11. Dywizji Pancерnej, Dywizji Pancерnej Gwardii i 7 Dywizji Pancерnej dobrze znanej mi z Afryki; do osłony obydwu flank jedną kanadyjską dywizję piechoty (po prawej) i jedną brytyjską dywizję piechoty (po lewej); ponad 1000 dział wszystkich kalibrów plus artyleria okrętowa; 6. Dywizję Powietrznodesantową i 51. Dywizję Highland, które miały pozostać i pilnować przyczółka.

Atak miało poprzedzić bombardowanie największej jak dotychczas armady powietrznej złożonej z blisko 2500 brytyjskich i amerykańskich bombowców. Atakowane pozycje miały być bombardowane w pasie szerokości około czterech i głębokości siedmiu kilometrów, w związku z czym praktycznie nikt nie miał szansy przeżyć bombardowania.

Po nalotach miała nastąpić nawała ogniowa 1000 dział i artylerii okrętowej, po której miała szybko atakować pierwsza fala czołgów.

Pierwszy cel to wzgórze blisko Bourgebus, około 15 kilometrów od pozycji wyjściowych.

„Nikt nie przetrwa tego piekła. Musimy tylko wjechać czołgami, by utworzyć sobie drogę do Paryża” — taka była powszechna opinia aliantów zaangażowanych w tym ataku. „Jak bardzo się pomyliliśmy” — słyszałem po wojnie od wielu dowódców brytyjskiego korpusu czołgów.

Ponieważ wszystkie jednostki uczestniczące w ataku musiały precyzyjnie się przez wykonane w polach minowych przejścia, dywizje posuwały się jedna za drugą, by po przełamaniu nacierać szerokim frontem na pofałdowany teren w pobliżu Bourgebus.

Miałem nadzieję, że bateria dział kalibru 88 mm w Cagny i dwie kompanie dział szturmowych kalibru 75 mm opóźnią podejście nieprzyjaciela do czasu sprowadzenia odwodów. Były nimi 1. Dywizja Pancerna SS i 12. Dywizja Pancerna SS „Hitleijugend”. Obie zostały niedawno wycofane z linii frontu

w kierunku Bourgebus. Stopniowo musieliśmy zerwać kontakt bojowy, by uniknąć okrążenia".

Major Becker był na moim stanowisku dowodzenia. Wezwałem go do siebie.

— Niech pan posłucha, Becker. Potrzebuję pańskich baterii bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ oba bataliony pancerne są po bombardowaniu niezdolne do walki. Wszystkie baterie, zwłaszcza te izolowane na lewym skrzydle, muszą działać według własnego uznania, wspierać grenadierów tak długo, jak to możliwe, a przede wszystkim zaatakować z flanki nacierające brytyjskie czołgi. Musimy zatrzymać uderzenie czołgów.

Major Bill Close, Brytyjczyk, który prowadził jedną z kompanii pułku pancernego 11. Dywizji Pancernej, która skręciła na zachód, jest dzisiaj moim dobrym przyjacielem. Powiedział mi później: „Ostrzeżliśmy idącą za nami Dywizję Pancerną Gwardii o Cagny. Mimo to parla ona naprzód i w ciągu sekund straciła w Cagny około

20 czołgów. Mogliśmy obserwować, jak prowadzący pułk usiłował uniknąć ognia z Cagny. Gdy to robił, kolejne czołgi zostały zniszczone, tym razem ogniem z lasu na wschodzie. Atak zatrzymał się. Cieszyliśmy się, że udało nam się skręcić na zachód i uniknąć ognia waszych przeklętych osiemdziesiątek ósemek. Ruszyliśmy na południe, w kierunku drogi Paryż-Caen. Widzieliśmy szalejące tu i ówdzie pożary w leżącym po prawej Caen, a przed nami jakieś pięć kilometrów na południe wzgórza Bourgebus, nasz pierwszy cel, który powinniśmy osiągnąć wczesnym rankiem.

Parliśmy bez przeszkód naprzód w rozwiniętym szyku, moja kompania na czele.

Gdy dotarliśmy na odległość około 1000 metrów do wioski na wzgórzach, trafiliśmy pod skoncentrowany ogień osiemdziesiątek ósemek. W ciągu sekund około 15 czołgów stanęło i się zapaliło. Wszystkie próby zawracania w

Po przybyciu batalionu rozpoznawczego uznałem, że moje prawe skrzydło zostało w pewnym stopniu ustabilizowane. Wciąż nie zdołałem się przebrać, nie mówiąc o zjedzeniu czegokolwiek. Przez następnych kilka godzin wszystko miało zależeć od baterii przeciwlotniczej w Cagny. Wsiadłem z powrotem do mojego czołgu i kazałem wolno jechać do wioski. Zatrzymaliśmy się przy kościele, pobiegłem do czterech dział. Trudno opisać to, co ujrzałem.

Działa kalibru 88 mm strzelały raz za razem. Można było widzieć pociski lecące przez zboże jak torpedy. Kanonierzy byli dumni ze swego pierwszego starcia w roli baterii przeciwpancernej. Wszystkie cztery działa były sprawne i nie zostały zaatakowane.

Na ogromnych polach zbóż na północ od wioski stało przynajmniej 40 płonących lub unieruchomionych brytyjskich czołgów. Zauważyłem, że czołgi, które już przekroczyły główną drogę, wolno toczyły się z powrotem.

Do walki weszły także działa szturmowe Beckera. Ostrzeliwały z flanki każdy czołg, który usiłował ominąć wioskę.

Młody kapitan podszedł do mnie. Pogratulowałem mu.

— Pluton z mojej kompanii sztabowej będzie tu za kilka minut, by ubezpieczyć was przed niespodziewanym atakiem. Powtarzam rozkazy z rana: utrzymać pozycję, jak długo się da, i odeprzeć atak nieprzyjacielskich czołgów. Gdy sytuacja stanie się krytyczna, zniszczyć działa i wycofać się wraz z grenadierami na moje stanowisko dowodzenia.

Opuściłem potem jego baterię, która odegrała decydującą rolę tego dnia, 18 lipca.

Wróciwszy na stanowisko dowodzenia, połączyłem się z Feuchtingerem. Opisałem mu sytuację, jak ją oceniłem około południa 18 lipca, i zakończyłem:

— Panie generale, uważam, że brytyjski atak został zatrzymany dzięki

— Gratulacje, Luck, za skuteczną obronę. Mam dla pana dobre wieści: 1. Dywizja Pancerna SS otrzymała rozkaz natychmiastowego przejścia spod Falaise i wzmocnienia naszej obrony, zwłaszcza na wzgórzach Bourgebus. 12. Dywizja Pancerna SS ma rozkaz wesprzeć nas z prawej, czyli na pańskim skrzydle, i uniemożliwić przełamanie się nieprzyjaciela na południowy wschód. 1. SS dotrze dzisiaj późnym popołudniem, a 12. SS najwcześniej jutro w południe. Do tego czasu musimy wytrzymać.

Późnym popołudniem zadzwonił Feuchtinger.

— Przybyły pierwsze pododdziały 1. SS. Razem z nimi zniszczyliśmy wiele czołgów. Doliczając pańskie, Brytyjczycy prawdopodobnie stracili przynajmniej 200 maszyn. Jestem pewien, że da pan radę utrzymać się na prawym skrzydle. Proszę przekazać wyrazy uznania dla Kurza (dowódcy II Batalionu).

Po południu wreszcie udało mi się przebrać, natychmiast poczułem się lepiej. Batalion *Tygrysów* przysłał meldunek, że około dziesięciu czołgów znowu było sprawnych i że wyprowadzą kontratak na lewą flankę nieprzyjaciela.

Porucznik (ówczesny) baron von Rosen, dowódca kompanii czołgów *Panzer Kpfiv. VI (Tygrysów)*, złożył następującą relację: „Bombardowanie rankiem 18 lipca było najgorsze, jakiego doświadczyliśmy w czasie wojny. Chociaż znajdowaliśmy się w okopach pod czołgami, ponieśliśmy duże straty. Niektóre z 62-tonowych maszyn leżały do góry gąsienicami w kraterach dziesięciometrowej średnicy. Fruwały w powietrzu jak karty do gry. Dwóch moich żołnierzy popełniło samobójstwo; nie wytrzymało napięcia psychicznego. Z moich 14 *Tygrysów* ani jeden nie był sprawny. Wszystkie zostały pokryte pyłem i ziemią, działa były rozkalibrowane, a układy chłodzenia silników niesprawne. Wczesnym popołudniem jednak kilka moich *Tygrysów* było już gotowych do walki. Miałem użyć ich do ataku na zachód, na

w czołgach, 7. Dywizja Pancerna nie pojawiła się. Dopiero późnym popołudniem zdołała przejść przez nieliczne przejścia w polach minowych.

Działania brytyjskie w dniu 18 lipca ustały. Zdobyta terytorialna była jak dotychczas niewielka, nie było mowy o przełamaniu frontu. Byliśmy jednak pewni, że Brytyjczycy przygotowują się na następny dzień. Nie było jednak oczywiste, czy naszymi osłabionymi siłami zdołamy jeszcze raz zatrzymać atak.

Ranek 19 lipca był zaskakująco spokojny. Liczne brytyjskie czołgi były niszczone podczas pojedynczych uderzeń pancernych. Potem jednak, wczesnym przedpołudniem, Monty wprowadził do walki wszystkie trzy dywizje pancerne wspierane przez piechotę i artylerię, które tymczasem podciągnięto.

Podczas gdy dywizja Gwardii działała bardzo ostrożnie z powodu braku doświadczenia, ku naszemu zaskoczeniu zobaczyliśmy, że 7. Dywizja Pancerna robi podobnie. Działo się z nią to samo, co wcześniej z nami: była zbyt doświadczona i dlatego działała ze skrajną ostrożnością. Zdołaliśmy odeprzeć wszystkie ataki na prawe skrzydło oraz zadaliśmy obu brytyjskim dywizjom duże straty. Udało się to dzięki umiejętnej walce mojego II Batalionu dowodzonego przez majora Kurza oraz pancernego batalionu rozpoznawczego i dział szturmowych Beckera.

Z batalionu rozpoznawczego przybył oficer łącznikowy.

— Panie majorze, mam zaszczyt zameldować, że dzięki naszym kontratakom zmusiliśmy nieprzyjaciela wielokrotnie do odwrotu. Przez pewien czas brytyjski punkt opatrunkowy był za naszymi liniami. Godzinę temu pojawił się brytyjski czołg z białą flagą i przywiózł kilku naszych rannych. Natychmiast im podziękowaliśmy.

* W oryginale „z grenadierami” (with grenadiers). Ponieważ „grenadierami pancernymi” nazywali i nazywają swoją piechotę zmechanizowaną jedynie Niemcy, zmieniłem tę nazwę na termin ogólnowojskowy (przez tłum.)

czołgi i ciężką artylerię wyprowadziła około 16.00 atak na dwie wioski na północnym skraju wzgórz Bourgebus, których broniły pododdziały 1. Dywizji Pancernej*.

Krótko potem nadszedł następujący meldunek od jednej z baterii dział szturmowych: „Obie wioski zostały zajęte przez nieprzyjaciela, lecz dalszy atak został zatrzymany. Nasze dwie baterie weszły do walki — niekiedy tuż obok Brytyjczyków — nie poniosły jednak strat na wzgórzach”.

Sytuacja stała się krytyczna, ale brytyjski atak nie był kontynuowany, zatrzymał się. Było to niezwykle, że uderzenie na moim odcinku prowadzono tak niepewnie. Ogień naszych dział przeciwpancernych kalibru 88 mm, kilku *Tygrysów* oraz dział pancernych Beckera musiał wywrzeć duży wpływ na Brytyjczyków. Z pozostałymi nam tylko około 400 grenadierami musieliśmy utrzymać długi front na wschodzie. Było to za mało, by wytrzymać silne uderzenie.

Wreszcie około 17.00 nadeszły pierwsze pododdziały 12. Dywizji Pancerniej SS. Nawiązał ze mną łączność oficer sztabu:

— Dywizja odbyła trudny marsz. Kilkakrotnie byliśmy atakowani przez brytyjskie myśliwce i musieliśmy się kryć. Większość dywizji przybędzie tu w ciągu nocy. Jak wygląda wasza sytuacja?

Opisałem mu ją i dowiedziałem się, że moja grupa bojowa zostanie przez dywizję zluzowana. Wkrótce potem nadszedł rozkaz z dowództwa mojej dywizji: „W ciągu nocy grupa bojowa von Lucka oderwie się od nieprzyjaciela i przekaże front 12. Dywizji Pancerniej SS. Grupa zajmie pozycje obronne po obu stronach Troam, na wschodnim brzegu wezbranej rzeki Dives. Grupa bojowa Raucha także zostanie zluzowana i przejdzie w rejon na wschód od Dives”.

Uzyczenie przebiegło bez trudności. Miałem nadzieję, że zdołam zanewnić

* Była to 1. Dywizja Pancerna SS. 1. Dywizja Pancerna Wehrmachtu znajdowała się wówczas na froncie wschodnim (przyp. tłum.).

Monty miał potem utrzymywać, że wcale nie chciał osiągnąć więcej i że operacja „Goodwood” miała na celu związanie możliwie wielu niemieckich dywizji pancernych, by ułatwić Amerykanom przełamanie się zgodnie z planem bardziej na zachód.

Oprócz mnie także inne osoby mają wątpliwości co do takiej interpretacji wydarzeń i podają następujące argumenty: po pierwsze, wzięci do niewoli Kanadyjczycy powiedzieli nam, że krótko przed atakiem Monty krzychał do nich: „Na Falaise, chłopcy, potem maszerujemy na Paryż!”. Po drugie, wszyscy, którzy znali Monty'ego i jego ambicje i którzy analizowali jego działania w Afryce Północnej, wiedzą, że nie zadowoliliby się on zwykłym „związaniem niemieckich dywizji pancernych” i „rozszerzeniem przyczółka”.

Jakkolwiek było, operacja „Goodwood” kosztowała Brytyjczyków około 450 czołgów. Był to majstersztyk, jeżeli chodzi o przygotowanie i zabezpieczenie materiałowe. A mimo to udało nam się uniemożliwić nieprzyjacielowi dokonanie przełamania.

Dopiero później dowiedzieliśmy się, że dzień przed rozpoczęciem operacji „Goodwood” nasz feldmarszałek Erwin Rommel został poważnie ranny w ataku myśliwca na jego samochód. Trudno było nam się z tym pogodzić. Rommel zawsze wydawał się niezniszczalny.

Rozbudowane w głąb linie obronne utworzone przez Rommla zatrzymały atak Montgomery'ego. Jeszcze 15 i 17 lipca wizytował on te linie na odcinku naszego korpusu. Będzie zatem prawdziwe stwierdzenie, że Rommlowi udało się uniemożliwić swemu stałemu przeciwnikowi przełamanie się na Paryż, co było jego ostatnim sukcesem.

Nocą z 19 na 20 lipca zaczęły padać ulewne deszcze, które utrudniły luzowanie jednostek. Nigdy nie zapomnę nocnego marszu na północ w smrodzie leżących na polach martwych krów. 20 lipca była także wielka burza, która zamieniła pole walki w bagno. Brytyjskie lotnictwo musiało

Moje myśli powracały do rozmów z Rommlem w Afryce Północnej w 1943 r. i we Francji w 1944 r. „Zamach na Hitlera stworzy nową «legendę o ciosie w plecy». Gdy tylko powstanie drugi front i koniec stanie się widoczny, musimy zmusić go do ustąpienia, by uniknąć dalszych strat i skoncentrować się na wojnie na wschodzie”.

Następnego dnia na moim stanowisku dowodzenia pojawił się korespondent wojenny.

— Panie majorze, co ma pan do powiedzenia z frontu odnośnie do próby zamachu na Fuhrera?

Moja odpowiedź była szybka:

— Proszę posłuchać. Przez całe tygodnie toczyliśmy tu ciężkie walki obronne. Nie miałem czasu o tym myśleć. Proszę wrócić, gdy sytuacja się trochę uspokoi.

Szybka i ryzykowna odpowiedź, ale cóż z tego.

Warto wspomnieć fakt, o którym dowiedziałem się niedawno z wiarygodnego źródła. Gdy dowódca naszego korpusu Ober- gruppenführer Sepp Dietrich z Grupy Armii B dowiedział się

o zamachu na Hitlera, jego pierwsze pytanie brzmiało: „Kto to zrobił, SS czy armia?”.

Chociaż RAF prowadził nieprzerwane naloty, a dywizja gwardii usiłowała przy pomocy silnych patroli znaleźć lukę na wschodzie, kolejne dni były urlopem. Z powodu dużych opadów rzeka Dives stała się nie do pokonania. Dla mnie ważne było odtworzenie

1 Batalionu, który został niemal całkowicie zniszczony w czasie bombardowania 18 lipca.

W dywizyjnej sekcji uzupełnień w ciągu tylko kilku dni utworzono nowy batalion z pozostałych żołnierzy i dobrze wyszkolonych uzupełnień z kraju, z nowiutkimi SPW (transporterami opancerzonymi). Zadziwiało nas nasze

od Villers Bocage, na ważną drogę nr 175 na południe od Bayeux. Razem zdzielnym 21. Pancernym Batalionem Rozpoznawczym zdołaliśmy utrzymać front.

Żołnierze byli zmęczeni, a straty duże. Walczyliśmy teraz bez przerwy od ośmiu tygodni, czyli dłużej niż którakolwiek inna dywizja. Mimo to morale było wysokie. Żołnierze walczyli, aż padali od kul czy ze zmęczenia. 25 lipca jednak po czterogodzinnym bombardowaniu z powietrza Amerykanie zdołali przełamać obronę Panzer Lehr Division. Wycofaliśmy się nieco i utrzymywaliśmy linię biegnącą od Avranches-St. Ló do terenu na południe od Caen.

31 lipca przyszły wieści, że generał George S. Patton, zapewne najbardziej elastyczny spośród alianckich dowódców pancernych, przełamał się pod Avranches, obok słynnego Mont St. Michel. Oznaczało to otwarcie drogi w głąb Francji, na Paryż i w kierunku Rzeszy. Hitler zareagował natychmiast — rzucił na Avranches generała Eberbacha z naprędce utworzoną grupą pancerną w celu przerwania linii komunikacyjnych Pattona.

Po raz kolejny ludzie z Bletchley Park, którzy łamali nasze szyfry, oraz US Air Force doprowadzili do załamania naszego ataku. Co gorsza, wszystkie nasze dywizje walczące na zachodzie były zagrożone okrążeniem, ponieważ Patton mógł kontynuować bez przeszkód uderzenie na wschód.

Dziękuję za uwagę. W razie pytań proszę o kontakt. Pozdrawiam.

Odwrót do Niemiec sierpień-listopad 1944 r.

Minęły jeszcze dwa tygodnie walk opóźniających i kolejnych odwrotów na południowy wschód, zanim znaleźliśmy się w okolicach Falaise, na południe od Caen. Oznaczało to, że cały półwysep Contentin, z ważnym portem Cherbourg, był ostatecznie stracony*.

Tymczasem Montgomery także wyszedł z przyczółka powiększonego dzięki operacji „Goodwood” i kanadyjską 4. Dywizją oraz polską dywizją pancerną** parł naprzód w kierunku na północ od Falaise. Atak Monty'ego z północnego zachodu i Pattona z południowego zachodu zagrażał otoczeniem niemal całości niemieckich sił w Normandii w jednym wielkim kotle.

17 sierpnia dywizje kanadyjska i polska dokonały przełamania i rozdzieliły naszą dywizję na pół: grupa bojowa Raucha ze 192. Pułkiem, 21. Batalionem Rozpoznawczym i ostatnimi ośmioma czołgami znalazła się w tworzącym się kotle. Moja grupa bojowa i dowództwo dywizji znalazły się tuż poza nim.

Od tego momentu alianckie bombowce pastwiły się bez przerwy nad wycofującymi się dywizjami. Znakomita amerykańska artyleria dniem i nocą trzymała pod silnym ogniem wszystkie drogi i ścieżki.

Najgorzej miały dywizje piechoty, które posiadały liczne pojazdy konne — w marszu na wschód zakorkowały wszystkie drogi. Doszło do przerażających scen. Czołgi, wozy opancerzone i zmotoryzowane kolumny zaopatrzeniowe bezlitośnie przepychały się na wschód. Na każdej drodze czy każdym trakcie prowadzących na wschód lub obok nich leżały ostrzelane i uszkodzone pojazdy. Wokół leżały trupy koni. Nawet ambulanse pełne rannych płonęły na poboczach. Dzieln

oficerowie próbowali zaprowadzić w tym chaosie nieco porządku, lecz zwykle bez powodzenia.

Otrzymałem rozkaz, by z moją grupą bojową utworzyć zaporę obronną frontem na zachód, aby zapobiec posuwaniu się dywizji polskiej i kanadyjskiej. Ze wzgórz na zachód od Vimoutiers, na których Rommel został poważnie ranny 17 lipca, miałem szeroki widok na wielką dolinę. Nieprzyjacielskie samoloty bez przerwy uwijały się nad nią, atakując wszystko, co się ruszało. Mogłem widzieć grzybiaste eksplozje bomb, płonące pojazdy oraz rannych, których zabierały uciekające pojazdy. Sceny, jakie rozgrywały się w kotle, były nie do opisania, a my nie mogliśmy w żaden sposób pomóc.

„Man, horse and truck by the Lord were struck“*. Ten cytat z wiersza o walkach krzyżowców w Palestynie około 1213 r. przyszedł mi na myśl dwukrotnie wcześniej: w grudniu 1941 r. pod Moskwą i w 1943 r. w Afryce Północnej.

Zaciskające się wokół kotła szczęki jeszcze się całkiem nie zacisnęły. Bardziej na południe, obok małej wioski Chabois nad rzeką Dives, wciąż istniała luka, wciąż jeszcze niezamknięta przez Amerykanów i dwie dywizje Montgomery'ego. Wynikało to zapewne z jednej strony z faktu, że udało nam się kilkakrotnie opóźnić polską dywizję pancerną, z drugiej zaś z tego, że Patton nie był zainteresowany wykorzystaniem powodzenia, ale raczej szybkim uderzeniem na Sekwanę na wschód od Paryża. Niechęć do Monty'ego żywiona przez Pattona pomogła nam uratować z kotła liczne oddziały, chociaż pozbawione sprzętu.

Pułkownik Rauch i major Brandt, dowódca rozpoznawczego batalionu pancernego, mieli później opisać, w jak dramatycznych okolicznościach udało im się wydostać z okrążenia. Wraz z resztkami kilku dywizji pancernych SS, które utworzyły wylom w liniach okrążenia i utrzymały przejście, grupa

wyruszyliśmy w drogę na wschód. Na widok nagich, na pół spalonych ciał czołgistów obiecaliśmy sobie, że nie damy się wykończyć w kotłach. Była to piekielna wycieczka. Mijając kolumnę wozów konnych, ugrzęźliśmy tak, że musieliśmy porzucić czołgi. Dalej szliśmy piechotą. Nocą prześliznęliśmy się koło żołnierzy nieprzyjaciela. Niektórzy patrzyli na nas z niedowierzaniem. Rankiem byliśmy już za kotłem i — chwilowo — uratowani".

Porucznik Holler z 8. Kompanii 192. Pułku brał udział w wyrwaniu się z kotła. „Odebraliśmy rozkaz porzucenia naszych pozycji nocą z 19 na 20 sierpnia i przebijania się w kierunku Tran. Wciąż znajdowała się tam luka szerokości pięciu kilometrów, w której wykryto tylko kilka nieprzyjacielskich patroli. Dla naszej wyczerpanej walkami jednostki ten nocny odwrót wymagał niemal nadludzkiego wysiłku.

Im bliżej byliśmy miejsca przełamania, tym straszniejsze sceny rozgrywały się przed naszymi oczami. Drogi były zablokowane przez dwa lub trzy trafione i wypalone pojazdy stojące obok siebie. Amunicja wybuchała, czołgi płonęły, a leżące konie walczyły, aż wreszcie zdołały się uwolnić. Na polach dookoła panował taki sam chaos. Nieprzyjacielska artyleria ostrzeliwała ten bałagan ze wszystkich stron. Wszystko parło na wschód. Musieliśmy przejść przez St. Lambert. Utworzono tam niewielki sztab operacyjny. *Pantery* i *Tygrysy* z dywizji SS szły na czele.

Przedzieraliśmy się przez wioskę, nie zważając na ciągły ostrzał artylerii i dział przeciwpancernych. Trafione czołgi i pojazdy spychano na bok. Na poboczach leżało wielu zabitych i rannych z poprzednich prób przebicia się. Na ile pozwalało miejsce, zabieraliśmy rannych lub przynajmniej zadbałiśmy o ich potrzeby.

Wyskoczyliśmy z transporterów, by osłonić czołgi SS zatrzymane przez liczne nieprzyjacielskie działa przeciwpancerne.

Dwóch generałów, których dywizje piechoty zostały zniszczone, tylko

wyłam, kolejne grupy, niektóre bardzo małe, przechodziły przezeń na wschód. Wyruszyliśmy, orientując się według kompasu. Po raz kolejny udało nam się uciec z piekła".

Po południu 21 sierpnia było po wszystkim — kocioł został zamknięty. Jak, jeśli było to w ogóle możliwe, żołnierze mogli dojść do siebie po takim wykrwawieniu i tak strasznych przeżyciach?

Trudno ustalić dokładnie straty poniesione w kotle pod Falaise. Według szacunków przed zamknięciem kotła 21 sierpnia by to w nim od 90 000 do 100 000 żołnierzy. Mimo usilnych próśb Hitler zaniedbał wycofanie naszych dywizji na czas. Wiadomo, że zginęło około 10 000 żołnierzy, zdołało się wydostać 40 000-50 000. Blisko 40 000 zostało wziętych do niewoli, w tym kilka sztabów dywizji i korpusów, oraz pozostałości 15. dywizji, głównie piechoty. Fakt, że tak wielu żołnierzy zdołało wydostać się z kotła i natychmiast zebrać się ponownie do walki, dowodzi ich wysokiego poziomu wyszkolenia.

Niebezpieczeństwo jednak jeszcze nie minęło.

Zdołałem połączyć się z dowódcą dywizji, który powiedział mi:

— Sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Jedyne, co wiadomo na pewno, to że generał Patton dotarł do Chartres na południowy zachód od Paryża już 18 sierpnia, zaś 21 sierpnia osiągnął Sekwanę koło Fontainebleau. Według niepotwierdzonych meldunków zdołał utworzyć dwa niewielkie przyczółki na Sekwanie.

— Z Chartres — kontynuował generał Feuchtinger — Patton skręcił na północ i częścią swej armii naciera w kierunku Rouen. Nikt nie może go zatrzymać. Grozi nam teraz kolejny kocioł na południe i zachód od Sekwany, a wszystkie mosty na rzece zostały zapewne zniszczone. Zostałem upoważniony natychmiast przeprowadzić przez Sekwanę grupę bojową Raucha i pancerny batalion rozpoznawczy, które straciły w kotle niemal cały sprzęt, i

północny wschód od Rouen. Nie mam już żadnych czołgów, ale otrzyma pan dwa patrole z batalionu rozpoznawczego. Jeśli Montgomery uderzy teraz szybko, nie daję panu większych szans na przekroczenie Sekwany. Najpierw będzie pan stopniowo się wycofywał w kierunku Sekwany, gdzie będą na pana czekać resztki batalionu saperów z ostatnimi pontonami. Od tego momentu działa pan samodzielnie. Nie mogę panu powiedzieć, skąd otrzyma pan paliwo, amunicję i żywność. Niech pan sobie radzi sam. Jeśli chodzi o oś marszu na wschód i jego cel, tam gdzie zbierze się dywizja, otrzyma pan dalsze rozkazy, zanim wyruszę.

— Życzę szczęścia, Luck — zakończył. — Niech mi pan przyprowadzi z powrotem wielu żołnierzy mojej dywizji.

21 sierpnia, decydującego dnia, moje siły znajdowały się na pozycjach obronnych. 22 sierpnia oderwałem się od nieprzyjaciela. Montgomery, na szczęście, nie szedł za nami zbyt szybko. Wręcz przeciwnie, działał bardzo ostrożnie, bez ryzyka. Dało nam to pewne fory. Alianckie siły powietrzne nie mogły już atakować tak dokładnie, ponieważ trudno im było odróżnić siły własne od nieprzyjaciela.

23 sierpnia przesuwaliśmy się w kierunku Rouen, wciąż bez przeszkód ze strony dywizji Montgomery'ego. Martwiłem się informacjami Feuchtingera, że tego samego dnia Patton nacierał na Rouen niemal równoległe do nas. Kto dotrze tam pierwszy

I jak przekroczymy odpowiednio szybko Sekwanę? Nasze własne rozpoznanie nie wykryło jeszcze jednak Pattona. Zamiast tego dołączyły do nas elementy Dywizji Pancerniej SS. Uzgodniliśmy, że przekroczymy rzekę dzięki pomocy saperów na jednej pętli Sekwany na zachód od Rouen.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że Montgomery wyznaczył nową linię rozgraniczenia między Brytyjczykami i Amerykanami, która biegła przez Mantes nad Sekwaną, na zachód od Paryża i dalej na północny wschód przez

Gdy dotarliśmy do Sekwany, ubezpieczyliśmy się od południa czołgami SS, lecz wszystkie zaimprovizowane przeprawy przez rzekę były strasznie zatłoczone. O kilka promów rywalizowały, niekiedy z użyciem siły, jednostki tyłowe piechoty oraz grupy maruderów.

Gdy wybraliśmy punkt przeprawy, nie przepuszczaliśmy nikogo innego. Zamierzaliśmy uratować nasze wozy bojowe i ludzi. Podczas gdy saperzy budowali prom z pontonów, rozważyliśmy i wypróbowaliśmy wszelkie możliwe sposoby pokonania szerokiej na 400 metrów rzeki. Kapitan Krieger, mój ówczesny adiutant, powiedział mi kilka dni później, że wraz ze swymi żołnierzami zdjęli w okolicznych wioskach wszystkie drzwi z zawiasów i przymocowali pod nimi puste kanistry na benzynę. Każdy z takich minipromów mógł przewieźć około ośmiu ludzi. Współpraca z czołgistami SS układała się bardzo dobrze. Zapewniłem ich, że zostaną przewiezieni naszym promem jako ostatni. Zachowywaliśmy spokój. Żołnierze cicho czekali na swoją kolej w lasach w pobliżu punktu przeprawy. Nie było tu oznak zamętu, jaki miał miejsce w Rouen, do którego wycofała się większość oddziałów, by przekroczyć rzekę mostem kolejowym, który pozostał nietknięty.

Moja kompania dowodzenia miała samochód — amfibię *Volks- w age na **, której jak dotychczas nigdy nie używałem. Zapytałem się, czy jest sprawna.

— O ile wiem, powinna pływać — otrzymałem odpowiedź.

Mimo wszystkich trudów i napiętej sytuacji postanowiłem sforsować rzekę tym samochodem jako ostatni z mojej grupy bojowej.

26 sierpnia wszystkie elementy grupy były już na drugim brzegu i otrzymały rozkazy zebrania się.

Nocą z 28 na 29 sierpnia zamaskowaliśmy samochód gałęziami drzew, by uniknąć rozpoznania przez alianckie myśliwce. Rankiem usiadłem za kierownicą, obok mnie mój adiutant Liebeskind, a za nami kierowca i obserwator.

S. H. ...

moglibyśmy wylądować. Ostrożnie kierowałem samochód w prawo, by zbliżyć się do drugiego brzegu.

— Myśliwce po lewej! — krzyknął nasz obserwator. Natychmiast wyłączyłem silnik i pozwoliłem naszej kępie dryfować w dół rzeki. Myśliwce brały nas za to, na co ucharakteryzowaliśmy nasz pojazd. Liebeskind desperacko szukał miejsca do lądowania. Wszędzie jednak przeszkadzał wysoki, gęsto porośnięty brzeg.

Wreszcie, po niemal 15-kilometrowym spływie rzeką, znaleźliśmy płaski brzeg, gdzie zdołaliśmy wygodnie i skrycie wyjechać z wody. Godzinę później byliśmy już z grupą bojową, w której do tego czasu uznano już nas za straconych.

Nawiązałem po raz ostatni łączność z dowódcą dywizji, który wprowadził mnie w sytuację i moje zadania.

— Luck, cieszę się, że zdołał pan przeprowadzić prawie w komplecie swoją grupę bojową przez Sekwanę. W tej chwili zupełnie nie panujemy nad sytuacją. Zostałem wezwany do sztabu korpusu, musieli się jednak ewakuować, gdyż zbliżali się Amerykanie. Nikt nie wie, gdzie są nasze jednostki, nie mówiąc już o pozycjach nieprzyjaciela. Otrzymałem dwa dni temu rozkaz, zgodnie z którym dowództwo dywizji, resztki grupy bojowej Raucha oraz wszystkie służby mają natychmiast przejść w rejon Molsheim, na zachód od Strasburga, by uzupełnić straty. Dywizja ma przygotować umocnioną pozycję możliwie najdalej na zachód dla słabych jednostek 1. i 19. Armii wycofujących się z południowej Francji przez Belfort. 15 sierpnia silne jednostki amerykańskie wylądowały w południowej Francji i obecnie prą na północ. Jak tylko zbierze pan i zreorganizuje swoją grupę bojową, pomaszeruje pan na wschód, by możliwie szybko dotrzeć w rejon na zachód od Strasburga. Niech pan uważa i nie wpadnie w ręce Amerykanów, którzy właśnie forsują Sekwanę na szerokim froncie. Nie wiem, skąd weźmie pan

— Dwa patrole z pancernego batalionu rozpoznawczego mają prowadzić rozpoznanie na południe od planowanej marszruty i meldować o napotkaniu jakiegokolwiek nieprzyjaciela przez radio.

— Co 100 kilometrów, przy najważniejszych skrzyżowaniach dróg, zostanie rozmieszczone stanowisko oficera z radiostacją, by ten informował o posunięciach nieprzyjaciela.

Grupa zaopatrzeniowa, dysponująca przynajmniej trzema ciężarówkami i dwoma SPW (półgąsienicowymi transporterami opancerzonymi) i wyposażona w radio, miała cały czas szukać składów zaopatrzeniowych, które powinny znajdować się w pobliżu większych miast.

Główne siły mojej grupy bojowej miały maszerować na wschód w dużych odstępach, częściowo bocznymi drogami. Każdego dnia podawałem cel marszu.

Wyruszyliśmy, najpierw obchodząc daleko od północy Rouen, a potem na wschód, daleko na północ od Paryża. Przez pierwsze dwa dni posuwaliśmy się wolno. Szliśmy równolegle do frontu, w poprzek linii natarcia Amerykanów. Trzeciego dnia zaczęło brakować paliwa. Kazałem grupie zaopatrzeniowej koniecznie zdobyć paliwo, a jeśli się da, także i amunicję. Ciężarówki wróciły wieczorem wyładowane tym, czego nam było trzeba. Przywiozły nawet trochę jedzenia. Byliśmy wszyscy wdzięczni tym ludziom, którzy zdołali w końcu znaleźć jakiś skład. Raport dowodzącego nimi oficera rozśmieszył nas i jednocześnie rozżłościł.

„Gdy znaleźliśmy skład — powiedział nam gniewnie — i zażądaliśmy paliwa dla naszej grupy bojowej, otrzymaliśmy zwykłą, beczelną odpowiedź: «Nie możemy wydać niczego bez rozkazu na piśmie». Gdy zapytałem: «A co zrobicie, jak pojawią się tu jutro Amerykanie, co jest bardzo prawdopodobne?», odpowiedź brzmiała: «Zgodnie z rozkazami wysadzimy skład w powietrze». Tak to rozżłościło moich ludzi, że chcieli pobić

Nasz problem zaopatrzeniowy dzięki znakomitej grupie poszukiwawczej został zażegnany aż do przybycia do nakazanego rejonu koncentracji. Na szczęście nie nie zagrażało nam z mojej prawej, południowej flanki.

Amerykanie nie mieli pojęcia, że na wschód, w poprzek osi ich marszu, przemieszcza się przed nimi grupa bojowa. Nie pojawiało się nawet lotnictwo. Jedynie raz jeden z naszych dwu patroli zameldował: „Kontakt z amerykańskim patrolem, który zawrócił, nie dostrzegłszy nas”.

Przez Compiegne, gdzie cztery lata wcześniej Hitler podpisał zawieszenie broni z Francją, maszerowaliśmy obok Verdun w kierunku Metz. Wyszliśmy z rejonu walk i często robiliśmy postoje, by dać nieco wypocząć kierowcom oraz zebrać wszystkie jednostki. Zdobywanie zaopatrzenia nie było już tak trudne, choć niekiedy trzeba było grozić użyciem siły.

Nieco przed Metzem skręciliśmy na południowy wschód, przez Baccarat w kierunku Nancy. 9 września, po jedenastu dniach marszu, dotarliśmy do wyznaczonego rejonu na zachód od Strasburga. Byliśmy śmiertelnie zmęczeni.

Byliśmy w akcji przez ponad trzy miesiące bez przerwy. Potrzebowaliśmy odpoczynku oraz pilnie uzupełnienia ludzi i sprzętu. Liczebność moich kompanii grenadierów zmniejszyła się do 50 żołnierzy.

Nasz rejon koncentracji leżał między Wogezami i Strasburgiem, między Linia Maginota a Wałem Zachodnim. Pozwoliłem żołnierzom wyszukać sobie kwatery w okolicznych wioskach i ruszyłem na poszukiwanie dowództwa dywizji.

Jesienne słońce wciąż dawało nieco ciepła. Gdy piąłem się w górę krętą drogą autostrady Wogezów, widziałem pod sobą spokojną dolinę Renu. Przez ponad cztery lata wojna nie docierała tu. Napotkałem jeden z wozów zaopatrzeniowych dywizji. Kierowca przypuszczał, że dowództwo dywizji musi znajdować się gdzieś na zachodnim skraju Wogezów. Nie dałem rady

Manteufflem, kolegą z 7. Dywizji Pancерnej, który w 1941 r. w Rosji dowodził pułkiem grenadierów.

— Łuck, jak miło pana widzieć po tak długim czasie — powitał mnie. — Co pan tu robi?

Wyjaśniłem mu skrótowo i zapytałem, czy zna położenie dowództwa mojej dywizji oraz jaka jest ogólna sytuacja.

— Sytuacja, mój drogi Łuck, jest cholernie zła. Dotarłem tu dopiero wczoraj z Belgii, by przejąć dowództwo 5. Armii Pancерnej.

Obraz, jaki naszkicował mi Manteuffel, nie był pokrzepiający.

— Zanim wyjechałem z Belgii, Montgomery rozpoczął ofensywę swoją grupą armii* i przy niewielkim oporze dotarł 3 września do Brukseli, a 4 do Antwerpii. Dużo bardziej niebezpieczne jest jednak uderzenie Amerykanów, czyli generała Pattona i jego 3. Armii. To Patton dokonał decydującego przełamania pod Avranches i to on, nie dbając o swą odsłoniętą południową flankę, nacierał szybko na wschód. Nazwałbym go nawet amerykańskim Rommlem. Ma duże poważanie u Eisenhowera, a w Stanach jest uważany za bohatera. To samo mówią jeńcy.

Pod koniec sierpnia Amerykanie zostali zmuszeni do zatrzymania się. Ich linie zaopatrzeniowe z Cherbourga i kilku portów w Normandii** były zbyt długie. Od początku września wznowili jednak ofensywę. Amerykańska 1. Armia dotarła 2 września do Mons i wzięła 30 000 jeńców. Patton, nie troszcząc się o swą prawą flankę, wysunął się najdalej. Dotarł do Verdun, a teraz naciera na Metz i Nancy, czyli na Mozelę.

Amerykańska 6. Grupa Armii***, w tym 1. Armia Francuska, nadchodzi z południowej Francji i ma się połączyć z Pattonem. Resztki naszych armii wycofujących się z wybrzeży Morza Śródziemnego i Atlantyku mają podobno wciąż utrzymywać klin sięgający aż do Dijon, ale jak długo jeszcze?

* Montgomery dowodzi 21. Grupą Armii (przyp. tłum.).

** Chodzi o sztuczne porty zbudowane przy plażach normiandzkich zwane Mulberry (przyp. tłum.).

Najgorsze w tym — kontynuował Manteuffel — że Hitler żongluje dywizjami, które są już nimi tylko z nazwy. A teraz — ironicznie pokręcił głową — Hitler chce wyprowadzić uderzenie pancerne z Dijon na północ, by, jak to stwierdził, „uderzyć na Pattona z flanki, przeciąć jego linie komunikacyjne i zniszczyć go”. Jakże błędna ocena sytuacji i naszych możliwości.

Byłem głęboko poruszony.

— Co powinniśmy pańskim zdaniem zrobić? — zapytałem go.

— Prowadzić obronę ruchomą tu, na zachodnich stokach Wogezów i na zachód od Saarbrücken, aby zdobyć czas na doprowadzenie Wału Zachodniego do gotowości, a potem obsadzić go. Da nam to szansę na opóźnianie działań przeciwnika przez dłuższy czas. Tu, na zachodzie, potrzebujemy czasu, by móc przygotować się na rosyjską ofensywę. To jednak, mój drogi Łuck, raczej pozostanie w sferze życzeń. Życzę panu wszystkiego najlepszego. Niech pan przetrwa ostatnią bitwę w jednym kawałku — uścisnął mi dłoń i odjechał.

Miałem go zobaczyć ponownie długo po zakończeniu wojny.

W końcu znalazłem dowództwo dywizji. Feuchtinger był zadowolony, że przyprowadziłem mu grupę bojową nietkniętą. Opowiedziałem mu o moim spotkaniu z Manteufflem.

— Miło dowiedzieć się czegoś o ogólnej sytuacji -- powiedział.

— Nasza dywizja należy do 5. Armii Pancerniej Manteuffla, ale jeszcze się z nim nie widziałem.

— Najpierw coś miłego — Feuchtinger skinął na swego adiutanta.

— W imieniu Fihrera mam wielką przyjemność i zaszczyt wręczyć panu Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża.

Z namaszczeniem wyjął odznaczenie z czarnego pudełka i zawiesił mi na szyi. Jak na rozkaz zjawił się ktoś z aparatem fotograficznym i stanęliśmy z Feuchtingerem do zdjęcia.

Byłem oczywiście dumny z odznaczenia.

— Panie generale, mogę i przyjmę to odznaczenie w imieniu moich żołnierzy. Bez nich nigdy nie byłbym w stanie osiągnąć tego, za co spotyka mnie ten zaszczyt.

Przeszliśmy do rozkazów na najbliższe dni.

— Niech pan da swoim ludziom trochę odpocząć — rozpoczął Feuchtinger. — Sprzęt i uzupełnienie — batalion Luftwaffe — właśnie przybyły. Niech pan sobie wyobrazi, są w nim wyszkoleni piloci obok 16- i 17-letnich chłopców. Jak mamy zatrzymać aliantów z ich niewyczerpanymi zasobami, gdy przysyła się nam jako uzupełnienia zwykle mięso armatnie?

Wie pan już od Manteuffla, że naszym zadaniem jest utworzenie zapory obronnej, aby resztki dwóch armii wycofujących się z zachodu i południa mogły wejść w lukę między nami a granicą szwajcarską. Wczoraj z ciężkim sercem musiałem wysłać pułkownika Raucha i jego ledwie pozbierany pułk w okolice Epinal, by bronił przepraw przez Mozelę. Według otrzymanych meldunków elementy sił Pattona nacierają na południe z Nancy, a francuska 2. Dywizja Pancerna z zachodu na Dijon. Musimy ich po prostu zatrzymać. Także i pan musi spodziewać się wejścia do walki w ciągu najbliższych kilku dni — zakończył spotkanie generał.

Molsheim jest małym miasteczkiem w dolinie Renu położonym na zachód od Strasburga. W nim oraz w okolicznych wioskach moja grupa bojowa miała dostać szansę odtworzenia gotowości bojowej. Mieszkańcy mówili po niemiecku i francusku. Podobnie jak wszyscy Alzaccyzy i Lotaryńczycy w ciągu wojen francusko- -niemieckich kilkakrotnie zmieniali przynależność państwową. Chwilowo Alzację i Lotaryngię zajął Hitler. W ciągu kilku tygodni, jak na to wyglądało, miały one z powrotem stać się terytorium Francji.

Wioski, w których domy przypominały te ze Schwarzwaldy, zapewniły

miałem wciąż na szyi Krzyż Rycerski. „Gratulacje, już się panu należał, panie pułkowniku!”.

Machnąłem ręką.

— On jest dla wszystkich żołnierzy naszego pułku. Będę go nosił z dumą, dla nich. — To było wszystko, co zdołałem powiedzieć.

— Chciałbym zadzwonić do Berlina, a potem opowiem wam o sytuacji i naszych zadaniach.

Po zaledwie 15 minutach mój oficer rozpoznania powrócił.

— Mamy połączenie z Berlinem.

Na linii była Dagmar.

— Dzięki Bogu, żyjesz. Nie mogłam spać. Próbowałam uzyskać informacje przez przyjaciół w biurze personalnym. Nikt jednak nic nie wiedział. „Panuje zbyt duży zamęt” — mówili. Jak się masz?

— Dobrze, jak na razie. Jestem po prostu straszliwie zmęczony. Też codziennie martwiłem się o ciebie i zastanawiałem, czy udało ci się bezpiecznie wydostać z Paryża. Jak to zrobiłaś?

— Jak uzgodniliśmy. Dwa dni przed wkroczeniem aliantów przyjechała ciężarówka z komendantury Paryża i zabrała mnie z moim rowerem do Berlina. Trudno było pożegnać się z przyjaciółmi w Paryżu. Ponownie zaproponowali mi ukrycie mnie w południowej Francji aż do zakończenia wojny. Wszyscy przesyłają ci pozdrowienia.

Gdy już miałem powiedzieć Dagmar o Krzyżu Rycerskim, rozmowa została przerwana. Przynajmniej każde z nas wiedziało, że druga połowa żyje i ma się dobrze.

Posłałem po wszystkich dowódców i wprowadziłem ich w sytuację, jak mi ją opisali Manteuffel i Feuchtinger.

— W ciągu następujących dwóch lub trzech dni każdy pododdział przy współpracy ze służbami dywizji otrzyma uzupełnienia ludzi

.....

zwycięstwa lub śmierci, jak to jego minister propagandy Goebbels powtarzał każdego dnia.

— Panie pułkowniku, czy wierzy pan w plotki, że Hitler próbuje uzyskać separatystyczny pokój z aliantami zachodnimi, by zabezpieczyć tyły do walki z Rosjanami? — Takie pytania roztrząsali także i żołnierze.

— Nie — odpowiedziałem. — Zapewne tak jak ja od czasu do czasu słuchacie brytyjskiego radia. Churchill i Amerykanie są tu po to, by zniszczyć Hitlera i jego reżim. Nie ma tu miejsca na separatystyczny pokój.

Mogłem mówić dość otwarcie. Wszyscy byliśmy wystarczająco zrównoważeni, by umieć rozróżnić fakty z marzeniami. Nikt nie mówił o defetyzmie.

— Uważam, że jedynym wyjściem jest pomysł Manteuffla, czyli ponowne obsadzenie Wału Zachodniego, jeśli jeszcze nie jest za późno.

O ile wiem, jego uzbrojenie i systemy łączności zostały po 1940 r. zdemontowane i zainstalowane na Wale Atlantyckim. Jeśli tak jest, możemy wykorzystać umocnienia Wału Zachodniego jako schrony przed bombami i ogniem artylerii, ale nie do obrony. Lękam się

o sytuację na froncie wschodnim, gdzie Rosjanie z pewnością rozpoczną swą ostatnią wielką ofensywę, która wprowadzi ich głęboko na terytorium Niemiec. Doniesienia o zbrodniach na naszych żonach

i córkach sprawiają, że lękam się najgorszego.

Dumaliśmy tak, siedząc razem i popijając Traminer. Każdy z nas myślał o swym własnym położeniu i o czekających nas tygodniach i miesiącach.

Po dwóch dniach rozwiały się nadzieje na dalszy odpoczynek.

Dowództwo dywizji rozkazało, by mój II Batalion niezwłocznie dołączył do grupy bojowej Raucha i zajął pozycje przy przeprawach przez Mozellę w rejonie Epinal. Major Kurz otrzymał tylko nieliczne uzupełnienia i niewiele sprzętu.

dze przeciwnika w ludziach i sprzęcie możemy przeciwstawić jedynie nasze większe doświadczenie bojowe.

Kurz był doświadczonym dowódcą, który w walkach w czasie ostatnich miesięcy niejednokrotnie dowiódł swej roztropności i odwagi.

Rzeczywiście, nie minęło wiele czasu i ja także znalazłem się w akcji. Wezwano mnie do dowództwa dywizji.

— Luck, pułkownik Rauch jest chory i musi wracać do kraju. Przejmie pan natychmiast jego grupę bojową. Będzie teraz nazywać się „grupą bojową 21. Dywizji Pancernej”. Hitler obstaje przy swym zamiarze uderzenia z rejonu na zachód od Epinal na północ, na skrzydło Pattona. Szaleństwo, jeśli wziąć pod uwagę stan wojsk obu stron. Przybyły trzy nowo utworzone brygady pancerne — nowa koncepcja Naczelnego Dowództwa. Są one co prawda wyposażone w najnowszy sprzęt, taki jak *Pantery*, i mają doświadczonych dowódców. Nie znają się jednak między sobą. Jednostki nigdy nie ćwiczyły razem. Po naszych dużych stratach dłaczego nie dano nam nowego sprzętu? Pańskim zadaniem jest utrzymanie przepraw przez Mozelę na północ od Epinal, frontem na zachód, podczas gdy brygada pancerna znajdująca się na zachód od Epinal będzie uderzać na północ wspierana przez pozostałości dywizji piechoty. Proszę uważać! Gdy francuska 2. Dywizja Pancerna i część 1. Armii Francuskiej nadchodzącej z południa połączą się i zajmą Dijon, będzie nam grozić z ich strony uderzenie na wschód w celu otoczenia resztek piechoty i brygady pancernej. Będzie to zależeć od tego, jak walczą Francuzi. Proszę przejąć grupę bojową dywizji z pańskim sztabem dzisiejszego wieczoru. Dalsze rozkazy nadejdą.

Rankiem 12 września odebrałem rozkazy wsparcia ataku brygady pancernej, która miała uderzyć na północ przed moim frontem grupą wyposażoną w czołgi *Pantera*, zaś grupą czołgów *Panzer IV* — na francuską 2. Dywizję Pancerną. Miałem wspierać tę pierwszą.

który nie tylko jako pierwszy wkroczył do Paryża, ale miał okazję wziąć aktywny udział w wyzwolaniu Francji z rąk zniechwalonych nazistów.

Jak nam powiedzieli jeńcy, cywile poinformowali francuskiego pułkownika Langlade, że moja grupa bojowa zbliża się od zachodu. Langlade zdecydował się zaatakować grupę **Panzer** na północy rankiem 13 września i oddzielić ją od południowej grupy, zanim zdołałbym przyjść jej na pomoc z moją grupą bojową.

Plan się powiódł. Jedynie cztery **Pantery** zdołały wywalczyć sobie drogę odwrotu i połączyć się ze mną. Z powodu silnych nalotów i ostrzału artylerii grupa **Panzer IV** działająca dalej na południe nie była w stanie zatrzymać francuskiej dywizji.

Tegoż dnia 13 września dwie grupy pancerne utraciły 34 **Pantery** i 26 **Panzer IV**. Nasza piechota działająca w tym rejonie została zniszczona. Aby zapobiec całkowitej klęsce, wyprowadziłem późnym popołudniem atak mojej pozbawionej czołgów grupy bojowej. Początkowo poczyniliśmy niezłe postępy, ale z powodu zwiększającego się oporu musiałem przerwać starcie.

14 września moja grupa zdołała połączyć się z grupą **Panzer IV**. Z pozostałymi w niej 17 czołgami rozpoczęliśmy kolejny atak. Mając jedynie 240 grenadierów i lada jaką artylerię, zdołaliśmy zdobyć nieco terenu, ale zatrzymał nas zmasowany ogień amerykańskiej artylerii.

W rezultacie dowództwo korpusu rozkazało nam zająć w nocy tyłowe pozycje na zachód od Epinal. Miano nas oszczędzić, byśmy mogli zaatakować flankę Pattona, co ciągle planował Hitler.

Niemożliwe okazało się uchronienie przed okrążeniem naszej 16. Dywizji Piechoty. Tylko 500 żołnierzy dotarło do naszych linii. 7000 zginęło lub dostało się do niewoli.

Po połączeniu 2. Francuskiej Dywizji Pancerniej oraz oddziałów 1. Armii Francuskiej maszerujących z południa 14 września przekroczyły Mozellę. 15

Z Wogezów na północny zachód płyną niemal równolegle do siebie trzy rzeki: Mozela, Mortagne i Meurthe. Obsadzaliśmy po kolei brzegi każdej z nich, aż przeciwnik nas ominął lub przełamał naszą słabą obronę. Luneville nad Meurthe, na południowy wschód od Nancy, było ważnym węzłem drogowym. Gdyby po zajęciu Nancy nieprzyjacielowi udało się zająć także i Luneville, droga na północ za Wogezami do Saarbrücken i terytorium Rzeszy stanęłaby otworem.

W drugiej połowie września rozgorzały wokół Luneville zacięte walki. Do miasta wdarły się amerykańskie oddziały. W krwawych kontratakach siły dwóch z trzech nowych brygad pancernych odzyskały fragment miasta. Ciężkie walki toczone o każdy dom spowodowały ogromne straty po obu stronach.

Grupa bojowa 21. Dywizji Pancernej pod moim dowództwem miała zadanie blokować przeprawy na Mortagne na południe od Luneville jednym batalionem, zaś głównymi siłami uderzać od południa na Luneville.

Mimo uzupełnienia przez batalion Luftwaffe liczba żołnierzy 192. Pułku, który prowadził atak na Luneville, zmniejszyła się do zaledwie 100 grenadierów, podczas gdy majorowi Kurzowi pozostało 140 żołnierzy do obrony długiego odcinka rzeki. W czasie gdy Feuchtinger dowodził bitwą o Luneville, ja koncentrowałem się na

II Batalionie.

Ponownie mieliśmy do czynienia z 2. Francuską Dywizją Pancerną. Nad Mozelą major Kurz zdołał zlikwidować przyczółek utworzony przez tę dywizję i odnieść znaczne sukcesy. Teraz uderzyły na nas wszystkie jej siły po raz kolejny wspierane przez silny i skoncentrowany ogień amerykańskiej artylerii. Pierwszy atak wzmocnionej grupy zmechanizowanej został skutecznie odparty z pomocą naszej artylerii i kilku dział kalibru 88 mm. Jednak przy użyciu większych sił Francuzom udało się w zrecznie przeprowa-

Nadal toczyła się bitwa o Luneville, gdy zostaliśmy zmuszeni do porzucenia linii obronnych na drugiej rzece. Na szczęście nieprzyjaciel ponownie musiał się zatrzymać, by podciągnąć zaopatrzenie. Mimo to Francuzi prowadzili rozpoznanie terenu przez patrole wysyłane aż do Meurthe, gdzie zostali odrzuceni. Po ciężkich walkach ostatecznie zostało utracone Luneville.

Na początku października zostałem wraz z dowódcami moich pododdziałów wezwany do dowództwa dywizji.

Generał Feuchtinger odznaczył majora Willy'ego Kurza Krzyżem Rycerskim, majora Liehra zaś z I Batalionu Złotym Krzyżem Niemieckim. Obaj otrzymali odznaczenia za męstwo podczas walk w Normandii.

25 października 1944 r. zostałem ponownie wezwany przez Feuchtingera, tym razem wraz z dowódcą mojej kompanii sztabowej porucznikiem Karlem Sommerem oraz żołnierzem tej kompanii kapralem Maurerem.

Za niezwykle zaangażowanie w walkach obronnych pod Epinal, Luneville i Chatel porucznik Sommer został odznaczony Złotym Krzyżem Niemieckim, Maurer zaś Krzyżem Rycerskim. Kaprale rzadko otrzymywali Krzyże Rycerskie. W tym przypadku zatem ceremonię uwiecznili korespondent wojenny i ekipa filmowa.

Czyn, za który Maurer otrzymał to ważne odznaczenie, był nie tylko niezwykle, ale stanowi także przykład wysokiego poziomu wyszkolenia i morale naszych żołnierzy.

Po oderwaniu się od nieprzyjaciela umieściłem moją kompanię sztabową na wzgórzu w celu ubezpieczenia odwrotu mojej grupy bojowej na czas wystarczający, by dotarła na nowe pozycje. Pozbawieni wsparcia artylerii czy broni przeciwpancernej, dysponujący tylko ciężkimi karabinami maszynowymi, Sommer ze swego stanowiska dowodzenia zdołał zmusić nieprzyjaciela wielokrotnie do zalegnięcia i w ten sposób zdobył dla nas czas

miejsca, Maurer oddalił się zbyt na lewo i prawie utracił kontakt z kompanią. Znalazł jednak idealną pozycję na dominującym nad okolicą wzgórz i dobrze wiedział, co robić.

Niespodziewanie zobaczył w dolinie poniżej nieprzyjacielską kolumnę posuwającą na południe. „Próbują obejść nas i zaatakować z flanki” — pomyślał. Nieprzyjaciel najwyraźniej założył, że na wzgórzach nie ma już nikogo, ponieważ kolumna przejeżdżała obok niego pojazdem za pojazdem.

Gdy nieprzyjaciel zbliżył się na wystarczającą odległość, Maurer otworzył ogień w stronę kolumny, która natychmiast zatrzymała się. Żołnierze wyskakiwali z pojazdów i kryli się. Maurer widział padających rannych. Przy pomocy swego amunicyjnego wystrzeliwał taśmę naboju za taśmą. Pierwsze ciężarówki zapaliły się. Potem nadeszła odpowiedź — działa przeciwpancerne i lekka artyleria stanęły na pozycjach i otworzyły ogień.

Maurer śmiał się:

— Nie mogą nas trafić pod tym kątem. Dawaj następną taśmę.

Pociski faktycznie gwizdały mu nad głową. Nieprzyjaciel sformował się do ataku na wzgórze.

— Właśnie wystrzelałeś ostatnią taśmę! Musimy się zabierać!

— krzyknął amunicyjny. — Wracajmy do kompanii!

Porucznik Sommer jednak już się wycofał i nie zauważył nieobecności Maurera.

— Pomaszerujemy więc na wschód. Musimy znaleźć kompanię albo grupę von Lucka.

Gdy odchodzili, wciąż słyszeli huk dział i okrzyki nacierającej piechoty.

Gdy Maurer znalazł swoją kompanię i sprowadzono go przed porucznika Sommera, zastanawiał się, dlaczego robiono wokół niego tyle szumu.

— To było moje zadanie czy nie? — skomentował zaskoczony.

Nigdy wniosek o odznaczenie nie został tak szybko przyjęty jak

Minął październik. Alianci zdołali rozwiązać problem z zaopatrzeniem. Generał Patton nacierał w kierunku Saarbrücken. Staliśmy teraz tyłem do Wogezów, za rzeką Meurthe. Przed nami wciąż była francuska 2. Dywizja Pancerna.

Wśród służących w jej szeregach znajdował się zdolny przedsiębiorca Michel Dufresne. Chociaż żaden z nas nie mógł tego wówczas wiedzieć, francuski szeregowy i niemiecki pułkownik stali wówczas po przeciwnych stronach jako nieznani sobie wrogowie, a później mieli zostać przyjaciółmi.

W normalnych czasach Michel Dufresne mieszkał w pięknym starym zameczku w Normandii, który wniosła w posagu jego żona Elisabeth, potomkini starej arystokratycznej rodziny. Chateau Vimer leży jedynie kilka kilometrów od Vimoutiers, idyllicznego miasteczka, które w 1944 r. zyskało złą sławę: w lipcu na jego skraju feldmarszałek Erwin Rommel został ciężko ranny na skutek ataku myśliwca. W sierpniu doszło tam do zaciętych walk między Niemcami usiłującymi wyrwać się z kotła pod Falaise i aliantami próbującymi go zamknąć. Ja także umieściłem moją grupę bojową na pozycji obronnej na północ od miasteczka, by uniemożliwić Brytyjczykom dalsze postępy.

Podczas gdy Elisabeth Dufresne zamieniła swój zameczek w szpital wojskowy — na dachu umieszczono wielki czerwony krzyż, przyjmowała rannych niezależnie od narodowości — jej mąż Michel służył we francuskiej 2. Dywizji Pancerniej. Mogło to być jednym z powodów, dla których po wojnie został historykiem — amatorem, pasjonującym się walkami w Normandii, a zwłaszcza wokół kotła pod Falaise. Oprócz studiowania materiałów archiwalnych i odbywania rozmów z wyższymi dowódcami obu stron oraz znanymi historykami dotarł on także i do mnie w Hamburgu. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Przez cały ten czas — mówił mi później — byłem kierowcą jeepa

artyleryjskim towarzyszyliśmy naszym czołgom i udało nam się sforsować Meurthe na północny wschód od Baccarat. Wzięliśmy w małej wiosce kilku jeńców, szesnastoletnich chłopców. Jednego z nich przez cały dzień trzymałem w moim jeepie. Od jeńców dowiedzieliśmy się, że naprzeciwko nas znajdowała się niemiecka 21. Dywizja Pancerna.

Dobrze pamiętam walki wokół Baccarat oraz to, że udało nam się odeprzeć jeden z francuskich ataków.

Niestety, Feuchtinger w swoim meldunku zamienił naszą skuteczną obronę w wielkie zwycięstwo: „Połączonym ogniem artylerii i kilku dział przeciwpancernych udało nam się w bardzo krótkim czasie zniszczyć ponad 40 nieprzyjacielskich czołgów”.

Było zrozumiałe, że w tak desperackiej sytuacji jak nasza były podejmowane próby przypisywania sobie — dzięki podobnym raportom — nieco chwały oraz dodania otuchy własnym żołnierzom. Jako dowódca grupy bojowej, która te walki stoczyła, nie mogę jednak potwierdzić, że odnieśliśmy w nich taki sukces.

Michel Dufresne chciał oczywiście wiedzieć, jak to wyglądało z naszej strony. Gdy opowiedziałem mu o raporcie Feuchtingera, stwierdził:

— Nasz patrol miał kilku zabitych i rannych. W atakach 30 i 31 października dywizja straciła około dwunastu czołgów i czterdziestu żołnierzy. Potwierdzają to *Fonds Historique, Arcives-Musee* w Paryżu i generał Cholley, który uważa raport Feuchtingera za cokolwiek przesadzony.

W ciągu kolejnych dni zdołaliśmy utrzymać zachodnie skraje Wogezów. Potem nadszedł rozkaz przemieszczenia się 12 listopada w rejon na zachód od Strasburga, gdzie czekało nas czternaście dni odpoczynku.

9 listopada zaczęły się intensywne opady śniegu. Drogi wkrótce pokryły się lodem i stały się trudno przejezdne. Baliśmy się, że nieprzyjaciel wepchnie nas w Wogezy, gdzie mielibyśmy ogromne problemy, przedzierając się przez

z perspektywy kilku dni odpoczynku oraz uzupełnień — zarówno ludzi, jak i sprzętu.

Zamiast tego wieczorem 11 listopada dywizję wysłano na północ, by zatrzymała natarcie Pattona przez rzekę Nied między Metzem a Saarbrücken. Po kilku dniach ciężkich walk obronnych zostaliśmy oskrzydleni z lewej, a wieczorem 18 listopada wycofano nas.

Zaczęliśmy czuć się jak straż pożarna wzywana do każdego pożaru. Pożar szalał jednak wszędzie.

Następnego dnia wysłano nas na północ w celu zajęcia podejść do Wału Zachodniego w Saarlautem (Saarlouis). Gdy przekroczyliśmy granicę niemiecko-francuską, zdaliśmy sobie sprawę, że walki będą odtąd toczyć się na naszej własnej rodzinnej ziemi.

Na początku listopada mój adiutant Liebeskind poważnie zachorował i został wysłany do szpitala. Nie powrócił do 22 grudnia. Jego obowiązki

Walki z Amerykanami grudzień 1944 r.

Znajdowaliśmy się dopiero na podejściach do niegdyś dumnego, niezdożytego Wału Zachodniego. Szybkie zlustrowanie fortyfikacji potwierdziło nasze obawy. Od końca kampanii francuskiej w 1940 r. schrony i instalacje obronne zaczęły przypominać zamki w „Śpiącej królownie”. Broń i systemy łączności zostały wymontowane i przeniesione na Wał Atlantycki. Przedpola schronów bojowych zarosły krzakami, drzewkami i kwiatami, co z pewnością sprawiło, że betonowe bloki wyglądały ładniej, ale zupełnie uniemożliwiło prowadzenie z nich ognia. Natychmiast wysłałem na Wał Zachodni oddział, który miał stwierdzić, czy w ogóle da się jeszcze go wykorzystać.

Mój oficer operacyjny powrócił z następującym meldunkiem:

— Herr Oberstleutnant, najpierw musieliśmy znaleźć osobę, która miała opiekować się schronami, by je pootwierać. Przywrócenie schronów do stanu pozwalającego na obronę zajmie tygodnie, nie wspominając o zamontowaniu ciężkich dział i broni przeciwpancernej czy zaminowaniu przedpola. „Dozorca” nie ma nawet planu fortyfikacji i nie wie, czy takowy istnieje. Możemy zapomnieć o skutecznej obronie z wykorzystaniem systemu schronów.

Na zachodnim brzegu Saary leżało małe miasteczko Wallerfangen, skupisko domów wokół dużego dworu. Nagle zdałem sobie sprawę, że Wallerfangen było siedzibą rodziny von Papeńów. Pojechałem tam natychmiast i spotkałem obie siostry mojego przyjaciela Franza von Papeńa. Powiedziały mi słowami niepozostawiającymi żadnych wątpliwości, że

Zajęliśmy pozycje między schronami bojowymi, które obecnie mogły jedynie stanowić osłonę przed ogniem ciężkiej artylerii i nalotami. 19 listopada Amerykanie rozpoczęli atak na przeprawy na Saarze między Saarlautern a zaporą Orscholtz na wschód od Metz. Mieliśmy do czynienia z amerykańską 10. Dywizją Pancerną i 90. Dywizją Piechoty, które atakowały nasze pozycje między Saarlautern a Orscholtz na szerokim froncie. Ich cel był jasny: przedrzeć się przez Saarę na północny wschód, następnie przez Kaiserslautern do Renu.

Moja grupa bojowa została rozdzielona. Major Kurz z II Batalionem bronił się w Saarlautern, toczył zacięte walki o każdy dom z czarnymi Amerykanami, którzy atakowali z nożami w zębach. Majora Liehra z I Batalionem musiałem wysłać do Merzig, by wesprzeć 25. Dywizję Grenadierów Pancernych, która toczyła tam ciężkie walki obronne. Znakomita amerykańska artyleria ponownie umożliwiła nieprzyjacielowi dokonanie niewielkich wylomów.

Między 23 listopada all grudnia zacięte walki toczyły w całym rejonie Saarlautern, Dillingen i Merzig, gdzie 29 listopada nieprzyjaciel zdołał wykonać na wschód od Saarlautern głębokie przelamanie. Z powodu dużych strat nasza dywizja składała się obecnie jedynie z mojej grupy bojowej. Wycofano nas z linii frontu w połowie grudnia i wysłano daleko na wschód za Saarbrücken, w rejon między Pirmasens a Wissembourg, gdzie mieliśmy uzupełnić siły, stanowiąc odwód Grupy Armii G.

Dla amerykańskiej 3. Armii droga do Renu stała otworem. Uderzyła ona na północ od Saarbrücken w kierunku Kaiserslautern.

Kolejne niebezpieczeństwo nadchodziło ze strony amerykańskiej grupy armii, która nacierała z południa na północ i północny zachód. Z rejonu Nancy-Baccarat, ze stoków Wogezów, próbowała wdrzeć się w dolinę Renu między Kaiserslautern a Colmarem, by opanować Strasburg i sforsować Ren.

niej Rzeszy". Wkrótce zrozumieli różnicę między propagandą a rzeczywistością.

Nasza grupa bojowa znajdowała się teraz między bezużytecznymi umocnieniami Wału Zachodniego pod Zweibriicken nad Saara a Pirmasens. W sylwestra zebraliśmy się. Nie wiedzieliśmy, co się wydarzy, wiedzieliśmy jednak, że wojny już się nie da wygrać. Wiedzieliśmy tylko tyle, że musimy wykonać nasz obowiązek.

Tymczasem wydarzyło się coś nowego: 16 września 1944 r. Hitler rozpoczął ofensywę w Ardenach. Słyszeliśmy o niej jakieś pogłoski oraz natarczywy głos Goebbelsa w radiu: „Wehrmacht rozpoczął wielką ofensywę. Zniszczymy nieprzyjaciela i przetniemy jego linie komunikacyjne. Naszym celem jest Paryż”.

Wszyscy skomentowaliśmy tę wieść podobnie: jak Hitler mógł uważać, że uda mu się przedrzeć przez zaśnieżone Ardeny, po oblodzonych, wąskich drogach, z rozbitymi lub niedoświadczonymi dywizjami, przy całkowitym panowaniu w powietrzu aliantów?

Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas w tę wigilię Nowego Roku, że niespodziewana ofensywa na początku częściowo się powiodła, ale 28 grudnia zakończyła się fiaskiem.

Właśnie uczciliśmy nadejście pełnego niewiadomych nowego roku. Wypiliśmy po sporej szklance ponczu, gdy nadeszła wiadomość, że dywizja ma przygotować się do wymarszu jeszcze tej nocy. Zostałem wezwany na stanowisko dowodzenia Feuchtingera. Był bardzo ponury, złożył mi życzenia z okazji nowego roku i oznajmił co następuje:

— 28 grudnia zostałem wezwany do sztabu Grupy Armii G, gdzie spotkałem wszystkich dowódców armii, korpusów i dywizji. Stamtąd udaliśmy się do feldmarszałka von Rundstedta, który powiedział, że Hitler chciał rozmawiać z nami w swej kwaterze w Bad Nauheim. Mieliśmy się tam

i wojnie siedmioletniej"*. Następnie Hitler zaczął mówić o ofensywie w Ardenach, w której „nie osiągnięto wszystkich celów” (pogląd bardzo optymistyczny, jak mi się wydawało), ale która przyniosła przypadkowy skutek, czyli osłabienie amerykańskiego frontu przed nami do jedynie czterech lub pięciu dywizji, które chciał zniszczyć z pomocą ośmiu niemieckich dywizji, po czym przystąpić do dalszych operacji. Hitler zakończył swe przemówienie słowami: „Naszym niezmiennym celem musi być rozstrzygnięcie sytuacji tutaj na zachodzie przez ofensywę; do tego celu musimy fanatycznie dążyć”.

— W sylwestra rozpoczęła się operacja „Nordwind” — kontynuował Feuchtinger. — Nasza dywizja stanowi odwód Grupy Armii. Plan Hitlera polega na przełamaniu się przez Linie Maginota na południe od Pirmasens grupą pancerną i uderzenie na południe wzdłuż zachodniego skraju Wogeów w celu połączenia się z przyczółkiem 19. Armii pod Colmarem. Pięć dywizji Volksgrenadierów ma przedrzeć się przez (zaśnieżone) Wogezy z zachodu w dolinę Renu i połączyć z przyczółkiem na lewym brzegu rzeki.

— Chociaż otrzymaliśmy uzupełnienia i mamy ponownie 74 *Pantery* i *Panzer IV* — zakończył Feuchtinger — przeoczono dwie sprawy: nie mamy panowania w powietrzu i niczego, by zrównoważyć potężną artylerię amerykańską. Nasi żołnierze są wykończeni, a nowo wcieleni nie mają doświadczenia. Zgodnie z rozkazami stajemy od dzisiaj 1 stycznia 1945 r. w gotowości tuż na północ od Linii Maginota. Niech Bóg będzie z wami!

Wymieniłem spojrzenia z majorem Spreu, któremu przekazano obecnie dowodzenie 192. Pułkiem. Chociaż nie padło ani jedno słowo, wydawało się nam obu jasne, że Hitler zdecydował się walczyć do ostatniego żołnierza i był

* Podczas wojny siedmioletniej Fryderyk Wielki był w 1762 r. bliski klęski w wojnie toczonej jednocześnie z Rogą Austrii i Francją po niespodziewanej śmierci carycy Elżbiety jej następcą prusoffl car Piotr IH zawarł pokój z Prusami, w ten sposób ratując je przed katastrofą (przyp. tłum.).

podział naszych sił na dwie grupy uderzeniowe, zwłaszcza zaś użycie niedoświadczonej grupy piechoty, nie mógł przynieść powodzenia.

Mimo to, jak dowiedzieliśmy się od jeńców i z przechwyconych meldunków, Eisenhower pod wpływem ofensywy w Ardenach i operacji „Nordwind” nakazał przerwanie ataku na Wał Zachodni w północnej Alzacji. Według meldunków Eisenhower i de Gaulle uzgodnili 3 stycznia odwrót w dolnej Alzacji na Linie Maginota oraz pozostawienie do obrony Strasburga niewielkich sił.

Operacja „Nordwind” nie przynosiła postępów. Obie grupy uderzeniowe zaległy w zaśnieżonych Wogezach i na zachód od nich.

Opracowano nowy plan. Nasza dywizja i 25. Dywizja Grenadierów Pancernych miały skrócić na wschód z rejonu na południe od Wissembourga oraz przedrzeć się przez Linie Maginota, zamykając nieprzyjaciela w obniżeniu Haugenau.

Dwie dywizje przesunięto na zachód, gdzie otrzymały rozkaz przygotowania się do natarcia. Czekala nas ostatnia, dramatyczna bitwa.

Gdy opuszczałem stanowisko dowodzenia dywizji, podszedł do mnie oficer operacyjny i wziął mnie na stronę.

— Panie pułkowniku — powiedział. — Czuję się zobowiązany poinformować pana, w interesie pańskim i pańskich żołnierzy, że prawdopodobnie rozpocznie się postępowanie sądu wojennego przeciwko dowódcy naszej dywizji.

Dziesięć dni później generał Feuchtinger otrzymał rozkaz przybycia do Naczelnego Dowództwa Zachód, by złożyć wyjaśnienia, dlaczego nocą z 5 na 6 czerwca 1944 r. był nie na stanowisku dowodzenia, ale w Paryżu.

— Feuchtinger nie był na stanowisku dowodzenia, ale w Niemczech. Musiałem 24 grudnia ściągnąć go z kraju i zawieźć do OB West. Czuję się zobowiązany poinformować pana o tym jako dowódcę naszej grupy bojowej,

Wiedzieliśmy oczywiście, że Feuchtinger lubi *la dolce vita*. Wiedzieliśmy o jego przedwojennych związkach z wysokimi funkcjonariuszami nazistowskiego reżimu i nie akceptowaliśmy tego. Nie byliśmy w stanie zrozumieć, dlaczego w decydujących godzinach inwazji był on w Paryżu, i do tego nie tylko w *Baukom-mando Becker*.

Jako podwładni zawsze zachowywaliśmy się lojalnie w stosunku do Feuchtingera, nie zważając na to, że nasi znajomi z innych dywizji pancernych pogardzali jego stylem dowodzenia i sposobem życia. Teraz nawet i ja czułem, że miarka się przebrała.

Chociaż wyznaję zasadę zawartą w sentencji *de mortuis nil nisi bene* (o zmarłych mówimy dobrze albo wcale), jednak gdy myślę o naszych dzielnych żołnierzach, którzy tak wspaniale walczyli, i o tysiącach zabitych, rannych i zaginionych w ciągu tych sześciu miesięcy, nie mogę nie potępić Feuchtingera za to, że nas wszystkich zawiódł.

Pod koniec stycznia 1945 r., po zakończeniu zaciętych walk, generał Feuchtinger pożegnał się ze swymi podwładnymi. Niewzruszeni wysłuchaliśmy jego podziękowań za nasze dokonania.

W marcu Feuchtinger został uznany za winnego przez sąd wojenny. Wyrok jednak został złagodzony rozkazami z góry i z powodu okoliczności nie został wykonany. O procesie Feuchtingera dowiedziałem się długo po powrocie z niewoli.

Po uwolnieniu z amerykańskiej niewoli ledwie wiązał koniec z końcem, mając się różnych zawodów. Zmarł pod koniec lat 50., krótko po tym, jak miało rozpocząć się przeciwko niemu kolejne postępowanie.

Bitwa o Hatten-Rittershoffen

Na początku stycznia 1945 r. Wogezy były pokryte głębokim śniegiem. W dolinie między Wissembourg-Haugenau i Renem pokrywa śniegu miała

Wissembourg jest niewielkim miasteczkiem w północnej Alzacji leżącym na granicy Palatynatu. Na stokach wzgórz w okolicy Landau-Ahrweiler i Begzabem są uprawiane słynne szczepy winne. Wschodni brzeg Renu był niedaleko, za nim zaś leży Baden-Baden w Szwarzwaldzie.

Między wschodnim skrajem Wogezów a Renem szeroka dolina rozciąga się na południe aż do Strasburga.

Rejon naszej koncentracji leżał na północ od Wissembourga. Przybyliśmy tam nocą z 5 na 6 stycznia po trudnym marszu po oblodzonych drogach.

Planowano, że 25. Dywizja Grenadierów Pancernych, która nie była w stanie atakować Linii Maginota na zachód od Wogezów, zbierze się za nami następnej nocy.

Naszym zadaniem było uderzyć na południe przez Linie Maginota przy użyciu dwóch grup bojowych wzdłuż wschodniego krańca Wogezów, zamknąć wszystkie przejścia przez góry i odciąć nieprzyjacielskie połączenia ze Strasburgiem.

Poprosiłem o mapy z dokładnie oznaczonym położeniem schronów bojowych i innych umocnień. Nie było żadnych. Nie miały ich nawet wyższe dowództwa. Na pocieszenie zapewniono nas, że Linia Maginota była prawie nieobsadzona i nie stanowiła większej przeszkody.

„Ślepi" wyruszyliśmy na południe 6 stycznia. Jeszcze zanim dotarliśmy do pierwszych schronów, natknęliśmy się na zacięty opór i po raz kolejny na skoncentrowany ogień amerykańskiej artylerii. Do południa obu grupom bojowym udało się zepchnąć nieprzyjaciela, ale wciąż nie udało im się przedrzeć poza umocnienia Linii Maginota.

Kontynuowaliśmy atak przez noc z 6 na 7 stycznia. Nad doliną Renu wisiała gęsta mgła, widoczność wynosiła około stu metrów. Niespodziewanie dostrzegliśmy pierwszy schron, który powitał nas silnym ogniem. Prowadzący atak żołnierze i czołowe SPW weszły na gęste pola minowe. Artyleria

Dzięki zeznaniom jeńców, których wzięliśmy na podejściach do Linii Maginota, wiedzieliśmy, z kim walczymy. Były to: doświadczona amerykańska 79. Dywizja Piechoty, część 14. Dywizji Pancernej oraz część 42. Dywizji Piechoty wsparte silną artylerią. Mieliśmy mieć z nimi do czynienia przez następne dwa tygodnie.

Sztab Grupy Armii najwyraźniej zdał sobie sprawę, że Amerykanie byli znacznie silniejsi, niż oczekiwano.

8 stycznia kapitan Herr, z grenadierami i saperami armii, ponownie ruszył na południe. Ta grupa szturmowa, wsparta 12 *Panterami*, zdołała zmusić do kapitulacji jeden ze schronów bojowych, zniszczyła trzy *Shermany* i wzięła wielu jeńców. Straciła na minach jedną *Panterę*. Potem jednak schron znalazł się pod tak ciężkim ostrzałem artylerii, że Herr utracił 20 grenadierów i saperów, którzy siedzieli na czołgach. Musiał się wycofać.

Z dowództwa Grupy Armii nadeszły nowe rozkazy: „Dwa dni temu zdołaliśmy na południe od lasu Haugenau i na północ od Strasburga utworzyć przyczółek na Renie. Z tego przyczółka ma zostać wykonane uderzenie na zachód w celu odcięcia nieprzyjaciela znajdującego się na północ od lasu Haugenau. 25. Dywizja Grenadierów Pancernych ruszy 9 stycznia na zachód wzdłuż północnej krawędzi lasu, przełamie Linie Maginota i zaatakuje na wschodnim stoku Wogezów. 21. Dywizja Pancerna zbierze się po jej prawej i po dokonaniu pierwszych wyłomów także ruszy na zachód”.

8 stycznia z Niemiec przybyło 20 dział szturmowych. Kapitan Herr wciąż miał jeszcze 11 czołgów. Tego samego dnia 25. Dywizja Grenadierów Pancernych zebrała dwie grupy bojowe, nasza zaś dywizja stanęła na północ od niej. Mój pułk utrzymywał z nią łączność.

Było niezwykle zimno i padał śnieg. Tylko niekiedy widać było księżyc. Można było dostrzec majaczące w śniegu ciemne monstra. Wiedzieliśmy, że musimy przedostać się przez zasieki z kolczastego drutu oraz pola minowe.

„Mój pułk utrzymywał z nią łączność.”

przejście w drutach kolczastych. Gdy księżyc przebiegał się przez chmury, wszyscy zastygali w bezruchu. Przed czwartą nad ranem wykonano przejście. Do schronu pozostało jeszcze tylko sto metrów. Grupa szturmowa czołgała się naprzód. Dotarli na miejsce. Amerykanie najwyraźniej spali. Ze strzelnicy wystawała groźna lufa działa. Żołnierze pełzali wokół schronu. Pancerne drzwi były zamknięte. Podoficer walnął w nie kilka razy kolbą swego karabinu, wolno się otworzyły.

Amerykańska załoga została całkowicie zaskoczona i szybko uległa. Hałas jednak ostrzegł inne schrony i pobliskie pozycje obronne. Rozpętały się zacięte walki. Amerykańska artyleria położyła na zdobyty schron silny ogień.

Następnie grupa bojowa 25. Dywizji Grenadierów Pancernych, wsparta przez działa szturmowe zaatakowała przez wyłom. Ciężki ogień artylerii uniemożliwił szybkie natarcie. Grupa skręciła w prawo i wdarła się od północy do wioski Hatten.

W tym samym czasie dotarła także grupa czołgów z mojej dywizji z zamiarem uderzenia za Hatten. Atak jednak nie powiódł się. Jeden z moich batalionów także wkroczył do Hatten od północy i zluzował znajdujące się tam pododdziały 25. Dywizji Grenadierów Pancernych. Południowej części wioski zaciekle broniła piechota amerykańska, która nawet wyprowadziła nieudany kontratak.

Do wieczora 9 stycznia udało się dokonać małego wyłomu. Dowództwo Grupy Armii i korpusu naciskało na kontynuowanie uderzenia. Wyłom w Linii Maginota miał zostać rozszerzony, by umożliwić uderzenie na zachód.

Nocą z 9 na 10 stycznia moja grupa bojowa ze 125. Pułkiem podeszła do zajętego schronu. Z prawej znajdował się siostrzany 192. Pułk.

Do dywizji przydzielono kolejny pułk artylerii, dzięki czemu mieliśmy lepsze wsparcie.

Grupa czołgów z 25. Dywizji Grenadierów Pancernych próbowała

od Hatten został zatrzymany 9 stycznia przed schronami bojowymi. Liczebność jego kompanii poważnie się zmniejszyła. Miał jeszcze jako ostatni odwód pluton saperów złożony z sierżanta, drugiego podoficera i dwudziestu w większości niedoświadczonych żołnierzy. Tego wieczoru major Spreu umieścił swe działa przeciwpancerne i inną broń ciężką naprzeciwko dobrze widocznego schronu bojowego.

Jak potem donosił: „O pierwszym brzasku pchnąłem naprzód pluton saperów, podczas gdy moja broń ciężka cały czas ostrzeliwała otwory strzelnicze schronu. Nacieraliśmy przez śnieg i wkrótce znaleźliśmy się pod schronem. Saperzy wrzucili do otworów granaty ręczne, podczas gdy inni przecinali zasieki i usuwali miny. Gdy obiegliśmy schron i podeszliśmy do wejścia, drzwi otworzyły się i wysunięto białą flagę, po czym schron opuściło pięciu oficerów i 117 żołnierzy. Czterech spośród nich miało poważnie poranione oczy z powodu ostrzału strzelnic. Natychmiast zajął się nimi pułkowy lekarz, innych odesłano na tyły. Schron okazał się silnie uzbrojonym punktem oporu w rozbudowanym systemie umocnień, toteż natychmiast zamieniłem go w mój punkt dowodzenia”.

Następnego dnia, podczas ataku na wzgórze na północ od Rittershoffen, major Spreu został poważnie ranny i zabrany do szpitala. 24 lutego za osobistą odwagę został odznaczony Krzyżem Rycerskim.

10 stycznia rzuciłem mój pułk do ataku na Rittershoffen. Tej nocy zdołałem wdrzeć się do wioski, ale i tam, podobnie jak w Hatten, nieprzyjaciel bronił się w budynkach, po czym natychmiast wyprowadził kontratak z użyciem czołgów i piechoty. Uderzył on głównie na mój II Batalion, który znajdował się na pozycjach w centrum wioski obok kościoła.

W tych dwóch wioskach — Hatten i Rittershoffen — rozpięły się teraz jedne z najcięższych i najbardziej krwawych walk, jakie kiedykolwiek toczono na froncie zachodnim.

Amerykane wysilali każdy miesiąc by odzyskać Linie Maginota i by

Te krwawe walki o każdy dom trwały niemal dwa tygodnie. Obie strony bezustannie prowadziły ostrzał artyleryjski. Użyto także miotaczy ognia. Amerykanie podpalili pociskami zapalającymi niemal wszystkie budynki. Wzięliśmy jeńców z 827. Batalionu Pancernego, w którym służyli niemal wyłącznie Murzyni. Powiedzieli nam, że ich dowódcy kazali im ostrzeliwać lub podpalać każdy budynek, w którym mogli być Niemcy. Sam musiałem w pośpiechu opuścić piwnicę, gdy pocisk zapalający eksplodował przed okienkiem i groziło nam uduszenie. Przeszedłem do innej piwnicy, dość blisko stanowiska dowodzenia majora Kurza, który ze swoim II Batalionem musiał odpierać najcięższe ataki.

Jeńcy z amerykańskiej 14. Dywizji Pancерnej klęli: „Niech to diabli, to najkrwawsza bitwa, jaką kiedykolwiek toczyliśmy, gorsza nawet od Anzio we Włoszech!”.

W wioskach pozostali mimo wszystko mieszkańcy. Kobiety, dzieci, starcy, ściśnięci jak śledzie, siedzieli w piwnicach domów. Elektryczności nie było, zapasy żywności niewielkie, nie było też wody, gdyż zamarzła w rurach. Próbowaliśmy im pomóc, jak mogliśmy. Za dnia przemieszczanie się równało się śmierci. Zaopatrzenie można było dostarczać jedynie nocą, w opancerzonych pojazdach. Pomagało nam w tym zagłębienie terenu, w którym skrywaliśmy się przed nieprzyjacielem oświetlającym całą okolicę flarami.

Już drugiego dnia przybył mój lekarz pułkowy i powiedział ze złością:

— Mam 50 rannych leżących w piwnicy, którzy pilnie potrzebują opieki medycznej. Nie mam już morfiny i prawie żadnych opatrunków. W drugiej piwnicy jest ponad 40 trupów, których nie można tu pogrzebać. Robię też, co mogę dla cywilów.

W ciągu wielu nocy udawało mi się odesłać przynajmniej kilku rannych cywilów i żołnierzy na tyły, za Hatten, i sprowadzić amunicję. Mój oficer operacyjny dr Miiller-Temme musiał donosić grenadierom skrzynki z

ustąpić. Nasze walki w obu wioskach, jak później usłyszeliśmy, były cały czas wspomniane w komunikatach armijnych. Po kilku dniach dowiedziałem się, że w Rittershoffen były także elementy 25. Dywizji Grenadierów Pancernych, które ugrzęzły tam, podczas gdy większość dywizji walczyła w Hatten. W obu wioskach na pewien czas udało nam się okrążyć część amerykańskiej 79. Dywizji Piechoty, zdołała jednak wydostać się z dużymi stratami. Po ośmiu dniach otrzymaliśmy wiadomość, że jako wsparcie przybędzie do Rittershoffen batalion spadochronowy.

Po zaledwie kilku dniach miejscowość stała się widmem. Prawie wszystkie budynki, w tym kościół, którego bronili żołnierze majora Kurza, zamieniły się w ruiny. Wiele domów płonęło i oświetlało okolicę nocą. Zabici, w tym wielu cywilów, leżeli na ulicach. Nie mogliśmy ich zabrać, gdyż nieprzyjaciel często był o 15 czy 20 metrów dalej. Niedojone krowy ryczały w oborach. Zabite zwierzęta cuchnęły, zatruwając powietrze.

Po ośmiu dniach nie wiedzieliśmy, czy kontynuowaliśmy walkę z powodów prestiżowych, czy też utrzymanie tej pozycji miało znaczenie taktyczne.

Wydawało mi się, że zarówno my, jak i nasi dzielni przeciwnicy nie myśleliśmy już o niczym innym oprócz przetrwania. Po kilku dniach utraciliśmy łączność z dywizją. Załogi SPW z I Batalionu, które każdej nocy rzucały wyzwanie śmierci, przywożąc zaopatrzenie i ewakuując rannych, opowiadały, że w Hatten sytuacja jest bardzo podobna jak u nas. Także i tam batalion z 79. Dywizji Piechoty został początkowo otoczony, a po kilku dniach walki zdołał się wyrwać. Także i tam w naszych rękach był północny i zachodni skraj miejscowości. Reszty zaciekle bronili Amerykanie.

Dowiedzieliśmy się, że 10 stycznia silna grupa uderzeniowa z 25. Dywizji Grenadierów zdołała zniszczyć umocniony punkt koło Hatten i wziąć 300 jeńców. Oznaczało to, że Linia Maginota została przełamana na odcinku 10 kilometrów. W Hatten i Rittershoffen oraz na północ od tych miejscowości porażaliśmy na dobre. Każdego dnia dochodziło do pojedynków artyleryjskich

Najbardziej przygnębiał nas los niewinnych cywilów. Naliczono bowiem ponad 100 zabitych, w większości dzieci i starców.

14 stycznia Amerykanie próbowali odzyskać Rittershoffen, a w Hatten uwolnić odcięte tam dwa bataliony 79. Dywizji Piechoty. Dzięki zaciętej walce mojej grupy bojowej i oddziałów 25. Dywizji Grenadierów Pancernych atak został z dużymi stratami odparty. Dowiedzieliśmy się od jeńców, że od 14 stycznia dowodzenie bitwą pod Hatten-Rittershoffen przejęła 14. Dywizja Pancerna. W Rittershoffen przydzielono do niej jeden batalion 79. Dywizji Piechoty, który przez pewien czas był przez nas otoczony, oraz elementy 42. „Tęczowej” Dywizji*.

Jak napisano później w kronice 14. Dywizji Pancernej: „Była to brutalna, krwawa i żmudna robota, gorsza niż wszystko, czego dotąd doświadczyliśmy”.

Następnego dnia Amerykanie spróbowali ponownie, i ponownie bez skutku. Obie strony wystrzeliwały dziennie ponad 10 000 pocisków artyleryjskich.

17 stycznia znowu zaczął padać śnieg. Widzialność zmniejszyła się do 100 metrów. O świcie Amerykanie zaatakowali Rittershoffen i Hatten piechotą i 45 czołgami. Wspierał ich bardzo silny ogień artylerii. W panującym półmroku niespodziewanie do Rittershoffen wdarła się silna grupa szturmowa, biorąc jeńców ze sztabów pułków i batalionów Dywizji Grenadierów Pancernych oraz odpoczywających żołnierzy.

Wkrótce potem do mojej piwnicy wpadł łącznik:

— Panie pułkowniku, Amis wzięli do niewoli niemal cały nasz sztab i wielu żołnierzy. Ledwie udało mi się uciec. Czy możecie pomóc?

Na szczęście wolne były część batalionu spadochronowego oraz nasz

* 42. Dywizję Piechoty USA sformowano w 1917 r. z żołnierzy Gwardii Narodowej z 26 stanów; jej szef sztabu major Douglas MacArthur (późniejszy generał) powiedział, że „Dywizja rozciąga się nad krajem jak tęcza”, nazwa się przyjęła (przyp. tłum.).

Rittershoffen od północy i południa. Natknął się na spadochroniarzy oraz mój II Batalion. Został z dużymi stratami odrzucony; artyleria wspierała nas skutecznie.

W nocy przybył z dowództwa dywizji oficer operacyjny.

— Panie pułkowniku, otrzymałem rozkaz powiadomić pana o zamiarach Grupy Armii G. 19 stycznia zostanie przeprowadzony atak z rozszerzonego przyczółka na Renie na południe od lasu Haugenau z użyciem korpusu pancernego i dywizji spadochronowej. Ma w nim wziąć udział nasza dywizja. Uznano, że oderwanie się od nieprzyjaciela jest chwilowo niemożliwe. Dwie dywizje walczące w Hatten-Rittershoffen mają symulować zamiar wznowienia ataku przez zwiększoną aktywność grup szturmowych i intensywny ogień artylerii, aby związać użyte tu siły nieprzyjaciela. Celem jest przedarcie się za Haugenau na zachód i otoczenie sił nieprzyjaciela stojących na północ od rzeki Moder.

— Zapewne pana zainteresuje — kontynuował z rozbawieniem młody oficer — że za obronę południowego biegu Renu odpowiedzialny jest teraz Himmler. Ponadto sam Hitler nakazał nowy atak na południe od lasu Haugenau. Nic więcej nie może już pójść źle, panie pułkowniku.

Byliśmy już tak oswojeni z sytuacją i pełni wisielczego humoru, że takie uwagi, które były karane degradacją, a nawet śmiercią, teraz były uważane za normalne.

— Bardzo dobrze — pozwoliłem odmeldować się młodemu oficerowi. — Musimy więc polegać na Himmlerze i jego doświadczeniu.

Mimo silnego ostrzału artylerii walki w naszych dwóch wioskach zniszczonych w 90 procentach osłabły w ciągu następnych dwóch dni. Tylko w Hatten spadochroniarze wsparci przez kilka czołgów ponownie zaatakowali dzielnię 79. Dywizję Piechoty. Amerykanie bronili każdego domu z użyciem karabinów, pistoletów, bazook i noży, aż atak musiał zostać przerwany.

Wieczorem 19 stycznia przvbvłv pierwsze oddziałv 47. Dvwizii

Grenadierów Pancernych zostały zluźowane, aby uzupełnić straty na tyłach. Reszta tej dzielnej dywizji została wycofana nocą z 20 na 21 stycznia.

Ran~~ki~~em tego zimnego dnia, 21 stycznia, nad Rittershoffen panował podejrzany spokój. Rozkazałem majorowi Kurzowi, by dowiedział się z pomocą grupy szturmowej, co kombinują Amerykanie.

Jak zwykle wyglądałem z okienka mojej piwnicy na zrujnowane domy po przeciwnej stronie ulicy, gdzie często widzieliśmy przemykających się pojedynczo Amerykanów.

Panował spokój. Nawet nieprzyjacielskie działa milczały. Nagle do mojego stanowiska dowodzenia przybiegł major Kurz.

— Panie pułkowniku, Amis odeszli. Wycofali się w nocy pod osłoną artylerii.

Patrzył na mnie swymi zaczerwienionymi oczami. Uścisnąłem jego dłoń.

— A więc już po wszystkim, Kurz, dzięki panu i pańskim żołnierzom. Nieogoleni, z „podwodnickimi” brodami, staliśmy obok siebie. Nie mogliśmy pojąć, że mordercze starcie dobiegło końca.

— Nie ma tu zwycięzców ani pokonanych. Po co więc to było?

Powoli wyczerpani żołnierze wychodzili z piwnic. Pojawiło się kilku cywilów. Mieli łzy w oczach.

— Czy już po wszystkim? Czy możemy pogrzebać naszych zabitych?

— Bardzo nam przykro z powodu waszej pięknej wioski. Przeklęta wojna! Dla was już dobiegła końca.

W zamyśleniu poszliśmy z Kurzem w kierunku kościoła, z którego nietknięty pozostał jedynie fragment. Przez wielką wyrwę w murze weszliśmy do środka. Patrzyłem na zrujnowany ołtarz i na organy, które wydawały się niezniszczone. Weszło jeszcze kilku żołnierzy.

— Chodźmy — krzyknąłem do kaprała. — Wejdzimy na chór!

Gdy znaleźliśmy się tam, kazałem żołnierzom zadać w miechy.

kobiety i dzieci, które klękały na ziemi i cicho się modliły. Żołnierze nie wstydzili się łez.

Co się stało? Co skłoniło Amerykanów do opuszczenia obu wiosek i porzucenia szansy na odzyskanie Linii Maginota.

Po kilku dniach już wiedzieliśmy. Wzięci do niewoli oficerowie zeznali, że amerykańska 7. Armia, która odpowiadała za ten odcinek, zameldowała dowództwu Grupy Armii, że dywizje walczące w Hatten i Rittershoffen są już tak osłabione, że nie mogą dłużej utrzymać swoich pozycji. Dowództwo rozkazało zatem opuszczenie wiosek Hatten i Rittershoffen oraz Linii Maginota na północ od lasu Haugenau. Siły amerykańskie miały umocnić się na rzece Moder, która płynęła z Wogezów na wschód przez Haugenau.

39. Korpus Pancerny i 14. Korpus SS uderzyły za dywizją spadochronową z przyczółka na zachód i dotarły do Haugenau. Amerykanom groziło więc otoczenie na północ od lasu Haugenau.

21 stycznia silne oddziały wydzielone uderzały już z Rittershoffen na zachód. Rankiem 22 stycznia zluzowała nas dywizja Volksgrenadierów, po czym dotarliśmy do Moder na zachód od Haugenau. To samo powiodło się dzielnej 25. Dywizji Grenadierów Pancernych przedzierającej się przez lód i śnieg na drogach lasu Haugenau. Liczebność naszych kompanii grenadierów zmniejszyła się do 20 lub 30 ludzi. Sukces jednak był w zasięgu ręki — można było odciąć Amerykanów w Strasburgu.

Wówczas jednak nadszedł niesygnalizowany wcześniej rozkaz wycofania się 25 stycznia pod miasteczko Kandel położone na wzgórzach koło Karlsruhe na zachód od Renu w celu uzupełnienia strat. 25. Dywizja Grenadierów Pancernych została wycofana już

24 stycznia i przerzucona na północ od Kandel.

Cieszyliśmy się oczywiście z kilku dni odpoczynku po ciężkich walkach w Rittershoffen, ale nie rozumieliśmy, dlaczego wycofano nas, gdy byliśmy tak

nicznych i dowódców były zbyt duże. Dlatego też dniem i nocą żołnierze batalionu rezerwowego odbywali przyspieszone szkolenie.

30 stycznia wszyscy dowódcy zostali wezwani do sztabu dywizji. Kazałem sprowadzić sobie starego dobrego mercedesa używanego w ostatnich miesiącach jako samochód łącznikowy.

Gdy przybyliśmy, po raz ostatni powitał nas generał Feuchtinger.

— Panowie, wiecie, że zostaną przeniesiony do rezerwy. Aż do przybycia nowego dowódcy dowództwo przejmie pułkownik Zollenkopf z rezerwy, którego wam teraz przedstawię. Dodatkowo mam przyjemność ogłosić awans podpułkownika von Lucka na pułkownika, oto wręczam panu drugą gwiazdkę. W wieku trzydziestu trzech lat von Luck jest jednym z najmłodszych pułkowników.

Moja radość była stłumiona. W tej ostatniej fazie wojny awanse i odznaczenia stały się mało istotne. Chodziło teraz tylko o to, by uratować możliwie wielu żołnierzy, za których byliśmy odpowiedzialni, i samemu przetrwać te ostatnie tygodnie.

— Z frontu wschodniego — kontynuował Feuchtinger — nadchodzą alarmujące doniesienia: 14 stycznia Rosjanie trzema grupami armii rozpoczęli swą zapewne ostatnią wielką ofensywę i po kilku dniach osiągnęli Odrę na Śląsku. W centrum prą przez Polskę w kierunku granicy Rzeszy i w ciągu kilku dni zagrożą już Frankfurtowi nad Odrą oraz starej twierdzy Kostrzyn. Wówczas bezpośrednio zagrożony będzie Berlin. Nasze wyczerpane walkami dywizje nie mogą stawić większego oporu uderzeniu znacznie liczniejszych i świeżo uzupełnionych rosyjskich armii. Z tego powodu Hitler rozkazał natychmiastowy przerzut najszybszymi pociągami 25. Dywizji Grenadierów Pancernych oraz naszej własnej 21. Dywizji w rejon położony na zachód od Kostrzyna, by zatrzymać uderzenie na Berlin. Pociągi będą miały absolutne pierwszeństwo. Przydzielony zostanie oficer transportowy, który będzie

Brzmiało to patetycznie, ale cóż z tego. Wiedzieliśmy, że od teraz to na nas, żołnierzach frontowych — od dowódcy do Strzelca

— będzie spoczywać odpowiedzialność za podjęte decyzje. Po siedmiu i pół miesiącach nieprzerwanych walk musieliśmy teraz bronić naszej własnej ojczyzny.

Zamyślony wróciłem do samochodu. Niespodziewanie pomyślałem, że w żadnym wypadku mercedes nie może się dostać Rosjanom ani też Brytyjczykom czy Amerykanom. Wpadłem na pomysł, by przekazać samochód Dagmar, która była w Nauen na zachód od Berlina w jednej ze szkółek leśnych. Skontaktowałem się natychmiast z oficerem transportowym.

Gdy nakreśliłem mu historię mercedesa, okazał się chętny do pomocy.

— Każę zatrzymać na chwilę pociąg przy rampie na południowy zachód od Berlina — zaproponował. — Może pan tam łatwo rozładować samochód. Omijanie Berlina od południa zajmie zapewne całą noc z powodu groźby nalotów i natężenia ruchu. Może pan ponownie wsiąść do pociągu na wojskowej stacji w Zossen, na południowy wschód od Berlina.

Ponieważ oficer transportowy miał jechać w moim przedziale, nie powinno być żadnych problemów.

Znalazłem najbliższy telefon i zadzwoniłem do Dagmar.

— Cudownie cię znowu usłyszeć. Jak się masz? — zapytałem.
— Czy w Nauen jesteś choć trochę bezpieczna?

— Gdzie jesteś? Jesteś cały? — zapytała w odpowiedzi. — Tu jestem bezpieczna od nalotów. Każdej nocy widzę światła reflektorów i słyszę warkot bombowców oraz wybuchy. Przywykliśmy już tu wszyscy do „wojny w kraju”. Bez przerwy słychać jednak plotki, że Rosjanie wkrótce podejną do Berlina. Czy wiesz coś pewnego?

— Plotki są prawdziwe. Przenoszą nas na front wschodni z inną dywizją pancerną. Nie powinienem i nie mogę ci powiedzieć dokąd.

— Słuchaj teraz uważnie — ciągnąłem. — 4 lub 5 lutego pojawią się u

___ Oczywiście. Wspaniale będzie cię znowu zobaczyć, choćby na krótko. Będę na ciebie czekała.

Wszystko było zatem uzgodnione. Przed rozpoczęciem konferencji usiadłem z Liebeskindem i napisaliśmy razem rozkaz wymarszu dla Dagmar.

„Od Grupy Bojowej 21. Dywizji Pancерnej do wszystkich władz wojskowych, cywilnych i partyjnych:

Fraulein Dagmar S..... jest upoważniona do przewiezienia samochodu marki Mercedes numer rejestracyjny WH. najkrótszą drogą do Flensburga oraz dostarczenia go komendantowi tamtejszego garnizonu, który ma zatrzymać pojazd do czasu przybycia Specjalnej Grupy Bojowej 21. Dywizji Pancерnej.

Wszystkie władze proszone są o przepuszczenie pojazdu i udzielenie Fraulein Dagmar S wszelkiej możliwej pomocy.

Podpisany

Pułkownik von Luck, dowódca Grupy Bojowej".

Jak powiedziała mi Dagmar po moim powrocie z Rosji, rozkaz wymarszu okazał się pomocny. Specjalna Grupa Bojowa, liczne pieczęcie i podpis frontowego pułkownika robiły takie wrażenie, że nikt z urzędników ani żaden posterunek nie zastanawiał się, dlaczego za kierownicą siedzi 23-letnia kobieta.

— Często śmiałam się w duszy — opowiadała Dagmar — z tego, jak oficjalnie wszyscy mnie traktowali. Fakt, że admirał Dónitz, mianowany przez Hitlera szefem rządu, przeniósł swą kwaterę do Flensburga pod koniec kwietnia, zapewne podkreślał jeszcze znaczenie mojego zadania wykonywanego dla Grupy Bojowej.

Dzięki jej dobrym kontaktom w Kwaterze Głównej w Berlinie Dagmar zdołała opuścić Neuen przed bitwą o Berlin i w ciągu kilku dni cała i zdrowo dotrzeć

Mam wielką nadzieję, że ten znakomity samochód cieszy się obecnie zasłużoną emeryturą jako klasyk gdzieś w Anglii czy Szkocji.

W małej kafejce w Kandel zebrałem moich dowódców batalionów i kompanii. Powiedziałem im o spotkaniu z Feuchtingerem i pułkownikiem Zollenkopfem, nowym, tymczasowym dowódcą dywizji.

— Zostajemy przeniesieni na front wschodni.

Wszyscy nabrali powietrza.

— Tego się nie spodziewaliśmy. Z deszczu pod rynnę — takie było zdanie ogółu.

— Ile jeszcze potrwa wojna? Teraz do *Volkssturmu* powołuje się nawet starsców i chłopców po czternaście czy piętnaście lat. Ostatnie rezerwy?

Musiałem im wytłumaczyć, że musimy zapobiec dalszym postępom Rosjan i uratować cywilów przed strasznym losem.

— Możemy mieć tylko nadzieję, że zachodni alianci dotrą jak najdalej na wschód. Załadunek między 3 a 5 lutego. Wykorzystajcie czas na odpoczynek i szkolenie uzupełnień.

Długo jeszcze siedzieliśmy w kafejce. Nad kubkiem *muckefuk*, jak nazywano substytut kawy, wspominaliśmy bitwę w Normandii, okropne wydarzenia w kotle pod Falaise oraz, rzecz jasna, krwawe walki o każdy dom w Rittershoffen.

Ze sztabu dywizji dowiedziałem się, że nasze straty w zabitych, rannych i zaginionych od 6 czerwca 1944 r. wyniosły około 16 000. To straszna liczba, wzięwszy pod uwagę, że rozpoczęliśmy tego dnia walki obronne, mając na stanie 15 000 żołnierzy.

Zastanawialiśmy się także, skąd Rosjanie, mimo olbrzymich strat, wciąż brali nowych żołnierzy i sprzęt oraz w jaki sposób rozwiązywali problemy logistyczne. Dopiero w niewoli dowiedziałem się, że na mocy umowy Lend-Lease zawartej z prezydentem Rooseveltem Stalin otrzymał, oprócz innych

telefonicznych z rodzinami. Byli ponownie gotowi stawić czoła wschodniemu nieprzyjacielowi. Dla nich wieści o zbrodniach na cywilach były odpowiednią motywacją.

Nadszedł jeden z rozkazów ogólnych Hitlera — prywatnie nazywano go teraz jedynie *Grofaz (Grössler Feldherr aller Zeilen*, czyli największy wódz wszech czasów) — zgodnie z którym każda jednostka Wehrmachtu od pułku *wzwyż* miała otrzymać NFO, czyli narodowosocjalistycznego oficera dowodzącego (*Nationalsozialistische Führungs-Offizier*), którego zadaniem było kontrolowanie postawy politycznej jednostki i jej dowództwa. Tak więc i my mieliśmy otrzymać politruków. Świadczyło to, jak podejrzliwy stał się Hitler wobec Wehrmachtu po 20 lipca. Mianowałem na to stanowisko naszego kapelana. Była to kpina, zważywszy na to, co Kościół myślał o Hitlerze. W ten sposób zamierzano zwalczać defetyzm i wzmocnić wolę osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa.

Wiedziałem, że w tej ostatniej fazie działań nie będę miał okazji spotkać się z wszystkimi moimi żołnierzami ani też przemówić do nich. Nakazałem zatem, by mój pułk grenadierów pancernych zebrał się w komplecie na dużej polanie leśnej koło Kandel.

Stanęli zatem. Ich twarze były szare i zmęczone. Przeszli razem wszystkie starcia od 6 czerwca 1944 r. i przeżyli. Stali tam także młodzi rekruci o dzieciennych twarzach. Ci nie mieli jeszcze pojęcia, co ich czeka.

Trudno było mi znaleźć odpowiednie słowa, ale musiałem do nich przemówić, by powiedzieć im, że nie pozostawię ich samym sobie, by dodać im otuchy i przypomnieć, że koleżeństwo i solidarność są ważniejsze niż cokolwiek innego.

— Po wielu miesiącach, dziś zapewne po raz ostatni, pragnę do was przemówić. Nie będę mówił wiele. Wszyscy, którzy walczyli ze mną od 6 czerwca 1944 r., oraz młodzi, którzy po raz pierwszy dowiedzą się, co to jest

sprawić, by Berlin, tak bardzo zniszczony, nie dostał się w ręce Rosjan. To będzie nasza ostatnia bitwa. Zapomnijcie o wszystkich sloganach o „Tysiącletniej Rzeszy” i o tym, że ostateczne zwycięstwo musi być nasze. Od tej chwili będziemy walczyć wyłącznie o przetrwanie, za naszą ziemię, za nasze matki i dzieci, które chcemy uchronić przed losem, którego nikt z nas nie może sobie wyobrazić. Za to warto walczyć w ciągu następnych tygodni i miesięcy. Niech Bóg wam pomaga i ochrania was!

Między 3 a 5 lutego 1945 r. dywizja została załadowana na wiele pociągów wojskowych, które pojechały na wschód przez jeden z ostatnich nieuszkodzonych mostów na Renie. Chociaż konieczne były liczne postoje z powodu zagrożenia nalotami lub zniszczenia węzłów kolejowych, sprawność służb kolejowych zadziwiła nas wszystkich. Im bliżej byliśmy Berlina, tym dłuższe były postoje. Mieszkańcy, na ile mogliśmy się z nimi kontaktować, często nie mieli już żadnej nadziei. Niekiedy słyszeliśmy uwagi: „Dlaczego nie rozejdziecie się? To już nie ma sensu!” albo „Każdy dzień, o jaki przedłużacie wojnę, zwiększa tylko liczbę ofiar”.

Funkcjonariusze partyjni, którzy witali nas na niektórych stacjach, przejawiali niezłomną wolę odniesienia ostatecznego zwycięstwa, ale szybko szukali schronienia, gdy tylko zbliżał się nieprzyjaciel.

Zgodnie z planem pociąg zatrzymał się na południowy zachód od Berlina. Zjechałem mercedesem i pojechałem do szkoły leśnej w Nauen. Dagmar czekała na mnie na dworze.

— Mój Boże, nie wierzę, że cię widzę. Co zamierzasz? — powitała mnie.

— Nie mamy czasu, Dagmar. Wypijmy filiżankę prawdziwej kawy z moich zapasów i jedźmy, by dogonić mój pociąg.

Mijając Berlin od południa, wyjaśniłem jej mój plan.

— Oto rozkaz wyjazdu, na który wyjedziesz z Nauen, jak tylko sytuacja stanie się krytyczna. Masz kontakty w dowództwie. Dowiesz się tam, czy i

przynajmniej samochód i możliwość przemieszczania się w pierwszych tygodniach po katastrofie. Czy masz jakieś wieści z Sachsenhausen o twoim ojcu?

— Nie, pewnie że nie. Nie spodziewam się żadnych. Telefony są bezcelowe. Nie łączą mnie z nikim albo też „nie mają żadnych informacji”. Nie mam większej nadziei, że zobaczę jeszcze ojca żywego. Muszę żyć z tą świadomością przez najbliższe tygodnie i miesiące.

Doiechaliśmy do Zossen. Pociąg jeszcze nie nadiechał, toteż mieliśmy

Front wschodni: ostatnia bitwa

Nasze pociągi omijały Berlin od południa, jadąc na wschód. Dzięki wspieranym wysiłkom Kolei Niemieckich świeżo uzupełniona dywizja została przewieziona na miejsce zaledwie w 48 godzin. Na linii wschodniej, która łączyła Berlin z Królewcem w Prusach, i którą jako podchorąży podróżowałem tak często do Drezna i Berlina, zatrzymaliśmy się niespodziewanie na polanie. Musieliśmy być około 50 kilometrów na wschód od Berlina, 20 na zachód od twierdzy Kostrzyn.

Pociąg rozładowano dzięki improwizowanej rampie. Sztab dywizji już przybył, więc natychmiast wezwano mnie do pułkownika Zollenkopfa.

— Naszym zadaniem jest atakować natychmiast, nie czekając na dalsze transporty, na rosyjski przyczółek na południowo-zachodnich przedmieściach Kostrzyna i nawiązać łączność z otoczonym prawie ośmiotysięcznym garnizonem. Nasi koledzy z 25. Dywizji Grenadierów Pancernych toczą już walki od 31 stycznia. Zdołali zapobiec rozszerzeniu poszczególnych przyczółków, ale nie dali rady otworzyć drogi do Kostrzyna. Ruszy pan ze swoim pułkiem do ataku wspierany kilkoma czołgami i artylerią, gdy tylko jednostka wyładuje się z pociągu. Inne pododdziały dywizji zostaną przysłane do pana po wyładowaniu. Hitler osobiście rozkazał wykonać ten atak i chce, by Rosjanie zostali odrzuceni za Odrę. Walczymy z Pierwszym Frontem Białoruskim marszałka Żukowa, który przebył Polskę zaledwie w 14 dni i który niemal zniszczył słabe siły niemieckie. Szczegóły uzyska pan od mojego

* Autor lub tłumacz rękopisu pomylił się — *Jagdpanzer IV* nie był czołgiem, ale samobieżnym działem przeciwpancernym wyposażonym w długolufową armatę 75 mm *PAK 42 L 70*, taką samą jak w czołgu *Pz-Kfz V Panther* (nizow tłum.)

około 75 procent stanu etatowego, a nasza artyleria 90 procent, zwiększyło to naszą wartość bojową, mimo że załogi i młodzi oficerowie z uzupełnień w żadnym przypadku nie dorównywali tym, z którymi zaczynaliśmy 6 czerwca 1944 r.

Kostrzyn był twierdzą z murami sześciometrowej grubości oraz kazamatami pochodzącymi z czasów napoleońskich, której umocnienia wytyczono od wschodu. Rosjanie jednak z małych przyczółków na północ i na południe od miasta usiłowali wdrzeć się do miasteczka od tyłu. Kostrzyn był ważnym węzłem drogowym

i kolejowym. Od zachodu dochodziła do niego autostrada nr 1

i linia wschodnia wiodące z Berlina do Królewca w Prusach, przecinając się w mieście z liniami kolejowymi z Frankfurtu nad Odrą do Szczecina oraz łączącymi Wrocław ze Szczecinem i Królewcem. Szeroka na 30 kilometrów dolina Odry była zamknięta od zachodu pasmem wzgórz, które stanowiły linię obronną zamykającą drogę do Berlina.

Atak wyznaczony na 6 lutego opóźnił się, ponieważ drogi do Berlina były przeraźliwie zapechane cywilnymi uchodźcami. Jedynie dzięki wielkim wysiłkom żandarmerii wojskowej udało się utorować nam drogę na południe.

7 lutego ruszyliśmy przed świtem i napotkaliśmy silny opór. Grupy szturmowe zdołały jednak zadać nieprzyjacielowi poważne straty i zyskać nieco terenu. Następnego dnia także posuwaliśmy się wolno. Tymczasem z pociągów wyładowały się ostatnie siły dywizji, byliśmy więc gotowi do decydującego ataku 9 lutego.

25. Dywizja Grenadierów Pancernych znajdująca się na północ od nas miała atakować inny przyczółek. Obiecano nam wsparcie słynnego dywizjonu szturmowego naszego najwyższej odznaczonego żołnierza*

* Pułkownik Hans Rudel był jedynym żołnierzem, który otrzymał Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża ze Złotymi Liśćmi Dębowymi, Mieczami i Brylantami, najwyższy stopień tego odznaczenia za dzielność, (nrzvn thm)

rosyjskie czołgi, działa przeciwpancerne i artylerię połową. Dla nas, starych wyg, wspaniale było nareszcie nie być wystawionym na bezkarnie ataki nieprzyjacielskiego lotnictwa. Znacznie ważniejszy był wpływ nalotów na morale młodych żołnierzy, którzy po raz pierwszy byli w walce.

W południe niektóre grupy szturmowe zdołały dotrzeć na przedmieścia Kostrzyna z południowego zachodu i zająć mosty. Wraz z resztą grup bojowych zdołały oczyścić korytarz do twierdzy szeroki na dwa kilometry.

Tej samej nocy konwój z zaopatrzeniem czekający dotychczas w gotowości wjechał do oblężonej twierdzy. Kolejny przyczółek dalej na północ został zniszczony przez naszych kolegów z Dwudziestej Piątej.

Cieszyliśmy się, że mogliśmy pomóc dzielnemu garnizonowi Kostrzyn i dostarczyć im bardzo potrzebne zaopatrzenie. Hitler ogłosił, że Frankfurt nad Odrą i Kostrzyn były „twierdzami”. W jego języku oznaczało to, że mają „walczyć do ostatniego żołnierza”.

Po tym sukcesie po 9 lutego walki niemal ustały. Rosjanie nie próbowali odzyskać utraconych przyczółków. Nasze jednostki nasłuchowe przechwyciły meldunki, które wskazywały na kłopoty zaopatrzeniowe marszałka Żukowa.

Od 12 stycznia, gdy marszałek Żuków ruszył znad Wisły, jego grupa armii pokonała 350 kilometrów. Brakowało mu środków transportu potrzebnych do przerzutu zaopatrzenia. Tabor kolejowy musiał najpierw zostać dostosowany do węższego niż rosyjski europejskiego rozstawu szyn. W dodatku prawe skrzydło Żukowa było odsłonięte. Istniała wielka luka między Żukowem a Drugim Frontem Białoruskim marszałka Rokossowskiego. Po 9 lutego staliśmy na zachód od Odry przygotowani do obrony. Droga do Kostrzyna pozostawała otwarta.

Aby uzyskać pewną osłonę przed nieprzyjacielską artylerią i lotnictwem, umieściłem moje stanowisko dowodzenia w piwnicy wiejskiego domu. Nie wierzyliśmy własnym oczom, zobaczywszy w piwnicy setki flakoników

w Niemczech, dzięki któremu miasta zaopatrywały się w masło, mięso i mleko, by uzupełnić skromny przydział żywności.

Na zewnątrz co jakiś czas słychać było artylerię oraz sporadyczną wymianę ognia. Mieliśmy nadzieję, że nie jest to cisza przed burzą. Ściemniało się już, gdy otworzyły się drzwi i pojawiła w nich Dagmar. Byłem zaskoczony.

— Czyś ty oszalała?! Skąd się tu wzięłaś? Jak mnie znalazłaś? Mój adiutant i kilku oficerów stało obok, niedowierzając.

— Mam znajomych w Naczelnym Dowództwie. Powiedzieli mi, gdzie jest twoje stanowisko dowodzenia. Dziś rano wsiadłam do pociągu, przejechałam przez środek Berlina — mówiła dalej.

— Potem wsiadłam na rower i jechałam na wschód autostradą nr 1, aż zabrała mnie ciężarówka. Mój rower jest na zewnątrz.

— Słuchaj, nie możesz przyjeżdżać na pole bitwy. Tu wciąż trwa wszędzie strzelanina, może też nastąpić rosyjski kontratak. Boję się

o ciebie. Choć zawsze cieszę się, że cię widzę, takie wyprawy są bardzo niebezpieczne.

Bez słowa podała mi list. Było to oficjalne pismo z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, które brzmiało:

„Pragniemy poinformować, że pani ojciec, Herr S zmarł z powodu niewydolności serca. Urnę można odebrać po wcześniejszym uzgodnieniu z administracją obozu.

Z niemieckim pozdrowieniem, Heil Hitler!

Podpisano"

Byłem zaszokowany, nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Wiedziałam, że do tego dojdzie — odezwała się pierwsza.

— Wiem z wiarygodnego źródła, że cały obóz ma zostać przeniesiony,

że my tu walczymy o przetrwanie i za nasze rodziny, podczas gdy w tym samym czasie dobrzy patrioci są zabijani z zimną krwią.

Poprosiłem jednego z oficerów, by znalazł jakiś pojazd jadący w kierunku Berlina po zaopatrzenie. Mieliśmy szczęście. W ciągu pół godziny Dagmar wraz z rowerem miała znaleźć się poza niebezpieczną strefą.

Niespodziewanie drzwi piwnicy otworzyły się i wszedł pułkownik w galowym mundurze z medalem za ofiarną służbę na piersi. Cóż to za dom wariatów? Najpierw Dagmar, a teraz ten tu? Wszyscy patrzyliśmy na pułkownika i jego nieskazitelnie wypolerowane oficerki.

— Co pana tu sprowadza? — zapytałem zadziwiony. — Czy się pan zgubił?

— Herr Reichsminister von Ribbentrop i Reichjugendführer Axmann chcieliby porozmawiać z panem.

— Czy mam jechać do Berlina? O co tu chodzi? — zapytałem.

— Nie, obaj panowie czekają na zewnątrz w samochodzie.

— To może niech wstąpią tutaj. Nie opuszczę stanowiska dowodzenia. Pojawili się obaj.

— Heil Hitler, panie pułkowniku. Führer przysłał nas tu, byśmy dowiedzieli się czegoś o sytuacji w Kostrzynie. Czy istnieje niebezpieczeństwo, że Rosjanie ruszą na Berlin?

— Herr von Ribbentrop — unikałem nazywania go ministrem, gdyż nie lubiłem go. Na froncie zawsze nazywano go „sprzedawcą szampana”. — Aby się tego dowiedzieć, najlepiej byłoby, żebyśmy poszli do moich grenadierów i czołgistów stojących na zachodnim brzegu Odry. To tam można sobie wyrobić najlepszą ocenę sytuacji.

Von Ribbentrop natychmiast odmówił.

— To nie będzie konieczne, jeśli powie mi pan, jak ocenia sytuację, Jego wzrok padł na Dagmar, która z rozbawieniem przysłuchiwała

— Proszę przeczytać ten list, Herr von Ribbentrop. To z jego powodu przybyłam tu z Berlina do mojego narzeczonego pułkownika von Lucka.

Ribbentrop zbladł, czytając list, wydawał się poirytowany.

— Cóż, jest mi oczywiście przykro z tego powodu. Bardzo przepraszam

— zwrócił się ponownie do mnie. — Mam wrażenie, że sytuacja tu pod Kostrzynem została opanowana dzięki wysiłkom dwóch doświadczonych dywizji pancernych. Przekażę te dobre wieści Führerowi. Heil Hitler!

Obaj szybko opuścili piwnicę.

Pokręciliśmy głowami i zaczęliśmy się głośno śmiać.

— Mój Boże, do czego to doszło, by minister spraw zagranicznych

21. Dywizja Pancerna w roli „straży pożarnej” — początek końca

Robiło się coraz ciemniej. Po obu stronach wzmógł się ogień artylerii i broni maszynowej — zwykle życzenia „dobrej nocy”.

Z ulgą umieściłem Dagmar i jej rower na ciężarówce jadącej do Berlina. Pomachaliśmy sobie ostatni raz, nie podejrzewając, na jak długo się żegnamy.

Wkrótce potem przybył pilny rozkaz opuszczenia linii i przejścia na odcinek 25. Dywizji Grenadierów Pancernych. Reszta dywizji miała zostać przesunięta tej samej nocy autostradą i koleją na południe w rejon Żagania. Podczas gdy marszałek Zuków został zatrzymany nad Odrą pod Kostrzynem i Frankfurtem, marszałek Koniew ze swym Frontem Ukraińskim południową grupą armii rozpoczął atak przez Odrę na Śląsku i rozbił słabą tam obronę.

Nasze dowództwo usiłowało odgadnąć, w którą stronę się skieruje. Czy na zachód, w kierunku Drezna, Lipska i Łaby, czy na południe, na ważny morawski region przemysłowy wokół Ostrawy? Wkrótce zdałem sobie sprawę, że rosyjskie dowództwo nauczyło się wiele od czasu, gdy opuściłem Rosję na początku 1942 r. Przygotowania do ofensywy i jej cele były dobrze przemyślane, a dostawy zaopatrzenia zorganizowane.

Podczas wymarszu 10 lutego przybył generał porucznik Werner Marcks, nowy dowódca naszej dywizji. Znałem go przelotnie z Afryki Północnej, gdzie otrzymał Krzyż Rycerski za odwagę. Aż do początku 1944 r. nie służył z powodu choroby tropikalnej, a potem jako dowódca 1. Dywizji Pancernejskiej w Rosji otrzymał Liście Dębowe. Później ponownie poważnie zachorował. Nie

Schómer, podobnie jak Rommel, został odznaczony w pierwszej wojnie światowej na froncie włoskim orderem *Pour le Merite*. Jylówiło się, że zazdrościł Rommlowi sławy i popularności. Zamierzał zdobyć dla siebie uznanie wyjątkową surowością i sukcesami. Schómer był znany z wprowadzenia tak zwanych latających sądów polowych. Zgodnie z rozkazami Hitlera jakiegokolwiek przejawy defetyzmu, dezercja, niewykonanie rozkazu czy samookaleczenie miały być karane śmiercią, od czego nie było odwołania. Wręcz przeciwnie, specjalnie wybrani sędziowie, którym towarzyszyły plutony egzekucyjne, skazywały na śmierć i natychmiast przeprowadzały egzekucję, nie informując, nie mówiąc już o wysłuchaniu przełożonych skazanego.

Kilka tygodni później także i ja miałem mieć do czynienia z jednym z tych latających sądów polowych.

Wysłałem jednego z moich najlepszych sierżantów, wielokrotnie odnanzonego dowódcę plutonu przeciwpancernego, z kilkoma kierowcami do warsztatów na tyłach, by sprowadził kilka naprawianych tam opancerzonych ciągników. Kazałem mu się spieszyć, ponieważ były one nam bardzo potrzebne. Przekazał mi wiadomość przez łącznika, że przybędzie z pojazdami następnego ranka. To, co wydarzyło się potem, *opowiedział* mi jeden z kierowców następnego dnia. We łzach, ledwo panując nad sobą, opowiedział:

„Siedzieliśmy razem wieczorem, upewniwszy się, że ostatni ciągnik będzie naprawiony jeszcze tej nocy, w niewielkim zajeździe, jedząc racje żywnościowe i rozmawiając o przyszłości, o domach i na inne żołnierskie tematy. Niespodziewanie otworzyły się drzwi i wszedł oficer sztabowy z paru żandarmami. «Jestem sędzią sądu polowego z rozkazu samego feldmarszałka Schórnera. Dlaczego sobie siedzicie, podczas gdy nasi dzielni żołnierze ryzykują życie?» Dowódca plutonu odpowiedział: «Otrzymałem rozkaz od

feldmarszałka Schórnera skazuję was na śmierć przez rozstrzelanie za dezercję».

«Ale nie możecie tego zrobić! — krzyknął dowódca plutonu.

— Byłem na froncie przez całą wojnę! Oto moje odznaczenia!».

Sędzia: «Teraz znaczenie ma tylko to, żeby każdy był na froncie. A wy postanowiliście się w końcu zadekować! Wyrok zostanie wykonany!».

Potem żandarmi wzięli naszego dowódcę i rozstrzelali go w sadzie za zajazdem".

Żołnierz z trudem mógł mówić dalej.

„Potem musieliśmy pogrzebać go pod lufami żandarmów.

Na grobach dezertów nie pozwalano ustawić krzyża.

Potem sędzia zniknął, tak jak się pojawił".

Chociaż trwały walki, pełen furii skontaktowałem się z dowództwem dywizji i zameldowałem o tym niesłychanym zdarzeniu. Zażądałem podania mi nazwiska sędziego, abym mógł wysunąć przeciwko niemu oskarżenie.

— To raczej nie będzie możliwe — odpowiedział mi jeden z oficerów.

— Dowódca dywizji generał Marcks w pełni popiera środki marszałka Schórnera.

Byłem oburzony. A więc do tego już doszło.

— Na litość boską, jeden z moich najlepszych dowódców plutonu został rozstrzelany bez powodu i mam to tak zostawić?! Sporządzę pisemny raport i będę nalegał, by odnaleziono tego sędziego.

Wydarzenia militarne i gorzki koniec wojny uniemożliwiły mi wyrównanie tej krzyczącej niesprawiedliwości. Żołnierze z mojej kompanii warsztatowej mogli przynajmniej zadbać o grób i umieścić na nim krzyż oraz tabliczkę z nazwiskiem i numerem jednostki. Powiadomiłem rodziców, że ich syn, niestety, zginął śmiercią żołnierza podczas wykonywania swoich obowiązków.

przeciwpancernych. Żaden z nich nie miał doświadczenia. Chcieli jedynie uratować życie.

Gdziekolwiek my czy inna ocalała jeszcze dywizja napotykała maruderów, wcielała ich do swoich szeregów, dając im schronienie. Także i my potępialiśmy dezercję we wszystkich jej przejawach, gdyż podkopywała morale żołnierzy. Każdy jednak, kto widział uciekającą w panice ludność cywilną, kto słyszał o gwałceniu kobiet, kto słuchał rozbitków, których dywizje przez całe godziny były ostrzeliwane z dział, a potem rozbijane przez Rosjan, musiał myśleć bardziej po ludzku. Wojny tej i tak już nie można było wygrać za pomocą sądów polowych. Niekończące się slogany oraz proklamacje napływające z kwatery Hitlera znajdującej się w schronie pod Kancelarią Rzeszy brzmiały na froncie jak zwykłe kpiny.

12 lutego zmotoryzowane pododdziały dywizji jechały autostradą Berlin-Wrocław w kierunku Żagania na Dolnym Śląsku. Z powodu niedostatku paliwa musieliśmy zorganizować ruch wahadłowy. Wozy pancerne dowieziono koleją.

Rankiem tego samego dnia Rosjanie zaatakowali na szerokim froncie, co groziło przecięciem autostrady. Słabe pododdziały Dywizji Pancerniej „Brandenburg” musiały ulec przewadze. Rankiem 13 lutego przeszedłem z moją grupą bojową do kontrataku. Zdołaliśmy oczyścić autostradę, jednak nieprzyjaciel obszedł nas z flanki. Z przybyłymi tymczasem pozostałymi elementami dywizji oraz z naprędce podciągniętą grupą bojową 17. Dywizji Pancerniej zdołaliśmy na krótki czas powstrzymać nieprzyjaciela. W kolejnych dniach Rosjanie cały czas usiłowali nas oskrzydlić. Nasza dywizja została podzielona na kilka niewielkich grup bojowych.

17 lutego Rosjanie zdołali przełamać się, na skutek czego odcięli część naszej dywizji, co groziło jej zniszczeniem. W tej krytycznej sytuacji po raz kolejny dowiedziono, jak dużą wartość ma koleżeństwo i samodzielne

byli całkowicie zaskoczeni, wycofali się ze stratami. Otoczone oddziały zostały uratowane.

W marcu Grimminger przejął dowodzenie 192. Pułkiem. Został ponownie ranny. Podczas krótkiego pobytu w szpitalu wojskowym otrzymał 11 marca Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego. 21 marca wziął ślub, a po powrocie na front poległ 16 kwietnia, mniej niż miesiąc po ślubie. Jego żołnierze pochowali go w parku przy dworze w Drebkau. Kapelan naszej dywizji Tarnów wygłosił mowę pogrzebową. Po wojnie Grimmingera przeniesiono na leśny cmentarz w Halbe, gdzie 20 000 grobów przypomina ostatnią, beznadziejną bitwę.

Mimo największych wysiłków i wciąż przemieszczających się zdesperowanych uchodźców rejonu wokół Zagania nie można było dłużej utrzymać. Ryzyko otoczenia kilku dywizji pancernych zdolnych jeszcze do działań było zbyt wielkie.

Dowództwo Grupy Armii Schórnera rozkazało zatem wycofanie się za Nysę. Należało pozostawić jeden czy dwa przyczółki, by umożliwić wycofanie się na zachód strażom tylnym, maruderom i cywilom.

Nysa Łużycka wypływa z gór dawnego Sudetenlandu, płynie przez Górlitz* na północ i wpada do Odry na południe od Frankfurtu. Linia Nysy — Odry stanowi ostatnią naturalną barierę przed Dreznem, Łabą i Berlinem.

20 lutego zmęczeni i wyczerpani walkami żołnierze przekroczyli Nysę na północ od Górlitz i natychmiast zaczęli się okopywać.

Z Górlitz przez Gubin do ujścia Nysy do Odry resztki kilku doświadczonych dywizji pancernych oraz rozbitkowie dywizji piechoty przygotowali nową pozycję obronną, w centrum której stały poważnie osłabione oddziały naszej dywizji.

* Miasto to od 1945 r. jest podzielone. Polska część nosi nazwę Zgorzelec. Miejscowościom, które pozostały w Niemczech po 1945 r., pozostawiono nazwy oryginalne (przyp. tłum.).

W dowództwie dywizji zapoznałem się z ogólną oceną sytuacji: w czasie gdy obrona linii Odry i Nysy została skonsolidowana, cały Śląsk na wschód od Odry był już w rękach rosyjskich. Twierdza Wrocław została otoczona (broniała się do końca wojny). Ważny górnośląski okręg przemysłowy na wschód od Gliwic także był już w rękach Rosjan. Od Górlitz nasz front biegł na wschód, omijając od północy Lubań, a od południa Wrocław, a potem w Opolu skręcał na południe w kierunku Tatr. Linia ta była broniona słabo i nie była w stanie wytrzymać silniejszego ataku w kierunku okręgu przemysłowego Ostrawy na Morawach. Zapewne takie właśnie były plany marszałka Koniewa.

15 marca 1945 r. Pierwszy Front Ukraiński rozpoczął ofensywę z Górnego Śląska na południowy zachód od Gliwic, na skutek czego zmusił naszą grupę armii do wycofania się na linię dawnej granicy Niemiec, w kierunku pasm górskich otaczających Czechosłowację; linie te łączyły się w Górlitz z pozycją wzdłuż Nysy.

Bitwa pod Lubaniem

Pod koniec lutego Hitler zdecydował się odblokować twierdzę Wrocław silnym uderzeniem z okolic Lubania. Operacja ta, jak potem usłyszałem, miała być wstępem do planowanej przez niego ofensywy wiosennej.

Chociaż dawaliśmy operacji „Lubań”, jak ją między sobą nazywaliśmy, pewne szanse powodzenia, uratowanie twierdzy Wrocław było czystą utopią, ofensywa wiosenna zaś szaleństwem.

Hitler i Naczelne Dowództwo Wehrmachtu wciąż żonglowało dywizjami, które już nie istniały albo nie były w stanie zatrzymać znacznie silniejszego nieprzyjaciela mimo dostaw sprzętu i uzupełnień. Po bitwie pod Lubaniem byłem przerażony, gdy otrzymałem batalion „brzuszny i uszny”. Był on w części złożony z ludzi poważnie chorych na żołądek, których zebrano ze

Do bitwy o Lubań postawiono w gotowości dwa korpusy pancerne: jeden na wschód, drugi na zachód od miasteczka. Udało się to ukryć nie tylko przed nieprzyjacielem, ale nawet przed stacjonującymi w okolicy Volksgrenadierami — z pewnością była to dobra robota Schómera i jego sztabu. Zaatakowaliśmy nocą z 1 na 2 marca 1945 r. Schórner osobiście przydzielił moją grupę bojową do lewoskrzydłowego korpusu pancernego.

Rosjanie byli zupełnie zaskoczeni zmasowanym uderzeniem wspieranym przez jednostki przeciwpancerne z działami kalibru 88 mm. W ciężkich walkach, które trwały do 9 marca, Lubań oraz ważna linia kolejowa zostały odzyskane, a Rosjanie zepchnięci daleko na północ, utraciwszy ponad 80 czołgów *I-34* i 48 nieuszkodzonych dział. Moja grupa bojowa zdołała zniszczyć około 25 czołgów. Resztę zniszczyła 17. Dywizja Pancerna. Osiągnęliśmy w ten sposób główny cel. Wszelkie plany odblokowania Wrocławia były jednak iluzją wobec ogromnej przewagi Rosjan.

Bitwa pod Lubaniem była ostatnią większą ofensywą niemiecką w tej wojnie. Została oczywiście wykorzystana przez propagandę Goebbelsa.

W naszej pamięci na zawsze pozostały przerażające sceny. W odzyskanych wioskach widzieliśmy na własne oczy, co uczynili Rosjanie w ostatnich tygodniach. Nigdy nie zapomnę widoku zmaltretowanych, zgwałconych kobiet, które wybiegły na nasze powitanie z krzykiem lub pozostały całkowicie bierne. Nie oszczędzono ani staruszek, ani małych dziewczynek, jeszcze dzieci. Domy były obrabowane, a starcy zastrzeleni.

Widząc to wszystko, zadawaliśmy sobie pytania: czy była to zemsta za miliony Rosjan, w tym cywilów, którzy w ciągu ostatnich czterech lat zginęli bądź zostali wywiezieni do Niemiec? Czy może dały tu o sobie znać najgorsze instynkty, jak na wszystkich terenach niemieckich zajętych przez nieprzyjaciela? Nie potrafiliśmy odpowiedzieć na nie.

Te okrucieństwa bardzo nas przygnębiły, zwłaszcza tych, którzy

po sukcesie pod Lubaniem w połowie marca Schórner pozwolił mojemu sztabowi oraz pozostałym czołgom powrócić do dywizji, która znajdowała się nad Nysą, na północ od Gorlitz.

Tam dowiedziałem się o incydencie, w który był zamieszany dowódca mojego II Batalionu.

Opowieść majora Willy'ego Kurza

Podczas gdy Koniew wykonywał silne uderzenia w rejonie Gorlitz, próbując odwrócić naszą uwagę od planowanej wielkiej ofensywy przez Nysę, pododdziały dywizji były cały czas zaangażowane w kontrataki, w których brał udział także mój II Batalion dowodzony przez majora Willy'ego Kurza. Podczas jednego z takich kontrataków major Kurz został ranny. Przejąłem się tym bardzo, ponieważ Kurz od pierwszych dni inwazji w czerwcu 1944 r. odznaczył się jako dowódca i był ogólnie lubiany; połączyły mnie z nim więzy prawdziwej przyjaźni.

Gdy odwiedziłem go w maju 1986 r. w Massassauga w Toronto, po raz pierwszy usłyszałem o jego odysei. Oto jego opowieść:

„Po dość skomplikowanej podróży kilkoma ambulansami i pociągami sanitarnymi dotarłem wraz z innymi rannymi do szpitala wojskowego Leitmeritz w Sudetenlandzie. 8 maja 1945 r., po powstaniu czeskim, załadowano nas ponownie do pociągów. Tymczasem pojawił się wśród nas ranny Krieger (mój ówczesny adiutant — przyp. autora). Jechaliśmy w kierunku sławnego kurortu Karlsbad (Karlovy Vary), gdzie przebiegała granica rosyjskiej i amerykańskiej strefy wpływów.

Mieliśmy nadzieję, że zostaniemy przejęci przez Amerykanów. Amerykańscy oficerowie przestrzegali jednak dokładnie uzgodnionej z Rosjanami linii demarkacyjnej i zmusili nas do pozostania w Karlsbadzie w

ugasili na szczęście pożar. Rosjanie tylko się przyglądali. Był przeraźliwy upał i brakowało opatrunków. Obok mnie leżał szesnastoletni chłopak z amputowanymi nogami. Jego opatrunki nie były zmieniane od dwóch tygodni. Chłopak resztkami sił znosił ból w nadziei, że może jeszcze trafi pod «ochronę» Amerykanów.

Pielęgniarki spały w nocy między nami z głowami grubo owiniętymi bandażami, by wyglądać na rannych żołnierzy.

Trzymaliśmy się blisko, gdyż Rosjanie cały czas próbowali zabrać nam buty, zegarki i inne przedmioty. Nie dostaliśmy od nich nic do jedzenia. «Przypadki chodzące» żebrały codziennie o jedzenie u cywilów. Niespodziewanie wpadliśmy na świetny pomysł: jeden z naszych lekarzy wyjaśnił rosyjskiemu komendantowi, że w dwóch pociągach wybuchła epidemia. Co było robić? Rosjanie wpadli w panikę i odesłali wszystkie trzy pociągi do Amerykanów.

Dzięki Bogu komendant zaakceptował nasze kłamstewko. Ogłosił jednak, że nasze trzy pociągi były «otwartym szpitalem*». Sytuacja była dla nas niebezpieczna, gdyż wszędzie wokół byli uzbrojeni czescy «półżołnierze» szukający pomsty za zajęcie ich kraju przez Hitlera. Wszystko jednak poszło dobrze. Po kilku dniach pojawiła się kolumna amerykańskich ciężarówek i zabrała nas do szpitala wojskowego w Franzenbad, na samej granicy niemieckiej. Tam wreszcie zajęto się ciężko rannymi. Po dwóch tygodniach przewieziono mnie do Eger koło Franzenbadu. Znalazłem się tam w przepelnionym obozie jenieckim, gdzie zgromadzono 30 000 ludzi na wolnym powietrzu.

Po kilku dniach niespodziewanie ogłoszono przez megafon: «Major Willy Kurz, zameldować się przy bramie!». Pojawił się jeep żandarmerii wojskowej. «Pójdzie pan z nami, majorze — oznajmili dość szorstko. — Zabieramy pana na przesłuchanie. Wsiadać!». Czuję się bardzo niepewnie.

___ tylko za co?». Gdy podszedłem do stołu, generał i oficerowie powstali.

«Czy major Willy Kurz z 21. Dywizji Pancерnej to pan?

— Tak, to ja — wciąż nie wiedziałem, o co chodzi.

— Czy należał pan do 125. Pułku pułkownika von Lucka i walczył w Rittershoffen w Alzacji?

— Tak, tak było. To było prawdopodobnie najcięższych czternaście dni, jakie spędziłem na wszystkich frontach. — Czyżby mieli mnie ukarać za Rittershoffen?

— Jestem dowódcą 79. Dywizji Piechoty, która walczyła przeciwko wam pod Rittershoffen. Oto mój sztab, a za panem moi oficerowie utworzyli na pana cześć szpaler. W imieniu wszystkich moich oficerów i żołnierzy oraz moim własnym chciałbym wyrazić nasz podziw i uznanie dla dzielnej postawy pańskich żołnierzy. Zechce pan przyjąć wyrazy szacunku».

Zaniemówiłem i z trudem powstrzymywałem łzy. Po ciężkich walkach w Rittershoffen, ostatnich trudnych miesiącach i zranieniu teraz niespodziewanie taki gest ze strony nieprzyjaciela. Wreszcie wzięłem się w garść i powiedziałem.

«Chciałbym także wyrazić podziw dla pana, generale, i pańskiej dywizji. Podziwialiśmy waszą odwagę i upór, z jakimi broniliście wioski Hatten i Rittershoffen, chociaż trzy wasze bataliony były otoczone przez kilka dni. Wielkie wrażenie zrobiło na nas to, jak udało wam się oderwać od nas niezauważenie nocą. Gdy odeszliśmy, wszyscy byliśmy zdania, że w Rittershoffen nie było zwycięzców i zwyciężonych. Rankiem po waszym odwrocie mój dowódca pułkownik von Luck zagrał chorał na nieuszkodzonych organach zrujnowanego kościoła, co poruszyło do łez naszych żołnierzy i ciężko doświadczonych cywilów.

— W ciągu następnych kilku dni — odparł generał — chciałbym, by pan

w Rosji. Siedziałem z nimi przez wiele dni, a jako ranny zostałem wkrótce zwolniony".

Tak zakończył swą relację Willy Kurz.

Dopiero na początku 1988 r. otrzymałem pracę *The Cross of Lorraine. A Combat History of the 79th Infantry Division* {*Krzyż Lotaryński. Historia działań 79. Dywizji Piechoty* — przyp. tłum.}. Jest w niej zdanie: „Gdy zakończyła się wojna w Europie, depesza United Press, cytowana w «New York Times», zawierała «Opowieść majora Kurza»".

W 1960 r. Kurz wyjechał do Kanady wysłany przez swą firmę jako sprzedawca drewna, potem na kilka lat do Brazylii, wreszcie znów do Kanady, który to kraj stał się jego drugim domem.

Po naszej rozmowie w jego wygodnym domu w Massassauga koło Toronto widziałem go po raz ostatni w 1987 r. Kilka miesięcy później niestety zmarł na zawał serca.

Koniec

Na początku kwietnia było już jasne, że marszałek Koniew zaatakuje frontalnie przez Nysę, nie zaś w kierunku na południowy zachód.

Schórner z własnej inicjatywy nakazał zatem przemieścić się 21. Dywizji Pancernej i Dywizji Fuhrer-Begleit* w rejon Spremberg Cottbus, czyli około 100 kilometrów na południe od Berlina, na skraj usianego jeziorami Spreewaldu, na zachód od Nysy.

Nocą z 12 na 13 kwietnia dywizję przerzucono na północ ekspresowymi pociągami. Z powodu ogromnej przewagi powietrznej Rosjan przemieszczanie mogło odbywać się jedynie nocą. Rankiem 15 kwietnia pierwsze 21 pociągów dotarło w nowy rejon koncentracji, 6 kolejnych było w drodze. Hitler zaakceptował to przegrupowanie i włączył obie dywizje do odwodu armii.

Z informacji zdobytych przez nasze stacje nasłuchowe dowiedzieliśmy się, że Pierwszy Front Białoruski Żukowa ma siedem armii nad Odrą pod Kostrzynem oraz dwie pod Frankfurtem, Pierwszy Front Ukraiński Koniewa zaś to sześć armii stojących naprzeciwko pozycji na Nysie. Przyjęto następujący stosunek sił rosyjskich i niemieckich: w piechocie 6:1, w artylerii 10:1, w czołgach 20:1, w samolotach 30:1. Niemieckie dywizje nie miały już pierwotnej liczebności ani wartości bojowej.

Nie zdążyliśmy nawet zapoznać się z terenem, gdy 16 kwietnia rozpoczęła się wielka rosyjska ofensywa: o piątej nad ranem Rosjanie otworzyli na nasze

* Dywizja Ochrony Osobistej Fuhrera, jednostka rozwinięta z batalionu, a polem brygady, wysłana na front późną jesienią 1944 r., w 1945 r. rozwinięta w dywizję (przyp. tłum.).

Potem wszystko potoczyło się o szybko.

W wyniku wyprowadzonego natychmiast kontrataku powstała niebezpieczna luka między nami a Dywizją Führer-Begleit. W lukę tę wdarły się silne oddziały pancerne, na skutek czego nasza dywizja została zepchnięta na północ, do tworzącego się kotła, w którym znalazła się większość 9. Armii generała Bussego.

Siła uderzenia rozbiła naszą dywizję na kilka części. Grupa artylerii znalazła się na północy, blisko podmiejskich dzielnic Berlina. Przełamała się samodzielnie do Berlina i uszła z kotła. Nasz siostrzany 192. Pułk walczył pojedynczymi grupami bojowymi. Nie miałem już z nim kontaktu aż do końca. Moja własna grupa bojowa, wsparta ostatnimi czołgami majora von Gottberga, została natychmiast zaangażowana w ciężkie walki obronne na prawym skrzydle, tam gdzie rosyjskie armie pancerne wdzierały się w lukę między nami a Dywizją *Führer-Begleit*.

Wciąż mieliśmy łączność z dowództwem dywizji, nie nadchodziły już jednak jasne rozkazy. Najprawdopodobniej stracili tam kontrolę nad sytuacją. By zapobiec oskrzydleniu i zniszczeniu, rozkazałem zagiąć prawe skrzydło frontem na południe. Wieczorem 16 kwietnia moje linie obronne trzymały się jeszcze. W nocy doszło do pewnego osłabienia intensywności walk.

Późnym wieczorem mój oficer rozpoznania wręczył mi słuchawkę telefonu — na linii był dowódca dywizji.

— Mówi von Luck... — nie udało mi się powiedzieć więcej, gdyż ze słuchawki rozległ się krzyk. — Kto mówi? Nic nie rozumiem, proszę tak nie wrzeszczeć!

Mój rozmówca jednak nie przestał krzyczeć. Usłyszałem coś o sądzie wojennym.

— Ciągłe nie wiem, kto mówi. Proszę ciszej.

Gottberg, mój adiutant, i oficerowie sztabu już się śmiali.

—

Aby dowiedzieć się czegoś o sytuacji ogólnej, o której nie mieliśmy z dowództwa dywizji żadnych informacji, zdecydowałem wczesnym rankiem następnego dnia udać się tam.

Stanowisko dowodzenia znajdowało się w wiejskiej posiadłości. Po wejściu spostrzegłem oficera sztabowego siedzącego przy stole w holu.

.— Dzień dobry. Chciałbym rozmawiać z dowódcą. — Brudny i nieogolony zupełnie nie pasowałem do eleganckiego otoczenia.

— Dowódca jeszcze śpi — powiedziano mi. — Czy ja mogę pomóc, panie pułkowniku?

— Nie — odparłem. — Po tym, jak wczoraj na mnie nawrzeszczał przez telefon, muszę z nim mówić osobiście. Nie mam wiele czasu, więc proszę go obudzić.

Bez wątpienia zbudzony naszą głośną rozmową na półpiętrze pojawił się dowódca dywizji... w nocnej koszuli. Widziałem, że się lekko kiwał. Sztabowiec wykonał jednoznaczny gest oznaczający „kilka koniaków”. Wstrząsnęło mną, że ten odznaczony oficer nie wytrzymał psychicznego napięcia.

— Panie generale, chciałbym osobiście dowiedzieć się czegoś o położeniu naszej dywizji i o ogólnej sytuacji. Chciałbym także prosić pana, by udał się ze mną na front i zapoznał z naszą sytuacją.

— Sytuacja jest zupełnie niejasna — odpowiedział. — Muszę więc pozostać na stanowisku dowodzenia. Jeśli chodzi o pana, pułkowniku von Luck, to ostrzegam. Musi pan walczyć tam, gdzie panu rozkazano. Nie będę tolerował samowolnych działań.

— Panie generale, proszę przyjąć do wiadomości, że w ostatniej fazie wojny będę podejmował takie decyzje, jakie uznam za słuszne.

Powiedziawszy to, opuściłem miejsce, gdzie rządziły złudzenia.

O wiele za późno Hitler zgodził się na odwrót oddziałów walczących

stanowisku dowodzenia. Nagle z radia rozległ się bombastyczny głos Goebbelsa: „W wigilię urodzin naszego ukochanego Fiihrera wołam do narodu niemieckiego i naszych dzielnych żołnierzy: Wierzcie w szczęśliwą gwiazdę, wierzcie w Boga i podążajcie za naszym Fiihrerem w godzinie próby”.

Odnosząc się do śmierci Roosevelta, Goebbels wspominał o „potędze przeznaczenia” i porównał Hitlera do Fryderyka Wielkiego.

W tych dniach krążyły plotki rozpuszczane zapewne celowo, że zachodni alianci poróżnili się ze Związkiem Radzieckim.

Nadano jedno z przemówień Hitlera, które miał wygłaszać na żywo: „Biorę odpowiedzialność za wszystko” i „jeśli naród niemiecki nie potrafi zwyciężyć, nie ma prawa przetrwać”.

To było za wiele. Rozległy się okrzyki: „Wyłączyć to! Co daje nam, naszym rodzinom i zrujnowanym miastom fakt, że Hitler bierze na siebie odpowiedzialność za wszystko. I tak nikt tego nie może zrobić”.

Tam, pod bramami Berlina, wiedzieliśmy, że tylko cud mógł nas jeszcze uratować przed śmiercią lub niewolą.

20 kwietnia doniesiono nam, że około 360 rosyjskich czołgów oraz dwa razy tyle ciężarówek jedzie za nami na północ, w kierunku Berlina. Od południa czołgi rozpoznawały moje prawe skrzydło. W ciągu następnych kilku dni rosyjski atak frontalny zmusił mnie do ponownego wycofania się.

Hitler nie miał najwyraźniej zamiaru się poddać. Otrzymaliśmy wiadomość, że nowo utworzona Armia Wencka nie miała już powstrzymać natarcia Amerykanów na Berlin, ale przebić się do niego i wraz z 9. Armią generała Bussego wyłamującą się z kotła zatrzymać Rosjan. Od Wencka dzieliło nas ponad 100 kilometrów. Miał on nacierać z okolic Magdeburga nad Łabą.

Jako tylna straż dywizji wycofywaliśmy się powoli na północ i 25 kwietnia

przydzielone, na zachód, przez autostradę Drezno-Berlin, na tyły pierwszego Frontu Ukraińskiego nacierającego na Berlin. Celem jest dotarcie w okolice Luckenwalde przy autostradzie Berlin-Lipsk. Miejsce przełamania ma być utrzymane dla umożliwienia pieszym rzutom 9. Armii przemieszczenia się na zachód. Wszystkie pojazdy nieprzeznaczone do walki zniszczyć, paliwo przekazać załogom wozów bojowych. Nie informować cywilów — tysiące uchodźców przeszkadzałyby w działaniach".

O 19.00 rzeczywiście przybyło kilka wozów pancernych, głównie małych i lekkich *Hetzerów**. Naszych przygotowań oczywiście nie dało się ukryć. O zmierzchu w wiosce zebrały się setki cywilów z prymitywnymi wózkami oraz węzłkami z dorobkiem. Nie zamierzałem odsyłać nieszczęsnych kobiet i dzieci. Nie mogłem i nie chciałem tego zrobić, chociaż obawiałem się, że mogą znaleźć się w samym środku walk.

O 20.00 25 kwietnia ruszyłem z grupą bojową do ataku. Na szczęście mieliśmy mapy. Naszym pierwszym celem było Baruth leżące przy ważnej linii kolejowej Drezno-Berlin. Musieliśmy przedostać się przez wielki las ścieżkami i przecinkami, do tego w nocy.

Początkowo posuwaliśmy się dość szybko. Pobliską autostradą Drezno-Berlin co chwila przejeżdżały rosyjskie ciężarówki z zaopatrzeniem. Zbliżyliśmy się do niej. Gdy tylko zatrzymywaliśmy się, dołączali do nas cywile i zatrzymywali się, czekając, aż ruszymy dalej. Około północy zbliżyliśmy się do wioski Baruth, linii kolejowej i biegnącej równoległe do niej drogi. Gdy ostrożnie wysunęliśmy się z lasu, niespodziewanie znaleźliśmy się pod silnym ogniem dział przeciwpancernych i broni maszynowej. Chociaż działaliśmy głęboko na tyłach Rosjan nacierających na

* *Jagdpanzer Hetzer* — szesnastotonowy niszczyciel czołgów na podwoziu czeskiej produkcji

czołgu *Pz-Kpfw. 38*, uzbrojony w działko 75 mm *PAK39 U48* (nrzyp. tłum.).

** Zapewne w najliczniejszej w czasie wojny odmianie *IS-2* (Iosif Stalin). Był to ciężki, dobrze opancerzony czołg, uzbrojony w armatę kaliber 122 mm *D-25T* (przyp. tłum.).

Postanowiłem przegrupować siły, obejść wioskę od północy i jeszcze przed świtem zająć ją, atakując z udziałem grenadierów. Wysłałem do dowództwa 9. Armii wiadomość, że natknęliśmy się na zacięty opór, ale mamy nadzieję go przełamać i dalej przesuwać się na zachód.

Było jasne, że byłoby nam o wiele łatwiej, gdyby zostało zdobyte Baruth. Nie mogliśmy jednak pozwolić sobie na dłuższe walki. Posiadaliśmy tylko jedną jednostkę ognia, a paliwa wystarczyłoby na dojechanie do Łaby. Z każdą upływającą godziną obrona rosyjska wzmacniała się. W takich sytuacjach Rosjanie potrafili być bardzo elastyczni.

Poprosiłem zatem dowództwo armii o pozwolenie natychmiastowego ruszenia dalej. Odmówiono mi: „Poczekać, aż dalsze elementy wyjdą z kotła”.

W tej właśnie chwili w ciemnościach podjechała do mnie *Pantera*. Z wieżyczki wyskoczył oficer SS i podszedł do mnie. Był to mój przyjaciel i kolega ze szkoły oficerskiej Rudiger Pipkom.

— Mój Boże, Rudiger, co tu robisz i dlaczego nosisz mundur SS?

— Łuck! Co za spotkanie po tylu latach! Jako oficer Sztabu Generalnego zostałem przeniesiony bez możliwości odmowy z armii do SS. Dowodzę teraz 35. Dywizją Policyjną. Mam rozkaz przełamać się na południe od ciebie, ale zostałem odparty. Mam kilka *Panter*. Co się tu dzieje?

Wyjaśniłem mu sytuację, wspomniałem także o rozkazie czekania na miejscu.

— To czysty nonsens — powiedział Pipkom. — Rosjanie zamknęli już korytarz za nami. Sami jesteśmy otoczeni. Co proponujesz?

— Zamierzam zaatakować Baruth od północy i wyeliminować rosyjską obronę, zanim otrzyma o świcie wsparcie. Proponuję, żebyś ubezpieczał nas swymi *Panterami* i ruszył dalej, jak tylko będziemy w miasteczku.

— Dobry pomysł, Łuck. Zrobimy tak, a potem prosto na zachód.

armat czołgowych, po czym czołg Pipkorna powrócił. Obok armaty leżało ciało mojego przyjaciela Riidigera, który musiał zginąć właśnie teraz, tuż przed końcem wojny.

Tymczasem przegrupowaliśmy się do ataku na Baruth od północy. Przejąłem dowodzenie nad czołgami SS. Gdy ruszyliśmy do natarcia, spadł na nas silny ogień, tym razem także rosyjskiej artylerii. W koronach drzew wybuchały pociski. Odłamki trafiały także setki cywilów, którzy krzycząc, biegali dookoła. Wielu było rannych. Musiałem się przedrzeć, nie było innej alternatywy.

Przez kilka godzin prowadziliśmy wymianę ognia, ale wszystkie próby przebicia się dalej na północ były bezowocne. Rosjanie sprowadzili znaczne posiłki. Potem stało się nieuniknione — wyczerpała nam się amunicja. Nie pozwolono nam zabrać ze sobą wozów z amunicją. Zaczynało także brakować paliwa. Musiałem podjąć decyzję. Krótco przed świtem wezwałem dowódców pododdziałów.

— Jesteśmy już odcięci na tyłach. Praktycznie nie mamy amunicji. Kończy się paliwo. Dlatego zwalniam was spod mojego dowództwa. Pozostałe paliwo z SPW zatankować do czołgów. Próbujcie się przedostać na zachód nocą w małych grupach, grenadierzy czołgami. Lekarz pułkowy pozostanie tu z rannymi, w tym cywilami. Ja z moim adiutantem, oficerem ordynansowym i łącznikiem powrócimy do kotła, by zameldować o wszystkim dowództwu armii i pomóc w jej działaniach. Dziękuję wam wszystkim. Niech was Bóg ochrania!

Widziałem na ich twarzach, jak trudna to była chwila, ale także i to, że rozumieli moją decyzję. Nie chciałem, by uznano mnie za tchórze czy dezertera — tyle byłem sobie winien. Podczas gdy dowódcy pododdziałów żegnali się, chwyciliśmy pistolety maszynowe i ruszyliśmy pieszo z powrotem do kotła.

godzin po prostu o tym zapomnieliśmy. Z oddali dochodził nas huk karabinów maszynowych i warkot pojazdów. Przechodząc przez szeroką leśną drogę, spostrzegliśmy około stu metrów od nas kolumnę rosyjskich ciężarówek. Rosjanie rozmawiali między sobą w ciemnościach — zapewne urządzili sobie postój. Przemknęliśmy przez drogę niezauważeni, jak cienie. Wkrótce mieliśmy dotrzeć do autostrady, ostatniej przeszkody. Zaczynało świtać, musieliśmy szukać schronienia. Znaleźliśmy kryjówkę w gęstej kępie krzewów. Nagle usłyszeliśmy rosyjskie głosy. Ku naszemu przerażeniu spostrzegliśmy przeszukującą las tyralierę rosyjskich żołnierzy, która kierowała się prosto na naszą kryjówkę. „Musimy stąd wiać”

— wyszeptaliśmy do siebie.

— Tam, jakieś 80 metrów dalej, są gęste krzewy. Musimy tam dobiec i zniknąć w zaroślach.

Rosyjska tyraliera była coraz bliżej.

— Teraz! — szepnąłem. Wypadliśmy z krzaków i dobiegliśmy do zarośli. Rosjanie spostrzegli nas. Krzycząc: „*Dawaj, dawaj!*” (szybciej, szybciej), pobiegli za nami. Niektórzy strzelali w biegu, lecz nie trafili nas. Niestety, zarośla miały jedynie kilka metrów szerokości, za nimi natknęliśmy się na jezioro. To był koniec. Nie było którędy uciekać.

— Broń do jeziora! — krzyknąłem do innych

Niewola i wywózka

Było zatem po wszystkim. Po ponad czterech i pół roku wojny na niemal wszystkich frontach koniec nastąpił tam, gdzie najmniej bym sobie tego życzył — na froncie rosyjskim. Od lądowania aliantów w Normandii wszyscy wiedzieli, że zbliża się koniec. Mieliliśmy jednak nadzieję, że jeśli zostaniemy wzięci do niewoli, to przez aliantów zachodnich, od których mogliśmy oczekiwać respektowania konwencji genewskiej. Propaganda Goebbelsa o podludziach oraz plotki o okrucieństwach rosyjskich żołnierzy sprawiły, że zaczęliśmy obawiać się najgorszego, zwłaszcza że wiedzieliśmy, co robiło SS w ZSRR.

Co czuje żołnierz, gdy zostaje wzięty do niewoli? Po pierwsze, wie, że dla niego wojna, a wraz z nią obawa, że zostanie ranny lub zabity, skończyła się.

Potem zadaje sobie ważne pytania: Dokąd go zabiorą? Jak będą traktować? Czy będą go torturować albo zastrzelą? Próbuje opanować nasilające się uczucie strachu i być odważny. Przede wszystkim najpierw dąży do stłumienia wszelkich myśli o skutkach przegranej wojny oraz o własnym losie w nadchodzących miesiącach czy nawet latach.

W tej decydującej chwili dla mojej kariery wojskowej znaczenie miało tylko to, by nie okazywać strachu, a zatem słabości, aby w tych ciężkich chwilach zachować godność i szacunek dla siebie, postawę, którą tak często podziwialiśmy w ostatnich latach u alianckich jeńców.

Staliśmy zatem z rękoma uniesionymi do góry. Ze wszystkich stron podchodzili Rosjanie z pepeszami* w gotowości do dania strzału. Z przerażeniem spostrzegłem, że byli to Mongołowie, których skośne oczy wyrażały nienawiść, ciekawość i chciwość. Gdy próbowali zabrać mi mój

— Stać, nie ruszać go. To *gieroj* (bohater), człowiek godny szacunku. Spojrzałem na niego i powiedziałem tylko:

— *Spasibo* (dziękuję) zaskoczony tą niespodziewaną reakcją.

Ten uczciwy młody rosyjski oficer zabrał nas natychmiast do najbliższego dowództwa pułku, gdzie przekazał nas pułkownikowi wojsk pancernych. Rozdzielono mnie z adiutantem i łącznikiem, po czym zaprowadzono do gospodarstwa. Pułkownik był mile zaskoczony tym, że mimo mojej słabej znajomości rosyjskiego mogłem odpowiedzieć na jego pytania.

— Widzę, że jesteście *polkownik* (pułkownikiem). Do jakiej jednostki należycie? Gdzie walczyliście w ciągu ostatnich tygodni.

Okazało się, że to jego pułkowi pancernemu zadaliśmy tak duże straty pod Lubaniem. Ten potężny mężczyzna, który zrobił na mnie w pierwszej chwili wrażenie brutala, uderzył się w udo i zaśmiał.

— Widzicie — krzyknął — to dziejowa sprawiedliwość: zniszczyliście moje czołgi i zmusiliście mnie do odwrotu. Teraz ja w nagrodę mam was w niewoli.

Przyniósł dwie szklanki i rosyjskim zwyczajem wypełnił je po brzegi wódką, żebyśmy wypili je jednym haustem.

Gdy zapytałem, gdzie zabrano mojego adiutanta i łącznika, otrzymałem zaskakującą odpowiedź.

— Obaj są z moimi żołnierzami tej samej szarży — powiedział.

— W naszej armii mamy cztery kategorie żołnierzy: generałów i pułkowników, oficerów sztabowych, oficerów liniowych i poruczników oraz innych. Nie martwcie się zatem.

Jak się okazało, istniały określone różnice w racjach żywnościowych.

Przemknęło mi przez głowę, że taki podział nie przystawał do założeń komunizmu. Podobne różnice społeczne były zupełnie nieznanne w armii

Po czym wybiegł na zewnątrz.

Wyjrzałem przez okno i dostrzegłem, że z lasu naprzeciwko nacierała moja własna sekcja rozpoznania z naszej dywizji w kolejnej próbie przedarcia się. Rosyjski pułkownik wyciągnął pistolet i pobiegł do swoich czołgów. Popędził je naprzód, grożąc załogom pistoletem i wrzeszcząc, na skutek czego próba przedarcia się została uniemożliwiona. Wrócił, przeklinając.

— Te sukinsyny ciągle się was boją!

Tej nocy zostałem z pułkownikiem pilnowany przez zmęczonego żołnierza, któremu dałem jeden z papierosów* otrzymanych od pułkownika.

Zacząłem się zastanawiać. Zachowanie młodego porucznika i pułkownika raczej nie pasowało do obrazu Rosjan, jaki sobie wytworzyliśmy. Oczywiście, okrucieństwa mas, które zalały Niemcy, były niekwestionowane i przekraczały wszelkie wyobrażenie, ale to, co zgotowaliśmy Rosjanom — ogromne straty, także wśród ludności cywilnej, traktowanie rosyjskich jeńców w Niemczech oraz ogromne zniszczenia na zajętych przez nas terenach — dało powody do ogromnej nienawiści podsycanej jeszcze przez rosyjską propagandę, która to nienawiść teraz znalazła ujście. W osobistych spotkaniach jednak, tak jak w moim przypadku, wyglądało na to, że wszyscy żołnierze świata mają jedną wspólną cechę: wybrali swój zawód lub zostali wezwani do obrony ojczyzny. Szanują swoich przeciwników, którzy robią dokładnie to samo, co oni, czyli wypełniają swój obowiązek.

Wojny rozpoczynają politycy. To oni są prawdziwymi militarystami.

Postawa rosyjskich oficerów dawała nieco nadziei na przyszłość. Mimo wszystkich niepowodzeń, które dane nam było doświadczyć w następnych latach, miałem spotkać wielokrotnie oficerów oraz wielu zwykłych żołnierzy, którzy zachowywali się tak jak ten pułkownik, zwłaszcza gdy po zakończeniu wojny przestała oddziaływać propaganda.

* Następnie walczyłem z Niemcami, którzy nie mieli zamiaru się poddać.

Wyruszyliśmy w trzydniowy marsz. Do naszej kolumny dołączali coraz to nowi jeńcy, w związku z tym wciąż się powiększała. Pilnowali nas rosyjscy żołnierze ze specjalnie wyznaczonej do tego zadania jednostki. W nocy kwaterowaliśmy zazwyczaj w opuszczonych wioskach, ściśnięci na małej przestrzeni, by łatwiej było nas pilnować. Drugiego dnia maszerowaliśmy przez lasy, które wydawały mi się idealne do ucieczki. Byliśmy jedynie 30 kilometrów od Łaby, gdzie mieli być Amerykanie i Brytyjczycy. Niestety, tego dnia z powodu mojej znajomości rosyjskiego zostałem mianowany niemieckim komendantem jeńców. Od tego momentu musiałem maszerować zawsze na czele kolumny obok rosyjskiego dowódcy.

Raz czy dwa razy zdołałem odwrócić uwagę strażników, dzięki czemu około tuzinowi jeńców udało się uciec do lasu i, mam nadzieję, dotrzeć do Łaby. Nie wiedziałem jednak, niestety, że jeńcy, których miano dostarczyć, zostali dokładnie policzeni. Gdy okazało się na następnym postoju, że kilku brakowało, strażnicy zagrozili, że mnie zastrzelą, jeśli uciekną kolejni. Co gorsza jednak, wyciągnęli z pobliskich wiosek przypadkowych cywilów, by uzupełnić liczbę jeńców. Musieli oni teraz dzielić nasz los. Powiedziałem żołnierzom w kolumnie, by nie próbowali więcej ucieczki.

Stan fizyczny niektórych jeńców stanowił problemem. Zdołałem w końcu przekonać rosyjskiego dowódcę, by zarekwirował dwa wozy konne, na których umieszczono najsłabszych.

Po kilku dniach dotarliśmy do Hoyerswerda koło Drezna. Był tam jeden z obozów zbiorczych, w którym przebywało około 10 000 jeńców. Ponownie mianowano mnie komendantem i przydzielono zadanie pośredniczenia w rozmowach z rosyjskim dowódcą oraz utrzymywania w obozie dyscypliny i porządku, co wobec fatalnego stanu jeńców nie było takie proste. Wielu próbowało sprzeciwić się moim poleceniom, komentując je tak: „Koniec z rozkazami, teraz wszyscy jesteśmy

lecz na tyłach. Ludziom tym trudniej było pogodzić się z nowymi warunkami.

Także i tu głównym problemem była codzienność, nie zaś los, jaki nas czekał.

Zaopatrzenie w żywność było bardzo złe. Jedzenie składało się głównie z lurowatej zupy gotowanej z nieluskanych ziaren zbóż lub ryb, którymi zwykle karmi się świnie. Dodatkowo na osobę przypadało 300 gramów chleba.

Często musiałem udawać się z rosyjskim oficerem do pobliskich składów i wiosek, by zdobyć racje na najbliższe dni. Podczas jednej z takich wypraw spostrzegłem w rogu magazynu kilka worków niepalonej kawy. Zasugerowałem rosyjskiemu oficerowi, byśmy wzięli także nieco tych zielonych ziaren, na co się zgodził. Kazałem zatem załadować i zawieźć do obozu kilka worków kolumbijskiej kawy. Gdy przybyliśmy do obozu, rosyjski oficer chciał sam ich spróbować. Gdy nie chciały zmięknąć po długim gotowaniu, powiedział: „Wy Niemcy *niekulturne*, jecie dziwne, twarde ziarna”. W ten sposób wszystkie ziarna były dla nas. Kazałem niemieckiemu kucharzowi obozowemu przyrzadzić w następną niedzielę dla każdego jeńca po kubku kawy. Można sobie wyobrazić ich radość.

Po kilku dniach zorientowaliśmy się, że zaczęto organizować środki transportu w celu przewiezienia nas do Rosji. Rosyjski lekarz obozowy, dobry, starszy człowiek, dla którego cały świat kręcił się wokół alkoholu, powiedział mi, że jedynie zdrowi, zdolni do pracy jeńcy zostaną wysłani do Rosji. Istniały cztery kategorie, z których kategoria 4 oznaczała „niezdolny do pracy”.

Wszyscy jeńcy musieli teraz stanąć przed rosyjskim lekarzem i jego asystentami w celu zbadania, i wszystkich, którym przyznano kategorię 4, zwolniono do domów. Podczas badania zdołałem załatwić kategorię 4 kilku bardzo młodym żołnierzom, których rzucono z

butelkę czystego eteru, którą dałem lekarzowi w podziękowaniu za „opiekę”.

Próbowaliśmy oczywiście przekazać zwalnianym jakiś znak dla naszych bliskich, że żyjemy. Ponieważ pisanie listów było zabronione, jedyną szansą było, by zwalniani nauczyli się adresów na pamięć. Mój znak życia nigdy nie dotarł, więc ani moja matka, ani Dagmar, ani też moi przyjaciele nie wiedzieli, że żyję.

Transporty odchodziły na wschód niemal każdego dnia, więc obóz zaczął się wyludniać. Ostatni był transport oficerów, którym odjechałem i ja.

Do zapieczętowanych bydłych wagonów ładowano do 60 ludzi. Po obu stronach wagonu przymocowano na dwóch poziomach drewniane prycze, spało się na zmianę. Na środku wagonu był otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Niewielkie otwory dawały nieco światła, nie sposób było jednak przez nie wyjrzeć. Drzwi były cały czas zamknięte, trzy razy dziennie odsuwano je tylko na tyle, by dostarczyć wodnistą zupę. Pozostawiono nas samym sobie. Strażnicy, w większości nieprzyjaźni i nierozumni, stali wokół wagonów, gdy tylko pociąg się zatrzymał. Nawet w tych warunkach wciąż obawiali się prób ucieczki. Tylko jednej osobie udało się wymknąć na postoju przez otwór toaletowy. Wątpię, czy przedostał się do domu. W ogromnym imperium radzieckim kontrole były zbyt szczelne, a niebezpieczeństwo denuncjacji zbyt duże.

Mijały dni i tygodnie. Nie znaliśmy nawet celu naszej podróży. Jechaliśmy coraz dalej na wschód. Na jednym z postojów, gdy usłyszeliśmy słowa „Brześć Litewski”, wiedzieliśmy, że dotarliśmy na granicę polsko-rosyjską. Tam przesiedliśmy się do rosyjskich 48-tonowych wagonów, do których ładowano po 48 ludzi. Tutaj ponownie wielu chorych zostało wyselekcjonowanych i pozostało w Brześciu.

Niespodziewanie usłyszeliśmy niemieckie głosy: „*Kameraden*, jedziemy do domu. Wzięto nas do niewoli pod Stalingradem, jedziemy z obozu na Syberii.

Ruszyliśmy dalej. Wciąż nie byliśmy świadomi tego, co nas czeka. Sytuacja była zupełnie nowa. Próbowaliśmy możliwie najlepiej zorganizować się. Wielu próbowało utrzymywać formę, wykonując ćwiczenia gimnastyczne, inni zaś leżeli apatycznie na pryczach.

Z powodu mojego stopnia, głównie jednak ze względu na moją znajomość rosyjskiego, wybrano mnie na dowódcę. Aby przynajmniej na chwilę umilić czas, każdy z nas opowiadał coś ze swojego życia. Jednym z nas był mój późniejszy przyjaciel Harald „Hally” Momm, znany niemiecki dżokej i zwycięzca derby. Z powodu jego defetystycznych uwag o Hitlerze zdegradowano go ze stopnia pułkownika do porucznika i przeniesiono do mającej złą sławę Brygady Dirlewangera*. Opowiadał o swych spotkaniach z ważnymi ludźmi z otoczenia Hitlera.

Im dłużej trwała podróż — jechaliśmy ponad cztery tygodnie — tym bardziej przyzwyczajaliśmy się z konieczności do rutyny każdego dnia. Nieuniknione były rozmowy o tym, dlaczego byliśmy w tej wojnie skazani na przegraną. Niektórzy, głównie starsi, obarczali winą Hitlera, który po ataku na Polskę, zachęcony sukcesami w błyskawicznej wojnie z Polską i Francją, pomyślał, że najpierw musi podbić Rosję, by móc dyktować warunki Wielkiej Brytanii. Potępiano niemieckich generałów za to, że nie potrafili sprzeciwić się jemu. Uważano, że Hitler bezwstydnie wykorzystał naszą wierność złożonej przysiędze.

Inni, w większości młodszy, nie potrafili czy nie chcieli zrozumieć, że narodowy socjalizm się skończył. Widzieli przyczyny przegranej wojny raczej w materialnej przewadze nieprzyjaciela i usiłowali winić także niemieckich generałów, którzy nie zdołali zrealizować pomysłów Hitlera, a nawet zadali mu cios w plecy w próbie zamachu 20 lipca 1944 r. Im dłużej jednak trwała niewola, tym leniej rozumieli fatalne konsekwencje i

* Brygada Dirlewangera „wstawiła się” zbrodniami podczas Powstania Warszawskiego (przyp. tłum.).

zwanego zwykłego żołnierza frontowego nawet w ciągu lat niewoli i zyskała szacunek rosyjskich strażników i oficerów.

Już podczas transportu mieliśmy pierwszych zmarłych z powodu niedożywienia lub rezygnacji. Musieliśmy być świadkami wyrzucania ciał z wagonu na postojach. Nikt nigdy nie znajdzie ich grobów.

Dzień za dniem jechaliśmy przez niekończące się stopy i tylko podczas krótkich postojów na posiłki mogliśmy wywnioskować z pozycji słońca, że jedziemy na południowy wschód, czyli nie w stronę Syberii. Niespodziewanie, po niemal pięciu tygodniach podróży, podczas których ani razu nie opuściliśmy wagonu, pociąg zatrzymał się na dłużej. Według tych, którzy znali okolicę, musieliśmy być w okolicach Krymu lub Morza Azowskiego. Czas na odwzanie!

Wagon po wagonie prowadzono nas do stacji odwzania. Rosjanie śmiertelnie bali się epidemii, toteż golono głowy do gołej skóry nie tylko jeńców, ale nawet rosyjskich żołnierzy. Domy regularnie dezynfekowano i bielono od zewnątrz wapnem. Odwzanie było z pewnością nieprzyjemną procedurą, ale stanowiło miłą odmianę w monotonnej podróży. Nasze ubrania, wraz z nielicznymi przedmiotami, jakie pozostały nam po licznych przeszukaniach, złożyliśmy w osobnym pomieszczeniu i nago poszliśmy na odwzanie. Możliwość umycia się mydłem była jak dar z nieba. Na końcu musieliśmy znaleźć ubrania w wielkiej stercie szmat.

Podczas całego procesu nasze wagony i stacja odwzania były otoczone przez rosyjskich żołnierzy uzbrojonych w pepesze. Z wyrazu ich twarzy mogliśmy wywnioskować, że ciągle się nas boją. Dla nas było to — i zapewne wciąż jest — zadziwiające. Ponad tysiąc wygłodzonych jeńców wojennych, dla których jakakolwiek próba ucieczki równałaby się samobójstwu, dla Rosjan wciąż stanowiło śmiertelne zagrożenie. Obawa — zwłaszcza przed Niemcami — jest głęboko zakorzeniona wśród Rosjan. Jest

się torturą, jednak racja wody pozostawała tak samo niewielka jak zawsze. Pociąg wspinał się wyżej, powietrze stało się bardziej rozrzedzone. Prawdopodobnie przekraczaliśmy masyw Elbrusu. Za nim leżał Wielki Kaukaz. Wreszcie, dokładnie po 35 dniach podróży zamkniętym wagonem kolejowym, znaleźliśmy się u celu — w małym miasteczku na południowych stokach Elbrusu.

Nasza podróż trwała od 15 września do końca października. Opuściliśmy nasze wagony tylko dwa razy — raz w Rostowie na odwzanie i drugi raz w Kutaisi. Odzie wsiedliśmy do węglarek po 100 na stojaco, które przewiozły

W kaukaskich kopalniach węgla

Góry Kaukaz, która to nazwa oznacza „pokryte śniegiem”, rozdzielają krainy Kaukazu Północnego od gorących nizin Kaukazu Południowego. Najwyższym szczytem jest Elbrus (5629 m n.p.m.). Wzdłuż południowych stoków biegnie starożytny szlak wojenny i handlowy do Persji i Turcji. Leżącą na południu dolinę, długą na 1300 kilometrów, zamykają góry wznoszące się na pograniczu Persji i Turcji; najwyższym ich szczytem jest Ararat. Mieszkańcy południowego Kaukazu — Gruzini, Ormianie i Azerowie — byli uważani już w starożytności za narody miłujące wolność. Prometeusz miał tu być przykuty do skały, Jazon zaś wybierał się w te strony na poszukiwanie Złotego Runa.

W IV wieku naszej ery religią państwową zostało chrześcijaństwo. Około 800 r. n.e. zaczął rozprzestrzeniać się islam. W XII wieku, za panowania Dawida II, królestwo Gruzji przeżywało swój największy rozkwit. Uczynił on swą stolicą Tyflis (Tbilisi). Jego następczyni, królowa Tamara, jest jeszcze dzisiaj otoczona szacunkiem. Później Gruzję zajęli Mongołowie. W XV wieku królestwo upadło pod naporem Turków i Persów. Protekcji poszukano na północy. Rosjanie bardzo chętnie zawarli z Gruzinami traktat o przyjaźni. Katarzyna II mogła zrealizować odwieczne rosyjskie marzenie o otwarciu drogi do Indii. W 1801 r. Aleksander I, nie zważając na traktat, inkorporował Gruzję do Imperium Rosyjskiego. Językiem urzędowym stał się rosyjski.

Powstanie narodów kaukaskich zostało krwawo stłumione w 1860 r. Wielu
wzło w najbliższe części gór. Po rewolucji październikowej w 1917 r.

Z powodu gorącego klimatu południowy Kaukaz był już w czasach carskich ulubionym okręgiem wypoczynkowym; tak jest do dzisiaj. Mieszkali tu przez pewien czas tacy wielcy Rosjanie, jak Puszkina, Lermontow i Tołstoj. Opisali oni ten raj oraz walkę kaukaskich narodów o wolność. Aleksander Dumas zadedykował tym narodom swą książkę *Le Caucase*.

Atmosfera Kaukazu jest orientalna. W odróżnieniu od rosyjskich kobiet, które wszystkie wyglądają tak samo w swych pikowanych kurtkach i które często wykonują ciężką pracę, prawdziwe dziewczęta kaukaskie, zwykle bardzo piękne, lubują się w pięknych strojach. Wielu mężczyzn, jak zauważyliśmy, miało długie paznokcie u małych palców lewej dłoni — była to, jak nam powiedziano, oznaka, że dany mężczyzna nie pracował fizycznie.

Na nizinach rosną wszelkiego rodzaju owoce tropikalne, stąd pochodzi także większość uprawianej w Rosji herbaty. Stoki masywu Elbrusu są źródłem cenionego drewna. Nie zbiera się tu nawet wspaniałych poziomek. Gmach opery w Tbilisi zajmuje trzecie miejsce po operach w Moskwie i Leningradzie.

Mimo wszystkich kłopotów na początku XX wieku Kaukaz przeżył boom gospodarczy po rozpoczęciu eksploatacji złóż ropy położonych nad Morzem Kaspijskim oraz dzięki wielkim kopalniom węgla i innym kopalinom w regionie Tkibuli. Dobrobyt jednak w większości zniknął pod panowaniem bolszewików.

Podczas pierwszej wojny światowej Gruzini podjęli ostatnią próbę odzyskania niepodległości. Oddali swe państwo pod protektorat Niemiec. Przy pomocy sojusznika Niemiec — Turcji niemiecki generał von Kress zdołał zdobyć sympatię Gruzynów, którą my, jeńcy wojenni, odczuliśmy jeszcze po trzydziestu latach.

W 1918 r., gdy Niemcy przegrały wojnę, protektorat Gruzji przejęli

ostateczne wcielenie narodów kaukaskich do Imperium Rosyjskiego. Stalin był w tym czasie ludowym komisarzem do spraw mniejszości, toteż ponosił odpowiedzialność za los własnego narodu.

Jeszcze w 1947 r. pracowali razem z nami w kopalniach węgla Gruzini, którzy w 1936 r. próbowali zrzucić rosyjskie panowanie. Dzisiaj KGB dzięki licznym szpiegom i informatorom wie, jak tłumić wszelki opór. Dlatego też kilka prób ucieczki, wspieranych przez Gruzinów, się nie powiodło.

My, Niemcy — 1500 wygłodzonych oficerów w zamkniętych wagonach — nie mogliśmy podziwiać piękna Gruzji, gdy nasz pociąg powoli przetoczył się przez Kutaisi, prowincjonalne miasteczko w dolinie, po czym wspiął na wysokość 1500 metrów, by dotrzeć do celu naszej 35-dniowej podróży — Tkibuli.

Małe miasteczko żyło z wielkich złóż bitumicznego węgla. Wokół niego wybudowano obozy, w których przebywali rosyjscy skazańcy oraz jeńcy wojenni stanowiący siłę roboczą.

Nasz obóz nosił numer 518, później 7518. Składał się z sześciu podobozów, z głównymi obozami 518/1 i 518/11 w Tkibuli. Oprócz niemieckiego obozu 518, który obejmował obóz w Tkibuli i jeden w pobliżu Kutaisi, był jeszcze w naszej okolicy obóz dla Węgrów i kolejny dla jeńców japońskich. Oprócz tych obozów funkcjonował jeszcze w okolicy jeden ze słynnych obozów, w których siedzieli *zakluczeni*. Tu w najtrudniejszych warunkach przebywali więźniowie kryminalni i polityczni, którzy nie wiedzieli, czy kiedykolwiek odzyskają wolność.

Najbardziej zadziwiająca dla nas rzeczą były obozy dla żołnierzy rosyjskich, którzy wkroczyli wraz z Armią Rosyjską do Niemiec, a teraz mieli w ciągu dwóch lat przebywania w obozach „zapomnieć”

0 „zachodniej dekadencji”, którą widzieli w „kapitalistycznych Niemczech”. W nagrodę za swój wkład w zwycięstwo ludzi tych zamknięto

rozkazów!" i „Pokażcie, że jesteście tak dobrzy jako *plennis* (rosyjskie określenie jeńców), jak dobrzy byliście jako oficerowie!". Nie brzmiało to zachęcająco. Wspólny los oraz chęć poprawienia swego położenia umożliwiły jednak z czasem zżycie się z nimi w jedną społeczność.

Obóz był tak prymitywny, jak tylko można sobie wyobrazić obóz w Rosji. Otoczony był wysokim płotem. Na każdym rogu stała wieżyczka wartownicza, z której nocą okolicę oświetlały mocne reflektory. Silnie uzbrojeni rosyjscy wartownicy obserwowali z nich obóz.

Trzy drewniane baraki podzielone na pomieszczenia dla 40 do 60 ludzi stanowiły kwatery dla 3500 jeńców wojennych. Jedynymi meblami były piętrowe, drewniane prycze z cienkimi słomiankami, stół i kilka krzeseł. Bardzo przydał się nam prosty żelazny piecyk ogrzewający nas w mroźne zimowe miesiące. W obozie znajdował się też barak z kuchnią, pomieszczenie do suszenia ubrań, barak do odwyszania oraz latryna zbudowana z drewnianych belek, na których jednocześnie mogło ulżyć sobie około 60 ludzi, na wpół wystawionych na oddziaływanie warunków meteorologicznych. Był jeszcze barak szpitalny i rodzaj jadalni wykorzystywanej na wszelkiego rodzaju zebrania.

Poza kompleksem obozu jeden barak był dla strażników, a drugi dla rosyjskich dowódców i administracji obozu.

Zaraz następnego ranka powitano nas słowami: „Nazywam się Jupp Link". Był to niemiecki komendant obozu, żyłasty 25-latek, który był odpowiedzialny za porządek w obozie oraz kontakty z rosyjskim komendantem.

Powiedział, że tu wszyscy muszą pracować, nawet pułkownicy. Moskwa była daleko. Nikt tu nie słyszał o konwencji genewskiej. Ci, którzy nie byli zdolni do prac poza obozem, musieli wykonywać różne prace obozowe.

Jupp Link, niemiecki podoficer, jako komendant? Czy można mu było

płynnie po serbsko-chorwacku, węgiersku i rosyjsku, nadawał się więc na pośrednika w kontaktach z Rosjanami. Stosowano tu jedną z typowych rosyjskich zagrywek, a mianowicie trzymania się w cieniu i pozwalania innym na rozwiązywanie problemów.

Jupp Link przybył do Tkibuli kilka miesięcy przed nami i pomógł w budowie sześciu podobozów 518.

Ludzie z głównego obozu 518/1, około 2000, od chwili przybycia wychodzili do pracy w „brygadach dołowych”, czyli brygadach pracujących poza obozem. Specjalistów oddzielono i zatrudniono w obozie jako mechaników, radiowców, szewców, krawców itp. lub wysyłano jako mechaników do kopalni. Ponieważ Rosjanom brakowało wykwalifikowanych rzemieślników, a ci, którzy byli, pracowali niechłujnie, nasi specjaliści musieli pracować zamiast Rosjan.

Pamiętam zabawną historię, którą opowiedział niemiecki zegarmistrz. Pewnego dnia pojawił się w jego warsztacie rosyjski strażnik z budzikiem, który przywiózł z Niemiec, i oznajmił: „Ten zegar za duży. Zrób mi z niego dwa zegarki na rękę”. Gdy zegarmistrz próbował wytłumaczyć mu, że to niemożliwe, strażnik rozszłościł się i zaczął mu grozić, krzycząc: „Ty sabotaż! Ty hitlerowska Świnia!”. Dopiero interwencja Juppa Linka pomogła go uspokoić.

W ciągu kolejnych dni Jupp Link wyjaśnił nam „strukturę roboczą”.

— Wszyscy jeńcy są „zatrudnieni” przez państwowy zarząd kopalni, który odpowiada za wszystkie prace w okolicy. Komendant obozu otrzymuje pewną sumę za osobogodzinę pracy. Z sum tych musi potrącić wszystkie wydatki obozu: za żywność, ubrania i utrzymywanie baraków. Dla każdego jeńca jest prowadzona kartoteka wynagrodzeń. Z pozostałej sumy każdy ma otrzymywać miesięczne kieszonkowe. Reszta pieniędzy zostanie wypłacona w chwili zwolnienia.

a potem trafił do niesławnej Brygady Dirlewangera na „zwolnienie warunkowe do służby frontowej”.

Chociaż Rosjanie o tym wiedzieli, pracował całe lata na przodku w kopalni, a jedynym przywilejem, jaki otrzymał, była codzienna podwójna porcja wodnistej zupy.

W 1949 r., gdy pierwsi jeńcy zostali zwolnieni i Olschlagera wyznaczono do odesłania do kraju, próbował skłonić administrację obozu do wypłacenia mu wypracowanej przez niego nadwyżki. Powiedziano mu, że jego pieniądze otrzymał komendant transportu; rubli nie wolno było wwozić do Niemiec, toteż miały zostać wymienione na granicy Niemiec wschodnich. Nigdy jednak nie zobaczył ani kopiejki i rozczarowany powrócił nie do swojego dawnego domu w Niemczech wschodnich, ale na Zachód.

„Mam dość tego, co widziałem i przeżyłem — napisał na przysłanej nam pocztówce. — To nie komunizm, za który poszedłem do obozu koncentracyjnego”.

Niektórzy jeńcy otrzymali jednak niewielką przyznaną im sumę.

Następnego ranka musieliśmy wszyscy stanąć na placu apelowym, gdzie miano nam wyznaczyć prace. Pojawił się rosyjski komendant, oficer armii, któremu towarzyszył oficer NKWD (dzisiejszego KGB) oraz Jupp Link. Niemał krzycząc i mocno gestykulując, komendant oznajmił nam, że musimy teraz zapłacić za zbrodnie Hitlera i odpracować krzywdy, jakie wyrządziliśmy narodowi rosyjskiemu.

Potem wydał rozkaz:

— Wszyscy do lekarza, najsilniejsi do kopalni, inni do budowy dróg. Wszyscy muszą pracować. *Dawaj!*

Rosyjskim lekarzem obozowym był doktor Hollaender; asystowała mu jego żona. Oboje byli Żydami i ze zrozumiałych powodów niezbyt dobrze ku nam nastawieni. Nie tylko musieli możliwie szybko przywracać chorym

łącznie przez dwanaście godzin: osiem godzin na dole i dalsze cztery, jakie zajmował przemarsz w obie strony. Jeśli wracaliśmy zmęczeni i przemoczeni, szybko siorbaliśmy zupę i waliliśmy się spać.

Ku memu wielkiemu zaskoczeniu pewnego dnia zostałem wyznaczony na niemieckiego komendanta obozu. Jupp Link został inspektorem pracy. Rosyjski komendant nalegał nawet, bym nosił oznakę stopnia i mój Krzyż Rycerski jako oznaki godności. Otrzymałem *propusk*, czyli przepustkę, która pozwalała mi przebywać bez nadzoru poza obozem do godziny dwudziestej drugiej. Jednym z moich obowiązków było utrzymywanie wraz z Juppem Linkiem kontaktu z naczelnikiem, kierownikiem kopalni węgla i najważniejszym człowiekiem w miasteczku. To z nim i jego urzędnikami były negocjowane normy pracy. Także w tej sprawie rosyjska administracja obozu najczęściej nie uczestniczyła.

Gdy ten potężny człowiek usłyszał, że walczyłem w Rosji w 1941 r. jako niemiecki pułkownik, zapytał mnie pewnego dnia:

— Gdzie walczyliście? W której dywizji?

— Na środkowym froncie z 7. Dywizją Pancerną, szlak wiódł przez Smoleńsk i Wiaźmę do Klina i Jachromy, na północ od Moskwy.

— Opowiedzcie mi o Jachromie — poprosił. — Kiedy dokładnie tam byliście?

Byłem zaskoczony jego zainteresowaniem, ale powiedziałem mu.

— W grudniu 1941 r. nacierałem z moim pancernym batalionem rozpoznawczym przez Klin do kanału Moskwa-Wołga i zdołałem go sforsować jako pierwsza jednostka w Jachromie, około 30 do 40 kilometrów na północ od Moskwy. Dobrze pamiętam, że weszliśmy do małej rosyjskiej gospody, żeby się ogrzać. Na stole stał parujący samowar i niemal nietknięte śniadanie, które zjedliśmy z apetytem.

— To było moje śniadanie. Byłem pułkownikiem rezerwy i podczas

Po tym spotkaniu nasze drogi miały się często przecinać.

Moja działalność jako niemieckiego komendanta obozu była krótkotrwała. Wprowadzono rosyjskich komendantów. Sześć obozów w rejonie Tkibuli znajdowało się pod zwierzchnictwem pułkownika Laroche, potomka rodziny hugenockiej, która uciekła do Rosji. Z nim jednak się nie stykaliśmy.

Nasz obóz 518 przypadł kapitanowi gwardii Zanie zaradzę*, Gruzinowi. Jego zastępcą był rosyjski pułkownik (zdarza się tak często w Armii Rosyjskiej). Obaj byli oficerami armii nadzorowanymi przez NKWD, do którego należała też „Czarna Nena”, *politruk*, pochodząca z Armenii.

Wezwano mnie do Zamczaradzego, który poprosił, bym podał nazwiska wszystkich jeńców, którzy byli oficerami SS, członkami oddziałów policyjnych lub jednostek, które były używane do działań przeciwko partyzantom. W zamian zaproponował mi zwiększone racje żywnościowe i inne przywileje. Obok niego stał oficer NKWD przyglądający mi się podejrzliwie.

Moja odpowiedź zawierała się w słowach:

— Nie znam nikogo w tym obozie, kto należałby do którejkolwiek z tych jednostek.

Oczywiście, było kilku jeńców, o których wiedziałem, że służyli w SS czy policji, oraz kilku innych, których o to podejrzewałem. Byłem jednak zdania — i wciąż jestem — że każdemu niemieckiemu jeńcowi wojennemu należało się takie samo traktowanie. Jeśli był winny czemukolwiek, powinien\ zostać po zwolnieniu postawiony przed niemieckim sądem. W żadnym przypadku nie należało przekazywać go Rosjanom.

Ponieważ odmówiłem podania jakichkolwiek nazwisk, nawet gdy dano mi czas do namysłu, zostałem usunięty z funkcji komendanta, którą ponownie otrzymał Jupp Link. Jednocześnie musiałem zdjąć wszelkie oznaki stopnia i

albo spadały nocami z sufitu. Zdobyliśmy nieco metalowych puszek z kopalni i wypełniliśmy je zdobytą benzyną, by uniemożliwić pluskwom wspinanie się na prycze. Co kilka tygodni wynosiliśmy prycze z baraków, by wypalić je lampami lutowniczymi, także zorganizowanymi w celu zniszczenia pluskiew. Przez całe lata były to jednak beznadziejne zmagania.

Najbardziej doskwierały nam racje żywnościowe. 300 gramów chleba dziennie, które oficjalnie mogliśmy otrzymać, zawierało do 30 procent wody, dlatego wielu w złości ciskało swe porcje o ścianę baraku, do której porcja przyklejała się. Cienka zupa nie zawierała żadnych składników odżywczych, nie licząc niewielkich ilości mąki jaglanej lub kukurydzianej. Chleb i wodnista zupa stanowiły podstawę naszej diety. Czasami otrzymywaliśmy ryby najróżniejszych gatunków. Kolega — jeniec Winand — opowiedział mi, że zwykle gotował zupę z rybich głów, potem zaś na drugie danie piekł ości.

Prawie nie było tłuszczu, przypraw czy witamin. W efekcie tego gwałtownie zwiększyła się śmiertelność z powodu niedożywienia. Choć niemal nie zdarzały się słynne choroby cywilizacyjne, prawie wszyscy jeńcy mieli obrzęk kończyn dolnych. Jeśli dotarł on do serca, śmierć była pewna. Kolejne przypadki zgonów były spowodowane skrętem kiszek wynikającym z braku tłuszczu. Personel medyczny był bezradny.

Niemieccy lekarze wielokrotnie powiadamiali rosyjskich komendantów, że śmiertelność wśród jeńców zwiększy się, jeśli wyżywienie się nie poprawi. Ponieważ jednak racje żywnościowe ustalano w Moskwie, nie można było nic zrobić. Wręcz przeciwnie, przeklinano nas tym bardziej, gdyż to nasza imperialistyczna wojna spowodowała problemy żywnościowe w Rosji.

Inną częstą chorobą był paratyfus. Ponieważ zwykle kończył się śmiercią, a Rosjanie obawiali się zakażenia, zorganizowali więc pilnie strzeżoną izolatkę.

Pewnej nocy koło mojej pryczy pojawił się graf Hohenlohe, młody

Żaden z nas nie zapomni widoku zmarłych w szpitalu, wrzucanych każdego ranka na stare wózki i wywożonych z obozu przez wychudzonych jeńców wojennych na pospieszny pogrzeb. Nie pozwolono nam grzebać ich oraz umieszczać na ich grobach krzyży i tabliczek z nazwiskami. Mimo zakazu zapisywaliśmy ich nazwiska na skrawkach papieru, te jednak zabierano nam w końcu podczas regularnych przeszukiwań. Uzgodniliśmy zatem, że każdy zapamięta jedno czy dwa nazwiska, by — jeśli zdoła powrócić do domu, — powiadomił krewnych zmarłego.

W ciągu pierwszych dwóch lat, zwłaszcza podczas ciężkich górskich zim, zmarło około 50 procent jeńców wojennych.

Gwoli uczciwości trzeba dodać, że nawet Rosjanie w latach 1945-1946 nie mieli wiele lepiej niż my, jeśli chodzi o wyżywienie. Większość z nich mogła jednak zdobyć coś na targu, na którym okoliczne wieśniaczki sprzedawały pszenicę, jajka i jaglane placki.

Po dwóch latach my, których oszczędziły choroby i którzy nie porzuciliśmy jeszcze nadziei na powrót do domów, zaaklimatyzowaliśmy się. Głód, co prawda, pozostał, nie zabrakło nam jednak siły, co zadziwiające.

W obozie był dobry niemiecki dentysta, którego pracę nadzorował doktor Hollaender. Jego jedynym narzędziem była ręczna wiertarka. Nie było także środków znieczulających, toteż w razie potrzeby chore zęby rwano bez znieczulenia.

Najgorsi byli strażnicy, którzy szukali u nas złotych koronek. Jeśli je znajdowali, wylamywali je przy użyciu szczypiec, by je później sprzedać i uzupełnić swój żalosny żołd. Nie mogliśmy się bronić. Dla mnie osobiście rezultat był taki, że musiałem kazać sobie wydłutować dolną szczękę, gdyż była pełna ropy i korzeni spróchniałych zębów.

Uderzyła nas jeszcze jedna osobliwość. Moskwa rozkazała, by racje wodnistej zupy i chleba, takie same dla wszystkich, w przypadku oficerów

li sprawić, by te dodatkowe racje rozdzielano po równo między wszystkich jeńców, tak jak przywykliśmy to robić w armii.

Usunięto mnie wówczas ze stanowiska niemieckiego komendanta i przydzielono do pracy w szybach. Czuję się sprawny, jak na tamte warunki, i cieszyłem się trochę, że nie pełnię żadnej funkcji, gdyż wówczas znajdowałem się między młotem a kowadłem, gdy trzeba było pomóc kolegom, jednocześnie zadowolając rosyjską administrację obozu. Dzisiaj rozumiem lepiej, jak trudne to musiało być dla młodego Juppa Linka i jak wdzięczni powinniśmy być wszyscy za jego wysiłki.

Główny szyb, w którym pracowałem, służył do eksploatacji zadziwiająco grubego dla górników europejskich pokładu, który miejscami miał grubość 15 metrów. Dobry, błyszczący węgiel bitumiczny wydobywano systemem komór. Pracowaliśmy razem z Rosjanami i Gruzinami, którzy okazali się dobrymi towarzyszami i często dzielili się z nami ostatnią kromką chleba.

Władze zapomniały zabrać mi moją przepustkę, toteż mogłem w każdej chwili wychodzić z obozu. Strażnicy, którzy tymczasem poznali mnie dobrze, często prosili, bym im kupił coś na targu i dawali na zakupy swoje kopiejki.

Jak w każdym przedsiębiorstwie w Rosji, wyznaczano normę wydobycia węgla, którą każdy musiał codziennie wykonać. Chociaż byliśmy w złym stanie fizycznym, nasi górnicy starali się wykonać plan z niemiecką dokładnością i solidnością. Dzień za dniem jedna z brygad przekraczała plan. Rosjanie natychmiast na nią naskoczyli.

— Czyście poszaleli!? — krzyczeli. — Gdy norma zostaje przekroczona, natychmiast następnego dnia podnosi się ją dla wszystkich, a mimo to nie dostajemy ani grama chleba i ani kopiejki więcej. Wykonajcie normę i koniec.

Była to dla nas lekcja.

Z drugiej jednak strony widziałem niektórych Rosjan, zwykle spośród

W wyrobiskach węgiel kamienny wydobywano do głębokości 15 metrów. Środki bezpieczeństwa były niemal nieznane. Z jednej strony kierownictwo kopalni sterowane z Moskwy nie mogło sprawić, by niezbędne środki, takie jak kaski itp., zostały dostarczone na Kaukaz, z drugiej zaś chodziło tylko o zbrodniarzy i jeńców wojennych: jeden więcej czy mniej nie robiło różnicy. Zamiast kasków ochronnych nosiliśmy prymitywne czapki. Wyrobiska nie były w żaden sposób zabezpieczone. Wciąż dziwię się, że miało miejsce tak niewiele poważnych wypadków.

W ciągu zimowych miesięcy musieliśmy sami zadbać o ogrzewanie baraków. W rzeczywistości odpowiedzialny za to był także rosyjski komendant, ponieważ jednak w wyrobiskach było dość węgla, oszczędzał sobie wydatków. Administracja kopalni surowo zabroniła wynoszenia węgla, jednak po każdej sztychcie górnicy wynosili spore zawiniątka z cennym minerałem, które wózkami przewozili do obozu. Rozdzielano go tam po równo na wszystkie pomieszczenia. W ten sposób lewa ręka nie wiedziała, co czyni prawa.

Na początku 1946 r. — po kilku miesiącach pracy w kopalniach — zostałem niespodziewanie przeniesiony do brygady budującej drogi. Nie wiem do dziś, komu powinienem dziękować za to przeniesienie — Juppowi

Kultura i korupcja — rosyjska mentalność

Straszny, nigdy niezaspokojony głód pozostał. Podobnie jak okrzyki rosyjskich strażników i nadzorców. Ich ciągle: *Dawaj! Dawaj!* towarzyszyło nam każdego dnia. My, ocaleni, powoli odnaleźliśmy swój rytm i zaczęliśmy przystosowywać się do rosyjskiej mentalności. Nie tylko pracujący w kopalni, ale nawet pracujący na górze wkrótce zyskali uznanie jako prawdziwi specjaliści, nie tak skorumpowani jak nasi rosyjscy koledzy. Jeśli na nas krzyczano, krzyczeliśmy w odpowiedzi. Ku naszemu zaskoczeniu, proszono nas wówczas: „Wróćcie do pracy albo będziemy mieli kłopoty”.

Każdy, kto wyobraża sobie, że praca przy rosyjskich drogach oznaczała naprawianie bitych nawierzchni lub budowę nowych z użyciem ciężkiego sprzętu, tak jak to wygląda na Zachodzie, jest w wielkim błędzie. Musieliśmy raczej wybrukować i doprowadzić do stanu przejezdności błotniste drogi, które wiodły do drewnianych dacz *naczałników* zbudowanych w pewnym oddaleniu. Ciężarówki Studebaker, których tysiące dostarczyli Amerykanie, przywiozły nam nieociosane kamienie. Klęcząc, osadzaliśmy je w błocie. Niekiedy widziałem *obnac7,alnika*, „śniadaniowego pułkownika” z Jachromy, przejeżdżającego obok nas państwową limuzyną. Pewnego dnia rozpoznał mnie, zatrzyma! się i powiedział:

— Co tu robicie? Dlaczego wysłano was tu jako zwykłego robotnika, a nie specjalistę? Porozmawiam z waszym komendantem.

Zapewne to uczynił, gdyż kilka dni później wezwał mnie Zam- czaradze.

— Od jutra będziecie pracować jako brygadzysta w brygadzie betonowej. Wybierzcie sobie w obozie kilku specjalistów. Eskorta zabierze was do nowego miejsca pracy.

Jupp Link pomógł mi znaleźć kilku najsilniejszych żołnierzy. Jedynym specjalistą wśród nich był murarz. Inni byli fizykami, rolnikami i urzędnikami, zbyt słabymi do pracy w kopalni.

Następnego ranka przybyła eskorta i zabrała nas do budynku nad kopalnią, gdzie pracowała już rosyjska brygada.

— Wynosić się, skurwysyny! — wrzasnął na nich rosyjski kierownik. — Ukradliście i sprzedaliście większość cementu. Teraz *Niemce* (Niemcy) pokażą wam, jak się pracuje.

Jaka była nasza praca? Musieliśmy wykopać otwór o wymiarach mniej więcej cztery na cztery metry i głębokości ośmiu metrów, po czym oszalować go drewnianymi belkami. Miał to być zbiornik cementu przeznaczonego na zatopienie wyeksploatowanej części kopalni. Jeśli chodzi o materiały, to mieliśmy do dyspozycji drewniane belki, żwir, kilka worków cementu oraz łopaty, żelazną misę do mieszania, a także słynne nosiłki*. Nosiłki to zwykle drewniane tragi z dwoma uchwytyami po obu stronach. Używa się ich powszechnie w Rosji do przenoszenia ciężarów.

Pokazując prosty rysunek, który przysłano z Moskwy, rosyjski nadzorca powiedział nam, co mamy zrobić, po czym po raz kolejny padło: „*Dawaj*, do roboty! Kopać głębiej oszalować dziurę i wypełnić betonem. Mieszać jeden do siedmiu. Wróć za kilka godzin. Niech Bóg was broni, jeśli ukradniecie cement". Pozostawił potem mnie i moich ludzi naszemu losowi.

Ledwie wyszedł, gdy nadeszli pierwsi Rosjanie i Gruzini.

— Towarzyszu, sprzedajcie nam cement — prosili. — Dom się wali. Damy wam chleba i ruble.

Tak więc było z tą korupcją!

Ponieważ wiele niezbędnych artykułów, zarówno wówczas, jak i dzisiaj, było niedostępnych, więc nie mógł ich kupić zwykły obywatel, a przy tym wszystko było rozdzielane przez organizacje państwowe, trzeba zatem było je załatwić. Taka korupcja jest na porządku dziennym, jest niemal legalna

- Jeśli zginie choć jeden worek cementu, to będzie wasza wina
— oznajmiłem mu.

Nieco więcej niż tydzień zajęło nam wykopanie dołu. Oszalowaliśmy go i rozpoczęliśmy katorżniczą pracę mieszania łopatami żwiru i cementu oraz noszenia go nosilkami do dołu. Potem pojawił się *obernaczelnik*.

- Muszę powiedzieć, że wszyscy Niemcy to specjaliści i dobrzy robotnicy. Jestem bardzo zadowolony. Norma wykonana i nie sprzedaliście materiałów.

Zwracając się do mnie, dodał:

- Jest pan dobrym betoniarzem, *potkownik*. Mam dla was specjalne zdanie. Czy możecie zbudować przy moim domu kamienne schody i fontannę? Dostaniecie wszystkie materiały.

- W porządku — odpowiedziałem. — Ale musicie poprosić komendanta obozu i zapłacić nam za każdy dzień chlebem i kopiejkami.

Następnego dnia zjawił się ponownie, w międzyczasie wszystko zorganizował. Nie wiem, ile musiał zapłacić Zamczaradzemu.

Aby wykonać to zadanie, wybrałem ponownie murarza i fizyka, który był bardzo słaby fizycznie, oraz rolnika z moich rodzinnych stron. *Naczelnik* zabrał nas z obozu osobiście.

- Nie będzie eskorty. Oto chleb*, po bochenku dla każdego z was.

- A gdzie kopiejki? — zapytałem.

- *Zaftra*, pieniądze będą jutro.

- Nie, od razu albo nie zaczniemy.

Wówczas otrzymaliśmy pieniądze, za które natychmiast kupiliśmy na targu nieco warzyw i gruziński placek kukurydziany.

Po tygodniu fontanna była gotowa, chociaż bez wody, gdyż ciśnienie było za małe.

- Nieważne — powiedział *naczelnik* — fontanna jest ładna taka, jaka
jest

Rozeszła się wieść o naszej specjalności. Inni niżsi rangą *naczolnicy* i funkcjonariusze przyjeżdżali, by przekonać się na własne oczy, co zrobiliśmy. Jeden z nich zapytał mnie:

Wspaniale. Wkrótce tu skończycie. Zbudujecie mi dom? Materiały są na miejscu, dobrze pilnowane.

Ponownie odpowiedziałem tak samo:

— Zapytajcie komendanta obozu, a potem każdego ranka bochenek chleba i rubel dla każdego z nas czterech.

Także i on dogadał się z Zamczaradzem, ponieważ gdy zakończyliśmy pierwsze zlecenie, zabrał nas na wzgórze, gdzie miał stanąć jego dom. Znaleźliśmy tam wiele materiałów, które zostały załatwione przez kilka ostatnich miesięcy, jak nam się z dumą pochwalił. Było jednak tylko trochę cementu. Pracowało tam już czterech rosyjskich skazańców, którzy właśnie położyli fundamenty i zaczęli wznosić ściany.

— Te skurwysyny pracowały tu już dwa tygodnie. Zobaczcie, ile zrobiły.

Kopnął już ustawiony kawałek ściany, który natychmiast się przewrócił. Zamiast budować z odpowiednią zaprawą, sprzedali tyle cementu, ile mieli odwagę, i mieszały resztę składników w stosunku jeden do dwudziestu.

Spojrzałem na miejsce budowy. Nie miałem oczywiście pojęcia o budowaniu domów, ale powiedziałem temu człowiekowi z przekonaniem w głosie:

— Dobrze, zbudujemy wasz dom. Będziecie zabierać nas z obozu każdego ranka. Nie zapomnijcie o chlebie i rublu dla każdego z nas. Powiedzcie mi, czy macie projekt? Jak ma wyglądać dom?

— Bez planów. Potrzebne mi są dwa pokoje z oknami i wejście. Dacie sobie radę. Jutro będzie tu nowy cement, a w nocy wszystkiego będzie pilnował strażnik. Macie chleb i ruble.

Do czego miałem przydzielić moich trzech słabych towarzyszy?

Wkrótce nauczyłem się właściwie operować cementem i zaprawą. Ponownie wieśniacy chcieli kupić od nas cement. Pozostaliśmy jednak niewzruszeni i wzięliśmy sobie za punkt honoru, by zbudować naszemu pracodawcy solidny dom.

Już drugiego dnia człowiek ten był zachwycony.

— Dobry to będzie dom, można kopać i nic się nie wali!

Zbudowaliśmy dwa pokoje według naszego uznania, z oknami wyglądającymi na Elbrus oraz z wejściem. Postawiliśmy ściany w nieco ponad tydzień.

— Jesteśmy tylko murarzami. Do drewnianego dachu musicie znaleźć kogoś innego. — Chcieliśmy, by także inni więźniowie mogli zarobić coś ekstra.

Gdy zakończyliśmy pracę, powiedziałem do *naczelnika*:

— Jeśli zapłacicie nam coś ekstra, dostaniecie coś specjalnego, coś, czego nikt nie ma na całym Kaukazie. Musicie tylko dostarczyć nam jeszcze trochę cementu i trochę kredy.

Zgodził się natychmiast, pomalowaliśmy ceglane ściany w białe pasy.

— To najpiękniejszy dom, jaki widziałem. Dajcie mi na to monopol. Chcę być jedynym w miasteczku, kto ma coś tak wspaniałego.

W zamian za jeszcze nieco rubli dałem mu obietnicę.

Następnego dnia, ostatniego na tej budowie, przybyło dużo ciekawskich, by podziwiać ten cud. Wielu funkcjonariuszy prosiło nas o podobne ozdobienie ich domów, ale dotrzymałem złożonej obietnicy.

Po kilku tygodniach mój zleceniodawca wziął mnie ze sobą i pokazał wykończony dom oraz sypialnię, w której stały dwa łóżka, szafa i stół. Przydzielono mu je z Moskwy, miały pozostać jedynymi w okolicy przez następne trzy lata. Do domu przybyło w niedzielę wielu ciekawskich, tym razem by podziwiać przez okno sypialnię.

Дата та місце написання: 1920 рік, місто Москва, Росія.

jak odwozi jego dwoje dzieci do szkoły. W drodze powrotnej szofer kupował mleko, masło, papierosy, mąkę i cukier w specjalnym sklepie dla funkcjonariuszy i *naczelników*. Ku memu oburzeniu widziałem raz, jak karmiono mlekiem świnię. Równie oburzył mnie widok worków mąki i cukru wyładowywanych przed jego domem, podczas gdy w tym czasie zwykli mieszkańcy stali w kolejkach przed państwowymi sklepami po kawałek chleba

i rzadkie przydziały cukru i mąki.

Wciąż miałem mój *propusk*, którego często używałem, by móc samodzielnie wracać po pracy do obozu. Po drodze często rozmawiałem z Rosjanami i Gruzinami, z których wielu zwierzało się mnie, obcemu. Byli niezadowoleni, ale bezsilni wobec systemu, którego nie byli władni zmienić. Szczególnie lubiłem rozmowy ze starszym panem, który był niegdyś profesorem w dawnym Petersburgu, a teraz wygnano go tu na resztę życia. Dożywał swych dni, zarabiając na skromne utrzymanie, pisząc listy dla licznych analfabetów.

Jeśli chodzi o nasze obozowe życie, także zaszły w nim pewne zmiany. Na rozkaz z Moskwy należało teraz zrobić coś w kwestii kultury*. Po pierwsze, z wielką pomocą Juppa Linka zorganizowano bibliotekę, w której były jednak tylko rosyjskie książki i gazety. Dużo ważniejsze było dla nas pozwolenie na utworzenie obozowej orkiestry i grupy teatralnej oraz to, że mogliśmy uprawiać sport. W naszym obozie liczącym około 3500 jeńców było wielu muzyków, dyrygentów, scenarzystów, producentów, aktorów, pisarzy i innych, gotowych natychmiast wcielić plany w życie. Ku naszemu zaskoczeniu dostarczono nam wszystkie instrumenty niezbędne do utworzenia kompletnej orkiestry. Skutkiem ubocznym była grupa jazzowa. Technicy

1. *Wspomnienia z obozu. Z pamiętnika...*

Struve'a i „Kobesa” Witthausa, którzy przygotowali także aranżację dla orkiestry, tekst napisał Helmut Wehrenfennig. Cała partytura operetki „Die Czardasfiirstin” („Księżniczka Czardasza”) została spisana z pamięci przez E. Kalmana, jej kompozytora*. Znaleźli się także zawodowi śpiewacy, wśród nich tenor Reini Bartel. Partie kobiece wykonywali młodzi amatorzy, którzy wkrótce śpiewali jak zawodowcy. Już same próby obudziły w nas wspomnienia i tęsknotę.

Zimą 1946-1947 na pierwszym przedstawieniu obecny był Zam- czaradze ze swymi oficerami oraz funkcjonariusze NKWD, *ober- naczelnik* i działacze z regionu, czyli wszyscy okoliczni dygnitarze. Przedstawienie było wielkim sukcesem. Gdy *obernaczelnik* zapytał o pochodzenie reflektorów, przewodów i tym podobnych rzeczy, Zamczaradze odparł: „Więżniowie je znaleźli”. Na twarzy *ober- naczelnika* pojawił się uśmiech zrozumienia.

Później teatr i orkiestra zyskały taką sławę, że członkowie opery w Tbilisi, którzy przybyli na nasze przedstawienia, zapytali, czy ensemble jeńców nie mógłby wystąpić w ich operze. Czuliśmy się zaszczytzeni, niestety, nie było to możliwe w Rosji. Jakie byłyby konsekwencje, gdyby jeńcy wystąpili gościnnie w gmachu państwowej opery? Zamiast tego nasze ensemble jeździł do innych obozów, w tym do węgierskiego i japońskiego, gdzie odniósł wielki sukces.

Bardzo popularny był także jazz band. Willi Glaubrecht, perkusista, jeszcze żyje. Ponieważ w Trzeciej Rzeszy wszelkie odmiany jazzu, muzyki „obcej” i dekadenckiej, były zakazane, a słuchanie , zachodnich rozgłośni było karane obozem koncentracyjnym, zainteresowanie tym rodzajem muzyki było szczególnie duże. Nikt jednak jej nie znał.

Jako fan Glena Millera zdołałem w Paryżu podczas naszej okupacji dotrzeć do murzyńskiej kapeli występującej w sekrecie w piwnicy

i tam dokładnie poznałem „In the Moon” Glena Millera. Zaśpiewałem te

Georg Vieweg er był recytatorem w grupie kulturalnej. Karl-Heinz Engels organizował wieczory kabaretowe, które zawsze monitorował nasz rosyjski *politruk*, Czarna Nena. Należała ona do NKWD i była odpowiedzialna za kulturę. Miała złośliwą naturę i w żadnym razie nie była do nas przyjaźnie nastawiona. W jednym przypadku orkiestra przeciwzyła i włączyła do programu i, jak zawsze, przedstawiła do zatwierdzenia Czarnej Nenie marsz „Otworzyć ogień”.

— *Niet'* — brzmiała jej odpowiedź. — Możecie śpiewać o ogniu, *nicht Krieg*.

Następnego dnia pokazano jej tytuł „Ognisko w obozie”.

— To jest dobre, my, Rosjanie, lubimy ogniska obozowe.

Był to ten sam marsz, zmieniono jedynie tytuł.

Rosjanie mają specjalny stosunek do kultury, jak ją nazywają. Z jednej strony są bardzo muzykalni i przyznają swoim artystom specjalne przywileje, o ile tworzą zgodnie z linią partii. Z drugiej zdają sobie sprawę, że muzyka i inne przejawy kultury motywują ludzi i pozwalają im na pewien czas zapomnieć o gorzkiej rzeczywistości.

Jednocześnie z organizowaniem w obozach życia kulturalnego utworzono Antifę, grupę antyfaszystowską, która działała przy niemieckim komendancie obozu, a którą nadzorowała i reedukowała Czarna Nena. W jej skład weszło kilku starych niemieckich komunistów oraz paru oportunistów, którzy liczyli na korzyści

i przywileje z racji członkostwa w grupie. Reszty Antifa nie interesowała. Nazwiska szczególnie gorliwych jej zwolenników zostały zapamiętane i wielu z nich zostało zbitych, gdy zostaliśmy już zwolnieni.

Oprócz oficjalnej działalności naszej orkiestry i grupy teatralnej we wszystkich pomieszczeniach odbywały się wieczorne wykłady wygłaszane przez jańców, kalczuków i konkowców. Ichtem czytali referaty na wybrany

październikowej zaś musiał uciekać z dwoma braćmi. Wybrali oni za miejsce ucieczki Madryt i Paryż. Borys natomiast udał się do Niemiec. Najpierw uczęszczał do szkoły aktorskiej, chociaż teatr w trudnych latach po pierwszej wojnie światowej był stratą czasu. Przerzucił się więc na przemysł, ożenił i miał córkę Tamarę. Mieszka ona dzisiaj w północnych Niemczech. Opowiedziała mi wiele

o swoim ojcu i udostępniła jego listy oraz fotografie, które przypomniały mi wspólne z nim przeżycia w obozie 518.

Karzov mówił płynnie w pięciu językach. Z tego powodu wcielono go do armii na początku drugiej wojny światowej jako specjalnego tłumacza. Mam przed sobą fotografię prasową, na której jest Karzov z niemieckimi i rosyjskimi oficerami po wytyczeniu linii demarkacyjnej po kampanii polskiej w 1939 r., gdy Polskę znowu podzielono, co przyniosło ponownie cierpienia uwięzionemu narodowi polskiemu — tym razem z obu stron.

Podczas kampanii rosyjskiej, gdy sformowano słynną Armię Własowa z wziętych do niewoli oraz wyzwolonych oficerów i żołnierzy, Karzova zatrudniono jako tłumacza w jednostce kozackiej. Na fotografiach widać go razem z oficerami kozackimi w charakterystycznych mundurach i konno.

Były to jednostki, które nie miały szans w morderczych walkach z użyciem czołgów. Było jasne, że działania Karzova i jego rosyjskie pochodzenie muszą być bardzo podejrzane dla Rosjan. Miało to później dla niego fatalne konsekwencje.

W naszym obozie Karzova początkowo nie niepokoiono. Władze korzystały z jego znajomości języków i pozwoliły mu być członkiem grupy teatralnej.

Nigdy nie zapomnę, jak czytał głośno utwory Puszkina i Dostojewskiego. Nawet rosyjscy oficerowie i funkcjonariusze NKWD szczerze przyznawali: „Karzov mówi wspaniale po rosyjsku, tak jak my już dziś nie potrafimy. Nasz

rosyjskiej kultury, muzyki i mentalności. W odróżnieniu od byłych oficerów SS i policji, których bez przerwy przesłuchiowano, Karzova, ku naszemu zaskoczeniu, pozostawiono we względnym spokoju.

Później, niespodziewanie, pewnej letniej nocy w 1948 r. został zabrany z obozu. Przeczuwaliśmy coś strasznego.

Jego córka Tamara potwierdziła to, o czym dowiedzieliśmy się tajnymi kanałami: Karzov został przeniesiony do specjalnego obozu w pobliżu Smoleńska, gdzie dość poważnie zachorował. Skutkiem tego znalazł się w szpitalu wojskowym koło Rosławia, na południe od Smoleńska. Według raportu niemieckiego lekarza po zwolnieniu ze szpitala Karzov został zamknięty w więzieniu, gdzie usiłowano zmusić go do przyznania się. Ponieważ niczego nie można mu było udowodnić, wożono go wszędzie tam, gdzie walczył podczas wojny w Rosji, i wystawiano na widok publiczny. Gdy został zwolniony z więzienia w stanie skrajnego wyczerpania, ten sam lekarz ponownie go wyleczył.

Według informacji Czerwonego Krzyża Karzov umarł w lipcu 1949 r. w Smoleńsku. Okrutne traktowanie, któremu dzielnie opierał się tak długo, jak potrafił, oznaczało zapewne jego koniec.

Los Karzova przypomina los wielu, (którzy zginęli w obozach karnych — dawnych członków SS i policji oraz niemieckich żołnierzy, którzy walczyli przeciwko partyzantom.

Po pierwszych trudnych latach w obozie pojawiło się kilka oznak poprawy. Z odbiorników radiowych, zabranych przez Rosjan z Niemiec i przekazanych do naprawy, nasz radiowiec zdołał wymontować dość części, by po pewnym czasie zbudować własny nadajnik i odbiornik, nie uszkadzając przy tym naprawionych odbiorników. W innych obozach również zrealizowano ten sam pomysł.

Oczywiście, tylko kilku ludzi można było dopuścić do tajemnicy. Dzięki

dnia naszego zwolnienia Rosjanie nie potrafili wyjaśnić, w jaki sposób byliśmy zawsze tak dobrze poinformowani.

Zapewne największym obciążeniem psychicznym w pierwszych latach przebywania w obozie był brak jakiegokolwiek kontaktu z rodzinami w kraju. Ani my, ani rodziny nie mieliśmy o sobie żadnych wieści, nawet nie wiedzieliśmy, czy jeszcze żyjemy.

Potem — zapewne z powodu nacisku mocarstw zachodnich — pozwolono nam wreszcie napisać raz w miesiącu pocztówkę, na której wolno było użyć 25 słów, w tym adres. Nie było to wiele, ale przynajmniej można było wysłać i otrzymać znak życia od bliskich. Później pozwolono nam pisać kartki o nielimitowanej liczbie słów. Warunek ten spowodował ujawnienie się prawdziwych artystów w pisaniu drobnymi literami. Organizowano zawody w tym, kto potrafi umieścić więcej słów na kartce. Od wiosny 1948 r. pozwolono nam pisać jeden list co trzy miesiące. Tego typu szykany, gdyż tak to postrzegaliśmy, wynikały także z rosyjskiej mentalności.

Działanie poczty cechuje niedbalstwo oraz brak zainteresowania urzędników. Ogromne odległości w wielkim imperium, zarówno w części europejskiej, jak i azjatyckiej, oraz bezwładny system powodowały, że utrzymanie normalnej łączności było niemal niemożliwe. Dodatkowo Rosjanie nie mają żadnego poczucia czasu i przestrzeni. Są to dla nich pojęcia abstrakcyjne. Jakże często w odpowiedzi na pytanie o to, kiedy wreszcie pozwolą nam wrócić do domu, mówili nam: „Czego wy chcecie? Rosja to wielkie miejsce. Możecie znaleźć chleb, pracę i kobiety. Dlaczego nie chcecie tu zostać? Wasze żony już dawno znalazły sobie innych mężczyzn”. Z naszym zupełnie innym sposobem myślenia cóż mogliśmy powiedzieć na taki stosunek do życia.

Rosjanie ze swoim fatalizmem radzili sobie w takich warunkach tym łatwiej, że nie wiedzieli, jak wygląda życie gdzie indziej i jak bardzo my na

i pewnie znajdzie mężczyznę, który wykarmi ją i dzieci. Muszę dbać, by wyżyć tutaj".

Po liberalizacji dzięki programowi kulturalnemu i działalności grupy Antifa stopniowo powstała społeczność, która mogła opierać się złemu traktowaniu i wyżywieniu, które było jak zwykle okropne. Nasza działalność jako niemieckich specjalistów sprawiła, że staliśmy się niezbędni w wielu dziedzinach, co wykorzystywaliśmy, gdy tylko nadarzała się okazja. Mimo to często traktowano nas okrutnie.

Raz po raz wyciągano poszczególnych jeńców na przesłuchanie, by udowodnić im popełnione zbrodnie wojenne lub wydobyć z nich zeznania o członkach SS i policji, którzy przebywali w obozie.

W ten sposób zabrano pewnej nocy do NKWD Ernsta Urbana, z którym spędziłem wiele wieczorów, siedząc przy płocie obozowym. Oskarżono go o zbrodnie, o których wszyscy powinni wiedzieć. Podano jego nazwisko, miejsce urodzenia i inne dane, co miało stanowić dowód, że wszystko o nim wiedzą. Gdy stwierdził, że jest niewinny, umieszczono go między dwoma rozpalonymi do czerwoności piecykami i polewano zimną wodą z wiadra. Czarna Nena uważała, że w ten sposób zmusi go do przyznania się. Zdołał wykazać Rosjanom na podstawie daty urodzenia, że w chwili popełnienia zbrodni nie miał jeszcze dwunastu lat i że musiała zajść pomyłka w nazwisku. Słyszeliśmy wielokrotnie o podobnych przypadkach. Rosjanie raz po raz usiłowali szantażować nas metodą terroru psychicznego.

Wróć jednak do korupcji. Spotkałem się z jej klasycznym przypadkiem, pracując w brygadzie betoniarzy. Pewnego wieczoru przyszedł do mnie zastępca rosyjskiego komendanta i powiedział:

— *Zawtra*, jutro nie pracować. Dla was specjalna robota. Znajdźcie sobie dwunastu ludzi, którzy nie pracują w kopalni. Weźmie was eskorta.

Podejrzywałem, że doszło do jakiegoś układu i zwietrzyłem okazję.

Rosjanie wiedzieli aż za dobrze, że kilku ludziom udało się przemyścić z obozu kartki lub listy i wysłać je zwykłą pocztą do Stalina lub do Sądu Najwyższego. Zawierały one skargi lub jedynie proste pytanie o to, kiedy zostaniemy wreszcie zwolnieni zgodnie z konwencją genewską. Jak dowiedzieliśmy się tajnymi kanałami, kilka kartek dotarło do adresatów i zostały zwrócone komendantowi obozu wraz z dyrektywami. Wobec tego nasza groźba napisania do Moskwy została potraktowana bardzo poważnie.

— Jeśli pracować dobrze, dostać nagrodę — brzmiała odpowiedź zastępcy rosyjskiego komendanta obozu.

Tak więc następnego ranka zabrał nas jeden ze strażników. Wciąż trwała zima. W górach leżał śnieg. Wyszliśmy, nie wiedząc, dokąd zmierzamy. Śnieg sięgał nam do piersi. Zaczęliśmy się wspinać jeden za drugim przez pięć godzin, na zmianę przecierając ścieżkę. Niespodziewanie usłyszeliśmy krzyk konwojenta: „*Stój!*”.

Strażnik wskazał pokryty śniegiem sąg drewna i zdradził, że mamy je znieść w dolinę.

— Czy macie pieniądze? — zapytałem. — Inaczej nie kiwniemy palcem.

Ku memu zaskoczeniu wydobyl zwitek rublowych banknotów. Nasze ostrzeżenie musiało być skuteczne.

Oczyściliśmy drewno ze śniegu. Pnie miały długość około pięciu metrów. Był to cenny mahoń. Każdy z nas wetknął sobie pod ramię jeden pień. Zaczęliśmy ześlizgiwać się po śladach w dolinę. Droga zajęła tylko dwie godziny.

Stało się dla mnie tymczasem jasne, że chodzi o nielegalny handel cennymi gatunkami drewna na znaczną skalę. Nie było wątpliwości, że komendant otrzymał znaczną sumę za przydzielenie jeńców do pracy, a strażnik też z pewnością otrzymał swoją część.

W pewnym oddaleniu od miasteczka czekały dwie ciężarówki, na które

Maszerowaliśmy śmiertelnie zmęczeni do obozu, gdzie czekała nas dodatkowa porcja zupy. Jeszcze raz rosyjski oficer ostrzegł nas, byśmy zachowali tajemnicę.

Od naszego kierowcy ciężarówki, jeńca Freda Sbosnego, który często jeździł z Kutaisi do Tbilisi, usłyszeliśmy dalszą część tej historii.

Transakcję zlecił wysoko postawiony funkcjonariusz z Tbilisi. Najpierw trzeba było przekupić urzędnika lasów państwowych, który odpowiadał za wycinkę i transport cennych gatunków drewna. Zniknięcie sągu drewna wpisał do rubryki sabotaż, zwykły sposób ukrywania przypadków korupcji, gdyby kiedykolwiek prowadzono dochodzenie. Oprócz nas trzeba było posmarować ręce strażnika

i kierowcy ciężarówki. Potem należało zadbać o kierownika stacji, który dostarczył pusty wagon. Trzeba także pamiętać o urzędzie celnym i strażnikach na rogatek Tkibuli, gdzie rejestrowano przejazd każdego pociągu z węglem. Tak więc posterunek celny także dostał swoją działkę. Aż do tego punktu wszystkie łapówki płacił komendant obozu, który na ten cel otrzymał sporo rubli.

W Kutaisi, stolicy prowincji, wagon podczepiono do pociągu do Tbilisi, oczywiście bez śladu w papierach, za co zawiadowca stacji otrzymał swoją dolę. Kolejną trzeba było zapłacić po przybyciu do Tbilisi, gdzie klient mógł wreszcie odebrać swój towar. Sprzedał następnie bardzo drogo drewno wysokim i zamożnym funkcjonariuszom, którzy kazali zrobić z niego meble stolarzom „pożyczonym” z państwowych przedsiębiorstw. Funkcjonariusze mieli dużo pieniędzy, ale nie mogli za nie niczego kupić, chyba że na czarnym rynku.

Zwykle wszystkie przedsięwzięcia budowlane oraz harmonogramy wykonania normy są sprawdzane przez komisje, które niezapowiedziane pojawiają się we wszystkich przedsiębiorstwach. Ale także i one nie mają nic

Taki był, niestety, los przyjaznego nam rosyjskiego inżyniera, który został kierownikiem naszej brygady betoniarzy w czasie realizowania ważnego przedsięwzięcia. Gdzieś na Ukrainie wyznaczono go winnym jakiegoś tak zwanego przestępstwa gospodarczego i zesłano na pięć lat na Syberię, na północ od Władywostoku. Nie mogąc ani razu skontaktować się z rodziną, pracował w syberyjskich lasach. Potem, na próbę, oraz by mógł ponownie przywyknąć do normalnych warunków, wysłano go na dwa lata na Kaukaz.

Szybko zaprzyjaźniłem się z tym biednym człowiekiem, którego pierwszym próbnym zadaniem było nadzorowanie budowy planowanej odlewni. Miała ona być zbudowana poniżej naszego obozu, na skraju miasteczka Tkibuli, a nasza brygada miała wylać fundamenty.

Pierwszego dnia pracy inżynier pokazał mi projekt przysłany z Moskwy, standardowy dla wszystkich tego typu budowli.

— Rzućcie okiem na plan — powiedział. — Nic nie rozumiem. Nie jestem dość wykształcony. Czy możecie mi powiedzieć, jak trzeba wylać fundamenty?

Było mi go żal, ale już nic mnie nie dziwiło. Skonsultowałem się z naszym jedynym specjalistą, czyli murarzem. Miejsce budowy zostało wyznaczone przez administrację kopalni, która miała także kierować odlewnią. Zaczęliśmy od wytyczenia obrysu budynku

i wywnioskowaliśmy z planu, że fundamenty mają sięgać trzy metry w głąb i być wykonane ze zbrojonego betonu.

Na podstawie bolesnych doświadczeń prosiłem inżyniera, by pilnował materiałów, ponieważ gdyby zniknęły, to jego spotkałyby kłopoty. Potem rozpoczęliśmy kopanie z użyciem kilofów i łopat, aż natknęliśmy się na głębokości zaledwie metra na wody gruntowe. Zrobiliśmy sobie przerwę, zastanawiając się, co dalej.

Podszedłem do strażnika i powiedziałem:

Trafiliśmy na wodę gruntową — powiedziałem bezradnemu inżynierowi.

— Musicie kopać dalej. Plan z Moskwy musi zostać wykonany .— odpowiedział przekonującym tonem.

Kopaliśmy zatem dalej. Gdy wreszcie znaleźliśmy się po kostki w wodzie, kazałem przerwać pracę.

— Nie możemy tak dalej. Jak zdołamy dokopać się do trzech metrów?

Na planie widziałem, że mają zostać zainstalowane ciężkie żurawie przesuwne, dla których rzeczywiście niezbędne są trzymetrowe fundamenty. Inżynier obiecał załatwić nam kalosze i pompy, jeśli tylko nie przestaniemy pracować. Nie skomentowaliśmy tego zabawnego pomysłu.

Następnego dnia jednak faktycznie przybyły pompy. Otrzymaliśmy także obiecane kalosze. Ale po dwóch kolejnych dniach staliśmy w głębokiej wodzie, prawie na pół metra. Odmówiłem dalszej pracy.

— Czy chcecie wypompować wszystkie rzeki Elbrusu? — zapytałem inżyniera już naprawdę zły. — To bezsensowne. Nie będziemy pracować pod wodą.

— Porozmawiam z naczelnikiem, zobaczymy jutro.

Decyzja była równie prosta, co bezsensowna.

— Naczelnik rozumie problem. Przestańcie kopać. Kładźcie zbrojony beton, nawet na głębokości 1,30 metra.

Było dla nas oczywiste, że przy tak słabych fundamentach cały budynek się zawali, jeśli w ogóle uda się go ukończyć i wyposażyć. Mieszaliśmy zatem beton we właściwej proporcji jeden do siedmiu, położyliśmy stalowe pręty i zakończyliśmy robotę, kładąc za słaby fundament.

I tak pozostało. W ciągu kolejnych miesięcy w miejscu budowy nie zrobiono nic więcej. Gdy opuszczałem obóz pod koniec 1948 r., widziałem sterczące w powietrzu pręty zbrojeniove. Reszta materiałów, już

Wróćmy jednak do obozu. Każdy z nas, kto miał szansę zarobić dodatkowe pieniądze lub zdobyć chleb poza obozem, próbował zadbać o to, by nasi słabsi koledzy, którzy pozostawali w obozie i nie mieli takiej możliwości, otrzymywali coś z zakupów na targu. Nasi strażnicy, których niewielki żołd i skąpe racje nie wystarczały, by zaspokoić apetyt, także otrzymywali od nas prezenty albo też wymieniali z nami tytoń najedzenie. Otrzymywaliśmy, co prawda, każdego dnia niewielką rację tytoniu, ale była to jedynie machorka, czyli długie kawałki liści pozostające po wyrobie papierosów. Machorkę można palić jedynie wówczas, gdy skręci się kawałek gazety w niewielki rożek, wypełni posiekaną machorką, zakręci czubek i zapali.

W całej Rosji machorka to tytoń dla ubogich. Rosyjskie gazety są przystosowane do palenia w ten sposób. Nie zawierają klejunki i mówi się, że „Prawda” jest najczęściej palonym papierosem na świecie.

W Rosji nieczęsto widzi się też zapalki. Tylko raz w ciągu czterech lat widziałem, jak do miasteczka Tkibuli przybył z Moskwy przydział zapalek. Cały szybko zniknął w jednym ze sklepów dla funkcjonariuszy. Musieliśmy zatem powrócić do sposobu, jakim nasi przodkowie rozniecali ogień — robiliśmy zapalniczki z krzemienia i hubki.

W obozie nie brakowało przejawów humanitaryzmu. Po pierwsze, była tam Natella, „Anioł Tkibuli i obozu 518”. Pochodziła ze starej gruzińskiej rodziny księżęcej i pomagała niemieckim *maladois*, chorym, gdy tylko mogła. Ryzykując życie, zdobywała lekarstwa, które według prawa należały się tylko Rosjanom. Była też doktor Kamdelaki, lekarka w szpitalu obozowym, odpowiedzialna za wszystkie sześć obozów. Także i ona pochodziła ze starej, księżęcej rodziny, nie sprzyjała więc Rosjanom, którzy okupowali jej kraj i odebrali mu wolność.

Była też Nastazja (zmieniłem jej imię, gdyż zapewne żyje do dzisiaj i nie chcę sprawić jej kłopotów) oraz jej przyjaciółka Sina. Nastazja była prawnuczka Lenina*. Obie młode kobiety były inżynierkami i zostały zesłane

To dzięki Nastazji jest kilka fotografii obozu i naszej grupy kulturalnej, które zrobiła, ryzykując życie. Jupp Link, z którym się zaprzyjaźniła, zdołał przemycić te zdjęcia z obozu pod podszewką czapki. Jupp Link, który dzisiaj mieszka koło Monachium, rozmawiał ze mną o tych dziewczynach, które lubiły nas, Niemców, i o smutnym rozstaniu, gdy opuszczał obóz jako ostatni, a Nastazja błagała go, by ją zabrał ze sobą.

Co mogło stać się z tymi wszystkimi kobietami, które pomogły nam zachować wiarę w ludzką życzliwość i nadzieję?

Czas mijał, nauczyliśmy się godzić z okropnymi warunkami. Stało się dla nas jasne, że oprócz ciężkiej pracy w kopalni i na powierzchni oraz działalności kulturalnej należy coś robić, by zachować sprawność fizyczną. Jupp Link zdołał zdobyć dla nas kilka piłek, ja zaś zorganizowałem drużyny piłki ręcznej. Piłka ręczna była w moich rodzinnych północnych Niemczech bardzo popularnym sportem uprawianym na świeżym powietrzu (dzisiaj uprawia się go w halach). Graliśmy w każdy dzień wolny ku zdziwieniu Rosjan i uciechu licznych widzów.

Następnie powstała drużyna piłki nożnej. Zorganizowano mecze z drużynami z innych obozów.

Wkrótce bardzo popularna stała się narodowa gra Rosjan — szachy. Początkowo wycięliśmy sobie z drewna prymitywne figury. Rosjanom tak się to spodobało, że dali nam kilka zestawów szachów. Strażnicy grywali przeciwko naszym najlepszym szachistom — skrycie, gdyż było to zabronione.

Wszystko to może wskazywać, że nasz pobyt w obozie upływał miło. Na dłuższą metę jednak tak nie było. Decydująca była raczej wola przetrwania, która nawet w tak trudnych warunkach nie pozwalała nam się poddać. Niektórzy z kolegów jeńców krytykowali naszą działalność i twierdzili, że w ten sposób dostarczamy Rosjanom dowodów na to, że jesteśmy wystarczająco

Grupa rosyjska natrafiła już na bogaty pokład położony na głębokości około 800 metrów. Pracowano z ogromnym wysiłkiem na trzy zmiany, by dokładnie określić rozmiary pokładu i rozpocząć wydobycie.

Moja brygada miała przejąć zmianę dzienną. Rozdzielono ją na sześć odwiertów. Otrzymaliśmy dokładne instrukcje od rosyjskiego brygadiera. Chociaż zbliżała się wiosna, w górach wciąż leżało sporo śniegu i było bardzo zimno. Każdego ranka wraz ze strażnikami przedzieraliśmy się przez śnieg coraz wyżej, gdzie zastępowaliśmy nocną zmianę chroniącą się przed mrozem wokół ogniska.

Moje zadanie polegało na przemieszczaniu się przez całą zmianę między poszczególnymi odwiertami i rozwiązywaniu pojawiających się problemów. Nasz strażnik powinien zaglądać w miejsce odwiertów i dbać, by praca nigdzie nie ustawała. Zwykle jednak wołał znaleźć najlepsze miejsce przy ognisku, oprzeć pistolet maszynowy o drzewo i spać. Gdy z nim o tym rozmawiałem, odpowiedział:

— *Polkownik*, wy dobry brygadzysta, wy macie *propusk* i możecie sprawdzić, czy praca dobra. Ja marznąć, zostać przy ogniu.

Mimo uciążliwej pracy przy ciężkich maszynach wiertniczych i mimo nieodpowiedniego ubrania tam w górach mieliśmy nieco swobody oraz widok na miasteczko i nasz obóz. Było przy tym nieuniknione, że się trochę bawiliśmy. Pewnego razu schowaliśmy strażnikowi jego pistolet maszynowy, gdy w najlepsze spał.

— *Kamerad*, oddajcie broń. Nie mówcie ja spać albo ja do paki. Macie trochę machorki.

Przyszła wiosna, śnieg stopniał w promieniach południowego słońca i zakwitły pierwsze kwiaty. Praca stała się łatwiejsza do zniesienia i nawet cieszyło nas unikalne piękno kaukaskiego krajobrazu. Słodkie poziomki, dzikie gruszki i zioła wszelkiego rodzaju, które wskazał nam strażnik, były dla nas źródłem witamin. Wtórnek byliśmy niezbawieni od trzech dłuższych lat

Pewnego wiosennego dnia, niedługo przez Wielkanocą, wyruszyłem dość wcześnie, by wspiąć się na grzbiet i zobaczyć, co znajduje się za nim. Leżąc na przełęczy, dostrzegłem zaczarowaną wioskę. Nie byłem w stanie się powstrzymać. Zszedłem do niej i znalazłem się w zapomnianym świecie. Z wioski zamieszkaanej wyłącznie przez gruzińskich chłopów nie wychodziła żadna droga. Jedynie muły i osły potrafiły się stąd wydostać, służąc jako środek transportu do normalnego świata, który kończył się w miasteczku Tkibuli.

Cała wioska zbiegła się, by obejrzeć mnie — obcego. Zapytałem starszego wioski. Podszedł do mnie starzec. Nieśmiało i z obawą zapytał mnie mieszkanką gruzińskiego i rosyjskiego, kim jestem i czego chcę.

— Jestem niemieckim *plenni*, jeńcem wojennym. Pracuję tam, w górach, i od kilku lat żyję w obozie w Tkibuli.

Jego twarz rozjaśniła się. Podniecony powiedział do mnie i do wieśniaków:

— Znam Niemców z wojny. Oni i Turcy uwolnili nasz kraj od złych Rosjan. Nigdy nie zapomnę dobrych Niemców.

Najwyraźniej czas dla niego zatrzymał się na pierwszej wojnie światowej, gdy Gruzja stała się niemieckim protektoratem.

— Niemiec dobry. Chodź, jesteś naszym gościem.

Zabrano mnie do prostego, lecz czystego domu. Cała jego rodzina zebrała się tam, przy drzwiach zaś cisnęli się ciekawi wieśniacy.

Jak we wszystkich domach, na środku było palenisko oraz miejsce do spożywania posiłków ulepione z twardej gliny. Z trzech stron leżały futra służące za postania dla rodziny. W rogu było miejsce dla kur i kóz. Czulem się tam jak w domu, po latach przebywania w baraku i spania na drewnianych pryzkach.

Gdy wszystko było gotowe, żona podeszła do nas. Obok mnie usiedli jedynie mężczyźni. Kobiety stały skromnie w kącie. Żona podała nam misę z wodą, w której umyliśmy ręce. Potem kociołki zdjęto z łańcuchów, zaparowano herbatę i zaproszono do rozpoczęcia posiłku.

Nie było widelców ani łyżek, tylko kociołki pełne gorącego jedzenia. Jak miałem jeść? Aby nie pokazać tym przyjaznym ludziom mojej niepewności ani by ich nie obrazić, powiedziałem:

— Bardzo dziękuję, gospodarzu, ale u nas w Niemczech posiłek rozpoczyna zawsze pan domu, co wskazuje, że jedzenie jest już dobre. Czy rozpoczniecie zatem?

Był pod wrażeniem. Jedną ręką nabrał z kociołka papki kukurydzianej, ukształtował ją w płaski naleśnik i z jego pomocą nabrał mięsa z drugiego kociołka. Umiejętnie zwinął wszystko i zaczął jeść. Poznałem podobny sposób jedzenia u Beduinów w Afryce. Powtórzyłem zatem po nim te czynności i chociaż miałem wrażenie, że trzymam ręce w ogniu, jako głodny jeniec rozkoszowałem się znakomitym posiłkiem i mocną herbatą.

Potem żona przyniosła ceramiczny słój z winiakiem własnej roboty, którego składu nie potrafiłem określić. Nastąpiły toasty, podobne do tych powszechnych także w krajach arabskich.

— Piję za wielką przyjaźń z dobrymi Niemcami, którzy są przyjaciółmi nas, Gruzinów. Przekażcie nasze pozdrowienia waszemu wielkiemu cesarzowi Wilhelmowi. Wiem z czasu wojny, że jest on dobrym, sprawiedliwym człowiekiem. My nie mamy cesarza ani naszej ukochanej Tamary. Oni jednak powrócą i będziemy wolni.

Nie uświadomiłem temu dobremu człowiekowi, że Wilhelm II od dawna już nie żyje i że zdarzyła się także druga wojna światowa. Powiedziałem natomiast:

— Chciałbym, by wasz wspaniały kraj i dumni Gruzini byli pewnego dnia wolni. Przekaziem przyjaciół z tej wioski i niech za zdrowie cesarzowi

— Zona dba o kozy, kury i mąkę. Handlujcie z nią.

Natychmiast dostrzegłem błysk w jej oczach, gdy zwietrzyła okazję targowania się z kupcem. Uwielbiają to chyba wszyscy mieszkańcy Wschodu. Jej pierwsza cena była dużo wyższa od ceny na targu w Tkibuli. Zaproponowałem więc niższą niż na targu. Ustąpiła nieco z ceny, na co wszystkie kobiety zaczęły trąkotać między sobą.

Niestety, nie miałem czasu grać długo w tę grę, chociaż także dobrze się bawiłem.

— Nie mam dużo czasu. Oszczędzam wam długiej drogi przez góry na targ w Tkibuli, gdzie możecie sprzedać jajka. Musicie więc zaproponować mi cenę niższą niż tam.

— Lubię chodzić przez góry i zdobywać wieści na targu. Czy kupicie po mojej cenie?

Poddałem się, mówiąc jeszcze, że jajka potłuką się po drodze przez góry albo że zabierze mi je rosyjski strażnik. Po wielu miłych słowach i uściskach pożegnaliśmy się. Szczęśliwi ludzie, dla których czas stał w miejscu.

Krótko przed Wielkanocą odwiedziłem wioskę ponownie. Przyniosłem ze sobą rzeźbiony nóż wykonany przez pracujących w kopalni jako prezent dla starszego wioski w podziękowaniu za gościnę. Tym razem przekonał swoją żonę, by podarowała mi jajka. Podziękowałem im w imieniu wszystkich jeńców z obozu.

Mieliśmy zatem na naszym wielkanocnym stole po jajku dla każdego.

Po odkryciu nowego, bogatego złoża rosyjska administracja kopalni rozpoczęła budowę nowego nadszybia w dolinie. Gdy wyniki grup poszukujących węgla okazały się tak dobre, rozpoczęto eksploatację na wielką skalę.

Prace wykonywano ponownie w niechlujny sposób i nieumiejętnie według planów dostarczonych z Moskwy. Miejsce budowy i początek tunelu, który

— Jesteście odpowiedzialni za wszystko. Rosyjscy robotnicy będą wam podlegać. Weźmiecie z obozu wszystkich specjalistów i otrzymacie materiały, jakich zażądacie.

Tak brzmiał wyraźny rozkaz *obernaczelnika*, który musiał uzgodnić wszystko z komendantem obozu.

Dalsze drążenie i wykańczanie tunelu, układanie szyn kolejki podziemnej, budowa maszynowni oraz baraków dla administracji i rosyjskich robotników — wszystko podlegało od teraz niemieckiemu inżynierowi.

Początkowo bał się zbytnio wychylać i sprzeciwiać niektórym funkcjonariuszom, jednak wkrótce zdołał przekonać wszystkich, że praca będzie wykonywana profesjonalnie i solidnie. Wymagał wiele od rosyjskich kierowników i robotników, ale jego umiejętności i sprawiedliwość wkrótce uczyniły go popularnym. Odwiedziłem go pewnego dnia na budowie i byłem zaskoczony niemal europejskim wyglądem tego miejsca oraz zapachem, z jakim prowadzono prace. Gdy byłem tam, nadjechało kilka ciężarówek wypełnionych żwirem pochodzącym z Morza Kaspijskiego. Nasz inżynier zbadał żwir w swoim laboratorium, jeszcze dość prymitywnym, i odmówił jego przyjęcia.

— Żwir zawiera ropę i nie może być użyty do betonowania tunelu. Potrzebuję czystego żwiru.

Administracja kopalni natychmiast zamówiła czysty żwir i po kilku dniach rzeczywiście go dostarczono.

Do czasu przeniesienia mnie do innego obozu pod koniec 1948 r. nowe nadszybie rozrosło się znacznie, a administracja i górnicy już wprowadzili się do baraków.

Nie dziwiliśmy się więc, dlaczego Rosjanie ignorowali konwencję genewską i próbowali za wszelką cenę zatrzymać jeńców wojennych. Okazało się przy tym jasne, że w systemie centralnego zarządzania i sterowania, z wielomilionową armią skazańców i zmilitaryzowanych robotników w

Tymczasem w obozie 518 coraz więcej jeńców miało źródła dodatkowych zarobków, dzięki czemu uzupełniali fatalne, jednostajne i skąpe racje obozowe.

Górnicy, którzy nie mieli żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, rozwinęli handel węglem, który sprzedawali marznącym rosyjskim rodzinom, wcześniej płacąc prowizję strażnikom. Wykorzystywali także warsztaty kopalni do wyrabiania pięknie zdobionych noży i innych użytecznych przedmiotów, których okoliczni mieszkańcy nie mogli zdobyć gdzie indziej.

Nasz kierowca ciężarówki Fred Sbosny, z którym raz jechałem do Tbilisi po artykuły dla naszej grupy teatralnej, próbował utrzymywać swego studebackera w dobrym stanie. Jak mi powiedział, gdy tylko potrzebne były części zamienne, dostawał wciąż to samo polecenie od rosyjskiego komendanta: „Weźcie z kopalni. Strażnicy przy parku maszyn nie mogą zauważyć”. Oznaczało to, że często musiał organizować części nocą, niezwykle ryzykując, i musiał do tego przekupywać strażników.

Części zamiennych do studebackerów, których 100 000 dostarczyli Amerykanie w ramach umowy lend-lease w latach wojny, nie było albo sprzedawano je spod lady. Dlatego też wraz z upływem lat z każdych trzech ciężarówek robiły się dwie, potem z dwóch jedna, aż wreszcie także i ta ostatnia oddawała ducha.

Na mocy tej samej umowy Amerykanie, źle oceniając warunki, dostarczyli wielką liczbę piżam. Gruzinom, którzy uwielbiali kolorowe stroje, bardzo przypadły one do gustu. Jeszcze w 1948 r. można było spotkać wielu z nich chodzących po miasteczku w piżamach, także w ciągu dnia.

Rosyjscy oficerowie i funkcjonariusze NKWD z pewnością zdawali sobie sprawę, że nasz obóz powoli zaczynał się zmieniać i mieli wystarczające poczucie rzeczywistości, by lepiej oceniać nasze osiągnięcia.

W lecie 1948 r. miały miejsce dwa wydarzenia, które na swój sposób

do karceru za narzekanie na warunki pracy. Cały obóz natychmiast ogłosił strajk głodowy i wysłał do rosyjskiego komendanta delegację z żądaniem ich uwolnienia. Ponieważ ten odmówił, strajk kontynuowano, a ja poczułem się zobowiązany dołączyć do niego.

Strajki głodowe, niewyjaśnione zgony oraz samobójstwa są dla Rosjan sygnałami alarmowymi. Natychmiast przybyła z Moskwy komisja, by zbadać sprawę. Całą trójkę uwolniono, a strajk głodowy odwołano.

Zrobiło na mnie wrażenie to, że do strajku głodowego przystąpił solidarnie cały obóz. Węgry nienawidzili Rosjan, którzy okupowali także ich kraj.

Skorzystałem na strajku, gdyż nauczyłem się robić na drutach od węgierskiego pasterza. Gdy wróciłem do naszego obozu, pracujący w kopalni zrobili mi kilka drutów, inni zaś załatwili mi czternasto-żyłową przędzę izolacyjną z kradzionego kabla elektrycznego i zacząłem wyrabiać skarpety. Ponieważ my i Rosjanie znaleźliśmy dotychczas jedynie onuce, które nie dawały zimą ciepła, moje skarpety były hitem. Z biegiem czasu nabrałem takiej wprawy w robieniu na drutach, że wyrabiałem kilka par tygodniowo, które kupowali, a nawet zamawiali z wyprzedzeniem jeńcy oraz pilnujący nas żołnierze.

Drugie wydarzenie, które zapadło mi w pamięć, miało miejsce w naszym obozie. Pewnego dnia późnym popołudniem przyszedł do mnie rosyjski komendant.

— *Polkownik*, weźcie trzech silnych ludzi i przyjdźcie za dziesięć minut na wartownię.

Szykowała się zapewne kolejna fucha.

Przyszliśmy więc we czterech na wartownię, gdzie komendant przekazał nas Gruzinowi, którego traktował z wielkim szacunkiem i który musiał być ważnym człowiekiem w miasteczku. Gdy zapytałem, co mamy robić, Gruzin spojrział na nas smutno i powiedział:

Zobaczycie, co się stało. Pomóżcie mi

Wokół trumny stało wiele kobiet, które zgodnie z orientalnym zwyczajem rwały włosy z głowy i zawodziły. Stanęliśmy skonsternowani i zapytaliśmy tego człowieka, do czego jesteście mu potrzebni.

— Zaniesiecie trumnę na cmentarz kościelny. Pochowam tam córkę. Wy też, chrześcijanie, macie szacunek dla zmarłych.

Wiedzieliśmy, że dawny cmentarz leżał po przeciwnej stronie miasteczka.

— *Gospodin*, zrobimy wszystko, jak należy. Ale to daleko, weźcie więc stołek, byśmy mogli oprzeć trumnę, jak się zrobi za ciężka.

Wzięliśmy na ramiona otwartą trumnę, w której leżała dziewczyna ubrana w białą sukienkę i otoczona kwiatami. Ruszyliśmy. Za nami szedł jej ojciec ze stołkiem. Za nim szła rodzina, dalej zaś przyjaciele i sąsiedzi. Kondukt robił się coraz dłuższy. Po obu stronach długiej drogi na cmentarz stało wielu mieszkańców małego górniczego miasteczka.

Gdy tylko daliśmy znak, ojciec podchodził ze stołkiem. Ledwie postawiliśmy trumnę, zbiegały się płaczki, by jeszcze raz dotknąć dziewczyny. Wreszcie dotarliśmy na cmentarz. Zaniedbany kościół służący za magazyn żywności, przewracane nagrobki i gęste zielsko nadawały temu miejscu smutny wygląd i odbierały poczucie spokoju. Ojciec i jego synowie wykopali już grób, toteż postawiliśmy trumnę obok niego.

Tymczasem miejsce wypełniło się ludźmi. Po ostatnim pożegnaniu trumnę zamknięto i opuściliśmy ją powoli do grobu. Uzgodniłem z moimi trzema towarzyszami, że po opuszczeniu trumny pozostaniemy przy grobie i odmówimy Modlitwę Pańską. Gdy to uczyniliśmy i jeszcze wrzuciliśmy na trumnę trzy łopaty ziemi, zebrani ludzie patrzyli na nas zaskoczeni, ale wydawali się tak poruszeni tym gestem, że część żałobników przeżegnała się i zaczęła głośno płakać.

Potem wraz z ojcem zaczęliśmy zasypywać grób. Gdy to robiliśmy, nie mogłem powstrzymać się, by nie zapytać go, dlaczego jego córka zmarła tak

Byliśmy zaskoczeni. Wróciliśmy z ojcem do jego domu, gdzie tymczasem zastawiono stół, przygotowując obfitą, jak na warunki gruzińskie, stypę. Ilość jedzenia zaskoczyła nas, gdyż od lat nie jedliśmy porządnie. Były placki kukurydziane, jajka, owoce, mięso, kozi ser, chleb własnego wypieku i dodatkowo gruzińskie wino oraz koniak. Gdy przybył po nas strażnik, także i jego zaproszono do stołu, czego nie odmówił.

Wreszcie pożegnaliśmy się. Rodzina podziękowała nam ponownie za piękny pogrzeb. Lekko kiwając się, pojawiliśmy się na wartowni, gdzie nocny strażnik przywitał nas głośno, wyrażając swą zazdrość.

Z wyrzutami sumienia opowiadaliśmy naszym kolegom o tym pogrzebie w

Obóz karny: strajk głodowy i KGB

Późna jesień 1948 r. nadchodziła powoli zima. Wciąż mieliśmy nadzieję, że na Boże Narodzenie będziemy w domu. Stało się wręcz przeciwnie.

Jak zwykle bez ostrzeżenia przeprowadzono selekcję. Wszyscy oficerowie sztabu, dawni członkowie SS i policji oraz ci, których za takich uznało KGB, a także jeńcy, którzy walczyli przeciwko partyzantom mieli przygotować się do przeniesienia do specjalnego obozu. Byliśmy bardzo przygnębieni.

Rozstanie z tymi, którzy mieli pozostać, z którymi wytrzymaliśmy tyle przez więcej niż trzy lata, było dla nas trudne. Zdołaliśmy jedynie przekazać im do zapamiętania adresy naszych rodzin, zanim pojawił się rosyjski komendant.

— Nie mogę nic poradzić. Rozkazy z Moskwy. Jesteście dobrzy robotnicy, zarządowi kopalni i wielu ludziom będzie was brakowało. Wy też niedługo *domoj*, do domu.

Chociaż jego słowa nie pocieszyły nas zbytnio, chciał dobrze. Rosyjska dusza objawiła się po raz kolejny.

Ponownie znaleźliśmy się w zamkniętych wagonach bydłych, z nowymi strażnikami, z którymi nie było żartów. Zachowywali się tak, jakby mieli do czynienia z niebezpiecznymi przestępcami.

Po południu pociąg potoczył się w dół doliny, opuszczając góry, w których pochowano lub wrzucono do masowych grobów tak wielu naszych kolegów. Przejechaliśmy obok małego drewnianego domku, który kiedyś „przepuścił” nasz transport drewna. Wyżej, tam gdzie pracowałem przy poszukiwaniu węgla, widziałem pierwszy śnieg.

do prac pomocniczych). Obóz leżał zupełnie blisko fabryki Opla zdemontowanej w Niemczech wschodnich, a teraz powoli rdzewiejącej.

Winand opowiedział mi później, że z nielicznymi wyjątkami zwolniono ich w październiku 1949 r. On sam opuścił Kaukaz

12 października i 28 dotarł do swego domu w Kolonii.

Kolega jeńiec Koellreuter zdołał odwiedzić Ktibuli jako turysta w 1978 r. Zrelacjonował, że nasz obóz 7518/1 już nie istnieje. Tak więc wszelkie ślady naszej męki odeszły do historii.

Jechaliśmy na wschód przez kaukaskie niziny. Niespodziewanie wyładowano nas z pociągu w okolicy Tbilisi, stolicy Gruzji.

Obóz przejściowy, do którego nas zabrano, był już częściowo zajęty przez jeńców wyselekcjonowanych z innych obozów. Oni także nie mieli pojęcia, co się z nami stanie.

Powitał nas komendant obozu.

— Wy tu dobrze traktowani. Moskwa bardzo przyjazna. Oficerowie sztabowi nie pracować.

Ponownie zatrudniono mnie jako tłumacza. Niestety, *mojapropusk* z Ktibuli nie była tu ważna. My, oficerowie sztabowi, nie cieszyliśmy się z tego, że nie pozwalano nam pracować, chociaż decyzja ta była zgodna z postanowieniami konwencji genewskiej.

Nie mieliśmy już radia, żadnej okazji na zarobienie ekstra ani też na nawiązanie kontaktów z okolicznymi mieszkańcami. Siedzieliśmy beczynnie w obozie i byliśmy zależni od plotek zasłyszanych przez brygady pracujące poza obozem.

Trudno w to uwierzyć, ale wspominaliśmy z pewną nostalgią nasz obóz w górach. Praca była ciężka, a dla wielu skończyła się śmiercią, ale pozwalała zapomnieć. My, którzy zdołaliśmy przetrwać fizycznie i psychicznie, dzięki pracy potrafiliśmy zapomnieć o naszym ciężkim losie.

Traktowano nas w obozie w Tbilisi dobrze, ale zdegradowano

oprócz tego otaczały mnie jedynie betonowe ściany. Nie wiem, ile dni można było to wytrzymać.

Moja bezczynność w obozie pozwoliła mi sporządzić podsumowanie.

W ciągu trzech i pół roku zebrałem wiele doświadczeń. Nauczyłem się pracować, co wcześniej znałem jedynie z opowiadań. Nauczyłem się, że wola przetrwania i ćwiczenie sztuki przetrwania miały decydujące znaczenie w przetrwaniu losu podobnego do mojego. Równie istotne było podtrzymywanie nadziei na powrót pewnego dnia do domu. Nauczyłem się także, że jasne i zrozumiałe zachowanie oraz słowa robiły wrażenie na Rosjanach. Nienawidzili oportunistów, nie mówiąc o donosicielach.

Pamiętam rozmowę z funkcjonariuszem NKWD, który powiedział: „Wykorzystujemy oczywiście zdrajców, ale zdrady nie lubimy”.

Obraz, jaki sobie wyrobiłem przez te lata, był zupełnie inny od tego, jaki próbowali nam narzucić Hitler i jego minister propagandy Goebbels, czyli że Rosjanie byli podludźmi, którzy nie mieli prawa do istnienia.

Sądzę, że służba na froncie rosyjskim, zwłaszcza jednak lata niewoli pomogły mi zrozumieć w znacznej mierze rosyjską mentalność. Nie chodzi mi o centrum władzy w Moskwie, ale o zwykłych Rosjan.

Podobnie jak dzieci, Rosjanie potrafili być okrutni, ale chwilę potem podzielił się z innymi ostatnią kruszyną chleba. Polubiłem tych ludzi, którzy pomimo ciągłego ucisku nie stracili swej tożsamości ani miłości do ojczyzny. Wieczorami często słyszeliśmy dochodzące z rosyjskich obozów i wiosek melancholijne pieśni śpiewane wspólnie, które wyrażały przeznaczenie tych ludzi.

Były jednak inne doświadczenia, które burzyły nam krew w żyłach i przypominały średniowieczne sposoby torturowania.

Wyłamywano nam złote koronki z zębów. Musieliśmy wynosić z obozu zmarłych na tragach i chować ich bez żadnej ceremonii. Musieliśmy też

Nasze prośby, by oszczędzić fotografie, spotykały się z szyderczymi okrzykami i słowami: „Piękne kobiety, mieliśmy takie w Niemczech. Wasza żona już dawno ma nowego mężczyznę”.

Nie mogliśmy już znieść ciągłego *dawaj*, słowa, którymi popędzali nas nasi nadzorcy, podobnie jak słowa *zawtra*, czyli jutro, co było odpowiedzią na wszystkie pytania o powrót do domu. Brzmiało to dla nas jak kpina.

W pracy nasze stosunki z Rosjanami, którzy pracowali z nami jako skazańcy, były dużo lepsze. Zapewne to wspólny los wiązał nas ze sobą. Z losem tym oni jednak godzili się dużo łatwiej niż my. W tym czasie w całej Rosji było zapewne około trzech milionów więźniów. W miastach i wioskach trudno było znaleźć rodzinę, w której ktoś nie pracowałby w obozie karnym. Czy Rosja nie była jednak jednym wielkim obozem?

Mijały tygodnie monotonnej rutyny. Wcześniej jasny punkt stanowiła poczta z domu. Tutaj nie było nawet tego, gdyż musiały upłynąć tygodnie, by nasz nowy adres dotarł do domów.

Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Rosjanie upchali nas, oficerów sztabowych, razem z członkami policji i Waffen SS, których uznali za zbrodniarzy wojennych. Czy byliśmy może potencjalnymi rewanżystami? Słowo to nawet dzisiaj wchodzi do rosyjskiego słownictwa.

Szczególnie narzekał Hally Momm: „Sprzeciwiałem się Hitlerowi i przez to zostałem zdegradowany i umieszczony «na próbę» w Brygadzie Dirlwängera. Dlaczego więc zesłano mnie tutaj?”.

Wkrótce rozniosła się plotka, że nasz pobyt w obozie przejściowym ma się wkrótce zakończyć i że będziemy przeniesieni do obozu karnego. Rosyjski oficer powiedział nam: „Jedziecie do obozu karnego i zostanieie tam skazani”.

Czy była to złośliwość, czy prawda? Okazało się, że mówił prawdę. Od końca 1948 r. do początku 1949 r. transporty wyjeżdżały z Tbilisi w

Podczas długiej podróży dyskutowaliśmy o tym, co stało się z państwem robotników i chłopów Lenina. Kapitalizm państwowy w najgorszej odmianie, skostniały aparat władzy utrzymywany jedynie przez rozbudowany system nadzoru. Powstało państwo funkcjonariuszy, w którym panowało prawo dżungli — deptano słabszych i podlizywano się stojącym wyżej, każdy próbował być jak najwyżej. Nie spotkałem ani jednego oficera czy funkcjonariusza, który traktowałby po ludzku swoich podwładnych. Im mniej idei Marksa i programu Lenina udawało się zrealizować, tym więcej trzeba było siły i nadzoru, by utrzymać system. Jakiegokolwiek rozluźnienie przyniosłoby w efekcie automatyczne zawalenie się systemu. Wielkie rozczarowanie widać było u tych jeńców, którzy jeszcze w Niemczech należeli do partii komunistycznej i którzy tyle wycierpieli za swe przekonania. Ich wiara została zachwiana.

Kilka dni przed wywiezieniem nas do Kijowa przeżyłem kolejne niezwykle wydarzenie. Gdy szedłem po jedzenie, zatrzymał się przede mną młody człowiek.

— Pan pułkownik! Mój Boże, pan tutaj! Czy mnie pan poznaje?

Był to oficer operacyjny ze sztabu mojego I Batalionu 125. Pułku Grenadierów Pancernych, który to batalion 18 lipca 1944 r. znalazł się pod gradem kul podczas operacji „Goodwood” i został całkowicie zniszczony. Próbowałem wówczas bezskutecznie nawiązać łączność z batalionem i bałem się już wtedy, że jego straty były bardzo duże.

— Wielkie nieba, skąd się pan wziął? Nie sądziłem, że pan jeszcze żyje. Niech mi pan opowie, co się z panem działo.

Umówiliśmy się na spotkanie wieczorem. Opowiedział mi swą historię.

„Byliśmy dobrze okopani i kryliśmy się, toteż nasze straty nie były aż tak duże. Potem, po zaciętym oporze, Brytyjczycy wzięli nas wszystkich do niewoli. Z nieznanых powodów przekazano nas Amerykanom. Znalazłem

— Jakim cudem więc znalazł się pan tutaj? — chciałem wiedzieć. „W 1948 r. zostaliśmy zwolnieni — kontynuował. — Pozwolono mi zabrać wszystkie rzeczy, które zapakowałem do kilku skrzyń. Skrzynie zostały potem wysłane przez Amerykanów. Gdy przybyliśmy do Niemiec, pokazałem moje świadectwo zwolnienia. Amerykański oficer zapytał mnie, dokąd chciałbym pojechać. Powiedziałem mu, że chciałbym pojechać do mojej matki, do Drezna. «Na litość boską

— odpowiedział — to w strefie rosyjskiej. Będzie pan miał kłopoty. Niech pan zostanie w naszej strefie».

Polegając na certyfikacie zwolnienia, podtrzymałem swą decyzję. «W porządku. Życzę szczęścia. Mam nadzieję, że nie będzie pan żałował».

Nigdy nie dotarłem do matki. Gdy tylko przekroczyłem linię demarkacyjną między Amerykanami i Rosjanami, pokazałem moje świadectwo zwolnienia i poprosiłem o zgodę na przejazd do matki. Prośba ta sprawiła mi kłopoty.

«Certyfikat od Amerykanów tu nie dobry — powiedzieli Rosjanie. Ty niemiecki oficer i rewanżysta, do rosyjskiego obozu». Następnego dnia znalazłem się wraz z wieloma innymi, którzy popełnili ten sam błąd, w pociągu jadącym tutaj».

Zakończył swą opowieść o pechowej podróży.

Mój młody oficer operacyjny miał przynajmniej szczęście pracować jako geolog poza obozem w Tbilisi, chociaż nie w tak dobrych warunkach jak u Amerykanów.

W obozie w Tbilisi miałem jeszcze jedną, raczej zabawną przygodę. Pod koniec 1948 r. przybyło kilku jeńców, którzy wcześniej byli w obozie w Rumunii nad Morzem Czarnym. Jeden z nich, także głęboko rozczarowany, opowiedział nam swoją historię.

„Należałem do brygady, która miała naprawiać lekko uszkodzone domy w dawnym kurorcie. Mieli się potem do nich wprowadzić oficerowie rosyjskich wojsk okupacyjnych. W domu, w którym pracowałem, codziennie pojawiały

Pojawił się znowu, tym razem mówiąc:

«Zostaję tu. Nie potrzebuję wody w łazience, będę myć się przy studni» (której nie było).

Postawił swój kuferek, wyjął soloną rybę, i powiedział: «Wy niekulturalni, bez studni, bez wody w domu. Gdzie mogę splukać sól z ryby?».

Pokazałem mu ubikację.

«To jedyne miejsce, gdzie jest już bieżąca woda».

Wróciłem do pracy. Nagle usłyszałem straszne przekleństwa i wrzaski z ubikacji.

«Ryby nie ma, przekłeta wasza kultura. Ty znajdź mi rybę».

Próbowałem wytłumaczyć mu, że szukanie jego ryby było bez sensu, ale złapał mnie za ubranie i ciągał po wszystkich piętach.

Wreszcie zrezygnował i poszedł zdobyć kolejną rybę".

Któż mógłby winić tego człowieka za rozzarowanie, jakiego doznał? Nawet podpułkownik niekoniecznie musiał znać ten rodzaj kultury, ale raczej studnię z żurawiem gdzieś w Rosji.

Zatem teraz do Kijowa.

Warunki pogodowe były dużo gorsze niż na południowokaukaskich nizinach. W nowym obozie marzliśmy, był on też dużo gorzej wyposażony niż poprzedni obóz. Próbowaliśmy jednak czuć się jak w domu. Wciąż nie było dla nas jasne, dlaczego oficerowie sztabowi zostali umieszczeni tu razem ze zbrodniarzami wojennymi. Wspólny los jednak zjednoczył nas i żyliśmy ze sobą dobrze. Chociaż nieoficjalnie, wzywano mnie jako tłumacza na przesłuchania i do tłumaczenia przemówień komendanta obozu. Komendant i strażnicy rekrutowali się wyłącznie z szeregów NKWD, które miało własne jednostki, tak jak Armia Rosyjska.

Zaprzyjaźniłem się z rosyjską tłumaczką, która była obozowym lekarzem. Dowiedziałem się od niej co nieco o przepisach z Moskwy regulujących

Pamiętając sukces Węgrów, zaproponowałem strajk głodowy. Wywiązała się długa dyskusja. Wielu wahało się lub obawiało. Jednak argument, że nie może być już gorzej, jedynie lepiej oraz że i tak nie mamy nic do stracenia, okazał się decydujący.

Pewnego ranka odmówiliśmy przyjęcia naszego nędznego posiłku. Po dwóch dniach strajku głodowego komendant zdał sobie sprawę, że działamy serio. Postanowił wówczas działać.

— Prześcieńcie, skurwysyny, albo paru zastrzelę.

Kilku z nas zaczęło się wahać, czy nasze działanie jest słuszne. Reszta zachęcała ich do dotrzymania słowa i wytrwania.

Gdy komendant spostrzegł, że groźby nie odnoszą skutku, próbował po przyjacielsku.

— Dobra. Jutro dostaniecie masło i pościel, jeśli przestaniecie. Odpowiedzieliśmy na to:

— Jak tylko nasze warunki zostaną spełnione, zakończymy strajk. Następnego dnia nic się nie wydarzyło. Nie mogło. Jak mi zdradziła tłumaczka, nie było zapasów masła ani pościeli. Skąd więc miał je wziąć komendant?

„W porządku — zdecydowaliśmy — strajk musi trwać”.

Po kolejnych pięciu dniach przybyła komisja z Moskwy. Strajki głodowe były sygnałem alarmowym. Mogli też martwić się o swych byłych sprzymierzeńców, gdyż wieści z Kijowa docierały na Zachód szybciej niż z Kaukazu. Wyciągnięto mnie więc nocą z łóżka i wezwano przed rosyjską komisję jako niemieckiego tłumacza dla niemieckiej delegacji. Jako tłumacz drugiej strony przyszła lekarka. Oficer NKWD, trzydziestopięcioletni mężczyzna, usiadł naprzeciwko z paroma cywilami, z pewnością także z tajnej policji. Wyraz jego twarzy był mniej groźny od tego, do którego przywykliśmy.

— Dlaczego strajk głodowy? — zapytał spokojnym głosem

wojennych. Wiemy, że listy, jakie wysłaliśmy do Moskwy, zostały odebrane i odnotowane. Wiemy, że prowadzone są negocjacje między rządami ZSRR, USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin, by zwolnić niemieckich jeńców zgodnie z konwencją. Możemy przesłać do zachodnich rządów wiadomości, które przedstawiałyby rzeczywisty obraz sytuacji, zwłaszcza w tym obozie. Nie pytajcie, jak zdołamy to uczynić, ale potrafimy. Nie będzie miło panu Stalinowi usłyszeć od swych sprzymierzeńców, jakie panują tu warunki. Żądamy jedynie, by stosowano się do przepisów. Nie więcej, nie mniej.

Rekcja była zaskakująca. Po krótkiej konsultacji z kolegami oficer NKWD dał nam odpowiedź.

— Wasze warunki zostaną spełnione. Z powodu złej jakości produktów żywnościowych i kłopotów z transportem nie wszystko było tak, jak powinno. Nie jesteśmy nieludźcy. Możecie zakończyć strajk.

Ocalił twarz, a my zgodziliśmy się zakończyć strajk, gdy tylko zostaną spełnione nasze warunki. Po dwóch dniach rzeczywiście dostaliśmy pościel i obiecane racje żywnościowe. Co więcej, dowiedzieliśmy się z ulgą, że komendant nie chował urazy.

Ku memu wielkiemu zaskoczeniu oficer NKWD wyraził życzenie porozmawiania ze mną w cztery oczy, tylko z tłumaczką.

— *Polkownik* — powiedział — mam pytanie: ilu komunistów jest pańskim zdaniem w tym obozie oraz w innych obozach dla jeńców niemieckich?

Czy było to pytanie podchwytliwe? Trudno odpowiedzieć, niebezpieczne wydawało się także zdradzanie własnych poglądów. Powiedziałem więc:

— Sądzę, że około dziesięciu procent.

— O nie, najwyżej sześć do siedmiu procent — odpowiedział.

— I, *polkownik*, ilu jest, myślicie, w Niemczech wschodnich?

— Ponieważ jesteście w Niemczech wschodnich od prawie pięciu lat,

Jego odpowiedź była jeszcze bardziej zadziwiająca:

Ani jednego! Wiecie, jesteśmy w Moskwie realistami. A ponieważ nimi jesteśmy, nie widzimy możliwości przekonania Niemców do komunizmu.

Jego wniosek:

Ani włoscy, ani francuscy komuniści nie mogą działać z nami. Oni, po pierwsze, są Włochami i Francuzami. Wielka Brytania jest za kanałem, a Amerykanie daleko. Musimy jednak liczyć się z wami.

W jego kolejnych słowach słychać było zwątpienie i strach.

___ Pewnego dnia będziecie chcieli znowu mieć armię, z którą ponownie nas zaatakujecie. Dlatego chcemy utrzymywać Niemcy neutralne. Gdy Niemcy będą neutralne, zniknie zagrożenie dla nas. Możemy przekonać Europę o naszej chęci i zamiarze, by nigdy nie doszło do wojny na naszym terytorium. Tak właśnie wygląda sytuacja, *połkownik*.

Była to jedna z najciekawszych i najbardziej pouczających rozmów, jaką odbyłem jako *plenny*. Pogląd ten był zbieżny ze stanowiskiem wielu zwykłych żołnierzy, rosyjskich skazańców i cywilów, którzy wcześniej mi mówili: „Chociaż będzie to dla nas trudne, pewnego dnia zapomnimy, co się wydarzyło. Ale wy powrócicie do swojego kraju. Potem odbudujecie armię i uderzycie na Rosję, zniszczycie nasze domy i zabijecie lub uprowadzicie naszych ludzi”.

Jak to chcemy zrobić, powróć – uwolnić ludzi lub realistów – Moskwa?

Zwolnienie

Mijały tygodnie i miesiące.

Nadzieja na powrót do domu była coraz mniejsza. Szczególnie przygnębiające były wieści, że zaczęto zwalniać jeńców z normalnych obozów.

My, skazani, najwyraźniej się do nich nie zaliczaliśmy. Mimo to, po sukcesie strajku głodowego, nie chcieliśmy porzucić nadziei. Wynik strajku bardzo nas pokrzepił na duchu. Od tego czasu nie wysyłano nas już do pracy. Nasz dzień składał się z posiłków i omawiania krążących plotek.

Późnjesieniem 1949 r. pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącej zimy, ogromne przestrzenie Ukrainy zaczęły pokrywać śnieg. Wówczas przybyła rosyjska tłumaczka i ogłosiła, że w naszym obozie niedługo zaczną się zwolnienia, chociaż obejmą najwyżej 85 procent jeńców. Euforia, jaką wywołała perspektywa powrotu do domu, była niewyobrażalna, wkrótce jednak ustąpiła ponownie zwątpieniu. Zbyt często karmiono nas pustymi obietnicami, zbyt często słyszeliśmy *zawtra domoj* (jutro do domu).

Pod koniec października przybyła z Moskwy pierwsza komisja. Sprowadzono na przesłuchania pierwszych jeńców — jak zwykle nocą. „O co pytali? Kto przesłuchiwał? Jakie wrażenia?“. Nikt nie znał wyników przesłuchań. Ludzie z KGB byli nieprzeniknieni. Nie zdradzali ani przychylności, ani wrogości.

Kto znajdzie się wśród 15 procent tych, którzy pozostaną w obozie?

Pozostały więc niepewność, nadzieja i zdenerwowanie. Komisja wyjechała. Przesłuchiwała jedynie część jeńców. Co będzie z pozostałymi? Nic się nie działo. Nasze nerwy były napięte do ostateczności. Wszyscy byli

zwykle nocą. Tej nocy nikt nie zmrzył oka. Gdy reszta nas zebrała się na placu apelowym, by zobaczyć, co się dzieje, brutalnie nas wepchnięto do baraków. Najgorzej mieli ci, których przesłuchiowano, ale nie wyczytano. Nie potrafiliśmy ich pocieszyć.

Jeszcze raz usłyszeliśmy głośnie: **Dawaj!** Przez okna widzieliśmy, jak niewielka kolumna opuszcza obóz. Dokąd szli?

Następnego ranka spotkałem tłumaczkę.

— Co się dzieje? — zapytałem. — Czy tamci wracają domu?

— Tak myślę — odpowiedziała. — Pociąg odjechał z niezamkniętymi drzwiami. To powinno znaczyć *domoj*.

— A reszta, ci, których przesłuchiowano, lecz nie wywołano, co się z nimi stanie?

— Mówiłam wam — odpowiedziała — piętnaście procent.

Nawet tłumaczka mogła jedynie zgadywać, tak hermetyczne były procedury NKWD.

— Czy to byli wszyscy? — wypytywałem ją dalej. — Komisja przecież wyjechała.

— Przyjedzie następna komisja — powiedziała pocieszająco.

— Porozmawia ze wszystkimi i zdecyduje, kto wróci do domu.

Wkrótce potem natknąłem się na znajomą twarz, kolegę jeńca ze starego obozu 518/1. Był bardzo przygnębiony.

— Po tylu latach niewoli — powiedział — i ciężkiej pracy w kopalniach niespodziewanie oskarżono mnie o walkę z partyzantami i powiedziano, że za karę pójdę do specjalnego obozu. Nigdy nie walczyłem z partyzantami, a na froncie rosyjskim byłem bardzo krótko. Nie mogę niczego udowodnić. Musieli mnie pomylić z kimś innym. Sprowadzono mnie tu pod strażą.

Było nam go żal. Jakaż cena do zapłacenia dla człowieka i w dodatku niewinnego

Procedura była taka sama: przesłuchania nocą, selekcja i wywózka. Potem przybyła trzecia komisja. Obóz zaczął się wyludniać. Chociaż my, pozostali, czekaliśmy na kolejną komisję z wielką nadzieją, próbowaliśmy pocieszyć na duchu piętnaście procent tych, którzy mieli pozostać. Wreszcie, po przybyciu czwartej komisji, nadeszła moja kolej i miało miejsce moje pamiętne przesłuchanie.

Kazano nam spakować tych kilka naszych rzeczy. Najpierw poszliśmy do przebieralni, gdzie dano nam nowy rosyjski ubiór zimowy: pikowaną kurtkę i spodnie oraz świeże onuce służące zamiast skarpetek.

Skarpety, które zrobiłem dla siebie na drutach i z których byłem tak dumny, że chciałem pokazać je mojej matce, zabrano mi. *Niekultume*, powiedzieli Rosjanie.

Zdołałem jednak zatrzymać mój Krzyż Rycerski, który przez te wszystkie lata ukrywałem przed Rosjanami. Za parę skarpet stolarz obozowy zrobił mi małą drewnianą skrzynkę z wnęką wyciętą w jednej ze ścianek, w której ukryłem Krzyż Rycerski, po czym zakleiłem deseczką.

Ironią losu moje pierwsze mieszkanie w Hamburgu zostało okradzione wkrótce po tym, jak się wprowadziłem. Zabrano, oprócz innych rzeczy, także mój Krzyż Rycerski.

Nasz pociąg toczył się na zachód przez pokryte śniegiem pola, które pięć lat wcześniej były świadkami ostatnich etapów zmagania z Rosją. W tej ziemi leżeli polegli, setki tysięcy.

W Brześciu Litewskim, na granicy polsko-rosyjskiej, wytyczonej na nowo w 1939 r., miał miejsce pierwszy dłuższy postój. Ponownie przesiedliśmy się z wagonów rosyjskich do europejskich.

Niespodziewanie w wagonach pojawili się rosyjscy oficerowie z listami. Nasza radość ustąpiła ponownie strachowi. I rzeczywiście, dziesięciu spośród nas zostało wyprowadzonych z pociągu. Cóż za okrutny los!

terytorium Polski w kierunku Niemiec wschodnich, ale wciąż byliśmy pod nadzorem Rosjan.

Pewnego dnia zatrzymaliśmy się w szczerym polu. W pobliżu widać było wioskę. Do pociągu podeszło przez zaśnieżone pola kilku chłopów.

— Skąd wy? Niemieccy jeńcy?

Przytaknęliśmy, baliśmy się jednak, że mogą to być przebrani enkawudziści.

— Macie szczęście, jedziecie do domu. My z Brześcia, kiedyś Polska, teraz Rosja. Mamy nową ojczyznę, kiedyś Niemcy, teraz dali nam te ziemie Rosjanie. Jest nam źle. Musimy dawać Rosjanom wszystko: krowy, zboże, masło. Jesteśmy przez to głodni. Nie gniewajcie się na nas, my nie zabraliśmy wam waszej ojczyzny.

Po niemal pięciu latach zostaliśmy skonfrontowani z rzeczywistością. Niemieckie terytorium zabrane nam, Niemcom, i dane Polakom, którym w zamian zabrano ich ziemie na wschodzie. Cóż za polityczna rozgrywka szachowa!

Pod koniec grudnia dotarliśmy do granicy między Polską a Niemcami wschodnimi. Wreszcie znaleźliśmy się w ojczyźnie, chociaż w tak zwanej strefie wschodniej okupowanej i administrowanej przez Rosjan. Przejeli nas wschodnioniemieccy strażnicy, którzy byli jednak bardzo nieprzyjaźni i nie chcieli rozmawiać. Mimo to czuliśmy się bezpieczniej.

Zupełnie zapomnieliśmy, że tymczasem minęło Boże Narodzenie, święto pokoju, i rozpoczął się nowy rok. Niespodziewanie stanęliśmy w polu.

— Wsiadać! Wszyscy stanąć przed wagonami! — padł rozkaz.

Co się stało? Co będzie teraz z nami? Byliśmy na krawędzi załamania nerwowego. Napięcie było niemal nie do zniesienia. Czyżby Niemcy wschodnie miały nas zatrzymać u siebie?

— Pomaszerujemy teraz w szeregu do granicy z Niemcami zachodnimi.

zimowych gałęziach drzew spostrzeegliśmy dziesiątki rosyjskich futrzanych czapek. Zdaliśmy sobie sprawę, co tu się wydarzyło. Zdarliśmy z głów czapki i z głośnym okrzykiem cisnęliśmy je między drzewa.

Wolni! Po niemal pięciu latach, nareszcie wolni!

Przejęli nas pomocnicy i pielęgniarki Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Kilku ludziom trzeba było pomóc iść. Nogi odmówiły im posłuszeństwa, gdy napięcie wreszcie ustąpiło. Zabrano nas do obozu Friedland, który istnieje do dzisiaj. Rozpoczęły się tam długie, lecz konieczne formalności.

Przedtem jednak każdemu pozwolono wziąć kąpiel. Cóż za rozkosz po tylu latach!

Potem przyszła kolej na rejestrację i pytanie, dokąd każdy chciałby pojechać oraz obojętne przesłuchanie przez brytyjskich oficerów pytających o obozy w Rosji, o wyżywienie, traktowanie i wiele innych kwestii.

Wreszcie pozwolono nam za darmo zadzwonić do naszych rodzin. Sceny, jakie miały wówczas miejsce, są nie do opisanania. Nikt nie wstydził się, że płacze.

Chciałem zostać zwolniony do Flensburga na granicy duńskiej, do mojej matki. Dano mi bilet oraz 300 DM diety, jaką otrzymywał każdy jeńiec wojenny. Winandowi i reszcie jeńców towarzyszył aż do granicy Rosji w Brześciu Litewskim kapitan Zamczaradze, komendant obozu 7518/1. Tam po raz ostatni przeszukano wszystkich jeńców. Zostali zrugini i zabrano im ostatnie, zachowane jeszcze rzeczy*. „Ostatnie zadanie Zamczaradzego”, jak to nazwano.

Postanowiłem po drodze do Flensburga wysiąść w Hamburgu, by odwiedzić kilku starych przyjaciół.

5 stycznia 1950 r., w dniu mojego oficjalnego zwolnienia, wczesnym rankiem przybyłem do Hamburga. Na peronie czekał na mnie Boos, mój stary przyjaciel. Ledwie rozpoznał mnie w watowanym ubraniu, ale po chwili

....

lubiliśmy takie śniadania, gdy przywoziłeś z frontu te wszystkie przysmaki, które w kraju znaleźliśmy już tylko z nazwy?

W jego uroczym domu na wsi zabrano mi najpierw watowane ubranie. Wreszcie mogłem się poczuć jak człowiek!

— Spalimy je od razu — powiedział mój przyjaciel. — Po pierwsze, byś zapomniał szybko o niewoli, po drugie, by w domu nie załęgły się pluskwy ani wszy. Oto trochę moich ubrań.

Po wspaniałej kąpeli siedliśmy przy rozpalonym kominku, by jeść i pić wszystko, co było w kuchni i piwniczce. Było to dla mnie jak sen.

Aby ukoronować ucztę, mój przyjaciel otworzył butelkę szampana Veuve Clicquot Rosé rocznik 1937.

— Pamiętasz? Kiedyś przywoziłeś mi z Francji skrzynkę dwunastu butelek tego szampana. Wypiliśmy jedną w sylwestra 1944 r. za twoje zdrowie i za pokój w roku 1945. Dziesięć przehandlowaliśmy za jedzenie w brytyjskiej kantynie oficerskiej. Nie śmieliśmy jednak tknąć ostatniej butelki, ponieważ uważaliśmy, że jeśli to zrobimy, nigdy nie wrócisz. Teraz przyszedł czas, by ją opróżnić za twój szczęśliwy powrót i nasze spotkanie.

Następnego dnia pojechałem do matki i siostry. Stały one z kwiatami na peronie wraz z moim bratem, który służył w marynarce na trałowcach, lecz został wcześniej zwolniony. Cóż za spotkanie!

Gdy znaleźliśmy się w domu, nie było tam wielu przedmiotów, wśród których się wychowywałem. By przeżyć, moja matka musiała wymienić wiele cennych przedmiotów z Chin i Japonii na jedzenie. Nie tknęła jedynie japońskiego serwisu do herbaty z podobnych powodów, dla których mój przyjaciel nie tknął butelki szampana.

Tylko była tam jedna butelka szampana. Gdy różni się powrócił, w

Nowy początek

Dagmar

Mój start od nowa w dniu zero zaczął się od osobistego ciosu. Gdy dotarłem do Flensburga, natychmiast zadzwoniłem do Berlina, do Dagmar. Miała za kilka dni przyjechać na długi weekend. Praca w telewizji nie pozwalała jej na dłużej. Wyglądałem spotkania z nią, po dokładnie pięciu latach, z wielką niecierpliwością.

Z kilku kartek z pozdrowieniami, jakie dotarły do Rosji, wiedziałem, że odniosła sukces jako reporterka i była rozchwytywana. Wiedziałem także, że pozostała mi oddana i dokładnie planowała nasze ponowne spotkanie. W jej mieszkaniu w Berlinie był przygotowany pokój dla mnie i tylko dla mnie.

Teraz, na zimnym peronie stacji, patrzyliśmy na siebie dość nieśmiało.

— Wyglądasz dobrze — powiedziałem, rozpoczynając chwilę, o której marzyłem w obozie każdego dnia. — Wyglądasz jeszcze pięknie, choć nieco zmęczona i wyczerpana.

— Ty też dobrze wyglądasz, lepiej, niż oczekiwałam po tylu latach w Rosji.

— Trzymałem formę. Nigdy nie porzuciłem nadziei, że wrócę do domu i żyłem dla chwili, w której znowu cię ujrzę.

Usiedliśmy przy filiżance kawy. Moja matka i siostra zostawiły nas samych.

Dagmar powiedziała mi o sobie, o udanej podróży do Flensburga moim mercedesem, o pracy u Brytyjczyków w roli tłumaczki i wreszcie o początkach w Radiu Północnoniemieckim, wreszcie o przejściu do

Dagmar opowiadała potem o swoich interesujących znajomych, o ważnych ludziach, z którymi robiła wywiady i o przyjemności, jaką sprawiała jej praca.

Niespodziewanie i boleśnie zdałem sobie sprawę, że stałem w miejscu, tak jak wszyscy jeńcy, że zatrzymałem się w chwili, w której byłem na początku 1945 r. i nie mogłem się rozwijać. Dzieliło nas wiele, pokonanie tej bariery wydawało się niemożliwe. Dagmar wyglądała, jakby także to czuła.

— Musimy to przemyśleć — powiedziała. — Wszystko tak różni się od tego, co sobie przez te lata wyobrażałam. Przyjeźdź do Berlina jak tylko będziesz mógł. Zobaczysz, jak mieszkam i jak pracuję, poznasz moich przyjaciół i kolegów.

Gdy odprowadzałem Dagmar do pociągu, wiedziałem, że wszystko skończone. Mimo szoku byłem szczęśliwy, że się nie pobraliśmy. Wielu przyjaciół musiało mierzyć się z wygasłym małżeństwem, które nie wytrzymało pięciu lat rozłąki.

Po kilku dniach zadzwonił z Hamburga mój przyjaciel Boos.

— Przyjeźdź do nas. Myślałem o tym, co powinieneś robić.

W Hamburgu powiedziałem Boosowi o sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się z Dagmar.

— Luck, znam Dagmar dobrze. Często tu bywała, gdy pracowała w radiu. Oddaliliście się od siebie. Nie można żadnego z was winić. Ale nic nie można na to poradzić. Dagmar z pewnością cierpi tak samo jak ty i szuka nowego początku. Nie znajdziecie go jednak razem.

Mimo to jednak pojechałem do Berlina. Jej mieszkanie było wspaniałe, w stylu bohemy. Mój pokój był muzeum: na ścianach wisiały nasze zdjęcia z pobytu w Paryżu, wszędzie stały przedmioty, które kupiliśmy razem. Jej przyjaciele, niemal wszyscy dziennikarze i ludzie z telewizji, przychodzili i odchodzili. Wszystko działało się szybko, profesjonalnie i do pewnego stopnia powierzchownie. „Miło pana poznać. Dagmar opowiadała nam o panu. Czy

Trzeciego dnia postanowiłem odejść.

— Dagmar, zostaniemy przyjaciółmi. Nie możemy kontynuować tego, co przerwaliśmy pięć lat temu w zupełnie innych okolicznościach. Twoje mieszkanie, mój pokój, to wszystko wygląda jak pomnik. Przypomina o przeszłości, ale już martwej.

Tak więc rozstaliśmy się.

Także i pod tym względem 5 stycznia 1950 r. stanowił granicę dzielącą mnie od poprzedniego życia. Był to prawdziwy dzień zero.

Widziałem się z Dagmar jeszcze tylko raz, kilka lat później. Niespodziewanie zadzwoniła do moich drzwi.

— Na zewnątrz czeka mężczyzna, który chce mnie poślubić. Lubię go. Czy przyjrzesz mu się, porozmawiasz z nim? Jeśli uznasz, że jest dla mnie odpowiedni, poślubię go. Jeśli nie, to nie.

Nie mogłem się nie śmiać. Koniec romansu zapoczątkowanego w czasie wojny był nieco tragikomiczny.

Uznałem tego człowieka za porządnego. Był to szczęśliwy biznesmen, posiadacz domu w Ronco nad Lago Maggiore oraz porsche.

— Sądzę, że jest w porządku. Mam nadzieję, że będziesz z nim szczęśliwa.

Dwa lata później zobaczyłem w gazecie anons: znana dziennikarka Dagmar S., zginęła tragicznie w wypadku samochodowym.

Nocny recepcjonista

W Hamburgu porozmawiałem z Boosem.

— Zastanawialiśmy się z żoną, od czego powinniśmy zacząć, aż skończy się dyskryminowanie dawnych oficerów i zdołasz znaleźć coś porządnego. Pewnie nie chciałbyś rozpocząć nowego życia jako komiwojażer, a to jedyna praca, do której nie trzeba mieć żadnego

„Madame”, jak z szacunkiem mówiono o właścicielce, słuchała mnie bardzo uważnie.

— Może pan zacząć u mnie. Właśnie zwolniło się stanowisko nocnego recepcjonisty. Szukam dokładnie kogoś takiego jak pan, z nazwiskiem i znajomością języków. Może rozpocznie pan w ten sposób karierę w hotelarstwie.

Promieniejąc radością, opowiedziałem o tym Boosowi i podziękowałem za radę. Póki nie znalazłem pokoju w Hamburgu, mogłem mieszkać u niego.

„Dobry wieczór, panie Y. Pański pokój został zarezerwowany dla pana, jak zwykle. Mamy nadzieję, że będzie pan zadowolony z pobytu w Hamburgu”.

Stałem w recepcji hotelu, którego połowę wciąż zajmowały brytyjskie siły okupacyjne.

Była niemal północ mroźnego lutowego dnia 1950 r. Po 38 latach rozpoczął się mój dzień zero. Gdy piszę te słowa, minęło kolejnych 38 lat. Drugi okres mojego życia był nie mniej ciekawy niż pierwszy, jedynie mniej niebezpieczny. W jego centrum była moja „przygoda afrykańska”, z wieloma przyjemnymi, ale i nieprzyjemnymi zdarzeniami.

Musiałem przyzwyczaić się do życia w cywilu. Gdy przybyli ostatni goście i powróciły nocne marki, rozpoczynały się ciche i spokojne godziny nocy. Nocnym portierem był uczciwy, starszy kolega, który przeżył wojnę w Hamburgu. Opowiedział mi o nalotach, schronach i polowaniu na dodatkowe jedzenie. Zapytał mnie, bardzo ostrożnie, jak było na froncie i w niewoli. Moje odpowiedzi były krótkie. Chciałem zostawić ten czas za sobą.

Musiałem przyzwyczaić się do nowego rytmu. Podczas gdy większość ludzi spała, ja stałem w recepcji. Gdy ludzie szli do pracy, ja próbowałem spać, by potem znowu pójść do pracy. Każdej nocy przyglądałem się liście gości, by zobaczyć, czy wśród nich znajdę jakichś starych znajomych.

Potem miało miejsce zdarzenie, które zmieniło cały mój stosunek do

— To dla pana. Dziękuję za wspaniałą obsługę.

Byłem zbulwersowany. Nikt nigdy nie dawał mi napiwku. Sytuacja była dla mnie bardzo bolesna.

— Nie trzeba, bardzo panu dziękuję. Mam nadzieję, że czuł się pan jak u siebie w domu — powiedziałem i oddałem mu pieniądze.

Fin spojrzał na mnie z niedowierzaniem, pokręcił głową i schował banknot. Ledwie wyszedł z hotelu, gdy podbiegł do mnie nocny portier.

— Czy pan zwariował? My żyjemy z napiwków. Jak pan myśli, dlaczego tak źle się nam płaci? Każda dyrekcja hotelu wie, że dostajemy napiwki. Potem, nieco spokojniej, dodał: — Rozumiem pana dobrze. Nie jest panu łatwo przystosować się. Ale musi pan. W każdej pracy obowiązują określone zasady.

Była to dla mnie ważna lekcja: musiałem teraz myśleć ekonomicznie. Od tego czasu przyjmowałem napiwki bez wyrzutów sumienia. Wkrótce dzięki nim podwoiły się moje zarobki.

Coraz bardziej lubiłem rozmawiać z gośćmi, którzy przybywali ze wszystkich stron świata. Gdy wracali ze spacerów po mieście lub po Reeperbahn*, często mieli ochotę na pogawędkę.

Wciąż jednak nie natknąłem się na nikogo z dawnych znajomych, mój mały notesik z adresami zabrali Rosjanie.

Potem jednak niespodziewanie stanął przede mną Jurgen graf Rittberg, oficer operacyjny w naszym batalionie rozpoznawczym, ciężko ranny we Francji w 1940 r. Wżenił się w starą rodzinę z Dusseldorfu, która miała sieć salonów samochodowych. Zaproponował mi pracę u swojego teściujako sprzedawca, ale uprzejmie odmówiłem. Widywaliśmy się często w kolejnych latach do śmierci Jurgena, który zginął w wypadku samochodowym.

Wciąż marzyłem o pracy za granicą. Nie opuszczała mnie chęć

Przy kieliszku wina opowiedział mi, że otrzymał propozycję z Bundeswehry, którą właśnie organizowano, gdzie miał otrzymać stanowisko sztabowe.

— Co mi pan radzi? Czy powinienem porzucić dobrą pracę, jaką mam?

— To musi pan rozstrzygnąć sam, Liebeskind — odpowiedziałem.

— Jest pan ciągle młody i może zrobić karierę, nawet jeśli nie będą panu płacić tyle co teraz.

Zwyciężył jego idealizm. Kilka lat temu przeszedł na emeryturę w stopniu generała porucznika po wspaniałej karierze na wielu zagranicznych stanowiskach.

Wreszcie doszło do spotkania, na które ciągle miałem nadzieję. Przez wielu znajomych skontaktowano mnie z właścicielem firmy eksportowej, która od pokoleń miała ścisłe kontakty z Japonią, Chinami i Hongkongiem.

— Zamierzam stworzyć nową firmę w Angoli, w Afryce Zachodniej, tam, gdzie konkurencja nie jest duża. Aby to zrobić, muszę na rok pojechać do Afryki i szukam kogoś, kto będzie mnie tu reprezentował. Polecono mi pana. Czy odpowiada panu taka rola?

— Bardzo mi odpowiada — odparłem — ale nie jestem biznesmenem.

— Można się nauczyć szczegółów. Zorganizowanie i rzetelność są wrodzone. A właśnie tego oczekuję od kogoś, kto może kierować firmą podczas mojej nieobecności. Moi pracownicy pokażą panu wszystko. Co pan na to?

Zgodziłem się natychmiast, zwłaszcza że miałem perspektywę udania się na rok czy dwa do Angoli.

Madame zrozumiała moją decyzję, gdy wręczyłem jej wymówienie z pracy w hotelu.

Na wieczorowych kursach prawa handlowego, księgowości i portugalskiego zapoznałem się z nową tematyką. Młodszy koledzy bardzo mi pomogli.

Z nowym szefem odwiedziłem wszystkich naszych klientów w Niemczech

Znalazłem nowe powołanie, któremu jestem wierny do dzisiaj. Przeszłość stała się wspomnieniem. Poświęciłem się całkowicie nowej pracy.

Jeszcze raz jednak powrócił do mnie mój poprzedni zawód. Zostałem wezwany do anonimowego biura w Bonn, które wówczas zajmowało się organizowaniem nowej Bundeswehry.

Zapytano mnie, czy byłbym zainteresowany podzieleniem się moim doświadczeniem i ponownym wstąpieniem do armii.

— Jest pan wciąż jeszcze młody, służył pan w Reichswehrze i w Wehrmachcie, w wojskach pancernych, walczył pan niemal na wszystkich frontach. Pańskie doświadczenie bardzo się przyda przyszłej Bundeswehrze.

Moja odpowiedź była krótka.

— Z trudem zdobyłem nowy zawód, który bardzo lubię i dzięki któremu często wyjeżdżam za granicę. By go porzucić, musiałbym otrzymać od was jakąś gwarancję, że będę służył albo w wojskach pancernych, albo jako attache wojskowy. Czy możecie mi to zagwarantować?

Odpowiedź nie była zachęcająca.

— Możemy mieć dla pana podobne stanowisko, ale nie możemy tego zagwarantować. Stanowiska od pułkownika wzwyż muszą być zatwierdzone przez partie polityczne — poinformowano mnie.

— Muszę zatem podziękować. Nie mam ochoty skończyć jako dowódca jakichś koszar tylko dlatego, że moja twarz komuś nie odpowiada. Bez gwarancji nie porzucę mojej obecnej posady. Dziękuję wam jednak, że o mnie pomyśleliście.

Podobne decyzje podjęło wielu moich znajomych, którzy zdobyli dobrą pracę w przemyśle lub handlu. Dla mnie był to koniec z wojskiem.

Z powrotem w przeszłości

W latach 60., tuż po powrocie z pierwszego pobytu w Angoli, zadzwonił

grapy bojowej 21. Dywizji Pancernej. Staff College w Camberley chciałby zaprosić pana na następny objazd pól bitewnych w Normandii, by przedstawił pan swoje działania w tej operacji, która tyle kosztowała Montgomery'ego. Czy byłby pan skłonny przybyć? Oczywiście, pokrywamy wszelkie wydatki.

Spodobała mi się perspektywa ponownego ujrzenia Normandii oraz miejsc, w których toczyliśmy ciężkie walki obronne. Zgodziłem się.

Teren w okolicach Caen, na wschód od Orne, wyglądał tak samo, jak go zapamiętałem ponad dwadzieścia lat wcześniej. Był czerwiec, zboże dojrzewało, wioski zostały odbudowane, a rolnicy pracowali tak, jak robili to przed „Dniem D”. Całkowicie zniszczone Caen powstało z gruzów i dzięki szanującym przeszłość architektom było jeszcze piękniejsze niż kiedyś. Francuzi, z którymi rozmawiałem, nie zapomnieli, co obie strony uczyniły ich krajowi, ale przebaczyli i byli przyjaźni w stosunku do mnie, niegdyś jednego z *sale Boche*. „*C'était la guerre, Monsieur*. Wypełniał pan swój obowiązek, choć dla złego reżimu”.

Komendant i wyżsi oficerowie college'u powitali mnie jako uczciwego i odważnego przeciwnika i przedstawili mnie innym zaproszonym prelegentom.

Poznałem generała „Pipa” Roberta, zapewne najmłodszego i najbardziej elastycznego z brytyjskich dowódców wojsk pancernych. Słyszałem o nim wiele w Afryce Północnej i wiedziałem, że podczas operacji „Goodwood” dowodził prowadzącą 11. Dywizją Pancerną, która toczyła najcięższe walki i poniosła największe straty. Poznałem Billa Close'a

— dowódcę jednej z kompanii czołgów, Davida Stilemana z piechoty zmechanizowanej tej dywizji i innych uczestników tych zaciętych walk, którzy powitali mnie jak starego znajomego. Byłem oszołomiony życzliwością, z jaką mnie przyjęto, i uczciwością, z jaką przyznano, że „Goodwood” była jedynie częściowym sukcesem okupionym dużymi stratami

Przez wszystkie te lata równocześnie z moją „prezentacją na temat «Goodwood»" miała miejsce także „prezentacja «Overlord»" związana z lądowaniem 6. Dywizji Powietrznodesantowej i zdobyciem dwóch mostów na Orne przez kompanie majora Johna Howarda. Byłem zainteresowany tą śmiałą operacją przeprowadzoną w nocy z 5 na 6 czerwca 1944 r. W wolnym dniu dołączyłem do grupy „Overlord” i słuchałem zafascynowany opowieści Johna Howarda. Gdy skończył, podszedłem do niego.

— Jestem pułkownik Hans von Luck, dowódca grupy bojowej 21. Dywizji Pancerniej, której nie pozwolono atakować nocą, w czasie której przeprowadziliście swą akcję w Escoville. Cieszę się, że mogę pana poznać osobiście.

— Oh, Hans, tak się cieszę, że cię poznałem — odpowiedział.

— Musimy się spotkać. Tyle chciałbym się od ciebie dowiedzieć.

Siedliśmy następnie w małym barze w nadmorskim kurorcie Cabourg z innymi spadochroniarzami, którzy wylądowali owej nocy w moim sektorze. Tak zaczęła się moja przyjaźń z Johnem Howardem, która trwa do dzisiaj i jest coraz trwalsza. Cóż za szaleństwo, walczyć na noże, a potem zostać dobrymi przyjaciółmi!

W 1979 r. brytyjskie ministerstwo obrony nakręciło film „Goodwood”, by ta ważna bitwa oraz osobiste przeżycia tych, którzy wzięli w niej udział, zostały utrwalone dla potomności. Film ten jest fascynujący: oryginalne zdjęcia obu stron połączone z komentarzem weteranów oraz objaśnieniami historyków dotyczącymi celów i wyniku operacji.

Film „Goodwood” sprzedano niemal do wszystkich europejskich szkół wojskowych i wydziałów wojsk pancernych jako materiał szkoleniowy dla młodych oficerów i podoficerów.

Kilka lat później, z rekomendacji Johna Howarda, zgłosiła się do mnie szwedzka akademie wojskowa i sztab generalny.

wielkimi mocarstwami nikt nie będzie respektował naszej neutralności. Chcielibyśmy więc dowiedzieć się i ćwiczyć, jak my, ze słabszą liczebnie armią, moglibyśmy skutecznie uniemożliwić desant na naszym wybrzeżu. Lub, jeśli to możliwe, zapobiec, by nieprzyjaciel po lądowaniu wdarł się w głąb naszego kraju. Operacja „Goodwood” wydaje nam się dobrym przykładem takich działań.

Od ośmiu lat, zawsze około 6 czerwca, jestem gościem przyjaznych Szwedów.

1984 — czterdziesta rocznica „Dnia D”

Zbliżała się czterdziesta rocznica 6 czerwca 1944 r. Miały miejsce wielkie uroczystości wspomnieniowe, na których była obecna brytyjska rodzina królewska, kilka koronowanych głów, prezydent Stanów Zjednoczonych oraz przedstawiciele wszystkich krajów, które wzięły udział w inwazji po stronie aliantów.

Coup de main Johna Howarda obok mostów na Orne był najbardziej spektakularny. Nie dziwi zatem, że wielkie stacje telewizyjne ze wszystkich krajów szukały osób związanych z tą operacją, by przeprowadzić z nimi wywiady. To John Howard skierował ich do mnie, by mogli się dowiedzieć czegoś o drugiej stronie.

Pod koniec 1983 r. odszukał mnie już w Hamburgu profesor Stephen Ambrose, znany historyk amerykański, którego poproszono o napisanie „historii mostu Pegaza” z okazji rocznicy „Dnia D”. Wywiad trwał pięć godzin. Nie podejrzewałem, że był nagrywany. Po przesłuchaniu taśmy Steve zadzwonił do mnie.

— Hans, to, co przeżyłeś, jest niewiarygodne, nie wspominając o spotkaniach z Rommlem i niewoli w Rosji. Musisz napisać wspomnienia. Zadbam, by przeczytano je na całym świecie.

— W żadnym wypadku — odpowiedziałem. — To dzień pamięci dla aliantów. To ich zwycięstwo nad Niemcami Hitlera. Nie mam tam czego szukać.

Reakcja na reportaże w niemieckiej telewizji, prasie i radiu, w których opowiedziałem o naszych działaniach w nocy poprzedzającej inwazję, była zaskakująca. Zaczęły napływać strumieniem listy i telefony od moich dawnych podkomendnych.

„Słyszałem pana w radiu” „Czytałem pański artykuł ze zdjęciem”.

„Był pan w telewizji — czy mój były dowódca, Hans von Luck, to pan?”.

„Nie wiedziałem, że pan żyje. Sądziłem, że zniknął pan w Rosji, a tu nagle widzę pana w telewizji!”.

Każdy pytał, czy może się ze mną spotkać i prosił o adres do korespondencji.

Przeszłość powróciła.

Na szczęście od wydarzeń tych minęło już dość czasu. Widzę wszystko z innej perspektywy, bez nadmiernych emocji. Spotkania w Hamburgu czy w innych miejscach w Niemczech udowodniły mi, że nawet po tylu latach przyjaźń, raz zawiązana, i wspólnie przeżyte cierpienia wytwarzały więź solidarności, która nie ma nic wspólnego z opowieściami weteranów.

Z Kolonii zadzwonił Fritz Winand.

— Widziałem pana w telewizji. Cudownie pan wypadł! Pamięta pan? Byliśmy razem w obozie na Kaukazie, pan, pułkownik, i ja, młody żołnierz, cierpiący ten sam los jeńca w kopalniach i na budowach. Czy wie pan, że od 1945 r. działa Stowarzyszenie Obozu 518, dzięki któremu kilkuset dawnych jeńców obozu utrzymuje kontakty od 1950 r.? Ma oddziały w Kolonii, Berlinie i Monachium. Spotykamy się regularnie — za dwa tygodnie spotkanie odbędzie się w Kolonii. Czy mógłby pan przyjechać?

Oczywiście, musiałem pojechać. My, dawni jeńcy wojenni, przeżyliśmy

— Nasz pułkownik von Luck! Co za radość! Pomyśleć, że wciąż pan żyje i jest teraz z nami!

Wielu miało łzy w oczach. Nie inaczej było ze mną.

Musiałem opowiedzieć, co działo się z nami w obozie karnym w Kijowie. Mówiłem o strajku głodowym i o przesłuchaniach przed zwolnieniem. Potem chciałem dowiedzieć się, co stało się z wieloma jeńcami, których znałem i z którymi pracowałem.

Fritz Winand, przedsiębiorczy organizator spotkania, powiedział mi, że nasze Stowarzyszenie Obozu 518 było zapewne jedynym tego typu. W 1965 r. spotykało się regularnie 426 członków, w 1984 r. zaś ciągle było ich 375.

Zapytałem o Jupp Linka, niemieckiego komendanta naszego obozu.

— Jupp mieszka na gospodarstwie koło Monachium. Jest w znacznym stopniu niepełnosprawny, ale umysłowo tak żywy jak zawsze. Możemy do niego zadzwonić.

— Mówi Jupp Link — usłyszałem znajomy głos. — Z kim rozmawiam?

— Mówi Hans von Luck. Pamiętasz, Jupp? Jestem w Kolonii z wieloma naszymi przyjaciółmi z ciężkich czasów. To wielka przyjemność móc z tobą porozmawiać po trzydziestu pięciu latach.

— Pułkownik Hans von Luck, mój Boże! — Jego głos się załamywał. — Jak cudownie móc z panem rozmawiać. Jak się pan miewa? Odwiedza pan czasem Monachium? Żyję sobie tu spokojnie na prowincji.

— Oczywiście, Jupp. Przyjadę. Dam ci znać kiedy.

Chodziłem od stolika do stolika. Cóż stało się z *plenny*, którzy w tamtych dniach, w zgrzebnych drelichach i watowanych kurtkach wyglądali tak samo? Interesowała mnie grupa teatralna i muzyczna, z którą spędziłem tyle miłych chwil.

Przy jednym stoliku zatrzymano mnie.

— Pamięta pan nas? Jajestem Glaubrecht, perkusista. Obok mnie siedzi

— Po powrocie poszedłem na uniwersytet i zostałem szefem kolegium. Pisałem także wiersze i powieści, które publikował austriacki wydawca.

— Co stało się z innymi, na przykład z Karl-Heinzem Engelsem, który jako aktor i reżyser wspierał grupę teatralną?

— Engels — powiedziano mi — został uwolniony dopiero 30 kwietnia 1950 r. Dlaczego tak późno, nie wie nawet on sam. Pozostał wierny swej profesji: został dyrektorem administracyjnym teatrów miejskich w Dortmundzie, a potem jednym z dyrektorów Recklinghausen Ruhr Festival. Od 1985 r. jest na emeryturze.

— Reinhold „Reini” Bartel, nasz tenor, studiował śpiew i występował na wielu scenach, w tym w słynnej operze w Weisbaden. Potem został profesorem śpiewu na Uniwersytecie Mogunckim.

Bartel napisał do mnie nieco później: „Tak się ucieszyłem, usłyszawszy o panu. Przez radio musiałem kiedyś zaśpiewać «Ninou, lach' mir einmal zu»*. Gdyby tylko mógł usłyszeć to nasz żydowski lekarz dr Fuchsmann. Kiedyś zaśpiewał dla mnie tę piosenkę. Bardzo lubił Jana Kiepurę”.

Przy następnym stoliku siedział Drews, nasz kucharz obozowy, najważniejsza osoba w obozie.

— Wciąż dobrze pamiętam, jak major Zamczaradze kazał mi dawać grupie teatralnej i muzycznej podwójną porcję kaszy. Jak mi wyjaśnił, „Dla *Kultury* robimy wszystko”.

— Jajestem Fred Sbosny, kierowca naszego obozowego studebacke- ra. Czy pamięta pan, jak kiedyś jechaliśmy razem do Tbilisi?

— Oczywiście! — Przypomniało mi się wszystko. — Pamiętam, jak był pan nerwowy, gdy musiał na rozkaz Zamczaradzego kraść opony z magazynu kopalni. Strażnicy mogli pana zastrzelić. Wiele naszych fuch to były niebezpieczne przygody.

zapomnieć lat spędzonych w gułagu. Dla wielu stanowiły one punkt zwrotny w życiu. Jest dla mnie zupełnie jasne, że tylko poczucie solidarności i koleżeństwa, bez względu na stopień i pochodzenie społeczne, pozwoliło wielu przetrwać.

W Kolonii zadawaliśmy sobie pytanie, czy chcielibyśmy jeszcze raz zobaczyć Tkibuli. Opinie były różne, od „nigdy więcej!” do „tak, dlaczego nie, o ile Rosjanie nas wpuszczą”.

Handlowiec Eberhard Koellreuter był jednym z najmłodszych jeńców. Dzisiaj pracuje on w okolicy Monachium. To on podjął inicjatywę i w 1978, 1982, a ostatnio w 1985 r. pojechał na Kaukaz oficjalnie z grupą niemieckich turystów. Ostatnią podróż zorganizował sam. Za jego pozwoleniem zamieszczam jego relację:

„W 1985 r. zebrałem grupę sześćdziesięciu siedmiu osób, które chciały zobaczyć piękną Gruzję na skraju Azji. Oprócz mnie żadna z tych osób nie miała nic wspólnego z jeńcami wojennymi. Moje podanie do Inturistu, by uwzględnić na trasie wycieczki Tkibuli, zostało odrzucone: «Zgodę musi wyrazić stowarzyszenie weteranów». Dlaczego właśnie ono, pozostaje dla mnie do dziś zagadką.

6 września 1985 r. nasza grupa przybyła na Kaukaz. Zapytałem młodą i przyjazną Gruzinkę, którą przydzielono nam jako przewodnika, czy możemy pojechać przez Tkibuli. «Słyszałem o tym miejscu»

— wyjaśniłem. «Tak, oczywiście, miasteczko leży po drodze do jeziora Wole Oko, wysoko w masywie Elbrusu. Będziemy tam zwiedzać słynny kościół w Nikorzmindzie zbudowany za panowania Bagrata III między rokiem 1010 a 1014».

Byłem bardzo podekscytowany. Nikt w grupie nie musiał wiedzieć, dlaczego byłem tak zainteresowany tym zapomnianym miejscem. 7 września, po okropnym śniadaniu, pojechaliliśmy na północ, w góry, zdezelowanym

Po dwóch godzinach «trzęsionki» przybyliśmy na przedmieścia Tkibuli. Mijając urząd celny, znaleźliśmy się na ponurej stacji kolejowej, gdzie kiedyś nas wyładowano i skąd musieliśmy wlec się pieszo do obozu. Zapytałem, czy nie moglibyśmy się na chwilę zatrzymać. «Pani rozumie, natura wzywa». Z ukrycia zrobiłem kilka zdjęć. (Niech mi wybaczy rosyjskie prawo! Fotografowanie jest surowo zabronione.) Z tego miejsca miasteczko, leżące na wzgórzach między górami, wyglądało spokojnie jak sanatorium. Gdy pomyślałem o setkach naszych towarzyszy leżących gdzieś tam w nieoznakowanych grobach, łzy zaczęły mi się cisnąć do oczu. Nie wstydziłem się ich.

Gdy zbliżaliśmy się, miasteczko wyglądało tak, jak je zapamiętałem: proste, drewniane domy, zaniedbane ulice; miejsce zbudowane jedynie dla więźniów, którzy wydobywali cenny węgiel. Rozmawiałem z kilkorgiem Gruzinów, których zapytałem o nasz obóz i o kopalnię węgla. Spojrzeli na mnie zdziwieni: *plenny*, który odwiedza miejsce swego uwięzienia? «Wasz obóz został zburzony dawno temu — powiedzieli mi. — Inne obozy wciąż istnieją, dla Rosjan». Chociaż większości z nich nie było na świecie lub mieszkali gdzie indziej, gdy my byliśmy w obozie, wszyscy okazali mi wiele sympatii.

Ruszyliśmy dalej, minęliśmy elektrownię, którą kiedyś zbudowaliśmy, a która wyglądała na nieremontowaną. Jechaliśmy krętą drogą coraz wyżej, na przełęcz Nakerala. Tam, w 1949 r., byłem na swej ostatniej budowie: wznosiliśmy mieszkania dla górników. Domy wyglądały na zaniedbane. Jak musiały wyglądać wewnątrz? Widok do tyłu, na Tkibuli, był przepiękny. Nic nie przypominało o naszych cierpieniach.

Ciągle robiłem zdjęcia. Widok ku północy rozciągał się aż do jeziora Wole Oko i na nienaruszony górski krajobraz masywu Elbrusu. Znaleźliśmy się u celu. Piękny stary kościół wydawał się nietknięty, może jako wizytówka dla

Gdy chłopci zdali sobie sprawę, że przybyliśmy z «Erefenu», czyli z Republiki Federalnej, zalali nas potokiem słów.

— Słyszeliśmy od naszych rodziców, że wielu Niemców musiało tu pracować jako jeńcy wojenni i że część z nich umarła z głodu. My lubimy was, Niemców; my też kochamy wolność. Nie może być więcej wojny.

W drodze powrotnej raz jeszcze przejechaliśmy przez Tkibuli, tę scenę tragedii. Czas zatarł ślady. I dobrze, że tak się stało".

Tak kończy się relacja Koellreutera.

To, co udało się tylko jemu, powinno być kiedyś możliwe dla każdego, by mógł wyciągnąć rękę do tamtejszych mieszkańców i do całej Rosji.

Na początku lipca 1987 r. znalazłem się w Monachium. Miałem odwiedzić Juppa Linka.

Zadzwoiłem do Ernsta Urbana, który miał zorganizować spotkanie. W obozie często siadywałem wieczorami z Urbanem i słuchałem jego opowieści, jak go posadzono między dwoma świecącymi z gorąca piecykami i polewano zimną wodą, by wymusić na nim przyznanie się. Urban bał się, że spotkanie po latach może być zbyt dużym przeżyciem dla Juppa. Jego żona powiedziała: „Przyjeżdżajcie, ale traktujcie go delikatnie".

Przez wspaniałe okolice, skąpane w lipcowym słońcu, jechaliśmy do wioski, w której mieszkał Jupp u podnóża Alp. Zatrzymaliśmy się przed jednym z typowych wiejskich bawarskich domów.

— To Jupp. Czeka na nas — krzyknął Urban.

Opierając się na lasce, Jupp pokuśtykał do mnie. Miał lzy w oczach. Ja także, widząc go po czterdziestu latach.

Jupp rzucił mi się na szyję.

— Ze dożyłem czegoś takiego! Nasz pułkownik von Luck tu, w moim domu, zdrowy i taki jak zawsze. Chodźmy, panie pułkowniku, zapraszamy. Oto moja żona, podpora mojego życia.

Siedliśmy razem, trzech starych *plennych*. Jupp otoczył mnie ramieniem i mówił o dniach i latach spędzonych na Kaukazie. Nie wiedziałem do tej chwili, że robił w obozie zdjęcia, skrycie i ryzykując życiem i że zdołał przemyścić z obozu negatywy dzięki pomocy Gruzinek. Dzisiaj fotografie te są cenne, gdyż podobnych istnieje bardzo mało.

Na tej ławce przed domem Juppa było tak spokojnie, że zapomnieliśmy o trudnych chwilach i po prostu byliśmy szczęśliwi, że żyjemy.

Po zjedzeniu doskonale przyrządzonej przekąski musiałem, niestety, jechać dalej. Obiecałem Juppowi, że przyjadę znowu, gdy tylko będę w okolicach Monachium.

— Niech was Bóg chroni, mój drogi Jupp. Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiliście dla nas wszystkich, gdy byliście młodym komendantem naszego obozu.

Ostatni pożegnalny gest i odjechaliśmy z Urbanem.

Nie żałuję, że przeszłość wróciła do mnie w tylu osobach. Zbudowałem pomost łączący mnie z poprzednim życiem. Mogę go przekraczać bez bólu w sercu.

Epilog

Zapomnieć dobrze — choć trudno Przebaczyć lepiej Najlepiej jest się pogodzić.

W 1952 r. złożył mi niespodziewaną wizytę Erich Beck, mój towarzysz z wielu frontów, który uważał się zwykle za mój cień.

— Dostałem pana adres od pańskiej matki i wykorzystałem podróż służbową, by pana wreszcie odwiedzić.

Nasza radość była ogromna. Nie słyszeliśmy o sobie od mojego wylotu z Afryki Północnej w kwietniu 1943 r.

Usiedliśmy i rozmawialiśmy. Ja o ciężkich walkach do samego końca oraz o trudach rosyjskiej niewoli. Erich Beck ze swej strony był pełen pochwał dla humanitarnego traktowania przez Amerykanów, którzy zwolnili go wcześniej.

— Amis pokazali mi swą postawą, że chcą zapomnieć i pojednać się z nami. „W końcu — jak mówili — wypełnialiście tylko swój obowiązek”.

Spotykaliśmy się często przez kolejne lata. Pamiętnik i notatki Becka bardzo pomogły mi w napisaniu tej książki. Pułkownik i kapral zostali przyjaciółmi. Pod koniec 1988 r. Erich Beck zmarł. Niestety, nie miałem czasu, by uczestniczyć w jego pogrzebie. Straciłem prawdziwego przyjaciela.

W 1956 r. byłem w Paryżu w interesach. Cieszyłem się z odnowienia znajomości z tym unikalnym miastem. Wiele się zmieniło, ale małe *quartiers* pozostały.

Chciałem — byłem zdeterminowany — odnaleźć J. B. Morela, mojego przyjaciela z czasów wojny. Rosjanie mieli mój notesik z adresami, a jego nazwiska nie było w książce telefonicznej (miał zastrzeżony numer). Nie

mieszkał, ale wiedziałem, jak wygląda dom i że stoi on w Neuilly, w pobliżu Lasku Bulońskiego. Chodziłem po okolicy, aż wreszcie przy Rue de Dobropol niespodziewanie znalazłem się przed znajomym domem, w którym swe niewielkie mieszkanie miał J. B. Postanowiłem poprosić o pomoc konsjerżkę; paryskie konsjerżki były wszystko- widzące i wszystkowiedzące.

Siedziała w swym kącie, rozmawiając z elegancką damą.

— Przepraszam, *madame*, czy mieszka tu jeszcze *monsieur* Morel?

— Ja jestem *madame* Morel — powiedziała dama. — W czym mogę pomóc?

— *Madame*, nie zna mnie pani, ale jestem Hans von Łuck, dobry przyjaciel pani męża z czasów wojny.

— Hans, *mon Dieu*, pan żyje! — Obie kobiety niespodziewanie miały łzy w oczach. — Wiem o panu wszystko. J. B. tyle mi opowiadał. Proszę wejść, mąż będzie w domu lada chwila.

— Mam na imię Mary. Pobraliśmy się kilka lat temu i na razie wciąż mieszkamy w kawalerce.

Mieszkanie nie zmieniło się, nie licząc kilku znaków obecności kobiety. Jakże często siadywałem tu i rozmawiałem o przeklętej wojnie.

Mary krzątała się podniecona.

— Niech się pan schowa w alkowie. Zrobimy J. B. niespodziankę.

I oto przyszedł.

— *Bonjour, chérie*, czy miałaś dobry dzień? — potem odwrócił się i dostrzegł mnie. Płaszcz i teczka upadły na ziemię, a do oczu napłynęły łzy.

— *Non, Hans, ce n'est pas vrai, Mon Dieu*, to naprawdę ty.

Ruszyliśmy ku sobie i padliśmy sobie w ramiona. Ja też miałem łzy w oczach.

— Mary, włóż coś na siebie, idziemy to uczcić. Zadzwońię do Clementa, musi pójść z nami.

Siedliśmy razem w małej restauracji należącej do przyjaciela J. B.

Pod koniec wojny J. B. poruszył niebo i ziemię, by mnie odszukać. Próbował przez Ambasadę Francuską w Moskwie, Ambasadę Niemiecką w Paryżu, a nawet przez rosyjskie KGB.

— Zdołałem dowiedzieć się jedynie, że wpadłeś w ręce Rosjan. Nikt jednak nie umiał mi powiedzieć, gdzie byłeś, a nawet czy jeszcze żyjesz.

Przyszedł Clement Duhour z butelką bardzo starego szampana, Veuve Cliquot Rosę. Został znanym producentem filmowym; jego związek z Vivianne Romance dawno się zakończył.

— Jak ma się Dagmar? Po jej ucieczce z Paryża w 1944 r. nie słyszeliśmy o niej.

Opowiedziałem moim przyjaciołom, jak i dlaczego nasz związek się rozpadł oraz o tragicznych okolicznościach, w jakich straciła życie. Siedzieliśmy do późna w nocy i obiecaliśmy sobie, że nigdy nie pozwolimy, by utracić kontakt ze sobą.

Dwaj oficerowie, którzy kiedyś stali naprzeciwko siebie jako wrogowie, byli teraz przyjaciółmi w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Wszystko, co nas dzieliło, zostało wybaczone i zapomniane.

W 1967 r. zadzwonił do mnie dyrektor francuskiego studia filmowego *Pathe*.

„ORTF planuje nakręcić dokumentalny film w Afryce Północnej zatytułowany «Wojna bez nienawiści» z wykorzystaniem nagrań kronik filmowych z wojny na pustyni w latach 1941-1943. Jako komentatorzy podczas kręcenia będą obecni świadkowie ze wszystkich czterech państw, które wzięły udział w tej wojnie — z Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Niemiec. Patronat nad projektem sprawuje francuski minister obrony Messmera (który w czasie wojny był jednym z obrońców pustynnego fortu Bir Hacheim). Polecimy z ekipą rządowym samolotem do Aleksandrii, stamtąd zaś udamy się do Tobruku i w głąb pustyni. Gdyby pan zechciał

.....

Powstał film obiektywny i służący pojednaniu, który pokazywano w wielu krajach Europy i poza nią.

Od końca lat 60. do roku 1979 byłem, jak wspominałem, gościem British Staff College w Camberley, który organizował co roku podróż po normandzkich polach bitew, by młodzi oficerowie sztabowi mogli na miejscu usłyszeć komentarze o najważniejszych starciach w Normandii z ust uczestników wojny.

Dzisiaj praktycznie nie ma wyższego oficera brytyjskiego, który nie słyszał moich prelekcji w Normandii. Wśród nich jest także książę Kentu.

Przeciwnicy zmienili się w przyjaciół, którzy wspólnie i bez emocji próbują wyciągnąć wnioski z wydarzeń tamtych czasów.

Od czerwca 1980 r. byłem co roku gościem szwedzkiej akademii wojskowej, która z podanych już powodów jest zainteresowana niemieckimi działaniami obronnymi po inwazji.

Wreszcie w listopadzie 1983 r. odwiedził mnie Steve Ambrose, dziś mój dobry przyjaciel, by przeprowadzić ze mną wywiad do swojej książki „Most Pegaza”, która miała odtworzyć w czterdziestą rocznicę inwazji przebieg śmiałego ataku majora Johna Howarda, który zdołał opanować ważne mosty na rzece Orne.

W maju 1984 r. w małej *Cafe Gondree* stojącej tuż przy mostach Pegaza panował wielki gwar. Był to prawdopodobnie pierwszy budynek wyzwolony przez aliantów. Steve Ambrose, amerykański historyk, John Howard, brytyjski wyzwoliciel i ja, niemiecki pułkownik oraz człowiek z drugiej strony, siedzieliśmy w słońcu przed kafejką. Obsługiwała nas *madame Gondree* z córkami. Dla mnie chwila ta była symboliczna: przeciwnicy sprzed czterdziestu lat siedzieli razem jako przyjaciele, by podpisywać książkę Steve'a dla setek gości, którzy przybyli z całego świata na zbliżającą się rocznicę

i jednocześnie gość Brytyjczyków, a później Szwedów mogłem jeść z nimi obiad, nie zdradzając swojej narodowości?

John Howard znalazł wyjście.

Gdy byłem z Brytyjczykami, przedstawiano mnie jako „majora van Lucka”, Szwedzi zaś jako „wikinga ze Szwecji”. Przez wszystkie te lata *madame* odpowiadała „lubię Anglików” i „lubię wikingów”, całując mnie w oba policzki. Chociaż cieszyło mnie, że *madame* nigdy nie odgadła mojej prawdziwej narodowości, nie napawało mnie jednak radością to kłamstewko.

Podczas gdy Steve i ja podpisywaliśmy egzemplarze jego książki, szwedzki komendant oraz John Howard siedzieli u *madame* w małym ciemnym pokoju pełnym pamiątkowych fotografii.

Niespodziewanie John Howard wyszedł.

— Hans, dla *madame* 6 czerwca 1984 r. będzie dniem życia. Na uroczystości z okazji czterdziestej rocznicy „Dnia D” przybędzie książę Karol, który zwiedzi także most Pegaza i *Cafe Gondree*, spotka się więc z *madame*. Ona jest bardzo chora i jedynie chęć doczekania tego dnia trzyma ją przy życiu. Myślę, że powinniśmy w końcu powiedzieć jej prawdę. Nie powinna umrzeć okłamywana. Porozmawiam z nią.

Czekałem na zewnątrz, zdenerwowany, jak *madame* zareaguje.

Nagle wyszła z domu podtrzymywana za ramię przez Johna. Podeszła do mnie. Jej wyraz twarzy był przyjazny.

— Monsieur Hans, John wszystko mi powiedział. Wiem, że teraz jesteście bliskimi przyjaciółmi, a przyjaciele Johna są także moimi przyjaciółmi. Wybaczmy i zapomnijmy o wszystkim. Niech Bóg pana chroni!

Tym razem jej pocałunek był zasłużony.

Pojednanie z tą patriotką znaczyło dla mnie więcej niż wiele innych spotkań.

Kilka tygodni później zadzwonił do mnie z Anglii John.

W następnym roku udałem się z Johnem na mały wiejski cmentarzyk i złożyłem kwiaty na jej grobie. Złożyłem także wiązanekę na grobie porucznika „Dena” Brotheridge, pierwszego poległego z kompanii Johna. Zasłużyli oni na mój szacunek.

W maju 1987 r. konsul francuski *monsieur* Kieffer zaprosił mnie do Rittershoffen w Alzacji. Nieopodal tej wioski, o którą tak zawzięcie walczone w styczniu 1945 r., w dawnych kazamatach Linii Maginota miało zostać otwarte muzeum. Młodzież z Francji

i Niemiec pracowała tam jako wolontariusze od miesiący — wspinały znak pojednania.

Z inicjatywy *monsieur* Kieffer już rok wcześniej został odsłonięty pomnik stojący między wioskami Rittershoffen i Hatten. Wypisano na nim numery dywizji, które walczyły przeciwko sobie w ostatniej fazie wojny. Pod powiewającymi flagami Ameryki, Francji i Niemiec zachodnich dawni wrogowie uścisnęli sobie dłonie, wiedząc, że nie chcą już nigdy walczyć przeciwko sobie.

W lipcu 1987 r. zostałem zaproszony do wygłoszenia wykładu na uniwersytecie w Innsbrucku w Austrii dla około dwudziestu pięciu studentów i studentek wchodzących w skład grupy Steve’a Ambrose’a, który podróżował z naukowymi odczytami po Europie. Spora część z nich była Żydami. Zanim pojechaliśmy na weekend do Normandii, każdego dnia siadaliśmy razem w małej restauracji

i rozmawialiśmy. Wiedziałem, że wielu z nich było bardzo sceptycznie nastawionych do wykładów dawnego oficera nazistowskiej armii. Mogłem ich przekonać, że określenie „nazistowski oficer” było generalizowaniem i że ogromna większość żołnierzy niemieckiej armii zdała sobie sprawę, po inwazji na Rosję i przegranych kampaniach w Afryce Północnej i Francji, że ideologia „Tysiącletniej Rzeszy” była fałszywa i przyniosła nieszczęście nie tylko naszemu własnemu narodowi, ale także całej Europie.

Chcieli także wiedzieć, czy my, niegdyś żołnierze, nie wiedzieliśmy jednak czegoś o Auschwitz i innych obozach zagłady i dlaczego nie przeciwstawiliśmy się temu. Wyjaśniłem im, że nie wiedzieliśmy. Zanim nie dowiedziałem się, że mój przyszyły teść został zabity w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, nic nie wiedziałem o obozach. To wydarzenie dopiero otworzyło mi oczy.

Fakt, że mi uwierzili, jest dla mnie najlepszym dowodem na to, że dzisiejsza młodzież stara się postrzegać przeszłość obiektywnie.

Z ich prac egzaminacyjnych oraz listów do mnie jasno wynikało, że wyrobili sobie nowy obraz swych dawnych przeciwników, Niemców, za co mi dziękowali.

Młodzież zachodniego świata, nowe pokolenie, już dawno zbudowało mosty między sobą i nieświadomie, bez trudności, zdołało doprowadzić do pojednania między dawnymi wrogami.

Można mieć nadzieję, że *Glasnost'* i *pierestrojka* umożliwią kiedyś przełamanie niechęci do naszych dawnych rosyjskich przeciwników i wyciągnięcie ku nim ręki.

To zadanie nie tylko dla polityków Wschodu i Zachodu, ale także dla każdego z nas.

Spełniłoby się moje marzenie, gdybym mógł spotkać młodego porucznika rosyjskiego, który obronił mnie przed Mongołami, gdy wzięto mnie do niewoli. Gdybym mógł ucisnąć dłoń „śniadaniowego pułkownika”, który miał tyle życzliwości dla wziętego do niewoli dawnego przeciwnika. Byłbym nawet gotów wypić szklankę wódki na pusty żołądek z tamtym rosyjskim pułkownikiem wojsk pancernych, który okazał mi szacunek, gdy dostałem się do niewoli.

Często czułem, że w połowie mojego życia byłem w pewnym sensie więźniem swoich czasów — w pułapce pruskiej tradycji, związany przysięgą

Styczeń 1987 r. Zadzwoił telefon.

— Mówi Gerhard Bandomir. Pamięta mnie pan? Byłem dowódcą 3. Kompanii I Batalionu pańskiego 125. Pułku 21. Dywizji Pancernej. Długo zajęło mi odnalezienie pana, ale teraz cieszę się i chciałbym panu opowiedzieć moją historię.

— Bandomir! Mój Boże, jak wspaniale! Po 45 latach! Ale pański batalion został całkowicie zniszczony podczas operacji „Goodwood”! Jest pan pierwszy, który może mi opowiedzieć, co się tam naprawdę stało. Musimy się spotkać!

Bandomir przyjechał do Hamburga i opowiedział mi o swoich losach tego słonecznego lipcowego poranka w Normandii. Przyjął natychmiast moje zaproszenie, by przyjechał w czerwcu 1989 r. do Normandii, gdzie miałem mieć wykład na temat tej operacji dla szwedzkiej szkoły wojennej. Bandomir odwiedził wówczas po raz pierwszy miejsca, w których jego kompania znalazła się w środku chaosu.

Oto opowieść Bandomira

„Po «Dniu D» i przed 18 lipca 1944 r. znajdowaliśmy się w okolicach Le Mesnil Frementel. Nasza dywizja stanowiła odwód korpusu, lecz przygotowaliśmy mimo to pozycje obronne na północ od tej maleńkiej wioski.

Mogliśmy pracować jedynie nocą z powodu braku osłony i 100-procentowego panowania w powietrzu nieprzyjaciela. Moje stanowisko dowodzenia znajdowało się w rowie tuż na wschód od farmy. Rów ten, znacznie pogłębiony i osłonięty belkami, słomą i ziemią, biegł za murem otaczającym farmę. Moja 3. Kompania i 2. Kompania były rozproszone i dobrze okopane na północ od farmy. Nie pamiętam pozycji pozostałych kompanii. Pracowaliśmy nocami i odpoczywaliśmy za dnia, cały

za dywizjonem lecących bardzo wysoko bombowców. Wydawało się, że ich procesja nigdy się nie skończy; leciały prosto nad nasze pozycje. Myśleliśmy, że to kolejny nalot na niemieckie miasta i było nam bardzo żal naszych rodaków i ich domów. Niespodziewanie jednak pierwsza fala zrzuciła bomby, po niej następne na okolice Emieville. Nasza obrona przeciwlotnicza wokół Caen natychmiast otworzyła ogień, zestrzeliwując jeden z bombowców. A potem rozpętało się piekło.

Uszykowane w klin dywizjony rozciągały się coraz szerzej, a bombardowanie trwało niemal dwie godziny. Straciliśmy inicjatywę, mogliśmy jedynie siedzieć i czekać na śmierć, niezdolni do zrobienia czegokolwiek. Celem nalotu było zapewne zniszczenie naszego ciężkiego sprzętu. Pamiętam dobrze okopane 105-milimetrowe działo przeciwpancerne zniszczone bezpośrednim trafieniem. Dzięki dobrze wykonanym okopom nasze straty były relatywnie małe. Jednak efekt psychologiczny takiej demonstracji powietrznej przewagi był bardzo duży, ponieważ pokazano nam, jak bardzo byliśmy bezbronni.

Po bombardowaniu nastąpił wielogodzinny ostrzał artyleryjski — zarówno z baterii lądowych, jak i z okrętów. Przeorał on każdy metr kwadratowy w rejonie naszych pozycji. Myślę, że moje stanowisko dowodzenia zostało trafione dwa albo trzy razy, wytrzymało jednak. Do naszego schronu wpadł nawet zając, wskoczył mi na rękę i przerażony zaczął pić kawę z mojego kubka! Wygryzł mi także dziurę w rękawie.

Później doszedłem do wniosku, że 18 lipca rozpoczęła się nowa epoka w historii wojen, przedsmak ery atomowej.

Gdy artyleria nagle przestała strzelać po tylu godzinach, byliśmy zdziwieni, że jeszcze żyjemy. Ostrożnie wyjrzelśmy z okopów i spostrzegliśmy, że teren na północ od nas jest wypełniony czołgami wolno posuwającymi się przez zbombardowany teren w kierunku Cigny. Ku

do dowództwa I Batalionu, musiałem cofnąć się, gdyż na schronie dowodzenia stał już czołg. Zdecydowaliśmy się opuścić farmę, biegnąc na południe, by dotrzeć do stanowiska dowodzenia pułku. Przeskakując przez zapadniętą drogę obramowaną drzewami, widzieliśmy wielu zabitych i rannych. Ranni, którzy mogli jeszcze walczyć, dołączyli do nas, gdy uciekaliśmy z farmy. Schroniliśmy się w zbożu, by doczekać ciemności. Tam jednak nacierające czołgi zdołały zabić kolejnych naszych żołnierzy. Wreszcie pozwoliłem ocalałym poddać się.

Było około południa, gdy ta przeklęta wojna skończyła się dla mnie i dla reszty mojej 3. Kompanii. Nie było żadnych szans na ucieczkę. Nie mieliśmy żadnej broni przeciwpancernej. Moi ludzie byli rozproszeni. Zniszczone zostały wszystkie środki łączności.

Po południu, już jako jeńiec, zobaczyłem pierwszych brytyjskich piechurów z 11. Dywizji Pancерnej nacierających na Le Mesnil, Frementel i Cagny. Świeżość brytyjskich żołnierzy zrobiła na mnie wielkie wrażenie, podobnie jak powszechne używanie nowoczesnych środków łączności w dowodzeniu. Zdawało się, że każdy pojazd ma radiostację.

18 lipca był w Normandii gorącym i słonecznym dniem. Dla nas wszystkich był to dzień bardzo przygnębiający. Nie mogliśmy nic zrobić. Do dzisiaj nie zdołałem określić dokładnie strat mojej kompanii.

Jako jeńca przewieziono mnie najpierw do Anglii, a potem do Stanów

Spis treści

stęp	5
edmowa	8
log.....	11
Dorastanie 1911-1929	17
Reichswehra i mój nauczyciel Rommel.....	21
Rozbudowa Wehrmachtu 1934-1939.....	26
Europa w przededniu wojny: podróże i przeżycia.....	32
Blitzkrieg: Polska 1939.....	36
Okres przejściowy 1939-1940.....	45
Francja 1940.....	48
Interim 1940-1941.....	71
Kampania rosyjska czerwiec 1941 r.-styczeń 1942 r.....	82
Okres przejściowy 1942 r.....	106
Afryka Północna 1942 r. Rommel — „Lis Pustyni”.....	112
Odwrót spod El Alamein	139
Koniec w Afryce Północnej 1943 r.....	158
Berlin i Paryż 1943-1944.....	184
Początek inwazji 6 czerwca 1944 r.....	201
Operacja „Goodwood” 18-19 lipca 1944 r.....	217
Odwrót do Niemiec sierpień-listopad 1944 r.....	237
Walki z Amerykanami grudzień 1944 r.....	259
Front wschodni: ostatnia bitwa	282
21. Dywizja Pancerna w roli „straży pożarnej” — początek końca.....	288
Koniec	299
Niewola i wywózka.....	307